

MAILER NORMAN

Piesn kata tom II

NORMAN MAILER

Tom 2

Tytuł oryginału «THE EXECUTIONER'S SONG»

Księga druga

GŁOSY ZE WSCHODU

CZĘŚĆ PIERWSZA

WĘDRÓWKI DUSZ

ROZDZIAŁ 1

Lęk wysokości

Pierwszego października, w dniu kiedy Gary Gilmore po raz pierwszy oświadczył w sądzie, że nie życzy sobie odwołania od wyroku, Zastępca Prokuratora Generalnego, Earl Dorius, siedział przy swoim biurku w Prokuraturze Generalnej Stanu Utah, w stanowym Kapitelu, w Salt Lakę City. Był to monumentalny budynek ze złoconą kopułą – istny pałac o marmurowych posadzkach – w którego wnętrzu można stanąć pośrodku prostokątnego hallu i popatrzeć w górę, na rzędy lśniącej białej balustrady wyższych pięter. Earl lubił pracować wśród marmurów. Nie miał nic przeciwko temu, by przepracować tam resztę swego odpowiedzialnego życia.

Owego popołudnia Earl odebrał telefon od Naczelnika Więzienia Stanu Utah. Ponieważ Dorius był prawnym doradcą więzienia stanowego, naczelnik często ucinał sobie z nim pogawędki – jednak tym razem Sam Smith był wyraźnie

zdenerwowany. Jego konwojent zabrał właśnie więźnia, Gary'ego Gilmore'a, do Provo, do sądu, gdzie Gilmore powiedział sędziemu, że nie chce składać apelacji od wyroku śmierci. Wobec tego sędzia potwierdził datę egzekucji. Zostały raptem dwa tygodnie. Naczelnik się niepokoi. Nie ma zbyt wiele czasu na Przygotowania. Czy Dorius mógłby sprawdzić, jak to wygląda?

Earl zadzwonił do Noalla Wootona i odbył z nim długą rozmowę. Nie dość, że tak istotnie było, to jeszcze Wooton nie bardzo wie, o co Gilmore'owi chodzi. Prawo przewiduje wykonanie egzekucji nie

wcześniej niż trzydzieści dni od daty wyroku i nie później niż sześćdziesiąt. W takim razie, skoro Gilmore nie złożył apelacji, co będzie, jeśli nie stracą go do siódmego grudnia – w sześćdziesiąt dni od siódmego października, ostatniego dnia procesu? Gilmore może poprosić o natychmiastowe zwolnienie. W końcu jedyny wyrok, jaki otrzymał, to kara śmierci. Nie skazano go na uwięzienie. Logicznie rzecz biorąc, nie ma podstaw, by go dalej więzić. Mógłby zostać zwolniony na podstawie Habeas Corpus.

Oczywiście wiadomo, że tak łatwo Gilmore'owi nie pójdzie, zgodzili się dwaj prawnicy, ale cała sprawa może okazać się nader kłopotliwa. Władze stanowe narażą się na śmieszność i zarzut niekompetencji, jeśli będą przetrzymywały go w więzieniu pod byle pretekstem, dopóki, legislatywa i sądy nie dopracują się odpowiednich rozwiązań prawnych

Earl Dorius oddzwonił do Sama Smitha ze słowami:. – Lepiej zajmij się przygotowaniami do egzekucji. Naczelnika ogarnęła zgroza.

Niemniej jednak Sam Smith zaczął rzeczowo wypytywać.

–Jaka ma być liczebność plutonu egzekucyjnego? – pytał. – Jak skompletować jego skład: spośród funkcjonariuszy policji

czy z szerokich rzesz społeczeństwa? |

Naczelnik sprawdził nawet odpowiednie przepisy i okazało się, że pozostawiają one wiele do życzenia. Na przykład, nie informują, czy egzekucję wolno przeprowadzić poza obrębem murów więziennych.; Nie precyzują mnóstwa spraw. Trzeba przecież rozstrzygnąć liczne kwestie. Gilmore chce na przykład ofiarować niektóre swoje organy wewnętrzne Uniwersyteckiemu Ośrodkowi Medycznemu. Czy Earlj mógłby sprawdzić, co prawo mówi na ten temat?

Dorius był podekscytowany. Zorientował się, że wpadła mu niezwykle ciekawa sprawa, i zaczął chodzić po biurze mówiąc ludziom:

–Nie do wiary, ale szykuje nam się tu egzekucja.

Wszedł do gabinetu Prokuratora Generalnego, lecz go nie zastał^ był więc zmuszony zostawić wiadomość sekretarkom. Earl był nieco' zawiedziony brakiem reakcji na jego nowinę. Ludzie chyba nie łapali znaczenia tego, co on mówi. Pierwsza egzekucja w Stanach od dziesięciu lat! Trochę niezręcznie trąbić o tym dookoła.

1 listopada

Hej, Mała!

Napisałem właśnie list do naczelnika Smitha z prośbą o trochę więcej czasu na widzenia. Piszę, że dla nas obojga to ogromnie dużo znaczy. prawdopodobnie pomoże, jeśli ty też z nim pogadasz. Nie wiem, jaki on jest, i nie wiedziałem, jak mam do niego pisać. Napisałem po prostu, że spodziewam się egzekucji w terminie, piętnastego listopada, i jedynym moim życzeniem jest, żeby mi pozwolono widywać cię częściej.

…Piszę mu, że ty i ja naprawdę się rozumiemy, nie działamy na siebie przygnębiająco mimo okoliczności, w jakich się

znalazłem. Wyczuwam, że dobrze coś takiego powiedzieć, bo wiesz, jak ci ludzie czasem wydziwiają…

Mała, parę dni temu napisałaś, że żadna kobieta nie kochała dotąd żadnego mężczyzny bardziej, niż ty mnie kochasz. Wierzę w to. Czuję się błogosławiony twoją miłością. I, Aniele, żaden mężczyzna nigdy nie kochał kobiety bardziej niż ja ciebie. Kocham cię całym swoim jestestwem. A ty sprawiasz, że przerastam siebie samego.

Drugiego wcześnie rano, w dzień wyborów, Earl odebrał telefon Erica Mishary z pisma „National Enąuirer". Mishara dzwonił już do naczelnika i ten skierował go do prawnego doradcy więzienia. Eric Mishara oświadczył, że chce natychmiast przeprowadzić wywiad z Gilmore'em.

Za bardzo się stawiał, jak na gust Doriusa. Kiedy Earl próbował nieco ostudzić jego zapały, Mishara zaczął mówić o tym, jak załatwi to całe więzienie, jeśli spróbują go powstrzymać.

Earl natychmiast przypomniał sobie orzeczenie w sprawie „Pełł przeciw Procunierowi". Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych wydał wówczas decyzję, że przedstawiciele środków masowego przekazu nie mają żadnych specjalnych praw dostępu do więźniów. Dorius poinformował Misharę, iż władze więzienia stoją na stanowisku, że z Garym Gilmore'em żadnych wywiadów nie będzie.

Mishara natychmiast odparł: – Ja was zaskarżę.

Zaczął mówić o wszechpotężnych adwokatach z Nowego Jorku. Dorius odpowiedział:

–Mnie nie obchodzi, skąd pochodzą pańscy adwokaci. Każe im pan zajrzeć do sprawy „Pełł przeciw Procunierowi". Myślę, że się ze mną zgodzą.

Minęło trochę czasu, zanim pan Mishara ponownie się odezwał.

«DESERET NEWS»

Carter wygrywa wybory Sędzia nakazał przebadanie skazanego mordercy

Więzienie Stanu Utah, 2 listopada… Jeżeli Gilmore postawi na swoim, będzie pierwszą osobą straconą w Utah od szesnastu lat.

Drugiego listopada, w dniu swojej podróży do Utah, Dennis Boaz przeczytał w gazecie o Garym Gilmore i wkrótce miał pewne przeżycie związane ze śmiercią. Było w tym coś synchronicznego.

Jechał lewym pasem, rozmyślając o cyklu wykładów, który miał' przeprowadzić w College'u Westminster w Salt Lakę City. Dennis ostatnio lubił aliteracje, dlatego cały cykl miał zamiar zatytułować: Społeczeństwo/Symbolizm/Synchroniczność. W momencie gdy wymawiał w myślach ostatnie słowo, ciężarówka z przyczepą gwałtownie zahamowała tuż przed nim i musiał wymijać prawym pasem. Przejeżdżał obok i wtedy ujrzał we wstecznym lusterku ten niesamowity widok: tułów mężczyzny zwisał przez przednią szybę, ramiona sięgały ziemi.

I zaraz kolejny widok:

We wstecznym lusterku obraz kierowcy drugiej ciężarówki, biegnącego w stronę pierwszej. Dennis się nie zatrzymywał. Za dużo wozów jechało za nim. Lecz na moment przed zdarzeniem myślał o dacie drugiego listopada. W myślach pisał ją jako 2.11. Co oczywiście daje w sumie trzynaście. W Major Arkanach tarota trzynastą kartą jest Śmierć.

Dlatego dźwięczało mu w głowie to słowo, gdy ujrzał trupa. Pomyślał: O rany! Jezu! Założę się, że najbliższy drogowskaz będzie jeszcze jedną wskazówką. Kiedy mijał zjazd z autostrady,

zobaczył tablicę: Gwiaździsta Dolina i Deeth *. Synchroniczność, jaką mogą znieść tylko ludzkie synapsy.

Drugiego wieczorem dotarł do Salt Lakę na tyle wcześnie, by jeszcze zagłosować na Cartera po linii bezpartyjnej. Następnie, trzeciego rano, obudził się z myślą o sprawie Gilmore'a. Boże, znalazłem się na granicy czegoś naprawdę ważnego, pomyślał Dennis. Dostrzegał roztaczające się możliwości. To niebywała gratka dla pisarza, myślał. Powinienem wysłać do Gilmore'a list.

Tak też uczynił. Kilka lat wcześniej, jako młody prokurator, Dennis był właściwie przeciwnikiem najwyższego wymiaru kary, lecz teraz doszedł do przekonania, że nawet w społeczeństwie idealnym kara śmierci może wciąż być potrzebna. Najwyższa kara, sprawiedliwie wymierzana, mogłaby wyrażać odpowiedzialność za własne czyny, a rzecz polega przecież na powrocie do odpowiedzialności. Boaz nie zawarł wszystkiego w liście, ale wyraźnie napisał, że popiera prawo Gilmore'a do śmierci.

W dni, kiedy szpital psychiatryczny Timber Oaks dawał April przepustkę, Kathryne zabierała ją wieczorem do Nicole, gdzie spędzały parę godzin. Czasami April mówiła:

–Niunia, czy oni naprawdę zastrzelą Gary'ego? Dlaczego Gary nie chce żyć, Niunia?

Nicole przyjmowała to bardzo spokojnie.

–Oj, nie wiem – mówiła. Bardzo spokojnie. Jakby jej to było obojętne.

Kathryne tak się przejmowała, że aż krzyczała po nocach. Nie mogła ścierpieć widoku spikera mówiącego o tym w telewizji. Ni

z tego, ni z owego, w samym środku reklam. Przez co wszyscy w telewizji zdawali się stuknięci.

Czasem Nicole wpadała do Kathryne z dzieciakami i zostawała na noc. Nigdy nie porozmawiała. Nawet ze swoją ciotką Kathy. Kładła dzieci spać, potem pisała wiersze. I tyle. Pisała i pisała te wiersze Z dziećmi nigdy nie obchodziła się źle, tyle że mało o nie dbała.

i

Akurat w pierwszym tygodniu listopada zginął Kip. Spadł w górach. Na wspinaczce. Czwartego listopada Kathryne szykowała się właśnie do pracy, kiedy wymienili w radiu nazwisko Alfred Eberhardt, i natychmiast pomyślała: Boże, to na pewno Kip. Cały dzień w pracy martwiła się, jak Niunia to przyjjmie. Zresztą z pracy pojechała prosto do Springville, a Nicole siedziała tam przy zgaszonej lampce, pisząc i pisząc. Kathryne weszła i spytała:

–Co ty robisz po ciemku? Nicole powiedziała:

–Och, nie zauważyłam.

Włączyła światło, nastawiła kawę, śmiała się i żartowała. Kathryn nie miała pojęcia, jak spytać, czy Alfred Eberhardt to Kip. Musiała wreszcie jakoś to wykrztusić. Nicole powiedziała tylko:

–No. Aha.

–Tego się właśnie obawiałam – przyznała Kathryne.

–Mhm – mruknęła Nicole. Zdaniem Kathryne, nie okazywała tego, co powinna.

Trochę później Nicole podniosła jednak wzrok mówiąc, że chce zadzwonić do rodziny Kipa. Ale kiedy Kathryne poparła tę myśl, Nicole rzekła:,

–Sama nie wiem. I co ja mam im powiedzieć? Jednak ją ruszyło, pomyślała Kathryne. Coś tam czuje.

Nicole pamięta, jak parę lat temu opuściła Barretta i wyszła z całym swoim dobytkiem na plecach i z Sunny-niemowlakiem na ręku. Kip, zabrał ją okazją i ich romans zaczął się tej samej nocy. Na początku, był z niego prawdziwy ogier. Pierwsza noc jak trzeba. |

i

Następnego dnia znaleźli się w Górach Skalistych Colorado, gdzie Kip zaparkował samochód i zabrał Nicole z Sunny w góry. Widzieli tam faceta, który próbował się wspiąć na urwisko. Z metr nad ziemią

znajdował się mały występ, na który ten facet co chwila wchodził, ale zaraz tracił odwagę do włażenia wyżej i cofał się.

Parę godzin później, gdy już schodzili w dół ścieżką, ten facet ciągle tam tkwił.

–On jest nawalony – próbował żartować Kip, ale widać było, że go to rusza. Inni faceci powłazili na skalną ścianę z linami, wysoko jak na ósme albo dziesiąte piętro, przybici hakami do ściany. Kip nie mógł od nich oczu oderwać. Nicole widziała, jak się przejął. W końcu był tu z nową dziewczyną, superdupą, a tamci faceci mimo to patrzyli nań z góry. W zasadzie Nicole nie miałaby nic przeciwko temu, by poznać któregoś z nich. Sprawiali wrażenie super-odważnych.

W radiu podali, że Kip był początkującym alpinistą. Nicole zaczęła się zastanawiać, czy on się wspinał z linami, czy tak jak ten nawalony biedak na samym dole nie mógł nigdzie dojść.

3 listopada

Tylko posłuchaj – nie buntuj się ani nie bądź uparta i niezależna jak zwykle, kiedy ci się mówi, żebyś czegoś tam nie robiła. Dobra. Chcę ci w każdym razie powiedzieć, że masz czekać na mnie. W liście wspominasz coś o pójściu przede mną, a ja zawsze biorę twoje słowa poważnie. Nie lubię mówić komukolwiek – a zwłaszcza tobie – co należy robić, a czego nie należy. Bez podania powodu. Powody są następujące: Ja życzę sobie iść pierwszy. Kropka. Ja tego sobie życzę. Po drugie wierzę, że wiem trochę więcej o PRZECHODZENIU OD ŻYCIA DO ŚMIERCI niż ty. Po prostu myślę, że wiem. Mam zamiar zjawić się i stawić natychmiast przed tobą fizycznie – gdziekolwiek będziesz. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby uśmierzyć twój ból, żal i smutek. Obejmę cię całą, otoczę ogromem miłości, jaką mam dla ciebie. Nie wolno ci iść przede mną, moja Nicole Kathryne Gilmore. Nie Przeciwstawiaj mi się.

Przyszedł także list do Verna. Gary pisał w nim, że ani Vern, ani Ida nie przyszli go zobaczyć po wyroku śmierci, „jest więc oczywiste, że się mnie wstydzicie". Następnie Gary dodał: „Nawet nie oprawiliście Portretu, który wam dałem, dlatego życzę sobie, żebyście oddali ten obraz Nicole. Nie chcę mieć z wami nic wspólnego."

Gdy tylko Ida wzięła się w garść, napisała: „Pieczołowicie przechowuję rysunki, które mi dałeś. To jedyna rzecz, jaką mam od Ciebie. Jeśli chodzi o ich zwrot, oddanie Nicole – gadaj zdrów, ja tego nie zrobię. One są moje."

Vern dopisał się do listu Idy: „Nie wiem, co Cię napadło. Próbowaliśmy zobaczyć się z Tobą w więzieniu, ale jedyna osoba, którą chciałeś widzieć, to Nicole, więc daliśmy sobie spokój. To jest autentyczny fakt, ja popieram Idę we wszystkim. Nie oddamy obrazków."

Nicole, mam nadzieję, że to nie przerodziło się w pyskówkę albo jakąś scenę. Dzisiaj dostałem list od Idy i Verna – Ida doprowadzi do twego zatrzymania, jeśli,,będziesz stawiać jakiś opór" (to jej słowa, nie moje).

Boże, Mała, przepraszam. Przykro mi, że mam taką rodzinę. Mam nadzieję, że nie spotkało cię nic nieprzyjemnego od Verna albo Idy. Chuj z nimi. Niech se wsadzą te obrazki. Oni wiedzą, że to im się nie należy, ale nie mam zamiaru wplątywać cię w jakieś awantury. Głupio mi z tego powodu.

Gary napisał także do Brendy, żeby oddała Nicole jego obraz olejny, i Brenda radziła się Verna, co robić. Vern powiedział, żeby postąpiła zgodnie z własnym sumieniem. Wysłała więc do Gary'ego list: „Ja nie chcę, ale zrobię tak, skoro nalegasz. Jeżeli to nic nie znaczy dla ciebie, nie znaczy też wiele dla mnie. Jak chcesz. Cholera z tym. Jeśli masz zamiar pogrywać tak wrednie, egoistycznie i dziecinnie – to proszę bardzo, wsadzę to Nicole na głowę. Niech nosi i się cieszy."

Trzeciego listopada Esplin dostał od Gary'ego następujący list „Mikę, odchrzań się. Przestań się wpierdalać w moje życie. Jesteś zwolniony."

«PROVO HERALD»

4 listopada. Mimo zwolnienia z obowiązków, dwaj adwokaci obrony we własnym imieniu wnieśli w środę po południu zapowiedź apelacji – na ręce sędziego 1 Czwartego Sądu Okręgowego, J. Roberta Bullocka.

Stwierdzili, że czynią to „w najlepiej pojętym interesie" oskarżonego.

Notatka prasowa spowodowała liczne telefony do Earla Doriusa. Prasa dopytywała się, jakie stanowisko zajmie Prokuratura Generalna w sprawie Gilmore'a. Dorius odpowiadał, że Snyder z Esplinem spróbują pewnie wnieść pozew o apelację bez zgody klienta, lecz jego zdaniem, prawo składania pozwu im nie przysługuje.

Earl przeczuwał, że „prawo wnoszenia pozwu" zagości wkrótce na ustach wszystkich w biurze. Jeśli nawet Snyder z Esplinem wycofają się ze sprawy, on osobiście przewidywał, że inne grupy – czy Gilmore się zgadza, czy nie – wkrótce będą się starały mimo wszystko złożyć apelację. Dlatego prawo do wnoszenia pozwu ma znaczenie zasadnicze.

4 listopada

Hej, Mała!

Akurat kiedy dziś miałem pogadać z tym fagasem o dodatkowych widzeniach, przechodziłem na inny oddział i zawołał mnie taki jeden, ubrany trochę jak dziewucha… Ten facio siedzi pod maksem za to, że skasował strażnika-porucznika. Z tego, co wiem, z niego jest człowiek jak trzeba, prawdziwy garownik – to o nim słyszę – ale jednocześnie ciota, pedzio, czy jak go tam zwał. Dziś wieczór razem z żarciem dostałem ten gryps. Załączam, żebyś przeczytała; pomyślałem sobie, że będziesz miała z tego niezły ubaw.

Się masz, Gil!

Czytałem o tobie w gazecie i muszę powiedzieć, że ty jesteś całkiem wyjątkowy. Ludzie po prostu nie wiedzą, co o tobie myśleć i, do diabła, oni kompletnie nie wiedzą, na co stać nas, dzieci Teksasu, no nie? Nas ten pierdolony świat niczym nie zaskoczy.

Z rana naszło mnie, że muszę z tobą pogadać, zobaczyć, co cię bierze!

Kotku, nie zwracaj uwagi na niektóre moje odzywki, w końcu wiesz, jak jest, kiedy chcica męczy.

Czym tam się zajmujesz poza rozmyślaniem cały czas?

Chyba nie należy zadawać tylu głupich pytań, ale wiesz, jak to bywa\ z dziwkami, zawsze czegoś chcą!

Pod spodem Gary dopisał:

Hej, Mała Nicole – tylko żeby cię nie ogarnęła czasem jakaś zazdrość!

Jimmy Carter został nowym Prezydentem. Coś podobnego! Nie wierzyłem, że Ford może przegrać – to chyba dopiero drugi przypadek w całej historii wszechświata, żeby sprawujący władzę prezydent przegrał wybory.

«DESERET NEWS»

5 listopada. Działający w Utah przedstawiciele Amerykańskiego Związku na rzecz Wolności Obywatelskich (ACLU, oraz Krajowa Organizacja na rzecz Awansu Społecznego Kolorowych (NAACP) oświadczyli, iż postarają się oddelegować swoich prawników do pomocy w przygotowywaniu procedury apelacyjnej.

Rzecznik ACLU, Shirley Pedler, stwierdziła: „Wychodzimy z założenia, że stan Utah nie ma prawa odebrać mu życia, bez względu na jego własny wybór czy decyzję."

Dzisiaj widziałem się z jednym Indianinem, którego znam od lat Nazywa się Wódz Bolton. Był strażnikiem w kiciu Oregonjak żeśmy się ostatnio widzieli. Skubany, ma niezłą masę: 130 kilo najmarniej; dość porządny gość, chociaż klawisz – i on powiedział, że świetnie mnie rozumie – ja myślę, że Indianom łatwiej pojąć śmierć niż białym…

5 listopada

Dostałem też list od Dennisa Boaza z Salt Lakę. On był prawnikiem w Kalifornii. Zdaje się, że rozumie w pełni moją sytuację i sądzi, że przysługuje mi prawo do ostatecznej decyzji bez żadnych ingerencji prawników. Ten cały Boaz zajmuje się teraz pisaniem i chce zrobić tekst

do publikacji ogólnokrajowej. Mówi, że podzieli się forsą za artykuł z każdym, kogo mu wskażę.

No więc ja to z góry odrzucam… po prostu nie będę na tym zbijać żadnego kapitału…

To jest sprawa bardzo osobista – to moje życie, Nicole. Jeśli zrobią koło tego szum, ja nic nie poradzę, ale sam nie chcę żadnej reklamy.

Naczelnik Smith zapytał mnie dziś, co chciałbym dostać na ostatni posiłek. Zawsze myślałem, że oni tak robią tylko w filmie. Powiedziałem, że nie wiem, ale miałbym ochotę na parę puszek Coors – on na to, że nie jest pewien, ale być może…

Do Earla przyczepiło się jakieś choróbsko i musiał poleżeć w domu. Akurat w dniu piątego listopada, kiedy Gilmore dzwonił do biura, Wieczorem Earl obejrzał parę programów, gdzie jego współpracownik, Bili Barrett (nie spokrewniony z Nicole ani z Jimem Barrettem – jak będzie później tłumaczyć ludziom Earl, udzielał wywiadu na temat rozmowy telefonicznej z Gilmore'em. Earl nie mógł przeboleć, że nie siedział w biurze, żeby odebrać ten telefon. Niech będzie, Barrett to jego najlepszy kolega z pracy; dobrze im się współdziałało cały zeszły rok – a co u diabła, w kółko dowcipkowali: Barrett, wysoki chudzielec, przy niskim i krępym Earlu – nic dziwnego, że do każdej sprawy wnoszą odmienny punkt widzenia. Jednak przykro, kiedy człowiek jest prawnym doradcą więzienia, odwala całą robotę, i nagle gratka w postaci telefonu Gilmore'a przechodzi mu koło nosa.

Barrett rozmawiał z Garym nie dłużej niż pięć minut, lecz jak później sam mówił Earlowi, takie doświadczenie potrafi trwale zaciążyć na czyimś życiu.

Zaczęło się od telefonu zastępcy naczelnika nazwiskiem Hatch. W chwilę później Maksymalny Nadzór był już na linii i porucznik Fagan oddawał słuchawkę skazanemu. Barrett usłyszał cichy głos człowieka, który mówił bardzo rozsądnie. Nie krzyczał, nie pomstował. Cały czas zwracał się do rozmówcy per panie prokuratorze.

Na samym początku zapytał o możliwość zmiany adwokata.

–Proszę pana – rzekł Barrett – sądzę, że rozumiem pańską sytuację, lecz nasze biuro nie może nic zdziałać w tej sprawie. Przydzielenie nowego adwokata leży w gestii sądu.

–Panie prokuratorze, moja decyzja nie wynika z nastroju chwili – mówił Gilmore. – Bardzo długo o tym rozmyślałem i czuję, że powinienem zapłacić za moje czyny.

–Trudność polega na tym, panie Gilmore – odpowiedział Barrett – że nie jest rzeczą prostą nakłonienie adwokata, by pomógł panu stanąć przed plutonem egzekucyjnym. Jeżeli jednak sprawa przyjmie nowy obrót, dam panu znać. Przychylam się do pańskiego stanowiska.

W istocie Barrett czuł się bezradny. To wszystko było jakieś niedorzeczne. Jego rola polega na doprowadzeniu do egzekucji tego człowieka, czyli chodzi im niby o to samo – a jednak nie stoją po tej samej stronie.

Reporter, który kręcił się koło biura, kupił temat. Kiedy artykuł ukazał się w prasie, Barrett odebrał serię telefonów z całego kraju. Z Chicago zadzwonił korespondent ABC, Greg Dobbs, z propozycją:

–Na sobotę i niedzielę ruszam w teren, będę mógł zrobić z panem wywiad? Czy mogę odwiedzić pana w domu?

Od słowa do słowa, ustalili termin spotkania. A stacje radiowe z południa Stanów przeprowadzały z nim wywiady telefoniczne. Tu, w Utah

Wir pracy wciągnął Earla jak nigdy dotąd. W wydziale kryminalnym Prokuratury Generalnej było tylko dwóch prawników na pełnym etacie: on i Barrett, plus sekretarki i paru urzędników. Niewielki personel jak na to, co się właśnie szykowało. Zaraz następnego dnia na przykład Dorius natknął się na dwóch znanych adwokatów z Salt Lakę i okazało się, że ci dwaj, Gil Athay i Robert Van Sciver, zwołali konferencję prasową w sali Sądu Najwyższego Utah, piętro wyżej nad biurem Prokuratury. Earl słyszał, jak mówili do kamery, że będą dążyć do wstrzymania egzekucji Gilmore'a w imieniu

wszystkich pozostałych więźniów z cel śmierci Więzienia Stanowego. Klientem Athaya był jeden ze „stereozbrodniarzy".

****

Stereozbrodniarze zostali skazani za zabójstwo kilku osób w sklepie z płytami. Najpierw wlali ofiarom do gardła żrący płyn „Drano", później wpychali wkłady od długopisów do uszu. Od lat nie popełniono w Utah tak odrażającego morderstwa, które nieomal dostarcza argumentu na rzecz kary śmierci. Gilmore, prosząc o wykonanie wyroku, nie zjednuje stereozbrodniarzom przychylności opinii publicznej.

Tak, temperatura szybko rosła. Aż za szybko. Dorius od dawna wybierał się z Barrettem na konferencję pracowników wymiaru sprawiedliwości do Phoenix, lecz przecież nie mógł zostawić biura w takiej chwili. Środki masowego przekazu w kółko robiły wywiady z Earlem. Łapali go w biurze, w domu, na ulicy – wszędzie.

ROZDZIAŁ 2

Synchroniczność

Ledwo Earl Dorius z Billem Barrettem dotarli na konferencję pracowników wymiaru sprawiedliwości, natychmiast odkryli, że w Phoe-nix Gary Gilmore też robi furorę. Codziennie mówią o nim w telewizji. W dzienniku ABC puścili nawet wywiad, który Greg Dobbs zrobił z Barrettem. Coś takiego, Barrett w wiadomościach na cały kraj!

Earl i Bili poznali dwóch zastępców Prokuratora Generalnego Stanu Oregon, którzy opowiedzieli, jakich kłopotów Gilmore przysparzał stanowemu systemowi więziennictwa. Zdaje się, że ciągle miał jakieś pretensje o sztuczną szczękę. Co mu zrobili nową protezę, to on ją wyrzucał do ubikacji. Wreszcie władze więzienne powiadomiły go, że jeśli jeszcze raz pośle zęby do kibla, będzie zdrabniał żarcie dziąsłami do końca odsiadki. Ci dwaj prokuratorzy żartowali teraz, że po egzekucji Gilmore'a stan Utah powinien zwrócić jego protezy stanowi Oregon – przekazać Wydziałowi Resocjalizacji.

Nazajutrz – dalszy rozwój wypadków. W takim właśnie tempie powstają rysy na gipsowym suficie, jeśli walnąć w niego z całej siły. Sąd Najwyższy Stanu Utah przyjął wniosek Snydera i Esplina o wszczęcie apelacji i odroczył egzekucję Gilmore'a, nie licząc się z jego wolą. Teraz nie wiadomo, ile to potrwa. Jeszcze tego samego dnia Gilmore nadesłał list do sądu. Naturalnie gazety go przedrukowały. Earl czytał i oczom nie wierzył.

Czyżby mieszkańcom Utah zabrakło odwagi na miarę przekonań? Ludzie, wydajecie wyrok śmierci na człowieka – na mnie – kiedy ja ten najskrajniejszy wymiar kary przyjmuję z powagą i godnie, wtedy wy – społeczeństwo Utah – wycofujecie się, by prowadzić o to ze mną spory. Jesteście niepoważni.

Po chwili zadzwonił naczelnik Smith. Dostał jeszcze jeden list Gilmore'a.

Panie Naczelniku, nie życzę sobie żadnych spotkań z dziennikarzami. Jest jednak pewien niezależny publicysta nazwiskiem Dennis Boaz, były adwokat, z którym pragnę się spotkać. Pan Boaz to jedyny wyjątek od mojej zasady nieudzielania wywiadów.

Kto to jest Dennis Boaz? – zastanawiał się Earl.

W niedzielę wieczorem Gary zwrócił się do Cline'a Campbella:

–Potrzebuję pomocy. Jestem bez adwokata, a myślę, że najdalej za parę dni stanę przed sądem. Zawsze mogę sam wystąpić we własnym imieniu, ale poważniej będzie wyglądało, jeśli zrobi to za mnie adwokat.

Wręczył Campbellowi list.

–Ten człowiek twierdzi, że jest prawnikiem. Mam prośbę: chcę się z nim skontaktować. Campbell przyrzekł, że to załatwi, Gary zaś dodał:

–Zależy mi na czasie.

W liście nie było numeru telefonu. Wobec tego w poniedziałek rano Campbell zajechał pod adres nadawcy i akurat jakiś człowiek stamtąd wychodził. Okazał się współlokatorem Boaza i rzekł:

–Dennis śpi, ale zaraz go obudzę. Całą noc coś pisał.

Campbell wyjawił Boazowi przyczynę wizyty i obaj przyjrzeli się sobie nawzajem. Campbell zadzierał przy tym głowę. Boaz był wysoki niczym zawodnik koszykówki – co najmniej metr dziewięćdziesiąt –

przypominał rozłożony teleskop. Na samej górze tkwiła sympatyczna, skupiona twarz z ciemnym, przystrzyżonym wąsem i ciemnymi włosami. Zdaniem Campella, równie dobrze mógł być chudym jak tyczka lekarzem bądź dentystą, niekoniecznie prawnikiem.

Ponieważ Dennis wprowadził się do mieszkania w suterenie, nie płacąc czynszu, na widok Campbella pomyślał z początku, że to któryś z wierzycieli. Campbell wyglądał jak karny i dzielny żołnierzyk. Z wyglądu – facet do rzeczy, wyprostowany, jakby kij połknął. No a Dennis miał tego saaba, za którego wisiał ze spłatami. Co tu dużo gadać, był spłukany. W sumie był do tyłu o dziesięć patoli. W tym układzie natychmiast pomyślał, że Campbell przychodzi odebrać mu saaba. I w chwili kiedy się dowiedział, że Cline przynosi mu dobre wieści zamiast złych, mógł bez przeszkód poczuć do niego sympatię. Doszedł do wniosku, że to miły, skromny człowiek. Zarazem uprzejmy i wyrozumiały.

W mieszkaniu panował bałagan. W owym czasie Everson, współ-lokator, jakoś nie potrafił zebrać się do kupy i wszędzie walały się książki i papierzyska, do tego podwójne łóżko w pokoju od frontu – tak, trochę nie na miejscu. Campbell nie dałby się zwieść pozorom; musiał zauważyć, że to przyzwoity dom. Ładnie ze strony Eversona, że pozwolił u siebie zamieszkać, bo przecież nie może przez to zapraszać do siebie żadnych panienek. Równy z niego chłop. Poczciwość Eversona złagodziła wrażenie nieładu. Poza tym Boaz poczuł, że nurt niesie go właściwym kanałem. Poradziłby sobie i z gorszym podejrzeniem.

Powiedział Campbellowi, że już za jakąś godzinkę będzie gotów do drogi, jednak musiał jeszcze kupić baterie do magnetofonu i pokazać się w pracy, czyli w związku kierowców autobusowych, gdzie był radcą prawnym. Mieli mu wypłacić zaliczkę, ale kazali przyjść później. Po wszystkich

przepychankach dotarł do więzienia dopiero koło drugiej, trzy godziny później.

Więzienie znajdowało się niedaleko Point of the Mountain, trzydzieści kilometrów na południe od Salt Lakę City, w połowie drogi z Orem do Provo i dokładnie naprzeciw tego miejsca, gdzie góra sięga łapą autostrady. Od zjazdu na prawo rozciągała się w kierunku zachodnim łysa równina i zaraz widać było więzienie na skraju pustyni – kompleks niskich zabudowań z żółtego kamienia, odgrodzony wysoką siatką parkanu.

Boaz zaparkował swego saaba i przeszedł pod wieżyczką strażniczą do budynku administracji. Nie było tam poczekalni; przez niewielkie drzwi wchodziło się od razu w wąski korytarz, który dalej rozgałęział się pod kątem prostym, a na skrzyżowaniu korytarzy, z boku, znajdowało się okienko informacji. Taki ciasny kantorek można zazwyczaj spotkać w hali dużego magazynu. Strażnicy nosili brązowe kurtki – nieco przykrótkie z tyłu, zwłaszcza, jeśli któryś miał wielkie dupsko – i Boaz patrzył na nich, jak chodzą po korytarzu albo przekraczają zamykającą się z hukiem bramę, by przejść do Średniego Nadzoru. Jeden z więźniów stał przy szklanej muzealnej gablocie i sprzedawał grupie turystów ozdobne paski wykonane przez tych, co siedzą. W porównaniu z zakładami karnymi, które Dennis widywał w Kalifornii, budynek był mało reprezentacyjny jak na więzienie stanowe. Jednak nie czuło się szczególnie złych wibracji, tylko wsiową swojskość. Strażnicy mieli czerstwe gęby, przy tym chytre, jakby przed chwilą gzili się na sianie. Lecz nie dostrzegało się nienawiści czy zepsucia cywilizacją. Przeciwnie. Niektórzy klawisze pchali przed sobą opasłe brzuszyska niczym taczki, tak, wszystko względnie zwyczajne, wiejskie chłopy jak się patrzy. Wśród nich wielu prawdziwych osiłków.

Obok drzwi gabinetu naczelnika tkwiła wypisana na maszynie wywieszka, przylepiona do ściany:

Nie znoszę tych, co narzekają Na tych, co olej w głowie mają I dzięki temu awansują Nad tych, co w kółko krytykują. Sam Smith.

Wreszcie gabinet. Jak dla naczelnika – po prostu klitka, a już Sam ledwie się tam mieścił, gdyż wzrostem przewyższał nawet a, do tego obnosił okazałe cielsko. Dennis pomyślał, że on

wygląda jak skrzyżowanie Borisa Karloffa z Andym Warholem, bo miał duże okulary w plastikowej oprawie. Mówił przyciszonym głosem.

–Sądzę, że wiadomo panu, dlaczego tu jestem – zagaił Dennis.

–Nie – odrzekł Sam Smith. – Nic o tym nie wiem.

Cóż za ostrożność, pomyślał Dennis. Uznał, że Smith mrozi przestrzeń słowami. Rozparty na krześle pilnie obserwował przybysza.

Dennis wyjaśnił, że zajmuje się pisaniem. Gilmore chce z nim pomówić na temat ewentualnego wywiadu do gazety.

–Niestety – odparł Smith. – Nie wolno nam wpuszczać dziennikarzy.

–Ale Gilmore chce się ze mną widzieć. Przysłał kapelana.

Smith pokręcił głową. Oto typowa energia emitowana przez naczelnika. Wielowarstwowa kontrola nad strachem. On nie dopuści do(niczego, co by tę kontrolę zniweczyło.

–Jak to? – zirytował się Dennis. – Nikt nie ma wstępu, chociaż, ten człowiek niedługo umrze? On chce się ze mną spotkać, Porozmawiać.

–Nie wolno nam wpuszczać dziennikarzy – powtórzył Smith. A spięty był przy tym, Jak na potężnego faceta, Smith poruszał się sprawnie, lecz z wyraźnym napięciem. Nie spodobał się

Dennisowi, zwłaszcza przez swój sposób siedzenia – bił od niego chłód, niepokój, | na twarzy, ani śladu uśmiechu.

Sam Smith siedział i długo medytował. Swoją kolejną uwagą zaskoczył Dennisa.

–No tak, ale pan jest prawnikiem.

On wie na mój temat znacznie więcej niż był dotąd skłonny wyjawić pomyślał Dennis. I powiedział:

–Z Kalifornii.

–No cóż – mruknął w odpowiedzi Sam Smith. – Nie możemy ograniczać Gilmore'owi prawa do spotkań z adwokatem.

Boaz wreszcie załapał. Czy to możliwe, że Smith woli jego od Esplina i Snydera? Tamci, chociaż zwolnieni z obowiązków, są nadal jedynymi adwokatami od Gilmore'a. Zdążyli już opóźnić sprawę. Ależ to jasne! Naczelnik chce, żeby egzekucja odbyła się w terminie.

Mimo wszystko Sam Smith nie okazywał przyjaźni. Właściwie można powiedzieć, że przytłaczał swoją obecnością. Mówił właśnie swoim cichym głosem, nawet nie spoglądając na Boaza, że pan Boaz może wejść jedynie w charakterze doradcy prawnego. I coś musi na tę okoliczność podpisać.

Dennis machnął tekst oświadczenia, że nie napisze żadnego artykułu do prasy, a do więzienia przybywa jako adwokat. Dodał jednak, że oświadczenie sporządza na prośbę naczelnika, i nie omieszkał wypomnieć mu, że „umowa ta jest bezprawna". Naczelnik się rozsierdził. Gniew buchał z niego jak od rozgrzanej patelni. Niewątpliwie, dla Sama Smitha procedura jest wszystkim. Facet chce przez to coś udowodnić.

Boaza wpuszczono, ale bez magnetofonu. Strażnik wyprowadził go z budynku administracji i w listopadowej aurze

przeszli ze sto metrów dalej, do Maksymalnego Nadzoru w brzydkim, przysadzistym budynku. Tam umieszczono Boaza w sporej sali widzeń, z osiem metrów na dwanaście, ze strażnikiem w kuloodpornej oszklonej budce, który go miał na oku. Ten strażnik pilnował, kto wchodzi lub wychodzi, ale nie mógł chyba wiele usłyszeć ze swojej szklanej klatki. Dennis odbierał wibracje bezruchu i zadawnionej niedoli.

Dennis z miejsca wyczuł obecność błyskotliwego umysłu. Wszedł Gilmore, ze spokojną, ściągniętą twarzą. Dennis chyba nie zauważyłby go na ulicy, chyba że napotkałby jego wzrok. Gilmore miał oczy szaroniebieskie, a w nich mnóstwo światła. Zdumiewające. Jasne spojrzenie wprost. Ponieważ nosił luźny biały ubiór więźniów pod Maksymalnym Nadzorem, do sali zaś wszedł boso, Dennis wyobraził go sobie jako świętego wśród kurzu ulic Delhi.

2 miejsca zrobili dobry początek. Boaz nie zwlekając wyłożył Mnóstwo spraw. Mówił o swojej karierze prawnika: studiował w Boalt Hali, w Berkeley – Gary skinął głową na znak, że wie, jak dobre to

referencje – opowiedział też o latach pracy w biurze Prokuratora Okręgowego w okręgu Contra Costa, kawałek na północny zachód od San Francisco. Nie omieszkał przyznać się Gary'emu, że jako prokurator palił trawę. Chociaż zajmował się wymierzaniem kary zawsze bardziej sympatyczna wydawała mu się obrona. Prawdopodobnie przez to, że nasłuchał się Ginsberga i Kerouaca pod koniec lat pięćdziesiątych na uniwerku – zgodzili się z Gilmore'em, że chyba są rówieśnikami – i przez to, że później sympatyzował z takimi ludźmi jak Mario Savio, Jerry Rubin i z całym ruchem zapoczątkowanym w Berkeley *. Te nazwiska zaważyły na jego życiu. Gilmore znał te nazwiska.

Boaz przyznał, że ostatnio słabo się udziela jako prawnik. Za małe pole manewru. Bardziej interesuje go badanie świadomości, terapia grupowa, medytacje, sufizm, czy metoda

zwana Fisher-Hoffman. Po obróbce tą metodą przeszedł taką wewnętrzną przemianę, że sam udzielał porad według Fishera-Hoffmana. To jednak również go ograniczało. Dlatego, przynajmniej we własnym mniemaniu, poszedł w stronę Findhorna. Podobał mu się pomysł, że gdzieś w Szkocji, w górach, można wyhodować dziesięciokilowe głowy kapuściane w piędzi gleby i nawet kwiaty mogą kwitnąć w zimie, tylko trzeba się do nich odpowiednio dostroić i pokierować wiązkami dostępnej energii.

Gilmore wszystko to chwytał i zadawał niegłupie pytania. Boazowi momentami szczęka opadała. Z Gilmore'em prowadził najwspanialszą intelektualną rozmowę od chwili przyjazdu do Salt Lakę City. A teraz dopiero

Nawijali o książkach, bez zbędnego trucia. Gary mówił o Demianil Hermanna Hesse i o Paragrafie 22, rzucał nazwiska: Ken Kesey, Ala/ Watts, wspomniał też Śmierć w Wenecji. Autora nazwał „Tom Manny i stwierdził:

–Ten siłacz zwalił mnie z nóg. Na koniec oświadczył:

–Podoba mi się wszystko, co napisał wściekły irlandzki maniak J. P. Donleavy.

* W r. 1964 w Berkeley, w tamtejszej siedzibie Uniwersytetu Kalifornijskiego, powstał tzw. Ruch Na Rzecz Wolności Słowa, który doprowadził do strajków studenckich i starć studentów z władzami uczelni i policją. (Przyp. tłum.)

Nie chodziło właściwie o dyskusję, raczej o szukanie wspólnych upodobań. On lubił też Udrękę i ekstazę oraz Pasję życia Irvinga Stone'a.

Dennis nie usłyszał właściwie żadnych rewelacji, bo przecież, do diabła, w porównaniu z innymi był nieźle w tych sprawach oczytany, chociaż sam uważał swoją wiedzę za dość powierzchowną. Miał jednak jakieś pojęcie, dlatego nie mógł się

nadziwić, że Gilmore tak dobrze się zna na zagadnieniach świadomości. Niby Gary nie wnosił niczego nowego, lecz wiele musiał na ten temat rozmyślać. Nie można uciec od samego siebie, twierdził Gilmore. Trzeba wyjść sobie na spotkanie.

Co Dennis bez reszty popierał. Każdy odpowiada za swoje czyny. Lecz jego zdaniem Gilmore wykazał pewien dogmatyzm, jeśli chodzi o reinkarnację. Tutaj Boaz nie był bezkrytycznym wyznawcą – wędrówka dusz stanowiła dla niego jedną z wielu możliwości.

–Słuchaj, Gary – powiedział, umyślnie występując jako advocatus diaboli. – Kiedyś pewna osoba zaproponowała, że cofnie mnie do poprzednich wcieleń i trochę poćwiczyliśmy. Ja wiem, jak się w to gra. Podobno w czternastym wieku umarłem na kole tortur, znów kiedy indziej byłem faunem. Nachyliłem się i patrzę – mam kopyta, no nie? A przecież to mógł być zwykły twór mojej wyobraźni. Ja tam nie wiem. Niczego nie odrzucam, ale to akurat wydaje mi się mało istotne. Myślę, że zasady etyczne można przyjąć bez zagłębiania się w reinkarnację.

Gilmore potrząsnął głową.

–Dusze wędrują – powiedział. – Wiem na pewno. Boaz dał spokój. Nawet w najwspanialszej dyskusji trzeba wiedzieć, kiedy ustąpić.

Zajęli się numerologią. Data urodzin Gilmore'a sumowała się do dwudziestu jeden. W tarocie jest to karta symbolizująca Świat, zaś dwa i jeden to trzy, szczęśliwa liczba, Cesarzowa. Z kolei dzień urodzin Boaza dawał Cesarza i Głupca.

–Tworzymy równowagę – chichotał Boaz.

–No. Pasujemy do siebie – przyznał Gilmore.

Jednak jeśli litery potraktować numerologicznie, „Gary" daje liczbę Siedem, zaś „Gilmore" – sześć. Karta trzynasta nosi

wizerunek

Śmierci. Boaz czuł wibrację przenikającą Gilmore'a. Jaka strata, pomyślał, jaka szkoda. On ma przed sobą ostatni tydzień życia. Zasępił się, gdyż do większości ludzi nie dotarło, że Gilmore całkiem poważnie mówi o godnej śmierci. Powiedział Gary'emu o tym.

Gilmore pokiwał głową.

–Jestem gotów udzielić ci wywiadu – rzekł i zaraz dodał: – Potrzebna mi pomoc. Zostaniesz moim adwokatem?

Dennis pomyślał, że gdyby się zgodził, mnóstwo ludzi po prostu by tego nie rozumiało. Z zawodowego punktu widzenia sprawa była niesłychanie trudna. Za to cóż za wspaniałe przeżycie!

–Rany boskie – odrzekł – wiesz, jaką zyskam przez to reputację?

–Poradzisz sobie – uciął Gary.

Boaz przytaknął. Poradzi sobie, na pewno. Musiał jednak wtrącić:

–Czuję się jak Judasz, prowadząc cię na egzekucję.

–Judasz to facet z jajami. Nie ma sobie równego w historii – odparł Gary.

–Judasz wiedział, co się szykuje – ciągnął Gilmore. – Dopomógł Jezusowi wypełnić proroctwo.

Kiedy już ustalili, że będą pracować razem, Boaz zajął się rozważaniem trudniejszych stron charakteru Gary'ego. W pewnym sensię Gary szpanuje na męskość. Rzecz jasna, broni używał, by dowieść swojej siły. Żyje skrajnościami. Na pewno był wrażliwym dzieckiem.

Wtedy Gary powiedział:

–Dobra, ty wiesz więcej o życiu ode mnie.

Boaz natychmiast przypomniał sobie swoją ósmą klasę we Fresnc gdzie do szkoły chodził prawdziwy element. Oni mieli dziewczyny palili papierosy, oglądali zdjęcia porno i pili zakazaną gorzałę, a Dennis był jeszcze na to za dziecinny.

' Wychodząc, Gilmore powiedział:

–Chciałbym, żebyś tu wpadał codziennie.

Boaz obiecał, że się postara. Przegadali prawie trzy godziny.

Sam Smith chciał wiedzieć, jak poszło. Podszedł do Dennisa w korytarzu i obdarzył go uśmiechem.

–No i co, panie mecenasie? Jest pan z nami? – zagadnął. Że jak?

Dennis wyszczerzył zęby w odpowiedzi. Adwokat obrony spoufala się z naczelnikiem więzienia.

–Tak, trzymam z panem, naczelniku. A co. Pełna sztama.

Rodzina Boaza wstydziła się swego pochodzenia, chociaż z Oklahomy przenieśli się do Kalifornii parę lat po tym, jak większość „Okies" wyemigrowała z „piaszczystego kotła". We Fresno, przez cały Wielki Kryzys i drugą wojnę światową, określenie „Okie" miało pogardliwy sens. Nie liczyło się, że ojciec Dennisa był w Armii sierżantem sztabowym; przezwisko przylgnęło. Jako dziecko Dennis nie mówił inaczej niż „mój brat, on robi to i to", dlatego w szkole podstawowej kazali mu brać lekcje uzupełniające z angielskiego. Nadrobił dobrymi stopniami w szkole średniej, kiedy wziął się do pracy nad dykcją i zaprzyjaźnił z chłopakami z lepiej sytuowanych rodzin. Chciał zostać prawdziwym Kalifornijczykiem.

Jednak kiedy podrósł, umiał docenić własne dziedzictwo. Jakaś część jego duszy nigdy nie przyjęła etosu klasy średniej. Świadomie nad tym pracował. W dziewiątej klasie dał się wybrać na przewodniczącego samorządu, grał w baseball i był kapitanem szkolnej drużyny tenisowej, lecz cały czas wiedział, że jest zbyt ambitny, i przez całą szkołę średnią oraz studia przeżywał rozterki. Czy startować na stanowisko asystenta Prokuratora Okręgowego w Contra Costa, czy zająć się kontrkulturą, poszukiwaniem doznań i przyjemności?

W Prokuraturze Okręgu Contra Costa wszyscy młodsi prokuratorzy – czyli mniej więcej jedna trzecia – popalali ziele, pracując pod okiem szefów o ciasnych poglądach i mentalności rodem z FBI, ubranych w jednakowe białe koszule z krótkim rękawem i czarne wąskie krawaty.

Kiedyś, na przyjęciu w parterowej willi, paru młodych prokuratorów łącznie z Dennisem wyniosło się na strych, żeby pociągnąć parę machów, podczas gdy szefowie ciągnęli alkohol w salonie poniżej. Kwintesencja opozycji między trawą i gorzałą. Pijacy zstąpili do piekieł – każdy szef pijany jak szewc – nad nimi zaś Dennis i jego kumple bujali w niebiesiech.

Mniej więcej w tym czasie Dennis ożenił się z piękną kobietą i pomagał jej wychowywać syna. Wychowany przez ojczyma Dennis sam został ojczymem. Odpowiednia symetria pozwala zachować harmonię emocjonalną. W swoim czasie to było dobre małżeństwo. Dennis odszedł z prokuratury, został obrońcą w sprawach kryminalnych i był zadowolony. Większych przeżyć dostarcza walka w sądzie o czyjąś wolność niż obrona cudzych pieniędzy. Razem z żoną, Ariadnę, zasmakowali również w doznaniach bardziej przyziemnych. Dogadzali sobie: francuska kuchnia, luksusowe samochody, podróże po Europie.

Później rozeszli się z Ariadnę w dwie różne strony. Rozwój był wstrząsem. Dennis stracił zainteresowanie dla swojej praktyki prawniczej. Prawo rozstrzyga problemy własności, jego problem był natury psychologicznej. Zajął się więc rozwijaniem

świadomości i poznał Hindusa imieniem Harish. Na orbicie wokół guru gromadzili się artyści, poeci, fizycy, lekarze, muzycy i ludzie teatru. Część z nich utworzyła grupę pod nazwą Maya Modulation. Wszyscy złożyli się na realizację filmu, który miał być kręcony w Indiach,; jeden z członków grupy pojechał tam i umarł. Całe przedsięwzięcie upadło.

W roku 1975 Dennis zdążył wyprztykać się z forsy i powziął zamiar utrzymywania się z pisarstwa. Wylądował przy ulicy Ariadny we wschodniej części Oakland, u starego kumpla z drużyny piłki ręcznej, który był maniakiem joggingu. W chałupie śmierdziało skarpetami i obuwiem sportowym. Dennis przez pół roku sypiał na kanapie w pokoju od frontu. Kłęby psiej sierści fruwały po całym domu przy ulicy Ariadnę. Ale tak brzmiało imię jego byłej żony. " synchroniczność wywoływała dobre wibracje. Miał też kilka przyjaciółek, które litowały się nad wyrobnikiem pióra, dopomagając w walce o przetrwanie.

Ale już w 1976 stracił grunt pod nogami. Parę tygodni u matki, gdzie za darmo miał wikt i mieszkanie, oznaczało znoszenie jej pretensji, że oto młody zdolny prawnik wszystko zaprzepaścił. Kilka miesięcy z kumplem, który prowadził dom otwarty, oznaczało brak snu i koniec pisania. Następnie Dennis malował dom swemu rodzonemu ojcu. Kombinował, jak mógł. Lubił, rzecz jasna, balansowanie na krawędzi.

Zdecydował się wrócić jednak do kariery prawnika. Przy tym cenił sobie odpowiedzialność. Jego rodzony ojciec był instalatorem rur i Dennis starał się zachować więź z klasą robotniczą, z której pochodził. Podczas studiów pracował jako kierowca ciężarówki. Dlatego przyjął propozycję związku kierowców autobusowych z Salt Lakę i zgodził się zaskarżyć kompanie autobusowe, które nie zezwalają kierowcom na używanie krótkofalówek. Zdaniem Dennisa, łączność krótkofalowa może nawet ocalić życie w nagłych wypadkach. W związku z tym właśnie kursował saabem z Kalifornii do Utah i z

powrotem, aż ostatnio natknął się na trupa w drodze powrotnej do Salt Lakę, kiedy jechał oddać głos na Cartera.

I w niecały tydzień później w jego życiu miała nastąpić wielka zmiana. Szedł pod górę w kierunku stanowego Kapitelu z prześliczną kopułą, na którą tylekroć spoglądał, gdyż w samym Salt Lakę zewsząd ją widać. Dennis bez wątpienia czuł powagę chwili. Szedł właśnie położyć swoją wizytówkę na biurku Prokuratora Generalnego i oświadczyć, że Gilmore życzy sobie, by Dennis Boaz reprezentował go nazajutrz przed Sądem Najwyższym Stanu Utah i bronił tam jego Prawa do terminowej egzekucji. Nie zanosiło się na rutynowe spotkanie i Dennis poświęcił wpierw trochę czasu na obejrzenie budynku. Starał się wyczuć powagę wiary starych mormonów. W powietrzu zastygła taka sama bogobojność jak w innych salach rozpraw

i budynkach rządowych, jednak tutaj nie czuło się stęchłego dymu

z cYgar. Może tutejsza bogobojność jest mniej przekupna. Z pewnością Pachniało czcigodnie. Zapowiedzią, że wszyscy stawimy się Dnia Pierwszego, kiedy Pan się objawi.

Dennis zdążył już obejrzeć plac przed Świątynią, gdzie podziwiał architekturę, wsłuchując się w śpiewy mormońskiego chóru, zaś w ośrodku dla zwiedzających słuchał opowieści przewodnika o tym, jak Bóg zstąpił do Josepha Smitha ze złotymi płytkami anioła Moroni *. Dennis mimo woli zareagował bardzo silnie: chodziło o imiona Mormon i Moroni. Ci dwaj aniołowie, podlegający bezpośrednio Panu Bogu, są dla mormonów odpowiednikami Piotra i Pawła. Ich imiona z pewnością mu coś powiedzą.

Dotarło to do niego, dopiero kiedy znalazł się na Kapitelu, stanął u szczytu schodów i patrzył na rozłożone w dole Salt Lakę City. Z tego miejsca w pogodny dzień można objąć wzrokiem połowę stanu Utah. Owego dnia jednak powietrze nie było przejrzyste. Właściwie w Salt Lakę ono już nigdy nie bywa

przejrzyste jak kiedyś. Dawniej pustynia Utah była tak samo piękna jak piaski Palestyny w Starym Testamencie, lecz teraz wygląda nie lepiej od przedmieść Los Angeles. Wiejskie chałupy ciągnęły się jak okiem sięgnąć, na zachodzie zaś w zasnute niebo dymiły piece kombinatu miedziowego Anaconda Copper. Dennis znienacka na to wpadł. Ci dwaj aniołowie, Mormon i Moroni oznaczają Mnożenie Mamony. Nic dziwnego, że mormoni stają się najbogatszym Kościołem w Ameryce. Mają przecież nakaz Mnożenia Mamony. Dennis się uśmiał. Pobudował sobie świadomość na spotkanie z Prokuratorem Generalnym.

Zaintrygowany zbieżnością nazwisk Dennis co prawda wiedział, że wybrany na stanowisko Prokuratora Generalnego Robert Hansen nie jest żadnym krewnym Phila Hansena, byłego Prokuratora Generalnego i najsławniejszego adwokata od spraw kryminalnych w całym

* Religia mormonów narodziła się w latach dwudziestych XIX wieku w stanie Nowy Jork, gdzie młody parobek, Joseph Smith (1805-1844), doświadczył serii objawień Smith twierdził, iż w dniu 21 września 1823 r. w anielskiej postaci przybył do niego Moroni, syn Mormona, wysłannik boży. Objawiał mu się przez kolejne lata, aż wreszcie przekazał mu złote tablice, na których wyryta była treść znana jako Księga Mormona Są to ponoć nauki samego Jezusa Chrystusa udzielone dalekim przodkom Indian amerykańskich, spisane przez wielu proroków, zebrane zaś w całość przez Mormona Z bożą pomocą Joseph Smith przetłumaczył treść na angielski i następnie, jako prorok natchniony przez Pana, założył wspólnotę chrześcijańską, opartą o pradawne wzorce np. dopuszczające wielożeństwo. 24 czerwca 1844 r. Smitha aresztowano pod zarzutem spisku, trzy dni później zaś tłum go zlinczował. Wówczas to przywódcą sekty został Brigham Young. (Przyp. tłum.)

utah. Nie, nie – ten Hansen, Robert Hansen, dopiero w zeszłym tygodniu dostał nominację na Prokuratora Generalnego.

Nie wydał się Dennisowi zły. Dość przyjazny, choć szorstki. Przystojny, dobrze zbudowany, typowy prawicowiec; ciemne włosy, okulary, materiał na ministra z ramienia republikanów. Rozmowę zaczęli od wymiany opinii o wydziałach prawa na różnych uczelniach i Boaz zorientował się, że rzucając nazwę Boalt, zapewnił sobie poczesne miejsce w notowaniach Boba Hansena. Hansen odrzekł, iż sam uczęszczał do Hastings. Tak. Otóż to. Wszystko przebiegało bardzo formalnie i bez niespodzianek, wewnątrz dużego gabinetu z orzechową boazerią, błękitnym dywanem i granatowymi storami z aksamitu.

Hansen zastrzegł się, że środki masowego przekazu spekulują co prawda, iż jego biuro wychodzi naprzeciw pragnieniu śmierci Gil-more'a, a nawet ubija na tym własny interes. W istocie jednak prokuratura stoi na stanowisku, że Gilmore ma ponieść śmierć nie z racji życzeń, lecz na podstawie usankcjonowanego prawem wyroku za popełnione czyny.

Hansen wypowiedział się i nie tracąc czasu załatwił, co trzeba. Poinformował Boaza, że musi mu znaleźć sponsora wśród adwokatów ze stanu Utah, by Dennis mógł wystąpić przed Sądem Najwyższym. Tak się złożyło, że zastępca Prokuratora Generalnego, Mikę Deamer, miał akurat u siebie w biurze kolegę ze studiów, Toma Jonesa. Zadzwonili do Toma Jonesa, ten natychmiast się zgodził. Wszyscy zgodnie współpracowali.

Tego samego wieczoru Dennis przygotowywał swoje wystąpienie

i starał się brać pod uwagę słuchaczy, czyli Stanowy Sąd Najwyższy. Jak głosiła fama, sędziowie z Utah są bardziej prawicowi niż sam senator Barry Goldwater. Wszyscy pewnie wyznają mormonizm, czyli niewiele dzieli ich od teokracji. Dlatego Dennis doszedł do wniosku, iż najskuteczniej zadziała, jeśli subtelnie zagra na emocjach. Chociaż od wiosny roku 1974 nie miał do czynienia z prawem karnym, nie przeżywał tremy. Przeciwnie, czuł się bardzo pewnie. W końcu do tej rozprawy

nie trzeba przeglądać żadnych akt. Hansen z pomocnikami Przerzuci pięć razy tyle papierów, ile Dennis zdoła przejrzeć o tak Późnej porze. Dlatego postanowił, że postara się jedynie wywołać przychylność sędziów wobec życzenia Gilmore'a, który chce umrzeć z godnością.

Prok. HANSEN: – Reprezentowany przeze mnie stan Utah nie zamierza domagać się tu spełnienia praw przysługujących panu Gilmore'owi, lecz realizacji praw wszystkich członków społeczeństwa. Wstrzymanie egzekucji stoi w sprzeczności z prawem przysługującym ofiarom i ich rodzinom; stoi w sprzeczności z interesem publicznym, którego strzec mają prawa ustanowione przez stan. Sędzia HENRIOD: – Dziękuję. Czy któryś z panów zamierza zwrócić się do sądu? Proszę bardzo.

Mec. BOAZ: – Wysoki Sądzie, Sędziowie Najwyższej Instancji Utah… Zapoznałem się z wnioskami Prokuratora Generalnego i zgadzam się w pełni… Nie mamy tu do czynienia z przypadkiem, w którym mój klient rzekomo zawiera ze stanem Utah jakiś pakt w sprawie samobójstwa czy też wyraża perwersyjne pragnienie śmierci. Ten człowiek jest gotów przyjąć odpowiedzialność za swoje czyny i prosi o szybkie i sprawiedliwe wykonanie wyroku zamiast poddawać się powolnej śmierci w następstwie wymuszonej, automatycznej apelacji. Procedura apelacyjna może ciągnąć się dniami, miesiącami, albo nawet przez lata. Nie nam to osądzać. Nikt z nas, tutaj obecnych, nie spędził całego dorosłego życia w klatce, gdzie trzyma się zwierzęta. Mój klient podjął inteligentną decyzję, mając do wyboru: zostać przy życiu albo poddać się egzekucji. Stoi tutaj, by wyrazić swą wolę, jako odpowiedzialny człowiek w pełni władz umysłowych, który akceptuje wyrok wydany przez społeczeństwo, który pogodził się z losem i pragnie umrzeć z godnością oraz szacunkiem dla siebie samego… O nic więcej nie prosi Wysokiego Sądu, jedynie o oddalenie apelacji i uchylenie nakazu wstrzymania egzekucji, pragnąc, by zezwolono mu umrzeć w przyszły poniedziałek. Mam kilka pytań do pana Gil-more'a… Proszę

pana, czy zdaje sobie pan sprawę, że ma pan absolutne prawo wnieść odwołanie od wyroku? Ob. GILMORE: – Tak, panie mecenasie. Sędzia HENRIOD: – Panie Gilmore, proszę mówić najgłośniej jak pan może, żeby wszyscy mogli pana usłyszeć, bo ja sam ledwie pana słyszę.

Mec. BOAZ: – Czy uprzednio zawiadamiał pan swoich adwokatów z urzędu, iż nie życzy pan sobie składania apelacji? Ob. GILMORE: – Mówiłem im w czasie procesu, a może nawet wcześniej, że jeśli zostanę uznany winnym i skazany na śmierć,

chciałbym przyjąć wyrok bezzwłocznie. Wydaje mi się, że chyba nie brali tego dosłownie, bo kiedy rzecz stała się faktem, a ja nie zmieniłem zdania, usiłowali się ze mną sprzeczać i oświadczyli, że złożą apelację bez względu na moje zastrzeżenia. Nie byłem w stanie odprawić ich w obecności sędziego, żeby zostało to umieszczone w protokole, ponieważ nie mam dostępu do sądu, skoro siedzę w więzieniu. Ale zwolniłem ich i oni to pojmują. Mec. BOAZ: – Gary Gilmore, czy w tej chwili jest pan istotnie gotów poddać się egzekucji?

Ob. GILMORE: – Nie w tej chwili, ale jestem gotów przyjąć wyrok w przyszły poniedziałek o ósmej rano. Tak jak zostało ustalone. Wtedy poddam się egzekucji.

Sędzia HENRIOD: – Myślę, że gwoli sprawiedliwości powinniśmy poprosić pana Snydera o przedstawienie jego stanowiska. Tylko proszę krótko.

Mec. SNYDER: – Pragnę podkreślić, iż z panem Gilmore'em przeprowadziłem znacznie więcej długich rozmów niż mecenas Boaz. Moim zdaniem, wybór, jaki postawił sobie pan Gilmore, spowodował u niego ciężki stres… Moim zdaniem, pan Gilmore dąży do czegoś, co jest równoznaczne z samobójstwem. Wcale nie musi umierać… Uważam, że wielkim błędem będzie, jeśli Wysoki Sąd przywróci termin egzekucji i dopuści, by pan Gilmore został stracony w dniu 15 listopada, bez uprzedniego

zbadania i rozstrzygnięcia niebagatelnych kwestii proceduralnych, wynikłych w następstwie wydanego wyroku.

Sędzia HENRIOD: – Dziękuję.

Sędzia MAUGHAN: – Rozumiem, że pan mecenas pragnie potwierdzenia, czy postępowanie w tej sprawie było właściwe. Mec. SNYDER: – Dokładnie tak. Zostaliśmy powołani przez sąd w celu dopilnowania, by pan Gilmore miał sprawiedliwy proces, by nie została popełniona żadna omyłka, dlatego przebieg postępowania powinien teraz zostać rozpatrzony przez Sąd Najwyższy. Sędzia ELLETT: – Ale pan został zwolniony. Odsunięty od sprawy. Odprawiony.

Mec. SNYDER: – Mam tę świadomość.

Sędzia ELLETT: – Dlaczego nie podporządkuje się pan tej decyzji skazanego, podobnie jak on sam bez skarg przyjął wyrok sądu? Sędzia CROCKETT: – Wydaje mi się, że adwokaci postąpili zgodnie z nakazem sumienia i nie powinniśmy ich za to potępiać. Teraz jednak sytuacja nieco się zmieniła i wszyscy to rozumiemy.

Sędzia HENRIOD: – Panie Gilmore, czy ma pan coś do powiedzenia bez obowiązku odpowiedzi na pytania?

Ob. GILMORE: – Wysoki Sądzie, nie zamierzam zająć zbyt wiele czasu swoją wypowiedzią. Uważam, że zagwarantowano mi sprawiedliwy proces, myślę, że zapadł odpowiedni wyrok, i jestem gotów go przyjąć jak mężczyzna. Nie życzę sobie apelacji. Nie wiem dokładnie, jakimi motywami kierują się panowie Esplin i Snyder… Wiem natomiast, że muszą brać pod uwagę własne kariery – być może napotykają krytykę, która im nie odpowiada. Nie wiem. Ale chciałbym być stracony w terminie i jedynym moim życzeniem jest przyjąć wyrok z godnością, jak człowiek, i mam nadzieję, że Wysoki Sąd mi na to zezwoli. To wszystko, co mam do powiedzenia.

Gary i Dennis zaczekali razem na ogłoszenie werdyktu. Sąd Najwyższy Stanu Utah uchylił odroczenie stosunkiem głosów cztery do jednego. Egzekucja odbędzie się w poniedziałek, 15 listopada.

Gary był wyraźnie podniesiony na duchu.

To przywraca mu spokój, pomyślał Dennis. On wie, że wkrótce zostawi to wszystko. Później mówił o tym podczas konferencji prasowej.

Przedtem jednak Gary powiedział mu:

–Możesz zatrzymać całą sumę, jaką dostaniesz za tekst.

–No coś ty – odrzekł Dennis ze śmiechem. – Uważam, sprawiedliwiej będzie po połowie.

Wówczas właśnie pierwszy raz omawiali warunki. Podzielą się po połowie. Nie zawracali sobie głowy spisywaniem tego na papierze. Po prostu uścisnęli sobie dłonie.

«DESERET NEWS»

Salt Lakę, 10 listopada. Gilmore w kajdanach i łańcuchach wprowadzony został do siedziby sądu w stanowym Kapitelu. Wzmocniono ochronę budynku. Kiedy wyszedł, zaraz otoczył go zwarty tłum gapiów oraz kamerzyści i reporterzy z całego kraju.

Tego wieczoru, przy kolacji z żoną i dzieciakami, Bob Hansen musiał zaspokajać ciekawość rodziny wypytującej o Gilmore'a. Podczas prywatnej praktyki Hansen nigdy nie omawiał prowadzonych spraw, lecz obecna praca w Prokuraturze Generalnej pociągała za sobą udział w głośnych rozprawach. Stale na oczach gawiedzi. Dlatego dzieciaki Hansena były nie tylko ciekawe, ale i dobrze poinformowane. Zbierały wszystkie informacje prasowe o jego sprawach.

Przy kolacji opowiedział rodzinie, że Boaz miał dobre wystąpienie, nawet bardzo dobre, Gilmore zaś był niesamowity, gdyż okazał się intelektualnym partnerem dla sędziów. Właściwie to Hansen sobie nie przypomina takiej rozprawy, gdzie oskarżony nie dość że wszystko rozumie, to jeszcze rozmawia z sędziami i prawnikami jak równy z równymi. Gilmore nie wszedł jednak w kompetencje prawników. To też dobrze o nim świadczy. Ani razu nie okazał lekceważenia sędziom bądź adwokatom, bez względu na to, czy wypowiadali się za nim, czy przeciwko niemu. To mu przydaje godności. Hansen zauważył, że Gilmore z całą pewnością nie działa pochopnie, jak osoba zdezorientowana albo załamana; wręcz przeciwnie, okazuje pełną równowagę psychiczną. Hansen go podziwiał. Rodzina jadła w zamyśleniu.

10 listopada

Jak się masz, Gilmore! Zastanawiałem się, napisać czy nie, ale w końcu postanowiłem skrobnąć parę słów i załączyć parę dolarów, które na pewno ci się przydadzą.

Dużo o tobie mówią i piszą. Wiesz co? Nie znam drugiego faceta z taką klasą, stylem, z jajami.

Chcę ci coś powiedzieć, ale wiesz że ja nie umiem tak dobierać słów Jak ty, dlatego powiem wprost.

Nie wiem, jak twoja rodzina, krewni i Nicole załatwili sprawę Pogrzebu, w każdym razie jeżeli ja mógłbym coś pomóc finansowo, to daj mi znać, komu mam wysłać.

Gibas

«DESERET NEWS» Sprawa Gilmore'a na pierwszych stronach gazet

Salt Lakę, 11 listopada. Wiadomość o decyzji wydanej przez Sąd Najwyższy Stanu Utah, zezwalającej, by Gary Mark Gilmore poniósł śmierć przed więziennym plutonem egzekucyjnym, wydrukowały na pierwszych stronach „New York Times", „New York Daily News" i „Washington Post".

«NEW YORK TIMES»

11 listopada 1976 r. Śledczy Glade M. Perry z Wydziału Policji w Provo zgłosił się jako jeden z ochotników do plutonu egzekucyjnego. „Ktoś musi to zrobić – stwierdził – a my i tak codziennie nadstawiamy karku."

Siwowłosy starszy człowiek, który nie zgodził się podać nazwiska, oświadczył: „Rodzicom tych chłopców, co ich Gilmore zabił, powinno się dać teraz szansę strzelania do niego."

Natomiast szeryf Ed Ryan z Ogden wyjawił, iż w przeszłości otrzymywał dziesiątki zgłoszeń od ochotników chcących wejść w skład plutonu egzekucyjnego, przy czym dodał: „Jak przychodzi co do czego, trzęsą portkami. Jeden z podległych mi ludzi brał udział w egzekucji dwadzieścia lat temu i jeszcze dzisiaj przysięga, że gorzko żałuje – to nie daje mu spać po nocach."

«LOS ANGELES HERALD EXAMINER»

12 listopada, Salt Lakę. Gilmore wyjawił, że na tradycyjny ostatni posiłek skazańca życzy sobie sześć puszek zimnego piwa.

„Gary popisuje się, odgrywa prawdziwego mężczyznę – oświadczył Boaz – lecz nie jest wcale wyprany z wszelkich uczuć. Wierzy w karmę i w to, że musi odcierpieć za swoje czyny. Wierzy również, że dusza ewoluuje, przechodzi reinkarnację, sposób zaś, w jaki on umrze, będzie dla innych nauką."

ROZDZIAŁ 3

Powiernica

Mniej więcej wówczas, kiedy reporterów poinformowano, że nie mogą zrobić z Garym wywiadu, ponieważ nie zezwalają na to cholerne przepisy więzienne, Tamera Smith z „Deseret News" dostrzegła narastające zainteresowanie osobą Nicole Barrett. Jak głosiła fama, Nicole widuje się z Garym codziennie – wszyscy usiłowali więc do niej dotrzeć. Nikomu się jak dotąd nie udało, oprócz jednego faceta z kanału piątego, który zrobił parominutową rozmowę z narzeczoną Gilmore'a w jakimś programie wieczornym. Zdaniem Tamery, Nicole nie wypadła wtedy najlepiej. Właściwie to wyglądała na zgnębioną i słabą, niczym zmokły nastroszony ptaszek.

W każdym razie inny reporter z „Deseret News", nazwiskiem Dale Van Atta, akurat narzekał, jak trudno jest dotrzeć do Nicole, i wtedy Tamera powiedziała:

–Myśmy się kiedyś poznały. Chcesz, żebym spróbowała? Van Atta zmierzył ją spojrzeniem – początkującą reporterkę tuż po szkole – i odrzekł:

–Nie wiem, czy to coś da.

Zadzwoniła jednak do więzienia i okazało się, że Nicole przebywa właśnie w sali widzeń Maksymalnego Nadzoru. Tamera nie spodziewała się rozmowy tak prędko, dlatego nie bardzo wiedziała, co ma mówić, tyle że Nicole natychmiast skojarzyła, kto dzwoni, wobec tego Tamera powiedziała:

–Tak sobie myślę, może miałabyś ochotę się spotkać i chwilę porozmawiać?

Nawet przez telefon czuło się, jak ta myśl ją drąży. Nicole zawsze bardzo poważnie brała to, co jej mówiono. Najbardziej zdawkową uwagę przyjmowała głęboko do siebie. Jakby wierzyła, że może prawidłowo odpowiedzieć jedynie wtedy, gdy zrozumie całe zadane jej pytanie. Po chwili namysłu Nicole odrzekła, że właściwie nie ma ochoty na rozmowę, ale w jej sposobie mówienia było coś zachęcającego, w związku z czym

Tamera spytała, czy mogą w takim razie porozmawiać bez zapisu. Znów nastąpiła przerwa i Nicole odpowiedziała, że bez zapisu to może być, jak gdyby jakaś ręka zabierała zapis ze stołu. Tamera zaproponowała, że podjedzie po nią do więzienia.

Na parkingu przed budynkiem Tamera trzęsła się i przytupywała, depcząc pierwszy listopadowy śnieg. Nicole wyszła z Maksymalnego Nadzoru, na jej widok miło się uśmiechnęła i podeszła. Jednak w samochodzie znów się zasmuciła. Wkrótce napomknęła, że umarł jej dziadek i za dwa dni ma być pogrzeb, na dodatek ten jej były narzeczony, Kip, też się zabił parę dni temu. Gary jest poruszony, bo rano właśnie wygrał sprawę przed Sądem Najwyższym Utah i prawdopodobnie w poniedziałek stanie przed plutonem egzekucyjnym. Tamera była zaskoczona, że Nicole nie okazuje przestrachu. Po prostu siedziała cicho i spokojnie, paląc w milczeniu papierosa: jedna z tych osób, po których widać, jaką przyjemność sprawia im palenie.

Tamera zatrzymała się w Provo, żeby postawić Nicole jakiś obiad, i przegadały ze dwie godziny, siedząc w barze J. B. przy ulicy Centralnej nad kanapkami i koktajlem mlecznym. Zazwyczaj w barze tłoczyli się smarkacze z pobliskiej szkoły, ale akurat było wczesne popołudnie i nawet dość pusto. Tamera wyczuwała, że Nicole zbiera się, żeby z nią porozmawiać.

Wtedy, w sierpniu, poznały się na drugiej rozprawie wstępnej Gary'ego. Tamera robiła wówczas dorywczo reportaże z Provo dla „Deseret News"; dostała tę robotę na podstawie rzeczy robionych w BYU dla gazety „Daily Universe". Dzięki uprawianiu dziennikarstwa studenckiego nabrała wprawy w łapaniu ciekawostek kryminalnych, jednak wtedy, w sądzie, zwróciła, rzecz jasna, uwagę na Nicole.

Kiedy wprowadzali Gilmore'a na salę, powłóczącego nogami w łańcuchach, w pierwszym rzędzie siedziała właśnie ta dziewczyna, on koło niej przystanął, pocałowali się i stąd Tamera wiedziała, że to pewnie jego dziewczyna. Usłyszała

nawet, jak on mówi „kocham cię". Tamerę z miejsca ogarnęło współczucie dla dziewczyny. Wtedy Gilmore wcale nie wyglądał szczególnie groźnie – zwykły kryminalista o nieprzyjemnym wyglądzie, niemal odrażający, z bliznami na twarzy. Tamera czuła upokorzenie z powodu jego łańcuchów, kiedy robił krótkie urywane kroki, niczym jakiś okulały zwierz, za to dziewczyna przykuła jej uwagę swoją absolutnie fascynującą urodą. Ona ma w sobie coś mistycznego, niebiański blask, pomyślała Tamera, niby dawna gwiazda filmowa. Naraz przed Tamerą roztoczył się cały dramat. Oprócz wdów występuje w nim jeszcze jedna kobieta, powiedziała do siebie.

Po rozprawie Tamera trzymała się z daleka i patrzyła, jak Gary całuje Nicole na do widzenia. Później, na ulicy, widziała, jak Nicole macha mu ręką, dopóki nie zniknął jej z oczu. Widać było, że się dziewczyna dla niego wyszykowała, bo miała na sobie długą suknię, cokolwiek staroświecką i przesadnie skromną. Obserwując Nicole, Tamera poczuła się nagle tak duża, niezgrabna i wyblakła, że aż wyrwało jej się westchnienie, jaka ta Nicole jest piękna. Odczekała nawet, aż Nicole podejdzie do swego samochodu. Wtedy nie wytrzymała dłużej. Koniecznie musiała z nią porozmawiać, dlatego przebiegła na drugą stronę ulicy.

Nie miała wówczas najmniejszego zamiaru o tym pisać. Sprawa Gilmore'a była rutynowa. Tamera chciała tylko dać Nicole do zrozumienia, że jest ktoś życzliwy. W takim mieście jak Provo wszyscy trzymali stronę ofiar.

Przy samochodzie powiedziała:

–Nazywam się Tamera Smith, pracuję dla „Deseret News" i chciałabym porozmawiać. Nie do artykułu, tylko z przyjaźni. Może byś miała ochotę na kawę? Pewnie głowa ci pęka od tego wszystkiego.

Nicole zawahała się, potem odpowiedziała:

–Dobrze, z chęcią – wsiadły więc do jej samochodu, którym jechało się straszliwie, nie wiadomo, który bieg akurat wskoczy. Nicole wspomniała coś o wypadku sprzed dwóch dni i podjechały zaraz do baru Sambo, żeby pogadać.

Każda opowiedziała trochę o sobie, a właściwie to Tamera przyłapała się na tym, że zdążyła mnóstwo wypaplać. Zdumiało ją, jak szybko powiedziała Nicole o ojcu, który dawno temu umarł i zostawił w niej na zawsze ten wewnętrzny głód, takie dojmująco puste miejsce, przez co Tamera ciągle musi gdzieś gnać. Później opowiadała o tym, jak korespondowała z jednym facetem w więzieniu, a jej bracia i siostry – dobrzy mormoni, jakich ze świecą szukać – martwili się tym okropnie. Ale ten facet był wspaniały i nawet pojechała do Kentucky odwiedzić go w więzieniu. Po tym wyznaniu Nicole zupełnie się otworzyła.

Cały czas Tamera się zachwycała. Nie tylko uderzającą pięknością, chociaż Nicole była piękna. Jej obecność działała kojąco. Jakby siedziało się w ogródku całe lipcowe upalne popołudnie; i to błogie uczucie spokoju. Z tego, co opowiadała Nicole, Tamera wywnioskowała, że ona musi być bardzo porywcza, ale tego dnia ma pogodny nastrój.

Kiedy się żegnały, Tamera dała jej swój numer telefonu i powiedziała:

–Gdybyś potrzebowała jakiejś pomocy, chętnie się z tobą spotkam.

I tyle. Gazeta nie przydzieliła jej październikowego procesu i Tamera więcej nie miała z tą sprawą do czynienia. Szła dalej własną drogą-Prawie zapomniała.

A później, w barze J. B. – o rany… Może i Nicole nie miała nikogo bliskiego, komu mogłaby zaufać, w każdym razie całkiem się odkryła. Nad kubkami z mlecznym koktajlem poinformowała Tamerę o planowanym samobójstwie. Jednym tchem mówiła o tym i o tamtych śmierciach, które jej ciążyły:

Kip, dziadek, wkrótce Gary. Tamera zauważyła, że dziewczyna się boi.

Tamera miała ochotę płakać. Przecież Nicole wyczekuje na swoją śmierć tak samo jak Gilmore. Kiedy jest przy nim, wszystko gra, powiedziała, wtedy się nie boi, bo Gary ma wyobrażenie o życiu po śmierci, ale z dala od niego znów nachodzi ją strach. Taka szarpanina musi być czymś potwornym, pomyślała Tamera. Za każdym razem Gary dostaje odroczenie i Nicole to samo.

W głowie się nie mieści. Znajomi Tamery ciągle się z niej nabijali, że reaguje tak emocjonalnie, i Tamera zawsze uważała się za jedną z najbardziej rozdwojonych osobowości na świecie. Z jednej strony aktywna i głęboko wierząca mormonka, z drugiej – jakieś szalone porywy. Przecież prócz niej samej nikt by tego nie złożył do kupy. Dorastanie w duchu „Doktryny Przymierza" i wiara w to wszystko aż po dziś dzień, a jednocześnie zupełna szajba na punkcie Rolling Stonesów. Koleżanki z akademika w BYU mawiały o niej, że wewnętrzna lawa ją kiedyś rozsadzi. No a teraz wpadł jej taki temat. To był najlepszy materiał, na jaki w życiu trafiła, lecz żarł ją niepokój o Nicole.

Tamera nie planowała wścibstwa. Ale w tym układzie musiała zadać Parę pytań.

–A co z dziećmi? – spytała.

Nicole wyraźnie zbierało się na płacz. Wyznała, że wcale nie obchodzi się z nimi tak, jakby chciała. Tamera zapytała, czy dużo z Garym rozmawiali na temat samobójstwa, i Nicole odrzekła:

–My o niczym innym nie rozmawiamy. Tamera paliła się do pisania.

Na ulicy, przed niewielkim blokiem, gdzie mieszkała Nicole, zauważyły furgonetkę stacji telewizyjnej z Salt Lakę. Oczywiście

nie

zdążyły nawet wejść na schody prowadzące na pierwsze piętro, a już z czekającego samochodu wyskoczył reporter.

–Nicole Barrett? – zapytał.

–Jestem jej siostrą – odparła Nicole.

–Nie, ty jesteś Nicole – upierał się dziennikarz. Odwróciła się spokojnie.

–Jestem jej siostrą. Nicole pojechała do więzienia.

–Rozpoznałem cię – powiedział reporter.

–Nie. Ja jestem siostrą.

Nicole z Tamerą oddaliły się i przeszły wzdłuż balkonu do jej mieszkania. Ledwo drzwi się zamknęły, obie wybuchnęły śmiechem. Tamera nabrała śmiałości, żeby później zapytać jednak, czy będzie mogła rzecz opisać.

Odbyło się to w ten sposób, że Nicole wyciągnęła parę rysunków Gary'ego, które, zdaniem Tamery, świadczyły o niebywałym talencie. Powiedziała, że ludzie powinni się więcej dowiedzieć o życiu Gary'ego. To był trafny argument i Tamera rzeczywiście tak uważała. Oglądając obrazki czuła, jakie on ma bogate życie wewnętrzne. Te rysunki były bardzo smutne i powściągliwe zarazem.

Usiadła i opowiedziała Nicole o tym więźniu, co był jej chłopakiem. Tamera przeprowadzała z nim wywiad w Więzieniu Miejskim Provo jeszcze jako studentka. Weszła do środka i tam siedział w swojej celi ten facet: miły, ujmujący, przystojny. Nie zrobił nic poza tym, że ukradł jakieś karty kredytowe i aparaty fotograficzne, czy coś tam. Z mety się zakochała, a kiedy przenieśli go do Kentucky, wpadła po uszy. On pisał wspaniałe

listy miłosne. Korespondowała z nim półtora roku. Czasem w ciągu jednego dnia przychodziło do niej siedem listów. To było coś takiego, co niemalże zdołało wypełnić pustkę pozostawioną przez śmierć ojca. Te listy mówiły, że och, jaka jesteś piękna, nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak ty, twoja cierpliwość i wyrozumiałość mnie pokonały. Och, och, och – tak pisał.

Opowiedziała Nicole, że nawet raz wybrała się autobusem do Kentucky, kiedy on jej przysłał pieniądze, i codziennie przez tydzień spędzała z nim po sześć godzin na widzeniu. Jej rodzina uważała ją za kompletną szajbuskę, ale to były niezapomniane chwile.

Więzienie miało Nadzór Minimalny, siadali więc na trawniku, czytali sobie nawzajem książki i nigdy w życiu nikt nie był jej tak bliski. Kiedy wróciła do akademika, koleżanki z pokoju aż ponosiło. Z okazji urodzin umówiły ją z fajnym facetem, ale jak się z nim pożegnała i wróciła z randki, siedem jej koleżanek wyskoczyło z sypialni. Wszystkie miały na sobie podkoszulki z wypisanym numerem więziennym jej chłopaka. Sterroryzowały ją pistoletami na wodę i porwały do restauracji. Zdaje się, że w BYU krążyły o niej opowieści. Jej koleżanki chełpiły się nawet, że umieją sobie z tym radzić. Nigdy nie wiadomo, co się za chwilę wydarzy w życiu Tammy, nauczyły się przechwalać.

Kiedy jej chłopak wyszedł z więzienia, wrócił do Provo i dostał pracę jako stolarz. Jakieś trzy tygodnie później wziął samochód Tamery, załadował wszystkim, co tylko zdołał wynieść z jej domu i z domu tego faceta, który z nim mieszkał, po czym odjechał w siną dal. Tamera nie zobaczyła go więcej.

Po takim zakończeniu jęła się zastanawiać, jak blisko właściwie była z tym chłopakiem. Całe jego życie musiało polegać na naciąganiu. On tyle nakłamał, że aż się dziwiła, jak mógł wydawać się jej tak bliski. Nie dzielił z nią tej samej prawdy, mówiła do Nicole. A jednak była w tym jakaś prawda, powiedziała.

W ciszy, która zapadła, Tamera nie mogła się już dłużej powstrzymać. Rozsadzały ją emocje.

–Proszę cię – powiedziała – pozwól mi tylko… – tu przełknęła ślinę. – Słuchaj, zdobędę maszynę, napiszę o tym, przywiozę i dam ci przeczytać. Jak ci się nie spodoba, po prostu zapomnimy o całej sprawie, wiesz. Bo w końcu obiecywałam ci rozmowę bez zapisu. Jeżeli w dalszym ciągu tak sobie życzysz, niech będzie. Ale ja muszę spróbować.

Pojechała do koleżanki ze studiów, powiedziała jej, o co chodzi, usiadła i zabrała się do roboty. Dziwnie się czuła. Miała takie opory, że Parę godzin zajęło jej napisanie paru stron, a kiedy je przywiozła z Powrotem, Nicole przeczytała, przyjęła głęboko do siebie i powiedziała:

–Nie, to niezbyt mi się widzi. Tamera odrzekła: " – Dobra, nie ma sprawy.

Czuła się zawiedziona, ale co tam: trzeba tylko trochę poczekać. Nie miała zamiaru łamać umowy.

Rozczarowanie miała chyba wypisane na twarzy, bo Nicole zrobiło się przykro. Tamera powiedziała:

–Nie przejmuj się. Taka była umowa. Nicole wstała i podeszła do szafki.

–Pokażę ci coś, czego nigdy nie pokazywałam – rzekła. – Chciałabyś poczytać listy od Gary'ego? (

To była mocna rzecz po całym dniu pełnym wrażeń. Tamera odparła: |

–Jasne. I Nicole wyciągnęła pełniutką szufladę i wywaliła zawartość na stół. Kopert było tyle, że Tamera zaczęła czytać jak popadnie. I nie do wiary. Pierwszy z brzegu list nadawał się wręcz do zacytowania.

–Nicole – poprosiła – czy pozwolisz mi przepisać stąd parę zdań?

Zawarły układ: na razie Tamera niczego nie napisze, ale kiedy już Nicole nie będzie, Tamera może pisać, co tylko zechce. Wobec tego obie zasiadły do czytania listów przy kuchennym stole i Tamera w szalonym pośpiechu przepisywała fragmenty. Wreszcie wyszła stamtąd, koło ósmej wieczorem. A spotkały się przecież w południe

Trasę z Provo do Salt Lakę Tamera zazwyczaj robiła błyskawicznie – gaz do dechy i radio na cały regulator – dlatego często zbierała mandaty. Tego wieczora jednak nie przekroczyła osiemdziesiątki i próbowała się skupić. Nie wiedziała, co robić, długo nie mogła zasnąć, wreszcie nad ranem postanowiła pogadać z naczelnym. To była zbyt duża rzecz. W zaciszu gabinetu, w ścisłej tajemnicy wyjawiła, że Nicole ma zamiar popełnić samobójstwo po śmierci Gilmore'a, naczelny zaś odrzekł, że już o tym słyszał od innych reporterów. Krąży-mnóstwo plotek. W każdym razie otrzymana informacja przekonuje go ostatecznie, że należy zaalarmować władze. Tamera poczuła się lepiej.

Doszła do wniosku, że w tej chwili najbardziej (potrzeba Nicole przyjaźni. Co Tamera miała jej zapewnić. Odwieść ją od wiadomych zamiarów i uwolnić od życia z Gilmore'em, które cały czas ciążyło nad jej myślami.

Dziś całowałaś moje oczy, pobłogosławiłaś je na zawsze. Teraz widzę już tylko piękno. O cudna Nicole Kathryne Gilmore. Jesteś elfinką małą, że zjadłbym cię całą. Marny ze mnie wierszokleta --Ale gdybym miał cię nagą na łóżku albo na trawie pod gwiaździstym niebem, wypisałbym pieśń miłości na całym twoim ślicznie piegowatym ciele swym języczkiem, dłońmi, kutasem, wargami i cicho szeptałbym twoją piękność, dałbym ci odczuć i wznieść się, żeglować i śpiewać, żebyśmy zatańczyli wokół słońca i księżyca i stali się jednością i jednocześnie się spuszczali, i jeszcze, i jeszcze, wydobyłbym z ciebie jęki i ciche

westchnienia, twoje dzikie oczy odpływają w sen bezwolnie lubieżnie ciepło i wilgotno ciasno spleceni usta złączone w słodkich wilgotnych pocałunkach długo długo – patrzeć na ciebie nagą kocham patrzeć na ciebie nagą albo tylko w skarpetkach kiedy podciągasz majteczki w słodką szparkę twojej jędrnej dupki elfa uwielbiałem patrzeć jak chodzisz po domu bez ubrania… seksowna dziewczynko-elfie, kocham cię – Twój Gary.

Gibbs również dostał tego dnia parę słów:

Dostałem jak dotychczas list od Napoleona, od Świętego Mikołaja, kilka od Szatana i nie uwierzysz, ilu oznaczeń pocztowych i adresów używa sam Jezus Chrystus… ludzie myślą, że zwariowałem. Cha, cha, cha.

Nigdy byś nie zgadł, kto do mnie napisał. Brenda! Najpierw im pomaga mnie złapać, potem pomaga mnie skazać, a teraz chce pisać listy i przyjeżdżać na widzenia. Ona ma większy tupet niż nabuzowany słoń.

Nazajutrz, we czwartek, Tamera przyszła do pracy i zaraz odebrała telefon od korespondenta tygodnika „Time". Słyszał o jej spotkaniu z Nicole. Chciał wiedzieć, czy może liczyć na jakiś dopływ informacji Szefowie pisma też musieli opierać się naciskom. Zwodzili nawet swoich dawnych kolegów po piórze. Wówczas po raz pierwsy Tamera spostrzegła, jak bardzo dziennikarstwo przypomina handel wymienny. „Dzisiaj dostarczę ci niezły kawałek, ale liczę na ciebie w przyszłości." Dotąd wydawało jej się, że to raczej jak w filmie: polujesz samotnie, by coś pojmać żywcem.

Wobec powyższego redaktor działu informacji zwolnił Tamerę z innych zadań, mówiąc:

–Zajmiesz się Nicole. Rób, co trzeba. Minę miała niewyraźną, dodał więc:

–Nie obchodzi mnie, czy przywieziesz ją ze sobą do Salt Lakę, żeby u ciebie mieszkała. Jak trzeba, to zaproś ją na kolację do lokalu Nieważne, ile to będzie kosztować. Rób, co chcesz, bylebyś zrobiła z tego tekst.

To już bardziej zgadzało się z jej oczekiwaniami. Wtedy znów zadzwonił facet z tygodnika,,Time", domagając się cytató\ Kiedy mu odpowiedziała: „To zostaje między mną a Nicole"| oświadczył:

–Ona właśnie dała wywiad do „New York Timesa". Tamera pomyślała tylko: CO TAKIEGO?

Trochę później tego samego ranka Tamera czekała, aż Nicol^ wyjdzie z więzienia. Kiedy wspomniała o wywiadzie dla „Timesa' Nicole natychmiast odparła:

–Bzdury. Ja z nikim nie rozmawiam.

–Chcę tylko, żebyś się wczuła w moje położenie – tłumaczyła Tamera. – Dochowam twoich tajemnic, dopóki sama ich nie wyjawisz. – Tu popatrzyła Nicole prosto w oczy. – Bo kiedy zaczniesz rozmawiać z innymi dziennikarzami, ja się będę czuła zwolniona z honorowania naszej umowy. Jeżeli chcesz na tym zarobić parę groszy, masz absolutne prawo. Ktoś chce ci zapłacić, to świetnie. Tylko chcę, żebyś wiedziała, że wówczas ja też o tym napiszę.

Nicole odpowiedziała krótko:

–Zgoda.

Dawała do zrozumienia, że są nadal przyjaciółkami.

Przeszedł Tamerze cały gniew. Z powrotem zakochała się w Nicole i obie zaczęły snuć plany na sobotę, dzień wolny od pracy. Może pojechać w góry? Dobrze by było gdzieś się wyrwać. Nicole przyznała jej rację.

Potem podjechały do domu Kathryne, gdzie posilały się grzankami, rozmawiały i w trakcie tego wszystkiego Nicole powiedziała szeptem, że życzy sobie, by Tamera zatrzymała listy Gary'ego. Nie chce, żeby po jej odejściu wpadły w ręce matki.

Następnie Nicole i Kathryne odbyły całkiem nieprawdopodobną rozmowę.

–Wybieram się – powiedziała Nicole – na egzekucję w poniedziałek rano. Na to Kathryne:

–Niunia, ja nie chcę, żebyś jechała.

–I tak pojadę – odrzekła Nicole.

–Jak ty jedziesz, to ja też – oświadczyła Kathryne.

–Gary cię nie zaprosił.

–Co mnie to obchodzi. Nie jadę go oglądać. Zaczekam na ciebie.

–Nie – odparła Nicole. – Pojadę sama.

–Dziecino, zrozum – powiedziała Kathryne. – Ja cię podwiozę.

Wtedy radio podało wiadomości. Wszystkie trzy nie wierzyły własnym uszom. Egzekucję Gary'ego znowu odroczono. Przed chwilą gubernator Rampton wydał nakaz wstrzymania. Spiker z ożywieniem powtarzał nowinę.

Tamera cieszyła się oczywiście, że szef kazał jej trzymać się blisko Nicole. W przeciwnym razie może pognałaby z powrotem do gazety sprawdzić, czy jej nie potrzebują. A tak – mogła zaproponować Nicole, że ją podrzuci do więzienia. Podczas jazdy dostała klucz od mieszkania w Springville. Nicole pozwoliła jej zabrać listy i zatrzymać je.

W czasie dwudziestominutowej jazdy do więzienia Nicole wciąż sprawiała wrażenie spokojnej, lecz Tamera wiedziała, że jest po prostu oszołomiona. Rysował się jeden oczywisty wniosek: Gary będzie teraz musiał popełnić samobójstwo. Nicole nie mogła tego nie dostrzegać.

Opowiedziała Tamerze o swojej teściowej, Marie Barrett. Mówiła, że naprawdę ją lubi, i to o wiele bardziej niż Jima Barretta. Marie jest fajną kobietą i kocha Sunny i Jeremy'ego. Nicole powiedziała, że stosunki z teściową układałyby się jej wspaniale, gdyby Marie nie była tak świetną gospodynią. Nicole owszem, lubi mieć w domu czysto, ale jej teściowa wszystko musi zrobić po swojemu. Pod innymi względami jest fantastyczna. Nicole w zasadzie już postanowiła, że dzieci powinny wychowywać się z Marie, kiedy jej zabraknie.

Potem powiedziała Tamerze o swoim ostatnim spotkaniu z teściową. To było zaraz po śmierci Kipa.

–Teraz to spotka Gary'ego – powiedziała Nicole do Marie Barret. – Nie wiem, co mi wtedy pozostanie. Czuła się strasznie nieszczęśliwa. Marie odrzekła:

–Nicole, może następnym razem spotkasz takiego chłopca, z którym ci się ułoży. Tylko bądź ostrożniejsza. Najpierw go trochę sprawdź, zanim za niego wyjdziesz.

Nicole oświadczyła:

–Nie będzie następnego razu.

–Masz dosyć mężczyzn? – spytała Marie.

–Sama nie wiem, co chcę przez to powiedzieć, ale następnego razu nie będzie – rzekła Nicole. Prawie się wygadała.

–Jeśli coś stanie się ze mną, weźmiesz do siebie dzieci? – spytała.

–Pewnie że tak – zapewniła Marie. – Przecież wiesz, że tak zrobię. Tylko że tobie nic się wcale nie przytrafi.

–Tego samego dnia po południu – ciągnęła opowieść Nicole - do Springville przyjechały gliny. Zapukali do drzwi i właściwie to tylko mi się przyjrzeli.

Odbyli z nią jedynie uprzejmą rozmowę w drzwiach, lecz było oczywiste, że to Marie ich nasłała. Nicole w dalszym ciągu zaufałaby jej w sprawie dzieci, tylko nie miała pewności, czy warto się jej zwierzać. Tamera pojęła aluzję.

Zostawiła Nicole pod więzieniem i od razu wróciła do jej mieszkania, zabrała listy, włożyła je do torby na zakupy i przetrząsnęła wszystko w poszukiwaniu broni bądź tabletek nasennych. Nie miała pojęcia, co zrobi, jeśli coś znajdzie, w każdym razie zrobiła przeszukanie.

«PROVO HERALD»

11 listopada 1976 r… Salt Lakę City (UPI). Gubernator Utah, Calvin L. Rampton, zwrócił się do Stanowej Komisji Ułaskawień o dokonanie rewizji wyroku Gilmore'a podczas wstępnego posiedzenia planowanego na środę, 17 listopada, oraz o rozstrzygnięcie, czy kara śmierci jest uzasadniona.

Gilmore oświadczył, iż postępowanie gubernatora budzi w nim „gniew i rozczarowanie". „Gubernator najwyraźniej ulega presji rozmaitych ugrupowań zainteresowanych zdobyciem rozgłosu i realizacją własnych egoistycznych celów, nie żadną troską o moje «dobro»."

ROZDZIAŁ 4

Konferencje prasowe

W Phoenix reporterzy bombardowali Earla Doriusa pytania W kuluarach wszyscy zatrzymywali go, żeby spytać:

–Co tam się dzieje w Utah?

Earl czuł, że nie wyniesie żadnego pożytku z konferencji. Nie mógł się skupić na słuchaniu. Ciągle biegał do swego pokoju, żeby łapać wiadomości na bieżąco. Kiedy nie rozmawiał akurat przez telefon, przelatywał wszystkie kanały w telewizji.

–Co pan sądzi o akcji gubernatora? – pytali go w kółko.

–Nie miałem możliwości dogłębnie zapoznać się ze sprawą – odpowiadał. – Jednakże wydaje mi się, iż decyzja odroczenia jest niewłaściwa, ponieważ podjęto ją w wyniku nacisków z zewnątrz.

Zdał sobie sprawę, że w gruncie rzeczy przebywa myślami w swoim j biurze zamiast na konferencji, postanowił więc opuścić Phoenixj i wrócić do pracy.

«SALT LAKĘ TRIBUNE»

12 listopada 1976 r. Boaz podpisał umowę z Naczelnikiem Więzienia Stanu Utah, Samuelem W. Smithem, w której zobowiązuje się działać wyłącznie w charakterze prawnego doradcy Gilmore'a, a następnie rozgłaszał wszem i wobec, że ma zamiar „być przede wszystkim pisarzem, dopiero potem prawnikiem".

„Nie jesteśmy uprawnieni do udzielenia mu nagany. On nie należy do palestry Utah" – wyjaśnił członek komitetu wykonawczego Adwokatury Stanu Utah.

«PROVO HERALD»

Provo, 12 listopada 1976 r. Boaz oświadczył, iż ma zamiar „zarobić jakieś pieniądze" na sprawie Gilmore'a i podzielić się po połowie z rodziną skazanego oraz organizacjami charytatywnymi, które ten mu wskaże.

Ledwo Dennis przekroczył próg więzienia, przywołał go Sam Smith.

–Słyszałem, że Gilmore miał dziś rano udzielić wywiadu londyńskiej gazecie. Czy panu coś o tym wiadomo?

Dennis przeżywał stan uniesienia. Przed chwilą dzwonił z Nowego Jorku David Susskind. Jest zainteresowany nakręceniem filmu o życiu Gary 'ego. Z tego mogą być duże pieniądze. Myśli kłębiły się w głowie Dennisa.

–Londyńska gazeta? – rzucił do Samma Smitha. – Ach właśnie, to ja nagrałem.

Naczelnik zrobił się czerwony na twarzy; dość niezwykły kolor u człowieka o bladej cerze. Następnie podniósł głos. Po tej stronie korytarza wszyscy powystawiali głowy z pokojów. Jeżeli

o to chodzi, Dennis też był wstrząśnięty. Nikt nie jest przyzwyczajony do widoku wrzeszczącego Sama Smitha.

Smith oświadczył, że wytoczy proces. Dennis odparł:

–Zupełnie mnie to nie wzrusza, naczelniku.

Osobistą przyjemność sprawiało mu dobieranie słów, którymi mógłby rozgniewać Sama Smitha. Coś go wyraźnie korciło, by zaleźć Samowi za skórę.

Dennis śmiał się, nawet kiedy robili mu rewizję osobistą, zwyczajnie z zemsty. To była komedia. Strażnicy łachotali go pod pachami. ^ Przecież dwa dni temu tak podziwiali jego wystąpienie przed Sądem

Najwyższym Utah, że aż pozwolili mu wnieść maszynę do pisania na rozmowę z Garym.

Po przejściu rewizji osobistej Boaz zobaczył Nicole. W południowej ścianie sali widzeń zrobiono wąskie, podłużne okno i tam Nicole siedziała Gary'emu na kolanach, dokładnie pod oknem, przez które oboje patrzyli na przełęcz Point of the Mountain. Nie zwracała wcale uwagi na Dennisa. Obchodziło ją wyłącznie migdalenie się z Garym.

Kiedy wychodziła, Dennis zauważył, że ma delikatniejszą i bardziej niewinną buzię, niż się spodziewał. Wyglądała na zmęczoną, a nawet przegraną, co przydawało jej melancholijnego smutku, który się Dennisowi zdecydowanie podobał. Gary słał gniewne spojrzenia. W najmniejszym stopniu nie pochwalał tej kiełkującej przyjaźni. Miał minę, jakby myślał, że Nicole tu flirtuje, podczas gdy ona mówiła jedynie, że za jakąś godzinę zaczyna się pogrzeb jej dziadka.

Kiedy już poszła i zostali we dwóch, Gary nie dał Dennisowi okazji przedstawienia propozycji Davida Susskinda. Za bardzo złościł go gubernator Rampton. Temat okazał się zaraźliwy.

Dennis podziwiał, jak ten Gary umie człowieka naładować. Bo zaraz też poczuł, że aż go rozsadza na myśl, co wkrótce powie o postępku gubernatora.

Od samego początku Dennis szukał okazji dla wyrażenia myśli, które postawią ludzi twarzą w twarz ze sprawami, jakim dotąd nie poświęcali wiele refleksji. Dennis chciał dać kilka szokujących wypowiedzi na temat publicznych egzekucji, by zmusić ludzi do myślenia. Żeby zadali sobie pytanie: Dlaczego przeprowadzamy egzekucje przy drzwiach zamkniętych? Czego się wstydzimy?

Tego ranka wydrukowano właśnie jedną z jego złotych myśli.

«PROVO HERALD»

Provo, 12 listopada 1976 r. „Uważam, że egzekucje powinny być nadawane przez telewizję, i to w najlepszym czasie antenowym – stwierdził Boaz. – Wówczas „ uzyskalibyśmy jakiś efekt odstraszający."

Konferencje prasowe odbywał praktycznie dwa razy na dzień, odkąd razem z Garym wygrali przed Sądem Najwyższym Utah, i raz po raz powtarzał dziennikarzom, że stawia sobie za cel nieskrępowane i otwarte działanie, jego życie zaś to otwarta księga. Dziennikarze go prześladują, lecz on pojmuje swoją odpowiedzialność jak typowy Wodnik i sam opowie różne dziwne rzeczy o sobie i własnych odczuciach. Przynajmniej opinia publiczna otrzyma obraz rzeczywisty, nie manipulowany. Prasa może sobie przekręcać jego wypowiedzi, mylnie go przedstawiać, przypadkowo dobierać cytaty i przeinaczać je. Nieważne. On nie spłaszczy swojej osobowości. To prawda, że tuż po opuszczeniu gmachu Sądu Najwyższego Utah oświadczył reporterom, iż przebywa w Salt Lakę City, ponieważ notuje się tu wyższy odsetek pięknych kobiet niż w innych znanych mu miastach.

–Do tego dochodzi fakt – mówił dziennikarzom – że większość owych kobiet ma ochotę poznać kogoś z Kalifornii. By zakosztować zła. Tu można zrobić na tym miliony – mówił. – Wystarczy sprowadzać kalifornijską mentalność. Poważnie – mówił.

Oczywiście nie wydrukowali mu nawet słowa.

Prasa odpowiadała pytaniami o jego sytuację finansową.

–Niczego nie ukrywam – twierdził. – Jest prawdą, że mam dziesięć tysięcy dolarów długu, to znaczy koło piętnastu tysięcy, jeżeli wliczyć w to długi u przyjaciół. Wcale się tego nie

wstydzę. Jeden raz kiepsko zainwestowałem, wkrótce całe przedsięwzięcie poległo, forsę diabli wzięli.

Niebawem się przekonał, że w odpowiedzi prasa sugeruje, jakoby rozgrywał sprawę Gilmore'a dla pieniędzy. Nie przejmował się. Kiedy się przekonają, że wcale tak nie jest, sami to odkręcą.

–Czy nie sądzi pan – pytał go reporter – że pańskie doświadczenia jako zastępcy Prokuratora Okręgowego mogły wywołać u pana swoistą żądzę krwi Gilmore'a?

–Niech pan zrozumie jedną rzecz – odparł Dennis. – Praca w Prokuraturze Okręgowej dawała mi większe możliwości pomagania ludziom niż stanowisko obrońcy z urzędu. Mogłem łagodzić oskarżenie, uznawać odwołania. Zanim odszedłem z biura, wykrywaczem kłamstw oczyściłem z zarzutów dziewięć osób pod rząd. Widzi pan, tak też można grać.

I przez to go słuchali. Dennis od lat uważał, że dziennikarze się niecierpliwią i szczerze nie znoszą, jak ktoś im wciska różne oświadczenia i wymijające bzdury. Uczciwy człowiek, artykułujący wszelkie swoje odczucia, może odmienić świat.

–Zabrałem się do tego z powodów numerologicznych – mówił Dennis. – Nie jestem, rzecz jasna, jakimś maniakiem liczb. Zbyt mocno wierzę w wolną wolę. Jednak numerologia uwrażliwia człowieka na pewne reguły. W końcu każda dyscyplina duchowa odzwierciedla pewien układ. Wybiera się drogę wśród tego układu. Wówczas właśnie wchodzi wolna wola.

–Mówił pan o swoim wielkim zadłużeniu…

–Ja swoje długi ogłaszam – odparł Boaz. – Jestem również winien dwa tysiące sto dolarów firmie Master Charge, ale nie zapłacę. Kolega dokonał malwersacji za pomocą mojej karty kredytowej. To sprawa firmy Master Charge, nie moja.

Dopytywali się, co dotychczas opublikował.

–Jeszcze niczego nie publikowałem – odrzekł. Czy pisze pod własnym nazwiskiem?

Podpisywał się: K.V. Kitty, Lejohn Marz. Inny jego pseudonim to SLY Fox*. Powiedział im, że lis oznacza 666, znamię bestii. Oczywiście oni nigdy nie słyszeli o Aleisterze Crowleyu.

Naprowadzili go z powrotem na temat. Co sądzi o decyzji gubernatora Ramptona? Potworność. Niech cytują. Ciągle się dziwił, jak rzadko go cytowali.

Nie wydrukowano również następnej jego wypowiedzi, ale im wygarnął.

–Gary mieszka w celi tak wąskiej, że może sięgnąć od ściany do ściany. Światło pali się całą dobę. Strażnicy stukają w kraty. Hałas nie da człowiekowi zebrać ostatnich myśli. Gary wiesza na kracie ręcznik, żeby zasłonić światło. Nakazują mu go zdjąć, bo jak nie, to zabiorą materac.

Nieważne, że z tego, co mówił, drukowano jedną dziesiątą. Nie łapią ironii – trudno. Kiedy człowiek napiera na drzwi, najwięcej siły przykłada z początku, a drzwi i tak uchylają się powoli.

*** „Sly fox" znaczy „szczwany lis". (Przyp. tłum.)**

–Gary siedzi w celi stłamszony – mówił. – Dlatego muszą dawać mu fiorinal. Większość więźniów bierze prochy, by przeżyć. To irn sprawia pewną ulgę.

Zapytali go, czy władze o tym wiedzą.

–Jasne, że wiedzą. Nawet wolą więźniów naćpanych. Wtedy nie ma buntów.

Dennis wyczuwał reakcję. Podsłuchał szept jednego z reporterów:

–Facet okropnie zalewa.

Nie przyszedł się bronić. To była okazja, żeby atakować. Mówił:

–Naczelnik chce egzekucji przy drzwiach zamkniętych. My chcemy przy otwartych. Na Bliskim Wschodzie na arabską egzekucję sprasza się tłumy. Zgromadzony tłum podnosi ofiarę na duchu. Skazany czuje się tak, jakby uczestniczył we wspólnej ceremonii. To ludziom przypomina, że wszyscy jesteśmy ofiarami składanymi bogom. Natomiast tutaj skazany spędza ostatnie chwile z katem i nikim więcej. Naprawdę myślę, że to niesłuszne.

–O czym rozmawiacie z Garym?

–Rozmawiamy – odparł Boaz – o ewoluowaniu duszy. Gary mnóstwo wie na temat Edgara Cayce oraz Akashic Register. Dyskutujemy o karmie i o potrzebie odpowiedzialności za swoje czyny. Bogowie i boginie są absolutnie wolni, ponieważ ponoszą absolutną odpowiedzialność.

Nigdy tego nie wydrukowali.

Jeden z dziennikarzy przeczytał głośno wypowiedź Craiga Snydera: „Boaz się z nami nie kontaktował. Byłem w Sądzie Najwyższym Utah, gdzie broniliśmy przeciwstawnych racji, ale nikt nas nie przedstawił i nigdy nie rozmawiałem z tym człowiekiem. O ile wiem, on w ogóle nie zbadał akt sprawy ani nie zapoznał się z przebiegiem procesu. Jego umowa z Gilmore'em na temat publikacji to policzek wymierzony w kanon etyki."

~~ Gdzie on to powiedział? – spytał Dennis.

–W Gmachu Adelphi, tam ma swoje biuro w Provo.

–To takie miejsce z żółtym kudłatym dywanem i brązowo-żółtymi ścianami, prawda?

–Byłeś tam? – zapytał reporter.

–Nie – odrzekł Boaz – ale ja znam wibracje komórek systemu.

–Przestań, Dennis – naciskał dziennikarz. – Właściwie dlaczego nie skontaktowałeś się z Esplinem i Snyderem?

–Gilmore nie chce składać apelacji, rozumiesz? Ja reprezentuję Gilmore'a, a nie kurewski system apelacji.

–A gdybyś przeczytał stenogram?

–Nie ma żadnego stenogramu. Na to reporter:

–Bo nikt nie poprosił. Stenogram łatwo zdobyć.

–Nie ma na to pieniędzy – odparł Dennis. – Poza tym stenogram na nic się nie zda. Gilmore nie chce, żeby mu zmniejszyli wyrok do dożywocia.

–A jeśli się okaże – ciągnął reporter – że nie odczytano mu Mirandy, albo sędzia dał mylne instrukcje? Gdyby on miał szansę na nowy proces, to inna sprawa, prawda?

–Nie – uciął Dennis. – Gary poległ ze względu na fakty. Znowu by go skazali. Słuchaj, tu trzeba zrozumieć Gilmore'a – mówił Dennis. – Może z niego okrutny morderca, ale z poczuciem sprawiedliwości.

–Niezbyt sprawiedliwie obszedł się z tymi dwoma, których zabił – zauważył dziennikarz.

–Nie, naprawdę – zapewnił Dennis. – Poważnie, on kieruje się sprawiedliwością.

Tak wyglądały wywiady. I tego dnia, na schodach, reporterzy znali już świeże pogłoski o tym, jak naczelnik Smith się wściekł, i chcieli wiedzieć, co mu Dennis zrobił. Dennis odbył improwizowaną konferencję prasową na więziennych schodach.

No cóż, mówił. Sama Smitha szlag trafił, bo Dennis sprzedał dwa wywiady. Jeden poszedł za pięćset dolarów dla „London Daily Express", a drugi za pięćset dla szwedzkiej gazety związkowej. Szwedów pociągał zapewne historyczny zbieg okoliczności, twierdził Dennis. Joe Hill, sławny emigrant ze Szwecji, który organizował „Wobblies"*, został stracony w Utah w roku 1915.

* Tak zwali się członkowie związku pod nazwą Robotnicy Przemysłowi Świata rewolucyjnej organizacji robotniczej, utworzonej w 1905 r. w Chicago. Nawoływali do obalenia kapitalizmu i sprzeciwiali się przystąpieniu Stanów Zjednoczonych do I wojny światowej. Przywódcy związku zostali skazani na mocy ustawy o szpiegostwie. (Przyp. tłum.)

–Nie pamiętacie? „We śnie widziałem, jak Joe Hill szedł żywy z nami wraz…"? Mało tego, Joe Hill poprosił swego najlepszego kumpla, żeby ten przewiózł jego zwłoki za granicę stanu, do Wyo-tning- Joe Hill powiedział: „Nie chcę zostawać w Utah dłużej, niż muszę."

–A ten pierwszy kontrakt? – pytali.

–Bryan Vine z „Daily Express". Zatytułuje to „Rozmawiałem z mordercą". On pierwszy zaproponował mi pieniądze – mówił Dennis. – Nie robił żadnych zwodów.

–Ile pan dostał?

–Mówiłem, pięćset dolarów.

–Nie sądzi pan, że to tanio?

–Nie chciałem zarobić zbyt dużo i wyjść na pazernego. Pięćset dolarów za kwadrans rozmowy! To dobra cena za chwilę czyjegoś czasu.

Tak właśnie mówił, a oni zapisywali, potem ukazywały się artykuły. W tych tekstach przedstawiają mnie jako osobnika w miarę odpowiedzialnego: wariata, który się kontroluje, myślał Dennis.

Tamera przyjechała do pracy o piątej rano i sześć godzin spędziła na robieniu odbitek z listów Gary'ego. Wiedziała, że niektórzy współpracownicy dziwią się, że ona tak chroni swoją zdobycz, ale nie chciała, by ktokolwiek czytał jej przez ramię i rzucał przy tym cyniczne uwagi, jak to zwykli czynić zblazowani dziennikarze. Jednak nikt się aż tak nie podniecał.

Na piątkowym zebraniu redaktor prowadzący powiedział jej wręcz: – Raczej nie interesują nas listy miłosne. Zwyczajnie odrzucił temat.

Oczywiście gazeta słynęła jako wiodący dziennik mormonów na świecie, jej właścicielem był Kościół, w związku z tym wykazywała Pewną sztywność poglądów. Tammy w każdym razie wciąż słyszała narzekania ze strony niemormonów w redakcji. W „Deseret News"

obowiązywały zupełnie niewiarygodne zasady. Ponieważ redakcja

mieściła się w budynku należącym do Kościoła, nie wolno było tam palić ani pić kawy przy biurku. Chodziło się do stołówki. Tłum reporterów przez cały dzień odbywał nerwowe wypady do łazienki. Dlatego też nie było w stylu „Deseret News", żeby się ekscytować z powodu listów miłosnych w zasięgu ręki. Tylko że dwa dni temu stanęliby na głowie, byleby je zdobyć. Teraz sprawę odstawiono na boczny tor. Nawet Tamera patrzyła sceptycznie. Cały materiał może się w końcu rozmyć w jeszcze jedną historię o garowniku i jego dziewczynie. Egzekucję znowu odroczono i śmierć Gary'ego staje się sprawą odległą.

12 listopada

Boaz był strasznie napalony, bo jeden postawny dziennikarz i filmowiec nazwiskiem David Susskind właśnie zaproponował mu piętnaście do dwudziestu tysięcy dolarów w gotówce jako zaliczkę w zamian za prawa do tej pierdolonej historii – plus pięć procent dochodów z filmu i innego gówna – to może pójść w setki tysięcy – mówi Boaz.

Mała, to mi się nie podoba – sam już nie wiem, co jest grane.

Boaz to mój adwokat, ale teraz jakby wszedł w rolę agenta prasowego.

Jeden wielki cyrk.

Mała, gdybyśmy tak mogli znaleźć się z powrotem w Spanish Fork i uprawiać twój ogródek, kochać się.

Nicole spóźniła się trochę na pogrzeb dziadka. Zdaniem Kathryne, naprawdę sprawiała wrażenie smutnej, kiedy tak stała z przodu wśród rodziny. Kathryne zauważyła poza tym, że Nicole nie podeszła do trumny, by spojrzeć po raz ostatni. Cały czas Kathryne nie mogła uwolnić się od myśli: Boże, ona rozpamiętuje, że Gary będzie następny.

Po wszystkim Nicole spytała, czy może pożyczyć od Kathryne samochód. Chce pojechać do Gary'ego na jeszcze jedno widzenie. Kathryne próbowała protestować, że przecież Nicole już raz tam jeździła i że nie ma prawa jazdy, lecz na wszystko dostawała jedną odpowiedź:

–Nie spowoduję wypadku.

Aż wreszcie Kathryne powiedziała:

–O Boże, to już go weź.

Nicole wróciła do domu dopiero wieczorem i Kathryne od razu na nią wsiadła:

–Nawet nie pojechałaś do więzienia.

–Aha – odparła Nicole. – Dzwoniłam, powiedzieli, że mnie nie wpuszczą, więc sobie pojeździłam. Przyjemnie było popatrzeć na świat.

David Susskind zadzwonił do Dennisa i serio omawiał kontrakt. Dennisowi podobało się podejście Susskinda. Ożywczy przepływ uprzejmości. Wielka energia w ruchu, dobrze wyszkolona.

Później znów facet nazwiskiem Larry Schiller, który zadzwonił i powiedział, że był fotografem w magazynie „Life", a teraz robi filmy, również dla telewizji. Dennisowi nie spodobał się jego głos. Zbyt natarczywie podkreślał znaczenie trafionych argumentów. Taki to umie opchnąć każdy towar. Bardzo profesjonalne brzmienie. Dennis czuł się nieswojo.

Kiedy spotkali się na dole w kawiarni hotelu Utah, niezbyt przypadli sobie do gustu. Dennis był po prostu podejrzliwy. Kawiarnia znajdowała się w podziemiu – wielka, pusta i ponura.

Schiller miał bujną czarną brodę i wąsy na pół twarzy, silnie skręcone czarne włosy – dostojna głowa. Mógłby przypominać Fidela Castro, gdyby nie potężna nadwaga, pomyślał Dennis. Jakby ktoś wziął głowę Fidela Castro i przypasował do okazałego cielska. Ponieważ Dennis uprzednio niewiele słyszał na temat Schillera, wypytał o niego Paru dziennikarzy i dowiedział się, że ten facet wykupił prawa do historii życia Susan Atkins z procesu Charliego Mansona oraz do ostatniego wywiadu, jakiego zdążył udzielić Jack Ruby.

–To jest gość, z którym trzeba uważać – ktoś ostrzegał Boaza. – On wchodzi wtedy, gdy ludzi czeka śmierć.

Mimo wszystko Boaz dobrze się bawił tą rozmową. Po pierwsze, oferował więcej pieniędzy niż Susskind. W kółko opowiadał

o różnych przedsięwzięciach, które zrealizował. Boaz z rozmysłem zachowywał się lekceważąco.

–Gary to nie Susan Atkins – oświadczył. Własna arogancja sprawiała mu ostatnio prawdziwą przyjemność. Wisiało mu, co Schiller sobie o nim pomyśli. Nie zmniejszy to i tak ceny za Gary'ego.

–Lepiej niech pan wynajmnie agenta – powiedział Schiller na koniec.

Dennis się zamknął. Musiał przyznać, że ucieszyła go myśl o pójściu do Susskinda z lepszą ofertą w garści. I jak to się ma do jego natury, którą symbolizuje Cesarz i Kuglarz? Czy poradzi sobie z wyłapaniem wszystkich dukatów, które się tu sypną?

W sobotę rano zadzwoniła Nicole i powiedziała, że musi zabrać listy z powrotem. Jej głos brzmiał nieufnie. Tamera nie pojmowała dlaczego. Rozstały się w takiej przyjaźni. Zastanawiała się, czy listów nie kazał jej odebrać Gary albo Boaz. W każdym razie Tamera zapewniła Nicole, że to żaden problem. I faktycznie. Miała kserokopie. Wobec tego poprosiła chłopaka, z którym się spotykała, żeby wieczorem zawiózł ją do Springville i kiedy dojechali, Nicole bardzo przepraszała za kłopot.

Spędzili tam parę godzin i było naprawdę wesoło. Chłopak, którego zabrała Tamera, pochodził z Filadelfii, był Włochem, niemormonem i znaną postacią w BYU. Jego nazwisko brzmiało Millebambini i do nikogo nie dotarło, jak mu na imię, ponieważ on przetłumaczył Millebambini na Tysiąc Bękartów i powiedział, że takie jest prawdziwe znaczenie, a cała grupa aż się zwijała w szoku. Któraś studentka nazwała go Mili z Fili. Zupełne odbicie. I odtąd inaczej go nie nazywano. Mili z Fili. On tak umiał się wczuć i opowiadał tyle śmiesznych historii, i pakował się w tyle dziwnych spraw. Tamera zdecydowanie go lubiła.

Tego wieczoru Nicole była nim zafascynowana. Tamera poprosiła go:

–Nie poruszaj tematu Gilmore'a, tylko staraj się ją rozweselić.

Mili rzeczywiście ją rozśmieszył. Tamera zaczęła dostrzegać, że Nicole w pewien zabawny sposób żyła w ukryciu i nie wiedziała zbyt wiele o niektórych rzeczach, na przykład o muzyce, o wędrówkach z plecakiem w Oregonie, czy choćby o takich przegadanych nocach jak ta. Cały wieczór Nicole po prostu słuchała, chłonęła wszystko, czym ją karmili, i po wyjściu od niej Tamera poczuła przypływ optymizmu. Kiedy z Milim jechali z-powrotem, powiedziała:

–Jeżeli będziemy tu częściej wpadać, może uda nam się zmienić nieco jej podejście do życia.

Tamera przeczuwała, że trochę potrwa, zanim Gilmore zostanie stracony, jeśli to w ogóle nastąpi. Właściwie doszła do wniosku, że mogą wykluczyć samobójstwo.

ROZDZIAŁ 5

Testamenty

«SALT LAKĘ TRIBUNE»'

Świeże spojrzenie dostojników kościelnych na najwyższy wymiar kary

13 listopada 1976 r. Jak stwierdził biskup McDougall, większość współczesnych teologów sprzeciwia się karze śmierci w przekonaniu, że działa ona na niekorzyść upośledzonych społecznie i ekonomicznie.

Wielebny Jay H. Confair, pastor Kościoła Prezbiteriańskiego Wasatch przy ul. 17 Wschodniej nr 1626, oświadczył: „Starotestamentowa zasada «oko za oko» została w Nowym Testamencie zastąpiona pojęciem miłości i resocjalizacji."

Jego zdaniem, sprawa Gilmore'a stanowi jednak problem innego rodzaju. „Ten człowiek pragnie umrzeć. Nie chce poddać się resocjalizacji" – stwierdził pastor Confair i wskazał na podobieństwo do sytuacji, gdy leżący w szpitalu człowiek, utrzymywany przy życiu przez automaty, żąda „wyciągnięcia wtyczki".

Wiele osób opowiadających się za karą śmierci, zwłaszcza za zbrodnie tak brutalne jak Gilmore'a, twierdzi jednocześnie, że za nic nie wzięłoby udziału w samej egzekucji.

„Żadna siła mnie tam nie zaciągnie – oświadczył Noall T. Wooton, prokurator Okręgowy, oskarżyciel w procesie Gilmore'a. – Zrobiłem s\voje, wystąpiłem o karę śmierci, sąd się przychylił – i wierzę w słuszność wyroku. Lecz egzekucja to brudna robota i ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego."

«SALT LAKĘ TRIBUNE» Stary karabin czeka wyczyszczony

13 listopada 1976 r. Karabin używany podczas poprzednich egzekucji w stanie Utah znajduje się obecnie w sklepie z bronią i będzie jednym z pięciu wypożyczonych przez Biuro Szeryfa Okręgu Salt Lakę na okoliczność egzekucji Gary'ego Marka Gilmore'a.

Leo Gallenson, jeden z dyrektorów spółki, do której należy sklep, ocenia, iż nie sprzedany karabin został użyty podczas sześciu do dwunastu egzekucji.

«LOS ANGELES TIMES»

Pracodawca mordercy z Utah

w plutonie egzekucyjnym

14 listopada 1976 r. Provo, Utah… Spencer McGrath dał Gary'emu Markowi Gilmore'owi pracę i dodatkowo wypłacał mu z własnej kieszeni dziesięć do dwudziestu dolarów tygodniowo. Załatwił także Gilmore'owi samochód i nie skreślał go z listy płac, mimo że były więzień zaczął pić i spóźniać się do pracy.

McGrath, właściciel wytwórni materiałów izolacyjnych, człowiek życzliwego usposobienia, który okazał pomoc wielu byłym więźniom, oświadczył ostatnio, że zgłasza się na ochotnika do plutonu egzekucyjnego, jaki zgodnie z życzeniem Gilmore'a dokona rozstrzelania, „by pokazać Gary'emu, że prawo jego też dotyczy".

14 listopada

Kotku, staję się bardzo sławny. Nie podoba mi się to. – To nie w ten sposób, nie tak.

Czasem wydaje mi się, że wiem, co to sława i jak smakuje, bo w poprzednim życiu byłem sławny. Chyba rozumiem, jak to jest. Ale nie chcę doczekać chwili, kiedy będziemy cieszyć się rozgłosem, nie będąc już sobą. Bo my jesteśmy po prostu GAR

Y I NICOLE i powinniśmy o tym pamiętać. 14 listopada Siemasz Gibas To jeście dziecko.

Fajnie, żeś napisał – wiesz, ty też masz swoją klasę.

Jeżeli czasem jesteś nadziany, że parę dolców nie zrobi ci różnicy, to

moja matka mogłaby skorzystać. Ona jest stara, kulawa i na rencie.

Nawet teraz mógłbyś może machnąć jakiś list, żeby jej trochę ulżyć.

Dzięki za dziesiątaka.

Przyjaciel

GAM.

Gibbs łamał sobie głowę, jak napisać do czyjejś matki, której się na oczy nie widziało.

Droga Pani Gilmore, wszystko będzie dobrze. Tylko cztery z pięciu karabinów będą naładowane.

Gibbs poprosił Dużego Jake'a o ładną kartę, dołączył trzydzieści | dolarów i wysłał tej kobiecie.

«LOS ANGELES TIMES» Ożywiona działalność Adwokata Śmierci

14 listopada. Całkiem niedawno – w styczniu tego roku – Boaz podjął samotną krucjatę przeciwko, jak to sam ujął, „hipokryzji systemu", próbując dać się zaaresztować, bez powodzenia zresztą, za palenie marihuany w holu siedziby tutejszych władz federalnych.

Teraz znów wypłynął w Stanowym Więzieniu Utah, w miejscowości Draper, jako adwokat skazanego Gary'ego Gilmore'a, a jednocześnie autor jego biografii.

Nie może on przyjąć tej podwójnej roli bez naruszenia statutu Adwokatury Stanu Utah – zapewnił Craig

Snyder. Statut wymaga, by prawnik kierował się dobrem klienta, nie zaś własnego portfela. „Jeżeli egzekucja się odbędzie, Boaz wyciągnie z niej zysk" – oświadczył Snyder.

Boaz krytykowany jest, co prawda, za wykorzystywanie w ten sposób swojego klienta, lecz James Hill, prodziekan Boalt Hali, wspomina go bardzo ciepło.

„To nieśmiały, skromny, wrażliwy chłopak, taka dobra dusza" – wspomina Hill, który twierdzi, że po studiach Boaz spotkał się z nim kilkakrotnie.

«SALT LAKĘ TRIBUNE»

15 listopada 1976 r. Utah. Skazany za zabójstwo Gary Gilmore pragnął zakończyć życie w dniu dzisiejszym o ósmej rano. Zamiast tego zjadł śniadanie składające się ze słodkich bułek, owsianki na mleku, pomarańczy i kawy, po czym wrócił do swojej celi śmierci.

Odwiedzi dziś Gilmore'a Nicole Barrett (lat 20), rozwiedziona matka dwojga dzieci.

„Ta dziewczyna bardzo dużo dla niego znaczy, a on dla niej tak samo, bo inaczej ona by tego nie robiła (tzn. nie odwiedzałaby Gilmore'a)" – oświadczył jego wuj Vern.

Boaz po spędzeniu trzech i pół godziny z Gilmorem w niedzielę wieczór wyjawił, iż jego klient chciałby spotkać się z piosenkarzem Johnnym Cashem.

„Johnny Cash nie znajdzie większego wielbiciela" – stwierdził Boaz. Wysłał do piosenkarza telegram, informując go o życzeniu Gilmore'a.

Vern nie widział się z Garym od niespełna sześciu tygodni, czyli od ostatniego dnia procesu. Wybierał się na widzenie z mieszanymi uczuciami. Vern wyszedł właśnie ze szpitala po operacji chorego kolana i nawet o lasce każdy krok wbijał mu w kości ostry gwóźdź. To

był jeden wielki ból przez całą drogę od miejsca, gdzie musiał postawić samochód przed bramą, aż do Maksymalnego Nadzoru. Nic tylko zgrzytał zębami, kuśtykając mozolnie całe sto metrów, a potem jeszcze zostało przejście między dwoma równoległymi parkanami z drutu kolczastego.

A tam, w pokoju widzeń, siedział Gary, wyraźnie w lepszej formie niż kiedykolwiek go Vern oglądał, i zaraz wyciągnął sprawę gniewnego listu, który przysłała mu Ida.

Vern powiedział:

–Tak, ale ty pierwszy pisałeś ze złością. Nie chciałeś mieć z nami więcej do czynienia.

Mierzyli się wzrokiem, wreszcie odezwał się Vern:

–Gary, my się wcale nie wściekamy. Chcemy ci pomóc.

–No dobra – ustąpił Gary. – Głupio mi z powodu tego listu do Idy i chciałbym przeprosić.

–A Ida przeprasza ciebie – odrzekł Vern. – Chce, żebyś podarł ten jej list, tak jak ona podarła twój. Wyrzuć go i spuść wodę.

Na tym się skończyło. Gary najwyraźniej się odprężył i pogadali chwilę o tym i owym. Nawet nie najgorzej wypadła ta wizyta.

Kiedy Dennis dotarł do więzienia w poniedziałek rano, Vern już skończył widzenie. Bardzo szybko Boaz przekonał się, że wuj Vern powrócił na scenę, bez dwóch zdań. Gary wypowiadał się o swoim wujku bardzo ciepło i z uczuciem.

Dennis nie słyszał przedtem od niego takich tekstów. Odżyły stare sentymenty. Całkiem niespodziewanie Gary zupełnie odmienił swój stosunek do wuja. Dla Dennisa było oczywiste, że w gruncie rzeczy Gary pragnie, by rodzina go kochała. Nieważne, jak się dotąd układało.

Poprzedniego dnia Dennis miał z nim śmieszną przeprawę. W sobotę Gary powtarzał życzenie, by Dennis przemycił dla niego pięćdziesiąt tabletek seconalu. Z początku Dennis się nawet zgodził. jednak to nie dawało mu zasnąć. Nazajutrz musiał powiedzieć Gary'emu, że nie mógłby tego zrobić w żadnych okolicznościach, ale i tak był roztrzęsiony. W niedzielę wieczorem, kiedy Dennis jechał z powrotem do domu Eversona, wyraźnie zapachniało mu rychłym

samobójstwem. Włączył radio i w tym samym momencie usłyszał Blue Oyster Cult. Przez ostatnie dwa dni puszczali ich w radiu na okrągło j właśnie dotarły do niego słowa „Nie lękaj się ostrza". Mózg staje. Chodź, dziecino, nie lękaj się ostrza" – Dennis przyłapał się na tym, że śpiewa. „Romeo i Julia razem po wsze czasy…" Boże drogi, we łbie się mąci; kiedy człowiek się naładuje synchronizmem, pomyślał Dennis, odczuwając wielką współzależność wszystkich drobiazgów. To straszne. Myśl faluje wtedy jak meduza.

W poniedziałek, po odwiedzinach Verna, Brenda odebrała telefon od Gary'ego, który pytał o nazwisko lekarza zajmującego się jej córką. Zależało mu, żeby po egzekucji doktor dopilnował przekazania jego przysadki mózgowej dla Cristie. Johnny i Brenda byli wiecznie spłukani, chcąc zapewnić Cristie ekstrakt hormonów, co jest chyba najkosztowniejszą rzeczą na świecie, a tu ni stąd, ni zowąd dzwoni Gary i mówi Brendzie, że jak umrze, to doktor ma wpisać jego przysadkę na konto Johnny'ego, zupełnie jakby im wręczał tysiąc dolców. Niesamowita rozmowa. Brenda nie miała pojęcia, czy to tak na zgodę.

–Trzymaj się, Gary – powiedziała na koniec. On tylko odłożył słuchawkę.

Tego samego ranka Tamera weszła do pokoju redakcyjnego i usłyszała od szefa:

–Mamy mnóstwo telefonów w sprawie Nicole. Twój tekst nie może leżeć aż do egzekucji Gary'ego. Chcę, żebyś zdobyła zgodę na Publikację.

Jadąc do Springville Tamera nie wyobrażała sobie, jak poprosi. Jednak kiedy przedstawiła Nicole swój kłopot, napotkała uśmiech Nicole odpowiedziała:

•- Wiesz, ja też muszę ci o czymś powiedzieć. Zgodziłam się udzielić wywiadu za dwa tysiące dolarów.

Jakaś filia NBC z Bostonu – przynajmniej Nicole tak zrozumiała – przysłała do niej tego wysokiego, przystojnego faceta, Jeffa Newmana: niebieskie oczy, kręcone włosy i broda. Namówił ją na

wywiad. To będzie w ten piątek. Później Tamera dowiedziała się, że tak naprawdę chodziło o pismo „National Enquirer", nie o żadną bostońską filię NBC. Ale w pierwszej chwili zarejestrowała jedynie fakt, że Nicole wyraża zgodę. Wobec czego Tamera rozstała się z nią w prawdziwej przyjaźni. Wróciła do redakcji i resztę wieczoru spędziła przy pracy nad tekstem.

W ciągu ostatniego tygodnia Nicole odwiedziła kilku lekarzy, których adresy wzięła z książki telefonicznej, i mówiła im, że przyjechała z innego stanu i ma kłopoty z zaśnięciem. Jedyny skuteczny środek to „czerwonki" *. Seconal działa jak trzeba.

Udało jej się zebrać pięćdziesiąt pigułek, do tego dwadzieścia tabletek dalmane. Gary w kółko jej o tym truł, dlatego uznała, że nadszedł moment przerzutu. Podzieliła cały zapas po równo, dwadzieścia pięć seconali i dziesięć dalmanów dla Gary'ego i dla siebie tyle samo; te dla Gary'ego włożyła do balonika, właściwie to do dwóch. Obydwa były żółte, jeden w drugim. Następnie umieściła sobie balony w pochwie.

Całą drogę do więzienia obawiała się, że Gary ją objedzie. Powtarzał jej przecież, że ma się starać o więcej. Ciągle na nią naciskał, żeby poszła jeszcze do paru lekarzy, ale ona wyczuwała, że żaden z tych doktorów jej nie wierzy i jeśli tylko pójdzie do jednego więcej, zawali całą sprawę. Ci lekarze w pięć minut po wypisaniu recepty mogli powiadomić gliny. Trzęsła się o to przez całą niedzielę. Wreszcie znalazła się pod Maksymalnym, z tymi balonami w środku.

Obmacali ją po wierzchu, ale klawiszka nie pakowała nigdzie paluchów, zajrzała jej tylko pod pachy i w tyłek, przejechała po długich włosach. To nie była wcale złośliwa rewizja, a w ogóle to

klawiszka musiałaby mieć długi palec, tak głęboko tkwiły balony.

W sali widzeń akurat nie było nikogo więcej, tylko strażnik w szklanej budce, podeszła więc z Garym do krzesła przy oknie i usiadła mu na kolanach. Raz pozwalano to robić, raz nie; tego dnia strażnik im nie przeszkadzał. Mogli się trochę pomigdalić. Prawdziwy fart. Czasami w sali siedziało cztery czy pięć osób na raz albo dwóch adwokatów, jednak tym razem nikogo prócz nich nie było Kiedy usiadła mu na kolanach, Gary wystartował palcem po balony, lecz bez powodzenia. Siedziały za głęboko. Wreszcie Nicole musiała stanąć przy oknie, a Gary obejmował ją od tyłu, żeby zasłonić przed wzrokiem strażnika. W tej pozycji otoczona ramionami Ga-ry'ego, sięgnęła pod spódnicę, żeby wydobyć balon. To było coś okropnego. Wepchnęła go tak głęboko, że teraz nie dostawała palcami. Ostatecznie zmuszona była się natężyć i wypychać to z siebie, jakby rodziła. No i tak się zaparła, wpychając jednocześnie palce jak najwyżej, że kiedy wreszcie to chwyciła, łupało ją w skroniach. Przed oczyma migotały gwiazdy. W szalonym tańcu. Głowa bolała ją tak, jak po upadku, chyba pękła jej jakaś żyłka. Gary nie miał pojęcia, że z nią się coś dzieje. Szeptał jej tylko miłe rzeczy podtrzymujące na duchu.

Wręczyła mu ten balon i Gary na siedząco włożył sobie od przodu rękę do spodni: luźnych, szerokich, workowatych, za dużych gaci, żeby wepchnąć sobie balon w odbyt. To wcale nie było łatwe, przeciwnie: ciężka sprawa, zajęła ponad minutę. Kiedy mu się udało, powiedział tylko: – No, są gdzie trzeba. Już ja wiem.

Potem usiadła mu na kolanach i całowała go.

Czuła się wspaniale. Dopiero do niej dotarło, jak się denerwowała. Nicole była pewna, że lekarze dali znać do więzienia i że będą ją przeszukiwać. Teraz więc czuła dumę ze swego osiągnięcia i Gary był z niej bardzo dumny. Widzenie trwało jeszcze przynajmniej godzinę. Pieścili się jak wariaci. To

było najpiękniejsze z ich widzeń. Kiedy się przestawali całować, śpiewali po cichu. Żadne z nich nie umiało śpiewać, ale i tak było pięknie. W życiu nie czuła takiej bliskości czyjejś duszy.

* „Czerwone diabły" – barbiturany. (Przyp. tłum.)

Tego wieczoru Marie Barrett odebrała telefon Nicole z prośbą, czy Marie może po nią przyjechać. Nicole chciała odwiedzić Sunny. Usiedli w salonie, żeby obejrzeć w telewizji Sybil, i Nicole powiedziała, że ta dziewczyna wygląda zupełnie jak April. Poszła do sypialni, Poczytała trochę Sunny, wysłuchała jej paciorka i potem w pokoju od frontu porozmawiała z Marie i swoim byłym teściem, Tomem

Barrettem, którego też lubiła, aż w końcu pojechała do domu, chociaż może się nieco ociągała z pożegnaniem.

Później wyszła na wieczorne zakupy ze swoją sąsiadką, Kathy Maynard. Centrum handlowe było czynne do dziewiątej wieczór i Nicole zaszalała: kupiła kredki i książeczki do kolorowania dla wszystkich dzieci Kathy. Kiedy wróciły, wręczyła Kathy dziesięć dolarów ze słowami:

–Ależ weź, bo zrobisz mi przykrość.

Kathy tylko na nią patrzyła. Kathy nie była wysoka, miała włosy szaro-blond, oczy takie zaokrąglone i zwyczajną, miłą buzię. Malowało się na niej zakłopotanie. Nicole dorzuciła:

–Przyda ci się.

–Do zobaczenia rano – powiedziała Kathy.

–Do rana – odrzekła Nicole.

Sama w mieszkaniu, kiedy Jeremy usnął na dobre, Nicole czekała do północy. To była godzina, którą uzgodnili z Garym na wzięcie pigułek, tylko że później to jeszcze długa droga. Cały

czas męczyło Nicole, jak Gary się niepokoił, że ta ilość nie wystarczy. Wyjaśnił, że jeśli się weźmie tyle, żeby paść, ale za mało, żeby umrzeć, można skończyć jako warzywo. I to był prawdziwy powód do niepokoju. Mimo wszystko postanowili się nie wycofywać. Albo zadziała, albo nie. Nicole wyjęła swoją ostatnią wolę i testament. Całą niedzielę spędziła na ich spisywaniu i teraz jeszcze raz sprawdzała, czy nie ma tam błędów ortograficznych. Właściwie to nawet miała pewność, że parę się trafiło. To był długi testament i ostatnia wola, więc prawdopodobnie puściła jakieś błędy, ale nie martwiła się tym wcale

Nicole K. Baker, Niedz. 14 lis top 1976 r.

DO WSZYSTKICH ZAINTERESOWANYCH:

Ja, Nicole Kathryne Baker – mam kilka osobistych próśb, o których spełnienie proszę – w wypadku jeśli zostanę w jakimś czasie uznana za zmarłą.

Uważam się za osobę o silnym, logicznym, całkowicie zdrowym umyśle – w związku z tym wszystko, co piszę, powinno być brane poważnie pod każdym względem.

W momencie pisania jestem w trakcie rozwodu z człowiekiem o nazwisku Steve Hudson.

Według moich kryteriów – w następstwie śmierci rozwiązane zostają wszelkie więzi z tym człowiekiem i rozwód powinien być przeprowadzony i sfinalizowany BEZ WZGLĘDU NA KOSZTY.

Życzę sobie prawnie wrócić do panieńskiego nazwiska, które brzmi Baker. Niech nikt mnie nie określa żadnym innym nazwiskiem.

W świadectwie urodzenia moja córka wpisana jest jako Sunny Marie Baker, chociaż w momencie jej urodzin byłam legalnie zamężna z jej ojcem – Jamesem Paulem Barrettem.

Mój syn w świadectwie urodzenia wpisany jest jako Jeremy Kip Barrett. Ponieważ byłam jeszcze wówczas zamężna z Jamesem Paulem Barrettem, który nie jest ojcem Jeremy'ego.

Ojcem Jeremy'ego jest nieżyjący Alfred Kip Eberhardt.

Dlatego Jeremy prawnie posiada dziadków o nazwisku Eberhardt, którzy mogą życzyć sobie, by ich powiadomiono o miejscu jego pobytu. Zdaje się, że zamieszkują w Paoli, w Pensylwanii.

Jeżeli chodzi o opiekę nad moimi dziećmi i ich dobrobyt – nie tylko proszę, lecz żądam, by wszelka odpowiedzialność i wszystkie decyzje w ich sprawie zostały natychmiastowo i bezpośrednio przekazane w ręce Thomasa Gilesa Barretta i Marie Barrett ze Springville, stan Utah.

Jeżeli Barrettowie zechcą adoptować moje dzieci – mają na to z mojej strony pełne przyzwolenie.

Jeżeli zażyczą sobie przekazać odpowiedzialność za jedno lub oboje dzieci w ręce innych odpowiedzialnych osób zgodnie z własnym wyborem – znów mają tu moje pełne przyzwolenie.

Będzie tak oczywiście do momentu, kiedy dzieci osiągną wiek upoważniający do podejmowania własnych decyzji.

Posiadam pierścionek z perłą w lombardzie w kręgielni Springville. Bardzo bym chciała, żeby go ktoś odebrał i dał mojej młodszej siostrze – AprilL Baker.

Poczyniłam też przygotowania, żeby pewna suma pieniędzy została Przeznaczona na leczenie choroby umysłowej April. Moja matka nie Powinna wydawać tych pieniędzy na nic innego, tylko zapłacić za dobry szPital psychiatryczny, żeby pomóc April wrócić do zdrowia psychicznego.

A jeśli chodzi o decyzję, co uczynić z moimi zwłokami – proszę o dokonanie kremacji. I za zgodą pani Bessie Gilmore moje prochy niech zostaną zmieszane z prochami jej syna – G ary'ego Marka Gilmore'a. Następnie – w dowolnie wybranym czasie rozsypane po zielonych wzgórzach stanu Oregon, a także w stanie Waszyngton.

Jeżeli moja własna matka i ojciec – Charles R. Baker i Kathryne N. Baker nie zgodzą się spełnić tej prośby – niech tak będzie. Niech sami zadecydują.

Prosiłabym, żeby postarali się o co najmniej trzy piosenki do odśpiewania na moim pogrzebie…

Piosenkę napisaną przez Johna Newtona pod tytułem,,Cudowna łaska", utwór Krisa Kristoffersona pod tytułem,, Dlaczego ja" i również piosenkę zatytułowaną,,Dolina łez", której autora nie znam.

Jeśli jakieś inne osoby, przyjaciele lub rodzina, zechcą zaśpiewać albo wysłuchać jeszcze jakichś piosenek na moim pogrzebie, ze względu na mnie albo na tych, co żałują mojego odejścia, mają mi za złe, albo są obojętni – cóż… będę wdzięczna.

Czytając to teraz, Nicole spostrzegła, że ma jeszcze coś do powiedzenia, jeszcze trochę. Przecież nie napisała, co zrobić z jej rzeczami. W ciszy mieszkania usiadła nad kartką przy stole.

Nicole K. Baker Pon. 15 list. 1976 r.

Nie mam dziś specjalnie nastroju do pisania. Ale myślę, że zostało parę spraw, którymi muszę się zająć.

Nie, tylko to.

Wszystko w moim mieszkaniu oczywiście – moja matka może zadecydować, co z tym zrobić.

Nie mam niczego o wielkiej wartości prócz obrazka z dwoma chłopcami patrzącymi na księżyc. To jest teraz obrazek Sunny Marie Barrett. Ma być zawieszony w jej pokoju, w domu Toma i Marie Barrettów, o ile ona sama nie poprosi, żeby go zabrać – i wolałabym, żeby go nigdy nie sprzedała – ale wybór należy do niej po skończeniu osiemnastu lat.

Jeszcze raz powtarzam: obraz dwóch chłopców patrzących na księżyc* wykonany przez Gary 'ego Gilmore 'a – należy teraz do Sunny Marii Baker Barrett.

Mojej matce daję pełną zgodę na zabranie wszystkich listów albo ich części i może zrobić z nimi, co zechce. Jeżeli uzyska za nie jakieś

pieniądze – tym bardziej mnie to cieszy. Ale życzyłabym sobie, żeby podzieliła się pieniędzmi, jak uzna za sprawiedliwe – ze wszystkimi moimi braćmi i siostrami, a także z moją Ciocią – Kathy Karnpman.

Ponieważ tylu ludzi próbuje, często z powodzeniem, zrobić pieniądze na historii Gary'ego Gilmore 'a, więc ja – bo przecież to był ktoś, kogo kocham, szanuję i komu wierzę – mogę mieć udział w tym sukcesie. Czyli. •• listy należą do mojej Matki, Kathryne N. Baker.

Jeżeli ona zechce je spalić – niech tak będzie.

Mojej Matce pewnie się nie przydadzą żadne moje sprzęty domowego użytku – są bez wartości – wobec tego bardzo bym chciała, żeby moja dobra znajoma Kathy Maynard wzięła sobie, cokolwiek wybierze z mebli iż rzeczy, które wiszą na ścianach - jednym słowem, wszystkie rzeczy z mieszkania, z którymi moja Matka rozstanie się bez żalu. Mam szczerą nadzieję, że Mama będzie tu rozsądna. Kathy M. pomagała mi przez wiele trudnych dni – a ma w domu mało mebli i tych rzeczy.

To tyle

Nicole K. Baker

6

Pastylek było dużo i brała je powoli, łykając jedną albo dwie naraz, ostrożnie, żeby się nie udławić. Gdyby zwymiotowała, zawaliłaby sprawę. W połowie naszło ją całe mnóstwo myśli. Przypomniał jej się facet ze stacji telewizyjnej w Bostonie, który miał jej zapłacić dwa tysiące dolarów, i zaczęła się martwić, czy on się wywiąże, skoro jej już nie będzie. Bo tak, to skąd April ma wziąć pieniądze na szpital? Pomyślała też, że on obiecał rano przyjechać, i co się stanie, kiedy mu nikt nie otworzy? Wejdzie do środka? Jeżeli ona do tej pory nie umrze, mogą ją ożywić. Musiała więc zdecydować, czy ma zamknąć drzwi na zasuwkę.

Nie chciała, żeby ktokolwiek mógł wejść. Jednak jeśli będą musieli wyważyć drzwi, hałas przestraszy Jeremy'ego. Z drugiej strony, jeżeli drzwi nie będą zamknięte na zasuwkę, Jeremy z łatwością je otworzy i rano powędruje na dwór. Kathy Maynard może go znaleźć, Przynieść z powrotem i odkryje ją wtedy zbyt wcześnie. W końcu Nicole przekręciła zasuwkę. Dalej czuła się okropnie na myśl o tym, Jak Jeremy rano będzie pętał się w kółko i na nią patrzył.

Brała już po trzy albo cztery seconale na raz i popijała wodą, a przy niej siedział Gary. Ostatnio nie opuszczał jej myśli nawet na parę sekund. Teraz był bardzo blisko i zaczęła myśleć o tym, jak prędko będzie razem z nim, że mu ufa i że się nie boi. Potem pomyślała o tym, że się położy bez ubrania i zastanawiała się, co z tym począć. Nie chciała umierać w ubraniu, to pewne. Ale czuła się dziwnie, kiedy je zdejmowała. Rano mogą przyjść reporterzy i patrzeć na jej ciało.

Kiedy się kładła do łóżka, wzięła zdjęcie Gary'ego, włożyła je pod poduszkę, cały czas trzymając na nim dłoń i poczuła się jeszcze bardziej naga tej nocy. Potem pigułki zaczęły fajnie działać. Naprawdę czuła ich siłę. Wstała z łóżka i przeszła się trochę, żeby tylko poczuć, jak stopy poruszają się płynąc jedna

za drugą. To było strasznie przyjemne, jak gdyby uczyła się chodzić po raz pierwszy, wreszcie nogi zaczęły jej ciążyć. Znów się położyła ze zdjęciem Gary'ego pod dłonią i pomyślała o liście napisanym na dziesięć minut przed połknięciem pastylek. Czytając ostatnią wolę i testament oraz list z dyspozycjami co do mebli, doszła do wniosku, że nie zostawia nic naprawdę osobistego, szczerego, dla matki i dla rodziny. Napisała więc dodatkowy list, potem myślała jeszcze o tym i o owym, o Kathy Maynard z mieszkania obok, która była najfajniejszą sąsiadką, jaka jej się dotąd trafiła, uczynna, nie dawała się prosić. Potem ostatni list zaczął się w myślach rozmywać i Nicole zasnęła.

Pon. 15 listop. 1976 Mamo, Tato, Rik, April, Mikę, Angel!

Wszyscy wiedzą, że Was Kocham i Szanuję.

Nie gniewajcie się, że odeszłam z tego życia.

Staram się nikogo nie krzywdzić – gdybym mogła oszczędzić wam całego w ogóle cierpienia – na pewno bym to zrobiła.

Ale po prostu odchodzę. Bo chcę tego bardzo.

Pragnienie czegoś takiego – i odmówienie sobie tego – na pewno przemieniłoby mnie z czasem w jakąś zgorzkniałą starą pannę. – albo możliwe, że bym zwariowała.

Myślę, że wszyscy wiele rozumiecie z tego między mną i Garyn a jeśli nie – no to czas pokaże.

Ja Go Kocham. Bardziej niż życie i jeszcze bardziej.

I bardzo Kocham was wszystkich. Jesteście najlepszą rodziną w świecie. Raz czy dwa zdarzały nam się jakieś ostre wejścia, ale mam

, nadzieję, że wszystko złe, co zrobiłam, będzie mi przebaczone tak łatwo, jak ja przebaczam.

Nie chcę już więcej nic mówić. Przepraszam, powinnam zacząć to pisać wcześniej, mam tyle do powiedzenia.

To wszystko w końcu okaże się jasne i słuszne, tylko musicie wiedzieć, że Was dziś wszystkich kocham i zawsze będę kochała.

Proszę też, żebyście po mnie nie płakali – ani nie potępiali Gary'ego.

Kocham go

Sama dokonałam wyboru Nie będę żałować

Proszę, kochajcie zawsze moje dzieci, bo one należą do rodziny. Nigdy nie ukrywajcie przed nimi prawdy.

Kiedy któreś z Was będzie mnie potrzebować, ja tam będę, by Was wysłuchać, bo ja i Gary – i Wy też – jesteśmy częścią cudownie wyrozumiałego Boga.

Niech to rozstanie zbliży nas w Miłości, zrozumieniu i wzajemnym pamiętaniu.

Kocham Was Wszystkich

Niunia

CZĘŚĆ DRUGA

WYŁĄCZNE PRAWA

ROZDZIAŁ 6

Czuwanie

Cztery miesiące po tym, jak Kathy znalazła rano Nicole w łóżku po przedawkowaniu seconalu, ciągle jeszcze przychodzili dziennikarze z magnetofonami. Bardzo interesowali się Nicole, Kathy zaś nie obchodziła ich prawie wcale, lecz niektórzy reporterzy stosują technikę polegającą na początkowym zadawaniu każdemu świadkowi, liczącemu się albo i nie, wielu pytań osobistych.

REPORTER: – Ile miałaś lat, jak wyszłaś za mąż?

KATHY MAYNARD: – Szesnaście.

REPORTER: – Dlaczego wyszłaś za mąż tak wcześnie?

KATHY MAYNARD: – Tak samo jak koleżanki.

REPORTER: – Za kogo wyszłaś?

KATHY MAYNARD: – Za Tima Maira z Heber City.

REPORTER: – Ile on miał lat?

KATHY MAYNARD (ze śmiechem): – Siedemnaście.

REPORTER: – Siedemnaście, to co on w takim razie robił?

KATHY MAYNARD: – Pracował w tartaku.

REPORTER: – A gdzie go poznałaś?

KATHY MAYNARD: – Pod szkołą, na trawniku.

REPORTER: – Jak długo z nim chodziłaś, zanim wzięliście ślub?

KATHY MAYNARD: – Gdzieś z miesiąc.

REPORTER: – Gdzie odbył się ślub?

KATHY MAYNARD: – w jego domu w Heber.

REPORTER: – Dlaczego braliście ślub u niego, a nie u ciebie?

KATHY MAYNARD: – Bo moja mama mieszkała w motelu.

REPORTER: – Twoja matka ucieszyła się z twojego ślubu czy nie

bardzo?

KATHY MAYNARD: – Nie, ona to strasznie przeżywała – wcale

nie chciała tego dla mnie.

REPORTER: – On trzyma słoik z masłem orzechowym, wolno mu?

KATHY MAYNARD: – Kevin, odstaw ten słoik! Zostaw!

REPORTER: – Ile czasu byliście małżeństwem?

KATHY MAYNARD: – Zaraz, zaraz, niech pomyśle… trzy mię-

siące.

REPORTER: – Spaliście ze sobą przed ślubem?

KATHY MAYNARD (ze śmiechem): – O, tak.

REPORTER: – No tak. A co się, hm… stało z tym małżeństwem?

KATHY MAYNARD: – On się zabił.

REPORTER: – Zabił się?

KATHY MAYNARD: – Aha.

REPORTER: – W trakcie waszego małżeństwa?

KATHY MAYNARD: – Aha.

REPORTER: – Dlaczego… to znaczy, co się stało, jak do tego

doszło?

KATHY MAYNARD: – No więc on pił i żeśmy pojechali do Provi

na zakupy przed świętami… i on stanął po drodze do Provo i kupił nóż

myśliwski, a ja jeszcze wtedy nie wiedziałam… '

REPORTER: – Rozumiem…

KATHY MAYNARD: – A w drodze powrotnej tośmy się kłócili, bo

on ciągle odsuwał okno, a było strasznie zimno, no i kiedy żeśmy

zajechali do mamy… on znowu swoje, a moja mama już spała, robiła,

wtedy na trzecią zmianę, i ja mu tylko powiedziałam, żeby był cicho.

i w ogóle… Żeby się przyciszył, bo obudzi mamę, a on się wściekł.

wziął i wyszedł. Ja leżałam w łóżku. Wtedy on wrócił, podszedł, zapalił

światło, wyjął nóż i powiedział „patrz" i się pchnął tym nożem.;

REPORTER: – Tak stojąc przed tobą?

KATHY MAYNARD: – No. Kevin, odstaw ten słoik!

REPORTER: – Masz jakieś pojęcie, dlaczego to zrobił?

KATHY MAYNARD: – Nie wiem. Kiedyś się postrzelił w nogę.

REPORTER: – Jak byliście małżeństwem?

KATHY MAYNARD: – Nie, przed ślubem, bo ja poszłam z innym

facetem.

REPORTER: – Rozumiem.

KATHY MAYNARD: Kevin, idź się chwilę pobaw.

RepORTER: – Obwiniałaś siebie? – KATHY MAYNARD: – Oj tak, i to nawet dosyć długo, bo strasznie się gryzłam, myślałam sobie: a jakbym się. z nim wtedy nie pokłóciła. – REPORTER: – Aha…

KATHY MAYNARD: – Ja tam nie wiem, ale po rozmowach z różnymi ludźmi zrozumiałam, że on był chory i potrzebował pomocy.

REPORTER: – Gdzie on sobie wbił nóż?

KATHY MAYNARD: – No więc w brzuch. Nie mogli mu zatamować krwi i podwiązać żył, dlatego on dostał szoku i ta

utrata

krwi…

REPORTER: – Czy umarł tam, w mieszkaniu?

KATHY MAYNARD: – Nie, skąd, w klinice Uniwersytetu Utah

w Salt Lakę… Dwa dni później.

REPORTER: – Dwa dni później?

KATHY MAYNARD: – No.

REPORTER: – A ty… byłaś wtedy w ciąży albo coś?

KATHY MAYNARD: – No więc byłam. Bliźniaki są Tima.

REPORTER: – A wiedziałaś wtedy, że jesteś w ciąży?

KATHY MAYNARD: – A skąd!

REPORTER: – Ile czasu po jego śmierci się dowiedziałaś?

KATHY MAYNARD: – Zaraz… Daj mi tu ten słoik i pokrywkę,

dobrze? Zaraz, niech pomyślę, jeden okres mi się spóźniał, ale się tym

nie martwiłam, bo już przedtem miałam takie numery, więc…

REPORTER: – Czyli dowiedziałaś się po dwóch miesiącach?

KATHY MAYNARD: – Aha.

REPORTER: – Mówisz to z westchnieniem…

KATHY MAYNARD: – Oj, bo to mi namieszało. Tak jak mówię,

wyszłam za Lesa Maynarda w dwa tygodnie po śmierci Tima,

więc…

REPORTER: – To znaczy wyszłaś za mąż zaraz po tym, jak umarł

Tim?

KATHY MAYNARD: – Spotkałam Lesa na Tima pogrzebie.

REPORTER: – Znałaś Lesa Maynarda wcześniej czy nie?

KATHY MAYNARD: – W ogóle nie wiedziałam, co on za jeden.

REPORTER: – A skąd się wziął na pogrzebie?

KATHY MAYNARD: – Był kumplem Tima. Jego znał.

REPORTER: – No tak. Czyli poznałaś go na pogrzebie. A co

zdarzyło się później?

KATHY MAYNARD: – Hm… (po chwili namysłu) No więc wtedy mieszkałam u kuzynki z jej mężem i przyjechał Les. Po śmierci Tima nie trzeźwiałam przez dwa tygodnie… REPORTER: – Chodziłaś pijana? KATHY MAYNARD (ze śmiechem): – Tak było. REPORTER: – Co piłaś: piwo, whisky?

KATHY MAYNARD: – Wszystko, jak leci. Zabrałam wszystkie pieniądze z pogrzebu Tima i po prostu przepuściłam na gorzałę, a Les siedział tam ze mną przez dwa tygodnie, potem wzięliśmy ślub…

REPORTER: – Dlaczego wyszłaś za Lesa? KATHY MAYNARD: – Samotność. Chyba się bałam. REPORTER: – A dlaczego on się z tobą ożenił? KATHY MAYNARD: – Pojęcia nie mam. Może mu było mnie żal.

REPORTER: – Nigdy o tym nie rozmawialiście? KATHY MAYNARD: – Nie.

REPORTER: – A jakie było to twoje małżeństwo z Lesem? KATHY MAYNARD: – Okropne. REPORTER: – Od samego początku? KATHY MAYNARD: – No bo jak wytrzeźwiałam i dotarło do' mnie, co zrobiłam, nie dałam mu się dotknąć, poza tym… wysiadywałam cały czas na cmentarzu przy grobie Tima i rzuciłam ślubną obrączkę na Tima grób. W ogóle mi się porobiło. Później wybyłam na parę miesięcy i przez to była kupa kłopotów, zaczęła się zazdrość i te rzeczy…

REPORTER: – Kiedy wybyłaś, zadawałaś się z innymi facetami? KATHY MAYNARD: Nie, skąd. REPORTER: – Po prostu chciałaś być sama? KATHY MAYNARD: – Aha.

REPORTER: – Więc nigdy nie byłaś w nim zakochana? KATHY MAYNARD: – To nie mogła być miłość. I nie była. Ale myślę, że później to się rozwinęło. Jak już mieliśmy dzieci. REPORTER: – Pierwszą dwójkę? KATHY MAYNARD: – Mhm. REPORTER: – I jak długo z nim mieszkałaś? KATHY MAYNARD: – Parę tygodni.

REPORTER: Z Lesem też byłaś tylko parę tygodni? Kiedy go ostatnio widziałaś?

KATHY MAYNARD: – Lesa? Ha, ha, przedwczoraj. REPORTER: – Widujecie się od czasu do czasu?

KATHY MAYNARD: – Mhm. On chodzi z moją najlepszą

przyjaciółką.

REPORTER: – Kiedy przychodzi się z tobą spotkać, robicie to czy

nie?

KATHY MAYNARD: – Nie, skąd.

REPORTER: – Czy jesteście z Lesem rozwiedzeni?

KaTHY MAYNARD: – Teraz to załatwiamy.

REPORTER: – Czym on się teraz zajmuje?

KATHY MAYNARD: – Pracuje na stacji obsługi w Spanish.

REPORTER: – W Spanish Fork?

KATHY MAYNARD: – Właśnie.

Kathy budziła Nicole codziennie rano. Żeby wcześnie wstać i pojechać do Gary'ego, potrzebna była Kathy. Przeważnie Nicole po prostu nie mogła się obudzić.

W ten szczególny poranek Kathy zabrała ze sobą dzbanek kawy i pukała, dzwoniła dzwonkiem, potem zaglądała przez okno, widząc pogrążoną we śnie Nicole. Leżała na brzuchu na tapczanie. Widać było kawałek jej nagich pleców. Kathy dzwoniła jakiś czas, potem spróbowała otworzyć drzwi. Były zamknięte, co ją trochę zaniepokoiło. Zaniosła kawę z powrotem do swego mieszkania, wróciła i zaczęła wołać Jeremy'ego po imieniu, aż wreszcie się obudził i wyszedł z sypialni. Ciągle jeszcze na wpół spał i klapnął na tapczan koło Nicole. Miał na sobie zieloną piżamkę i chodziło mu tylko o to, żeby jeszcze pospać. W końcu, po piętnastu minutach, udało jej się nakłonić go do otwarcia drzwi, ale kiedy Kathy weszła, potrząsnęła Nicole i przewróciła ją na plecy, Nicole nie reagowała.

Nicole zasnęła na zdjęciu Gary'ego w złotej ramce; to było zwykłe kolorowe zdjęcie z więzienia, gdzie stał w niebieskiej kurtce, ale dobrze wyszedł. Obok zdjęcia leżał list i Kathy spostrzegła, że to stary list, z początku sierpnia. Zauważyła datę, bo Nicole często mówiła o tym, ile znaczy dla niej jego pierwszy długi list. Następnie Kathy

znowu próbowała obudzić Nicole. Jeremy cały czas je obie obser-wował.

Wreszcie Kathy poszła po Sherry, inną sąsiadkę i obydwie przyszły tarmosić Nicole, potem stanęły na balkonie, w levisach

i na bosaka, wyraźnie zaniepokojone. Mniej więcej w momencie, jak się zdecydo-wały dzwonić po lekarza, zbliżył się reporter Jeff Newman kierując się prosto do drzwi Nicole i Kathy zawołała:

–Ona śpi! Nicole jeszcze śpi!

Jeff Newman spojrzał na nie trochę dziwnie i powiedział:

–Nic jej nie jest? Miałem ją dziś rano podwieźć do więzienia. Kathy odparła:

–Nie, jest po prostu zmęczona. On na to:

–Wrócę za pół godziny – i poszedł. Wtedy zadzwoniły do lekarza Sherry. Kiedy tylko doktor usłyszał nazwisko Nicole, kazał dzwonić do szpitala.

Po mieszkaniu latały gliny próbując znaleźć fiolki od tabletek, sanitariusze uwijali się badając Nicole i zaraz ją wzięli na nosze, a Kathy poszła szukać Jeremy'ego, który właśnie był u niej, z jej dziećmi. Wszystkie razem wyjadały galaretkę z lodówki. Wtedy akurat wrócił Jeff Newman. Kathy powiedziała:

–Nie wiem, czy Nicole życzy sobie, żeby pan tu siedział.

–Nigdzie się stąd nie ruszę – oświadczył.

Kathy pomyślała, że kiedy kręcą się w pobliżu tacy jak Jeff, lepiej zabrać stamtąd listy Nicole. Wzięła więc szarą papierową torbę, wpakowała je do środka i zaniosła wszystkie do własnego mieszkania. Wtedy przypadkiem wpadł Les i Kathy mogła wyskoczyć po mleko dla dzieci, a kiedy jej nie było, zjawili się dwaj policjanci i powiedzieli Lesowi, że szukają listów. Może obserwowali jej mieszkanie. Mówili, że Kathy napyta sobie biedy. Les powiedział:

–Dobra, zabierajcie.

Później, w ciągu dnia, Kathy próbowała odwiedzić Nicole w szpitalu, ale pilnujący nikogo tam nie puszczali, tylko rodzinę. I faktycznie, Kathy więcej nie zobaczyła Nicole.

Sobotnio-niedzielne rozmowy z Garym pełne były literackich i filozoficznych kwestii na temat natury więzienia i w ten wtorkowy poranek Dennis zamierzał porozmawiać o morderstwach. Naturalnie był ciekaw. Mocno nim wstrząsnęło, kiedy zadzwonił reporter i spytał, co pan Boaz sądzi o wspólnej próbie samobójczej Gary'ego i Nicole. Dennis kompletnie zapomniał o „nie lękaj się ostrza". Powiedział do siebie: Z niczym nie jestem na bieżąco.

Dziennikarza zapytał:

–Czy oni żyją?

–Jeszcze zipią – odparł reporter.

Nie dalej jak wczoraj kolega namawiał Dennisa na załatwienie z Garym umowy na piśmie. Dennis nie chciał. W tak niezwykłej sytuacji jak ta pisemny kontrakt zniszczyłby jakąkolwiek nadzieję na sensowny układ międzyludzki. Co prawda, zauważył, że Gary'ego zaczynają wciągać interesy. Poprzedniego dnia okazał pewne zainteresowanie Susskindem, mówił też o Schillerze, który mu przysłał telegram. Dennis wyczuł w głosie Gary'-ego nutkę zainteresowania. Dlatego tak zaskoczyła go ta próba samobójcza.

Potem dzień zepsół się do reszty. Zadzwonił inny dziennikarz, żeby powiedzieć:

–Panie Boaz, Sam Smith wciągnął pana na listę osób, które mogły podsunąć tabletki Gilmore'owi.

Dennisowi zrobiło się niedobrze. Co będzie, jeśli bez jego wiedzy w więzieniu nagrywano ich rozmowy z Garym? Może nagrali tę, w której mówił Gary'emu, że przyniesie pięćdziesiąt

seconali, a już nie nagrali tej z następnego widzenia, kiedy powiadomił Gary'ego, że na Pewno tego nie zrobi, bo nie mógłby? W tym momencie Dennis dowiedział się, jak to jest, kiedy lepka i zimna łapa strachu ściska ci Wszystkie flaki. To nie żadna przenośnia. Jego wnętrzności chwyciła w kleszcze jakaś zewnętrzna siła.

W szpitalu człowiek z „Newsweeka" przekazał te same wiadomości, jest u naczelnika podejrzanym numer jeden. Potem to samo

powiedział Geraldowi Rivera z ABC. Dennis myślał: tego mi jeszcze brakowało.

Ten dzień stanowił dla niego katharsis i wielkie przeżycie. Na myśl o śmierci Gary'ego i Nicole Dennis poczuł nagle taki żal, że zaczął wątpić, czy mógłby w zgodzie z sumieniem występować o egzekucję Gary'ego.

Właśnie wtedy Geraldowi Rivera zaproponował wywiad i obaj udali się do jego apartamentu hotelowego, by omówić sprawę. Przez ostatni tydzień Dennis nie używał trawy, żeby chronić Gary'ego, i teraz nie miał nic ze sobą, ale pomyślał, że Rivera zna może kogoś, kto da mu popalić, i rzeczywiście, w hotelu mieszkał jeden reporter, co miał bardzo dobry towar z Tajlandii. Dennis chłonął to do płuc niczym miłość. Przecież zawsze istniała logiczna przesłanka, iż pewna porcja Bożej miłości dostała się trawie. Oczywiście Dennis napotkał również głosiciela interesującej hipotezy o odmiennej treści, mianowicie że do płuc, zamiast miłości, wchłania się produkt zastępczy podsunięty przez diabła. Interesujący spór, lecz teraz Dennis wiedział jedno: dobra trawa pobudza go emocjonalnie. Idzie wprost do serca.

Kiedy tak siedział w pokoju hotelowym rozmawiając z Geraldem Riverą, ogarnęło go przemożne uczucie beznadziejności i popłakał się. Dennis nie mógł się

powstrzymać. Zaczął głośno chlipać przy Geraldzie. To było o wiele smutniejsze, niż sobie wyobrażał.

Tamera pierwsza powie później, że chyba wyszła na idiotkę, ale nie miała wówczas zielonego pojęcia, że jej artykuł pójdzie na pierwszą stronę. Parę miesięcy wstecz, kiedy dopiero zaczynała w „Deseret News", na pierwszej stronie ukazał się początek jej tekstu z nazwiskiem, konkretnie na temat uszkodzonej tamy Teton Dam. To b duża sprawa jak na początkującą reporterkę. Myślała więc, że artykuł o Teton Dam pozostanie dla niej dziełem życia i nawet do głowy jej nie przyszło powtórzenie sukcesu. Dlatego w poniedziałek po południu wyszła od Nicole, wróciła do gazety, tam, przeczytawszy

listy, całą noc spędziła nad tekstem ani razu nie myśląc o tym, gdzie go wydrukują. Jednak kiedy kończyła około siódmej rano, powinna już wiedzieć. Zaczęli pomagać jej inni, w tym paru redaktorów. Przypuszczała jedynie, że chcą rzucić okiem, bo temat jest dla czytelników drażliwy. W każdym razie wszyscy tłoczyli się przy jej biurku, pomagając nanieść ostatnie poprawki, i w końcu zrobił się z tego typowy gorący kawałek: spod pióra prosto do drukarni. O ósmej rano poszli się drukować i Tamera została, pomagając przy łamaniu numeru, i koło wpół do dziewiątej czy dziewiątej była gotowa położyć się spać, lecz miała jeszcze ochotę zobaczyć przedtem swój tekst w gazecie. Wobec tego poszła na spacer i czekała na poranne wydanie.

Zawędrowała do Ośrodka Gościnnego przy Świątyni i zaczęła wchodzić pod górę. Tam jest wznoszący się spiralnie chodnik, którego wstęga wije się w powietrzu, aż człowiek ma takie uczucie, jakby wkraczał we wszechświat galaktyk. Nad głową góruje granatowy sufit, a u szczytu – wielki posąg Jezusa. Przepiękne miejsce. Tamera bywała tam przedtem, by podumać trochę w samotności. Tam panuje tak błogi spokój, że aż człowiek wyczuwa unoszące się wokół potęgi nieomal

dotykalnie. Tamera modliła się, by jej tekst coś pomógł i żeby wszystko się dobrze ułożyło dla Nicole.

Później wróciła do gazety i w życiu nie widziała w redakcji takiego urwania głowy. Od razu zorientowała się, że rąbnęło coś niesamowitego i poranne wydanie się spóźni. W ogromnym pośpiechu klecili wstępniak, od razu robiąc skład. Obłęd. Podszedł jej szef i mówi:

–Nicole i Gilmore próbowali się zabić. Są na reanimacji. Zacznij pisać krótki tekst. Tamera powiedziała:

–O rany.

Siadła do maszyny, w głowie miała pustkę.

Śmierć i samobójstwo – zaczęła Tamera – stanowiły główny temat rozmów skazanego za zabójstwo Ga-ry'ego Marka Gilmore'a z narzeczoną Nicole Barrett przez cały tydzień poprzedzający próbę samobójczą ich obojga.

Nicole zwierzała mi się z tych rozmów. W trakcie

* przyjacielskich pogawędek, jakie odbywałyśmy w ciągu tego ciężkiego tygodnia, pokazywała listy od Gilmore'a, opowiadała, jak on ją zachęca do samobójstwa i dodaje odwagi, nie taiła również własnych refleksji na temat umierania.

*- Teraz moja przyjaciółka walczy ze śmiercią w szpitalu Provo, a cały świat się przygląda…

*•' Pisała ciurkiem, stronę za stroną, o wszystkim, co przydarzyło się Nicole.

Zdobyłam źródło informacji, do którego nikomu dotąd nie udało się dotrzeć. Budziło to we mnie mieszane uczucia. Jak każdy dziennikarz, miałam nadzieję wyciągnąć z niej jakiś materiał do artykułu, lecz nie traktowałam jej instrumentalnie.

Nie chciałam wywierać presji ani wpędzać jej w ślepy zaułek wbrew woli.

Kiedy zobaczyłam ją przed bramą więzienia, ubraną w levisy, ze swetrem przerzuconym przez ramię i z papierosem, zagadnęłam ją na temat widzenia i tak zaczęłyśmy rozmawiać. Wsiadłyśmy do mego volks-wagena i rozmyślnie nie włączałam radia, żeby nie przeszkadzało, gdyby miała ochotę pomówić – zresztą istotnie tego potrzebowała.

„Z początku na jego widok coś mnie ściska w dołku, powiedziała. Ale potem jest już dobrze. On jest taki.– silny, o wiele silniejszy ode mnie i zawsze mnie pociesza, i podnosi na duchu."

Ten właśnie tekst Tamera pisała mechanicznie jak robot. Później zresztą sama zaczęła go wprowadzać do składu, wciąż jeszcze niezdolna do odczuwania czegokolwiek. Potem dopiero naszły ją sprzeczne uczucia. Nie miała pojęcia, że Nicole dziś to zrobi, w życiu by nie przypuszczała.

Zanim uspokoiła się, jeśli chodzi o jedno, co innego zdążyło już ją rozgniewać. Gary był zwykłym naciągaczem najgorszego gatunku. Co innego namawiać kogoś na pójście do łóżka, myślała Tamera, a co innego wciągać we wspólną śmierć, to absolutny egoizm. Wszystkie te

listy, gdzie był tak chorobliwie zazdrosny. Nie mógł znieść, że ona spotkałaby innego mężczyznę albo coś. Ludzie, pomyślała Tamera, no

ludzie!

Akurat wtedy do pokoju redakcyjnego wszedł jej brat, Cardell. Pracował w centrum miasta, ale pierwszy raz zrobił coś podobnego. Słyszał wiadomości w radiu i przyszło mu do głowy, że Tamera będzie go potrzebować. Uściskała Cardella i popłakała się. Być może obojgu przyszedł na myśl jej dawny

chłopak, ten więzień. Później, wieczorem, zadzwonił jej drugi brat z Vancouver w stanie Waszyngton, żeby pogratulować, i mówił, jacy z żoną są z niej dumni. Robią odbitki artykułów, żeby rozesłać po rodzinie. Dowiedziała się potem, że przedrukowywali ją wszędzie. Duży fragment poszedł w serwisie Associated Press, w „London Observer", drukowała ją skandynawska agencja, jakaś gazeta w Południowej Afryce, agencja z Paryża, „Newsweek" i zachodni Niemcy. Gazeta puszczała tekst każdorazowo za siedemset pięćdziesiąt dolarów, przez co uzyskano zwrot całej sumy, jaką Tamera od początku zarobiła. To była naprawdę fajna sprawa.

Wayne Watson i Brent Bullock z biura Noalla Wootona udali się do mieszkania Nicole Barrett zaraz potem, jak policja zawiadomiła o listach. Pomyśleli, że mogą się w nich trafić zeznania, które przydadzą się w sprawie o zabójstwo Maxa Jensena, jeżeli proces miałby zostać wznowiony.

Po powrocie do biura Noalla Watson i Bullock zaczęli przeglądać zdobycz, ale po pierwszych dziesięciu stracili zainteresowanie. Facet z pewnością inteligentny, lecz jego listy – pod kątem nowego materiału dowodowego – były po prostu nudne. Wayne Watson trafił co prawda akapit, który mógł mieć pewien sens, jeśli znało się rymowany slang więzienny, bo „pigułki" figurowały tam jako „świeże bułki", zadzwonił więc do człowieka z biura szeryfa Salt Lakę, Prowadzącego śledztwo w sprawie przemytu tabletek do więzienia i Powiedział mu, że to prawdopodobnie sprawka Nicole.

Właściwie najlepsze, co wynieśli z całej sprawy, to zdjęcie, jakie fotograf z gazety zrobił Brentowi Bullockowi i Wayne'owi Watsonowi w pokoiku Nicole. Na zdjęciu każdy z nich ukląkł na jedno kolano nad stertą listów na podłodze, a obaj wyglądali przy tym na gwiazdy zawodowego futbolu, przystojni jak cholera, Brent ze swoim bujnyn wąsem. Kiedy to ukazało się w gazecie, żony i znajomi ciągle trącali ich łokciem. Że niby superglina, te rzeczy.

Kathryne siedziała w pracy, w Meblach Ideał, kiedy zadzwoniła pani Strong, jej matka.

–Słyszałaś w radiu? – dopytywała się. – Masz włączone radio Kathryne wykrztusiła wreszcie jedno słowo:

–Nicole!

Straciła głowę. Zaczęła krzyczeć:

–Nie! Nie! Nie!

Po prostu spodziewała się najgorszego. W głębi sklepu włączone było cały czas duże stereo, ale grało cicho, zresztą i tak nie słuchała Teraz nadstawiła uszu i dobiegły ją słowa: „Dziewczyna Gilmore'a… samobójstwo". Kathryne dostała histerii. Jej matka musiała raz po raz wrzeszczeć do słuchawki, zanim cokolwiek do niej dotarło.

–Słuchaj, ona żyje – mówiła matka. – Jest w Szpitalu Utah Yalley. Zaraz podjadę cię zabrać.

Czas dla Kathryne odmierzały stracone minuty, jeszcze była w szoku. Pod sklep zajechała jej matka starym lincolnem, śmierdzącym starym lincolnem, z którego nabijała się cała rodzina, i zabrała ją do szpitala. Tam stanęły przy wejściu na oddział reanimacji, ale kobieta z recepcji odesłała je do innego wejścia. Kiedy weszły na salę, gdzie leżała Nicole, Kathryne ogarnęło przerażenie. Znów widziała potworną maszynę. Niecały tydzień temu jej ojca podłączyli do takiej samej maszyny. I teraz on nie żyje, a nad Nicole dopiero pracują.

Dali Kathryne trochę valium i przyszedł lekarz. Cedził słowa przez małe wąskie wargi i nie był w stanie dać Nicole nawet pięćdziesięciu procent szans.

–Może być lepiej albo gorzej – powiedział, potem dodał: – Nie wiemy ^ czy nastąpiło uszkodzenie mózgu… jest też kwestia,

czy maszyna podtrzyma pracę płuc… tego też nie mogę zagwarantować.

Nadziei to on ludziom nie robił.

–Nie mogę niczego obiecywać – mówił – dopóki wszystkie toksyny nie zostaną wypłukane z organizmu. Przed drzwiami siedział policjant.

Kathryne mogła wejść do Nicole na piętnaście minut, później wyszła, usiadła w holu i wpuścili jej matkę. Potem znowu ona. I tak przez całe popołudnie. Rikki przybył z Wyoming na pogrzeb dziadka.

jeszcze nie wyjechał, dyżurował więc teraz na oddziale i bronił wstępu dziennikarzom. Wszystkich reporterów trzymano na dole, ale jedna dziewczyna zdołała się wśliznąć i siedziała tam cały dzień, robiąc na drutach; na podłodze postawiła torbę z włóczką. Pojęcia nie mieli, że to reporterka. Po trzech godzinach odezwała się do Kathryne:

–Pani jest matką Nicole?

Kathryne spojrzała tylko na nią nieprzytomnie. Wtedy dziewczyna zwróciła się do Kathy Kampman:

–Czy pani jest z rodziny Nicole? Kathy powiedziała:

–Proszę nas zostawić w spokoju. Ale dziewczyna dalej pytała:

–Czy Nicole ma rodzeństwo? Wtedy Kathy pojęła:

–Pani jest z telewizji.

Spostrzegła, że kiedy tylko któreś z nich coś mówiło, dziewczyna schylała się do torby z kłębkami, żeby coś włączyć. Kathryne dostała szału. Dziewczynę natychmiast wyrzucono.

Najpierw Charley nie miał zamiaru wpadać, ale potem, ku zdziwieniu Kathryne, zjawił się koło trzeciej po południu, kiedy ona pojechała do mieszkania Nicole. Pielęgniarka opowiadała, że był tu pan Baker, na widok Nicole załamał się i poszedł. Później Kathryne dowiedziała Się, że Charley pojechał do Pleasant Grove i został tam na noc

z Mikiem i Angel. trzymała się jakimś cudem. Nie pamięta, żeby coś jadła. O Północy zatelefonowała do paru znajomych Starszych Kościoła, oni przyjechali, żeby modlić się z Kathryne przy łóżku Nicole,

namaszczając jej głowę olejami i przykładając ręce do czoła. Modlił się, by Bóg ją z tego wyciągnął. Nie mogli tego robić w imieniu Kościoła ze względu na fakt, że ona próbowała odebrać sobie życie ale prosili Pana, by ją wysłuchał ze względu na wiarę pozostałych członków rodziny.

Około czwartej nad ranem matka odwiozła ją do domu i Kathryne przesiedziała z Charleyem do dziesiątej, aż on ją odwiózł z powrotem do szpitala. Tyle godzin na nogach. Co chwila dzwoniła do szpitala, czy nic się nie zmieniło.

Drugiego dnia na dole tłoczyło się tylu reporterów, że Kathryne była zmuszona wchodzić i wychodzić w długiej blond peruce.

«DESERET NEWS»

Nasłwille, Tennessee (AP) 16 listopada. Gwiazda muzyki country, Johnny Cash, oświadczył, że próbował telefonować do Gary'ego Gilmore'a przebywającego w Więzieniu Stanowym Utah, by nakłonić go „do walki o życie", w parę minut po tym, jak skazanego mordercę znaleziono nieprzytomnego wskutek domniemanej próby samobójstwa.

„Nie wiem, co powiedziałbym człowiekowi, który zamierza odebrać sobie życie – stwierdził Cash. – Czasem uda się pomóc, czasem nie. Ale starałbym się mu to wyperswadować."

Piosenkarz oświadczył, iż w pierwszej chwili nie chciał się w to mieszać. „Powiedziałem mu (tzn. adwokatowi), że nie szukam reklamy. Uważałem, że lepiej się nie wtrącać. Komu potrzebny tego rodzaju rozgłos?"

Ponieważ Boaz nalegał twierdząc, że jego klient pragnie zobaczyć się z Cashem i go poznać, Cash zdecydował się zatelefonować do więzienia.

Brenda usłyszała wiadomość i od tej chwili zaczęła dzwonić co godzina, ale w szpitalu Gary'ego w Salt Lakę mówili tylko, że on jeszcze żyje. Brenda pytała:

–A jak przyjadę, wpuścicie mnie do niego?

–Wpuścimy – odpowiadali – tylko musi pani przyjechać z gubernatorem.

Zapytała, czy może przynajmniej porozmawiać z którąś z dyżurujących przy nim pielęgniarek i wreszcie dali do telefonu jakąś kobietę.

–Bardzo proszę przekazać Gary'emu, że dzwoniła Brenda i że on mi jest bardzo drogi – powiedziała. – Chciałabym, żeby

walczył o życie.

Normalnie mózg staje. Nigdy się nie dowiedziała, czy siostra przekazała wiadomość.

W szpitalu właściwie uznano za przesądzone, że Gary nie próbował tak naprawdę się zabić. Według ich najlepszych obliczeń zażył najwyżej połowę dawki śmiertelnej – dwadzieścia kapsułek, około dwóch gramów. Trzy gramy stanowiły pięćdziesięcioprocentową dawkę śmiertelną, czyli połowa osób, które przyjęły tę dawkę, umarła. Ponieważ Gilmore to kawał mężczyzny, szansa, że dwa gramy załatwią sprawę, była niewielka. Poza tym on wziął te tabletki tuż przed porannym obchodem. Podejrzanie. Wyglądało na to, że Nicole połknęła taką samą dawkę wiele godzin wcześniej i jej stan był znacznie gorszy. Ona w końcu waży ledwie czterdzieści pięć kilo. A on prawie dwa razy tyle.

REPORTER: – Ma pan jakiś pomysł, jak on mógł zdobyć te środki? NACZELNIK: – Otóż istnieje wiele możliwości. Mógł zbierać własne lekarstwa, najpierw je gromadził, potem połknął. Mógł także zdobyć je od innych więźniów przebywających pod Maksymalnym Nadzorem, możliwe też, że uzyskał je od osób odwiedzających.

REPORTER: – Jak łatwo byłoby dostarczyć więźniom tabletki? NACZELNIK: – Cóż, praktycznie niemożliwe jest wykluczenie ewentualności, że ktoś ukrył na sobie coś tak małego jak tabletki w którymś z otworów ciała.

REPORTER: – A jednak przeprowadza się rewizję osobistą

odwiedzającym?

NACZELNIK: – Owszem, zewnętrznie, ale nie znaczy to, że badany

jest każdy otwór ciała; nigdy nie zdobywa się absolutnej pewności, że

ktoś nie ma tam ukrytych leków.

REPORTER: – Jako człowiek odpowiedzialny za bezpieczeństwo

i zdrowie Gilmore'a, co pan czuje w związku z dzisiejszym wydarzę-

niem?

NACZELNIK: – Oczywiście czuję głęboki żal, jednak bądźmy

realistami: kiedy dana osoba pragnie odebrać sobie życie, nader

trudno będzie ją od tego na dłuższą metę powstrzymać.

REPORTER: – Dziękuję, Sam.

Wywiad ten doprowadził dziennikarzy do pasji. Jeden z reporterów zauważył, że Sam Smith działa lepiej niż środki nasenne.

Wśród dziennikarzy krążył dowcip, że zlokalizowanie adresu w którymś z miast stanu Utah przypomina namiary artyleryjskie na mapie sztabowej. 2575 Północna, 1100 Zachodnia. „Tak, proszę pana – zapisał w notatkach Barry Farrell. – Trafił pan pod właściwy adres Pomylił pan tylko miasta." Barry Farrell przyjechał napisać artykuł dla „New West" i odczuwał głęboką frustrację, gdyż największą przyjemność czerpał z robienia notatek. „Atmosfera trochę jak w Szwajcarii – pisał. – Błogie samozadowolenie, które człowieka z Wybrzeża może tylko rozwścieczyć. Upić się tutaj to jak kuracja znieczuleniowa." Dodał jeszcze: „Po pierwszej w nocy jedyny dźwięk słyszalny w centrum miasta to trzeszczenie neonów."

Ciężko było zdobyć jakiś materiał. Wszystkie źródła odcięte. Farrell nie przypominał sobie zbyt wielu takich przypadków, gdzie główne postacie dramatu były tak nieosiągalne jak tutaj. On sam nie byłby wieloletnim współpracownikiem magazynu „Life", gdyby nie umiał docierać do różnych miejsc. Często zdobywał wywiady nie do zdobycia. Jednak tutaj – żadnych wywiadów. W swoim notesie Farrell pisał: „Można sobie wyobrazić, jak Gilmore się tu dusił… To klaustrofobia, spowodowana brakiem okazji do grzechu."

Earl Doniusł naturalnie chciał wiedzieć, jak środki nasenne dotarły do Gilmore'a, i zadzwonił do naczelnika z prośbą o informacje. SaD› Smith mu powiedział, że najbardziej podejrzani są: Nicole Barrett.

Dennis Boaz, Vern Damico, Ida Damico, oraz Brenda Nicol. Dorius podziękował za udzielenie informacji.

Kiedy Gibbs się dowiedział, przypomniał sobie rozmowę z Garym na temat przemycania prochów pod Maksymalnym nadzorem, To on radził użyć podwójnego balonu.

Tego wieczoru Duży Jake objął służbę i przyszedł powiedzieć Gibbsowi, że ci główni klawisze są durni. Przecież policja Provo informowała więzienie, że Nicole pobrała dwie recepty na seconal w dniu poprzedzającym próby samobójcze. Mimo to nie przeszukali jej jak należy. Popatrzył na Gibbsa i dodał:

–Mogę się założyć, że to ty go oświeciłeś, jak tam wpakować towar.

Duży Jake wyszczerzył zęby i poszedł.

«DESERET NEWS» Listowne prośby o łaskę

16 listopada…Czytelnik z Minneapolis zapytuje, dlaczego jeden Gilmore ma stawać do egzekucji, skoro inni mordercy żyją.

Pisze: „Były porucznik William Calley, skazany za «morderstwo z premedytacją dokonane na co najmniej dwudziestu dwóch Wietnamczykach)) chodzi na wolności."

Jak na ironię, George Latimer, przewodniczący Komisji Ułaskawień, która zadecyduje o losie Gilmore^, był głównym obrońcą Calleya przed sądem cywilnym.

«DESERET NEWS»

16 listopada. Córy Mądrości z Litchfield w stanie Connecticut wydały następujące oświadczenie na temat Gilmore'a: „Wierzymy, że jest mu przeznaczone uczynić coś wzniosłego dla ludzkości. Potrzeba mu czasu, by odkrył to coś."

«DESERET NEWS»

16 listopada… David Jensen, ojciec Maxa Jensena, będący rolnikiem w Idaho, a także Przewodniczącym Zboru w Kościele Świętych Dni Ostatnich, stwierdził: „Jego śmierć napełniła nas smutkiem, lecz to jest los, z którym się godzimy. Na pewno nie chcielibyśmy znaleźć się na miejscu rodziców Gilmore'a."

„DESERET NEWS"

16 listopada. Wdowa po Bushnellu, która spodziewa się drugiego dziecka na początku przyszłego roku, wyjechała do Kalifornii, by zamieszkać tam z teściową. Krewni twierdzą, że jakakolwiek wzmianka o mężu powoduje u niej atak nerwowy.

ROZDZIAŁ 7

Upodobanie

W poniedziałkowy wieczór, kiedy Nicole przeglądała swoją ostatnią wolę i testament, Larry Schiller jechał w Los Angeles na lotnisko międzynarodowe, żeby kupić tam „Newsweeka" z artykułem redakcyjnym o Garym Gilmore. Schiller wiedział, że lotniska dostają tygodniki o dzień wcześniej niż normalne kioski uliczne, i zdarzało się, że w trakcie pracy nad tekstem, kiedy musiał mieć tygodnik w ręku wcześniej od konkurentów, jeździł nawet do lokalnej firmy kolportażowej.

Schiller spędził resztę poniedziałkowego wieczoru nad artykułem redakcyjnym. Wywnioskował z niego, że musi kupić

prawa od pięciu osób. Od Gary'ego – to oczywiste, później Nicole – to dwoje, lecz dopiero w poniedziałek wieczorem po raz pierwszy dowiedział się o istnieniu April Baker i postanowił ją również zakupić. Potem w tekście wyczytał nazwisko Brendy Nicol i pojął, że ona wyciągnęła Gary'ego z więzienia. To może być kluczowa postać w całej historii. Trzeba zdobyć upoważnienie od Brendy. Nie miał pojęcia, że ona jest córką Verna Damico, ani że w ogóle jest spokrewniona, po prostu Vern figurował na jego liście jako piąty.

We wtorek z samego rana zadzwonił do Lou Rudolpha z ABC i oświadczył, że jest bardzo zainteresowany tą sprawą i chce

ją zrobić pod różnym kątem. powiedział Schillerowi czym Prędzej wyłożył niektóre warianty. Nauczył się dawno temu, że

w telewizji trzeba wpierw sprzedać warianty naświetlenia tematu I ustalić, że ta telewizja nie zmieni nastawienia, nawet jeśli uda mu się uzyskać tylko część praw. Gdyby na przykład dostał zgodę Gilmore'a bez Nicole, można zrobić scenariusz o facecie, który po wyjściu z więzienia usiłuje wyzbyć się starych nałogów recydywisty, ale w końcu zabija człowieka – czyli realistyczne studium problemów po odbytej odsiadce. W ten sposób można nawiązać do kary śmierci i cały człowiek ma prawo do umierania z własnej woli, a w ogóle odpuścić wątek miłosny.

Z drugiej strony, mówił Schiller, gdyby nie udało się zdobyć Gilmore'a, tylko dziewczynę, można by nakręcić ciekawą historię dwóch sióstr zakochanych w tym samym kryminaliście. Musieliby podstawić fikcyjną postać przestępcy, ale zostaje do rozpracowania trójkąt miłosny. Albo mogliby się skoncentrować wyłącznie na Nicole i zrobić z tego studium młodej dziewczyny po kilku małżeństwach, obarczonej dziećmi, która zakochuje się w kryminaliście. Zostawić sprawę morderstw, natomiast uwypuklić sam romans i problemy współżycia z wyrzutkiem społecznym.

Schiller tłumaczył Rudolphowi, że nie stara się narzucać z oceną zalet poszczególnych scenariuszy. Twierdzi jedynie, że można pominąć Gilmore'a i zrobić z tego babską opowieść, niczego przy tym nie tracąc.

Zdążył odłożyć słuchawkę, a tu radio go informuje, że Gilmore i Nicole próbowali wspólnie popełnić samobójstwo. Natychmiast zarezerwował bilet lotniczy do Salt Lakę. Z lotniska jeszcze raz zadzwonił do Rudolpha, żeby zaproponować dodatkowy wariant. Nawet założywszy, że zdobędą prawa do Gilmore'a, mogliby zrobić jednocześnie studium dziewczyny, która chce umrzeć i zawiera samobójczy pakt z kryminalistą, licząc na spektakularne wyjście z sytuacji nie do zniesienia.

Schiller powtórzył, że ma pewność co do potencjału możliwości i chce, by go ABC finansowało, ale tak na serio. Nie, nie chodzi o rachunki hotelowe ani bilety lotnicze, Lou, mówił Schiller, te rzecz) to on zawsze załatwi za pomocą własnych kart kredytowych; Schiller chce wsparcia, jak już dotrze gdzie trzeba i będzie załatwiał Gilmore'a Zadzwoni jeszcze z Salt Lakę.

Mógł to przewidzieć. Rozeszła się wiadomość o samobójstwie i z miejsca nie jeden Larry Schiller, tylko cała chmara pędziła do Salt Lakę, do Hiltona, gdzie dziennikarskie małpy mogły się nawzajem obserwować. Zanosiło się, że będzie sporo małp w tym zoo.

Z plotek, które do niego wracały, Schiller wiedział, że wśród dziennikarzy słynie z niecierpliwości i niespożytej energii. Kiedy mówiono mu podobne rzeczy, zawsze wrzucał swój szeroki przyjazny uśmiech. Tego rodzaju plotki maskowały jego tajną broń: cierpliwość. Nie mówił o tym. Starał się sprawiać wrażenie wręcz odwrotne. Ale nie miał nic przeciwko sytuacjom, kiedy trzeba siąść i czekać. Niech to będzie samolot czy poczekalnia. Gdyby tak policzyć lata, od chwili kiedy w czternastym roku życia zaczął robić pieniądze jako spec od śladów poślizgu opon, to według własnych obliczeń zasuwał jak nakręcony

przez dwadzieścia pięć lat. Co mu szkodzi trochę posiedzieć bezczynnie.

Jego ojciec, który kiedyś prowadził sklep Davega przy Times Square i umiał docenić przedsiębiorczość, kupił dzieciakowi aparat Rolleicord i radio z policyjnym zakresem, na którym Schiller łapał wezwania do wypadków, po czym wsiadał na rower i gnał na miejsce kolizji. Jeśli to było daleko, zajeżdżał już po usunięciu pojazdów, ale ciągle mógł fotografować ślady poślizgu. Następnie sprzedawał wywołane zdjęcia towarzystwom ubezpieczeniowym. W ten sposób terminował przed wejściem na rynek.

Schiller załapał się do prasy jako jeden z najmłodszych fotografów w tygodniku „Life" i zrobił Chruszczowa w ONZ i panią Nhu w klasztorze, był w Watykanie, kiedy umarł papież, i sfotografował Nixona płaczącego po przegranej z Kennedym, bardzo znane zdjęcie. Potrafił podróżować bez walizki. Zdobył wyłączność na pięcioraczki Fisher i uwieczniał trzęsienie ziemi na Alasce, zamach w Dallas i zamieszki w Watts, Olimpiadę, proces- Sirhana-Sirhana. Zanim skończył dwadzieścia cztery lata, deklarował sześciocyfrowy roczny dochód i straszliwie męczyło go fotografowanie różnych głów od tej

samej postaci. Niewykluczone, że był najlepszym jednookim fotografem na świecie – stracił wzrok w drugim oku przez wypadek kiedy miał pięć lat – jednak nużyło go to pakowanie się w życie innych ludzi, żeby uścisnąć im dłoń, zrobić zdjęcie i wyjść. Porzucił "Life" i zajął się opracowywaniem filmów, książek oraz błyskawiczną rezerwacją tematów dla prasy, i to nie byle jakich tematów Chciał przedstawiać ludzi dogłębnie. Zamiast tego zrobił Jacka Ruby'ego na łożu śmierci i Susan Atkins w procesie Mansona Zdobył fatalną reputację. Ciężko pracował, by zmienić wyobrażenia o sobie. Opublikował książkę pod tytułem Minamata o zatruciach rtęcią w Japonii i robił montaż do filmów Butch Cassidy i Sundance Kid oraz Pani śpiewa bluesa, był realizatorem i reżyserem Amerykańskiego

marzyciela z Dennisem Hopperem, robił wywiady do książki Alberta Goldmana o Lennym Bruce. Dostał Oscara w kategorii specjalnej za Człowieka, który zjechał na nartach z Everestu. To się nie liczyło. Został dziennikarzem, który handluje śmiercią.

Siedząc w samolocie odpoczywał po dwudziestu pięciu latach gonitwy spod gradu kul do portretów na okładki, od zamieszek do wyborów; usiadł wreszcie bez ruchu, dwudziestopięcioletnie zmęczenie nie wryło mu się w kości niczym ślad hamowania i w samolocie pełnym dziennikarskich małp lecących do Salt Lakę przemyślał wszystko jeszcze raz. Historia Gilmore'a nie poprawi mu opinii, jednak nie można tego puścić. To drażniło w nim żyłkę, która nie daje za wygraną.

Jak dotąd, z dwóch krótkich wypadów do Salt Lakę wracał z pustymi rękami. Nie był przyzwyczajony do tak mizernych rezultatów. Wiedziony instynktem, pojechał do Salt Lakę zaledwie dziesięć dni po oświadczeniu Gilmore'a, że apelacji nie będzie, lecz niczego nie znalazł. Boaz kontrolował dojścia i nie okazał mu zainteresowania. Boaz umawiał się z Davidem Susskindem.

Schiller przeczytał jeszcze raz telegram, który wysłał Gilmore'owi dwa dni temu.

14 listopada

GILMORE

WIĘZIENIE STANOWE UTAH SKR. POCZT. 250 PRAPER, UT 84020

W IMIENIU ABC DZIAŁ FILMU, NOWEJ SPÓŁKI INGOT ORAZ MOICH WSPÓŁPRACOWNIKÓW CHCIAŁBYM ZAKUPIĆ W CELU KSIĄŻKOWEJ I FILMOWEJ PUBLIKACJI PRAWA DO PRAWDZIWEJ HISTORII PAŃSKIEGO ŻYCIA, OD PANA LUB WYBRANYCH PRZEZ PANA PEŁNOMOCNIKÓW STOPNiA PIERWSZEGO REFERENCJE OD 14 LAT W BRANŻY FILMOWEJ ORAZ 6 BESTSELLERÓW BIOGRAFICZNYCH STOP OSTATNIO ZREALIZOWALIŚMY CIESZĄCY SIĘ UZNANIEM FILM HEJ, JA ŻYJĘ, PRAWDZIWĄ OPOWIEŚĆ Z ŻYCIA LAICKIEGO KAZNODZIEI-MORMONA RALPHA FLORESA I MŁODEJ DZIEWCZYNY, KTÓRZY PO KATASTROFIE LEKKIEGO SAMOLOTU NAD JUKONEM PRZEŻYLI 49 DNI BEZ POŻYWIENIA STOP FILM TEN O NIEWZRUSZONEJ WIERZE W BOGA ZYSKAŁ POCHWAŁĘ KOŚCIOŁA MORMONÓW

1 OGLĄDAŁA GO PONAD 30-MILIONOWA WIDOWNIA STOP WŚRÓD NASZYCH DOKONAŃ NALEŻY WYMIENIĆ BLASK SŁOŃCA, PRAWDZIWĄ OPOWIEŚĆ O LYN HELTON, MŁODEJ MATCE Z DENYER COLORADO, KTÓRA ODDAŁA ŻYCIE W MŁODYM WIEKU ZA SPOTKANIE Z CÓRKĄ STOP TĘ HISTORIĘ NA TEMAT PRAWA DO ŚMIERCI ORAZ SIŁY PRZEKONAŃ OGLĄDAŁO PONAD 70 MILIONÓW WIDZÓW ZAŚ KSIĄŻKĘ BĘDĄCĄ ZAPISEM JEJ WŁASNYCH SŁÓW PRZECZYTAŁO PONAD 8 MILIONÓW LUDZI STOP EGZEMPLARZ PRZESYŁAM PANU OSOBNO STOP PRAGNIEMY PRZEDSTAWIĆ PAŃSKĄ HISTORIĘ JAKO PRAWDĘ, NIE FIKCJĘ STOP WIDZIAŁEM SIĘ Z P. BOAZEM I POWIADOMIŁEM GO O NAWIĄZANIU Z PANEM KORESPONDENCJI STOP Z NIECIERPLIWOŚCIĄ OCZEKUJĘ ODPOWIEDZI OD PANA LUB PAŃSKIEGO PEŁNOMOCNIKA STOP PROSZĘ DZWONIĆ O KAŻDEJ PORZE NA MÓJ RACHUNEK STOP

Z POWAŻANIEM LAWRENCE SCHILLER

Odpowiedzi nie było. Równie dobrze jego telegram mógł wylądować w koszu na poczcie, bo adresat nieznany.

Pojechał zobaczyć się z Vernem Damico w zakładzie szewskim w Provo, lecz nie zastał Verna. W Salt Lakę natknął się przypadkiem na paru lokalnych reporterów i powiedział:

–Nie przyjechałem, żeby wam robić konkurencję, chcę tylko, żebyście mi powiedzieli, kto jest kim w tym mieście i jak można się dostać do Gilmore'a?

Oni się też nie dostali. Schiller słyszał o Nicole, ale mówili mu, że ona z nikim nie rozmawia. Mijał się z nią pod więzieniem.

W czasie tych dwóch pierwszych wypraw do Salt Lakę Schiller natrafiał na kamienny mur. Nie był w stanie zdobyć informacji Wsiadł do wynajętego samochodu i pojechał z Provo na lotnisko w Salt Lakę, podczas jazdy zaś, ze wzrokiem utkwionym w paśmie międzystanowej, powiedział do siebie: jeśli ja nie mogę znaleźć tematu, znaczy nikt nie może. Ale skoro nikt nie może, to musi być dobry kawałek.

Nie przestawał o tym rozmyślać.

W chwili kiedy Schiller usłyszał wiadomość o próbie samobójczej obojga, powiedział sobie: Jest temat, i to nie wydumany. Ponieważ wszystko to prawda, w takim razie sprawa jest po prostu sensacyjna

W Hiltonie wyglądało na to, że tłum reporterów rozrósł się z pięćdziesięciu osób do pięciuset. Zjeżdżali zagraniczni dziennikarze. Brytyjczyków było na kopy. Tam, gdzie masowo zjeżdżają Brytyjczycy, jest temat pierwsza klasa. Materiał znajdzie najszerszy oddźwięk w całym świecie.

Schiller wykonał parę telefonów. Zdaje się, że pech go opuścił Złapał Verna Damico za pierwszym podejściem, odbył miłą rozmowę… zapytał, co pan Damico sądzi o miejscu pobytu Nicole. Damico był najwyraźniej przekonany, że ona przebywa w Szpitalu Provo, wobec czego Schiller umówił się z nim na rozmowę nieco później. Wsiadł w wynajęty samochód. Małpy zostały w Hiltonie i rozprawiały o teoretycznym aspekcie zbrodni, podczas gdy on podążał wprost do Szpitala Provo.

Poczekalnia była niewielka i mieściła mnóstwo osób. podszedł do recepcji i spytał o Nicole Barrett. Oni zachowywali się tak, jak gdyby w życiu o niej nie słyszeli. Przeszedł za ścianę.

zadzwonił do administracji szpitala i spytał, czy możliwe jest szybkie odnalezienie krewnych Nicole Barrett. Kobiecy głos mu odpowiedział, że oni przyjeżdżają i odjeżdżają cały czas. Była tu matka, dowiedział Się Schiller, ale w tej chwili jej nie ma. Schiller rozsiadł się więc, w swojej grubej brązowej jesionce, nastawiony na dłuższe czekanie. \V poczekalni było gorąco, ale jemu pasowało. Gilmore leży w szpitalu, pod strażą. Gilmore jest wyłączony i nieosiągalny. Tam w Salt Lakę małpy latają w te i wewte, wymieniają informacje, a przecież w tej historii liczy się w tej chwili tylko Gilmore i Nicole. Ponieważ nie da się dotrzeć do Gilmore'a, trzeba czekać i nawiązać kontakt z Nicole. Dla Schillera to było nader proste.

Nie denerwowało go przesiadywanie godzinami. Inni reporterzy telefonowali, sprawdzali, czy coś się nie wydarzyło, a Schiller siedział rozluźniony, rozbierało go ciepło poczekalni i wypacał z siebie zmęczenie minionych dwudziestu pięciu lat, kropla za kroplą, z bezdennych pokładów zmęczenia; po prostu siedział i rozmyślał po cichu, pozwalając, by spływały po nim grzechy i błędy, a on dokonywał ich przeglądu. Niekorzystanie z doświadczeń uważał za coś nieprzyzwoitego.

Jego największym grzechem i błędem numer jeden – jak zazwyczaj sądził – była historia Susan Atkins. Przebywał akurat w Jugosławii, kiedy miały miejsce morderstwa Tatę – LaBianca,

ale pół roku później, gdy jechał akurat autostradą Santa Monica, w wiadomościach radiowych podano, że przebywająca w więzieniu dziewczyna nazwiskiem Susan Atkins przekazała pewne informacje o sprawie Tatę – LaBianca koleżance z celi. Nazajutrz Schiller się dowiedział, że jednym z jej adwokatów jest Paul Caruso, który spisywał kontrakt w 1963 roku, kiedy Schiller sprzedawał Hughowi Hefnerowi zdjęcie nagiej Marilyn Monroe. Żadne pojedyncze zdjęcie nie uzyskało Przedtem tak wysokiej ceny: dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Wobec tego Schiller zadzwonił do Paula Caruso i powiedział, że wersję Susan Atkins można sprzedać na cały świat, co pomoże w uregulowaniu kosztów jej obrony.

W efekcie, pomiędzy dwoma posiedzeniami sądu przysięgłych zaprowadzono Schillera do Susan Atkins, która podczas trzy. częściowego wywiadu wyjawiła mu przebieg morderstw. Rzeczywiście sprzedał to na cały świat. Później były przedruki w Ameryce. Nagle Susan Atkins przestała być koronnym świadkiem oskarżenia, gdyż czerpała zyski z rozpowszechniania własnej wersji wydarzeń. Schiller częściowo zniweczył akt oskarżenia publicznego.

Strasznie go to trafiło, ale dopiero po pewnym czasie pojął, o co chodzi. Pomału zdobywał rozeznanie. Któregoś wieczoru dostał zaproszenie na kolację od słynnego prawnika i nie rozumiał dlaczego, dopóki nie zobaczył sześciu sławnych sędziów przy tym samym stole. Chcieli usłyszeć, dlaczego dziennikarz coś podobnego uczynił. To była bardzo intelektualna kolacja: wspaniale, że mógł posiedzieć w towarzystwie tak znaczących i poważnych osób, szkoda tylko, że spierdolił im sprawę.

Zdążył przedtem sprzedać opowieść Susan Atkins wydawnictwu New American Library za piętnaście tysięcy dolarów – błyskawiczna transakcja na nie dopracowaną i beznadziejną książkę, sposób na skasowanie swego udziału – niestety, zamiast zatrzeć ślady, tylko się wyeksponował.

„Newsweek" robił z nim wywiad na temat książki i Schiller oświadczył: W końcu opublikowałem to, co mówiła Susan. Skąd mam wiedzieć, czy to prawda, czy nie?

„Newsweek" wydrukował ten cytat na zakończenie artykułu: „Skąd mam wiedzieć, czy to prawda, czy nie?" Na samą myśl o tym krople potu zraszały mu czoło. Zapamiętał lekcję, której nic nie wymaże, i przypomniał ją sobie tamtego wieczoru, gdy jadł w towarzystwie sędziów. Cały sekret ludzi z klasą polega na trzymaniu się faktów. Schiller nazywał to zapisem historycznym. Historię zapisuje się zgodnie z prawdą. Jeżeli pracujesz według tej zasady, masz szansę zbić kapitał.

Książka wyszła pod tytułem Pomieszanie z poplątaniem i wtedy powiedział sobie: Schiller, spierdoliłeś sprawę. Za te pieniądze, które ci wypłacili przy pierwokupie, mogłeś zrobić wielowymiarowe studium całej „rodziny" Mansona. Odrzuciłeś coś, z czego powinna powstać ważna książka.

Nieprzyjemne wspomnienia. Musiał nawet stawić się przed sądem zeznać, w jaki sposób Susan Atkins udzieliła wywiadu. Na pytanie sędziego: „Jak określiłby pan swój zawód, panie Schiller?", odpowiedział: „Myślę, że jestem dostarczycielem informacji – i sala wybuchneła śmiechem. Uważali go za hochsztaplera. Wspomnienie paliło go w przesłonięte zarostem policzki. „Myślę, że dostarczam informacji" – i śmiech sali sądowej. Do Gilmore'a zabierze się inaczej. Każdy fragment historii będzie miał solidną podkładkę. I dalej tkwił w zaduchu poczekalni, w grubej brązowej jesionce; mijały godziny.

Pod przeciwległą ścianą siedział jakiś brodacz. Schiller z czarną brodą, tamten z jasnobrązową, patrzyli jeden na drugiego. Po godzinie czy dwóch weszła dziewczyna, na oko reporterka, podeszła do tamtego brodacza i po chwili wyzywała go od najgorszych. Schiller zdołał usłyszeć, że facet nazywa się Jeff Newman i jest z „National Enquirer", a dziewczyna wykrzykiwała:

–Wiedziałeś, że ona chce się zabić, i nie kiwnąłeś palcem! Ty i twoja kurewska gazeta!

Newman tak się przejął, że wstał i wyszedł. Wtedy Schiller zbliżył się do dziewczyny i powiedział:

–Jestem Larry Schiller, reprezentuję telewizję ABC. Rzuciła się na niego jak jastrząb, z pazurami.

–Proszę, następny!

Schiller nie znał nawet jej nazwiska. Lokalna reporterka, z pewnością drapieżna. Mówiła, że faceci mają gdzieś kobiety, chociaż one się zabijają z ich powodu. Schiller przytaknął i czym prędzej się zmył.

Wtedy wszedł bardzo wysoki młody chłopak z kruczoczarnymi włosami do ramion, na kłykciach miał wytatuowane imię dziewczyny i wyglądał na tak wstrząśniętego, że Schiller domyślił się: on musi być bratem Nicole, to znaczy jeśli Nicole w ogóle ma brata. Wobec tego Schiller podszedł i przedstawił się, lecz widać było, że młody człowiek nie jest w stanie rozmawiać, Schiller usiadł więc z powrotem i czekał, aż po upływie kolejnych paru godzin zobaczył jakąś kobietę przy kiosku ze słodyczami obok poczekalni. Była szczupła i drobnokoścista, włosy miała upięte w kok i przypominała zahartowaną bohaterkę westernów, która pieszo przemierza prerie. Z jej twarzy – naznaczonej zNużeniem i skrywanym smutkiem – wyczytał, że to z pewnością matka Nicole (co prawda, później się okazało, że to jej babka, bo matka nie skończyła nawet czterdziestki), naprędce skreślił więc parę

słów, przedstawiając się jako Lawrence Schiller, który przybył tu w celu omówienia życiowych wydarzeń pod kątem praw do filmu oraz książki, w związku z czym byłby wdzięczny za możliwość osobistego kontaktu z nią lub z jej upoważnionym pełnomocnikiem względnie adwokatem (zawsze lepiej napisać wpierw „pełnomocnik", a później „adwokat", żeby wiedzieli, że

to nie żaden pozew). Na zakończenie dodał, że jest przygotowany do wypłacenia Nicole co najmniej dwudziestu pięciu tysięcy dolarów za jej prawa, następnie włożył kartkę do koperty, na której w poprzek było wypisane „Pani Baker".

Wręczył to kobiecie ze słowami:

–Widzi pani, jestem Lawrence Schiller z telewizji ABC. Nie jest to odpowiedni czas ani miejsce, ale w bardziej sprzyjających warunkach może zechciałaby pani przeczytać mój list.

Następnie odwrócił się i wyszedł ze szpitala. Kontakt nawiązany.

Kiedy ósmego października w „New York Timesie" ukazał się na pierwszej stronie artykuł o sprawie Gilmore'a, temat zafascynował Davida Susskinda. Jak na pierwszą stronę, tekst był dobrze napisany i sensownie przedstawiał morderstwa, wyrok i decyzję skazanego o nieskładaniu apelacji. W połączeniu z przeszłością kryminalną Gilmore'a wszystko to zapowiadało fantastyczny scenariusz.

Wpadł mu w oko ten artykuł i wkrótce potem, właściwie to niemal natychmiast, zadzwonił do Susskinda stary przyjaciel i współpracownik, Stanley Greenberg, odbyli zresztą ciekawą rozmowę. Piętnaście lat temu Stanley napisał dla telewizji scenariusz o człowieku, którego czeka egzekucja. Ten człowiek tak długo przebywał w celi śmierci, że odmienił mu się charakter i powstawało pytanie: Kto zostanie stracony?

Przywoływano sztukę pod tytułem Przemiana i Susskind zawsze uważał, że miało to pewien udział w zniesieniu kary śmierci przez stan Nowy Jork, a być może nawet w decyzji Sądu Najwyższego która uratowała życie wielu ludziom z cel śmierci. Oczywiście mówił teraz Stanley Davidowi, „nienaruszalne i wieczne" znaczy:

tylko do następnego pokolenia. Wtedy trzeba robić to samo od

nowa.

Stanley Greenberg był człowiekiem powściągliwym, lecz Susskind wyczuwał jego wzburzenie.

–W tej całej sprawie Gilmore'a fascynuje mnie jedno – mówił Greenberg. – To otwarty komentarz świadczący o kompletnej klęsce resocjalizacji w naszym systemie więziennictwa. Przecież ten gość raz po raz wracał za kratki, przez całe cholerne życie, i tylko się zmieniał na gorsze. Zaczął od kradzieży samochodu, skończył na napadzie z bronią w ręku. To druzgocący komentarz – stwierdził Greenberg. – Po drugie, może stanowić wspaniałą deklarację w sprawie kary śmierci, że jakie to okropne: oko za oko. Sądzę nawet, że dotarcie do szerokiej widowni mogłoby wręcz uratować delikwentowi życie. Gilmore mówi, że chce umrzeć, i oczywiście ma nie po kolei w głowie. Myślę, że dzięki naszemu filmowi może nie dojść do egzekucji.

Susskindowi to trafiało do przekonania.

–Nie mogą dokonać egzekucji tego człowieka – powiedział do Stanleya. – On jest niezrównoważony. Chory psychicznie. Powinni byli dawno to zrozumieć.

Rozmawiali dłuższy czas. Wreszcie Susskind zwrócił się do Green-berga:

–Może byś pojechał do Utah? Wydaje mi się, że ta historia ma kilka ważnych i interesujących wątków, można zrobić z tego dramat, pasjonujący materiał. Jeżeli na miejscu wszystko się potwierdzi i zdobędziemy prawa, od kogo trzeba, trafimy dużą rzecz.

Greenberg nie mógł pojechać od razu, bo miał jakiś kontrakt z wytwórnią Universal, ale codziennie rozmawiali przez telefon, Susskind zaś podjął rozmowy z Boazem. Szybko doszedł do wniosku, że Dennis nie jest typowym okazem prawnika.

Boaz przechwalał się:

~~~ Ja mam wszystkie upoważnienia. Mam ich wszystkich. Rozprawiał o tym, jak to on wszystko trzyma w garści. Susskind ^dzwonił do Stanleya Greenberga i powiedział: ~~ Bardzo dziwny ten adwokat. Ale na pieniążki, owszem, łasy.

Dennis oświadczył:

–Otóż nie mogę współpracować z panem, dopóki nie przekonam się o pańskiej dobrej woli. Pieniądze – ciągnął – nie są bynajmniej rzeczą nieistotną. – Tu zachichotał.

–Czego pan chce? – spytał Susskind.

–No cóż – odrzekł Dennis – to będzie sprawa głośna na cały świat.

–Jaką mogę mieć pewność – pytał Susskind – że istotnie posiada pan wszystkie upoważnienia?

–Pan – odparł Dennis – musi przecież od czegoś zacząć. Wobec tego niech pan mi na początek zaufa. Mam dokładnie to, o czym mówiłem. Jeżeli pan mi nie wierzy, są tu inni zainteresowani. Tyle że mnie się podoba pańska reputacja, panie Susskind. Chciałbym, żeby pan pierwszy się w to wgryzł.

Żądał ładnej sumki, coś około pięćdziesięciu tysięcy dolarów, w zamian za pisemną zgodę wszystkich głównych postaci i poprosił Susskinda o wysłanie telegramu tej treści, co też David uczynił.

Susskind załączył również pakiet dokumentów prawnych. Znajdował się tam kontrakt i formularze upoważnień. Boaz może i mówi), że wszystko ma, ale kiedy Susskind zapytał go, w jakiej formie upoważnienia zostały sporządzone, Dennis odparł:

–Jedno- i dwuzdaniowe zrzeczenie się praw.
~~~

–Proszę pana – powiedział Susskind – to niczego nie załatwia, musi pan użyć przepisowych formularzy „Zrzekam się praw do zapłaty z tytułu", jednakowych. To musi mieć formę przyjętą w branży filmowo-telewizyjnej.

–Nie rozumiem, po co wam tyle papierków – powiedział Dennis

–To nie papierki – odparł Susskind. – To sprawa podstawowa Ludzie mogą zmienić zdanie. Króciutka formułka zredagowana jest zazwyczaj zbyt dowolnie i łatwo podważyć jej treść. Przykro mi muszę przesłać panu formularze.

Tak też się stało. Susskind udał się do swoich adwokatów, którzy wysłali pakiet.

przez czysty przypadek Stanley Greenberg przybył do Hiltona ff Salt Lakę szesnastego po południu, parę godzin zaś wcześniej wybuchła sensacja z podwójnym samobójstwem i był to najpracowitszy dzień miesiąca dla wszystkich dziennikarzy. Poprzedniego wieczoru Stanley telefonował z Kensington w Kalifornii, gdzie mieszkał nieco na północ od San Francisco, żeby potwierdzić spotkanie z Boazem, lecz w tej sytuacji, kiedy cały Hilton aż huczał o sprawie samobójstw, trudno było oczekiwać, że adwokat dotrzyma terminu spotkania. Jednak, ku zaskoczeniu Greenberga, Dennis stawił się na tyle punktualnie, że Stanley Greenberg zdążył tylko uważnie obejrzeć lokalny dziennik o szóstej. Chwilę później zdumiony usłyszał, że Boaz puka do drzwi pokoju hotelowego.

Gdyby nie dzisiejsze tragiczne wydarzenie, myślał Greenberg, z pewnością spotkaliby się po przeciwnych stronach barykady albo przynajmniej czułby się w obowiązku traktować Boaza jak przedziwny okaz: cóż to za adwokat, co chce zabić swego klienta. Okazało się jednak, że Boaz musiał przejść radykalną przemianę i w najwyższym pośpiechu zmienił poglądy. Dlatego ich rozmowa była bardziej owocna, niż Stanley się spodziewał.

Jak sam wyjaśnił Boazowi przy szklaneczce, mniej więcej tydzień temu zjeżyła go wiadomość, że istnieje realne niebezpieczeństwo dokonania egzekucji Gilmore'a. Stanley tłumaczył, że kara śmierci jest dla niego osobiście sprawą odrażającą. Nie mógłby siedzieć bezczynnie i do tego dopuścić. Może się to wydawać przesadnie romantyczne, ale on czuje się w obowiązku połączyć siły i zewrzeć szeregi z Davidem Susskindem, który w tych okolicznościach będzie najlepszym producentem filmu.

Po dokonaniu wstępnej prezentacji Greenberg był gotów przejść do rzeczy. Zaczął od stwierdzenia, że po prostu nie pojmuje, skąd Przestępca czerpie prawo nakazywania społeczeństwu, jak ma się z nim obejść. Z tego, co on wie, kryminalista nie ma prawa żądać kary śmierci, podobnie jak natychmiastowego zwolnienia. To w końcu społeczeństwo ustala reguły gry.

Dennis, który sprawiał wrażenie dziwnie przytłumionego w porównaniu z tym, czego się Stanley spodziewał, naraz ożywił się nieco, Odpowiedział, że Gary niczego nie żąda. On po prostu nie chce składać odwołania. Prawo do apelacji oparte jest na założeniu, że nikt nie chce zostać stracony, dlatego przewiduje rozmaite możliwości złagodzenia wyroku, Gary zaś nie chce korzystać z owych możliwości.

To nie takie proste, upierał się Greenberg. Sąd Najwyższy orzekł, % kara śmierci może zostać wymierzona jedynie wówczas, gdy spełnione zostaną wszystkie wymogi proceduralne. Jeżeli już dopuszcza się zabijanie w świetle prawa, trzeba przynajmniej ściśle przestrzegać przepisów dopuszczających egzekucje.

Dennis znów wyraźnie posmutniał i odrzekł, że nie jest pewien, czy wykonał dobrą robotę. W każdym razie jego odczucia uległy gwałtownej zmianie. Do tej pory wspierał prośbę Gilmore'a, ponieważ uważa}, że człowiek ma prawo decydować o własnym życiu. Teraz jednak trafiła kosa na kamień i po raz pierwszy

dotarło do niego, że Gary naprawdę ma umrzeć; tak się tym przejął, że sam już nie wie, czy ma dalej ochotę brać w tym udział.

Greenberg odniósł wrażenie, że Dennis jest ździebko nawalony. Niewątpliwie dawał upust swemu poczuciu niedowartościowania. Greenberg nawet przyłapał się na tym, że lubi Boaza bardziej, niż się spodziewał. Pod pewnymi względami całkiem sympatyczny: taki wolny duch. Widać, że jest kompletnie rozkojarzony i nie należy do tych adwokatów, którym można powierzyć swój majątek lub przyszłość. Mimo to da się lubić. Stanley spytał: – Czy kontaktował się pan z tutejszą filią ACLU *?

Runęła fala emocji. Nie, Boaz nie chce mieć z nimi do czynienia. To wbrew życzeniom klienta. Jego klient wyznaje osobliwą mieszaninę prawicowych przekonań i lewicowych odczuć. Gary na przykład nienawidzi czarnych, ale powód jest taki, wyjaśniał Boaz, że w więzieniu stanowią oni niebezpieczną większość. Wszyscy biali więźniowie narażeni są na zgwałcenie przez czarnych. Gary nienawidzi również ACLU. Albowiem oni głoszą wolność jednostki, a jednocześnie

* American Civil Liberties Union. Utworzona w r. 1920 organizacja przestrzegania swobód konstytucyjnych. (Przyp. tłum.)

odmawiają Gilmore'owi prawa wolnego wyboru śmierci. Dlatego Boaz się z nimi nie kontaktował. Lecz zaledwie godzinę temu, podczas rozmowy z Geraldem Riverą, wpadł na błyskotliwy pomysł. Będzie tylko potrzebował wsparcia przy papierkowej robocie. Chodzi o złożenie mnóstwa petycji, a do tego musi mieć prawnika z Utah. W takim razie chce się skontaktować z ACLU. Tu Boaz usłyszał od Greenberga s}owa zachęty, zadzwonił więc do przedstawicielki nazwiskiem Judy \Volbach, i ta zgodziła się wpaść do pokoju na drinka.

Jeszcze w trakcie rozmowy Greenberg doszedł do wniosku, że to chyba jedna z najbardziej osobliwych konwersacji, jakie się kiedykolwiek zdarzyły. Absolutnie znakomita sztuka dramatyczna. Po prostu tego się nie da wymyślić. Z jednej strony szczupła, pełna wigoru, inteligentna kobieta, bardzo energiczna, bardzo liberalna i bardzo podejrzliwa w stosunku do Boaza, a tu naprzeciw niej Dennis otwiera swoją duszę, jak to został zaszczuty przez środowisko prawników, a w więzieniu podejrzewają go o przemycenie seconalu.

Co jakiś czas Boaz miał łzy w oczach i trudno było odgadnąć, czy bardziej martwi się o siebie („Poddam się testowi prawdomówności" – oświadczył), czy raczej zżera go niepokój o Gilmore'a, który – jak im było wiadomo – umierał właśnie w Salt Lakę, a Nicole gdzie indziej… zaraz, czy ona też jest umierająca? Oto nawiedzony młody prawnik-zapaleniec i taka Judy Wolbach, która patrzy nań jak na raroga. Ona zupełnie nie wierzy w jego intencje. Nawet mały barek w kącie pokoju musiał wydawać się jej w tych okolicznościach czymś złowrogim.

Stanley w gruncie rzeczy nie miał jej tego za złe. Na podstawie tego, co o Dennisie pisały gazety, sądziła z pewnością, że jest on jakimś hippisowskim naciągaczem. A teraz siedzi naprzeciwko niej, ożywionY, z uśmiechem, to arogancki, to znów skromny, z początku zdeprymowany, później usiłuje ją przegadać. Stanley nie wyobrażał sobie, jaki on jest, kiedy się tak nie ekscytuje.

Prawie od razu Dennis uczepił się tego niemożliwie atrakcyjnego Pomysłu bez żadnych szans. Chce, żeby Gary'ego przenieśli do więzienia Średniego Nadzoru w którymś stanie, gdzie zezwala się na widzenia małżeńskie.

Dlaczego ma się nie udać, wykrzyknął. Nicole może znaleźć pracę w pobliskim miasteczku i zajmie się dziećmi. W soboty i niedziele będą mogli żyć jak mąż z żoną, dwie noce tygodniowo. Co dostarczyłoby Gary'emu motywacji do życia. No przecież sąd naprawdę pojmuje, jaką Gary ma wspaniałą osobowość, oni

na to pójdą. Gary będzie mógł pisać i rysować. Chodzi właściwie o taki areszt domowy.

Greenberg spostrzegł, że Boaz odzyskał równowagę ducha. Najwyraźniej wystarczy dać mu oryginalny pomysł do realizacji w odległej perspektywie i już się cieszy. Nieważne, że warunki są nie do spełnienia – wystarczy mu nowatorskie podejście w dążeniu do szczęścia i jest szczęśliwy.

Judy Wolbach nie dawała się jednak zwieść pozorom. Dennis zakończył przemowę stwierdzeniem, że ACLU winno dopomóc w realizacji tej inicjatywy. Judy Wolbach w odpowiedzi wygłosiła własną mowę. Otóż ACLU w stanie Utah, gdyby tego nie wiedział, boryka się z trudnościami finansowymi.

–Czy ty chcesz, żeby on żył? – zapytał Boaz.

–A ty zbadałeś sposoby faktycznego ratowania mu życia? – Zaczęła mówić o jakichś precedensach w orzecznictwie Sądu Najwyższego i procedurze walki o swobody obywatelskie w ramach praw federalnych i stanowych. Kiedy Boaz przyznał, że nie zna opisanych przypadków, potrząsnęła głową z niedowierzaniem i spytała, czy w takim razie zapoznał się z teczką psychiatryczną Gilmore'a W odpowiedzi Boaz wystąpił z krytyką. Dlaczego ona odmawia mu współpracy? Dlaczego prezentuje podejście legalistyczne zamiast humanistycznego? Greenberg nie posiadał się z radości. Cóż za dialog'

Boaz mówił właśnie, iż siebie samego postrzega raczej w roli pisarza niż adwokata zagubionego w gąszczu procedury.

–W oczach Renesansu człowiek wiedział, że można być jednocześnie prawnikiem i poetą.

–Dobrze – powiedziała Judy Wolbach. – Niech pan się zastanowi, z czym panu bardziej do twarzy. Będziemy w kontakcie

Odprowadzając Judy korytarzem, Stanley Greenberg czuł się w obowiązku zaznaczyć:

Uważam, że Boaz nie nadaje się do roli adwokata Gilmore'a.

Następnego dnia przy śniadaniu oglądał Boaza w programie,,Good Morning, America".

GERALDO RYERA: – Dennis Boaz… Człowiek, który do tej pory, zgodnie z życzeniem swego klienta, popierał jego prawo do śmierci. Przed sądem argumentował pan, czasem z wielką swadą, że Gary'emu Gilmore'owi przysługuje prawo do śmierci. Czy nadal jest pan o tym przekonany?

DENNIS BOAZ (po długim namyśle): – Uważam, że on ma prawo decydować o własnym losie. Nie mogę jednak dalej popierać egzekucji w imieniu stanu Utah.

GERALDO RYERA: – Czy to znaczy, że zmienił pan poglądy, Dennis?

DENNIS BOAZ: – Tak. GERALDO RYERA: – Dlaczego?

DENNIS BOAZ (po namyśle): – Tak, wczoraj nastąpił dla mnie taki moment prawdy i miałem niebywałe przejścia emocjonalne, które przemyślałem i…

GERALDO RYERA: – Czy chce pan przez to powiedzieć, że zrozumiał pan… właśnie, co?

DENNIS BOAZ: – Po prostu widzę pewną możliwość dla… Gary'ego z Nicole (lekko drżącym głosem), niewykluczone, że oni mogą być razem, i dopóki widzę taką możliwość, wiem, że ona istnieje, wiem, że Gary będzie chciał żyć i Nicole także. GERALDO RYERA: – Po naszej wczorajszej dyskusji, a rozmawialiśmy dość długo, nie wygląda mi pan wcale na człowieka, który opowiada się za karą śmierci. Chciałbym wiedzieć, dlaczego przeszedł Pan tę bolesną metamorfozę?

DENNIS BOAZ: – No cóż, wziąłem się do tej sprawy, nie dlatego że jestem zwolennikiem kary śmierci, tylko ponieważ… on potrzebował wsparcia i ja wówczas poparłem jego życzenie, żeby w pewnym sensie Przyjąć większą odpowiedzialność za własne życie i śmierć. On usiłował przyjąć odpowiedzialność poprzez zaakceptowanie wyroku. GERALDO RYERA: – Ale teraz, po tym, co się wydarzyło, uważa Pan, że to odmienna sytuacja?

DENNIS BOAZ: – Z pewnością mnie się odmieniło… NOWY GŁOS: – Panie Boaz, tu David Hartman z Nowego Jorku.

Mówił pan o swoim przełomie emocjonalnym. W jaki sposób właściwie zmieniły się pańskie poglądy w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin?

DENNIS BOAZ: – Po prostu dostosowały się do tego, co w sercu. DAvID HARTMAN: – Dennis, czy może pan to trochę sprecyzować? DENNIS BOAZ: – Zwyczajnie nie mogę dłużej skutecznie występować w roli rzecznika tej egzekucji. Wiem, że nie uda się nam powstrzymać Gary'ego przed odebraniem sobie życia, jeżeli on zdecyduje, że do tego właśnie dąży. Nie mogę dłużej uczestniczyć w oficjalnej procedurze, która zmierza do jego śmierci. GERALDO RIVERA: – Jeżeli będzie trzeba, czy wycofa się pan ze sprawy?

DENNIS BOAZ: – Porozmawiam z Garym, jak tylko będę mógł. Razem podejmiemy decyzję.

GERALDO RIVERA: – On pewnie znów będzie usiłował popełnić samobójstwo.

DENNIS BOAZ: – Nie wiem.

DAVID HARTMAN: – Geraldo, mamy jeszcze niecałą minutę. Jaki będzie następny krok i co się, twoim zdaniem, zdarzy w ciągu najbliższej doby?

GERALDO RYERA: – Ma być zwołane posiedzenie Komisji Ułaskawień, jak tylko Gilmore odzyska należytą kondycję fizyczną, by w nim uczestniczyć. Musi być w pełni świadomy. Nie można stracić człowieka nieprzytomnego, Davidzie… Sądzę, że dalszy ciąg naszego tematu ulega zawieszeniu, przynajmniej do chwili gdy polepszy się stan tych dwojga. DAVID HARTMAN: – Geraldo, dziękuję bardzo, dziękujemy bardzo panu Boazowi za przybycie dziś rano do studia.

Trochę później tego samego ranka Greenberg pojechał z Dennisem do Provo i złożył wizytę Vernowi Damico, który mu się raczej spodobał, mówił zresztą potem Dennisowi: taki typ siłacza, widać, że sam na wszystko zapracował i umie się znaleźć w swoim otoczeniu, można powiedzieć.

Spotkali się w słynnym barze szybkiej obsługi niedaleko zakładu szewskiego, jedli hamburgery, pili koktajl mleczny – brak alkoholu utrudniał sprawę – mimo wszystko dobrze im się rozmawiało i Stanley zdobył rozeznanie w topografii zbrodni, co wydało mu się bardzo pożyteczne. Oglądał dom Verna w konkretnej odległości od

motelu i stacji benzynowej przy tej samej ulicy. Wspaniałe sceny dla telewizji. Gilmore puka przed wieczorem do drzwi wuja i mówi, że jest ubrudzony, chce wziąć prysznic, a wuj go odprawia. Wtedy Gilmore bierze swój pistolet i tego samego wieczoru mija otwarte okno, za którym wuj siedzi przy telewizorze – nie trzeba geniuszu Freuda, żeby to sobie wyobrazić.

Zaraz po powrocie Greenberg zadzwonił do Susskinda:

–To jest fascynujące, ohydne i skomplikowane. Susskind zapytał, czy to dobry pomysł, żeby udać się do Utah osobiście. Stanley odparł:

–Tu jest tak nerwowo, że na razie bym nie radził. Główne postacie są bombardowane ze wszystkich stron i na razie nie

możemy się zobaczyć z Gilmore'em, nie możemy się zobaczyć z narzeczoną, nie ma dostępu do żadnych głównych osób poza Damico.

Susskind przytaknął. W końcu cała historia zasadza się na uprzednich uczynkach Gilmore'a i Stanley jest tam po to, by rozpracować podstawy. Nie ma potrzeby zapoznawać się z Damico i resztą. Przecież kiedy załatwiał prawa do Eleanor i Franklina Joe'ego Lasha, znał akurat wcześniej kilku Rooseveltów, zwłaszcza "Elliota, Jamesa i Franklina juniora, ale nie starał się dotrzeć do pozostałych, nie narzucał się, nie mówił: „Jestem David Susskind. Powiem wam teraz, dlaczego muszę mieć te upoważnienia." Należało raczej wysłać adwokata, jeśli to konieczne.

«DESERET NEWS»

17 listopada. Salt Lakę. Dziś upłynął termin posiedzenia Komisji Ułaskawień Stanu Utah z udziałem Gary'ego Gilmore'a, gdyż skazany morderca spędził dzień w szpitalu: przytomny i przykuty do łóżka…

Tymczasem Nicole Barrett, dziewczyna Gilmore'a,

domniemana wspólniczka przy próbie samobójczej,

•przebywa w stanie krytycznym w Szpitalu Utah Yalley.

Kiedy Gilmore powróci do więzienia, zostanie przeniesiony do celi pod ściślejszym nadzorem, ograniczy mu się możliwości komunikowania i nie udzieli zezwolenia na jakikolwiek fizyczny kontakt z osobami z zewnątrz – oświadczył naczelnik Sam Smith.

ROZDZIAŁ 8

Przedsiębiorczość

Wieczorem w dzienniku podali, że Tamerę Smith przedrukowani na całym świecie. Jej telefon nie przestawał dzwonić i zaczęli odzywać się do niej ludzie, o których dawno zapomniała. Przyjaciele powtarzali w kółko, że tu, w Salt Lakę, siedzą różni wielcy reporterzy z całego kraju, a ona ich wszystkich ubiegła. Nazajutrz facet z „New York Timesa" chciał robić z nią wywiad, potem znów reporter z tygodnika „Time" i z „Newsweeka". Stało się niemal regułą, że kiedy do miasta przyjeżdżał ktoś nowy z zamiarem pisania, dzwonił do Tamery zaraz po zameldowaniu się w Hiltonie, straszliwie spragniony informacji o Nicole. Przez ten tydzień bez przerwy stawiano Tamerze obiady.

Stanowiło to pewną atrakcję, jasne, jednak gdzieś w głębi jej duszy czaiła się chęć ucieczki. Mili z Fili wyjechał za miasto, żeby trochę połazić po górach, i tam właśnie Tamera chciałaby się znaleźć, rzucić to wszystko, niech cały świat zostanie sobie w Salt Lakę.

Kiedy zaczął przełykać. Wtedy zaczęto podawać mu tlen przez maskę i zanotowano że odkrztusza umiarkowaną ilość wydzieliny śluzowej. Podczas badania gardła powiedział:

–Naruszacie moją sferę prywatności.

Następnie spytał o narzeczoną. Nagle był pobudzony, czujny, odmawiał poddania się zabiegom. Pielęgniarce kazał się wynosić. Musieli go przypiąć pasami. Wtedy odmówił oddychania. Cały zsiniał, zanim wreszcie musiał otworzyć usta. Zrobił się wyjątkowo wulgarny. Kiedy pielęgniarka próbowała dać mu zastrzyk, napluł jej w twarz. Następnie zażądał, żeby usunięto mu z piersi przewód monitora rejestrującego pracę serca. Domagał się fiorinalu. Pielęgniarki mówiły do niego, a on nie odpowiadał. Wpisały do jego karty: „Zawzięty, mściwy, wulgarny". Kiedy praktykant usunął mu dren z tchawicy, Gilmore podniósł się i wycharczał:

–Jeszcze cię, kurwa, dostanę, ty chuju.

Większość ludzi po przedawkowaniu nie zachowywała się tak jak Gilmore. On popisywał się wyjątkową siłą. Bezpieczniej było trzymać się z daleka. Jedna z pielęgniarek powiedziała:

–On jest jak ten demon, co opętał Linde Blair w Egzorcyście.

Inni samobójcy wychodzili z tego w depresji psychicznej. W końcu przecież z takiego powodu przedawkowali. Nie chcieli żyć. A Gilmore chyba raczej chciał umrzeć.

«SALT LAKĘ TRIBUNE» Matka Nicole porównuje zabójcę z Mansonem

17 listopada. Gary Mark Gilmore został w środę określony słowami „jeszcze jeden Charles Manson" przez matkę Nicole Barrett.

Dopiero po dwudziestu czterech godzinach spędzonych w szpitalu wyjęto Gary'emu dren z płuc. Już od kilku godzin był całkowicie rozbudzony, ale dren wyjęto mu dopiero po upewnieniu się, że może samodzielnie oddychać.

Przez te wszystkie jazdy w towarzystwie Charlesa tam i z powrotem, z oddziału reanimacji do Pleasant Grove, Kathryne zaczęła żyć dawnymi wspomnieniami. Ani ona, ani Charley wiele nie mówili, ale czuła, że jest jej bliski. Bądź co bądź, przeżyli razem tyle lat. Wpadła

w nastrój rozmyślań o tamtym lecie, gdy poznała Charleya i zaczęła z nim chodzić; on miał wtenczas szesnaście lat i pracował w wesołyn miasteczku, a ona skończyła czternaście. Chodzili ze sobą trzy miesiące i nawet się nie pocałowali. Ale pewnego dnia postanowili wziąć ślub. Kathryne wymyśliła, że wtedy można chodzić do kina, kiedy się chce, i starzy nie mogą więcej rozkazywać, namówiła więc matkę, żeby ich podwiozła do Elko w Nevadzie. Tamtejszy sędzia pokoju nie uwierzył, że Charley ma osiemnaście lat i powiedział:

–A jakbym zadzwonił przez zamiejscową do twego domu, synu, to co bym usłyszał?

Charley zaczął się jąkać.

–Lepiej powiedz mamusi – ciągnął sędzia pokoju – że będę dzwonić.

Naturalnie radził im, żeby mama potwierdziła kłamstwo.

verna Baker jednak podniosła krzyk, przez co Charley wreszcie przemówił i rzekł:

–Przestań, mamo. Powiedz mu tylko, że skończyłem osiemnaście Tak Kathryne to zapamiętała.

Tego samego dnia wrócili do Provo, matka Kathryne powiedziała Charley może spać na kozetce, i pierwszej nocy faktycznie tam spał

Nazajutrz rano Charley przyjechał ze swoim kumplem George'em i zabrali się, żeby pojeździć sobie cały dzień samochodem George'a, dopóki Kathryne nie kazała Charleyowi odwieźć się do domu przed dziesiątą i on usłuchał. Następnego wieczoru znów przyjechali z Geor-ge'em, lecz George na koniec odwiózł ich do takiego motelu Pod Sosnami i Charley poszedł załatwić pokój. Kathryne zaczęła się rzucać i wtedy George powiedział:

–Wysiadaj. Brałaś z nim ślub. A Kathryne:

–Nie, ty mnie zawieź do domu.

–Coś ci powiem, Nicky – powiedział George (wołali wtedy Kathryne imieniem „Nicky", bo na drugie ma Nicole) * – Możesz zostać z nim albo ze mną.

Kathryne nie miała wyboru. Jedyne wyjście – udać się jak gdyby nigdy nic do Charleya. Boże, ale z nich były dzieciuchy.

Kłócili się i przepraszali, kłócili i znów przepraszali, aż kiedyś po takiej kłótni on się zaciągnął do wojska. Dowiedzieli się, że ona jest w ciąży, dopiero po paru miesiącach. Tyle razy spóźniał jej się okres, że nigdy nie wiedziała, kiedy się spóźnia na dobre. Wymacała w brzuchu jakiś guz, który się powiększał, i pomyślała: no tak, mam raka. Sama poszła do lekarza, cała w strachu. Dowiedziała się, że to ciąża, i mało nie umarła ze wstydu. Doktor zapytał:

–Jesteś mężatką?

Nie nosiła obrączki. Charley kupił za dużą i czekali, aż do niej dorośnie. Dlatego gdy powiedziała, że oczywiście jest zamężna, doktor jej nie uwierzył. Spytał, gdzie w takim razie jest jej mąż, wyjaśniła więc, że dopiero co odbył podstawowe przeszkolenie, ale wtedy padło pytanie, gdzie stacjonuje jednostka Charleya, a ona nie pamiętała nawet nazwy tego fortu, powiedziała tylko:

–Jest w wojsku. No, w którymś tam miejscu, wie pan.

Doktor był do tego stopnia przekonany, że ona nie jest mężatką, że kiedy Charley przyjechał na urlop po paru tygodniach, Kathryne wzięła go ze sobą na kolejne badanie.

Tak jak Charley to widział, byli z Kathryne małżeństwem tyle czasu, że jedno nie potrafiło nawet myśleć bez drugiego. Dwa muły w zaprzęgu. Rozpamiętując, dlaczego w ogóle wzięli ten ślub, Charley nie umiał sobie odpowiedzieć, o co mu wtedy chodziło. Jeszcze teraz się wściekał na wspomnienie chwili, kiedy Kathryne powiedziała mu, że muszą się pobrać, bo ona jest w ciąży. Udawała, że wcale nie chce wyjść za mąż, olaboga, ale jej matka ich usadziła i Charley powiedział:

–Mnie to tam wszystko jedno.

Kiedy się dowiedział, że wcale nie była w ciąży, to Boże zlituj się, już zaszła.

W sumie przez te lata podarował chyba z pięćset dolarów adwokatom na założenie sprawy rozwodowej. Ona każdorazowo podnosiła wrzask:

~- Co będzie ze mną? Sama dzieciaków nie wychowam.

Zawsze ustępował, mówił: Dobra, zapomnijmy o tym, i tracił zaliczkę u adwokata. Takie myśli o przeszłości wprawiały Charleya w nader ponury nastrój. Całe życie miał pecha. Tak zajechali do szpitala, nie mógł usiedzieć na miejscu. Myślał o Nicole i o tym, jak bardzo ją kochał. Do diabła, widział przecież,

że wujek Lee się zalewa. Zabiłby tego niewyżytego skurwiela zboczeńca.

Ledwo przekroczyli próg, a już Charleya zaczęło ponosić; patrzył na ludzi, jakby nie wiedział, czy zgromić ich wzrokiem, nawymyślać, czy się czym prędzej wynieść. W końcu musiał jechać, a Kathryne zasiadła do kolejnego czuwania. Natychmiast podszedł do niej jakiś facet i powiedział, że jest z „National Enquirer", współpracuje z Jeffem Newmanem. Gazeta potrzebuje lepszego zdjęcia Nicole. Wszystkie ujęcia pozowane, które dotychczas widzieli, są okropne, a chcą zamieścić coś efektownego, żeby jej oddać sprawiedliwość. Kathryne przypomniała sobie zdjęcie zrobione na Midway, kiedy Niunia była w ciąży z Sunny i rzekła:

–Możecie dać samą głowę, ale nic więcej.

Nicole była w kostiumie i z widoczną ciążą. Jej twarz wyszła ładnie ale wielkie ciężarne brzucho było ostatnią rzeczą, jaką Kathryne chciałaby właśnie teraz wystawiać na pokaz. W godzinę po tym, jak facet to zabrał, zjawił się Jeff Newman i Kathryne się dowiedziała, że ten pierwszy gość nie był wcale z „Enquirera". Jakaś gazeta, o której w życiu nie słyszała. Dostali zdjęcie za friko.

Po południu Earl Dorius otrzymał wiadomość, że ma się stawić na rozprawę u sędziego Rittera przed czwartą. Wiadomość przekazał Roń Holbrook, adwokat, którego Earl niesamowicie poważał. Hol brook powiedział, że gazeta „Tribune", którą on reprezentuje, wnosi pozew do Sądu Federalnego, domagając się prawa wstępu do Więzienia Stanu Utah w celu przeprowadzenia wywiadu z Garym Gil more'em. Earl miał godzinę na przygotowanie występu przed Willisetii Ritterem, najbardziej nieustępliwym sędzią federalnym w stanie Utah Możliwe, że nawet w całym kraju. Skończył siedemdziesiąt dziewięć lat i był z pewnością najstarszy, zgryźliwy korpulentny starzec o cholerycznym usposobieniu, z potężnym brzuszyskiem i bujną czupryną. Earlowi żołądek przywarł do

pleców na myśl o wystąpieniu przed Ritterem bez należytych przygotowań. Nie miał nawet czasu»: zatelefonować do naczelnika.

Ponieważ antypatia Rittera w stosunku do Prokuratury Generalnej dorównywała z grubsza jego otwarcie głoszonej niechęci

Kościoła Mormonów, Sama Smitha zaś brał Ritter z pewnością za agenta tegoż Kościoła, którego należy czym prędzej wykończyć, Earl nie żywił większych nadziei w związku z nadchodzącą konfrontacją. Ludzie z zewnątrz mają skłonność do traktowania członków Kościoła Świętych Dni Ostatnich jako uczestników wielkiego, świetnie zorganizowanego spisku mormonów, kiedy faktycznie wcale tak nie jest. Ale z sędzią Ritterem nie ma rozmowy. Earl dopadł tylko swoich ksiąg prawniczych i szybko przeczytał stare niezawodne orzeczenie w sprawie „Pell przeciw Procunierowi", starając się psychicznie nastawić, że przy Ritterze można spodziewać się wszystkiego. Raz po raz się napominał, że ma zwięźle referować swój wywód.

Sędzia Ritter nie pozwalał na rozwijanie tematu w sposób rozwlekły. Przezorność nakazywała w pięć minut zakończyć przemowę, która normalnie zajęłaby pół godziny. „Nie doprowadź do potrząsania białą grzywą" – głosiła dobra rada kolegów prawników.

W sądzie Earl zaczął od prostego stwierdzenia, że pozew może okazać się bezzasadny, gdyż Gilmore niekoniecznie życzy sobie udzielenia wywiadu. Nic o tym nie wiadomo. Redakcja „Salt Lakę Tribune" nie zadała sobie trudu, by to sprawdzić. Nie wysłano nawet listu do uwięzionego. Sędzia Ritter, ku zdumieniu Earla, zdawał się podzielać tę opinię. Oświadczył, że Gilmore przebywa nieprzytomny pod opieką medyczną, wobec tego sąd nie widzi potrzeby tymczasowego zawieszania regulaminu więzienia. Pozew „Tribune" zostaje na razie oddalony. Kiedy ten człowiek wyzdrowieje, można będzie

sprawę ponownie rozpatrzyć. Earl wrócił do biura osłabiony od teJ adrenaliny, którą niepotrzebnie zgromadził.

SPotkanie Larry'ego Schillera z Vernem odbyło się w pokoju gościnnym państwa Damico. Schiller przyszedł przygotowany do złożenia oferty. Wiedział, że Damico nie jest pełnomocnikiem Garyego, ale podobał mu się ten pomysł. Poprzez złożenie oferty uczyni pełnomocnikiem de facto. Gary będzie musiał z nim rozmawiać. To Lepsze podejście niż przez Boaza.

Dlatego Schillerowi zależało na wywołaniu odpowiedniego efektu podczas tej rozmowy. Pod ciemnobrązową jesionką miał koszulę w stylu safari koloru wielbłądziej sierści i brązowy krawat z paseczkiem. Od czasów tygodnika „Life" zawsze wyjeżdżał pracować z zestawem ubrań jednego koloru, to znaczy: wszystko w odcieniach brązu albo błękitu, żeby nie musiał się martwić, czy coś pasuje. Ma dziś brąz był doskonały. Błękit jest zimny, kojarzy się z salą sądową Natomiast brąz to powaga, ciepło, rzeczowość. Schiller-fotograf pragnął się umieścić w otoczeniu barw przywodzących na myśl rodzinne wizyty i cygara.

Kiedy tylko rozmowa zeszła na interesy, oświadczył Vernowi, że ma do zaoferowania w sumie siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów za wszystkie prawa, Nicole zaś należy się z tego jedna trzecia, gdyż bez niej nie ma scenariusza. W rezultacie proponuje Gary'emu pięćdziesiąt tysięcy, powiedział. Dodał, że nie dołoży ani grosza. To jest ostateczna oferta, nie otwarcie przetargu.

Schiller, rzecz jasna, wiedział, że to znacznie przekracza sumę czterdziestu tysięcy dolarów przyznaną przez ABC. Ale na tym rynku niewiele można zdziałać z czterdziestoma tysiącami. Wykombinuje później, jak rzecz przedstawić tym z ABC.

Następnie Schiller objaśnił, skąd bierze się kwota siedemdziesięciu pięciu tysięcy dolarów. Taką ofertę dyktuje ekonomika produkcji filmowej, tłumaczył Vernowi. Przyniósł ze

sobą amunicję: odbitki kontraktu z Francisem Garym Powersem, upoważnienia od Gus| Grissoma i Mariny Oswald. To były jego próbki towaru, który skwapliwie rozpostarł przed Vernem i powiedział:

–Proszę wybrać dowolny dokument i dobrze mu się przyjrzeć. Te kontrakty negocjowali najlepsi adwokaci w kraju. Z całą pewnością ciągnął – Marina Oswald miała do dyspozycji najlepszego adwokata. Tak samo Francis Gary Powers. Nie chcę tu wcale zamykać panu ust, panie Damico, ale prawnicy opracowujący te kontrakty dla Grissofll' Powersa i Oswalda lepiej znali się na podziale zysków, odsetkach i dochodach, jakie może przynieść dany film, niż pan czy na przykład Dennis Boaz. Chcę panu przez to powiedzieć, że nieważne, ile mó# ludzie proponują, niech pan popatrzy na sumy wypisane w tych kontraktach. To są ceny realne, możliwe do uzyskania. Susskind może panu opowiadać, że docelowo sprawa jest warta piętnaście milionów dolarów, ale ja mówię, że nigdy pan nie zobaczy z tego ani kawałka.

On oferuje na razie małą sumę i opowiada o dużych pieniądzach za jakiś czas. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, ten duży udział nigdy się nie zmaterializuje. Ja z kolei chcę płacić od razu. Nie proponuję wypłaty z chwilą rozpoczęcia zdjęć na planie, czyli za dwa, trzy, albo i cztery lata. Ja stawiam w tej grze w ciemno, już dziś. To ja ryzykuję, nie pan.

Kiedy zobaczył, że Vern Damico sięgnął po jeden z kontraktów i z powagą studiuje trzymany w wielkich dłoniach papier, dodał jeszcze:

–Przyszedłem dziś zaoferować trzy sprawy wielkiej wagi. Po pierwsze, jak już wspomniałem, wykładam gotówkę na stół. Po drugie, złożę panu obietnicę, że zostanę w tym mieście i tutaj będę pracował nad scenariuszem. Nie leży w moich zamiarach kupić prawa i zmyć się do Nowego Jorku. Ja jeszcze nie jestem bogaty. David Susskind to co innego, on już się dorobił. Ja

jeszcze nie – ciągnął Larry Schiller – ja dopiero się wspinam, dlatego zostanę, żeby pracować tutaj i udzielać panu rad, a od dnia, w którym nie dotrzymam słowa, ma pan prawo więcej mi nie ufać.

–A co po trzecie? – zapytał Vern.

–Po trzecie – odrzekł Larry Schiller – kwestia, czy pan rzeczywiście zamierza pozwolić, by połowa tych pieniędzy przypadła komuś obcemu. Uważam – ciągnął – że bliższa koszula ciału. Nie wiem, w jaki sposób Gary zamierza wspomóc swoją matkę, ale jeżeli połowę pieniędzy ma dostać Boaz, wtedy matka Gary'ego otrzyma procent o połowę mniejszy, niż jej się należy. Poza tym sądzę, że trzeba przeznaczyć jakąś sumę dla rodzin zabitych.

Podczas rozmowy z Vernem Damico zmieniało się wyobrażenie Schillera o Garym Gilmore. Jak gdyby pozwolono mu spojrzeć na tego faceta pod innym kątem. Kiedy Vern zaczął snuć refleksje na temat pracy Gary'ego w zakładzie szewskim i rzekł w zadumie: „Był robotny i przykładał się, tylko ja nigdy nie umiałem go zachęcić jak należy", Schiller się ucieszył. Scenariusz będzie o wiele lepszy, jeśli Gilmore nie był zwykłym cwaniakiem, co wszystkich naciąga i wykorzystuje. Wkrótce potem zauważył, że Vern ma swoiste poczucie humoru. Schiller ucieszył się jeszcze bardziej. Musi dostać ten temat. To sprawa pierwszorzędna. Zżerała go ochota na ten scenariusz.!; jeśli przy tym coś mu się w nim podoba, tym większa satysfakcja. Gdy tak siedział z Vernem, czuł jak Boaz traci punkty.

–Na pańskim miejscu wynająłbym adwokata – powiedział Schiller na zakończenie. – Właściwie to nawet nie złożę panu tej oferty formalnie, dopóki pan go nie znajdzie. Z nim wszystko ustalę. Radziłbym panu płacić mu według stawki godzinowej. Napatrzyłen się, skąd adwokaci ciągną forsę przy tego rodzaju sprawach.

Wychodząc Schiller zostawił numer telefonu. Nic nie wspominał, że to tylko automat w sklepie Walgreen's Drugstore przy głównym skrzyżowaniu w Provo i że dziewczyna za ladą z napojami została tymczasowo jego tutejszą sekretarką. Załatwił z nią, żeby odbierała dla niego wiadomości. Mógł oczywiście używać swego numeru z Hiltona w Salt Lakę, ale tam wiadomości zostawiano w przegródce i nigdy nie wiadomo, czy któryś z setki reporterów czegoś nie gwizdnie. Mógłby też zostawiać ludziom namiary na swoją stałą sekretarkę w Los Angeles, ale to oznaczało konieczność rozmów międzymiastowych Korzystając z automatu u Walgreena, ułatwiał sprawę miejscowym Niektórzy z nich to prości ludzie, którzy mogliby się zawahać przed wykręcaniem skomplikowanych numerów kierunkowych, zamawianiem rozmów przez telefonistkę, i to na rachunek abonenta.

«DESERET NEWS»

18 listopada. Gary Mark Gilmore, odzyskawszy przytomność po próbie popełnienia samobójstwa, został dziś przewieziony do Więzienia Stanu Utah, gdzie będzie czekał na rozpatrzenie swojej prośby o śmierć (…)

Około czterdziestu reporterów i kilkunastu pracowników szpitala czekało, by popatrzeć, jak skuty kajdankami mężczyzna o zmierzwionych włosach wstaje z fotela na kółkach, by wsiąść do brązowej więziennej karetki. ‹Gilmore, wyraźnie osłabiony i z poszarzałą twarzą, obrzucał swą widownię gniewnym spojrzeniem przez '• tylną szybę samochodu. W stronę reporterów wykonał obsceniczny gest.

Ochrona, składająca się z trzech więziennych karetek i dwóch wozów policyjnych, eskortowała Gilmore'a z powrotem do Więzienia Stanowego w Draper.

Tam powitały go okrzyki i gwizdy innych więźniów za murami. Gilmore'a natychmiast zabrano do izby chorych, gdzie pozostanie pod stałą obserwacją.

Schiller był obecny przy przenosinach Gary'ego. Kiedy odjechała więzienna kawalkada, reporterzy rzucili się do swoich samochodów i po autostradzie gnali za nią aż do więzienia. Schiller został na miejscu. Niewiele się tam wydarzy, a on już dopiął swego.

Stanął z Gilmore'em twarzą w twarz. Oczywiście w parometrowej odległości, w każdym razie na tyle blisko, by wzmogło się jego zainteresowanie. W telewizyjnych migawkach Gary nie wyglądał na zabójcę, lecz tego ranka, przy wyjeździe wózkiem ze szpitala, na jego zapadłej wymizerowanej twarzy malowała się szczera nienawiść. To był taki wściekły, mściwy wzrok kaleki zdolnego zabić z oburzenia na własny los. I rzeczywiście, Gilmore wsiadł do karetki, odwrócił się i posłał

reporterom grymas uśmiechu zaciśniętych ust, wredny i bezlitosny, następnie powoli uniósł w górę środkowy palec, jak gdyby wsadzał go w dupę każdemu w tłumie gapiów z osobna. Schiller powiedział do siebie: ten człowiek potrafiłby wbijać nóż z uśmiechem na ustach.

Kiedy już Gary'ego przywieźli z powrotem do więzienia, Cline Campbell poszedł go odwiedzić w izbie chorych, gdzie zastał go siedzącego na podłodze nad stertą listów.

Na powitanie Gary rzucił „pomóż mi" i przysunął część sterty. Siedział po turecku, ubrany w biały więzienny strój. Campbell czym Prędzej oznajmił:

–W pewnym sensie przykro mi, że się nie udało, bo to by ^kończyło dla ciebie czas wielkiej próby. Ale się cieszę, że tu jesteś. Gilmore oświadczył: ~- Zrobię to prędzej czy później.

~- Tak, wiem, że podchodzisz do tego poważnie – odrzekł Campbell. – Jednak lepiej, żebyś się nie zabijał. ~~~ Dlaczego? – spytał Gilmore.

~~~ Ponieważ możesz sprawdzić działanie prawa – powiedział Campbell. – Jak się zabijesz, nic nie zostanie wyjaśnione. Trzeba ich zmusić do zajęcia stanowiska. ~~~ Prawo jest dla mnie niczym, księżulku.

–No dobrze – ciągnął Campbell – w takim razie w Provo są dwie rodziny, którym trzeba pomóc, i jeśli dobrze to rozegrasz, będziesz miał pieniądze, żeby jakoś wspomóc te dzieci.

Gilmore pokiwał głową. Campbell nie był pewien, czy na zgodę, bo Gary zmienił temat.

–Jeżeli jest jakiś Bóg, a ja wierzę, że jest, będę musiał stawić się przed Nim – znów kiwnął głową. – Wiem, że świat, w którym żyjemy, nie kończy się tak po prostu. Tam musi coś istnieć.
~~~

Po chwili dodał:

–Wrócę na wyższym poziomie. Campbell na to:

–A co będzie, jeśli wrócisz jako strażnik więzienny?

–Och, ty wredny skurczybyku – obruszył się Gilmore i zaczął się śmiać. Nagle Campbell pomyślał: z nim śmieję się częściej niż z kimkolwiek innym.

Więzienie utrzymywało cały czas kontakt z Earlem w sprawie: kto podał Gary'emu leki. Wszystko wskazywało, że musiała to zrobić Nicole Barrett. Z tego powodu odłożyli sprawę. Trudno ścigać dziewczynę, która sama o mało nie umarła i prawdopodobnie zostanie wysłana do szpitala psychiatrycznego. Z drugiej strony ponieważ więzienie nie dysponowało konkretnymi dowodami, nie istniał żaden szczególny powód do zamknięcia śledztwa. Dopóki sprawa była otwarta, mogli wywierać nacisk na Boaza i izolować Gilmore'a, zabraniając widzeń z kontaktem fizycznym.

Nicole czuła się całkiem zanurzona w cudownie miękkiej ciemności. Nawet nie wiedziała, że ma ciało. Wszystko było czernią. Nagle pokazał się otwór, mała dziurka. Próbowała ją zamknąć, ale dziwnie się powiększała. Była bielsza od bieli. Nicole mogła już dostrZec twarze doktorów z małymi lusterkami nad czołem. Tak jak we śnie ze wszystkich sił próbowała zatkać tę pierdoloną dziurę.

Kathryne z Rikkim wyszli po coś do zjedzenia i Sue Baker przysypiała w poczekalni oddziału reanimacji, kiedy rozległ się krzyk Nicole:

–Ja tu nie chcę być! Ja nie powinnam tu być!

Drzwi się otwarły na oścież i lekarz zawołał coś w głąb korytarza Chyba z godzinę pielęgniarki i lekarze wchodzili i

wychodzili aż Sue poczuła się tak, jakby pod salą porodową nadsłuchiwała pierwszego krzyku dziecka. ^

Wtedy usłyszała wrzask Nicole:

–Kurwa wasza mać, dajcie mi moje papierosy! Potem bełkot. Słyszała, że lekarz próbuje rozmawiać z Nicole, lecz wreszcie wyszedł i zwrócił się do Sue:

–Może pani coś poradzi.

Nicole powiedziała do niej:

–Ja miałam umrzeć, ja nie miałam tu być.

Sue nie zdążyła nawet złapać jej za rękę, bo wrócił lekarz z pomocnikami i Sue wyprowadzono.

Zanim weszła po raz drugi, musieli powiedzieć Nicole, że Gary żyje. Była już w innym nastroju. Poprosiła Sue:

–Pomówny o czymś przyjemnym.

–Racja – powiedziała Sue.

Nicole miała ochotę się przejść i lekarz wyraził zgodę. Wobec tego Sue paradowała z nią po korytarzu. Nicole chwiała się i nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Spytała:

~~ Pamiętasz tamtą noc, jak się upiłam, Sue?

Powspominały te parę wieczorów, kiedy razem piły, i Sue była zachwycona, że Nicole wstała i że rozmawia, aż powiedziała:

~~ Słuchaj, dziewczyno, jak mogłaś zrobić coś takiego? Jesteś mi potrzebna, i to bardzo, wiesz? Nicole odrzekła:

~~ Ty też jesteś mi bliska, ale ja chciałam być z Garym. No, ale jesteś tutaj. Już nie odejdziesz. Nicole westchnęła: Och nie.

Potem zrobiła parę kroczków i puściła oko, mówiąc

–Jak będę musiała, spróbuję jeszcze raz.

Zanim matka wróciła do szpitala, Nicole znowu zasnęła. Lecz kiedy otworzyła oczy po raz drugi, była koło niej Kathryne i Nicole powiedziała:

–Za mało mu dałam. Wiedziałam, że to będzie za mało.

–Z nim już wszystko dobrze, Niunia – odrzekła Kathryne. Nicole zaczęła tłuc pięścią kołdrę.

–Wiedziałam, że to nie starczy dla tak dużego mężczyzny Dlaczego nie pomyślałam?

–Słuchaj, Niunia – przerwała jej Kathryne. – Gdyby Bóg cię zechciał, toby cię tu nie było. Wiesz, po prostu nie nadszedł twój czas. On jeszcze cię nie chce.

–A ja nie chcę żyć – oświadczyła Nicole.

–Posłuchaj, kochanie – ciągnęła Kathryne. – Bóg ma dla ciebie jeszcze wiele do zrobienia, zanim będziesz mogła odejść. Nicole się roześmiała, a potem zaczęła płakać i tylko szepnęła

–Oj, mamo.

Gibbs dostał list od śledczego z Salt Lakę, który zajmował się jego sprawą. Otworzył kopertę, w której nie było nic prócz satyrycz nego rysunku z gazety. Widniał na nim człowiek w szpitalnym łóżku Pielęgniarka mówi do niego: „Czas wstać, panie Gilmore. Czeka pana seria domięśniowa."

W nogach łóżka stoi pięcioosobowy pluton egzekucyjny.

Znając poczucie humoru Gary'ego, Gibbs postanowił wysłać mu rysunek. Akurat wtedy radio podało wiadomość: „Doktor L. GraChristensen oświadczył, iż Gilmore może opuścić szpital i

wrócić do celi śmierci, o ile jego stan będzie się nadal polepszał."

Gibbs tak się zarykiwał, że mało nie popuścił w portki. pomyślał: szkoda, że Gary'ego tu nie ma, pośmiałbym się razem

z nim.

\V więziennej izbie chorych Vern rozmawiał z Garym za pomocą telefonu, a siedzieli po dwóch stronach okien z pancerną szybą. Dziwnie się rozmawia z człowiekiem w ten sposób, ale Vern ze swoją kiepską nogą wolał to od kuśtykania aż do Maksymalnego Nadzoru.

Gary z miejsca zapytał:

–Vern, gdybym zwolnił Boaza, zajmiesz się tym wszystkim?

–Jestem szewcem – odrzekł Vern. – Nie wiem, czy dam radę. Co ze mnie za adwokat. Gary na to:

–Z twoją żyłką do interesów i moją inteligencją – tu uśmiechnął się szeroko – jakoś sobie poradzimy.

To wszystko, co powiedzieli na ten temat. Kiedy Vern zbierał się już do wyjścia, Gary spytał:

–Wiesz, jak się podaje rękę przez szybę? – i rozpłaszczył otwartą dłoń na szkle. Vern przytknął rękę z drugiej strony i chwilę przebierali palcami. Więzienny uścisk dłoni.

Brenda też przyjechała wtedy na widzenie i dla niej to było przeżycie. Gary kiepsko wygląda, pomyślała, jakby powoli odpuszczał walkę. Jednak postanowiła go nie oszczędzać i powiedziała do słuchawki:

–Gary, ty dupku żołędny. Wygląda na to, żeś się wykaraskał.

–Nic się nie zmieniłaś – odrzekł. Brenda spytała:

–Dalej na mnie wściekły?

~ Bo nie podoba mi się to, co zrobiłaś – stwierdził.

–Mam to w nosie – odparła. – Zrobiłam, co musiałam. Myślę, że ty tak samo. – Nabrała powietrza i powiedziała: – Kocham cię i cieszę się, że z tego wyszedłeś.

Spytała jeszcze:

~- Masz zamiar znów popełnić taką głupotę?

~- Nie – odrzekł Gary – raczej nie. Łeb mnie boli jak diabli.

stał strażnik i był wielce zaniepokojony. Kiedy Brenda oddała z powrotem ojcu słuchawkę, strażnik podszedł i powiedział:

–Ja tam bym się nie ośmielił tak go wyzywać jak pani. On jest podły. Zabiłby nie patrząc. Ja tam bym drżał o życie, mówiąc do niego w ten sposób.

–Boże drogi – zdziwiła się Brenda. – On nie zrobi panu krzywdy. Wystarczy popatrzeć. Zamknięty za drzwiami, w dodatku osłabiony. Muchy by nie skrzywdził.

Strażnik odparł:

–Nie byłbym taki pewien.

Z powrotem przy szybie Brenda nie mogła się powstrzymać. Możliwe, że strażnik ją podpuścił swoją gadką.

–Słuchaj no, Gary – powiedziała. – Dlaczego nie wziąłeś tyle, ile trzeba, żeby załatwić sprawę?

–Skąd wiesz, że tyle nie wziąłem? – spytał Gary.

–Bo gdybyś wziął, to już byś nie żył – odparła Brenda.

–Czego się, do cholery, czepiasz? Przecież wiesz, że naprawdę chciałem z sobą skończyć. Brenda powiedziała:

–Ty się lepiej znasz na prochach ode mnie. Zdaje się, że dobrze wiedziałeś, co robisz.

Gary zagryzł wargę. Wreszcie tak jakoś prychnął i powiedział:

–Właściwie mogłem się spodziewać, że taka jedna moja kuzynka się o to przyczepi.

A jednak powiedział to w taki sposób, że nie wiedziała, co sądzić. Znakomicie potrafił stwarzać pozory, że ona ma rację, kiedy w istocie się myliła. Gary lubił ją wpuszczać w maliny.

Przez co Brenda się zezłościła. Powiedziała mu:

–Według mnie to jesteś zakochanym egoistą. A co z tą dwójką małych dzieci? Gary odrzekł:

–No, ktoś by się nimi zajął.

–Z ciebie jest zimny drań. Nie przesadzam. Chciałeś zachować przytomność, do chwili kiedy się dowiesz, że ona naprawdę umarła, bo wtedy nie musiałbyś się martwić, czy ma nowego kochanka.

–Jestem zazdrosny – powiedział Gary.

–Nie wiesz, że jej poważnie grozi uszkodzenie mózgu?

–Niemożliwe. Nawet nie myśl o tym – przerwał.

–Daj spokój, Gary, przecież o to ci chodziło, nie? Z uszkodzeniem mózgu nikt nie będzie jej chciał.

_ Jesteś okrutna – rzekł Gary.

__ A ty jesteś zwykły wypierdek – oświadczyła Brenda. W tej samej chwili wyczuła, że przeholowała. Gary powiedział: _ Masz wredną niewyparzoną gębę.

Zaczęli się mierzyć wzrokiem i przerodziło się to w swoisty pojedynek. Nawet po drugiej stronie korytarza trzymetrowej szerokości, przez dwie szklane szyby, Brenda czuła jego pałający wzrok, lecz w myślach postanowiła: tym razem nie pokona mnie spojrzeniem; przecież on jest półżywy i oddzielony podwójną ścianą. Ale trwało to tak długo, że wreszcie Brenda przypomniała sobie jego ulubione powiedzenie i zacytowała mu je do słuchawki:

–„Gdy człowiek zacny, prosto w oczy patrzy, lecz dusza jego się stara, byś kłamstwu dał wiarę." Wtedy Gary wybuchnął śmiechem i powiedział:

–Jezu, Brenda, ty to masz nasrane w głowie.

Zanim się pożegnali, puścił do niej oko. Na odchodnym przyłożyła dłoń do szyby i powiedziała „kocham cię", a on przytknął rękę od swojej strony.

«DESERET NEWS» Obraz zmarnowanego życia

18 listopada. (…) Autor, który specjalizuje się w psycho-diagnostyce, twierdzi, że na podstawie próbek twórczości plastycznej danej osoby można wyciągnąć pewne wnioski na temat jej stanu psychicznego. (…) Niekiedy owa twórczość wskazuje na uszkodzenie mózgu, psychozę lub stany lękowe.

W przypadku Gilmore'a nie ma podstaw do takich przypuszczeń. W każdym kolejnym obrazie widzimy efekt nadzwyczaj spójnej, zorganizowanej i systematycznej pracy. Według cytowanego autora obrazy

te nie są wytworem szalonego umysłu w stanie psychozy.

(…) Gary Gilmore ma wyjątkowo bystry umysł.

«SALT LAKĘ TRIBUNE»

Korespondencja Paula Rolly'ego, stałego współpracownika „Tribune"

Provo, 18 listopada. (…) Dean Christensen powiedział, że członkowie Piątej Gminy Provo „mają szczerze dość nieustannego szumu wokół Gilmore'a" oraz „nie umieją sobie tego wyjaśnić".

Biskup wyjawił, iż żona Benny'ego, Debbie, wciąż pisze do niego z prośbą o radę.

„Oczywiście trzymamy się wiary głoszonej przez naszą religię, że w przyszłym życiu znów się spotkamy. Staram się podtrzymać kobietę na duchu, lecz ona nie daje się pocieszyć i czasem jesteśmy w kłopocie" – stwierdził.

Do domu Eversona zawitał sierżant policji, żeby Dennisa przesłuchać. Dla więzienia Boaz pozostawał osobą szczególnie podejrzaną Dennis udał się w związku z tym do Erniego Wrighta, zwierzchnika Sama Smitha, szefa Komisji Resocjalizacyjnej – potężnego mężczyzny w białym kowbojskim kapeluszu na głowie – i oświadczył:

–Sam Smith szuka zemsty.

Szef Komisji Resocjalizacyjnej zmierzył go wzrokiem i powiedział

–Szczerze mówiąc, panie Boaz, nie ufamy panu. Patrzył na niego tak, jakby rozgniatał muchę.

–Nie obchodzi mnie, co robi naczelnik. Może to robić dalej - dodał.

Nie dość, że Dennisowi ograniczono rozmowy z Garym do telefonów przez szerokość korytarza, to w dodatku, o ile się

orientował telefon był na podsłuchu. Gary zaś traktował go znacznie mniej przyjaźnie.

–Czy to prawda, że w programie Rivery powiedziałeś, że teraz możesz się już starać o moją egzekucję? To mi się nie podoba. Dennis sam czuł zażenowanie z powodu tych swoich emocji.

_- No, przykro mi – powiedział. – Ale ciągle mam wrażenie, że mógłbym ci pomóc, wiesz. Za nic by nie powiedział: „Dalej, zwolnij mnie, Gary."

Gary zaczął wypytywać Dennisa o finanse. Dowiedział się, że wpłynęło pięćset dolarów z „London Daily Express" i pięćset za wywiad do Szwecji, dlaczego więc Dennis mu mówi, że jego połowa wynosi dwieście pięćdziesiąt dolarów, nie pięćset? Dennis próbował wyjaśniać.

–Mówiłeś, że się lekkomyślnie obchodzisz z pieniędzmi i że ja powinienem zostać twoim menedżerem od spraw finansowych, zatrzymałem więc dwieście pięćdziesiąt dolarów i dałem ci tylko sto dwadzieścia pięć za wywiad do Anglii. Wtedy ty mnie prosiłeś, żebym dał następne sto dwadzieścia pięć dolarów Nicole. W ten sposób rozeszła się twoja połowa.

–Dobrze, ale co z pięćsetką od Szwedów?

–Gary – tłumaczył Dennis – wszystko poszło na wydatki. Na milion spraw. Przecież cię nie oszukałem. Popsuły się układy między nim a Garym.

Na zewnątrz więzienia Dennis aż się palił do rozmowy z dziennikarzami.

–W tym, co piszę, jestem jedną z postaci – oznajmił – dlatego nie planuję z góry moich wszystkich posunięć. Jestem figurką w ręku prawdziwego autora tych wydarzeń. Kimkolwiek albo czymkolwiek on jest. Tak się składa, że dziś o mało nie zostałem zwolniony! A niech to. Mało brakowało.

–Co pan obecnie sądzi o tym samobójstwie?

–Bez przemocy – odparł Dennis. – Całkiem nieszkodliwe. Jak Romeo i Julia, połknęli truciznę.

Dennis uważał, że aspekt tragiczny tego związku, jeśli się go umiejętnie przedstawi, może uczynić z Gary'ego i Nicole demokratyczną wersję Romea i Julii. Wtedy każda karta, którą zagra, będzie miała lepsze przebicie. Jeszcze może uzyskać dla nich prawo widzeń małżeńskich.

_~ Nie obawiasz się przypadkiem – spytał Barry Farrell – że jeśli Gilmore nie zostanie stracony, wtopi się z powrotem w tłum czterystu dWudziestu czterech skazanych mężczyzn i kobiet? Wielu z nich miało by

może bardziej tragiczne przejścia niż Gilmore.

–Gary jako jedyny ma odwagę ponieść konsekwencje swego postępowania – odrzekł Boaz. Inny reporter spytał:

–Jak Susskind zamierza zrealizować ten film?

–Susskind wybrał godnego scenarzystę o wielkiej wrażliwości Stanleya Greenberga, który opracuje temat. Jego pytajcie.

–Czy Schiller odpadł z przetargu? – zapytał Farrell. Boaz odparł:

–Schiller wysłał telegram za moimi plecami. Teraz Gary ma pretensję, że nie mówię mu o wszystkich ofertach. Nie muszę się długo zastanawiać, skąd idą złe wibracje.

–Dennis – wywołał go inny reporter – walczyłeś o prawo Gary'ego do egzekucji, a teraz próbujesz ratować mu życie. Czy możesz to logicznie pogodzić?

–Deklaracja Niepodległości gwarantuje prawo do życia, ale życia wolnego od brutalności systemu. Gary jest ofiarą systemu

i chce umrzeć. Ale tylko dlatego że nie może mieć Nicole. Gary byłby zachwycony, gdyby mógł z nią być – ciągnął Boaz. – Trzeba więc przenieść go w takie miejsce, gdzie mogliby być razem, prawda?

–Proszę wymienić chociaż jedno amerykańskie więzienie z prawem wizyt małżeńskich.

–Ponieważ i tak sprawa nabrała międzynarodowego rozgłosu, przenieśmy ich do Meksyku. Prawdziwy problem to przekonać Gary'ego do życia. On jest teraz w depresji. Ale jeśli uda mi się wywrzeć nacisk na Geralda Riverę i Toma Snydera, przekonać ludzi do myślenia po nowemu, oni mogą zażądać, żeby Gary żył. Twórcy praw będą musieli usłuchać.

–A Gilmore?

–Usłucha, jeżeli będzie miał pewność, że się połączy z Nicole. Tą sprawą podbijemy serca opinii publicznej. Kiedy się zagra ludziom na emocjach, oni to kupią. Niewątpliwie, niewątpliwie. Duża rzecz.

–Czy twierdzi pan, że Gary będzie mieszkał z Nicole w Nadzorze Minimalnym? '

–Albo Średnim – odrzekł Dennis. – Przez rok na zewnątrz Przy dochodach z publikacji nawet będzie w stanie płacić za to, co mu pasuje. To nie jest wcale takie niedorzeczne, jak myślicie. Wystarczy posłuchać dzisiejszych wiadomości. Ojciec Patty Hearst kupił jei prywatne więzienie na Nob Hill. Dajmy tak samo Gary'emu przestrzeni.

–Zagalopowałeś się, Dennis. '. •'}›• •••› ":-•»

_ Zobaczycie.

_-. Zobaczę – powiedział Barry Farrell.

_ Co naprawdę myślisz na temat Schillera? – zapytał następnie Farrell. To nie było dobre pytanie dla Dennisa, bo niczego swoją odpowiedzią nie wygrywał. Nie chciał jednak zawieść Barry'ego Farrella. Boaz go podziwiał. Jak na człowieka o irlandzkim nazwisku, Farrell miał bardzo szkocki wygląd. Wysoki, przystojny. Wystarczająco wysoki, by Dennis mógł z nim swobodnie rozmawiać. Nosił tweedowe garnitury. Spośród grona dziennikarzy najbardziej przypominał brytyjskiego dżentelmena. Starannie przystrzyżona szpakowata broda, no i te stare związki z tygodnikiem „Life". Dennis coś sobie nawet przypominał, że czytywał felietony Barry'ego Farrella w „Life", publikowane co drugi tydzień, na zmianę z Joan Didion. Zdaje się, że „Life" próbowało wyrobić w ludziach pewien poziom literacki.

Postanowił użyć Farrella w charakterze supernagłośnienia i powiedział:

–Schiller to hiena, w dodatku podstępna.

Susskind odebrał telefon od Stanleya Greenberga, który mówił, że zamierza opuścić Salt Lakę City.

–Tu się robi straszny kocioł – powiedział Stanley. Potem zadzwonił Boaz.

–Słuchaj pan – powiedział do Davida Susskinda. – Wielu ludzi mnie tu kusi i dochodzę do wniosku, że za łatwo panu ze mną poszło. Finansowo lepiej będę stał, współpracując z kimś innym. Czy chce pan zrewidować swoją ofertę?

Susskind odpowiedział:

~- Nie, nie mam zamiaru, ale z kim pan prowadził rozmowy?

–Z facetem o nazwisku Larry Schiller.

–No cóż – rzekł Susskind – wiem, że pan Schiller to człowiek z Pomysłami, zrealizował pewne przedsięwzięcie, z którego powstała książka o Marilyn Monroe, i tyle o nim wiem. Nie słyszałem o nim Jako o realizatorze telewizyjnym czy filmowym, ale jeśli on

jest bardziej atrakcyjny, niech pan idzie do niego. Ja nie podniosę ceny.

Zdaniem Susskinda, sprawa zaczynała przeradzać się w brukową, spekulancką aferę.

Mimo to zadzwonił do Schillera. Susskind nie był zachwycony pomysłem współpracy z tym człowiekiem, ale w każdym razie zadzwonił:

–Rzuca pan okrągłe sumki, aż ten biedny Boaz dostał oczopląsu, Nie rozumiem. Czy pan teraz pracuje w branży filmowej?

–Tak, owszem – odparł Schiller.

–Proszę pana – powiedział Susskind – pan nie jest producentem. Ktoś kiedyś powinien nakręcić ten film. Ale to nie pańska działka.

–Jestem producentem – oświadczył Schiller. – Nie uważam, że mógłbym równać się z panem, ale wyprodukowałem parę filmów, o których nawet pan nie wie.

–Cóż, myślę, że podchodzi pan do sprawy nierealistycznie – rzekł Susskind. – Oczywiście może się panu poszczęści. Może panu przypadnie ten temat.

–Żywię szczerą nadzieję – odparł Schiller.

Podczas następnej rozmowy Susskinda z Greenbergiem, Stanley powiedział:

–Ja bym się tak nie przejmował. To w końcu coś innego niż oczekiwaliśmy.

Susskind przytaknął.

–Raczej nie będę podbijał oferty. Wszyscy tam powoli dostają bzika. To już nie jest opowieść o załamaniu się systemu wymierzania sprawiedliwości, to jakaś farsa: dziewczyna się truje, ktoś podsuwa truciznę.

Zgodnie stwierdzili, że sprawa brzydko pachnie.

–Myślę, że każdy, kto teraz robi ten temat, rzuca się na trupa w stanie rozkładu – powiedział Schiller. – To nienormalne i chore.

Zgadzali się w pełni. Jedna z rozmów typu: „do diabła z tym wszystkim".

Jednak nie mieli tak naprawdę ochoty tego odpuścić. Kiedy się skończą przepychanki, temat może mieć jeszcze mnóstwo do zaoferowania. Postanowili, że Stanley spróbuje być uchwytny na wypadek gdyby udało się załatwić, co trzeba.

ROZDZIAŁ 9

Negocjacje

Następnego dnia Gary znów do tego wrócił.

–Vern, czy jesteś gotów zająć miejsce Boaza? – spytał.

–Sam nie wiem – powiedział Vern. – A powinienem być gotów?

–Mam zamiar wszystko poprzestawiać. – Gary kiwnął głową. – Po prostu chcę mieć kilka tysięcy dolarów, żeby paru ludziom zapłacić, a paru innym pomóc.

–Ja jeszcze nie wiem, z kim mam się dogadać – powiedział Vern. – Tylu ludzi ostatnio do mnie dzwoni.

–Vern, decyzja należy do ciebie.

–No cóż, skoro myślisz, że sobie poradzę…

–Jesteś w tym mieście człowiekiem interesu – uciął Gary. – Wiesz, co i jak.

~~ To inny rodzaj interesów.

–Do diabła – zniecierpliwił się Gary. – Widziałem, jak prowadzisz swój zakład. Będziesz lepszy od Boaza.

Po południu do Verna zadzwonił Dennis.

Wie pan, że Gary chce mnie odprawić? – spytał. ~~ No i właściwie dlaczego? – odpowiedział pytaniem Vern. – To znaczy, powiedział panu o tym wprost?

Tak między nami – rzekł Dennis – jak pan sądzi: mógłby pan

zająć moje miejsce?

–Myślę, że poradziłbym sobie równie dobrze jak pan – odparł cicho Vern.

Po tej rozmowie Vern przez parę godzin rozmyślał. Potem zadzwonił do kilku znajomych w Provo, żeby zasięgnąć opinii w sprawie adwokata. Wieczorem, koło dziesiątej, zatelefonował do domu do człowieka, którego mu wszyscy polecali, adwokata nazwiskiem Bob Moody. Vern niemalże słyszał, jak Moody rozmyśla nad tą propozycją. Wreszcie powiedział:

–Z radością przyjmę tę sprawę. Pomogę panu, jak umiem. Czy pan chce się ze mną zobaczyć jeszcze dziś wieczorem, jutro rano czy w poniedziałek?

–Może być w poniedziałek – oświadczył Vern. Czuł się tak, jakby przetaczał jakiś ogromny ciężar. Nic już nie miało pozostać takie samo jak dotąd.

Nicole paliła papierosy, co stanowiło problem. Na oddziale intensywnej terapii mieli mnóstwo pojemników z tlenem i nie pozwalali jej używać zapałek. Skarżyła się w kółko:

–Ja chcę zapalić.

I co mieli z nią zrobić?

–Paliłaś godzinę temu – mówili.

–Ale znów mi się chce.

\

Aż w końcu pozwolili Kathryne zabierać ją do pakamery, gdzie pomiędzy zlewami do płukania bielizny, koło namoczonych w wiadrze szmat do podłogi, Kathryne mogła posiedzieć z Nicole przy papierosie. Tam się odprężały. Raz nawet Nicole powiedziała:

–Może to i dobrze, że tu jestem. Sama nie wiem.

Nicole nigdy nie przyznała się do tego otwarcie, lecz zdaniem Kathryne, wcale nie chciała naprawdę umierać, tylko dała Gary'emu dowód swojej miłości. Wreszcie Nicole powiedziała to głośno:

–Uważałam, że odbieranie sobie życia jest złem, i jeżeli Bóg też

tak myśli' to będę żyć. Ale gdyby to nie był grzech, wolałabym

umrzeć-Kathryne czuła się jej wtedy bardzo bliska.

Natychmiast oczywiście musiała się zacząć ta okropna szarpanina. Lekarze chcieli, żeby Kathryne podpisała zgodę na umieszczenie Nicole w Szpitalu Stanowym Utah. W biurze administracji Kathryne próbowała oponować, ale siedzący tam mężczyzna powiedział:

–To niczego nie zmienia. Są już dwa podpisy lekarzy, że Nicole jest niepoczytalna i ma skłonności samobójcze, zresztą sama to podpisała.

Kathryne nie wiedziała, co robić. Jej zdaniem, Nicole nie była jeszcze gotowa na powrót do domu. Poza tym do którego domu? Z drugiej strony obawiała się, że jeśli raz wsadzą Nicole do czubków, to już nigdy nie wyjdzie. Kathryne bała się szpitali państwowych. W każdym razie podsunęli jej papier i podpisała się obok Nicole. Drżącą ręką.

W momencie składania podpisu na tej kartce Nicole wiedziała, że to straszliwy błąd. Dlaczego po prostu nie wyszłam z tego kurewstwa, zastanawiała się. Przez całą drogę do karetki powtarzała sobie: Dlatego, dziewczyno, że nie miałaś nic prócz szpitalnej piżamy na grzbiecie i koca. Zapakowali ją jak trzeba, że nie mogła ruszyć ręką ani nogą. Larwa w kokonie. Podczas jazdy nie mogła wyglądać z karetki, ale w zgrzycie biegów, gdy pojazd pokonywał wzniesienie, coś zapowiedziało koniec podróży. Nicole znajdowała się na długim podjeździe do Szpitala Stanu Utah. Boże, to przecież tam trzymali Gary'ego.

Dość dobrze to poznała. Takie samo uczucie. Nawet ten sam oddział. Korytarz w kształcie litery U, w jednym skrzydle chłopaki, w drugim dziewczyny, w środku wspólna świetlica. Korytarze były długie i wąskie; mijało się sypialnie i cele z jasnym linoleum na «* Podłodze. Wszędzie naćkane jakieś idiotyczne malunki. Totalnie bzdurne napisy w rodzaju: SPOŁECZEŃSTWO TO MY! wymalowane farbą wodną, która skawaliła się i wyblakła. Pomarańczowe łóżka, żółte ściany, plastikowe krzesła i stoły jak w stołówce. Cholernie ją to Pognębiało – jak gdyby została skazana na wieczne zamieszkiwanie

w PoCzekalni. Wszyscy wyglądali na przyćpanych. Umieranie trwa

tylko dla picu.

sto pięćdziesiąt lat. Tylko Wszystko takie cholernie wesolutkie.

Poprzedniego wieczoru John Woods miał kłopoty z żołądkiem, wykaszlał trochę krwi i pomyślał: Jezu, chyba robi mi się wrzód Postanowił zostać w domu i odpocząć od szpitala, a tu w panice dzwonią do niego z oddziału.

–Jedzie do nas Nicole Barrett.

–Po moim trupie – odparł Woods.

Zajrzał do biura dyrekcji; Kiger powiedział z miejsca:

–Skierowałem ją na pański oddział. Chcę, żeby była właśnie tam

–Nicole nie powinna przebywać pod Maksymalnym Nadzorem – odrzekł Woods. – Będzie to zwyczajnie jeszcze jeden dowód, że reszta szpitala nie jest w stanie podołać obowiązkom. Ją powinien przyjąć oddział terapii złagodzonej.

Kiger przyznał mu rację. Próbował coś wtrącić, lecz Woods był tak wzburzony, że podniósł głos:

–Jeszcze nie skończyłem.

Szanował Kigera; uważał, że jest to jedyny człowiek z nowym pomysłem na leczenie psychopatów, odkąd wymyślono ten termin, dlatego tak się przejmował, kiedy jego zdaniem Kiger robił coś z szlachetnych pobudek.

Oczywiście oddział Woodsa jako jedyny miał wystarczające zabezpieczenia, by uchronić Nicole przed dziennikarzami. Jak to ujął Kiger:

–Ciężko będzie się opędzić od prasy.

Każda stacja radiowa czy telewizyjna, gazeta czy tygodnik szykowały się do wypróbowania wszelkich sztuczek, byleby tylko przeprowadzić wywiad z Nicole. Zanosiło się na poważne naciski. Środki masowego przekazu będą cisnąć polityków, a politycy dyrekcję szpitala. Gdyby Nicole jeszcze raz podjęła próbę samobójstwa, oni wszyscy zapłaciliby głową. Woods wściekał się jak cholera, bo wywalało to do góry nogami terapię innych pacjentów na oddziale Zmienił się charakter jego pracy. Teraz Woods miał głównie utrzymywać Nicole przy życiu.

Zamiast rozpracowywania antyspołecznych odruchów u poszczególnych osób w razie ich konfliktu z interesem grupy, i grupowego przekuwania osobowości pacjentów, aby zaszczepić im

społeczną odpowiedzialność, główny wysiłek będzie odtąd polegał na okrążeniu Nicole i odizolowaniu jej od stałych wpływów Gary'ego, żeby ten wspaniały guru nie robił jej dłużej wody z mózgu pomysłami, że ich dusze mają spotkać się po tamtej stronie. Woods będzie musiał wydać polecenie, że nikomu spośród pracowników i pacjentów nie wolno wypowiadać imienia Gilmore'a. Nigdy. Żeby utrzymać Nicole

przy życiu, trzeba zneutralizować ten związek. Woods zdawał sobie sprawę, że nawet gdy nikt nie nawiąże z Nicole rozmowy o Garym, ona i tak będzie o nim cały czas rozmyślać. Woods nie mógł temu zapobiec. Nie życzył sobie tylko, żeby Gilmore dalej wywierał wpływ na jej myślenie.

W każdym razie to go dobijało. Po prostu miał odmienną koncepcję terapii. A tak – zawalą poważną część realizowanego programu, bo trzeba pilnować Nicole dzień i noc.

Idealnym rozwiązaniem, kiedy prowadzi się szpital, jest podjęcie ryzyka w kwestii samobójstw. Każda nowoczesna terapia zawiera ryzyko. Lecz tutaj trzeba było je wyeliminować. Kiger miał pomysły do tego stopnia niekonwencjonalne, że jeśliby im się nie udało upilnować Nicole, program trwale by na tym ucierpiał. Tak czy owak, po prostu dno.

Nicole chciało się spać jak chyba nigdy dotąd, ale natychmiast jakaś dziewucha z ważną miną – pewnie pacjentka, ale bezczelna i okropnie pewna siebie – w obrzydliwie ograniczony sposób zaczęła jej rozkazywać:

–W dzień nie ma leżenia na łóżku! Weź prysznic! Zdejmij biżuterię!

Popychali ją, więc im oddawała. Wtedy właśnie do Nicole dotarło, że wszystko, co zrobi od tej chwili, będzie walką. Ta świadomość °doPadła ją niczym choroba. Przegra tę bitwę z kretesem. Uduszę się tu Przez to pierdolone stado, powiedziała do siebie. Tak to miejsce

właśnie opisywał Gary; każdy tu kabluje na każdego.

Próbowała spać, ale jej nie pozwolili. Położyła się na podłodze – obudzili ją, więc walnęła się z powrotem na podłogę spać. Wtedy zaczęła ją tarmosić żona Nortona Willy'ego. Na imię miała Mayvine Żona Nortona Willy'ego, który wychowywał się zaraz po sąsiedzku koło jej babki. Nicole nie mogła uwierzyć, że

Norton ożenił się z taką wiedźmą, potworną tłustą wazeliniarą, która teraz pomaga prowadzić ten dom wariatów. Starali się utrzymać Nicole na nogach i nie pozwalali jej spać, lecz ona czuła się trzy razy słabiej niż w tamtym szpitalu. Interesowała ją wyłącznie samotność i rozmyślania o Garym.

Schiller pojechał na lotnisko. Miała przylecieć jego dziewczyna, Stephanie. Ponieważ była przedtem jego sekretarką, wiedział, że jej nie zaskoczy, kiedy oświadczy przy powitaniu, iż natychmiast muszą pojechać do Pleasant Grove koło Orem i złożyć wizytę Kathryne Baker.

Schiller spodziewał się ujrzeć przed domem dziennikarzy, ale okazało się, że trudno znaleźć ten dom. Nazywanie ulic według wskazań kompasu nie sprawdzało się w Pleasant Grove. Za dużo się tam zachowało polnych dróg, pastwisk wyłożonych nawierzchnią i wyschniętych rzecznych koryt. 400 Północna prawdopodobnie skręca, przecinając 900 Zachodnią, a 60 Zachodnia krzyżuje się z 200 Wschodnią. To nie był dobry adres dla reportera, który musi zdążyć z tekstem na piątą, a pół dnia zajmie mu pytanie o drogę.

Jednak Schiller miał czas na długą rozmowę z panią Baker. Dom zrobił na nim kiepskie wrażenie: na podwórku od frontu walały się stare opony, a w trawie rdzewiały metalowe części – nie wiadomo, czy od jakiegoś gruchota, czy ze starej pralki. Stół był zapaćkany dżemem, a kurz z warstwą tłustego brudu pokrywał większość sprzętów w kuchni. Kręciła się tam zdumiewająca liczba dzieciaków – widział, jak przemykały dzieci Rikkiego i Sue Bakerów, dzieci sąsiadów, do których omyłkowo zaliczył najmłodsze dziecko Kathryne, Angel, która mogła mieć sześć albo siedem lat i była

uderzająco ładna, z wyglądu przypominała Brooke Shields. Cały ten rozgardiasz trochę utrudniał sprawę, lecz Schiller liczył na swoją umiejętność sprzedawania propozycji zarówno w pałacu, jak i w sali bilardowej. Od razu wrzucił gadkę, taką samą jak do Verna.

–Bez względu na to, czy otrzymam prawa do historii życia pani córki, uważam, że powinna pani zrobić to i to.

I zabrał się do wyrabiania w niej pewności, że on rozumie, jakie czekają ją problemy. Powiedział, że powinna zmienić numer telefonu i odesłać dzieci do kogoś z rodziny. W ten sposób dziennikarze jej nie wytropią.

–Powinna pani oszczędzić dzieciom ciężkich przejść, które niełatwo zapomnieć.

Cały czas miał świadomość, że największe wrażenie robi na niej tym, że nie wypytuje jej o różne rzeczy i nie zapisuje odpowiedzi, jak gdyby zamierzał wyłudzić wywiad, tylko powtarza:

–Proszę pani, niech pani wynajmie adwokata.

–Nie znam żadnego – odrzekła Kathryne.

–U kogo pani pracuje? – zapytał Schiller. Kiedy mu powiedziała, doradził:

–Niech pani zadzwoni do swojego szefa i spyta, kto jest jego adwokatem.

Widział, że mile ją zaskoczył życząc sobie, żeby miała kogoś, kto będzie bronił jej praw. Zauważył, że nie jest przyzwyczajona do rozmawiania w ten sposób.

Na podstawie transakcji, które zawierał do Blasku słońca Schiller nauczył się, że kiedy chce się pójść na całego z książką albo filmem i wejść do gry z producentami i wydawcami, trzeba zdobyć właściwe podstawy i zawierać właściwe kontrakty od pierwszego dnia. W przeciwnym razie można skończyć na drzewie, gdzie człowiek skacze z gałęzi na gałąź. Przy Blasku słońca nie zawarł osobnego kontraktu z mężem umierającej kobiety. Później wytwórnia Universal musiała wydać kupę forsy

na wykupienie praw. Ta sprawa długo prześladowała Schillera. Dlatego wyłożył wszystko pani Baker.. – Niech pani wynajmie adwokata – powiedział jej. – Dopiero Jak pani to załatwi, porozmawiamy o pieniądzach.

W drodze powrotnej miał pierwszą wielką awanturę ze Stephanie,

której ojciec robił interesy w branży odzieżowej. Z tego, co Schiller

Wiedział, ojciec Stephanie tkwił w interesach tak głęboko, jak owca

w wełnie, ale Stephanie była oczkiem w głowie tatusia i tatuś starał się, jak mógł, ją chronić. Stephanie Wolf była taką cudną księżniczką, która nie znosi patrzeć, jak się sprawy załatwia. Może i pracowała jako sekretarka, ale to jej nie przeszkadzało Nienawidzić interesów.

I teraz Stephanie mówiła mu, że od początku manipulował Kathryne Baker.

–Jak śmiesz wykorzystywać tę kobietę i ubijać z nią interes, podczas gdy ona się zamartwia? Przecież wczoraj jej córka o mało nie umarła.

Larry spróbował jej to wyłożyć.

–Lubisz chodzić na przyjęcia do ABC, prawda? – powiedział. – Ale tam w ABC nikomu nie zależy na zapraszaniu Larry'ego Schillera. Oni mnie cenią według tego, co dla nich zrobię. Do diabła – ciągnął – jeżeli jesteś mną zainteresowana, powinnaś akceptować mnie takiego, jaki jestem. Kochaj tę część, która jest ci bliska, a jeżeli coś innego ci nie odpowiada, musisz się nauczyć to znosić. Nie możesz mnie mieszać z błotem, bo coś tam powiedziałem w czyimś pokoju, i to w chwili kiedy stamtąd wychodziłem.

Naprawdę ostro się pokłócili. W końcu dla Stephanie Schiller gotów był rozbić małżeństwo, które przetrwało szesnaście lat, wiedział jednak, że ich układ będzie poddany wszelkim próbom w trakcie załatwiania tego Gilmore'a. Zakątek jego mózgu zaczął rozważać możliwość wysłania Stephanie do Europy, żeby się zajęła uprawnieniami na zagranicę. Jeśli ona zostanie przy nim, historia Gilmore'a może mu się wymknąć. Ich potyczki wywołane drobnym epizodem przyprawiały o apopleksję.

Tej nocy nie mógł zasnąć i o drugiej wstał, żeby podyktować kontrakt na prawa Gilmore'a agencji usług prawniczych w Salt Lake City. Przez telefon nagrano jego słowa, a rano jakaś dziewczyna przepisze wszystko na maszynie. Nie podobało mu się jednak, że ktoś obcy usłyszy o warunkach kontraktu. Łatwo mógł powstać przeciek do prasy. Schiller wiedział, że gdyby sam pracował dla lokalnej gazety. postarałby się o dojście do takich miejsc. W ten sposób można zdobyć temat.

Mimo wszystko musiał mieć coś gotowego, żeby pokazać adwokatom Verna i pani Baker. "Wobec tego udawał, że jest kupcem bydła i owiec z Kalifornii: podyktował, ile krów i cieląt ma zostać

sprzedane w zamian za przekazanie pełnych praw do wiadomego towaru. O drugiej w nocy pasował mu ten rodzaj humoru.

Jutro zmieni owce i krowy na konkretne osoby. Jest na świecie mnóstwo ludzi z głową do interesów i mnóstwo dobrych dziennikarzy, pomyślał Schiller, ale jestem chyba jednym z niewielu, którzy potrafią łączyć obie umiejętności.

Podczas weekendu Barry Farrell zrobił wywiad z Larrym Schillerem w Los Angeles. Wiele lat temu pracowali razem w tygodniku „Life", lecz ostatnio Farrell nie darzył Schillera sympatią. Nieco ponad rok wcześniej Larry przygotowywał album zdjęć Muhammada Alego. Zadzwonił wtedy do Barry'ego zwracając się o napisanie tekstu i Farrell rozpoczął na ten temat

rozmowy ze swoim wydawcą. Następnie Schiller zatrudnił Wilfreda Sheeda. Farrell odebrał to tak, jakby jego nazwisko było jednym z wielu na liście i wnerwił się.

Lubił jednak zaczynać każdy nowy rok na czysto, napisał więc do Schillera list, w którym stwierdzał ostatecznie: „Trochę mi przeszło. Zrobiliśmy kiedyś wspólnie parę dobrych kawałków i może jeszcze zrobimy." Dla Farrella to oczyściło atmosferę. Uważał, że może rozmawiać z Larrym bez uprzedzeń, gdyby coś się wykluło.

Mimo wszystko, kiedy Farrell usłyszał o wyprawie Schillera do Utah po temat Gilmore'a, naszykował sobie ostre pióro. Larry znów miał wystąpić w roli, za którą go w przeszłości krytykowano. To była wielka okazja, żeby się przyjrzeć, jak się będzie targował o trupa Gilmore'a.

Farrell załatwił więc, że napisze artykuł do „New West" i prze-Prowadził wywiady z Susskindem, z naczelnikiem więzienia, wreszcie sPotkał się także z Schillerem w Los Angeles podczas weekendu. Do tego czasu Farrell miał już dość Dennisa Boaza. Ten pierdolnięty hipis Wciąż nie jest w stanie zrozumieć stawki w tej grze, myślał. Rozmowę zaczął pełen animuszu, jednak to Susskind rozpowiadał

o przyszłym zysku w granicach piętnastu milionów dolarów, lecz na razie proponował grosze. Farrell doszedł do raczej ponurego wniosku – gdyż pomimo noworocznej ugody korciło go, żeby wyciąć Schillerowi parę numerów – że ten facet może być jedynym, który ma jakieś realne pojęcie o tym, co się dzieje, kiedy ktoś umiera publicznie Schiller robił to już wcześniej, rozmawiał z rodziną, ściskał dłonie Lepiej zdawał sobie sprawę z trudności niż Boaz, który wciąż twierdził, że sam jeden trzyma rękę na pulsie.

Gilmore potrzebuje ochrony, na Boga. Żaden temat nie ma takiego powodzenia w telewizji jak publiczna śmierć. Farrell słuchał, jak Dennis opowiada o Garym i Nicole w więziennym

domku z ogródkiem, i czuł się zdegustowany. Kończy się życie Gary'ego. W stanie Utah nie ma sposobu, żeby go nie zabili. Przecież jeżeli Gilmore'a nie stracą, to następstwem może być fala egzekucji. Każdy amerykański konserwatysta powie: „Nawet nie mogą rozstrzelać tego gościa, co chce być rozstrzelany. Kogo mamy w takim razie karać?"

Gadka Schillera przynajmniej miała podstawy. On wznosił fundament. Jego kontrakty były murowane. Żeby każdy wiedział, na czym stoi.

Schiller parę razy wystąpił w radiu i zmieniał się charakter telefonów, które odbierał. Czuł rosnące zainteresowanie dziennikarzy Postanowił więc skontaktować się z Edem Guthmanem z „Los Angeles Timesa".

–Słuchaj, Ed – powiedział – potrzebuję dojścia na łamy. Dam duży tekst na pierwszą stronę i wyłączny wywiad z Gilmore'em na jakiś czas przed datą egzekucji, jeżeli teraz mi przydzielisz któregoś z najlepszych reporterów od spraw kryminalnych w charakterze nagłaśniacza.

Guthman miał dobrego fachowca nazwiskiem Dave Johnston. którego mógł podesłać na jeden dzień i Schiller z Johnstonem spróbowali przewidzieć problemy. Jeżeli na przykład uda się zdobyć tylko jeden wywiad z Gilmore'em, jakie pytania należy mu zadać.

Dodatkowo Schiller gdzieś około przyszłego tygodnia potrzebował tekstu na swój temat. Nie jakiś duży artykuł, tylko mała wstawka w poniedziałkowym wydaniu. Chciał pomniejszyć znaczenie swojej obecności na pierwszej linii. Żadnego skupiania uwagi, bo zaraz wszyscy by mówili: „Oho, padlinożerny sęp dopadł zdobyczy." Zamiast tego Johnston napisze tekst o tym, jak do Salt Lakę City zjechali dziennikarze z całego świata i wzmianka o Schillerze znajdzie się dopiero w trzecim czy czwartym akapicie.

Ponieważ tak skromny wizerunek mógł pogorszyć jego pozycję wobec nowych adwokatów Verna Damico i Kathryne Baker, Schiller zadał sobie trud poinformowania każdego z osobna, że brak rozgłosu jest korzystny, gdyż na razie odwraca od niego uwagę. Następnie powiedział, że mogą mu się zdarzyć pomyłki przy sterowaniu kontaktami z prasą, lecz dodał:

–Ja widziałem, jak wygląda najazd dziennikarzy, i zrobię wszystko, żeby chronić waszą wiarygodność. Zorganizujemy to jak akcję zespołową i ja będę pociągał za sznurki.

Raz po raz powtarzał:

–Mogą wam się nie podobać pewne rzeczy w tym, co robię, możemy się nie zgadzać, ale wszyscy ludzie, z którymi pracowałem, są nadal moimi przyjaciółmi. Zróbmy tak – mówił – niech pan weźmie słuchawkę i zatelefonuje do Shelly'ego Dunna w Denver, Kolorado. On był prawnikiem od Blasku słońca. Opowie panu o tym, jak nadal się przyjaźnimy i że przeważnie miałem rację, jeśli chodzi o dziennikarzy; może nie we wszystkim, ale często wychodziło na moje.

Potem Schiller podał numer Paula Caruso przypominając, że był on adwokatem w sprawie Susan Atkins.

–Mieliśmy straszne przeprawy, często się spieraliśmy, ale swobodnie może pan do niego zadzwonić. Wymienił też nazwiska paru innych prawników.

' Tak naprawdę to Schiller nie miał pewności, co owi adwokaci mogliby o nim powiedzieć, ale doświadczenie podpowiadało mu, że ludzie niezwykle rzadko wykonują takie telefony.

Kiedy w poniedziałek rano Vern osobiście poznał swego adwokata Boba Moody'ego, pomyślał, że jest to spokojny, pewny siebie, inteligentny gość. Moody był dobrze zbudowany, łysawy, okulary przydawały mu powagi. Starannie dobierał słów. Vern zauważył, że kiedy Bob Moody coś powie, nie musi tego

powtarzać. Zakłada, że dotarło. Vern uważał go za przedstawiciela wyższych warstw. Na pewno należy do klubu z ośrodkiem rekreacyjnym i jest właścicielem drogiego domu poza miastem Provo. Na „Wyżynach Hipoteki", jak to nazywał Vern.

W oczach Moody'ego Vern Damico wyglądał na życzliwego krewniaka, który uczciwie szuka jak najlepszych doradców, żeby zawrzeć najkorzystniejszy układ. Powtarzał, że pragnie, by życzenia Gary'ego zostały spełnione. Chce, żeby jego siostrzeniec mógł zachować jakąś godność.

Moody powiedział mu o trudnościach, jakie sprawi reprezentowanie interesów Gary'ego w postępowaniu karnym i jednocześnie ochrona jego praw do publikacji. Bob Moody sądził, że nie można pogodzić negocjacji kontraktów na film czy książkę z udzielaniem Gary'emu porad prawnych. Załóżmy, że w którymś momencie Gary zmieni zdanie i odwoła się: wtedy prawa do historii jego życia będą mniej warte. Istnieje tu potencjalny konflikt interesów. Nie powinna przecież powstać sytuacja, kiedy prawnik może zadać sobie pytanie, czy aby śmierć klienta nie przyniosłaby mu więcej zysków. Vern przytaknął. Potrzeba drugiego prawnika.

Bob wspomniał o gościu nazwiskiem Ron Stanger. Miejscowy adwokat, z którym kiedyś pracował. Wspólnie z nim albo przeciwko niemu. Uważa, że może Rona polecić.

W istocie Moody dzwonił do Stangera jeszcze podczas weekendu.

–Jak byś się czuł, zastępując Dennisa Boaza? – zażartował.

Zgodnie stwierdzili, że byłoby to pasjonujące. Duży oddźwięk społeczny i ogromnie ważne kwestie prawne. Przede wszystkim taki facet jak Gilmore, zdolny zapędzić władze stanu Utah w kozi róg› musi być na tyle interesujący, że warto go poznać.

Oczywiście zastanawiali się także, czy to przypadkiem nie będzie kOlejna krucjata, przy której grosza nie dostaną. Moody pożegnał się ze Stangerem po podjęciu wspólnego postanowienia, że rozważą wiele spraw, wśród nich karę śmierci. Można, rzecz jasna, zakładać, że do tego nie dojdzie. Niewykluczone, że skazany blefuje. Jak przyjdzie co do czego, złoży apelację.

Zaledwie jakiś tydzień wcześniej Moody i Stanger przypadkowo razem opuszczali gmach sądu i na trawniku przed budynkiem zobaczyli Snydera i Esplina, z którymi lokalna telewizja kręciła wywiad. Przejeżdżając obok, zagwizdali na palcach. To było naprawdę zabawne widzieć Craiga i Mike'a w świetle telewizyjnych reflektorów. Wkrótce potem w kawiarni dali Snyderowi kuksańca.

–Jak to jest z tą apelacją wbrew woli klienta? Wspaniale się staracie, chłopaki – powiedzieli, szczerząc zęby. Snyder też się wyszczerzył.

Nawet po nieudanej próbie samobójczej Stanger i Moody jakoś nie umieli podejść do tej sprawy całkiem poważnie. W sądzie krążyło powiedzenie: „Snyder, na nic twoja robota. Twój klient sam wykonał wyrok."

W końcu prawnicy żartują, podobnie jak chirurdzy przy myciu rąk. Dlatego w sobotę wieczorem, kiedy Moody powiedział przez telefon Stangerowi, że być może dostanie angaż, Stanger odrzekł:

–Teraz powinniśmy wystąpić w telewizji, podczas gdy obok będzie przejeżdżał Craig Snyder.

Po omówieniu sprawy z Vernem w poniedziałek rano Bob Moody Powiedział do słuchawki:

–Ron, wpadnij tu na chwilę, poznasz pana Damico i zobaczymy, co on o tobie sądzi. W sobie właściwy sposób

oznajmił Stangerowi, że ma tę robotę.

Verna z miejsca uderzyła różnica. Ron wprost tryskał energią. W zasadzie to jego wygląd przeraził Verna. Stanger wyglądał jak dzieciak zaraz po dyplomie. Vern zastanawiał się, czy tak młody człowiek zdoła spełnić życzenia Gary'ego. Postanowił go wynająć, bo

Moody go zarekomendował, lecz nie mógł się powstrzymać od

uwagi;

~~~ Zdaje się, że pan jest dość młody.

–Niezupełnie – odparł Stanger, wskazując Moody'ego. Ten łysy facet i ja jesteśmy praktycznie w tym wieku.

Vern nie wiedział, co o nim sądzić. Stangerowi oczy błyszczały niczym iskry krzesane podkowami. Do dzieła, mówił jego wygląd. Może to i dobre u adwokata. Vern został zmuszony do podejmowania mnóstwa decyzji co do różnych osób, zanim miał okazję się przekonać, czy można im ufać. Nie nazwałby tego wygodą.

Roztrząsanie własnych odczuć jest kosztownym zajęciem, zwłaszcza jeśli w tym celu przesiaduje się w biurze za darmo, jednak od samego początku ta sprawa dawała Moody'emu do myślenia więcej niż zazwyczaj. Główna część jego praktyki adwokackiej dotyczyła spraw rozwodowych, odszkodowań po wypadkach, lokalnego handlu – czyli kwestii, które załatwiał z różnymi ludźmi osobiście. Lubił opuszczać biuro. Wolał wyjść i prowadzić dochodzenie niż grzebać się w dokumentach spadkowych albo w księgowości, dlatego zadowolony był, kiedy mu się trafiała sprawa kryminalna. Oczywiście nigdy nie dostrzegł żadnej sprzeczności pomiędzy rolą obrońcy w sprawach karnych i wysoką pozycją w Kościele Mormonów. Nowe zlecenie mile go połechtało, choć zdawał sobie sprawę,
~~~

że Gilmore wystawi na próbę jego przekonania. Mnóstwo osób zakwestionuje moralne prawo do tego, co uczyni.

Ludziom wierzącym trudno czasem pojąć, dlaczego adwokat w ogóle broni niektórych oskarżonych. Nie rozumieją, że u podstaw systemu wymierzania sprawiedliwości leży prawo obwinionego do obrony przed sądem w najlepszy możliwy sposób. Dlatego nie rozumieją, jak dwaj adwokaci mogą skakać sobie do oczu przed sądem, a później iść razem na obiad.

Parę lat wcześniej Moody pracował w biurze Prokuratury Okręgowej i kiedyś występował jako oskarżyciel w procesie o narkotyki. obrońcą zaś był Ron Stanger. Tego dnia Ron stosował metody wybiurcze. Wreszcie Moody tak się rozeźlił, że sędzia, ku uciesze przysięgłych, odesłał ich obu na miejsca. Obrońca walczący z prokuratorem na śmierć i życie. Na zakończenie Ron zadał cios ostateczny, mówiąc przysięgłym, że gdyby prokurator Moody naprawdę chciał zarzut udokumentować, postarałby się przedstawić odciski palców na banknocie dziesięciodolarowym, za który – zdaniem oskarżenia – zostały zakupione narkotyki. To była wypowiedź zamykająca, oskarżenie nie miało już głosu, dlatego Bob nie mógł odpowiedzieć, że z dziesięciodolarówki można zdjąć co najmniej tysiąc odcisków palców. Bardzo się przejął. Gra polega co prawda na tym, żeby wygrać – przyjemnie jest wygrywać – lecz taktyka Rona wykraczała poza przyjacielskie uszczypliwości.

W wielkim napięciu, podczas oczekiwania na werdykt ławy przysięgłych, zjedli mimo wszystko razem obiad. Przysięgli, mijając kawiarnię, widzieli, jak prawnicy jedzą razem i żartują, wysłali więc delegację do sędziego, żeby donieść o tym dowodzie nieszczerości ich wystąpień. Dlatego Bob wiedział, co się szykuje. W tej sprawie taki epizod nie byłby zwykłym dolaniem oliwy do ognia.

W

Vern zabrał parę arkuszy z nadrukiem kancelarii Moody'ego oraz Stangera i zaniósł je nazajutrz Gary'emu.

–Ci adwokaci są stąd – powiedział. – Ja tam uważam, że to dobry wybór. Oni będą się o ciebie bić.

–Czy oni uznają karę śmierci? – spytał Gary. Vern nie wiedział dokładnie – uprzytomnił sobie, że nawet Moody'ego o to nie zapytał – lecz odrzekł:

–Będą bronić twoich praw bez względu na własne przekonania.

Moody i Stanger przyjechali do więzienia trochę później. Gary chciał ich obejrzeć. Spotkali się więc, po obu stronach szyby. Rozmawiali przez telefon i spotkanie nie wypadło zachęcająco. Czy chce pan, żebyśmy pana reprezentowali? – zapytali Gary`ego. ten odpowiedział:

–Wpierw porozmawiam z wujem.

Gilmore odbył z Vernem długą rozmowę. Moody słyszał słowa wypowiadane po stronie Verna, na przykład: „Tak, jestem pewny." Lecz Gilmore sprawiał wrażenie niezbyt przytomnego. Na pewno nie mówił tego, co myśli. Wyglądał mizernie i był blady. Cały czas narzekał na ból głowy. Wyraźnie cierpiał wskutek przedawkowania pigułek nasennych. Później dowiedzieli się, że rozpoczął również głodówkę. Mówił, że nie zacznie jeść, dopóki nie pozwolą mu porozmawiać z Nicole przez telefon. Powiedział to i zamilkł. Patrzył na nich przez szybę.

Gary podjął temat kary śmierci. Moody był już gotów oświadczyć, że tego nie popiera, i przygotowywał w myślach przemowę kiedy Ron powiedział do drugiej słuchawki, że on osobiście jest przeciw.

–Czy mimo to spełni pan moje polecenia? – spytał Gary.

–Tak – odrzekł Ron. – Będę pana reprezentował.

Wtedy odezwał się Bob, mówiąc Gary'emu, że prawnicy są przyzwyczajeni do pracy „pod włos". Niewiele osób nadawałoby się do obrony, gdyby adwokat do wszystkiego przykładał miarę własnych przekonań.

Jednak tego dnia nie dogadali się z Gilmore'em jak należy. On na wszystkie pytania odpowiadał:

–Uwierzę, kiedy zobaczę to na piśmie.

Był podejrzliwy wobec rodzaju ludzkiego w ogóle, wobec adwokatów zaś w szczególności.

–Nie mam do was nic osobiście – powiedział Gilmore. – Po prostu nie lubię adwokatów – i beknął. W słuchawce telefonicznej rozległo się burczenie pustego żołądka.

W tych niezbyt zachęcających okolicznościach Moody uznał, % można się przynajmniej upewnić, na jakiej stoją pozycji. Dlatego wspomniał o Dennisie Boazie.

–Czy dostał od pana oficjalne wymówienie? – spytał.

–Przez pewien czas Dennis był jedynym człowiekiem chętnym do pomocy, dlatego jestem mu coś winien – odrzekł Gary. – Ale to $ nieaktualne. Dziś po południu go zwolnię.

Ziewnął. Moody słyszał, że pierwsze dni głodówki są najgorsze i jeśli jest to prawda – nie na wiele się zda, ponieważ u Gary`ego

wyczuwało się głęboki upór, który zapowiadał, że głodówka nieprędko się zakończy.

–Rozmawiałem z Vernem i on sugeruje, że chcesz mnie zwolnić – powiedział Dennis.

–No tak – odrzekł Gilmore.

–Myślę, że to dobry pomysł – przyznał Dennis.

No i Gary stracił grunt pod nogami. Przez szybę Dennis wyraźnie widział, jak szura stopami po ziemi, bo obrał jeden kierunek, a teraz musi zawrócić.

–Nie podobała mi się twoja rozmowa z Geraldo Riverą w telewizji – oznajmił Gary. – Nie podobało mi się też, że dzwoniłeś do tego ignoranta, naczelnika. Utrudniłeś mi sprawę. – Tu ziewnął, nie mogąc się powstrzymać.

–Gary – przemówił Dennis – czuję, że kompletnie nie możemy się już porozumieć.

–To nieistotne – odparł Gilmore. Potem kiwnął głową, jakby do siebie. – Dennis – powiedział – tobie się coś należy. Ile byś chciał?

Dennis odpowiedział: – Chcę jedynie o tym napisać.

Myślał już, że będzie musiał nazwać swego bohatera Harry Kil-m°re* zamiast Gary Gilmore. Mógłby swoją powieść ładnie zrównoważyć, przeciwstawiając temat morderstw swojej własnej pracy z kierowcami autobusów, dwie kwestie prawne: jedna to powództwo o zwiększenie bezpieczeństwa, druga zaś – poszukiwanie śmierci, może z tego powstać niezła książka.

Wyczuwał, że Gilmore jest pod wrażeniem jego nonszalancji, jeżeli chodzi o pieniądze.

my-RÓŻnimy się nieco Poglądami – oświadczył Gilmore. – Ale muwię ci, Dennis, mam zamiar zaprosić cię na egzekucję.

Dennis się wkurzył. Nagle cholera go wzięła, że w taki sposób został odsunięty od sprawy.

–Nie chcę oglądać twojej egzekucji – powiedział. Myślał,że zmartwi to Gary'ego, któremu zależało na obecności przyjaciół. Gilmore jedynie kiwnął znów głową i pożegnali się; każdy zamamrotał: No to dobra, trzymaj się, do zobaczenia. Dennis niemógł się jednak powstrzymać. W ostatniej chwili powiedział:

–Słuchaj, jak chcesz, to przyjadę.

Jednak kiedy opuścił więzienie, znowu diabli go brali. Zadzwonił do Barry'ego Farrella i powiedział:

–Chcę odwołać to, co mówiłem o Schillerze, że to wąż. On jest o stopień wyżej. Powiedzmy węgorz. Na drugie imię mam Lee, czyi węgorz czytany od tyłu *, dlatego rozumiem węgorze. Schiller awansował z węża na węgorza.

–Pewnie coś razem kombinujecie, zgadłem? – śmiał się Farrell.

–Nawet już o tym nie myślę – odparł Dennis. – Ale powiem, co mnie faktycznie bierze.

–Co takiego, Dennis?

–Że życie może tak szybko przybrać inny obrót.

Farrell zadzwonił do Schillera, żeby usłyszeć jego wersję.

–Nie mam z tym nic wspólnego – powiedział Larry Schiller Ta nowina absolutnie mnie zaskoczyła.

–Wygląda na to, że dostaniesz, o co ci chodzi – rzekł Barry

–Jeszcze nic nie ustalone – odparł Schiller ponuro. – Trzeba pokonać mnóstwo przeszkód.

–Ale nie tracisz entuzjazmu?

–Między nami mówiąc – odrzekł Schiller – mam wielki problem. – Czy występują w tej opowieści jakieś sympatyczne postacie?

–Masz wątek miłosny – zauważył Barry.

–Nie byłbym taki pewien – powiedział mu Schiller. – Nie spotkałem się jeszcze z Nicole. Musisz poczekać na odpowiedź.

Farrell wyszedł na dwór w chłodnym blasku listopadowego słońca Na skraju pustyni w dole dym z kominów stalowni Geneva S#e w Orem niósł tak potworną masę zanieczyszczeń, że Farrella

piekły oczy, chociaż dawno przywykł do smogu Los Angeles. Czuł się jak jeden z sępów przy padlinie. Przyleciał tak jak inni, żeby zobaczyć, czy Gary Gilmore umrze. Jeździł międzystanową tam i z powrotem, z jednego nowo wybudowanego miasta do drugiego, zmierzał na południe zadymioną kotliną, by znów zawrócić na północ. Żegnaj, Dennis. Barry Farrell nie mógł się zdecydować, czy go lubi, czy też traktuje jako oburzające zaprzeczenie postaci kulturalnego, zrównoważonego adwokata, którego w gruncie rzeczy domagał się Gilmore.

ROZDZIAŁ 10

Kontrakt

Schiller postanowił wynieść się z Salt Lakę i zamieszkał w motelu Trave-Lodge w Provo. Okno pokoju wychodziło na aleję Uniwersytecką i można było przez nie patrzeć na góry, których szczyty z każdym rankiem stawały się coraz bielsze i znikała pod śniegiem litera Y wykuta w białym kamieniu na jednej z gór.

Od razu umówił się z Philem Christensenem, adwokatem pani Baker, oraz z Robertem Moodym. Christensen o trzeciej, Moodi o czwartej. Zakładał, że pierwsze spotkanie zajmie mu pół godziny a potem się przejdzie pieszo do drugiego biura. Z pewnością znajdowało się gdzieś w pobliżu. Przeprowadził rekonesans i wiedział, że kancelarie prawnicze w Provo skupiają się wokół gmachu sądu Schiller nie zawracał sobie nawet głowy sprawdzaniem adresu Moody'ego. To na pewno gdzieś za rogiem. Toteż w siedzibie biur Christensena czekała go niespodzianka. Napis przy wejściu głosił Christensen, Taylor i Moody. Kurwa, pod jednym szyldem! SchilLer się rozpromienił.

Kancelaria miała wygląd miałomiasteczkowy. Wszystko się zgadzało: fornirowa okleina ścian, pomarańczowo-żółty dywan i lekkie fotele obite ciemnobrązową skórą. Ten rodzaj sprzętów spotyka się w umeblowanych letnich domkach do wynajęcia. Doskonale. Kiedy ma się dwóch wspólników z tej samej firmy adwokackiej, reprezentujących różnych klientów w tej samej sprawie, obaj prawnicy dokładają

wszelkich starań, żeby nie dopuścić do konfliktu interesów i wycofania

z gry. Z ofertą, że Gary dostanie pięćdziesiąt tysięcy dolarów, Nicole

–dwadzieścia pięć tysięcy, dwaj adwokaci raczej nie powinni

opierać się tej propozycji, mając na uwadze również własny zarobek.

phil Christensen, szef zespołu, okazał się dystyngowanym siwowłosym panem; nie minęło jednak pięć minut i Schiller wyczuł, że zaczyna wzbudzać szacunek Christensena swoją wiedzą prawniczą. Z miejsca oświadczył:

–Wolałbym, żeby opłata za usługi prawnicze nie była potrącana z pieniędzy, które oferuję Nicole Barrett, dlatego chciałbym wiedzieć, jaka suma będzie odpowiednia.

Christensen powiedział mu, że tysiąc dolarów wydaje się w sam raz, wobec czego Schiller rzekł:

–W takim razie ustalmy dwadzieścia sześć tysięcy dla Nicole Barrett, ale chcę, żeby pani Baker zapłaciła panu honorarium z tej sumy.

W ten sposób Schiller załatwił, że Christensen będzie adwokatem matki Nicole, a nie jego, Schillera. Wprawił Christensena w podziw.

–To zrozumiałe samo przez się, że wszystko musi zostać zaaprobowane przez sąd – dorzucił.

Nie chciał omawiać dalszych kwestii, dopóki Christensen nie załatwi sprawy pełnomocnictwa. Stwierdził również, że jego zdaniem, matka Nicole powinna zostać pełnomocniczką w sprawach majątkowych, kuratelę zaś nad osobą roztacza oczywiście sąd. Christensen popatrzył na niego.

–Skąd pan zna te sprawy? – zapytał. Tak się zaskarbiało szacunek Christensena.

Nieco później, kiedy na spotkanie przybyła Kathryne Baker, Christensen powiedział nawet:

~~ Nie uzgodniliśmy jeszcze wszystkich kwestii finansowych, ale pragnę panią zapewnić, że znakomicie porozumiewamy się z panem

Schillerem.

. Faktem jest, że Christensen poprosił o więcej pieniędzy. Chciał parę tysięcy dolarów na opłaty za leczenie April. Schiller zgodził się

dostarczyć tę sumę w kilku ratach. Z kolei Schiller wspomniał, że

chciałby zdobyć prawa do wypowiedzi April i babci, pani Strong. Tak

wyglądały rozmowy: porozumienie profesjonalistów. Kiedy nadszedł

czas spotkania z Moodym po drugiej stronie korytarza, Christensen

też wpadł posłuchać. Zajrzał do nich także Ron Stanger i Schilk zabrał się do wyłuszczania sprawy. Spostrzegł, że przeważnie zwraca się do Stangera, który był wygadany i orientował się tak prędko, że mógłby występować jako prowadzący dyskusje telewizyjne.

Schiller zaczął od treści kontraktów i kwestii finansowych. Nie powiedział im o telefonicznej rozmowie z ABC, w której oznajmił, ^ czterdzieści tysięcy to za mało. Musi mieć pięćdziesiąt tysięcy. Cały czas wiedział, że końcowa suma będzie o wiele większa, ale obliczył że na razie poradzi sobie, mając sześćdziesiąt tysięcy dolarów Gary'emu trzeba wypłacić jego pięćdziesiąt natychmiast, ale Nicole jest w szpitalu psychiatrycznym i można zmodyfikować jej kontrakt proponując dziesięć tysięcy od ręki, dziesięć tysięcy w momencie kiedy będzie gotowa udzielić wywiadu, i pięć po

rozpoczęciu pracy nad filmem. Niech ABC da pięćdziesiąt, a już te dziesięć on zawsze znajdzie.

Następnego dnia, żeby popchnąć trochę sprawy do przodu, Larry zwrócił się do Verna:

–Mówiłem już panu, że podpisanie kontraktu ze mną nie wyklucza innych publikacji i podtrzymuję to, ale wyjaśnijmy sprawę definitywnie. Czy mógłby pan pojechać po Brendę, żeby podpisała i po jej męża Johnny'ego? Potrzebny mi też podpis pana i Idy. Proszę wszystkim powiedzieć, że nie występuję o kontrakt na wyłączność tylko o zwykłe scedowanie praw.

Vern się zgodził, wsiadł do swojej ciężarówki i pojechał zebrać ich wszystkich. W sumie wyniesie to następne cztery tysiące dolarów.

Vern powiedział, że Gary nie zgodzi się na żaden kontrakt, dopóki nie pozna człowieka. Schiller kiwnął głową. Racja. Tak powinno być Vern dodał:

–Ale nie ma sposobu, żeby mógł pan się z Garym zobaczyć

–Wie pan co? – odrzekł Schiller. – Niech pan mi opowie o więziennym rozkładzie dnia. Mówiono mi już przedtem, że nie dostanę się do różnych miejsc, a ja się dostawałem. Pan mi narysuje schemat. Czy oni rewidują przy wejściu? Czy zmienia się coś w zależności od pory dnia? Wpuszczają rano czy wieczorem? Jacy są strażnicy o różnych porach?

Schiller myślał: Gary pomoże od wewnątrz. Nie przebywa w tym więzieniu długo, ale z drugiej strony ma pewien status wśród skazanych i wśród strażników. Powiedział więc Vernowi:

_- Niech Gary nam powie, co i jak. On wyczuje odpowiedni

moment.

Do Susskinda dzwonili Moody i Stanger. Powiedzieli, że Dennis Boaz został odprawiony. Dwaj nowi adwokaci wydali się Susskindowi bardzo rzeczowi i rozsądni. Małomiasteczkowi w pozytywnym sensie. To zacni ludzie, uznał.

Powiedzieli, że sprawa była dotąd prowadzona bardzo nieudolnie. Nie liczą na jakąkolwiek współpracę Boaza, toteż chcieliby poznać ofertę Susskinda z pierwszej ręki. David nie miał zamiaru podnosić stawki, ale wdał się w rozważania o pieniądzach, które można uzyskać, i wskazał, jak mogą zarobić sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Susskind znów nabierał zainteresowania. Pozostawało pytanie, czy tak późno można jeszcze coś zdziałać.

We wtorek rano, dwudziestego trzeciego listopada, ukazał się numer „Newsweeka" z datą dwudziestego dziewiątego listopada z Garym Gilmore'em na okładce. Wielkimi literami wydrukowano mu PRAGNIENIE ŚMIERCI na piersiach. Moody przeczuwał, że stawki pójdą w górę.

Potem nastąpiła seria rozmów z Susskindem, który chciał wiedzieć, Czy Bob słyszał kiedyś o Louisie Nizerze, następnie wymienił paru innych sławnych prawników, takich jak Edward Bennett Williams.

Do diabła, ani się Moody obejrzał, a już w telefonie rozległ się głos:

„Panie Moody, mówi Louis Nizer. Mój przyjaciel David

susskind prosił, żebym do pana zadzwonił i potwierdził, że jest on tym, za kogo się podaje. Sądzę, że będą panowie zadowoleni ze wsPółpracy z nim. Wiem, ponieważ sam załatwiałem z nim wiele spraw.

–To miło, że pan zadzwonił, panie Nizer – odparł Bob – ale w zasadzie nie trzeba mi zachwalać pana Susskinda. Znamy jego dorobek i zdajemy sobie sprawę, że jest to bardzo utalentowany

zdolny twórca.

Z Bobem Moodym nie szło tak łatwo. Nie lubił być traktowany jak

prowincjonalny kmiot.

Moody załatwiał mnóstwo spraw z prawnikami z San Francisco i Los Angeles, i rzadko traktowano go z góry. Salt Lakę leżało na tyle blisko Kalifornii, że nikt nie wątpił, iż w Utah może się toczyć coś ważnego. Natomiast w kontaktach z prawnikami z Nowego Jorku albo Waszyngtonu czuło się, jak oni szerzą kulturę w zabitym deskami Provo.

Wreszcie Moody powiedział Susskindowi, że może powinien się zastanowić nad wycofaniem ze sprawy.

–Schiller robi coraz lepsze wrażenie na Vernie Damico – wyjaśnił Moody – a właśnie Vern ma największy posłuch u Gary'ego. Wtedy Susskind zaczął ostro krytykować Larry'ego Schillera.

–Panowie – powiedział – nie chcę się przechwalać, ale różnica pomiędzy dwoma producentami: Susskindem i Schillerem, jest taka sama jak między drużyną „Kowboje z Dallas" i szkolną reprezentacją

futbolową.

Moody powtórzył to Schillerowi, który uśmiechnął się w gęstwie swojej czarnej brody tak szeroko, że przez gęstwę włosów wyraźnie widać było, jak się szczerzy.

–Susskind ma rację – powiedział. – „Kowboje z Dallas" to on a ja to szkolna drużyna. Ale jestem na miejscu, przebrany i gotów do gry. Gdzie są „Kowboje"? Nawet nie dotarli na stadion.

Poza tym Moody uważał, że Susskind jest zbyt nieprzejednany w jednej kwestii. Nikt nie otrzyma od niego ani grosza, dopóki nie zostaną zebrane upoważnienia od Nicole, Bessie i różnych innych osób. Susskind chciał, żeby prawnicy wręczyli mu cały pakiet i wzięli kłopot na siebie. W gruncie rzeczy chciał z nich zrobić Larry'* Schillera. Larry zaś właściwie załatwił już podpis Nicole – zajął się tym Phil – dlatego Moody wolał uniknąć sytuacji, kiedy on i jego stary wspólnik będą zmuszeni reprezentować wspólne interesy.

\V trakcie tych rozmów Schiller zaprosił Rona, Phila i Boba do apartamentu w hotelu Utah. Odbyli ciche przyjęcie, bez picia, za toz

mnóstwem deserów w stylu mormońskim, z bitej śmietany i ciasta. Tam zostali przedstawieni Stephanie. Zachwycili się. Była tak piękna. Szczupła, miała delikatnie cyzelowane rysy twarzy i od razu można było z nich wyczytać, że coś czuje, kiedy zaś coś jej nie obchodziło, odpowiadała kamienną obojętnością.

–Boże kochany, ta dziewczyna ma w sobie urok Nefretete! – wykrzyknął później Stanger. I zaczął podpuszczać Larry'ego:

–Co taka piękna dziewczyna jak Stephanie robi w towarzystwie brodatego grubasa? Słuchaj, Schiller – dodał jeszcze – facet, co ma taką dziewczynę, nie może być całkiem złym człowiekiem.

Jednak trudno było się nie zachwycić. Istna pokazówka, żeby olśnić widzów, myślał Stanger.

Potem włączyła się do akcji wytwórnia „Universal Pictures". Ci sami adwokaci, którzy reprezentowali Melvina Dumara w dochodzeniu praw spadkowych z testamentu Howarda Hughesa, zjechali do Provo i gawędzili w biurze Boba przez kilka godzin. Jeden z nich okazał się doradcą podatkowym i kolegą Boba ze studiów. Zaofiarował się wykorzystać swoją znajomość rzeczy do opracowania wyjątkowo korzystnych

kontraktów dla Gilmore'a i Verna. Moody'ego pociągała ta propozycja. Pomijając resztę spraw, ci ludzie byli dobrymi mormonami. Wszystko wyglądało znakomicie. Na koniec jednak powiedzieli:

–Z pewnym zakłopotaniem musimy poinformować, że kontrakt dojdzie do skutku jedynie w wypadku dokonania egzekucji.

Kiedy Moody i Stanger powiedzieli to Gary'emu, ten zaśmiał się po swojej stronie szyby i powiedział do słuchawki:

~~ A wy myślicie, że to kiepski kontrakt, co?

Wypił łyk kawy (w trakcie głodówki pozwalał sobie na kawę z cukrem) i powiedział:

~~ Do diabła, egzekucja się odbędzie.

No cóż, Gary, to nie zależy od ciebie – odrzekł Moody.

W tym momencie Gary wybuchnął.

~~ Te sukinsyny, te sukinsyny – powtarzał. Wyglądał strasznie Ponuro.

Tymczasem Larry Schiller mówił przez telefon do Stanleya Greenberga, że ma już Damico, także matkę Nicole, i jedyny brakujący element to pisarz, którego Schiller by chciał: Stanley Greenberg.

Potem zadzwonił do Stanleya David Susskind i powiedział, że Schiller wcale nie ma wszystkiego. Na jego miejsce weszli dwaj mormońscy prawnicy. Stanleyowi stanął przed oczami obraz czternastu wozów strażackich uganiających się po Salt Lakę i Provo. Wygląda na to, że każdy próbuje zarobić na nieszczęsnym Garym Gilmore. Bardzo niesmaczne. Stanley nie miał zamiaru uczestniczyć w wyścigu po szmal. Chciał zrobić

coś o oddźwięku kary śmierci w społeczeństwie, a nie scenariusz z gonitwą karetek.

Schiller zadzwonił po odpowiedź i Greenberg powiedział,.nie" Osobiście nie ma do pana Schillera żadnych zastrzeżeń, ale odmawia, gdyż osiągnął już taki etap życiowej kariery, że nie podejmie się pracy z producentem, którego nie zna. Niestety. Stanley uważał, że to po prostu cholernie niebezpieczne. "*

Gdyby Greenberg zgodził się robić scenariusz, Schiller mógłby ustrzelić ABC na więcej pieniędzy. A tak – z pewnością spytają o prawa do wydania książki. Z tej jednej sprawy nie chciał zrezygnować. Musi obmyślić to inaczej. Może sprzedać listy Gary'ego i Nicole? Fragmenty, które widział w artykule Tamery Smith, wyglądały zachęcająco. Ale taką transakcję trzeba przeprowadzić inco gnito. Dlatego zadzwonił do Scotta Mereditha z Nowego Jorku proponując rolę agenta.

Meredith go przeraził:

–Larry, jesteś pewien, że zdobędziesz te prawa? Był tu dziś Susskind i mówił, że on je ma.

–Żadna umowa nie została jeszcze podpisana – odparł Schiller. ^ Ani przeze mnie, ani przez Susskinda. Scott, sam musisz zdecydoWaC komu ufasz. Ja ci mówię, że nikt nie podpisał.

__ No dobrze – rzekł Meredith. – A czyimi pieniędzmi dysponujesz?

__ Reprezentuję ABC – odpowiedział Schiller. – Ale jestem właścicielem praw do publikacji prasowej i do książki.

–Przed chwilą Susskind mówił mi, że to on reprezentuje ABC – rzekł Meredith z troską w głosie.

–CO TAKIEGO??

–Tak – potwierdził Meredith. – Zapewniał mnie, że reprezentuje ABC.

Schiller zadzwonił do Lou Rudolpha w Los Angeles.

–Co ty wyprawiasz? – krzyczał. – Tak się nie robi!

–Larry – odrzekł Rudolph – przysięgam, że Susskind nie pracuje dla ABC. Zapadła cisza, po chwili Rudolph dodał:

–Czekaj. Zadzwonię do Nowego Jorku.

Odpowiedź przyszła bardzo prędko. Susskind rzeczywiście miał umowę z biurem nowojorskim. Nowy Jork nie dał znać do Los Angeles i odwrotnie. O rany.

Schiller poczuł się kiepsko. Susskind niedawno zrealizował Eleonor i Franklina. Nikt w tym momencie nie mógł się bardziej podobać ABC.

Zapytał Lou Rudolpha:

–Kiedy się Susskind z nimi umawiał? Niech podadzą datę. Potrzebna mi data. Który z nas był pierwszy, ten dostaje poparcie ABC.

Podali datę. Susskind nie nawiązywał kontaktu z żadnym z szefów studia aż do dziewiątego listopada, czyli nazajutrz po ukazaniu się artykułu poświęconego Gilmore'owi na pierwszej stronie „New York Timesa". Schiller zwrócił się do studia czwartego listopada.

~~ Ja pierwszy się zgłosiłem – powiedział Schiller. – Mnie się należy poparcie.

Studio odmówiło. Odbywano rozmowy telefoniczne pomiędzy Nowym Jorkiem, Los Angeles i Provo. Nareszcie decyzja. ABC wycofuje Poparcie dla obu stron. Ani Susskind, ani Schiller nie mogą teraz Powiedzieć, że realizują zamierzenie ABC. Z drugiej

strony, który z nich pierwszy podpisze kontrakt z Gilmore'em, ten dostanie fundusze. Schiller był bliski apopleksji. ABC nic nie robi, tylko się

ubezpiecza. Po prostu nie chcą, żeby się wydało, co z nich za pierdoły do kwadratu.

Znów zadzwonił do niego Susskind. Schiller stał w budce telefonicznej w drogerii Walgreena i słuchał, jaką Susskind ma dla niego ofertę

–Dlaczego my właściwie ze sobą walczymy? Po co windować cenę? – spytał Susskind. – Pan jest na miejscu. Ja jestem tu w Nowym Jorku. Zostańmy wspólnikami.

Schiller słuchał uważnie.

Susskind mówił:

–Zakładam przedsiębiorstwo produkcji filmów w Los Angeles Spróbujemy teraz razem popracować, zobaczymy, jak się ułożą nasze stosunki. Później może robiłby pan dla nas filmy.

–Z przyjemnością robiłbym z panem filmy – oświadczył Schiller. – Ale to osobna kwestia, proszę pana.

Schiller czuł pokusę, aż go w nosie kręciło. Tak jak w młodym wieku przed pójściem do łóżka. Ale ten układ oznaczałby również, że Susskind zrobi film dla telewizji. Nawet gdy Schiller zmontuje całe przedsięwzięcie, to nie na własny rachunek. Schiller wziął na wstrzymanie

Po odwieszeniu słuchawki uznał, że sprawa jest jasna. Jeżeli Susskind chce połączyć siły, w takim razie nie może zdobyć praw bez niego. To znaczy że przypadną jemu, Schillerowi. Może je mieć, jeśli tylko jest gotów stawić czoło niepokojom. A praw do Gary'ego Gilmore'a pożądał bardziej niż czegokolwiek

dotąd z branży ekonomicznej czy twórczej. Nie wiedział czemu. Po prostu tak było.

Oznaczało to, że od tej chwili nieustannie będzie się martwił o pieniądze.

Schiller szykował się do powrotu na Wybrzeże, razem ze Stephanie na weekend Dziękczynienia. Dłuższy czas nie widział swoich dzieci i miał zamiar zabrać je do La Costa w San Diego. Byłyby to pierwsze Święta Dziękczynienia spędzone z dziećmi, ale bez żony, Judy właściwie pierwsze takie święta w ogóle. Chociaż dzieciaki bardziej lubiły Stephanie – zważywszy na ich lojalność do matki – zapowiadały się święta z upiorami. Upiory, do tego pełno własnych problemów.

pojechał więc do La Costa z głową, w której niczym kanciaste pakunki telepały się kłopoty finansowe i po niecałym dniu, w piątek, dwudziestego szóstego wieczorem, odebrał telefon Moody'ego.

–Sądzimy, że nam się uda wprowadzić cię na widzenie z Garym jutro po południu – powiedział adwokat. – Lepszej okazji nie będzie.

Gibas, nie uwierzysz, jaka ilość poczty do mnie przychodzi. Trzydzieści do czterdziestu listów dziennie. Głównie od małolatek – piętnaście, szesnaście lat, ale nic dziwnego: zawsze był ze mnie kawał przystojnego drania. I nie uwierzyłbyś, ilu jest na świecie chrześcijan i religijnych fanatyków. Dostałem tyle Biblii, że mógłbym otworzyć kościół – może potrzebujesz Biblii? Jeden facet pisze, że gdyby mógł zamienić się ze mną miejscami, zrobiłby to. Chyba mu odpiszę: „Bracie, przyjadą po ciebie z samego rana w poniedziałek." Mogę się założyć, że długo by gościa szukali.

Hej, wolno mi zaprosić pięciu świadków na moją egzekucję. Chciałbym cię zaprosić, żeby się z tobą pożegnać osobiście. Daj mi znać…

Gibbs pomyślał: to będzie pierwszy raz. Byłem zapraszany na wesela, urodziny, zakończenie szkoły, ale nie słyszałem, żeby kogoś zaproszono na egzekucję.

Odpisał: „Jak chcesz, żebym był, to przyjadę."

Moody i Stanger przygotowywali Schillerowi wejście. Wyjaśnili władzom więziennym, że zajmują się technicznym opracowaniem własnego przedpola. Trzeba zrobić wstępną kalkulację podatku od zysku potencJalnych dochodów Gary'ego z tytułu publikacji historii jego życia sporządzić zapis testamentowy, co bardzo komplikuje pracę

nad kontraktem. Sprowadzają więc z Kalifornii człowieka nazwiskiem Schiller, który przedyskutuje z Garym te sprawy.

–Wejdzie jako konsultant? – zapytano Moody'ego i Stangera ' – Tak – odpowiedzieli. – To nasz konsultant.

Mówili prawdę. Tylko starannie sformułowaną.

Schiller przyleciał do Salt Lakę i wyruszył do Point of the Mountaiu w sobotę po południu. Wzbierała w nim adrenalina i strach, że może zawalić sprawę.

Strażnik podniósł słuchawkę i rozmawiał przez dziesięć minut, zanim wpuścił Larry'ego. Tylko dwa razy rozsunęła się krata przed zdumionym Schillerem i zaraz po drugiej stronie, ze trzy metry w głąt korytarza, z zamkniętego pomieszczenia na prawo zobaczył wyglądającego przez okienko Gilmore'a. Po przeciwnej stronie korytarza, w sali z otwartymi drzwiami, siedzieli Vern, Moody i Stanger, szczerząc się do niego. Zauważył wtedy, że Gilmore też się uśmiecha Udało się.

Vern przedstawił ich sobie i Larry nie zdejmując jesionki usiadł na krześle, na którym przedtem siedział Vern; drzwi zostawił otwarte, Przez szerokość korytarza popatrzył na Gary'ego przy okienku i ich spojrzenia się spotkały. Schiller z miejsca

rozpoznał, że ten człowiek uwielbia świdrować oczami. Trzeba rozmawiać tak, jakby on był

jedyną istniejącą siłą.

Schiller nie miał nic przeciwko takim zawodom. Zawsze odczuwał subtelną przewagę. Widział tylko jednym okiem. Druga osoba może się długo wpatrywać w tamto oko pozbawione wyrazu i najwyżej się zmęczy.

Jednak Gilmore tak się ustawił za swoją szybą, że jeśli Schiller pochylał się w lewo, on z kolei też mógł pochylić się w lewo i w ten sposób zachować to samo ustawienie ich obu w stosunku do okna. ^ gdyby patrzył przez lornetkę. Bardziej oddalony od szyby SchiLler zaczął się czuć jak w więzieniu, podczas gdy Gilmore na wolności, zaglądał do środka.

W każdym razie Schiller wrzucił gadkę. Oficjalnym tonem powiedział:

__- Oczywiście wiadomo panu, dlaczego tu jestem – dając spojrzeniem dyskretny znak, że jak im obu wiadomo, telefony są na podsłuchu. – Bob i Vern z pewnością wspomnieli, że jestem konsultantem – rzekł z uśmieszkiem, wykorzystując w pełni znaczenie tego słowa. – Przychodzę ustalić sprawy dotyczące pańskiego majątku, stanu posiadania i tak dalej, wie

pan.

Obaj uśmiechnęli się leciutko. Wtedy akurat przyszedł strażnik i usiadł nie opodal na ławce w korytarzu. Gary powiedział:

_ Nie trzeba się nim przejmować.

Strażnik wziął jakieś pismo i zabrał się do czytania.

–To jeden z tych dwóch – wyjaśnił Gilmore – którzy są ze mną cały czas, czy siedzę w celi, czy wychodzę. Są raczej w

porządku.

Powiedział to tonem kapitana drużyny, który wie, że inni gracze są dumni, bo grają w jego zespole. Schiller był zaskoczony pospolitym wyglądem Gary'ego. Widział go przy wyjściu ze szpitala ponad tydzień temu i zdecydowanie Gary wyglądał teraz inaczej. Vern mówił Schillerowi o jego głodówce, ale w ogóle nie było tego po nim znać. Wyglądał o wiele zdrowiej niż ostatnim razem. I dosyć spokojnie.

Z tego, co mówili Vern, Moody, Stanger i Boaz, Larry spodziewał się człowieka błyskającego inteligencją i dowcipem. Zamiast tego ujrzał faceta, który tak na oko źle by się czuł w restauracji z obrusami na stołach. ^›

Schiller oceniał, że ma piętnaście do dwudziestu minut na przekazanie najważniejszych spraw, dlatego nawijał równo i prędko, nie sPuszczając oka z Gilmore'a. Przez pierwszy kwadrans nie padło żadne pytanie, aż wreszcie Schiller musiał wtrącić: ~~ Możesz mi przerywać, jak zechcesz. Lecz Gilmore odrzekł: Nie, nie, ja słucham.

wrzucał tę samą gadkę, którą wcześniej sprzedał Kathryne i Vernowi, tylko nafaszerowaną takimi słowami jak „kurwa", "góWniany" i „robić w wała", czasem stwierdzał: „chcieli mnie wyrolować". Bez przerwy obserwował Gilmore'a i zastanawiał się, gdzie się podział facet z wysokim ilorazem inteligencji? Schiller

odbębnił swoje przygotowane piętnaście minut i przez dłuższą chwilę jechał na improwizacji, aż wreszcie Gilmore zrobił pierwszy wypad pod jego bramkę pytaniem:

–Kto mnie zagra w tym filmie?

Po pół godzinie: „Kto mnie zagra w filmie?" Dla Schillera sprawa była jasna – próba sił.

–Bo widzisz pan – Gary cedził słowa – jest taki aktor, co go lubię. Nie pamiętam nazwiska, ale on grał w "Przynieście mi głowę Alfreda Garcii" i w jeszcze jednym filmie Sama Peckinpaha.

–Zdaje się, że ci chodzi o Warrena Oatesa – odrzekł Schiller

–No tak – ciągnął Gilmore. – Ja go naprawdę lubię. Chcę, żeby facet mnie grał. – Kiwnął głową wpatrując się w Schillera i dodał: Niech to będzie zaznaczone w naszej umowie, że zagra mnie w filmie ten aktor.

Schiller kluczył chwilę, robiąc zwiad.

–Gary – powiedział – wysłuchałeś mnie, ale ja o tobie wiem jak dotąd bardzo niewiele. Może tu nie ma tematu na film? Poczekajmy na dobry scenariusz, zanim zaczniemy omawiać inne sprawy.

–A ja myślę – powiedział Gilmore – że powinien mnie grać Warren Oates i chcę, żeby to było w umowie.

–Nie mogę tego uwzględnić w umowie – odrzekł Schiller. – Nie mogę narzucać warunków, które nas skrępują jak kaftan bezpieczeństwa. Warren Oates może się nie zgodzić. Ja mogę sobie nie życzyć Warrena Oatesa. Inni aktorzy mogą się lepiej nadawać. Możliwe tez, że będzie do uzyskania duża suma pieniędzy, pod warunkiem, że weźmiemy innego aktora. Wchodzisz tutaj w moje kompetencje Jestem zmuszony odmówić traktowania Warrena Oatesa jako warunku naszej umowy!

Gilmore się uśmiechnął.

–Larry, ja nie cierpię Warrena Oatesa.

–W porządku – odpowiedział z szerokim uśmiechem Schiller. " Kogo byś chciał naprawdę?

–Gary'ego Coopera – odparł Gary Gilmore. – Noszę jego imię. To przełamało lody. Gilmore dojrzał do rozmowy o sobie.

–Jak byłeś dzieckiem, to kim chciałeś zostać? – spytał Schiller

–Gangsterem – odrzekł Gilmore. – Z prawdziwej szajki. Zaczął opowiadać, jakim był w dzieciństwie chuliganem: tu coś zwędził, tam zrobił włamanie. Razem z kumplem odstawili wielką ucieczkę samochodem. Gliny złapały ich dopiero po pół godzinie. Kiedy mówił, twarz mu pojaśniała. Zachowywał się jak gość, co Opowiada o fajnych panienkach, które zaliczył.

Gdzieś po czterdziestu pięciu minutach rozmowy Schiller rzekł:

–Opowiedziałem ci o sobie, ty mi też trochę o sobie powiedziałeś; myślę, że uda nam się jeszcze pogadać i zdecydujesz, czy mogę coś dla ciebie zrobić.

–Masz jakieś spotkanie? – spytał Gilmore.

–Nie – odparł Schiller. – Ale nie pozwolą mi tu siedzieć nie wiadomo ile.

–Dlaczego? Możesz zostać do rana.

–Poważnie?

–Jasne. My z Vernem gadamy przez sześć godzin, jak chcemy.

Schiller zaczął dostrzegać, jak bardzo Gilmore panuje nad sytuacją. Od czasu do czasu Gary zwracał się do strażnika: „Gdzie moje pastylki?" albo: „Przynieś mi kawę", tonem nie pozostawiającym wątpliwości, że dostanie, czego żąda. „Przynieś mi kawę", tak jak „Przynieście mi głowę Alfreda Garcii."

Kiedy jednak upłynęło trochę czasu, a kawa się nie pojawiała, Gilmore wrzasnął nagle: CO JEST Z TĄ KAWĄ? Schiller

zauważył, że wzbiera w nim irytacja, ale wybuch nastąpił bez ostrzeżenia: przenikliwy skrzeczący wrzask, który, zdaniem Schillera, świadczył o kompletnym nieliczeniu się z tym, co pomyślą adwokaci i Vern. w podobny sposób kobiety potrafią w trakcie rozmowy rzucić się z Jazgotem na dzieci.

. Wreszcie pracownik w białym fartuchu przyniósł jakieś tabletki

i Gary zrobił mu awanturę.

.~~ Czekam godzinę i piętnaście minut! – krzyczał. – Nie wiesz› że jak proszę o lekarstwo, to mam je dostać natychmiast? Taki jest przepis. Sami ustanawiacie przepisy, żeby je potem

łamać.

Zachowywał się tak nieprzyjemnie, że Schiller dziwił się, dlaczego jeszcze nie zabierają go z powrotem do celi. Zdumiewające, na ile Gilmore sobie pozwalał.

Wkrótce przyniesiono mu kawę w papierowym kubku i zaczął się pieklić, że nie powinien używać papierowych naczyń. Przepisy wymagają normalnych kubków i talerzy. Potem powiedział do Schillera:

–Oni każą mi przestrzegać przepisów, odsiedzieć wyrok zgodnie z przepisami, przepisowo chodzić spać i odbyć przepisową egzekucję, a sami wiecznie te przepisy naruszają. Łamią je na każdym kroku.

Wygłosił dziesięciominutową tyradę i nagle Schiller odkrył, kogo mu Gilmore przypomina: Muhammada Ali w trakcie wyliczania swoich pretensji. Ten sam gderliwy, nieludzki ton, którym potrafił rugać Muhammad. Kiedyś, w Manilli, Schiller siedział w jego pokoju w hotelu Hilton i przez godzinę musiał znosić wyrzekania rozzłoszczonego Muhammada, a teraz głos

Gilmore'a brzmiał podobnie Gary'ego nie obchodziło, co o nim pomyślą. Dlatego Schiller powiedział:

–Naprawdę zabiłeś tych dwóch, no nie?

–Oczywiście że tak – odparł Gilmore nieomal z urazą. – Przecież wiesz. Wtedy Schiller powiedział:

–Zabiłeś ich – chcąc podkreślić, że jest różnica pomiędzy zabiciem kogoś w gniewie i zabijaniem z zimną krwią, kiedy zabójcy wystarczy przestawić sobie w głowie małą dźwignię. Gilmore mieścił się w drugiej kategorii. Zabiłby cię za to, że przyniosłeś mu kawę w papierowym kubku.

Do rozmowy wkradł się chłód. Schiller wiedział, że czas się wycofać zapytał więc Verna, czy chce porozmawiać, i Vern na parę minut usiadł przy słuchawce. Kiedy Schiller uznał, że już znowu jest fajnie powiedział:

–Słuchaj, Gary, czas na kolację. Chcesz, żebym jeszcze przyszedł?

–No jasne, wpadaj. Przegadamy całą noc – odrzekł Gilmore Wyzbył się chłodu. Schiller szedł zamyślony. O rany, ile się da zrobić z tym facetem. Świetny materiał na wywiad.

Kiedy wywiad się przeciągał, Moody i Stanger zaczęli się niepokoić, że sprawa się wyda i będą mieli nieprzyjemności zawodowe. Posunęliby się nawet do szturchnięcia Schillera raz czy drugi, byleby go odciągnąć, ale Gary koniecznie chciał dalej rozmawiać. Był wyraźnie zadowolony. Ponieważ adwokaci słyszeli jedynie Schillera, nie mieli pojęcia, o czym mówi Gary.

Zaniepokoili się, że może puszcza farbę i sprzedaje Schillerowi całą historię bez żadnej umowy czy kontraktu. Gary się ożywił. Pierwszy raz Moody widział go mówiącego z takim zapałem. Potwierdzało się jego przeczucie, że Schiller to trafny wybór, lecz brali również pod uwagę, że robią być może ostatni kurs.

Jeżeli Schiller zdobywa tu materiał na tony, to a nuż zechce ich wystawić do wiatru.

W restauracji Schiller dopytywał się, czy Gary zawsze się tak zachowuje. Wszyscy naraz zaczęli go zapewniać:

–Skąd, człowieku, on z nikim jeszcze nie rozmawiał w ten sposób. Schiller podejrzewał już, że mówią tak przez grzeczność, ale Vern rzekł cicho:

–Myślę, że on naprawdę pana polubił.

Schiller nabierał pewności siebie. Kiedy wrócili, znów zaczął rozmowę z Garym na różne tematy, lecz po niespełna kwadransie wtrącił się czyjś głos; słuchawkę wziął Moody i długo z kimś rozmawiał. Z naczelnikiem albo z zastępcą. Schillera wyłączono.

Gary był niepocieszony. Wciąż pytał:

~ Kto tak powiedział? Kto wydał polecenie? On jest w zespole moich doradców. Ma prawo tu być.

~~ Nie martw się, Gary, mamy mnóstwo czasu – rzekł Schiller.

Potem wstał Moody i powiedział:

~~ Gary, to jest ten kontrakt, który omawialiśmy.

Pokazali mu dużą płachtę papieru i zaczęli czytać poszczególne sumy do słuchawki, lecz Gary przerwał:

~~ Dobrze, napiszcie to na maszynie. Ja się wtedy temu przyjrzę i Podpiszę.

Kiedy wyszli już adwokaci i Schiller, Gary spytał Verna:

–Czy twoim zdaniem on jest najlepszy?

–Tak do końca to nie wiem, ale myślę, że tak – powiedział Vern.

–A co z Susskindem? – spytał Gary i sam sobie odpowiedział: -, Czuję, że lepszy jest pan Schiller. Podoba mi się jego podejście do interesów.

W ten sam sobotni wieczór i w niedzielę rano Schiller opracowywał kontrakty wraz z Moodym i Stangerem. Trzeba było wprowadzić poprawki i wynająć sekretarki do obsługi tych cholernych komputerowych maszyn do pisania. Prawnicy nie poszli do kościoła, co dostarczyło tematu do żartów. W niedzielę po południu uporali się wreszcie z tekstami umów i Schiller wrócił do swego motelu, gdzie miał czekać na ich podpisanie.

Mniej więcej wtedy Boaz zadzwonił do Susskinda na jego rachunek. Susskind spytał:

–Nie ma pan nawet telefonu? Dennis zachichotał.

–Dość tego – powiedział Susskind. – Posuwa'się pan za daleko. Nie wiem, co pan zrobił, w każdym razie już siedzą w tym inni zamiast pana. Nie ma pan żadnych uprawnień.

–Owszem. Ale nic się nie da zrobić beze mnie.

–Nieprawda – odparł Susskind. – Właśnie się robi. Ale ja w tym nie biorę udziału.

–Proszę posłuchać – przerwał Dennis. – Może i nie jestem już adwokatem w tej sprawie, ale mam parę dokumentów i mam jeszcze… Susskind uznał, że facet majaczy.

–Jest pan zwykłym pozerem – oświadczył. – Kłamie pan i kiepsko kojarzy. Nie życzę sobie mieć więcej z panem do czynienia Proszę do mnie nie dzwonić, czy to na mój, czy na własny rachunek.

Wyjątkowo nieprzyjemny zgrzyt na zakończenie.

Moody i Stanger odpoczęli chwilę, następnie pojechali do siebie. W niedzielę przed wieczorem. Przez szerokość korytarza czytali do słuchawki warunki kontraktu. Gary niewiele chciał zmieniać i

raz się zdenerwował, kiedy omawiali dostęp do jego listów. Własnym długopisem wykreślił tę klauzulę z umowy i napisał, że nie daje żadnego upoważnienia, dopóki nie porozmawia z Nicole. Prawnicy próbowali go przekonać.

–Nie masz tu prawa głosu – tłumaczył Moody. – Teraz te listy należą do Nicole.

–A gówno -odrzekł Gary – nikt nie będzie ich czytał bez mego zezwolenia.

Schiller cały czas czekał w swoim pokoju. Siedział w tym motelu do trzeciej rano już w poniedziałek, czekając, aż tamci dwaj do niego zadzwonią. Telefonował nawet do więzienia, gdzie się dowiedział, że ich tam nie ma. Wobec tego zadzwonił do domu Moody'ego i obudził go. Wrócili przed paroma godzinami. Byli z powrotem już o wpół do dziewiątej. Po prostu nie przyszło im do głowy, że on czeka. A cały czas chodziły mu po głowie najgorsze warianty wydarzeń.

Duży Jake wrócił do pudła z dużym słoikiem rozpuszczalnej kawy, wielką puszką soku do rozcieńczania i z kartonem ulubionych papierosów Gibbsa, Yiceroy Super Longs. Powiedział Gibbsowi, że Gary prosił Verna Damico o podrzucenie tego do więzienia. Z kartką: „Gibas, całkiem nagle stałem się dość bogaty – jeżeli czegokolwiek potrzebujesz, to tylko powiedz." Gibbs domyślił się, że Gary sprzedał komuś swój życiorys. Usiadł i przyrządził kubek soku.

zadzwonił ostatni raz do Susskinda. Już nie na jego rachunek.

~~ Mówiłem przecież – żachnął się Susskind – nie chcę z panem rozmawiać. Boaz na to:

~~~ Mam całkiem nowy pomysł. To będzie historia o mnie. ~~~ Boaz, jesteś stuknięty – odparł Susskind. ~~~ Wcale nie – zapewniał Dennis. – Prawdziwie wielki temat

to moja wersja. Świetny materiał. Prowadziłem notatki – pochwalił się.

–Proszę bardzo – odrzekł Susskind – idź pan do Larry'ego Schillera. On się z pewnością zachwyci.

Nazajutrz Gibbs dostał kartonik w kopercie. Gary wypisał zaproszenie.

PIF! PAF!

Prawdziwa Rozwałka Na Żywo! Bessie Gilmore z Milwaukie, Oregon, serdecznie zaprasza na egzekucję syna: Gary'ego Marka Gilmore'a, lat 36. Miejsce: Więzienie Stanu Utah w Draper, Utah. Czas: O świcie. ZAPEWNIAMY ZATYCZKI DO USZU ORAZ NABOJE.

Wraz z kartonikiem przyszedł list.

Niedługo będę rozdawał dużo forsy. Chciałbym ci dać koło dwóch tysięcy (2000). Proszę, żebyś przyjął. Nie odmawiaj, bo ja ci po prostu to daję, jak przyjaciel. Mam akurat zamiar dać tobie, bo jak nie, to i tak dałbym komu innemu.

CZĘŚĆ TRZECIA

GŁODÓWKA

ROZDZIAŁ 11

Ułaskawienie

Earl Dorius zajął się okropnie śliską sprawą. W więzieniu chcieli wiedzieć, czy mogą przerwać głodówkę Gilmore'a i zmusić go, żeby jadł. Obecnie prawo stawiało znak równości pomiędzy karmieniem na siłę i wymuszonym leczeniem: decyzja Sądu Najwyższego z 1973 roku stawiała wymóg uzyskania zgody więźnia.

Istniały jednakże dopuszczalne wyjątki. Earl napisał więc list do naczelnika Smitha, w którym podkreślał, że należy utrzymywać w więzieniu pewien rygor nie sprzyjający żadnym próbom samobójczym. „Byłoby poważnym nadużyciem, gdyby więźniowi pozwolono zagłodzić się na śmierć." W podsumowaniu Earl stwierdzał, iż lekarz więzienny „może prawnie nakazać przymusowe dokarmianie".

Earl skontaktował się z prasą i z kilkoma lokalnymi stacjami radiowo-telewizyjnymi, żeby zawiadomić o wydanej przez siebie opinii. Miał całkowitą pewność, że będzie to wiadomość dnia w spraWie Gilmore'a i nie skrywał zadowolenia. Jego list do Sama Smitha wymagał należytych przygotowań i, zdaniem Earla, zawierał rzetelną argumentację, lecz nowinę przełknięto bez echa. Jeszcze tego samego Popołudnia zadzwonił Holbrook z „Salt Lakę Tribune", żeby z godzinnym wyprzedzeniem zawiadomić o ponownym wystąpieniu sędziego Rittera z wnioskiem o uchylenie tymczasowego zakazu wywiadów z Gilmore'em.

Earl był niepocieszony. Miał szczery zamiar znaleźć świeższy materiał niż stary ograny „Pell przeciw Procunierowi". Jednak cały dzień poświęcił zagadnieniu przymusowego dokarmiania. Natomiast „Tribune" zjawiła się dobrze przygotowana. Sędzia Ritter zawiesił zakaz wywiadów. „Tribune" mogła wysłać dziennikarza na rozmowę z Gilmore'em jeszcze tego samego dnia.

W więzieniu był akurat Schiller, kiedy dotarł tam reporter i wynikła niespodziewana sytuacja. Schiller wypytywał Gary'ego i właśnie nawiązał do tytułowego artykułu z „Newsweeka". Sądził, że w ten sposób wybada, czy Gilmore'owi naprawdę zależy na rozgłosie. Przytoczył fragment wiersza, który „Newsweek" cytował jako przykład twórczości Gary'ego. Powiedział, że to całkiem niezły wiersz. Gary się uśmiał.

–To poemat Shelleya pod tytułem Krzewina czuła – wyjaśnił. – Kurczę, Schiller, to kompletne kretyństwo ze strony „Newsweeka". Każdy, kto rozpozna wiersz, będzie myślał, że ja się podszywam pod autora.

Później Schiller uznał, że to chyba przeczucie nakazało mu pośpiech, bo rozmowa z Garym nie miała potrwać długo. Poruszył drażliwy temat, chociaż z zasady zostawiał śliskie sprawy na koniec. Nie ma sensu przerywanie wywiadu nagłą

impertynencją. Jednak Schiller nie zawsze umiał się powstrzymać i wyrwało mu się:

–Dlaczego zaznaczyłeś w kontrakcie, że nie mogę mieć twoich listów do Nicole? Ona jest w szpitalu. Wiesz, że do niej nie dotrę.

–Schiller – odrzekł Gary – ten cholerny doktor Woods nie daje mi do niej zadzwonić. Nawet listu nie pozwala napisać. Zacząłem głodówkę, żeby pokazać cały dramat: trzymają mnie z dala od jedynej w świecie osoby, na której mi naprawdę zależy. Dlatego zrobiłem ten dopisek w naszym kontrakcie. – Popatrzył Schillerowi w twarz. – Ale widzę, że z ciebie jest twardy zawodnik. Załatwisz z Woodsem, żeby mi pozwolił na kontakt z Nicole. Nie obchodzi mnie, czy go przekupisz, czy co, w każdym razie nie dostaniesz tych listów, dopóki ja z nią nie porozmawiam, jasne? Powiedzmy, że mam na ciebie haka.

Dla Schillera nie było to całkowitym zaskoczeniem. Od początku wiedział, że głodówka Gilmore'a nie jest aktem rozpaczy, tylko metodą prowadzenia rozgrywki. Schiller słyszał, że Gilmore miał niezłą wprawę w wywoływaniu buntów w Więzieniu Stanu Oregon i udało mU się to kilkakrotnie. Co prawda w tamtym pudle przesiedział ponad dwanaście lat, co absolutnie wystarcza, by się załapać do tej czy innej więziennej kliki. Natomiast tutaj jest być może osobistością, ale otwarte pozostaje pytanie, czy jego głodówkę podejmie dziesięciu albo pięćdziesięciu innych więźniów. Gary jest mordercą i nawet ma opinię nieobliczalnego, ale kto by się go bał w celach śmierci, gdzie nie ma żadnych kontaktów ani lojalnych kumpli? Schiller zastanawiał się, czy aby pieniądze i rozgłos nie uderzyły Gary'emu do głowy. Jak dotąd, nikt inny nie podjął głodówki.

W tym momencie strażnicy przynieśli nowinę. Przy wejściu czeka GUS Sorensen z „Salt Lakę Tribune", z nakazem sędziego Rittera w garści. Trzeba go wpuścić. Sorensenowi wolno przeprowadzić wywiad z Gilmore'em.

W głowie Schillera coś eksplodowało, lecz nawet nie mrugnął.

–W porządku – powiedział do Moody'ego i Stangera. – Dajmy Gary'emu mówić. To może nam poprawić opinię. Nie chodzi nam o przyglądanie się śmierci człowieka, przyszliśmy tylko, żeby go zrozumieć.

Ruszył korytarzem na spotkanie Sorensena, i jak tylko dziennikarz Pojawił się w wejściu, Schiller przedstawił się i powiedział:

~- Panie Sorensen, mógłbym zakazać Gilmore'owi rozmowy z panem, ale nie leży to w moim interesie.

Z całą pewnością nie leżało. Schiller nie miał najmniejszego zamiaru zrażać do siebie „Salt Lakę Tribune". Dojście do najważniejszej z lokalnych gazet daje mu możność wpływu na treść doniesień agencyjnych. Poza tym Sorensen uważany był za czołowego reportera

do spraw kryminalnych w stanie Utah. Można go wykorzystać przy zbieraniu informacji o więzieniu.

Jednak Schiller wolał uniknąć pewnego ryzyka. Skąd wiadomo, Co Gilmore zechce wyjawić? Gdyby zdecydował się popełnić samobójstwo, każdy przypadkowy wywiad będzie stanowił ostatnie słowa Gary'ego Gilmore'a. Trzeba więc ustanowić pewne reguły.

Słyszał, jak Sorensen mówi przez telefon:

–Ten gość kupił prawa od Gilmore'a. Mogę rozmawiać tylko w jego obecności.

Schiller cały czas się pocił. Rano dostarczył Vernowi czek na dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Jeżeli Gary zechce go wykiwać i opowiedzieć wszystko Sorensenowi, wtedy nie ma rady. Schiller zakładał, że Gilmore nie wychlapie wszystkiego

dla samej przyjemności. Tymczasem słyszał, jak Sorensen mówi:

–No, nie wiem. Słyszałem i dobre, i złe rzeczy na temat Schillera Larry wziął słuchawkę i zwrócił się do szefa Sorensena:

–Proszę pana, mnie nie zależy na blokowaniu prasy. Nie mam nic przeciwko rozmowie pana Sorensena z Garym. Chodzi mi tylko o zaznaczenie, że ponieważ jesteśmy właścicielami praw, copyright do wywiadu pana Sorensena wraca do nas.

Oznaczało to, że redakcja musi zadzwonić do swego prawnika W czasie gdy odbywały się rozmowy, Schiller zwrócił się do Gary'ego

–Możemy na tym skorzystać. Jak będziesz rozmawiał z Soren senem, nie zagłębiaj się w sprawę morderstwa. Powiedz o więzieniu, co tu się dzieje w tej chwili, albo o przyczynach głodówki. Jeżeli uznam że wyjawiasz coś bardzo dla ciebie istotnego, podrapię się w brodę Jeśli się nie podrapię, znaczy, możesz odpowiadać na pytania. Przede wszystkim nie zdradzaj zbyt wiele z życia osobistego, Gary. Tym właśnie świat jest najbardziej zainteresowany.

W trakcie wywiadu Schiller siedział obok Sorensena, ale rozmowa odbywała się przez telefon. Nie słyszał, co mówi Gilmore. Jednak po kilku pierwszych pytaniach Schiller wiedział już, że Sorensen to klasyczny typ reportera. Żadnego wglądu w życie wewnętrzne Gil more'a. Chodzi po prostu o parę akapitów, z których redaktor wyłowi intrygujący tytuł. Poza tym można chyba ufać Gary'emu. Gary śledził pilnie, czy Schiller nie daje mu znaków.

Kiedy Sorensen skończył, razem z Schillerem wyszli ze Średniego Nadzoru przez odsuwaną bramę z krat do holu koło administracji a tam wyglądało na to, że w ciasnej, oświetlonej

jarzeniówkami poczekalni zebrali się wszyscy dziennikarze z Salt Lakę.

Wszyscy co do jednego. Wrzeszczeli naraz. Sorensena znali; Sorensen przed chwilą skończył wywiad z Gilmore'em. Za to na widok Schillera

mało się nie spuścili.

–Kim pan jest? Kim pan jest? – dopytywali się jeden przez drugiego, GUS Sorensen zaś – Schiller błogosławił go w myślach – nie pisnął ani słowa, z miejsca odpłacił lojalnością. W każdym razie Schiller rozumiał, że to prawdziwa wpadka. W tłumie na pewno znalazłoby się parę osób, które go znają. Przeczuwał, że po cichu wymieniają uwagi. Wreszcie któryś reporter powiedział:

–Przyznaj się, Larry, kupiłeś historię Gilmore'a, prawda?

Schiller rozważał możliwości. Jeżeli się wyprze, jutro i tak go przygwożdżą. Nie wolno podpuszczać dziennikarzy, oni są jak psy myśliwskie. W ciągu dwudziestu czterech godzin dowiedzieliby się, o co chodzi, i nigdy by mu nie wybaczyli. Wszystko wskazywało, że należy się czym prędzej wycofać-na paluszkach.

Słoń Dumbo tańczy walca, pomyślał Schiller i przestąpił z nogi na nogę.

–Po co pan tu jest? – spytali, odpowiedział więc:

–Jestem konsultantem od spraw finansowych. Dziennikarze, którzy go znali, zaczęli gwizdać.

Uznał, że musi im sprzedać w miarę prawdziwą wersję. Jakieś niezbyt konkretne nudziarstwo, nie nadające się na czołówkę.

–Owszem – przyznał w końcu. – Zdobyłem potencjalne prawa do realizacji pełnometrażowego filmu.

Może odległa perspektywa sprawi, że przestaną widzieć w nim faceta, który doi z Gilmore'a wywiady na wyłączność. Lecz wewnętrzny głos mówił mu: trzeba było odpowiedzieć „bez komentarza". Komputer w jego głowie uruchomił wszystkie dzwonki darmowe.

Moody i Stanger przerazili się.

~~ No tak – szepnął Moody – Schiller właśnie wykopał nas

z siodła.

"Konsultant od spraw finansowych" w połączeniu z „hollywoodzkim producentem". Tutaj, w więzieniu, są już ugotowani. Stanger Powiedział:

~~ Ten skurwiel nas wykiwał. Chce pchnąć własną wersję.

«DESERET NEWS»

Karnawałowa atmosfera wokół filmowego kontraktu Gilmore'a \

29 listopada. W poniedziałkowy wieczór Więzienie Stanowe przypominało cyrk, gdzie dziennikarze, agenci praw autorskich i filmowcy przepychali się, dyskutując o publikacji wywiadów, prawach do scenariusza filmowego i biografii książkowej.

Na widok Schillera w wieczornym dzienniku telewizyjnym Doriusa krew zalała. Zadzwonił do Więzienia Stanu Utah i zrobił straszliwą awanturę zastępcy naczelnika.

–Ja tu się mało nie usram, żeby nie dopuścić „Tribune", a wy spokojnie puszczacie hollywoodzkiego producenta.

Earl widział przyszłość pod znakiem nie kończących się procesów. Jedna gazeta za drugą, stacje telewizyjne, radiowe, wszyscy składali pozwy. Ritter prawdopodobnie otworzy bramy więzienia dla wszystkich. Nawet gdyby Dorius odwołał się od jego decyzji do Dziesiątego Obwodu w Denver, przekazanie spraw do wyższej instancji musi potrwać. To może zająć cały rok. A tymczasem reporterzy będą się włóczyć po więzieniu, jak chcą. Nie można przewidzieć, co Gilmore im powie, kiedy już zyska możliwość kontaktów z prasą.

Dorius zaczął rozpytywać w biurze, czy ktoś zna sposób na szybkie uchylenie decyzji Rittera. Powiedzieli mu: nakaz wyższej instancji. Do tego potrzeba natychmiastowego rozpatrzenia sprawy w Dziesiątym Obwodzie. Dorius nie był typem, który w takich wypadkach z nerwów" przełyka ślinę, ale odwołanie się do wyższej instancji przeciw orzeczeniu sędziego Rittera było przysłowiową kosą, co trafia na kamień. Odwołanie równało się twierdzeniu, że Ritter, który niewątpliwie chlubił się opinią najwytrawniejszego jurysty w stanie Utah, Ritter

zasiadał w ławie sędziowskiej z Learnedem Handem * – przy tej ławie okazuje się ignorantem w elementarnych kwestiach. Tylko w jeden sposób można to wykazać, mianowicie: Earl Dorius zaskarży werdykt sędziego. Cholernie drastyczne posunięcie – młody prawnik zaskarża decyzję sędziego federalnego. Ritter może nieprędko mu wybaczyć.

«DESERET NEWS»

Point of the Mountain, stan Utah. 28 listopada. Skazany za morderstwo Gary Gilmore w liście do Komisji Ułaskawień pisze: „…No dalej, wy tchórze…"

Gilmore prosi o natychmiastowe postawienie przed plutonem egzekucyjnym. „Nie żądam ani nie potrzebuję waszej łaski" – napisał, podkreślając trzykrotnie słowo „nie".

W trakcie posiedzenia Komisji Ułaskawień Schiller zastanawiał się, kim jest ten zadbany, nieduży, lecz muskularny facet z przystrzyżonym wąsem. Wyglądał jak młody belfer z ogólniaka; postać budząca respekt, wszystko dopięte na ostatni guzik. Kim on może być? Cały czas gromił Schillera wzrokiem.

Taki młody prawnik z przyszłością, ze świeżych kadr biurokracji Utah, który nieczęsto piorunuje spojrzeniem. Ale kiedy już zacznie, to ratuj się, kto może. Zionie płynnym ogniem. Schiller wzruszył ramionami. Zdążył się przyzwyczaić do tego, że ludzie bombardują go swymi myślami. W takich sytuacjach przydawała się jego tusza – Warstwa azbestu chroniąca przed płomieniem.

Facet tak otwarcie go nienawidził, że Schiller aż musiał spytać, kto to taki. Wypytał paru reporterów, zanim któryś wreszcie odpowiedział:

(i, earned Hand – wybitny sędzia federalny, który chyba najdłużej pełnił swą funkcJę od roku 1909 do 1951. (Przyp. tłum.)

–To Earl Dorius z Prokuratury Generalnej. * Później Schiller widział go rozmawiającego z Samem Smithem i to był dopiero widok. Sam Smith był wyższy o dwie głowy.,|

Schiller nie mógł pojąć, o co chodzi władzom więzienia. Powtarzali na prawo i lewo, że nie chcą rozgłosu, lecz posiedzenie Komisji Ułaskawień zwołano w sali konferencyjnej zaraz przy głównym wejściu do budynku administracji. Sproszono dziennikarzy. Ochłap mięsa rzucony stadu lwów. Były kamery telewizji, mikrofony, operatorzy, flesze, reflektory na stojakach i podwieszane. Kwintesencja cyrku Od dawna nie przebywał w tak gorącej łaźni.

Wszyscy powłazili na krzesła, żeby lepiej widzieć Gilmore'a, którego wprowadzono w łańcuchach. To było trochę jak w tym filmie o średniowieczu, który Schiller kiedyś oglądał: faceta w białej szacie wleczono na stos. Tutaj szatę stanowiły luźne białe spodnie i długa koszula, lecz efekt był podobny. Więzień przypominał aktora w roli świętego.

Schiller znów zmienił zdanie o wyglądzie Gilmore'a. Zupełnie jakby ten facet przywdziewał kolejne maski. Tego dnia Gary wcale nie wyglądał na odźwiernego czy domokrążcę, ani też na zatwardziałego zabójcę. Głodówka trwała już dziesięć dni, co było widać na jego pobladłej twarzy. Uwydatniły się wszystkie bruzdy i blizny. Był nadal przystojny, lecz słaby. Wyczerpany. Nie wyglądał jak Bob Mitchum czy Gary Cooper, tylko jak Robert DeNiro. Ten sam powiew śmierci Taka sama siła przebijająca przez martwotę.

Dookoła ludzie z ekip CBS i NBC rozmawiali głośno i Schillera raziła ich pogarda dla Gilmore'a. Mówili o nim tak, jak gdyby był kiepskim adwokaciną, który za sprawą różnych sztuczek zaszedł tak wysoko. Jakiś lokalny dziennikarz mruknął:

–To nie do wiary, że takiemu łachmycie poświęca się tyle uwagi.

Schiller pamiętał, że przewodniczący Komisji Ułaskawień, George Latimer, był kiedyś obrońcą na procesie porucznika Callaya, oskarżonego o rozstrzelanie z karabinów maszynowych grupy wietnamskich wieśniaków w My Lai. Dla Schillera Latimer był tylko jeszcze jednym mormonem o nalanej twarzy. Wielki łeb buldoga w okularach, Nadęty okaz samozadowolenia. Cóż za zbiorowisko! Jedyna sympatyczna twarz należała do Stangera. Schiller nie miał dotąd pewności, czy im się ułoży współpraca. Stanger z jednej strony wydawał mu się zbyt pyskaty, z drugiej zaś nonszalancki, gdy chodziło o istotne szczegóły. Teraz jednak chłopięca twarz Rona była pełna wyrazu. Okazywał wielką troskę o Gary'ego.

Właściwie to Stanger się cieszył z rozwoju wydarzeń. Jak dotąd, gary zawsze zachowywał się wobec niego bardzo podejrzliwie. Stangerowi to nie przeszkadzało. Nie uznawał kary śmierci i nie był pewien, czy Gilmore mówi poważnie. Stanger interesował się bardziej samą akcją niż racjami Gilmore'a. Akcja zaś rozwijała się wspaniale. Z każdym dniem coś nowego. Sama radość. Ponieważ Gilmore jednak mógł w końcu umrzeć – chociaż Stanger nie bardzo w to wierzył – wolał nie zawierać ze swoim klientem zbyt bliskiej przyjaźni.

Tak czy owak, jest całkiem naturalne, że człowiek stara się polepszać swoje stosunki z każdą osobą, którą musi widywać na co dzień. Dlatego Stanger wywiązywał się ze wszystkich drobnych obietnic złożonych Gilmore'owi. Jeśli mu przyrzekł ołówki – przynosił ołówki, kiedy indziej znów papier do rysunków. Ale tego dnia, przed Komisją Ułaskawień, Ron po raz pierwszy poczuł dumę, że pracuje dla tego człowieka. Do tej pory nie wiedział, jak Gilmore zachowuje się pod presją. I zdaniem Stangera, tego dnia był wspaniały, wprost piekielnie inteligentny.

Za mównicą wisiała błękitna flaga i przy długim konferencyjnym stole siedziało czterech mężczyzn, którzy wyglądali Schillerowi na mormonów: wszyscy w okularach i

granatowych garniturach. Schiller starał się zapamiętać jak najwięcej szczegółów – powtarzał sobie, że to przejdzie do historii – jednak nudził się, aż do momentu kiedy Przewodniczący udzielił głosu Gilmore'owi. Wtedy właśnie Gilmore wprawił w podziw również Larry'ego Schillera. Gdyby nie biały strój Maksymalnego Nadzoru, Gilmore mógłby być studentem egzamin końcowy przed komisją profesorską, wobec której okazuje lekką pogardę. Jestem zdziwiony – oświadczył na początek. – Wasza Komisja udziela przywileju łaski, a mnie się zawsze wydawało, że o łaskę się

zabiega i na nią zapracowuje, przywilejów się pożąda i na ni zasługuje, ja natomiast niczego od was nie żądam, o nic nie zabiegam na nic nie zapracowałem ani nie zasłużyłem.

W zatłoczonym, dusznym, rzęsiście oświetlonym pomieszczeniu wszyscy skupili na nim wzrok. Przyciągał wszystkie oczy i soczewki obiektywów. Schiller jeszcze bardziej podziwiał aktorstwo Gilmore'a Nie pokusił się o tanie teatralne gesty, potraktował tę okazję obojętnie. Występuje po to, by wyłożyć swoją myśl. Gilmore przemawiał z absolutną pewnością swoich racji; mówił tym samym cichym głosem, którym mógłby się zwracać do pojedynczego słuchacza Dzięki temu jego występ nabrał cech tego rodzaju aktorstwa, które pozwala zapomnieć, że siedzisz w teatrze.

Ależ z tego faceta byłby gwiazdor ekranu, stwierdził Schiller w przypływie uniesienia na myśl, że posiada prawa do historii jego życia, lecz po chwili przełknął żal, bo odcięto mu możliwość osobistej rozmowy z Garym. Odtąd będzie prawdopodobnie skazany na zadawanie pytań przez pośredników.

GILMORE: – Doszedłem do wniosku, że znalazłem się tu za sprawą gubernatora Utah, Ramptona, który ustąpił rozmaitym naciskom.

Osobiście uważam, że okazał tym samym moralne tchórzostwo. J» po prostu przyjąłem wyrok, jaki na mnie wydano. Całe życie przyjmowałem wyroki. Nie wiedziałem, że w tej sprawie ma się jakiś wybór.

Kiedy zaakceptowałem swój wyrok, wszyscy nagle rzucili się, żeby mi to wyperswadować. Wygląda na to, że społeczeństwo, zwłaszcza mieszkańcy Utah, chcą kary śmierci, ale nie chcą egzekucji, i kiedy stało się faktem, że trzeba będzie jej dokonać, to wtedy cóż, zaczęli się wycofywać.

A ja potraktowałem ich dosłownie i serio, kiedy skazywano mnie na śmierć, tak samo jak gdyby skazano mnie na dziesięć lat, albo

trzydzieści dni w Areszcie Okręgowym czy coś. Myślałem, że należy to traktować serio. Nie wiedziałem, że to są żarty.

pani Shirley Pedler z ACLU chce wtrącić swoje trzy grosze, ale oni

zawsze się wtrącają, ci z ACLU. Zdaje się, że w życiu nie dokonali nic porzytecznego. Chciałbym, żeby oni wszyscy, łącznie z grupą księży

rabinów z Salt Lakę City, zostawili mnie w spokoju – to jest moje życie i moja śmierć. Umrę z wyroku sądu i akceptuję to… PRZEWODNICZĄCY: – Bez względu na to, co pan o nas myśli, może pan być spokojny – nie jesteśmy tchórzami i rozstrzygniemy tę sprawę zgodnie z prawem stanu Utah, nie zaś zgodnie z pańskim życzeniem… Czy pan Richard Giauque jest obecny?

Udzielimy teraz głosu osobom, które o to prosiły.

Richard, otrzymaliśmy tutaj konspekt i przy okazji go pochwalę, bo jest świetnie napisany. Mogę nie zgadzać się z

niektórymi koncepcjami, w każdym razie bardzo ładnie wszystko przedstawiłeś.

W tym momencie Schiller zauważył, że wstaje szczupły blondyn z wydatnym nosem i lekko cofniętym podbródkiem, ubrany z niezwykłą elegancją. Schiller przypuszczał, że ten człowiek jest adwokatem ACLU albo podobnego ugrupowania, i zanotował sobie w pamięci, żeby przeprowadzić z nim wywiad, kiedy nadarzy się okazja, bo Giauque interesująco wyglądał. Nosił się z charakterystyczną wyższością człowieka, który wie, że każdego rozmówcę prawdopodobnie przewyższa inteligencją. Może z tego właśnie powodu ani razu nie spojrzał na Gilmore'a. Gary z kolei wpatrywał się w niego z niesłychanym natężeniem i Schiller wyczuwał powód rozgoryczenia Gilmore'a – ktoś z przeciwnego obozu mówi na jego temat.

GIAUQUE: – Panie przewodniczący, chciałbym wygłosić krótki komentarz dotyczący uprawnień Komisji Ułaskawień. Zwracamy się do Komisji, by utrzymała w mocy obecne zawieszenie wykonania wyroku, do chwili kiedy kwestie, o których, naszym zdaniem, nie macie prawa decydować, zostaną rozstrzygnięte przez sąd.

Społeczeństwo interesuje się tą sprawą, czy pan Gilmore sobie tego

życzy, czy nie. Jestem przekonany, że jest tu kilka faktów wartych

bliższego zbadania. Po pierwsze, czy z własnej i nieprzymuszonej woli

zrzekł się on przysługujących mu praw i czy przypadkiem nie chodzi

mu jedynie o to, by stan Utah uczynić współwinnym… To nie wola

Pana Gilmore'a ma tutaj znaczenie fundamentalne, dlatego zwracam

do pana przewodniczącego, by decyzja o wymierzeniu kary śmierci

nie była podejmowana przez pana Gilmore'a ani przez obecną Komisję Ułaskawień, lecz niech rozstrzygnie o niej sąd. PRZEWODNICZĄCY: – Dobrze, zaraz odpowiem… Nie mam zamiaru przeciągać tej sprawy i czekać, żeby ktoś inny zdecydował, tak postanawia prawo… Zebraliśmy się po to, by zapobiec przeciąganiu sprawy w nieskończoność oraz by poprzeć wszystkich, także stan Utah, w kwestii przepisów dotyczących kary śmierci. Ja osobiście nie opowiadam się za przedłużaniem zawieszenia.

Wkrótce nastąpiła przerwa w rozprawie. Gilmore'a wyprowadzono i członkowie Komisji Ułaskawień opuścili salę. Paru dziennikarzy zwolniło miejsca. Pewnie znaleźli lepsze.

Wówczas już Earl Dorius był tak bliski wybuchu wściekłości, jak nigdy dotąd. Ciągle jeszcze nie przygotował odwołania do Dziesiątego Obwodu, a tutaj tracił cały ranek na rozprawie, która była prowadzona w sposób najgorszy z możliwych. Nie mógł pojąć, jak Sam Smith w ogóle zgodził się na coś takiego. I cóż widzi podczas antraktu. Lepszym określeniem był „antrakt" niż „przerwa", taki tam odstawiano teatr telewizji. Otóż zobaczył, że ten cały Schiller siedzi na krześle Prokuratury Generalnej. Takim jak fotel dyrektorski, było ono starannie oznaczone nazwiskiem Billa Evansa na przyklejonym pasku Dorius szeptał do Evansa: – Zrzuć go z tego krzesła! – a przecież nie pamięta, żeby kiedykolwiek przedtem tak się zachowywał. Zwykle nie napuszczał ludzi, żeby stosowali wobec innych osób rękoczyny, ale cała sytuacja, brak poszanowania dla tego miejsca ze strony dziennikarzy, to było wręcz odrażające.

Dorius był zdumiony brakiem jakichkolwiek zabezpieczeń W drzwiach nie ustawiono elektronicznych wykrywaczy i nikogo nie obszukiwano przy wejściu. Jeden nieznany kamerzysta za drugim wchodził z wielkimi torbami na sprzęt. Boże jedyny! Każdy mógłby wnieść pistolet magnum i zmasakrować Gary'ego. Naczelników' powinno przysługiwać nieodwołalne prawo zakazania dziennikarzom wstępu, lecz widać komuś wyżej postawionemu nie przeszkadza' rozgłos. Dorius był oburzony na własnego klienta. Jeżeli już musi tam być telewizja, to dlaczego, na Boga, więzienie nie wystąpiło o przydział akredytacji: jedna kamera, jeden człowiek z radia, jeden z prasy? To zupełne szaleństwo, jak oni wszyscy się tłoczyli. Tylko z jednej przyczyny Earl odczuwał satysfakcję. Możliwe, że istotnie ^ cały Gilmore nie jest na pokaz.

^V Areszcie Okręgowym wpuścili Gibbsa do biura od frontu, żeby

Oglądał rozprawę w towarzystwie paru glin i klawiszy. Wszyscy

wgapiali się w ekran. Gibbs był zdania, że wyszła z tego nudna szmira.

jednak kiedy Gary wyzwał sędziów od tchórzy, Gibbs ryknął takim

śmiechem, że aż gliny krzywo na niego popatrzyły.

Gary wygrał stosunkiem głosów trzy do dwóch. W telewizji powiedzieli, że prawdopodobnie egzekucja zostanie wyznaczona na szóstego grudnia, żeby zmieścić się w terminie sześćdziesięciu dni od daty wyroku siódmego października. Gibbs pomyślał: Gary może będzie chodził po ziemi jeszcze tylko tydzień.

«DESERET NEWS»

Salt Lakę, 30 listopada. Krajowa Koalicja Przeciw Karze Śmierci, stowarzyszenie ponad czterdziestu organizacji prawnych, religijnych, narodowościowych, politycznych i zawodowych, wydała we wtorek wieczorem zdecydowane oświadczenie na temat werdyktu Komisji Ułaskawień Stanu Utah.

„Umożliwia to pierwsze od dziesięciu lat usankcjonowane sądownie zabójstwo w Stanach Zjednoczonych" – głosi oświadczenie.

' Wśród organizacji zrzeszonych w Koalicji znajduje się ACLU, Amerykańska Unia Etyki, Amerykański Komitet Przyjacielskiej Przysługi, Amerykańskie Towarzystwo Ortopsychiatryczne, Centralna Konferencja Rabinów Ameryki i inne.

ROZDZIAŁ 12

Urzędnik państwowy

Earl nie określiłby tego uczucia słowem „podziw", jednak podczas rozprawy Komisji Ułaskawień odczuł coś w rodzaju zadowolenia, że Gilmore tak się zachował. Ten człowiek prowadził głodówkę, lecz jego intelekt na tym nie ucierpiał. Dorius cieszył się ze swych pozytywnych odczuć. Zdążył już bowiem stracić cały respekt dla Gilmore'a po jego próbie samobójczej. Najpierw wielce dramatyczna przemowa o sprawiedliwości, a potem sromotna ucieczka. W oczach Doriusa Gilmore się zrehabilitował.

Earl dostrzegał całą ironię losu. Jedno, co ich łączyło, to dążenie do przeprowadzenia egzekucji, zresztą z całkiem odmiennych pobudek. Raczej trudno nazywać to więzią. Jednak na rozprawie kibicował temu człowiekowi, jak gdyby grali w barwach jednego klubu. Przecież należy chwalić zawodnika za

ładne zagranie. Oczywiście Earl był świadom, że w swoich odczuciach kieruje się własnym interesem. Sprawa Gilmore'a jest prawdopodobnie jedyną, do której będą powracać i za pięćdziesiąt lat. „Ach, och, po procesie Gilmore już nie będzie w moim życiu wzlotów." Nie da się ukryć, raczej*. przypadnie mu więcej czynny udział w sprawie o zasięgu krajowym.

niż międzynarodowym. Ludzie, których poznał wiele lat temu w Anglii, misji Kościoła Świętych Dni Ostatnich, teraz znów zaczęli do niego pisać. Ludzie, których wprowadził do Kościoła siedem czy osiem lat temu. Dlatego Earl cieszył się, że pierwszy w całej prokuraturze docenił wagę tego wszystkiego.

Sądził, że przyczynę jego dumy z Gilmore'a stanowi fakt, iż skazany również czuje powagę sytuacji. Byłoby rzeczą niewłaściwą pracować nad czymś tak doniosłym i jednocześnie osobę, która stoi w centrum całej sprawy, traktować jedynie jako sprytnego kanciarza z podejrzaną motywacją. Dążenie Gilmore'a, o ile wynikło ze szczerych pobudek, pokrywało się z niektórymi spośród własnych zasad Earla.

W ostatnich latach niektórzy sędziowie Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych kilkakrotnie wyrażali pogląd, że najgorzej reprezentowanym klientem w kraju jest administracja stanowa i lokalna. To Earla osobiście poruszyło. Pragnął poprawić opinię ludziom pracującym w instytucjach rządowych. Jeżeli miał jakąś ambicję, nie była nią kariera polityczna ani blask wokół nazwiska, tylko sława najlepszego orędownika przed Sądem Najwyższym Stanu Utah. Autorytet w dziedzinie prawa penitencjarnego. Chciał zdobyć reputację za solidne przygotowanie i ogromne kompetencje. Właściwie, jeśli miałby się podjąć konstruktywnej krytyki własnej pracy, to najgorsza wydawała mu się jego zabójcza dokładność. Umarłby chyba, gdyby miał coś odwalić byle jak. Dlatego Earl wiedział, że dopóki Gary Gilmore wypełnia jego życie zawodowe, praca będzie mu zabierała czternaście albo piętnaście godzin na dobę. Nawet jego dzieci rozumiały, że musi na tym ucierpieć

życie rodzinne. Ostatnio, kiedy dzwonił telefon, dzieci mogły się spodziewać, że w pięciu

PrzYpadkach na dziesięć odezwie się obcy głos, prosząc do słuchawki

ojca.

Kiedy Earl szedł z żoną na jakieś przyjęcie, wszyscy wypytywali go, jak stoją sprawy. Tu akurat Earl chętnie odpowiadał. Po całej harówce czekała go przynajmniej zapłata w postaci zainteresowania go pracą. Poza tym usiłował również przekonać ludzi rzeczowymi argumentami, że w prokuraturze nie siedzi banda kretynów. Że się staraJą wykonać pracę, z której będą dumni.

Earl nie chwalił się oczywiście wszem i wobec, że ma pracę, chciał powiedzieć, że dzięki niej zdołał wreszcie zapuścić korzenie. Przez lata studiów, kiedy zarzynał się po nocach, dorabiając jako pomoc biurowa, żeby utrzymać swoją młodą rodzinę. To jedno dawało mu energię, i popychało naprzód. Jedyne, co pomogło mu przebrnąć pracę misyjną, małżeństwo i studia, to wiara, że wreszcie kiedyś się to ustabilizuje i zyska coś na stałe. Teraz miał dom zamiast mieszkania był ojcem powiększającej się rodziny, lubił swoją pracę, był dumny z żony i mnóstwo czasu spędzał z dziećmi. W pełni zdawał sobie sprawę, że można to traktować jako reakcję na nieustanne przenosiny. w latach chłopięcych.

Jego ojciec był trochę samotnikiem i Earl nie czynił mu z tego zarzutów, stwierdzał tylko fakt. Dla jego taty najlepszą rozrywką była samotna wyprawa ze sztalugami i płótnem, po której wracał z pięknie, namalowanym widoczkiem. Przez całe dzieciństwo Earla, kiedy mieszkali w różnych miastach Wirginii, potem w Los Angeles i Salt Lakę jego ojciec był prawnikiem pracującym dla Pentagonu i stale się przenosili. Ponieważ Earl nie miał braci, a jedyna siostra wyszła za mąż, zanim skończył trzynaście lat, praktycznie był jedynakiem, i to z bogatym

życiem wewnętrznym. Na przykład w piątej klasie został najlepszym rysownikiem w całej szkole i pisał listy do Walta Disneya z zapytaniem, czy firma nie zechciałaby wykorzystać jego młodego talentu.

W szkole średniej w Wirginii zdobył nawet popularność. Grał w zespole muzycznym i nieźle się spisywał w szkolnych rozgrywkach zajął się poważnie koszykówką i wyścigami na bieżni, aż złamał nogę podczas popisów gimnastycznych. Ale wybrano go Przekreśliło to jego sportową karierę, ale wybrano go starost młodszych klas. Miał kandydować na starostę całej szkoły, umawiał się nawet z drużynową reprezentacją kibiców i wtedy trach! – rodzina przeprowadza się do Los Angeles. Jego tatę przeniesiono, Earl zaś znów został członkiem przyjaciół.

Szkoła pod nazwą University High School w zachodnim Los Angeles. Ogromna rzesza uczniów. W stołówce siedział sam nikoe nie znał. Wtedy pierwszy raz w życiu miał ochotę okazać nieposłuszeństwo. Chciał wrócić do Wirginii, zamieszkać z wujem i dalej widzieć się ze swoją dziewczyną.

Ojciec martwił się jego niedolą. Może wystarczyło, że przynajmniej żył. Earl powiedział:

„ Przepraszam. Zostanę. – I został, chociaż ostatni rok w szkole, należał do najszczęśliwszych.

potem tatę przeniesiono do Utah. To już nie było takie złe. Jego mormońska rodzina cały czas utrzymywała w Salt Lakę domek przez całe lato. Ponieważ znajomość z tamtą drużyną była sprawą;z przyszłości, Earl zaczął spotykać się z siostrą swego najlepszego przyjaciela z Salt Lakę. Chodzili ze sobą, aż się pobrali.

Uważał, że życie obdarzyło go większym zrównoważeniem niż przeciętnego rówieśnika, ale tylko dlatego, że znał swoje wady. Wiedział, że łatwo wpada w złość. W tamtych czasach zadowalał się wykrzykiwaniem w stronę telewizora. Patrz, co za głąb,

ryczał do Iranu Ale wyłącznie w otoczeniu rodziny. Gdy był młodszy, ojciec brał go na stronę, perswadował i łagodził jego temperament, do tego stopnia, że teraz w trakcie wystąpienia przed sądem Earl nigdy nie podnosił głosu na przeciwnika. Słuszne jest okazywanie siły i zdecydowania, lecz Earl zawsze starał się przy tym unikać jałowej sprzeczki. Dlatego właśnie dumny był z Gilmore'a na rozprawie przed Komisją. W myślach jakby powtarzał Gilmore'owi, że należy powściągnąć gniew.

Earl wiedział, na czym się zna, a na czym nie bardzo, i nigdy nie był dobry w braniu świadków w krzyżowy ogień pytań. Sprawa Gilmore'a dała mu się, między innymi dlatego że pociągały go kwestie Smagające analizy nowych zagadnień prawnych bez konieczności zagłębiania się w bagno niewygodnych zeznań. Earl wiedział, że słabo chodzi mu formułowanie pytań w taki sposób, żeby odpowiedzi świadka za dziesiątym pytaniem obrócić przeciwko niemu. Lubił wgryźć się w sedno zagadnienia. Być może w młodości zbyt mu przerywano, w każdym razie wiedział, że jako prawnika nie ma szans na zadawanie przemyślnych pytań po to, by za chwilę wpuścić ^ w maliny. Sądził, że podobnie wygląda sprawa jego

niezbyt rozgałęzionych znajomości. Nawet w tej chwili krąg nich nie wykraczał poza żonę, szwagra oraz ich najbliższych przyjaciół, paru sąsiadów i znajomych z biura. Większość trwałych przyjaciół zawierało w pracy.

Dobry przykład i stanowiło jego przymierze z Samem Smithen Niemalże mógłby nazwać naczelnika serdecznym przyjacielem, a i tak nie widywali się na gruncie towarzyskim. Chodziło raczej o to, że praktycznie obaj zapoznali się z prawem penitencjarnym jednocześnie Sama mianowano naczelnikiem mniej więcej w tym samym czasie kiedy Earl rozpoczynał pracę w biurze Prokuratury Generalnej Zawierając bliższą znajomość z Samem, Earl wiele się nauczył o problemach więziennictwa i uważał, że naczelnik jest bardziej liberalny niż powszechnie sądzono. Po pierwsze, zezwalał na widzenie kontaktowe pod Maksymalnym

Nadzorem. Właśnie ten przepis umożliwił Gilmore'owi próbę samobójczą. Gdyby trzymano Gil more'a w izolacji, nigdy pewnie nie otrzymałby tych proszków. Ear mówił o tym otwarcie, lecz Smith odparł:

–No tak, ale całkowite odcięcie od świata utrudnia tym chłopcom resocjalizację.

Z punktu widzenia Earla, jeśli naczelnik się mylił, to ra czej z powodu własnej życzliwości, z jaką zarządzał więzieniem i przez to pakował się w sytuacje, w których zarzucano mu niekompetencję.

Earl święcie wierzył, że największą tajemnicą naczelnika Smittha jest jego serce na dłoni. Sam Earl nie był bezdusznym służbistą, lecz zastanawiał się, ilu naczelników wstaje o świcie, żeby przyjechać na śniadanie w towarzystwie więźniów Średniego Nadzoru zamiast zjeść razem z rodziną. Był to jeden z powodów, dla których Earl czuł, że powinien bronić Sama przed pozwami ze strony środków masowego przekazu, pragnących dostępu do Gil more'a.

Problem, którego nie da się gładko przedstawić dziennikarzowi $• sędziemu – zwłaszcza jeśli sędzią jest Ritter – polega na tym teoria Billsa: W więzieniu częstym źródłem napięć jest skupienie uwagi na jednym więźniu. Bo on może wtedy zacząć pogrywać jak gwiazda baseballu co nie słucha swego menedżera. Ryzyko wydania się na pastwę mediów sięgało głębiej niż zdolność Gilmore'a.

Ryzyko obejmowało reakcje innych więźniów. Kiedy jeden skazany przerasta swoje więzienie, zawsze ucierpi na tym dyscyplina.

pierwszego grudnia Earl wysłał swoje odwołanie do wyższej instancji – Dziesiątego Obwodu w Denver. Wykazał, że sędzia Ritter przy pozwie „Tribune" wnioskował na podstawie faktów, podczas gdy wcale nie zebrano materiału dowodowego. Tego

samego ranka Earl odebrał telefon od Leroya Axlanda, reprezentującego kanał informacyjny ABC. Nazajutrz Axland miał zamiar, podobnie jak „Tribune", złożyć w Sądzie Stanowym wniosek o uchylenie tymczasowej blokady, żeby ABC mogło także przeprowadzić wywiad z Gilmore'em.

Rano następnego dnia do akcji ABC przyłączyło się „Deseret News" i w imieniu Gary'ego Gilmore'a wystąpił Robert Moody. Nawet Larry Schiller był obecny. Tego dnia przeciw Earlowi wytoczono wielką siłę prawną. Nie był zadowolony ze swego wystąpienia.

Cecha, którą Earl uważał za swoją największą słabość, znowu się ujawniła. Wziął w krzyżowy ogień Lawrence'a Schillera i tak się rozsierdził, że stracił panowanie nad sobą. Schiller, który wkręcił się do więzienia jako rzekomy konsultant, miał teraz czelność odpowiedzieć, że wielokrotnie przeprowadzał wywiady w różnych więzieniach i zawsze przestrzegał obowiązujących przepisów. Earl zdawał sobie sprawę, że powinien spokojnie zadać świadkowi serię podchwytliwych Pytań, lecz tak się zdenerwował, że zaczął przedstawiać własne argumenty. Przy odrobinie zręczności mógłby doprowadzić Schillera do stwierdzenia, że istotnie naruszył przepisy Więzienia Stanowego, lecz gniew na myśl o tym, że otwartość ze strony więzienia napotyka rażący cynizm jego oponenta wobec praw innych osób, kazał mu Ogłosić tyradę do świadka i sędzia Marcellus Snów odebrał mu głos.

nie był więc zaskoczony, kiedy sędzia Snów cofnął zakaz. Tego wieczoru telewizja mogła robić wywiad z Gilmore'em.

MOODY: – No i tak. Cały dzień siedzieliśmy w sądzie razem z Schillerem, telewizją ABC i tłumem adwokatów. Sędzia Sno\y podpisze nakaz, zezwalający dziennikarzom na przeprowadzenie wywiadu dziś wieczór. Larry wystąpił jako świadek i myślę, że to on przekonał sędziego, co należy zrobić.

GILMORE: – Aha, wyobrażam sobie, ten facet umie wszystko załatwić. Wie, jak rozmawiać z ludźmi… O której to ma być? MOODY: – O dziewiątej.

GILMORE: – Mam nadzieję, że nie później. Jestem już i tak padnięty, a że wstaję o piątej rano… Kiedy się mówi do takiego potentata jak ABC, trzeba być w formie… Czy Larry będzie mógł dawać mi znaki? Kiedy nie chce, żebym odpowiadał, podrapie w brodę i fajno jest.

Zaraz po powrocie z rozprawy u sędziego Snowa Earl zabrał się do pracy nad kolejnym odwołaniem. Ku jego zadowoleniu okazało się, że według prawa stanowego procedura wygląda tak samo jak w kodeksie federalnym. Trzeba było tylko podszykować dokumenty przygotowane dla Denver i wpisać nowe nazwiska. Sekretarka przepisała mu to w czasie przerwy obiadowej i wczesnym popołudniem był gotów do złożenia apelacji.

Wszedł na górę do kancelarii Sądu Najwyższego Utah i oświadczył prezesowi Henriodowi, że nakaz sędziego Snowa może być gotów dopiero późnym popołudniem, wobec czego, jeśli sąd o piątej zamyka podwoje, nie ma sposobu na powstrzymanie reporterów przed vieczornym przeprowadzeniem wywiadów z Gilmore'em. To nie jest normalna procedura, lecz prezes Henriod dał do zrozumienia, # wszystko pójdzie swoim trybem. Dorius powiedział:

–Przybiegnę od sędziego Snowa jak najszybciej.

Tak też zrobił. Ale przedtem musiał pokonać kilka innych przeszkód. Dostarczono nakaz sędziego Snowa opracowany przez adwokatów prasy i telewizji. Earl krytykował właśnie niektóre sformułowania, kiedy urzędnik kancelarii wręczył mu pisemną wiadomość. A niech to szlag, Dziesiąty Obwód rozpatruje odwołanie od decyzji Rittera jutro po południu. Earl będzie musiał wystąpić w Denver, podczas gdy właściwa rozprawa odbędzie się tutaj.

\V dodatku zbliża się godzina szesnasta. Sędzia Snów postanawia przenieść rozprawę do dużej sali, skąd środki masowego przekazu będą mogły nadać informacje o decyzji. Od tego momentu licznik zaczął bić. Wreszcie Dorius powiedział sobie: sędzia i tak podpisał nakaz, czy wręczył go, czy nie.

Kazał asystentowi chwytać podpisany dokument, gdy tylko się da, i popędził na Wzgórze, do Sądu Najwyższego Utah.

Zastał trzech sędziów, którzy przeczytali jego papiery i wydali odroczenie na ten wieczór. Powiedzieli, że apelacja będzie rozpatrywana nazajutrz. Dzięki temu telewizja nie mogła przeprowadzić wieczornego wywiadu z Gilmore'em.

Korytarze na piętrze gmachu stanowego Kapitolu przywodziły na myśl kongres partii politycznej. Pełno mikrofonów i reflektorów wśród marmurowych ścian. Earl dał parę wywiadów, następnie zbiegł na dół, do Prokuratury Generalnej, gdzie poinstruował kilku współpracowników, co należy zrobić następnego dnia przed Sądem Najwyższym Stanu Utah. Do tej pory sam się tym zajmował.

Wieczorem w domu Dorius przypomniał sobie, że egzekucja Gilmore'a ma się odbyć za cztery zaledwie dni. Szóstego grudnia. Jeżeli uda im się powstrzymać dziennikarzy jeszcze przez cztery dni, Więzienie będzie mogło spełnić swoją powinność. Przecież reporterzy nie szturmują gabinetu prezesa banku żądaniem: „Mów, co wiesz." jakoś nie potrafią zrozumieć, że naczelnik może tak samo przywiązywać wagę do dobrych obyczajów.

Te rozmyślania przerwał swoim telefonem Sam Smith. Dziękuje arlowi za opracowanie w sprawie przymusowego karmienia, lecz jeszcze się z tym wstrzyma. W tej chwili nie istnieje groźba, że Gilmore

umrze. W zasadzie to podczas postu bardziej podskakuje. Rzuca tacami z jedzeniem w strażników. Sam Smith stwierdził,

że dobrze jest wiedzieć o możliwości przymusowego karmienia, jeśli zajdzie taka konieczność. To niezbyt przyjemna perspektywa – przeprowadzać egzekucję człowieka, który nie jadł od dwóch tygodni.

Earl poszedł spać z myślą o tym, że jutro czeka go potyczka z Donaldem Holbrookiem. Adwokat ten był bliskim przyjacielem rodziny Earla i nawet kupił dom od jego rodziców. Earl twierdził, % jeśli któregoś przedstawiciela swojej profesji miałby obdarzyć czcią, to właśnie Holbrooka, który w Salt Lakę cieszy się nadzwyczajną reputacją. Earl miał nadzieję, że sprosta konfrontacji.

Nazajutrz rano odebrał telefon z biura. Niesłychanie doniosła wiadomość. Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych właśnie odroczył egzekucję Gary'ego. Wygląda na to, że matka Gilmore'a skierowała przez Richarda Giauque'a petycję do sądu o przeniesienie sprawy do wyższej instancji. Przeżywając nowinę w samolocie, Earl nie miał pewności, czy jest gotów na ten ważki przełom. Zaczynało mu ciążyć zmęczenie pracą po dwanaście i czternaście godzin dziennie. Na przykład irytowało go, że Holbrook leci pierwszą klasą i ma mnóstwo miejsca, żeby rozłożyć swoje notatki i dokumenty, podczas gdy Earl – urzędnik państwowy – siedzi ściśnięty w niewygodnym fotelu klasy economy. Cały czas starał się odpędzić myśl o Sądzie Najwyższym Stanów Zjednoczonych i skoncentrować na rychłym wystąpieniu w Denver.

Jeżeli chodzi o atmosferę w sądzie Dziesiątego Obwodu, to raczej przejmowała grozą, lecz po chwili Earl się uspokoił. Widział, że tego dnia w Denver nie zapadną żadne wiążące decyzje, gdyż „Tribune' wysunęła zarzut, że więzienie okazało specjalne względy Schillerowi i Boazowi. Earl pomyślał, że to wielki błąd tamtej strony. Nakłada wymóg zbadania faktów, co oznacza zwłokę. Poza tym Schiller dostał się do środka, wprowadzając w błąd strażników, to$ gromadzone zeznania osłabią pozycję gazety. Earl leciał z powrotem do Salt Lakę w

niezłym nastroju, lecz zastanawiał się, jak podOła kolosalnej pracy, którą należy wykonać w związku z decyzją Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych. Będzie musiał wykrzesać z siebie resztki energii.

Jednak po dotarciu na miejsce dowiedział się, że do sprawy przydzielono Billa Barretta. Earlowi powiedzieli, że ma po prostu odpocząć. Zasłużył sobie. Earl niby wiedział, że potrzebuje wytchnienia. Ponieważ ostatnio pracował osiemdziesiąt godzin tygodniowo, nie był w należytej formie, by zająć się sprawami takiej wagi. Mimo to czuł się odsunięty. Prawdziwie doniosła sprawa przed Sądem najwyższym przejdzie mu koło nosa.

STANGER: – Gary, widziałeś tę petycję o wstrzymanie egzekucji,

którą złożyła twoja matka?

GILMORE: – Słyszałem o tym w radiu.

STANGER: – Adwokatem jest Richard Giauque. Pamiętasz tego

blondyna z ACLU, który reprezentował wszystkich księży i rabinów?

Masz pojęcie, jak on dotarł do twojej matki?

GILMORE: – Nie wiem. Chciałbym pogadać z matką. Czy jest coś

nowego w sprawie mojej rozmowy z Nicole?

STANGER: – Tak. Dyrektor szpitala, Kiger, dzwonił do mnie jakieś

dwie godziny temu. Tak go przyparłeś do muru, że ani zipnie. Co

sądzisz o poddaniu go presji opinii publicznej?

GILMORE: – Uważam, że to cholernie dobry pomysł. Dlatego

właśnie głoduję. Miałem nadzieję, że szpital będzie oblężony przez

opinię publiczną.

STANGER: – Tak.

GILMORE: – Mam ochotę zastrzelić Kigera.

STANGER: – On jest trochę nawiedzony.

GILMORE: – Pewnie, wszyscy ci lekarze są nawiedzeni. Spotkałeś

kiedyś psychiatrę, co ma równo pod sufitem?

l ANGER: – Jezu, on jest większym wariatem niż ci jego pacjenci.

GLMORE: – Wiesz, że dzisiaj wydałem sto sześćdziesiąt dolarów na żarcie w puszkach, różne przekąski i inne takie? Mam to wszystko utknięte w celi obok i jak tylko dadzą mi zadzwonić do Nicole, każę otworzyć tę celę. Mam otwieracz do konserw i wtedy się dobiorę., jestem taki dosyć nienażarty skurczybyk i gdybyś mógł się wystarać dla mnie o ten telefon… Przyjmę wszystkie ograniczenia, które mi narzucą. Tylko to ma być rozmowa, nie nagranie z taśmy,, hmm, wtedy pójdę coś zjeść.

ROZDZIAŁ 13

Urodziny

Przed dwoma dniami Schiller umówił się, że spotka Dave'a John-stona na lotnisku Salt Lakę. Chciał, żeby jeszcze ktoś prócz niego samego popracował nad pytaniami do Gilmore'a. Ponieważ Dave pomagał mu już w listopadzie, a później zrobił przyjazny tekst dla „Los Angeles Timesa", Schiller pomyślał sobie, że może on być jedynym osiągalnym profesjonalistą wysokiej klasy, który sprzyja jego zamiarom. Johnston przyleciał wieczorem z San Francisco na jutrzejszą rozprawę, gdzie miał wystąpić Schiller, lecz na razie przywitał Larry'ego szerokim uśmiechem i listą nowych pytań w wyciągniętej dłoni.

Podczas rozmowy w taksówce wiozącej ich do Hiltona wyszło na jaw, że Johnston mnóstwo wie na temat Salt Lakę, do tego stopnia, że aż Schillera zaczęło ciekawić, skąd Dave, który pochodzi z Michigan, i pisuje do gazety z Los Angeles, zdobył taką wiedzę o Kościele Świętych Dni Ostatnich. Na to Johnston uśmiechnął się jowialnie i odrzekł:

–Bo jestem mormonem.

Schiller nie był tak całkiem zaskoczony. Zdążył już zajrzeć do przygotowanych pytań i jedno z nich wyraźnie odstawało od reszty. „Czy obawiasz się tego, co może ci zrobić Benny Bushnell po przejśćiu reinkarnacji?" Prawdopodobnie chodzi o jakiś mormoński dogmat Ta myśl skłoniła Schillera do napisania pytania zastępczego: Jak myślisz, co się z tobą stanie po śmierci?"

późnym wieczorem, siedząc samotnie w pokoju, Schiller rozmyślał o krytyce, jaka go spotkała po zrobieniu filmu z Dennisem Hopperem, zatytułowanego Amerykański marzyciel. Było to studium o życiu Hoppera, dostrzeżone jedynie przez prasę undergroundu plus „Village yoice" i „Rolling Stone".

„Rolling Stone" dał nawet artykuł na cztery strony. Recenzent twierdził, że film jest bardzo dobry, lecz napomknął zarazem, że jego twórca i reżyser, czyli Schiller, nie rozumie istotnych cech osobowości Hoppera. „Do Schillera kompletnie nie trafia swoisty mistycyzm Hoppera."

Coś, co Larry nazwał światełkiem Dennisa Hoppera, zapłonęło mu teraz w głowie. Schiller nie wierzył w niebo ani piekło, nie rozmyślał też wiele na ten temat. Jak się umiera, to dusza, powiedzmy, przestaje funkcjonować. Przeżył kiedyś taki moment, że myślał o śmierci, ale nie wyobrażał sobie własnego przejścia do innego świata. Dlatego w trakcie lektury pytań Johnstona powtarzał sobie: Ważna część osobowości Gary'ego Gilmore'a wiąże się z życiem po śmierci. Ten facet naprawdę w to wierzy.

Schiller potrząsnął głową. Oto druga strona medalu. Po raz pierwszy dotarło do niego, że Gilmore może rzeczywiście iść na całość. Do tej pory zakładał, że Gilmore akceptuje swoją egzekucję, ponieważ jest cwaniakiem złapanym we własne sidła, lecz duma nie pozwala mu się wycofać. Teraz zrozumiał, że Gary może czekać na coś po tamtej stronie. Obstawia taką możliwość, stawiając jednocześnie wszystko na jedną kartę. Schiller pomyślał, że to musi być coś w rodzaju uczucia, jakiego sam czasami doświadczał przy grze w kości *, kiedy czuł, że mu wypadnie siódemka. Tak, to jest to, uznał Schiller. Wtedy odczuwał w sposób zbliżony do Gilmore'a. Bywały momenty, że tuż przed rzutem widział na suknie wynik siedem. Ale niepokoił go ten rodzaj myślenia. Wolał nie mieć do czynienia z pojęciami zbyt wykraczającymi poza jego dziedzinę. Może potrzebna mu pomoc? Zaświtała mu myśl o zatrudnieniu Barry'ego Farrella i odłożył ją do dalszego rozpatrzenia. Ma czas, żeby wpierw się zorientować, jak Barry o nim pisze w „New West".

Nazajutrz, po rozprawie, Schiller przesłuchał pierwszą taśmę, którą Moody i Stanger nagrali z Garym. Nie brzmiało to zachęcająco. Zdaje

się, że Moody i Stanger nawiązywali przyjaźń ze swoim klientem, Co niewiele miało wspólnego z dziennikarstwem. Dyskusje prawne i chamskie dowcipy. Nie spieszyli się z poruszaniem trudnych tematów Wobec tego Schiller postanowił nie wykorzystywać dziesięciu pytań Dave'a Johnstona ani własnych dwudziestu w następnym wywiadzie robionym przez adwokatów, tylko raczej poprosić o pisemną odpowiedź. Na podstawie tych paru listów opublikowanych w „Deseret News", Schiller odniósł wrażenie, że Gilmore przywiązuje wagę do słowa pisanego.,.

DLACZEGO ZABIŁEŚ JENSENA I BUSHNELLA?

Jest tak duże podobieństwo pomiędzy Jenkinsem i Bushnellem obaj dwudziestoparoletni, obaj ojcowie rodzin, obaj mormońscy misjonarze. Być może morderstwa tych dwóch ludzi właśnie miały się wydarzyć.

W odpowiedzi na pytanie:

Zabiłem Jenkinsa i Bushnella, ponieważ nie chciałem zabić Nicole

CZY BUSHNELL BYŁ TCHÓRZEM? CO MÓWIŁ?

Nie, nie uważam, żeby pan Bushnell był tchórzem. Nie wyglądał na tchórza. Pamiętam, że chętnie wykonywał polecenia Ale nie pamiętam, żeby coś mówił, tylko poprosił mnie o zachowanie ciszy, żeby nie niepokoić żony w pomieszczeniu obok.

Był spokojny, nawet odważny.

CZY WOLAŁBYŚ, ŻEBY ZABÓJSTWO BUSHNELLA NIE MIAŁO MIEJSCA?

Tak.

Żałuję też, że zabiłem Jenkinsa.

CZY JENSEN STAWIAŁ OPÓR ALBO OKAZYWAŁ STRACH?

Jenkins nie stawiał oporu.

Nie okazywał zbytnio strachu.

Zaskoczyła mnie jego przyjazna, uśmiechnięta twarz.

Czy JENSEN I BUSHNELL UMARLI JAK MĘŻCZYŹNI? TAK jAk TY CHCIAŁBYŚ UMRZEĆ?

Nie okazywali większego strachu, niż można oczekiwać od napadniętych.

Jestem prawie pewien, że nie wiedzieli o swojej rychłej śmierci, dopóki nie nastąpiła.

CZY PRZYPOMINASZ SOBIE JAKIEŚ FILMY ALBO MIGAWKI DZIENNIKA, GDZIE WIDZIAŁEŚ ŚMIERĆ CZŁOWIEKA PRZED PLUTONEM EGZEKUCYJNYM?

Szeregowy Slovak…

Klepał te swoje zdrowaśki do końca, nie?

GDYBYŚ MIAŁ WYBÓR, CZY TWOJA EGZEKUCJA BYŁABY POKAZANA W TELEWIZJI?

Nie.

Zbyt makabryczne.

CHCIAŁBYŚ, ŻEBY SFILMOWANO TWOjĄ ŚMIERć? Tak, i Jednocześnie gówno mnie to obchodzi.

JAK MYŚLISZ, CO STANIE SIĘ Z TOBĄ PO ŚMIERCI?

Mógłbym zgadywać, ale nie wiem -jeżeli wiedza o śmierci jest we mnie (a wierzę, że tak jest), nie potrafię świadomie wydobyć jej na powierzchnię.

Myślę po prostu, że to będzie coś znajomego… Muszę mieć umysł skoncentrowany i odporny. W śmierci ma się wybór,

który nie jest dany w życiu. Największy błąd, jaki można popełnić umierając, to się bać.

CZY OBAWIASZ się, ŻE BENNY BUSHNELL MOŻE CI COŚ ZROBIĆ PO PRZEJŚCIU REINKARNACJI?

Rozpatrywałem to. Ale się nie obawiam. Strach jest chuja warty. Mogę spotkać Bushnella -jeżeli się spotkamy, nigdy nie będę go unikał. Uznaję jego prawa.

DLACZEGO ZABIŁEŚ i CZY MOGŁEŚ POWSTRZYMAĆ SIĘ

od ZABIJANIA, GDYBYŚ ZECHCIAŁ?

\w życiu nie czułem się tak potwornie, jak przez ten tydzień przed aresztowaniem. Straciłem Nicole. To tak kurewsko bolało, że czułem się słaby fizycznie – znaczy z trudem stawiałem kroki, nie mogłem spać, prawie w ogóle nie jadłem. Nie udało mi się zalać robaka. Chlanie ani

trochę nie pomagało. Ciężkie cierpienie i strata. Z każdym dniem gorzej. Czułem to w samym sercu… czułem ból w kościach. Żeby przetrwać dzień, chodziłem jak automat.

I z tego wyrósł cichy gniew.

I otworzyłem wrota, żeby dać ujście.

Ale to było mało.

Trwałoby dalej bez końca.

Następni Jenkinsowie i Bushnellowie. ' Boże…

To nie miało sensu.

Gary powiedział Vernowi przez telefon:

–Niektóre z tych pytań są cholernie osobiste. Vern odparł:

–Jak nie chcesz odpowiadać, to mu o tym powiedz. On cię nie złapie za kark.

–No, niby wiem – rzekł Gary. – Ale i tak nie podobają mi się niektóre pytania.

–Słuchaj – powiedział Stanger po przeczytaniu odpowiedzi. – To był Jensen, a nie Jenkins.

–Napisałem Jenkins? Cholera – odrzekł Gary. – Nie zniósłbym mojego błędu w jego nazwisku.

–To fantastyczny materiał – oświadczył Stanger przynosząc Schillerowi odpowiedzi. – Nie uważasz?

–Nie byłbym taki pewien – odparł Schiller. – To nie jest przemyślane.

Ostatnia odpowiedź była interesująca, ale raczej nie robiła wrażenia.

CO CZUŁEŚ W CHWILI OTRZYMANIA WYROKU? BYŁ SPRAWIEDLIWY?

Prawdopodobnie czułem mniej niż ktokolwiek na sali.

JAK OPISAŁBYŚ SWÓJ

CHARAKTER?

Trochę mniej niż miły.

TWOJE NAJWIĘKSZE OSIĄGNIĘCIE?

Na to nie odpowiedział. Zostało puste miejsce, kłując

Schillera. Gilmore wciąż strugał twardego recydywę, bez serca, bez słabości. Strzelającego do celu. Schiller koniecznie chciał się przebić przez te odpowiedzi twardziela. Coś mało ciepłych uczuć okazał facet w dniu swoich urodzin.

«DESERET NEWS» -;

Morderca z Utah skończył 36 lat i nadal chce umrzeć

Point of the Mountain, 4 grudnia. Skazany morderca Gary Mark Gilmore, w dalszym ciągu podtrzymujący swe pragnienie śmierci, obchodzi dziś trzydzieste szóste urodziny w Więzieniu Stanu Utah.

Gibbs poprosił Dużego Jake'a o kupno kartki, żeby ją posłać Gary'emu. Było na niej napisane: „Życzę jeszcze wielu równie radosnych urodzin." Wiedział, że Gary parsknie, jak przeczyta.

Brenda z Johnnym odbyli urodzinowe widzenie przez telefon.

–Hej, kuzynie – powiedziała Brenda – wiesz, że jesteś najsławniejszym kryminalistą w Stanach? Tak się o tobie wyrazili wczoraj wieczorem.

Odpowiedział cicho, cedząc słowa:

–Wolałbym, żeby mnie docenili za zdolności malarskie i inteligencję.

Mówił za niego pusty żołądek. Głos dobywał się jakby z wydrążonej skorupy.

Nie odpowiada mi reklama w tym stylu – poskarżył się.

pomyślała: może i Gary nie lubi reklamy, ale na pewno się z niej cieszy.

Gary wręczył Vernowi listę nazwisk oraz sum pieniężnych, które Przeznaczył dla danych osób. Brenda miała dostać pięć tysięcy dolarów, a Toni trzy tysiące. Gary ofiarował również pięć tysięcy

Sterlingowi i Ruth Ann. Chciał dać trzy tysiące dla Laurel,

dla dzieci, oraz dla jej rodziny, lecz Vern pokłócił się z nim o to

Wtedy Gary zaczął mówić o jakichś dziewczynach z Hawajów, ‹$ pisały do niego listy miłosne. Chciał im wysłać po parę setek. Vern wyraził zgodę, ale nie podjął pieniędzy. Wykombinował sobie, że jak Gary już rozda wszystko, będzie mile zaskoczony, że jeszcze parę setek mu zostało. Jasne, że rozrzutność Gary'ego przyprawiała o mdłości.

Gdzieś na Środkowym Zachodzie żył więzień nazwiskiem Ed Barney. Gary dostał od niego list i powiedział Vernowi, że zna tego gościa jeszcze ze Stanowego Oregon. Obaj spędzili kupę czasu w Odosobnieniu.

–Ed Barney to fajny facet – mówił Gary. – jeden z moich najlepszych i najserdeczniejszych przyjaciół. Chcę, żebyś mu wysłał tysiąc dolarów.

Vern pomyślał sobie, że on mówi tak samo jak matka. Kiedy Vern ją poznał, zaraz zauważył, że ona nie potrafi opisać

przystojnej kobiety czy mężczyzny bez poddawania się sugestii własnego opisu W końcu mówiła zawsze:

–To był najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek spotkałam.

Albo najładniejsza kobieta. Opisała w ten sposób coś koło setki ludzi. A Gary tak samo traktował swoich przyjaciół. Dzisiaj najlepszy ze wszystkich przyjaciół był Sterling. A jeszcze wczoraj LeRoy Earp albo Vince Capitano, Steve Kessler, John Mills czy inni kumple z celi, których nazwisk Vern nie był w stanie spamiętać. I tak wiadomo, że jutro nominację uzyska nowy facet. Prawdopodobnie Gibbs. Wobec tego Vern postanowił trzymać się jednego nazwiska: nagrodę zgarnie Ed Barney. Kiedy tak odkładają Gary'emu egzekucję, zostanie bez grosza, zanim się obejrzy. A parę tysięcy dolarów zapewniłoby mu w więzieniu wszelkie wygody.

Vern musiał jednak ofiarować dwa tysiące dolarów Gibbsowi. nalegał. Później był znowu jakiś typ zwany Fungoo. Gary przyznał się, że kiedyś okropnie zranił jego uczucia, bo wyrysował nie taki tatuaż Za to chciał dać jakieś pieniądze. Vern miał straszliwą przeprawę, ale Wreszcie mu to wyperswadował.

Następnie ten tajemniczy odbiorca. Pewien gość miał otrzymać

aólern pięć tysięcy dolarów w dwóch równych ratach. Vern miał się

z nim spotkać na rogu ulicy i wręczyć dwa i pół tysiąca dolarów. Gary

oświadczył, że to ma być wykonane i bez dyskusji. Vern,

owszem, wiedział, co się kroi. Spotkał się wreszcie z tym gościem,

wręczył mu pieniądze w restauracji i nie mógł tego przeboleć, że jest to niepotrzebne marnotrawstwo. Zadowolony był, że Gary nigdy nie

uiścił drugiej raty.

A teraz, w swoje urodziny, Gary zapragnął dać pięćset dolarów Marge Quinn.

–Jakiej Marge Quinn? – spytał Vern.

–No przecież wiesz – odparł Gary. – Tej miłej dziewuszce, co mnie Ida z nią poznała.

–No cóż, ale dlaczego chcesz jej dać pięćset dolarów? – spytał Vern.

–Cóż – odparł Gary, przedrzeźniając Verna, który na początek zwykle mówił „cóż" prawie szeptem, jak gdyby chciał przyciągnąć bliżej słuchacza. – No cóż, zdarzyło mi się wybić szybę w jej samochodzie.

Vern nie był zbytnio zaskoczony.

–Tak myślałem, ty wredna mordo – powiedział. Pamiętał, jak parę miesięcy temu matka Marge Quinn zapytała go, czy to zrobił Gary, na co odpowiedział: „Nie wiem. Może i tak."

Do wypłaty tej pięćsetki nie miał zastrzeżeń.

Od czasu do czasu Gary wtrącał:

–Przypilnuj, żeby matka miała wszystko, co potrzeba – jednak nie wymieniał żadnej konkretnej kwoty. Zdaniem Verna, wyglądało to tak, jakby Gary chciał wierzyć, że matka bardzo go kocha, i zbierał dowody za i przeciw. Jednak chyba złościł go ten materiał dowodowy, °° Gary wyrażał się o niej kąśliwie. Aż Vern musiał mu nagadać:

~~ Nie możesz dawać trzech tysięcy dolarów opiekunce do dziecka, Podczas gdy twoja matka nie ma grosza na życie.

No Dobrze – odrzekł Gary. – Odejmij trochę. Odpisz tysiąc i daj mojej mamie. – Potem się zawahał. – Ale nie wysyłaj pocztą – Powiedział. – Ty i ciocia Ida polecicie tam, żeby jej to wręczyć osobiście.

Vern nic nie rozumiał. Jeżeli Gary obawia się, że ktoś ukradnie forsę, to można poprosić, żeby bank w Portland doręczył ten tysiąc

przez posłańca. Rany boskie, przecież przelot z Idą tam i z powroten, kosztowałby praktycznie połowę. Wtrąciła się Brenda.

–Tylko tysiąc, Gary? – spytała.

–No – odparł Gary.

Brenda posłała ojcu spojrzenie mówiące: nie warto dalej naciskać

W niedzielę Bob Moody i Ron Stanger udzielali wywiadów telewizyjnych ludziom z Holandii, Anglii i paru innych krajów. Potem pojechali do klubu za miastem na obiad. Później do więzienia.

GILMORE: – Zaraz, a może „Tribune" wydrukowałaby list otwarty do mojej matki?

STANGER: – Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.
GILMORE: – Chcesz, to ci podyktuję. Będę się streszczał.
STANGER: – Dyktuj.

GILMORE: – Droga Mamo. Moja miłość do ciebie jest głęboka, zawsze cię kochałem i będę kochał, (pauza) Ale proszę cię, zerwij z tym Wujem Tomem – NAACP *. Proszę, żebyś przyjęła

fakt, że ja chciałbym umrzeć. Że to akceptuję. Że to akceptuję. MOODY: – Chcesz powtórzyć „że to akceptuję" dwa razy? GILMORE: – Proszę, przyjmij jako fakt, że ja chcę, że ja akceptuję śmierć. Które lepiej brzmi? Zaakceptuj to.

MOODY: – Może tak: proszę, przyjmij ten fakt, że ja akceptuję, co zostało mi narzucone przez prawo. Czy właśnie to chciałeś powiedzieć?

GILMORE: – Aha. Tak będzie dobrze. Nie chcę, żeby to wyglądało na pragnienie śmierci, bo mówię, że chciałbym umrzeć. MOODY: – Po prostu akceptuję literę prawa. STANGER: – Wypełniam postanowienia prawa. GILMORE: – No… Chciałbym z tobą pomówić. Zobaczyć się z tobą. Ale nie mogę, dlatego wysyłam ci ten list przez gazetę, (długa pauza) Wszyscy umrzemy, to nic takiego.

*** National Association fot the Advancement of Colored People – Krajowa organizacja na rzecz Awansu Społecznego Kolorowych, założona w 1910 r. (Przyp.**

To ma być w liście?

Tak. (długa pauza) Czasem to jest słuszne i właściwe. (pauza) Proszę, zerwij z tym Wujem Tomem – NAACP. Ja jestem białym człowiekiem. To dla mnie ohydne, jak oni w tym NAACP śmią łączyć się ze mną, albo że mają czelność nawet, albo w ogóle jak oni śmią- Dobra, przeczytaj mi to, a ja się zastanowię, co jeszcze powiedzieć.

…No więc mógłbym rzucić kilka obraźliwych uwag o bambusach, ale wiesz, mam paru czarnych przyjaciół, zresztą dosłownie paru. Ale NAACP się nie zalicza. To znaczy oni są tak cholernie fałszywi. Wiesz coś o NAACP? STANGER: – O, tak.

GILMORE: – Każdy brudas, którego znam, ich nienawidzi. MOODY: – Naprawdę tak jest?

GILMORE: – Jasne, tak samo nienawidzą Martina Luthera Kinga, bo z niego był wielki pacyfista, wiesz. NAACP też nie walczy, oni są bierni. Prowadzą to cholernie bogaci ludzie.
MOODY: – Jak sądzisz, czego chce przeciętny czarny człowiek?
GILMORE: – Kawałka arbuza i szklanki wina.

Więzienie przeniosło Gary'ego z powrotem do izby chorych i tego dnia nie mogli się z nim zobaczyć, słyszeli tylko jego głos przez telefon. Brzmiał zgorzkniale.

–Czarni się uczą przeważnie na pamięć, nie inaczej – powiedział. – Pokażesz im coś i wtedy już wiedzą. – Umilkł, jakby dla podkreślenia wagi następnej informacji. – Na całym kontynencie afrykańskim nigdy nie wynaleziono koła ani czegoś bardziej śmiercionośnego od dzidy. Oto co sądzę o czarnych. To nie jest nienawiść, tylko stwierdzenie faktu. Nie obchodzi mnie, że jakiś facet dawno temu czegoś tam dokonał za pomocą orzeszków ziemnych.

Ron wyczuwał burczenie w pustym brzuchu Gary'ego i nienawiść rzUczoną do słuchawki. Ciemna strona duszy Gilmore'a atakowała mu ucho. O rany, ależ on miał podłą naturę, jeśli zechciał. Stanger był w tym momencie szczęśliwy, że nigdy nie należał do NAACP czy

ACLU.

Podczas odwiedzin Kathryne mówiła Nicole, że Gary chciał, żeby to ona umarła, nie on. Nicole sądziła, że to może być prawda. Gary nie chciał, żeby kiedykolwiek zadała się z innym mężczyzną. Wcale nie odmieniło to jej uczuć. Niemożliwe, by postępował tak cynicznie Przecież wkrótce dołączyłby do niej. Dlatego nie przejmowała się oskarżeniami Kathryne. Zwyczajnie chciała się z Garym zobaczyć

Kompletnie wariowała, nie mogąc zadzwonić ani napisać listu Czasem rozmyślała o zdobyciu broni. Powiedziałaby im wtedy, że jak jej nie pozwolą porozmawiać z Garym, strzeli sobie w łeb.

Ken Sundberg, zaangażowany za poradą Christensena przez Kathryne, przyniósł Nicole list. To były pierwsze słowa Gary'ego, od chwili kiedy połknęła tabletki. Pisał jej, żeby się nie poddawała otoczeniu. Nie wspominał nic o śmierci czy umieraniu. Mówił tylko, jak bardzo ją kocha. Później Nicole się dowiedziała, że Sundberg -zresztą miły facet, tyle że zaciekły mormon – zgodził się dostarczyć kopertę, pod warunkiem że Gary w ogóle nie nawiąże do spraw) samobójstwa.

Kiedy Nicole skończyła czytać, dopisała parę linijek u dohi i odesłała list. Potem wpadła na pomysł. Wszyscy przyzwyczaili się już do jej pisania wierszy w notesie, wobec tego na urodziny napisała do Gary'ego list zamiast wiersza, wyrwała kartkę, kiedy nikt nie patrzył, włożyła sobie do buta i ukradkiem oddała Kenowi.

W nagłówku wpisała drugiego grudnia, lecz ze znakiem zapytania Nie była pewna daty. Dlatego pod spodem napisała „środa wieczorem". Później się dowiedziała, że to był wieczór czwartkowy.

Gary

kocham Cię bardziej niż życie

myślę o Tobie cały czas. Nigdy nie opuszczasz moich myśli.

Zanim dostałam Twój list, czułam się półżywa, nie wiedząc, co z Tobą. Oni mi tu niczego nie mówią. Jak się obudziłam w szpitalu oni powiedzieli mi tylko, że Ty też się obudziłeś. Wtedy próbowałam do Ciebie zadzwonić – ale zanim się obejrzałam, już mnie odwieźli tutaj.

tu człowiek jest żywcem pogrzebany. Odcięty od życia. Ty. Kochany,

tęsknię do Ciebie –

Czytam Twój list, kiedy tylko mogę. Twoje słowa trafiają do mej duszy.

kocham Cię.

Napisałeś, że nie potrzebujesz mojego życia dla siebie.

Jestem Twoja bez względu na czas i na wszystko. Wszystko i Cały Czas Myślałam o naszej najlepszej nocy… to była noc ekstazy i Miłości słodsza od zwykłych słów, które można wypowiedzieć. Nazywam ją Czułym Poznawaniem.

Pogardzam tym otoczeniem. Otoczenie pogardza mną. Dokładnie tak jak mówiłeś. Bydło, parszywe szczury…

Kochany, są zgaszone światła. Ledwo widzę co piszę.

Dotrzyj do mej duszy swoją prawdą…

Na zawsze

Nicole

ROZDZIAŁ 14

Bliski przyjaciel i wróg

Mikal nie rozmawiał z bratem od czasu tamtego spotkania w sądzie przed czterema laty, kiedy Gary został skazany na kolejne dziewięć lat więzienia, ale ostatnio dość często o nim słyszał. Po pierwszym listopada radio nadawało wciąż cztery sylaby Ga-Ry Gil-More, odczytywane tonem, który brzmiał coraz bardziej natrętnie, tytuły prasowe zaś aż biły po oczach, wreszcie rozpanoszyły się na pierwszych stronach. Zaraz na początku listopada Mikal zadzwonił do Więzienia Stanu Utah.

Przez telefon Gary demonstrował swoje lekceważenie. Ucinał rozmowę. Mikal został poinformowany, że Gary wynajął właśnie adwokata nazwiskiem Dennis Boaz i wystąpi wraz z nim nazajutrz przed Sądem Najwyższym Utah. Poprosi o dokonanie egzekucji.

–Mówisz serio? – zapytał Mikal.

–A jak myślisz?

–Nie wiem.

–W ogóle mnie nie znasz – stwierdził Gary.

Mikal mógł jedynie zwrócić się do Gary'ego z prośbą, żeby Dennis Boaz do niego zadzwonił. Wieczorem adwokat się zgłosił i poinformował Mikala o paru szczegółach, lecz trudno było nazwać to rozmową. Mikal zapytał, czy Boaz nie zechciałby zadzwonić Po wydaniu decyzji przez Sąd Najwyższy.

__. A mogę na pański rachunek? – spytał Dennis. – Jestem biednym człowiekiem.

Boaz nie zadzwonił. Mikal dowiedział się o wyniku z telewizji. Zatelefonował do Boaza ze skargą, lecz prawnik wyjaśnił, że był

dosłownie oblężony telefonami różnych osób. Kiedy Mikal chciał się dowiedzieć, gdzie Boaz praktykował w Kalifornii, Dennis odparł, że pytanie uważa za „napastliwe". Po tej rozmowie Mikal zmuszony był przyjąć, że Gary odcina się od rodziny. Postanowił czekać.

Parę dni później do Bessie zwrócił się prawnik nazwiskiem Anthony Amsterdam, wyrażając swoje zainteresowanie sprawą, i przyrzekł skontaktować się wkrótce z jej synem. Dlatego Mikal był przygotowany na ten telefon.

Zdążył sprawdzić referencje Amsterdama. Wydawały się nad wyraz godne szacunku. Ten człowiek był profesorem prawa na Uniwersytecie Stanforda i ekspertem w dziedzinie najwyższego wymiaru kary. Kolega Mikala, który studiował prawo, mówił, że Amsterdam wygrał słynne orzeczenie Sądu Najwyższego w sprawie zwanej „Furman przeciw Georgii". Dowiódł, że egzekucji czarnych więźniów z cel śmierci dokonuje się w liczbie znacznie przewyższającej wyroki śmierci wykonane na białych więźniach w tej samej sytuacji. Podczas owej rozprawy Sąd Najwyższy wydał brzemienną w skutki decyzję tymczasowego zawieszenia najwyższego wymiaru kary.

Przez telefon Tony Amsterdam wyjaśnił Mikalowi, że współdziała z organizacją pod nazwą Fundusz Obrony Prawnej, która ma kontakty z adwokatami w całym kraju, chętnymi do współ-PracY, gdy w grę wchodzi kara śmierci. Kiedy zapada taki wyrok, Amsterdam zwykle dowiaduje się o tym z kilku źródeł. W ciągu ostatnich tygodni bardzo wiele docierało do niego ze stanu Utah. Na samym początku zadzwonił Craig Snyder, żeby zapoznać go z Problemem, następnie wybitny adwokat z Salt Lakę nazwiskiem Kiliard Giauque. Przez ostatnie kilka dni skontaktowało się z nim

pół tuzina szanowanych prawników, którzy stwierdzali, że sprawa jes» wręcz szokująca. Dlatego Amsterdam postanowił nawiązać kontakt z Bessie Gilmore.

Przyznaje, że wciąż jest pod silnym wrażeniem tej rozmowy. Bessie Gilmore wydaje mu się osobą o ogromnej sile ducha, poddana strasznym cierpieniom. Należy chylić czoło przed duchową i psychiczną męką z powodu tej skandalicznej sytuacji. Amsterdam sądzi, że matka Mikala z ulgą przyjęłaby pewną pomoc, lecz nie zdecydowała jeszcze, czy chce osobiście się zaangażować w sprawę Gary'ego Dlatego poprosiła, by Amsterdam przedyskutował tę kwestię z jej najmłodszym synem.

Mikal wiedział, że ta prezentacja odpowiada prawdzie, gdyż Bessie mówiła mu mniej więcej to samo, chociaż wyraziła również podejrzliwość wobec telefonów od obcych osób. Mikal podzielił się więc z Amsterdamem swoją troską, czy aby ludziom zainteresowanym zniesieniem kary śmierci nie chodzi przypadkiem o propagowanie własnych idei zamiast o osobę Gary'ego.

Amsterdam odrzekł, że nie ma zamiaru podporządkowywać interesów Gary'ego żadnej ideologii. Nie uznaje poświęcania dobra jednostki dla kwestii abstrakcyjnych. Stwierdził jednak, że przez telefon nie do końca można czy nawet ma się ochotę kogoś przekonywać. Jeżeli Mikal wyrazi chęć kontynuowania rozmowy, Amsterdam jest gotów się z nim spotkać.

Mikal, owszem, odniósł pozytywne wrażenie, lecz odpowiedział, że chce wpierw przedyskutować sprawę z matką i zastanowić się. Tymczasem jest ciekaw, ile może wynieść honorarium. Amsterdam wyjaśnił, że prowadzi działalność wyłącznie społeczną. Nie przyjmuje żadnych honorariów. Nawet w umowie wpisze klauzulę, że wszystkie jego usługi są wolne od wszelkich opłat.

Umówili się na kolejną rozmowę za dwa dni.

Przez ten czas Bessie doszła do wniosku, że zaangażowanie Amsterdama to dobry pomysł. Powiedziała, że bardzo jej się podoba brzmienie jego głosu. Wyczuwa w nim pewność

własnych racji. Nazajutrz po rozmowie usłyszała o próbie samobójczej Gary'ego i Nicole.

Mikal po kilku dniach zadzwonił do więzienia i zastał Gary'ego

w okropnym nastroju. Boaz właśnie został odprawiony. W nadziei sprowokowania rozmowy Mikal stwierdził, że zrobił się z tego zwykły cyrk. Odbiera to Gary'emu resztki godności. Poza tym ucierpiała też rodzina. Ostatnia uwaga okazała się błędem.

_- A co, jestem wam może coś winien? – parsknął Gary. – Nawet nie uważam cię za swego brata.

Mikal odparł:

–Depczesz życie zbyt wielu osób.

Gary odłożył słuchawkę. Mikal długo rozmyślał. Gdzieś po dwóch dniach postanowił upoważnić Anthony'ego Amsterdama do działań w imieniu Bessie Gilmore.

Amsterdam wyłożył Mikalowi, jakie kroki zamierza podjąć. Proponuje złożenie petycji Bliskiego Przyjaciela. Będzie w niej zawarte twierdzenie, że matka Mikala występuje w imieniu osoby, która nie jest w stanie bronić własnych interesów. Dzięki temu będą mieli prawo zaskarżyć stan Utah. Bliski Przyjaciel jest terminem prawniczym dla wyrażenia bliskich związków z osobą, w której imieniu się występuje. Nie musi to być bliski krewny, lecz ze względów praktycznych jest to korzystne, ponieważ sąd przychylniej odnosi się do sprawy, jeśli Bliskim Przyjacielem nie okaże się jakiś maniak czy rozrabiaka, tylko rzeczywiście bliska osoba.

Podczas omawiania przygotowywanej petycji, Tony Amsterdam oznajmił, że musi poruszyć bardzo delikatną kwestię. Jego zdaniem, Gary jest człowiekiem chorym i nie postępuje sensownie. Fakt, że Uznano go za osobę przy zdrowych zmysłach, sprowadza się do tego, że wpłynęły trzy

rutynowe formularze od trzech rutynowanych Psychiatrów, którzy wyciągnęli rutynowy wniosek. Co o niczym nie świadczy. Do diabła, nawet przy takim orzeczeniu lekarzom nie wolno ignorować skłonności samobójczych Gary'ego. Po rozmowie z Craigiem Snyderem Amsterdam sądzi, że odprawienie kompetentnego adwokata jest samo w sobie pewną formą samobójstwa. Gary porusza

kwestię wolnej woli i stanowienia o własnym losie, lecz czyż sytuacja

nie jest analogiczna do tej, kiedy obserwujemy zdesperowaną kobietę szykującą się do skoku z mostu nad zatoką San Francisco? To bardzo mocne słowa i Amsterdam nigdy by ich nie użył wobec Bessie Gilmore, ale chce w ten sposób podkreślić, że kwestia, czy Gary jes(zdrów psychicznie, nie została zadowalająco rozstrzygnięta.

Co innego jednak będzie stanowiło podstawę pozwu. Są jeszcze dwa bardzo istotne elementy. W trakcie dramatycznych przejść ostatnich dni Gary otrzymywał pomoc prawną od Dennisa Boaza, który pisze książkę o tej paskudnej sprawie. Jeśli Gilmore będzie pierwszą ofiarą egzekucji od dziesięciu lat, Boaz może na tym wiele zyskać. W zasadzie to samo dotyczy adwokatów wynajętych przez wuja, Verna Damico. Właściwie wuj znajduje się w podobnej sytuacji. Gary był i jest nadal pozbawiony należytego doradztwa prawnego. Nawet jeśli jest zdrów psychicznie, pozostaje laikiem podejmującym w świetle prawa decyzję samobójczą, przy braku bezstronnych doradców.

Wreszcie trzecia sprawa. Kiedy Gary wystąpił przed Sądem Najwyższym Utah, nie została wyczerpana procedura zalecona przez Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych, który powtarzał wielokrotnie, jakie kolejne kroki ma poczynić skazany, jeśli chce się zrzec jakichkolwiek istotnych praw.

Amsterdam oświadczył, że jego propozycja jest głęboko przemyślana. Stanowi wynik bezstronnych rozważań, nie zaś

wyraz poglądów. Sędziowie zasiadający w Sądzie Najwyższym Utah to nie sędziowie procesowi. Są nie przyzwyczajeni w związku z tym do udzielania porad ani do należytego zapisu procedury. Tworzą sąd apelacyjny i w tym przypadku rozegrali sprawę całkiem źle. Przyjęta przez nich procedura odbiega na milę od reguł, jakie wytyczył Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych.

Po tej rozmowie nastąpił szybki rozwój wypadków. Amsterdam potrzebował adwokata ze stanu Utah do złożenia petycji Bliskiego Przyjaciela i wybrał Richarda Giauque'a. Zaraz też Mikal się dowiedział, że Sąd Najwyższy zawiesza egzekucję. Wszystko wydarzyło się jakby z dnia na dzień.

\V poniedziałek, szóstego grudnia, Earl zdążył odczuć dobrodziejstwa bezczynności wolnych dni, pojechał więc do więzienia spisać zeznania strażników, którzy wpuścili Schillera, żeby je wysłać do Denver. Nazajutrz Sąd Dziesiątego Obwodu wydał nakaz znoszący orzeczenie sędziego Rittera, wobec czego środki masowego przekazu nadal nie były dopuszczane do Gary'ego. Mimo że to Bili Barrett przesłał Sądowi Najwyższemu pismo w imieniu Prokuratury Generalnej i tylko o tym rozprawiano w biurze, Earl uważał ten dzień za swój sukces. Wygrał na rozprawie z Hol-brookiem.

Teraz Bili Barrett miał prawo odczuwać zmęczenie. Odpowiedź Sądowi Najwyższemu musiała być złożona przed siedemnastą we wtorek, siódmego grudnia. Czas na wykonanie tej pracy wynosił cztery dni i dwie godziny.

W tamten piątkowy wieczór przed czterema dniami Barrett wezwał do biura wszystkich wolnych akurat urzędników, porozsadzał ich i rzekł:

–Podzielimy się robotą.

Rozbił sprawę na osobne zagadnienia, przydzielił je ludziom i każdy musiał zasuwać jak parowóz. Na początku to było trochę

ryzykowne, bo nikt jeszcze nie widział papierów przygotowanych przez Giauque'a, ale czytali streszczenie, które Giauque wręczył George'owi Latimerowi przed Komisją Ułaskawień. Wynikało z niego, że celem ataku będzie orzeczenie o poczytalności. W notatce Giauque pisał: „Zezwolono oskarżonemu na zrzeczenie się weryfikacji kary śmierci przez sędziego."

Co jest równoznaczne z popełnieniem samobójstwa. Zarówno Tal-,^jak i Arystoteles, św. Augustyn oraz św. Tomasz z Akwinu określają samobójstwo mianem godnego pożałowania występku wobec Jednostki i ogółu. W prawie zwyczajowym samobójstwo było równoznaczne z przestępstwem i karane konfiskatą mienia i pochówkiem przy drodze publicznej.

–•Oskarżony o przestępstwa kryminalne, który podobnie jak Gilmore odmawia dopełnienia wymogów procedury – co mogłoby uratować mu

życie – właściwie wybiera śmierć samobójczą, a w opinii przeważającej większości psychiatrów odruch samobójczy jest formą choroby umysłowej.

Barrett nie liczył, ile roboczogodzin przepracowali w ten weekend Chyba się bał. Przez całą sobotę i niedzielę jedni urzędnicy przychodzili, inni szli do domu, a w poniedziałek została ich trójka na całą noc, żeby przygotować ostateczną wersję. Rano rozdali ją do przepisania czterem sekretarkom. Ostateczny termin zbliżał się tak szybko, # musieli łapać kontakt z Michaelem Rodakiem z biura Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych i powiedzieć mu, że nie zdążą tego dostarczyć na samolot do Waszyngtonu.

Zawarli umowę z biurem senatora Garna. Urzędnicy biegali z papierami do biura o pięć przecznic dalej, żeby stamtąd słać je do Waszyngtonu telekopiarką. Wrzucili w to pismo wszystko, łącznie z dziadem i babą – Barrett nie miał co do tego wątpliwości – ale główne uderzenie szło w kierunku, że Bessie

Gilmore nie ma prawa występować w imieniu syna. To jest jego proces, nie jej.

Natomiast druga strona, jak się można było spodziewać, próbowała dowieść niepoczytalności Gary'ego, co miało upoważniać panią Gilmore do działania. To był strasznie skomplikowany problem. Bili Barrett niepokoił się. Od momentu próby samobójczej szesnastego listopada żaden psychiatra nie badał Gilmore'a. Wobec tego w chwili obecnej nie istniały solidne podstawy orzeczenia o poczytalności -skazanego. Pomiędzy datą złożenia pisma -siódmego grudnia – i poniedziałkiem trzynastego, kiedy Sąd Najwyższy miał wydać odpowiedź, zostawało mnóstwo czasu na zmartwienia.

Czekając na decyzję, Barrett w spokoju przeczytał dzieło czterech dni wytężonej pracy i był całkiem zadowolony z niektórych sformułowań.

Nie wszystkie samobójstwa są zjawiskiem patologicznym ani $ objawem niepoczytalności.

Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych niedawno rozpatrywał w sprawie Drope przeciw Missouri, 420 U.S. 162 (1975), odnotow

empiryczna pomiędzy chorobą umysłową i samobójstwem nie jest sprawą pewną, a usiłowanie samobójstwa nie zawsze sygnalizuje niemożność trafnego postrzegania rzeczywistości" 420 U.S. par. 181.

Pan Gilmore zgromadził dostateczną ilość doświadczeń z życia w więzieniu, by ocenić, (…) jak wyglądałaby jego więzienna przyszłość. Rozprawy historyczne, religijne i egzystencjalne wnoszą, iż w stosunku do pewnych osób w określonym czasie rzeczą rozsądną byłoby nie unikać kary śmierci za wszelką cenę. Iskierka człowieczeństwa wręcz nabierze blasku, jeśli dokonany wybór zdoła zapewnić spokój ducha i poczucie osobistej godności.

ROZDZIAŁ 15

Adwokaci rodziny

Schiller sprawdzał obliczenia, żeby zobaczyć, ile będzie potrzebował na prawa publikacji, rachunki moteli i hoteli, wypłaty za stenografowanie, za sprzęt biurowy – i uznał, że tak czy owak potrzebuje jeszcze sześćdziesięciu tysięcy dolarów prócz wkładu ABC. Istniała jedna jedyna możliwość zgromadzenia tej sumy. Przejąć listy Gary'ego do Nicole i sprzedać je.

Zdaniem Schillera, etyka wymagała tu pójścia na wymianę. W końcu przecież zaufał Gilmore'owi. Za jednym zamachem dostarczył czek na pięćdziesiąt dwa tysiące dolarów – w dramatyczny sposób pokazał, że nie ma zamiaru wydzielać tych pieniędzy Zresztą miał swoje powody. Nie chciał, żeby wszystkim chodził po głowie David Susskind. Z chwilą gdy adwokaci będą mogli zatelefonować do banku i dowiedzieć się, że czek jest ważny, powie że Larry Schiller jest wielkim przedsiębiorcą, a nie małym. Uważał to za motyw rozsądku. Miał również motyw, który zwał romantycznym. W końcu romantyczność go podniecała, zwłaszcza piosenki w rodzaju Niemożliwego snu, a także słowa do Oklahomy, Karutff i Dźwięki muzyki z Alpami w tle. Dlatego chciał pokazać, że nie próbuje żadnych numerów, tylko daje z siebie wszystko. Mówi – Jestem na tyle sprytny, że nie staram się wydzielać ci po stówce co tygodniowo. Nie chcę doprowadzić do tego, żebyś zaczął kombinować, jak mnie przechytrzyć. Chodzi mi o ciebie, o człowieka. Pieniądze to tylko mechanika. Proszę bardzo, forsa na stół. możesz mnie wyrolować, ale nie zrobisz tego, bo ja ci zaufałem.

prędzej oszukałby mnie układny biznesmen w swoim biurze

aniżeli ty.

\V ten sposób Schiller zwracał się w myślach do Gary'ego Gil-more'a. Powtarzał to sobie kilka razy dziennie. Wiedział, że Gilmore taką logikę przyswaja.

Ze swej strony Gilmore był całkiem nierozsądny, jeśli chodzi o listy. Stanowiły nieodłączną część transakcji i Schiller zaliczał je do swego kapitału. Dlatego nie miał skrupułów przed zdobyciem ich za wszelką cenę. Kiedy minął pierwszy tydzień grudnia, poszedł zobaczyć się z Moodym i Stangerem, żeby im wyjaśnić, czego chce.

Odpowiedzieli, że nie wiedzą, jak je wydostać.

Larry po raz pierwszy stracił cierpliwość w rozmowie z prawnikami.

–Co mi tu wciskacie? – ryknął. – Jesteście adwokatami Gary'ego Gilmore'a. Zwyczajnie poprosicie Noalla Wootona, żeby je wam przekazał. Czy w tym stanie nie obowiązuje zasada dostępności dowodów? Macie prawo do odpisu wszystkiego, co prokuratura zgromadziła przeciw waszemu klientowi.

Schillera zaczynało złościć, że zwłaszcza Stanger nic nie robi. Nie dość że nie wydobył listów, to w dodatku nie postarał się o stenogram z procesu Gary'ego.

–Gary nie potrzebuje stenogramu – odparł Stanger.

~ To nie ma nic wspólnego z obroną Gary'ego – wyjaśnił Schiller. Chodzi o książkę i film. Jak przedstawić rozprawę bez stenogramu? Poza tym Schiller zwrócił im uwagę, że mają pewne obowiązki zawodowe. Co będzie, kiedy Gary się rozmyśli i zechce złożyć aPelację? Bez stenogramu i bez notatek Snydera i Esplina stracą tydzień cennego czasu. To może kosztować życie człowieka. Był

wkurzony do granic histerii. – Macie jeden z drugim siadać natychmiast

przy telefonie – oświadczył – i zebrać mi tu wszystko do kupy.

Zauważył, że im się to wcale a wcale nie podoba, lecz wiedzą, skąd

może im jeszcze kapnąć jakiś pieniądz: od niego.

nie mógł się nadziwić, jak ci prawnicy tu pracują. Wooton nie raczył zrobić stenogramu rozprawy. A jeśli Sąd Najwyższy Stanów zjednoczonych będzie go potrzebował, co wtedy? Po pewnym czasie

sekretarka Mooddy'ego zawiadomiła, że stenotypistka z sądu wycenia tę pracę na sześćset dolarów.

–Zapłacę – powiedział Schiller. – Nie ma obawy.

Ważniejsze było to, że Wooton zgodził się wydać oryginały listó^ jeżeli dostarczą mu w zamian zestaw kserokopii. Wobec tego Stephanjj poszła tam w charakterze wysłanniczki Moody'ego i zabrała pakiet.

Larry przejrzał listy i doszedł do wniosku, że przez cały sierpień wrzesień, październik i początek listopada – aż do próby samobójczej – Gary pisał średnio po dziesięć stron dziennie. Sporo listów liczyło po dwadzieścia dużych żółtych kartek z bloku biurowego Ogółem dobrze ponad tysiąc stron. Przerzucił je z grubsza. Zorientował się, że Gilmore pisze o wszystkim. Raz płodzi eseje o twórczości Michała Anioła albo van Gogha, jakby chciał dziewczynę podciągnąć, kiedy indziej znów całe strony o pierdoleniu. Pewnie banałów tam od metra. Schiller uważał, że potrzeba mu co najmniej sześciu kompletów kserokopii – jeden dla Wootona, jeden dla siebie, jeden dla przyszłego autora książki i przynajmniej trzy na sprzedaż do różnych miejsc. Zadzwonił do siedziby firmy Xerox w Denver z pytaniem o ich najbardziej wydajną maszynę oraz kto ją może posiadać. Szykował się. na wysłanie Stephie do Denver, Dallas, San Francisco, gdzie będzie trzeba, a tu jasny gwint, mówią mu,

że firma poligraficzna w Provo ma taką maszynę. Kurwa, pod nosem, w Provo. Przedsiębiorstwo produkcji kart świątecznych. Schiller pokręcił głową z niedowierzaniem. Jednak czasem to się zdarza.

Rzecz jasna, nie miał zamiaru informować firmy pocztówkowej, że chce wykorzystać ich maszynę dla Gary'ego Gilmore'a. Poprosił tylko o wynajęcie maszyny od jedenastej wieczór do trzeciej rano i użył nazwisk Moody'ego i Stangera jako referencji. Wszedł do środka z Stephie oraz z zatrudnionym tam człowiekiem, i zabrało im to w końcu sześć i pół godziny.

Istny ogrom pracy. Nie do wiary, jak starannie złożone były listy Gary'ego. Nieduża biała więzienna koperta mogła pomieścić tuzin kartek formatu A-4. Nie dość, że Gary starannie zaginał kartki, $ Nicole zachowała ten sposób złożenia. Schiller dopiero zaczął wyczuwać związek Gary'ego z Nicole po tych zagięciach. Jak te listy były otwierane i składane z powrotem, otwierane i znów składane.

później, kiedy Schiller zdążył już trochę przeczytać, poczuł się nieco bezpieczniej. Nawet jeśli Sąd Najwyższy cofnie zawieszenie i Gary zostanie stracony w ciągu, powiedzmy, tygodnia, listy dostarczą materiału do historii miłosnej. Miał do dyspozycji powód, dla którego mężczyzna chce umrzeć, do tego Romea i Julię oraz życie po śmierci. To nawet może wystarczyć autorowi scenariusza.

Następny problem polegał na tym, gdzie sprzedać fragmenty. National Enquirer" złożył Scottowi Meredithowi poważną ofertę na sześćdziesiąt kawałków, lecz Schiller rozważał, czy nie powinien raczej zaoferować pakietu „Time'owi". Dostałby pewnie nie więcej niż jedną trzecią, ale i przy tej cenie Schiller lubił„Time'a". Nie chodziło tylko o prestiż. „Time" był w zasadzie reklamą o światowym zasięgu. Znaczenie Gilmore'a wzrośnie na międzynarodową skalę. Samo to załatwia czterdzieści tysięcy dolarów różnicy.

Cały czas grał z „Enquirerem" na boku. Ich oferta podskoczyła z sześćdziesięciu do sześćdziesięciu pięciu. Schiller potrzebował pieniędzy tak samo jak rolnik bez traktora potrzebuje traktora, ale nie mógł się pogodzić z myślą, jak „Enquirer" spłyci zagadnienie. Tymczasem wyglądało na to, że „Time" podwyższy do dwudziestu pięciu tysięcy dolarów.

Wtedy wpadł na pomysł sprzedania wnikliwego wywiadu z Gilmore'em „Playboyowi". To powinno przynieść następne dwadzieścia. Podział łupów między „Time'a" i „Playboya" plus dochód ze sprzedaży listów w Europie powinien przekroczyć w sumie sto tysięcy. Co powinno pokryć wszelkie koszty zaległe i przyszłe. Prawnicy mieli własne kłopoty. Przyznanie się Schillera wobec dziennikarzy, że jest hollywoodzkim producentem, poprzestawiało wSzystko w obrębie więzienia. Sam Smith oświadczył, że osobiście

°Pilnuje, by nikt nie skorzystał na egzekucji Gary'ego Gilmore'a.

Dopóki ja tu jestem naczelnikiem. Zaczął poważnie ograniczać widzenia.

' Dlatego podczas ich rozmów z Garym zawsze ostatnio był strażnik. Adwokaci kładli słuchawkę i odmawiali rozmowy, ten facet nie pójdzie stąd w cholerę. Czasem strażnik się wynosi) w drugi koniec sali, ale wtedy trzeba było przyjąć, że telefon jest na podsłuchu. Jak, u diabła, rozmawiać z klientem, któremu nawet nie można spojrzeć w oczy, bo siedzi za ścianą? Któregoś dnia Moody wszedł nawet w zwarcie z Samem Smithem, żeby załatwić nagrywanie podczas widzeń z Garym. Bob skarżył się:

–Skoro mam spełnić jego ostatnią wolę, muszę nagrywać wszystkie jego uwagi na wypadek, gdyby zmienił zdanie.

Wiedział, że ten spór jest stratą czasu, ale wywierał nacisk dla odwrócenia uwagi od nagrań, które robił bez zezwolenia cały

czas Wcale nie przychodziły łatwo. Trzeba było przemycić pod płaszczem magnetofon, a potem zawsze istniało niebezpieczeństwo, że strażnik zauważy gumową końcówkę do nagrywania ukradkiem założoną na słuchawkę. Gdyby ich wykryto, mieliby nieprzyjemności zawodowe Oczywiście skoro palestra nie wszczęła działań przeciw Boazowi, nie zacznie nagle rozróby z nimi, jednak dla kogoś, kto ceni sobie reputację, stanowiłoby to dodatkowe zmartwienie. Czasem strażnicy próbowali zajrzeć im do teczek przy wejściu. Wtedy trzeba było robić prawdziwe przedstawienie. Są adwokatami Gilmore'a i wara od ich teczek! Musieli się odpowiednio nastrajać na okoliczność przestępowania bram więzienia.

Pewnego razu Ron wdał się w okropną awanturę z Samem Smithem.

–Będę rozmawiał z moim klientem w taki sposób, który mi odpowiada – oświadczył. – A pan* nie będzie mi tu dyktował warunków.

–Proszę pana – powiedział Sam Smith – to jest moje więzienie.

Ron podniósł głos.

–A ja na to sram!

Smith próbował go uspokoić.

–Ron, słuchaj. No przestan, Ron – powtarzał, Ron zaś w krzykiwał:

–Gówno, nie będziesz mi mówił, jak mam rozmawiać z klientem. Ja muszę prowadzić zapis. Jak mi klienta rozwalą i ktoś to zaskarży, chcę mieć rozmowę na taśmie. Będę rozmawiał z klientem, jak mi się podoba.

__- Dobrze – odparł Sam Smith. – Niech rozstrzygnie o tym sąd federalny.

Ron na to:

_- Koleś, jak trzeba, pójdę i do sądu.

To była jedna wielka pyskówka, która niczego nie załatwiła. Naczelnik nigdy nie mówił, co wolno, a czego nie wolno. Najwyżej w odpowiedzi na pytanie stwierdzał, że coś jest niezgodne z zasadami. Ron miał także potyczkę z Erniem Wrightem, dyrektorem penitencjarnym. Ron był jednym z pięciu członków Komisji Stanowej i właściwie wspierał władzę. Za każdym razem, kiedy więzienie potrzebowało nowej inwestycji (gdzie tam, cholera, inwestycji: nowej drewutni!), musiało zwrócić się o zezwolenie, podobnie jak inne instytucje państwowe, do Komisji Stanowej. Dlatego Ron na co dzień widywał przez jakiś czas Sama i Erniego. A jednak teraz natrafił na mur. Ernie Wright powiedział mu wreszcie:

–Żaden filmowiec nie zarobi na Gilmorze ani centa. Bo to nie w porządku. Wszędzie nas krytykują, chociaż to nie my na tym zarabiamy.

Zwyciężyły emocje.

–W którym miejscu to jest niezgodne z przepisami? – pytał Bob. – Gdzie tak jest napisane?

–Nigdzie – odpowiedział Ernie, zupełnie jak Sam. – Taka jest polityka więzienia.

Moody ze Stangerem odkryli, że o wiele więcej osiągną, pracując z zastępcami naczelnika i z porucznikami. Przydali się też dwaj więzienni kapelani. Campbell – mormon, który przeważnie sam walczył z więzieniem i przez to wciąż przeżywał frustracje, chodził nadąsany, z zaciętym wyrazem twarzy. Ale drugi kapelan – katolik, ojciec Meersman – był starym wyjadaczem i powtarzał prawnikom:

–Trzeba mieć podejście. Nie pytajcie, co wolno, czego nie wolno.

Róbcie swoje, dopóki wam nie zabronią. Jak coś raz nie wyjdzie,

Prbujcie innym razem. – Ojciec Meersman od lat pracował w więzieniu miał świetne układy; sympatyczna twarz, siwe włosy, nie wysoki,

ale też nie niski, ani otyły, ani szczupły, pod każdym względem

przeciętny^ jeśli chodzi o wygląd. – Mówcie tak: „Wszystko będzie

jaK należy, panie naczelniku. Oczywiście Gary miał powody do zjadliwości względem ojca ersmana. Któregoś dnia oznajmił Moody'emu i Stangerowi:

–Padre dał mi krzyżyk, z którym mam umrzeć. Specjał^ zrobiony. W sam raz mieści się w dłoni. Ten papieski kutas byłby dobry jako sprzedawca używanych samochodów.

Moody odczuł też pewne naciski z kręgów mormońskich. Był członkiem Wysokiej Rady jako jeden z dwunastu Starszych, która doradzała Przewodniczącemu Zboru w Provo, ale docierały do niego opinie, że powinno się go z hukiem wyrzucić z Rady za przyjmowanie pieniędzy znaczonych krwią. Z drugiej strony ludzie o wysokiej pozycji w Kościele mówili:

–Robicie wspaniałą rzecz. Podziwiamy was. Pół na pół.

Moody się nie przejmował. Tak samo go atakowano, kiedy bronił pewnego człowieka, który spowodował śmiertelny wypadek prowadząc pojazd pod wpływem alkoholu.

–Jak możesz go bronić? – pytano Moody'ego. – Jesteś mormonem. Nie pijesz.

Niektórzy w Kościele nie rozumieją systemu sprawiedliwości ani roli obrońcy.

Mimo wszystko nie było źle. W owym czasie Ron Stanger tylko czekał, kiedy wróci do domu i złapie siebie w telewizji. Naprawdę bardziej cieszył się z popularności niż Moody. Bob nie był tak znów zakochany w widoku swojej łysej głowy, żeby zaraz lecieć ją oglądać, ale dzieciom to się podobało.,,Tam jest tata!" -krzyczały. Fajnie było widzieć, jak się cieszą. Rzecz jasna, w sądzie czy na ulicy też wszyscy pytali, jak stoją sprawy, dodając, # widzieli ich w telewizji. Kiedy Moody przypadkiem spotyka' adwokatów, z którymi razem studiował i którzy teraz być może zarabiali więcej od niego, był zadowolony, mogąc porozmawiać na temat pracy. Ogólnie nie czuł się spięty. Gilmore nie zaszkodził mu w praktyce, lecz przyniósł korzyści. Spowodował zmianę. Moody mógł widzieć siebie jako człowieka, którego nie paraliżuje perspektywa

zmian.

GILMORE: – Powiedz Larry'emu Schillerowi, że chcę zadzwonić do

Nicole. Jestem pewien, że Schiller potrafi ludzi przycisnąć, jeśli tylko

zechce.

STANGER: – Faktycznie, Larry umie się zakręcić.

GILMORE: – A wy dwaj też coś tam robicie, ale to mało. Nie dają

mi zadzwonić.

STANGER: – Jak dotąd się nie udało.

GILMORE: – Słuchaj no, ja nie jadłem od szesnastu dni i mogę tak

w nieskończoność. Zrobię wszystko, żeby tylko pogadać przez ten

telefon. Trzeba dać w łapę, no to dajcie. Gówno mnie obchodzi ile.

Chcę rozmawiać z Nicole i nikogo nie będę słuchał, dopóki nie

porozmawiam. Zdaje się, że to brzmi jak ultimatum. Nie wiem, czy

mam prawo was prosić o załatwienie tego telefonu, bo jak nie, to nie

odpowiem na te pytania, ale chyba nie mogę inaczej.

STANGER: – Gary, masz prawo prosić, jeśli czegoś chcesz.

GILMORE: – Chcę rozmawiać z Nicole.

Prawnicy zwykle wracali z taśmą do Provo i Schiller – o ile był w mieście – przyjeżdżał do ich biura, żeby natychmiast wszystko przegrać. Miał wtedy możliwość przesłuchania taśmy w obecności adwokatów. Kiedy Gary powiedział: „Załatw telefon", Schiller rzucił Moody'emu uwagę:

–No nie, czy on myśli, że ja mam komuś dać dwadzieścia pięć dolarów?

–Gary sądzi, że potrzeba pięciu tysięcy – odrzekł Moody.

–Dla kogo? Kto to ma dostać? – dopytywał się Schiller. Moody na to:

~~ Gary mówił: poszukać lekarza.

~~ Nie powinniśmy się pakować w coś takiego, Bob. Myślmy Perspektywicznie – powiedział Schiller.

Miał przeczucie, że Gary sprawdza, jak daleko może się posunąć. W,rezultacie wszyscy zadają sobie pytanie: ile forsy ma w kieszeni ten

Wydusi jeszcze piątkę?

Gary uznał, że nadarza się okazja zaprezentowania Moody'emu własnej uczciwości, toteż odmówił.

–Nie powinniśmy się w to pakować – powtórzył. – Wyślę do Gary'ego telegram.

5 GRUDNIA, GODZ. 13.03. WIĘZIENIE STANOWE UTAH, skr. poczt. 250 DRAPER UT 84020

W NAWIĄZANIU DO PROŚBY O KONTAKT Z OSOBĄ TRZE Clą, TO NIE MIEJSCE ANI CZAS, A ZAPROPONOWANY PRZEZ CIEBIE SPOSÓB ODRZUCAM. JA ZAPISUJĘ HISTO RIĘ BEZ WŁASNEJ INGERENCJI.

Z POWAŻANIEM

LARRY

Tak naprawdę, pomyślał Schiller, jestem już częścią historii. Wszystko dookoła i ja też.

Ponieważ Gilmore nie chciał odpowiadać na pytania, Schiller postanowił zrobić parę równoległych wywiadów. Vern mu mówił, że na pewno warto porozmawiać z jego córką, wobec tego wybrał się ze Stephie w odwiedziny do Brendy i Johnny'ego. Wywiad nie był specjalnie udany, ale zachwyciła go Brenda. Bezpośrednia, dowcipna prawdziwa osobowość telewizyjna. Z wyglądu prawie tak atrakcyjna jak dziewczyny z Aniołków Charliego. Jej mąż, Johnny, też zrobił duże wrażenie na Schillerze, ale w inny sposób. Trochę przytłaczał swoją obecnością. Silny mężczyzna, nieskory do rozmów.

Cały czas Schiller się cieszył, że zabrał Stephie. Jej obecność przy rozmowie otworzyła Brendę. Do niezręcznych sytuacji podczas wywiadów Stephie wprowadzała pewną… (nie chciał tu użyć słowa: klasę)…pewną kulturę, odrobinę potrzebnej delikatności. Była bardzo pomocna. To znaczy do momentu wyjścia.

–Siedziałeś i tylko zmiatałeś z talerzy – mówiła. – Wszystko koreczki z szynki i ananasa.

Schiller wiedział, że musi tego wysłuchać. Ona jest pomocą Po wejściu, ciężarem przy wyjściu. Tak ostro go krytykowała, że miał przez to spierdolony cały dzień.

Z pewną ulgą więc poszedł robić wywiad ze Sterlingiem Bakerem ^ i Ruth Ann pod koniec tygodnia, kiedy Stephie nie było. Nie mógł się nadziwić, jaki miły facet z tego Sterlinga. Właściwie to nieśmiały do tego stopnia, że Schiller musiał go zabrać do restauracji. Ten człowiek nie mógł spokojnie

odpowiadać na pytania, dopóki coś takiego jak jedzenie nie rozładowywało napięcia. W każdym razie Sterling przedstawił Gary'ego od jeszcze innej strony. Facet tak miły i łagodny, że gary do niego lgnął.

Moody ze Stangerem próbowali wynaleźć Gary'emu sposób porozumienia się z Nicole przez telefon. Przedyskutowali różne pomysły.

Tymczasem, żeby ugłaskać Gary'ego, pośredniczyli w wymianie listów z Nicole. Gary oczywiście chciał wiedzieć, czy Ken Sundberg jest przystojny, i Moody musiał go uspokoić, że Sundberg jest poważnym młodym mormonem, który nie rozbije jego związku z Nicole.

GILMORE: – Mogę wam, chłopaki, zadać osobiste pytanie? Czasem, kiedy sprawa staje się realna, ludzie potrafią zmienić zdanie. Czy nie najdą was wyrzuty sumienia?

MOODY: – Może powiemy ci tak, Gary. Myślę, że ja i Ron doszliśmy do tego, że uważamy cię za przyjaciela, traktujemy jak przyjaciela, i nie podoba nam się myśl, że możesz zostać stracony, ale do diabła, jesteśmy tu, żeby robić to, co ty chcesz. Będziemy dalej nad tym pracować, nawet jeśli samo myślenie o tym nie jest rzeczą najprzyjemniejszą. STANGER: – Na pewno.

: – Wiecie, że nie proszę, żebyście mnie lubili. No tak, raczej trudno polubić.

–Czy ci się to podoba, czy nie, myśmy cię bardzo Polubili.

GILMORE: – Proszę tylko o jedno, uszanujcie mój sposób myślenia

o śmierci.

Stanger tak naprawdę nie wierzył, że Gilmore'a to kiedyś spotka.

Zbyt wielu sędziów skrycie potępiało karę śmierci. Z drugiej strony

Stanger uważał, że powinien dać z siebie wszystko. Lubił odczuwać

respekt dla roli, której się podjął. Całe życie był aktorem, jeśli chodzi o sposób mówienia. Tym razem, jak na ironię, wszystko się odwróciło Miał zrobić wywiad z Gilmore'em na temat jego przeszłości, jednak Gary bardziej się napalił na wspomnienia Rona o własnym życiu.

Ponieważ Ron urodził się w Butte*, rozśmieszał wszystkich mówiąc:

–Wyrzućcie „e" i już wiecie, jak to się pisze.

Opowiedział Gary'emu, jak jego dwaj starsi bracia sprzedawali gazety niemalże po jego trupie. Ron stawał z plikiem gazet na najlepszym rogu i zwykle paru większych chłopaków zaraz się na niego rzucało. Wtedy jego bracia rzucali się na tamtych i opanowywali róg na jakiś czas.

W latach czterdziestych zimą często czuł się brudny, zmarznięty i wyczerpany roznoszeniem gazet. Wchodził wtedy do barów, a popijające tam miejscowe dziewczynki litowały się nad nim, kupując wszystko, co mu zostawało. Odbył najwspanialszą praktykę prawniczą: nauczył się przybierać miny, które budzą litość.

Potem rodzina przeniosła się do Oregonu i w mieście nie było prawie żadnych mormonów. Przez pewien czas kościół mieścił się nad pralnią. Ron spotykał ludzi przekonanych, że mormoni mają rogi, ponieważ utrzymują po kilka żon. Stanger był jeszcze dzieciakiem, ale już mówił: „Ja to popieram."

Faktycznie, jego dziadek żył w poligamii. Kiedy Stanger poszedł studiować na BYU, raz podczas ogólnego spotkania

zapytano, kto miał przodków uznających wielożeństwo. Prawie wszyscy wstali Oczywiście rodziny poligamiczne nie były, zdaniem Rona, najszczęśliwsze. „Zrobiłeś tej i tej dziecko! – krzyczała któraś żona. – Dlaczego nie mnie?" Kiedy ktoś pochodził z takiej rodziny, jak na przykład jego tata, dostrzegał różnice. Kurczę, nawet jedną żonę trudno uszczęśliwić.

Gary poprosił, żeby mówić dalej. Uważał, że to fascynujące.

Ron powiedział, że pierwszy i jedyny z całej rodziny dostał się na studia i właściwie nie wiadomo dlaczego wybrał BYU, chyba dla^S że mormoni nie byli tam rzadkością. Szkoła trwała dopiero parę lat. "

Butt – tyłek, zadek. (Przyp. tłum.)

wtedy jedna fajna blondynka powiedziała coś o Erniem Wilkinsonie. Ron oczywiście zaraz musiał się wyrwać:

__ A co to za jeden?

Myślał, że Ernie to jej chłopak. Skąd miał wiedzieć, że Wilkinson stoi na czele władz uniwersytetu. Dziewczyna tak mu dogryzała, że on zabrał się i poszedł. Kolegom mówił:

–Ta jedna lala nigdy się ze mną nie umówi.

A teraz byli małżeństwem od dwudziestu dwóch lat, z całkiem liczną rodziną. Pięcioro dzieci, wszystkie naraz w wieku dojrzewania, wszystkie adoptowane.

Ponieważ Ron i Viva nie mogli mieć dzieci, odczekali pięć lat i złożyli podanie przez Kościół, potem musieli czekać jeszcze dwa lata na pierwszą adopcję. Tyle czasu to trwało, że zdążyli wysłać cały plik zgłoszeń i przez rok w domu przybyła jeszcze trójka dzieci. Czwórka maluchów poniżej czterech lat. Mieli zamiar poczekać na piąte, żeby to była dziewczynka, ale dowiedzieli się o niemowlęciu, które mogą zabrać od razu z

podobnej agencji w Oregonie. Ron i Viva zgarnęli całą czwórkę i wskoczyli w samolot do Portland, żeby odebrać nowe maleństwo.

W samolocie rozdawali dzieci dookoła. Zwracali się do obcych ludzi:

–Za dużo ich mamy, weźmie pan jedno?

Kiedy wracali, przodem szedł jeden szkrab, za nim bliźniaki, co nie umiały jeszcze dobrze chodzić. Potem kroczył Ron, trzymając na ręku malucha i na końcu Viva z jeszcze jednym niemowlakiem. Podeszły do nich dwie starsze panie i spytały:

~- Chciałybyśmy się dowiedzieć, czy państwo są mormonami?

Kiedy przytaknęli, staruszki odpowiedziały:

~~; Tak myślałyśmy. Taka liczna rodzina.

Później, w samolocie, Viva zauważyła:

~~ Ale byłoby śmiesznie, gdybyś im powiedział, że oboje jesteśmy DezPłodni.

Długo się z tego z Garym zaśmiewali.

ROZDZIAŁ 16

Dojście do domu wariatów

Schiller otrzymał z wyprzedzeniem artykuł Barry'ego Farrellsa w „New West". Tytuł brzmiał: Kupczenie tańcem śmierci Gary`ego Gilmore'a. Niedobrze. Tekst traktował o negocjacjach Gilmore'a z Boazem, Susskindem i Schillerem. Ku zadowoleniu Schillera fragmenty na jego temat, zarówno pozytywne, jak i negatywne, były na ogół w porządku.

Wuj Vern wydawał się mniej przekonany do Susskinda niż do Larry'ego Schillera, który dołożył starań, by osobiście spotkać się z rodziną. Schiller natychmiast wszystkim poradził wynajęcie adwokata. Zaangażowani przez rodzinę prawnicy zauważyli, że Schiller potrafi mówić ich językiem, wie wszystko o kurateli sądowej i pełnomocnictwach, w teczce zaś nosi plik szczegółowo opracowanych kontraktów dotyczących historii jeszcze bardziej spektakularnych niż dzieje Gilmore'a.

To było dobre. Farrell traktował go w miarę poważnie. Dlatego tak nieszczęśliwy był Larry po przeczytaniu w następnej linijce:

Człowiek ten nieraz przypominał sępa. Zawierał umowy z Susan Atkins, Mariną Oswald, Jackiem Rubym, panią Nhu i wdową po Lennym Bruce.

Kiedy już Schiller to przełknął, przestał się specjalnie przejmować. Autor, kiedy pisze do tygodnika musi przecież robić efektowne wstawki,

po wycyckaniu na książce o Muhammadzie Alim Farrell i tak był już winien kopa. Poza tym reszta artykułu znakomita. Bardzo dobry tekst. Wyłowią oczywiście tego „sępa", ale w sumie Schiller był do przodu. Znów zaczął myśleć o zaproszeniu Farrella do współpracy przy pytaniach.

Schiller cierpiał z powodu wywiadów robionych przez Moody'ego i Stangera. Po prostu nie mógł się pogodzić z tym, że adwokaci przynoszą tak niewiele. Gary wprawdzie oświadczył, że nie odpowie na żadne dalsze pytania, ale chodziło mu o pytania na piśmie. W czasie wielogodzinnych rozmów powinni więcej z niego wyciągać. W dodatku robili błędy techniczne.

Z początku prawnicy nie umieli właściwie posługiwać się magnetofonem. Raz Stanger zrobił wywiad przy wyładowanych bateriach. Schiller musiał kupić nowe. Nie mógł pojąć, jak ten Stanger może się z tego śmiać. Innym razem nie przełożyli kasety. Nagrywali na tej samej stronie. Chyba musieli odczekać, żeby cofnąć taśmę, następnie nagrali się na własnej rozmowie. Ron najwyraźniej podchodził do tego tak: dzisiaj zaszła pomyłka, jutro poprawimy. Pewnego razu Schiller spotkał się z Ronem i Bobem w małej przydrożnej kawiarence o parę mil od więzienia. Z miejsca chcieli przesłuchać przemyconą taśmę. Puścili ją w kawiarni. Schiller powiedział: „Pojedźmy z tym do biura", ale nie, oni musieli posłuchać swego dzieła. Na miejscu, kurwa, w knajpie. Ludzie obok mogli wszystko usłyszeć. Do obydwóch nie docierało, że to nierozsądne, bo jutro mogą zastać szlaban i koniec. Traktowali więzienie jak własne podwórko. Schiller, próbując się opanować, musiał czasem sobie powtarzać, że tak jest. W końcu oni tu są na własnych śmieciach.

~- Zapomnijcie, że Larry Schiller robi interesy – nakazał im. – Tym też się zajmuję, ale na razie to zostawmy. Chodzi o historię. Trzeba ją zapisać.

W dalszym ciągu się opierali, oświadczył więc na koniec:

~~~ Mam zamiar zlecić robienie wywiadów Vernowi.

Mówił do pewnego stopnia poważnie. Gorzej już nie będzie, a Gary się otworzy. Schiller dostawał już paranoi. Zwłaszcza dlatego że
~~~

prawnicy nie zawsze przynosili z widzeń taśmę. Zaczął się zastanawiać o czym oni dyskutują bez nagrywania. Powtarzał im: (

–Nagrywajcie wszystko, jak leci, nawet dyskusje prawne. Rozmawiajcie o testamencie. To wszystko stanowi historię. Nigdy nie wiadomo, co okaże się ważne.

Czasem przesyłał przez nich wiadomość dla Gary'ego, ale nigdy nie miał pewności, czy dotarła. W każdym razie nie słyszał tego na taśmach.

–Vern nie jest tak wykształcony jak wy, ale on będzie mnie słuchał – groził Larry.

Pochłonęło to cały potworny tydzień. Nie miał czasu negocjować z ABC, zająć się prawami do filmu, scenariuszem, przygotowaniami do egzekucji, nawet listów nie zdążył przeczytać.

Wreszcie nakazał im, żeby wydali Gary'emu instrukcję, żeby podczas wywiadu zwracał się do nich per Larry. Wyjaśnił, że to pomoże Gilmore'owi, jeśli będzie cały czas myślał o człowieku któremu opowiada historię swego życia. Może w ten sposób, myślał Schiller, łatwiej przyjdzie im zadać parę trudnych pytań. Larry próbował wszystkiego.

Coraz więcej rozmyślał o zwróceniu się do Barry'ego Farrella Miał wiele wspomnień o Barrym z czasów magazynu „Life", toteż odczuwał rosnące zadowolenie, że Farrell okazał mu, kurczę, respekt w tym „New West". W dawnych czasach „Life'u" Schiller nie mógł się wyzbyć podejrzeń, że Barry Farrell żywi dla niego lekką pogardę gdyż sam jest zjawiskiem bardziej wyjątkowym. Może nie wyjątkowym, ale z całą pewnością niezwykłym. Pierwszy raz pracował z Barrym po spędzeniu z przerwami sześciu miesięcy z Timothyu Learym, potem z Laurą Huxley. „Life" przygotowywał duży materiał o LSD i Schiller zrobił pięćdziesiąt godzin wywiadów na taśmach, do tego

tysiące zdjęć małolatów, ćpunów, dzieciaków ze szkoły, ludzi w średnim wieku, którzy szli w ślady swoich guru i inne głębokie przeżycia. Schiller zaczął myśleć o tym, jak bardzo wziąć się do pisania, tylko nie wie jak. Kiedy wrócił do Jorku, „Life" wyznaczył Barry'ego Farrella do napisania tekstu i facet po prostu siedział, kurwa, przy biurku i pracował. Schillera strasznie gryzło.

–Jak można pisać duży artykuł na temat tego narkotyku, siedząc w czterech ścianach? – pytał Barry'ego.

przez to nabrał niechęci do Farrella, wręcz nienawiści. Jednak gdy wydrukowali artykuł, okazało się, że facet opisał wszystko. Całą prawdę, zrobił z tego przebój. W tamtym roku właśnie, 1966, Larry Schiller całkowicie zmienił zdanie o Barrym Farrellu i zaczął go szanować za umiejętności pisarskie. Dlaczego Farrell nie miałby powtórzyć tego z wywiadami Gilmore'a, myślał Schiller.

Oczywiście jego stosunek do Farrella był bardziej złożony. Barry był pisarzem, lecz również kobieciarzem. Takim, któremu wystarczy dłuższa przerwa obiadowa. Nosił odpowiednie garnitury, odpowiednie krawaty i Schiller szczerze mu zazdrościł, jak zresztą każdemu, kto wychodził na tak długo, wracał lekko zawiany, a mimo to odwalał fantastyczną robotę. Schiller nie był wtedy taki przystojny; bez brody, ze spiczastym nosem, zbyt mało wydatną szczęką, miał wygłodniały wygląd. Był tylko fotoreporterem, z maniackim uśmieszkiem na twarzy, bo robił po dziesięć zdjęć naraz, objuczony ładunkiem sprzętu na plecach. Wiedział, że wygląda dziwnie, ale starał się wtapiać w tło. Im mniej fotoreporter był dostrzegany jako człowiek, tym lepsze wychodziły zdjęcia. Można zdobyć bombowy materiał, jeśli ludzie poświęcają ci tyle uwagi, co musze łażącej po ścianie. Natomiast Farrell-kobieciarz roztaczał pewien czar. Schiller pamiętał, jak Barry poderwał tę czarną dziewczynę, która pracowała w archiwum „Life'u". Piękna czarna dziewczyna, o rany, Schiller pamiętał: w latach sześćdziesiątych

czarna piękność musiała być gwiazdą. Była taka milutka, miała taki ciepły miękki głos, przy tym intelektualistka, nie uliczna cwaniara. Tyle było w niej elegancji, subtelności – czarna, piękna i inteligentna. Teraz byli z Barrym po ślubie i mieli dziecko. Schiller postanowił: co tam, do diabła. Zobaczy po prostu, a nuż się uda zatrudnić Barry'ego Farrella. Jakby startował po trofeum.

Zadzwonił do Barry'ego i zapytał, czy jest zainteresowany. Od razu zaznaczył, że to nie żadne kokosy. Nie tak jak z Muhammadem Alim. Nie obiecuje wielkiej forsy. Nie chodzi o książkę. Konkretna ciekawa Praca za konkretną dobrą forsę. Pięć tysięcy dolarów za opracowanie wywiadu do „Playboya". Farrellowi to odpowiadało. Powiedział, że ma własną książkę, do której musi wrócić, trochę się przekomarzali, Potem jeszcze raz omówili sprawę. Schiller był zaskoczony, bo miał Uczucie, że targował się mniej, niż oczekiwał, podbudowując się Pieniężnie przed rozmową. Stanęło na tym, że Barry zgadza się

przejrzeć listy i dotychczasowe wywiady. Za jakiś tydzień będzie mósiał dać ostateczną odpowiedź.

–Idę za ciosem – zwierzył się Schiller Stephie.

Nie rozumiała tych rozgrywek; nie mogła pojąć, jak Farrell może pisać o kimś „sęp" i jednocześnie go poważać. Stephie była wściekła za to określenie. Poza tym nie chciała, żeby Larry zlecał ten wywiad komukolwiek. Przecież wyraźnie miałby ochotę zrobić to sam, mówiła. Schiller przeważył szalę, opowiadając jej o Amerykańskim marzeniu. „Do Schillera kompletnie nie trafia swoisty mistycyzm Hoppera."

–Chciałabyś znów usłyszeć coś takiego? – zapytał. – Widzisz, jest taka część osobowości Gary'ego, przy której mogę się całkiem wyłożyć. Ni cholery nie wiem nic o karmie.

To ją przekonało. A jeśli Stephie zna? przyznała mu rację, znaczy że przekonałby każdego na świecie. Ona się wspaniale

opiera wciskaniu czegokolwiek.

Do Los Angeles przyleciał Barry Golson, żeby omówić druk wywiadu z Gilmore'em w „Playboyu", i Schiller od razu zauważył, że redaktor ma na twarzy wypisane dwadzieścia tysięcy dolarów plus koszty, czyli dokładnie tyle, na ile Schiller sam to wyceniał. Było również sprawą oczywistą, że pojawią się tarcia pomiędzy nim i Golsonem. Golson widział w nim wyłącznie człowieka interesu.

–Będziemy potrzebowali naprawdę dobrego pisarza do opracowania tego wywiadu – rzekł Schiller. Napomknął o Barrym Farrellu. Golson nie okazał, że wie, kim jest Farrell.

–Napisał książkę o Pat Neal, aktorce – powiedział Schiller. Przedstawił też Golsonowi referencje Farrella z tygodnika „Life". Golson chyba się tym nie przejął. Może chciał dać swojego człowieka. Później mogą być kłopoty, pomyślał Schiller i zawarł umowę na sumę dwudziestu dwóch tysięcy.

Schiller nie mógł się powstrzymać przed opowiedzeniem FarrelloWi, że Barry Golson z „Playboya" chyba o nim nie słyszał.

–To zupełnie zrozumiałe, że ja nie słyszałem o Golsonie – odparł Farrell. – Natomiast uważam za szokujący przejaw analfabetyzmu, że Golson nie zareagował na moje nazwisko.

Schiller się uśmiał. Minęło parę tygodni, zanim się zorientował że Farrell wcale nie mówił tego do śmiechu, tylko był wręcZ zaskoczony, że Golson, szef redakcji wywiadów w „Playboyu", nie ma pojęcia, iż parę lat temu Farrell wykonał dla nich bombową robotę z Buckminsterem Fullerem. Barry dotarł w życiu do takiego momentu, kiedy wolał podliczać swoje osiągnięcia zamiast z nich korzystać.

Jednym z powodów, dla których Barry Farrell przyjął ofertę Schillera, była sposobność wyjazdu z Los Angeles. Barry

nieoczekiwanie zwątpił w swój profesjonalizm. Miał ostatnio kłopoty z dotrzymywaniem terminów, żona mu chorowała, wydawca zaś wytoczył proces o odszkodowanie za niedostarczenie tekstu. Ponieważ Farrell był człowiekiem, który własną dobrą reputację uważa za coś oczywistego, jego ostatnie przejścia w Los Angeles wywołały w nim uczucie, że marnuje czas. Właściwie był wdzięczny Schillerowi. Za zaufanie, że sprosta oczekiwaniom.

Barry pisał książkę o Ranczu Mustang w Nevadzie i nagle wydarzyło się tam coś zupełnie niezwykłego. Grupa szemranych typów i kurw, o których pisał, nagle pożarła się między sobą. Zabito człowieka. Ofiarą był argentyński bokser wagi ciężkiej Oscar Bona-vena. Przyjaciel Barry'ego i w zasadzie główny bohater jego książki, Ross Brymer, został aresztowany za ten czyn.

Przez to książkę Farrella całkiem licho wzięło. Nie mógł jej skończyć. Po raz pierwszy odczuł znaczenie słowa „zdruzgotany". Potem Farrar, Strauss Giroux złożyli pozew w Sądzie Federalnym. Propozycja Schillera zwyczajnie dawała możliwość ucieczki. Absorbująca praca z dala od własnych kłopotów była dla Barry'ego czymś w rodzaju darmowych wczasów na Tahiti.

Tamera mieszkała teraz w Salt Lakę ze swoim bratem, Cardellem. ^ stąd, ni zowąd zadzwonił któregoś wieczoru Larry Schiller i Powiedział, że chce z nią porozmawiać. Może nawet zaczęłaby dla niego pracować. Chciałby po prostu przedyskutować pewne możliwości- Czy mogą się spotkać?

Tamera zaproponowała, żeby przyszedł do domu jej brata. Carden był agentem ubezpieczeniowym, starszym od niej o czternaście lat i bardzo się liczyła z jego zdaniem. Wśród znajomych dziennikarz Schiller miał dosyć podejrzaną opinię.

W końcu tylu reporterów stawało na głowie, żeby zdobyć materiał na temat Gilmore'a, a tu przylatuje Schiller z grubym

portfelem, i zamyka sprawę. Wszyscy byli o to wściekli. Jednak zgodziła się na to spotkanie. Uważała się za osobę otwartą. Nawet jeśli ma jakieś uprzedzenia, to wcale nie znaczy, że jej z tym dobrze.

Kiedy Schiller zaczął mówić, Tamera wyzbyła się resztek antypatii Cardell, bystry człowiek interesu, też się wahał. Schiller po prostu usiadł i powiedział:

–Myślę, że powinniście wpierw coś wiedzieć o mnie.

Jego kariera, którą im streścił, wyglądała nieźle. Tamera zauważyła że Cardellowi podoba się skrupulatność, z jaką Schiller przygotowywał kontrakty, żeby coś znaczącego dostało się dzieciom Nicole i spadkobiercom ofiar. Nie wyglądało na to, że chodzi mu tylko o zbijanie forsy.

Kiedy skończył mówić o sobie, zwrócił się do Tamery:

–Nie mam zamiaru wprowadzać cię w błąd i obiecywać, że odegrasz pierwszoplanową rolę przy pisaniu książki albo przy filmie nic z tych rzeczy.

Jednak mogłaby mu bardzo pomóc w inny sposób, a on z kolei może jej mnóstwo zaoferować. Jeżeli nawiążą stałą współpracę, będzie zabierał Tamerę na różne spotkania w charakterze asystentki. Będzie mogła w ten sposób poznać wiele ważnych osobistości z prasy i telewizji, z innej pozycji niż podczas dotychczasowych spotkań i proszonych obiadów. Takie okazje z pewnością były dla niej znakomitą rozrywką, lecz on jej proponuje coś bardziej konkretnego W jej obecności potoczy się otwarta konfrontacja i zapadną istotne decyzje. Będzie mogła z bliska obserwować, jak powstaje opracowanie wielkiego tematu i dzięki temu wiele się nauczy.

Podobała się Schillerowi, chociaż to nie miało znaczenia. nie była ładna, za to atrakcyjna. Miała zbyt nieregularne rysy, by zasługiwać na miano piękności, ale była wysoka, z ładnymi

popielato blond włosami, tryskająca energią. Żywe srebro.Przygryzała język okazując zmieszanie albo – bzyk! – przesuwała dolną szczękę, kiedy czuła się zakłopotana. Schiller wiedział, że

takiej dziewczyny jego oferta to najlepszy wabik. Właśnie takie prostolinijne, lekko wstydliwe młode osóbki z nienasyconą ambicją zawsze dadzą się skusić perspektywą kariery zawodowej.

powiedział, że potrzebuje stałego źródła w jakiejś gazecie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. To będą jego oczy i uszy w obcym mieście. Może opowiedzieć Tamerze, jak mieszkał i pracował przez tydzień czy miesiąc w wielu nieznanych miastach i czasem pod koniec pobytu wiedział więcej niż miejscowi o tym, co dzieje się w danym regionie, czy to w Provo, czy w Tangerze. Nikt nie miał pojęcia, jak on to robi, ale jej może zdradzić, że to proste. Zawsze szukał dojść do lokalnej gazety. Czy Tamera zgadza się być jego wtyczką w „Deseret News"?

Zapewnił ją, że chodzi o taki układ, który gazeta zrozumie i na którym skorzysta. On im będzie dostarczał informacji na temat Gilmore'a. Z kolei Tamera będzie mu przekazywać lokalne nowinki z Salt Lakę, a także z Orem i Provo. Żeby wiedział, co się kroi, jak mawiają miejscowi. Co szykuje gubernator i Prokuratura Generalna. Chce trzymać rękę na pulsie.

Ponieważ wyglądała na zaniepokojoną, jak gdyby wymagał zbyt wiele, wrócił do głównego tematu.

–Tamera – powiedział – nawet jeśli sama nie pijesz, to zobaczysz, jak piją wielcy reporterzy, jak rozpracowują temat i pracują nad wywiadami. Wszystkiego się możesz dowiedzieć.

Nie wspomniał tylko o swoich prywatnych motywach. Musiał zatroszczyć się o Nicole. Przyjdzie dzień, kiedy dziewczyna opuści szpital i Schiller do niej podejdzie. Jeżeli z jakiegoś

powodu ona zobaczy w nim hollywoodzkiego rutyniarza z kontraktem w garści, wtedy dobre układy z Tamera okażą się niezastąpione.

Cardell wyszedł na chwilę z pokoju i Larry przypieczętował układ. Później był z siebie dumny. Zwykłe przeczucie, głos instynktu Podpowiadał mu, że musi istnieć jakaś głębsza przyczyna, dla której Tamera tak się zbliżyła do Nicole. Coś, co obie dziewczyny miały WsPólnego. Kiedy zostali sami, powiedział:

Nicole wpadła w szał. Zastosowali wobec niej terapię ciszy. Nikt nie klął ani się nie złościł, tylko nieruchoma pilnowaczka siedziała na dupie i gapiła się na nią. Nicole wyzywała ją od najgorszych, aż widać było, jak się kurczy ze strachu, bluzgała, że nawet nie umieją się postawić, tylko dają dupy, bezmyślne bydło. Powiedziała, że nie pójdzie na zebranie komitetu. Zaczęli ją nieść. Za chwilę poszła o własnych siłach. Nie chciała narażać się na przymus fizyczny Pewnego wieczoru zorganizowano potańcówkę, i kiedy nie chciała się przyłączyć, podnieśli ją i targali korytarzem. Musiała im powiedzieć, żeby ją puścili. Pójdzie sama. Wtedy zagrano piosenkę szosy. Tak jej się podobała, że nawet zaczęła tańczyć.

To nie do wiary, co się działo podczas tych zebrań! Nicole to nie żaden wybitny umysł, ale porównując się z tymi dupami, które w kółko pieprzyły jakieś brednie, nie wytrzymywała i czasem musiała im coś podpowiedzieć. Rozśmieszało ją, jak w tym stadzie każda stara się zostać owcą numer jeden. Oczywiście owca numer jeden awansuje na pastucha.

Jezu, one robiłyby całe wykresy, jak zostać głupią cipą. Jak tylko ktoś zostawił na stole papierosy, a ktoś inny ukradł parę, zaraz powstawało napięcie. Kto to zrobił? Czy można wam ufać? W takim razie przegłosowały, że nie wolno nosić ze sobą papierosów. Ktoś będzie je każdemu wydzielał. Na przykład można dostawać jednego na godzinę, co godzina.

Nicole wyrobiła w sobie umiejętność, pozwalającą siedzieć na zebraniu i nie słyszeć ani słowa. Musiała. Kiedy brała kąpiel w łazience sterczały trzy dziewczyny i obserwowały ją. Zachodziła pewnie obawa, że Nicole spłynie rurami. Kiedy rozmawiała z Wood-sem, próbowała go zbajerować, mówiąc o różnych wspaniałych rzeczach, które ma zamiar zrobić, jak wyjdzie. Część była prawdziwa, część zmyślona, w każdym razie opowiadała, że wyjedzie z Utah i pójdzie do szkoły. Mówiła, że chce naprawdę zająć się wychowaniem Sunny i Jeremy'ego. Grała tak przekonywająco, że po chwili może niezupełnie chciało jej się żyć, ale nie była już taka pewna, że chce umrzeć. Nie można okazywać entuzjazmu dla tych wszystkich fajnych rzeczy, które się będzie robić po wyjściu i jednocześnie nie zacząć się troszkę zastanawiać. W głębi serca ten entuzjazm nie wydawał się tak całkiem fałszywy.

próbowała przekonać Woodsa, że jest gotowa żyć bez Gary'ego. Za każdym razem, kiedy to mówiła, powtarzała w duchu: wpuszczam faceta w maliny. Jednak świtała jej także myśl: tak trzymaj. Sama też w to uwierzysz.

Regulamin głosił, że nie wolno spać bez koszuli. Nienawidziła tego. Zawsze lubiła spać bez niczego na sobie. Którejś nocy zdjęła koszulę pod kocem. Natychmiast trzy dziewuchy rzuciły się na nią, żeby włożyła ją z powrotem. Przez całą noc siedziały na krześle jakieś dziewczyny i obserwowały Nicole, na zmianę.

Nicole czuła się tak, jak gdyby powoli, pomalutku, ale skutecznie, tłamszono jej duszę. Czasem nachodziło ją to podczas zebrania. Siedziała na podłodze, w rzędzie dziewczyn, słuchając, jak się żrą i wydzierają, opierała głowę o kolana i nie podnosiła jej przez cały czas ani razu; w ogóle nie reagowała na to, co się dzieje. Po prostu siedziała przez całe zebranie z głową na kolanach i płakała. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Zawsze którąś siedziała w ten sposób, nieobecna. Najbardziej popieprzone rządy, jakie w życiu widziała: połowa dzieciaków beczy, druga połowa ustanawia prawa albo wygłasza mowy

pełne bredni. Wiele osób w ogóle nie pamiętało, o czym mówiło na początku. Kłóciły się, kto komu udzielił w ogóle głosu, krzycząc jedna przez drugą. A jak kapowały! Któraś mówiła:

–Wymieniałaś spojrzenia z Billym. Tamta na to:

–Nieprawda.

–Kurwa, właśnie że tak.

Nicole miała ochotę powiedzieć: Cholerne idiotki, nie obchodzi mnie, co która robiła. Jesteście wszystkie tak tępe, że uważacie mnie za nienormalną. Nieważne. Myślcie sobie dalej, że jestem stuknięta, ja taka właśnie chcę być. Nie chcę się zmieniać.

wtedy dotarło do niej, że nigdy już nie usłyszy głosu Gary'ego.

ROZDZIAŁ 17

Jam jest panem tych włości

Gibbs napisał do Gary'ego, że przyjeżdża na rozprawę około dwudziestego grudnia. Sądził, że go zwolnią, i chciał się dowiedzieć, czy ma coś dla Gary'ego zrobić, zanim wyjedzie ze stanu, bo nie ma zamiaru tu tkwić. Zamierza, pisał, pokazać Utah to samo, co Mae West pokazała Tennessee. Wypięła się i wyjechała.

Jedenastego grudnia Duży Jake przyprowadził Gibbsa do biura od frontu, gdzie czekał starszy facet z wąsami. Chodził o lasce i miał ze sobą teczkę. Starszy pan przedstawił się jako Vern Damico, wuj Gary'ego, i powiedział, że Gary prosi go o dostarczenie czegoś w dowód przyjaźni. Następnie otworzył teczkę i wręczył czek wystawiony przez lokalną firmę prawniczą na dwa tysiące dolarów.

Gibbs spytał, czy matka Gary'ego ma zabezpieczenie finansowe, i kiedy pan Damico przytaknął, uścisnęli sobie dłonie. Gibbs przedstawił pana Damico Dużemu Jake'owi, mówiąc, że to jedyny strażnik, którego Gary szanował. Pan Damico odrzekł:

–Tak, Gary dobrze się o panu wyrażał. Potem stwierdził, że ma jeszcze sprawy do załatwienia, życzył wszystkiego dobrego i poszedł. Duży Jake powiedział:

–Powinniśmy go zapytać, czy Gary zaprosi mnie na egzekucję.

paru strażników stało w drzwiach i zielenieli z zazdrości. Gibbs się roześmiał, potem zadzwonił do Salt Lakę, żeby kumpel przyjechał po cZek i zaniósł go do banku. Tego wieczoru Gibbs znów napisał do Gary'ego, podziękował za forsę i napomknął o tym, jaki teraz tłok pod Maksymalnym: w sumie sześciu, w tym Powers. Gary odpisał: Jakbym tam teraz był, to wszyscy

siedzieliby cichutko jak myszki, a Powersa byśmy wyznaczyli do czyszczenia językiem Żupy Piekielnej Siarki." Dalej pisał, że w dalszym ciągu prowadzi głodówkę i nie będzie jadł, „dopóki mi nie pozwolą rozmawiać z moją słodką panią, Nicole. Próbowałem – pisał Gary – utrzymać moje myśli i nastroje na wodzy, ale ostatnio coraz więcej mnie irytuje i gniewa. Nie podoba mi się, że oni tam robią Nicole pranie mózgu."

–Chciałem cię zapytać z czystej ciekawości – powiedział Moody. – Czy cokolwiek skłoni cię do przerwania głodówki prócz telefonu do Nicole?

–Nic – odparł Gary. – I o to chodzi. – Milczał chwilę, żeby podkreślić wagę kolejnego stwierdzenia. – Jestem cholernie, ale to cholernie głodny, bracie – szepnął do słuchawki.

–Podziwiam twoją odwagę – rzekł Moody. Gilmore odparł:

–Po prostu jestem uparty jak cholera.

–Niewielu ludzi – powiedział mu Moody – ma w sobie tyle siły i determinacji.

–Raz spędziłem równo osiemnaście miesięcy w kabarynie – powiedział Gilmore. – Uważani, że tu nie ma nawet porównania.

Ron podejrzewał, że Gary daje pokaz siły. Codziennie z uporem odbywał swoje ćwiczenia i stawał na głowie na krześle dowodząc, że wcale nie cierpi. Jednak nie dość że bardzo wychudł, to ostatnio zaczęło mu szwankować myślenie. Potykał się o słoWa- Zapadły mu się policzki. Po raz pierwszy Ron uświadomił sobie, że on ma sztuczne zęby. Zdaje się, że utrata wagi zmieniła ich ułożenie na dziąsłach, w związku z czym wymawiał słowa powoli i dobitnie, jak gdyby miał w ustach kamyk. Taki orator z zawiązanym językiem.

Wówczas Gary powiedział Vernowi, że zdecydowanie chce, żeby we dwoje z Idą pojechali odwiedzić jego matkę. I zawieźli

jej tysiąc dolarów. Vern zagadnął Schillera, który natychmiast to podchwycił. W wyniku rozmowy z Vernem Bessie może zgodzi się na wywiad.

Wobec tego Moody przygotował papiery. Schiller oświadczył:

–Płacę za bilety lotnicze, telefony i dodam jeszcze tysiąc za jej podpis na upoważnieniu. Jeżeli potrzeba więcej, zadzwońcie.

–Myślę, że potrzeba więcej – powiedział Vern. – No, panie Schiller, przecież chyba może pan dać Gary'ego matce.

I Larry wiedział, że tak zrobi, lecz na początek dobry był tysiąc.

Vern z Idą odlecieli więc z Salt Lakę do Portland, wynajęli małego pinto, odnaleźli przyczepę zaparkowaną przy bulwarze McLaughlina i zapukali do drzwi Bessie.

Z początku wyglądało, że nie wejdą do środka. Stali bez końca na maleńkim ganku i nikt nie odpowiadał. Było zimno i Verna znów rozbolała noga po operacji. Pierwsze słowa Bessie brzmiały:

–Idźcie sobie. Nie mogę was wpuścić. Nie wyglądam odpowiednio.

Musieli mówić dość głośno, żeby ich usłyszała przez drzwi. Wreszcie się przedstawili. Powiedzieli, że przylatują wprost z Provo. Muszę omówić parę spraw. Wiadomości od Gary'ego. Wreszcie Bessie im otworzyła.

Nie widzieli jej od pogrzebu dziadka Browna, prawie osiemnaście lat. Bardzo się zmieniła. Już nie była piękna. Miała wyblakły* niezdrowy wygląd kogoś, kto strasznie cierpi i rzadko wychodzi na powietrze. Ida nie mogła tego przeboleć. Zielone oczy Bessie błyszczały kiedyś jak drogie kamienie. Teraz zaszły jakąś szafirową mgłą.

Dla Idy było jasne, dlaczego Bessie nie chciała ich wpuścić. Ze s\voim artretyzmem nie była w stanie sprzątać. Kiedy mieszkała w provo, czekając aż Frank senior wyjdzie z więzienia, jej mały domek po prostu lśnił. Ida nawet zamierzała trochę go ogarnąć, ale wyraz twarzy Bessie ostrzegał, żeby przypadkiem nic nie ruszała.

Vern zajrzał jednak do szafek i lodówki – okazało się, że Bessie brakuje jedzenia. Wobec tego pojechał do spożywczego i przywiózł zakupy za jakieś pięćdziesiąt dolarów. Po wypakowaniu produktów powiedział Bessie, że ma różne papiery od prawnika, a także tysiąc dolarów od Gary'ego w prezencie. Kiedy zaczęła dziękować, Vern odpowiedział:

–Ja tylko robię za listonosza. Dostarczyłem i już. Dodał, że jest drugi tysiąc, który Bessie może otrzymać, podpisując papiery, podesłane przez Larry'ego Schillera. Bessie popatrzyła na upoważnienie, zastanowiła się i powiedziała:

–Chyba jednak nie zrobię tego od razu.

Vern obiecał Larry'emu, że się postara. Przyjechali znowu następnego dnia i wtedy wrócił do tematu. Czuł, jaka Bessie jest nieufna w interesach. Jak jeleń pod wiatr. Nieważne, czy podchodzisz ze strzelbą, czy z marchewką. Ze zwierzyną nie ma rozmowy.

–Na razie się wstrzymam, Vern – oznajmiła. Nie naciskał zbyt mocno.

–Moim zdaniem – powiedział – powinnaś podpisać. Żeby wszystko poszło jak należy, trzymajmy się razem. Zobaczymy, może coś z tego wyjdzie. Uważam, że Schiller jest porządnym człowiekiem z reputacją.

Bessie powiedziała tylko:

~- Nie, ja poczekam i zobaczę.

Vern nie nalegał. Na Bessie nie było sposobu, żeby zmusić ją do Czegoś wbrew woli. Tak samo jak z Garym.

Kiedy wstali, żeby się pożegnać, Vern wyjął tysiąc dolarów w gotówCe i położył na stole. To był moment najbliższy obecności Gary'ego. Bessie nie wytrzymała i rozpłakała się. Objęły się z Idą i Bessie Powiedziała:

~~~ Pewnie, że mi się to przyda.

Zostawili jej też czerwony szal zrobiony na drutach i puszyste

kaPcie, żeby jej było ciepło w nogi. Jakoś nie mogli podjąć tematu

petycji Bessie do Sądu Najwyższego. Dopiero gdy znaleźli się z powrotem w Provo trzynastego grudnia, Vern usłyszał o decyzji z Waszyngtonu.

Dziesięć dni po zawieszeniu Stanger odebrał telefon z kancelarii Sądu Najwyższego:

–Chcemy pana zawiadomić, że dziś wydana zostanie decyzja, Teraz właśnie trwają przepychania.

I Ron wyobraził sobie dziewięciu sędziów Sądu Najwyższego, rozpychających się łokciami między sobą. Myśl o tym, że Sąd Najwyższy pasjonuje się tym samym, co mieszkańcy Utah, była ekscytująca.

W Prokuraturze Generalnej rozeszła się wiadomość, w kancelarii, że trwa głosowanie, wszyscy pracownicy zgromadzili się więc wokół dużego stołu i słuchali wiadomości z głośnika, gorączkowo sumując głosy w miarę odczytywania decyzji poszczególnych sędziów. Byli tak podekscytowani, że musieli drugi raz podliczyć, by się przekonać, że wygrali pięć do czterech. Bili Evans, Bili Barrett, Mikę Deamer i Earl Dorius nie
~~~

posiadali się z radości. Zniesiono zawieszenie egzekucji. Znowu można.

«DESERET NEWS» Żadnego odkładania – mówi Gilmore

Salt Lakę, 13 grudnia. W poniedziałek Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych uznał, że Gary Mark Gilmore zrzekł się swych praw w sposób przemyślany i inteligentny.

Na wieść o tej decyzji Gilmore zakończył dwudziesto-pięciodniową głodówkę.

Po wejściu na teren więzienia Moody i Stanger zauważyli, że strażnicy w korytarzu od frontu okazują zadowolenie. Dobry humor

promieniował aż do głównej bramy. Wraz z zakończeniem przez Gary'ego głodówki ustała ogromna presja.

Kiedy Ron i Bob go zobaczyli, powiedzieli tylko:

_- Rozumiemy, że sam to przerwałeś.

Kiwnął głową i stwierdził:

–To była moja decyzja.

Sprawiał wrażenie, że panuje nad sytuacją. Byli na tyle ostrożni, by nie wspominać o nie odbytej rozmowie z Nicole. Ponieważ właśnie oni mieli rzecz załatwić, woleli się sami nie wychylać. Poza tym on był w świetnym nastroju w związku z decyzją Sądu Najwyższego.

W zasadzie adwokatom też ulżyło.

W rozmowie o zakończeniu głodówki Stanger powiedział do Schillera:

–Gary postawił na swoim.

Schiller nie mógł się powstrzymać od riposty:

–Na jakim swoim?

–Teraz wszyscy wiedzą, że nie żartował – odparł Stanger.

Schillerowi wydało się to trochę naciągane. W gruncie rzeczy nic z tego nie wyszło. Gilmore spodziewał się mnóstwo osiągnąć swoją głodówką, nic nie wskórał i miał na tyle wyczucia opinii publicznej, że zaczął jeść w dniu, kiedy uwagę pochłaniała większa sensacja.

Schiller cieszył się z innej sprawy: otóż Gary poinformował Stangera, że odpowie na drugi pisemny zestaw pytań i zgadza się zapoznać z nowymi pytaniami, które przygotował Larry.

Jednak drugi zestaw odpowiedzi przyniósł rozczarowanie. Jak gdyby w miarę trwania głodówki Gary odstawiał coraz większego cwaniaka. Bardzo dużo pytań pominął. Przede wszystkim te najciekawsze.

DlaCZEGO PRZYWŁASZCZYŁEŚ SOBIE RÓŻNE RZECZY PŁACENIA (PIWO, BROŃ, WPADKA w GRAND CENT-

ITD.)?

zawsze miałem czas stać w kolejce do kasy.

CZY CHCIAŁBYŚ SIĘ DOWIEDZIEĆ, CO DZIAŁO SIĘ W TWOJEJ PODŚWIADOMOŚCI, KIEDY ZABIJAŁEŚ?

Pewnie nie miałbym nic przeciwko temu, gdybym rzeczywiście mógł poznać prawdę.

Nie chcę, żeby mi to wyjaśniał jakiś zidiociały konował na podstawie swoich gównianych domysłów.

O CO SIĘ KŁÓCILIŚCIE Z NICOLE? OPOWIEDZ O RÓŻNYCH AWANTURACH.

Ją o to pytaj.

CO I DLACZEGO WYDARZYŁO SIĘ 13 LIPCA, ŻE NICOLE CIĘ OPUŚCIŁA? SKOMENTUJ. Ją o to pytaj.

CZY PRZED ZABÓJSTWAMI W PROVO PRÓBOWAŁEŚ KIEDYŚ ODEBRAĆ SOBIE ŻYCIE? JEŚLI TAK, CZY ŻAŁUJESZ, ŻE CI SIĘ NIE UDAŁO I DLACZEGO?

OPOWIEDZ O WSZYSTKIM, CO DZIAŁO SIĘ W MOTELU, KIEDY BYŁEŚ TAM Z APRIL.

DLACZEGO ZATRZYMAŁEŚ SIĘ PRZY STACJI BENZYNOWEJ I CO SIĘ TAM WYDARZYŁO? O CZYM ROZMAWIALIŚCIE Z APRIL PRZED DOTARCIEM DO STACJI?

DLACZEGO KRADŁEŚ, ZANIM ZABIŁEŚ – DLACZEGO NIE WYŁĄCZNIE KRAŚĆ ALBO WYŁĄCZNIE ZABIJAĆ?

Chyba z przyzwyczajenia.

Taki mam styl życia.

Wszyscy mamy swoje nawyki.

Ktoś inny z innego środowiska mógłby postępować inaczej.

To dobre pytanie. Ważne pytanie. Mogłem równie dobrze zabijać – ale jestem złodziejem. Mam wiele rabunków na koncie, Wracałem do starych nawyków – może to miało dla mnie jakiś sens.

Mam nadzieję, że odpowiedziałem.

A teraz, Larry, mam do ciebie pytanie i byłbym wdzięczny za szczerą, szybką odpowiedź. Czytałeś listy, które pisałem do Nicole?» "

Powiedz mi., \.„ ^,

Schiller wystraszył się. Będzie musiał szybko zadziałać, żeby zdobyć upoważnienie od Verna i adwokatów na sprzedaż listów za granicę. jeżeli będzie dalej zwlekał, Gary może rozgrzebać sprawę tych listów.

Schiller zapomniał na chwilę o kłopocie i wrócił do następnego zestawu pytań. Gary odpowiadał na nie w dniu, kiedy zaczął jeść, i na szczęście jego odpowiedzi były lepsze.

NAPRAWDĘ CHCIAŁEŚ ZACZĄĆ «NOWE ŻYCIE» PO WYJŚCIU NA TO ZWOLNIENIE WARUNKOWE? CZY MOŻE UWAŻASZ, ŻE WSZYSTKO ZACZĘŁO SIĘ WALIĆ, WIĘC ZAPRZESTAŁEŚ STARAŃ? I TAK WSZYSTKO HUJ TRAFIŁ, TO CO SIĘ BĘDZIESZ…

No właśnie, co się będę…! Szkoda, że nie możemy pogadać, Schiller. Nie lubię pisać. To nie to samo, co rozmowa. Wymiana zdań jest bardziej spontaniczna, wtedy odpowiedzi są lepsze. Bardzo mi zależy, żebyś mnie dobrze zrozumiał.

Z twoich pytań wynika, że tak naprawdę nie wiesz, co ci chcę powiedzieć. Masz odchyłkę koło 35 stopni. Ten sposób porozumiewania się to kompletny syf.

CO SĄDZISZ O POBYCIE W WIĘZIENIU?

Można by śmiało skasować wiele więzień.

Są gówno warte. Nie odstraszają od przestępczości, tylko ją rozwijają.

A teraz jestem więźniem swego ciała.

W pułapce samego siebie.›

To gorsze niż siedzieć w pudle!,

KIEDYKOLWIEK MYŚLAŁEŚ O ŚMIERCI, ZANIM ZApadł

NA CIEBIE TEN WYROK? to dużo. Dogłębnie. Bardzo dużo. O tak.

JAK POZNAŁEŚ NICOLE? JAK ZACZĘLIŚCIE SIĘ SPOTyKAć?

Dla nas obojga to było coś takiego, jakbyśmy odnaleźli zagubioną część siebie, której nam od dawna brakowało. Nie umiem tego udowodnić, ale to wiem.

Jeszcze coś, jak chcesz wiedzieć! Byłem już kiedyś sławny – nie w złym sensie jak teraz, tylko sławny, a także bogaty. Może dlatego to wszystko nie tak znów wiele dla mnie znaczy. To wszystko się wydarza bo tak miało być. Wewnątrz – w tym zaciszu, skąd płyną rady -. wiedziałem o tym zawsze. Żadne zaskoczenie. Nie ma o czym mówić

TO PYTANIE MOŻE CI SIĘ WYDAĆ NIEDORZECZNE, GŁUPIO PSYCHOANALITYCZNE, ALE CO SĄDZISZ O SWOJEJ MATCE I JEJ ROLI W TWOIM DZIECIŃSTWIE?

Kocham matkę. Ona jest wspaniałą, silną kobietą. Zawsze była konsekwentna w swojej miłości do mnie. Z matką zawsze miałem dobre układy. Oprócz relacji matka-syn byliśmy także przyjaciółmi. Jest dobrą matką, wywodzi się z mormońskich pionierów. Dobra kobieta. Co sądzisz o swojej matce?

CZY OGÓLNIE ZALEŻY CI NA OPINII INNYCH OSÓB? Tak. Każdemu zależy.

Tak, rzeczywiście mu zależy, pomyślał Schiller. To daje jeszcze jeden powód, dlaczego listy powinny zostać sprzedane i wydrukowane Opinia publiczna przestanie być całkowicie wroga wobec Gilmore'a

W dowód przyjaźni czy też na znak zainteresowania przedstawieniem się od lepszej strony Gary przesłał również swój wiersz sprzed paru lat. Schiller nie bardzo wiedział, co o tym sądzić, ale pomyślał może dać parę wersów do „Time'a" albo „Newsweeka", jeśli im bardzo zależało.

PAN NA WŁOŚCIACH introspekcja G ar y'ego Gilmore'a

Gdy z mojej duszy zakamarków Owiało mnie wezwanie wiatru Wiedziałem czas wyruszyć w głąb

A.

We wnętrzu potoczyłem wzrokiem –

Stąd się wyklułem tu mój dom

Wierne odbicie mnie lustrzane *,

Gdzie każda rysa fałda załamanie

Każda powierzchnia Każda chropowatość

Barw znaczenia odcienie Każde brzmienie

Duma Nienawiść Pycha

Lenistwo Daremność Szaleństwo Żądza Zawiść Łaknienie

Niewiedza czarna i zielona

Na każdym kroku siebie rozpoznaję

Z palącą świadomością staję

Oko w oko ze sobą nie zrobię uniku

Runąłem więc na oślep dalej

Czując obecność tylko siebie

Wyrwał się krzyk czerwony Ale się udało

go stłumić i okiełznać nieco jego siłę

Zamierał echem we krwi ociężałej

Beznadzieją opadał…

Czułem i słyszałem łopotanie skrzydeł

Zupełnie niepodobne do żadnego ptaka

Patrzę wyżej na siebie kształt pokrętny czarny

Zbrązowiały skrzywiony złością unoszony

skrzydłem szarego nietoperza – wyrastał

wprost z moich ramion…

Przedziwnie jedno się nie zmienia

Brak tu pogardą zagrożenia

I tylko wszystko tak jak jest

Obnażone do samej kości

To ja wzniosłem ten dom Ja sam

Jam jest panem tych włości

CZĘŚĆ CZWARTA

OKRES PRZEDŚWIĄTECZNY

ROZDZIAŁ 18

Dni pokutne

Jeden z ławników w procesie Gary'ego napisał list do gazety „Provo Herald". Skoro Sąd Najwyższy Utah nie dopatrzył się błędu w procedurze, pisał, dlaczego sprawa Gilmore'a znalazła się w Sądzie Najwyższym?

Sędzia Bullock rozmyślał o tym ławniku. Na podstawie tonu, w jakim utrzymany był list, Bullock odniósł wrażenie, że niektórzy ławnicy zastanawiają się, czy aby należycie spełnili swoje zadanie. Składano przecież tyle apelacji. Sędzia pomyślał: Poproszę ławników, żeby się znów zebrali. Może się niepotrzebnie narzucam, ale chcę wyjaśnić, na czym polegają procedury prawne.

Polecił kanceliście nawiązać kontakt z poszczególnymi osobami. Ale chciał, żeby ławnicy pomyśleli, że sędzia J. Robert Bullock wywiera na nich nacisk, dlatego wysłannik oznajmił im tylko, że sędzia chętnie spotka się z nimi całkiem nieoficjalnie i wyjaśni wszelkie wątpliwości natury prawnej. Wszyscy przyjęli zaproszenie. Przybyli w komplecie.

SPotkał się z nimi wieczorem, w opustoszałym gmachu sądu. Posadził ich na ławie przysięgłych. Sam usiadł naprzeciwko, po czym dał im prawo do apelacji i opowiedział, jak taki proces mógłby wyglądać. Jeszcze tylko kilka lat i w łaściwie byłoby czymś niezwykłym, rozstrzygnięcie nastąpiło w krótszym czasie. Podkreślił, że

ludzie mają prawo zwracać się do sądu, żeby walczyć o sprawiedliwość zgodnie z własnymi przekonaniami, zaznaczył

jednak, że prawo dotyczące kary śmierci nie zostało definitywnie ustalone. Od roku 1967 nie dokonano żadnej egzekucji, a więc zwłoka w wykonywaniu wyroków jest jak najbardziej wskazana. Chciał po prostu, żeby ławnicy zrozumieli, że swoje zadanie wykonali bez zarzutu.

Tu ich właśnie bolało. Sędzia Bullock tłumaczył, że wydanego przez nich werdyktu w żadnym razie nie można podważyć.

–To ja – oświadczył – mogłem popełnić błędy w interpretacji prawa, ale państwo się nie mylą. Państwo spełnili swój obowiązek.

Czuł, że jego słowa im pomogły. Teraz będą mieli lepsze samopoczucie w związku z tym wszystkim.

Powtórzył też, że sprawa może się ciągnąć przez parę lat, i dodał:

–Tak się to odbywa, nie zwalczajmy systemu.

Nie spodziewał się, że wkrótce po tym spotkaniu Sąd Najwyższy cofnie zawieszenie. W konsekwencji wyznaczono termin doprowadzenia Gilmore'a przed jego sąd, w celu potwierdzenia wyroku, na piętnastego grudnia. Sędzia Bullock znów zaczął się

zamartwiać.

Znał sędziów, którzy prędzej odebraliby sobie życie, niż wydali wyrok śmierci. Sędzia Bullock nie uważał się za kontestatora głoszącego sprzeciw sumienia, lecz kara śmierci mu się nie

podobała.

Przed sprawą Gilmore'a nie prowadził nawet procesu, gdzie taki wyrok mógłby zapaść. Miał do czynienia z różnymi morderstwami drugiego stopnia – od pięciu lat do dożywocia –

lecz nigd) z pierwszym stopniem. Sprawa okazała się trudniejsza, niż przypuszczał. Ława przysięgłych orzekła winę Gilmore'a, do sędziego należało zatem tylko ogłoszenie wyroku. Jednak w ten październikowy dzień sędzia Bullock drżał z wewnętrznej udręki. Miał nadzieję, że na zewnątrz udało mu się zachować godność i opanowanie. W duszy bardziej to przeżywał, niż mógł się kiedykolwiek spodziewać.

Teraz musi skazać go ponownie. To będzie ten sam wyrok, tylko pod inną datą. Trzeba wypowiedzieć te słowa jeszcze raz. Znowu zacznie się rozdarcie i ściskanie w dołku – wyczerpanie emocjonalne z powodu kilku słów. Do tego cały ten nacisk opinii publicznej. żeja facet chce umrzeć, to niech wreszcie umrze.

Nie, powiedział Bullock do siebie, nie będę się spieszył. Należy przestrzegać trybu postępowania. Ci, którzy chcą złożyć apelację, muszą mieć czas na wszczęcie odpowiednich kroków.

Dlatego kiedy usłyszał, że Moody i Stanger, według zaleceń Gilmore'a, wystąpią o jak najwcześniejszy termin, nie czuł się usposobiony pozytywnie do tego pomysłu.

Podczas marszu przez korytarz sądowy widać było, że Gilmore przybywa z nadzieją. Oko Schillera dostrzegło, że nie jest już wcale słaby jak podczas głodówki. Minęły dopiero dwa dni, odkąd przerwał, a trzymał się świetnie. Kroczył miarowo; nawet skuty łańcuchami potrafił stawiać rytmiczne małe kroki, nieco szybsze i bardziej eleganckie od ciężkiego stąpania towarzyszących mu strażników. W jego ruchach było coś ujmującego, tak jakby wsłuchiwał się w wewnętrzny puls.

Oczywiście Schiller znał powody. Tego ranka Gary spodziewał się rozmowy z Nicole. Bob Moody naopowiadał swemu klientowi, co dziś wykręci w gmachu sądu. Razem ze Stangerem zamierzali wprowadzić klienta na puste pokoje Bullocka i stamtąd, z telefonu sędziego, zadzwonić do szpitala i poprosić Sundberga. Wtedy Ken odda słuchawkę Nicole.

Doprowadzenie do tej rozmowy stało się dla Boba Moody'ego obowiązkiem do spełnienia. Gilmore'a pierwszy raz zobaczył przed salą, w której toczył się proces o zabójstwo Bushnella. Bob widział, jak Nicole biegła w objęcia Gary'ego, i jakaś niezwykła gwałtowność tej demonstracji uczuć spowodowała, że Moody pomyślał: ta dziewczyna Jest niesamowicie zakochana.

Moody'emu dość często zdarzało się widywać sceny, gdzie przy

. wProwadzaniu młodego kryminalisty z gmachu sądu – zwłaszcza gdy więzień był przystojnym mężczyzną i nosił zabójcze wąsy – Podbiegała dziewczyna, żeby go ucałować. Rzeczywiście te pocałunki

trwały dość długo. Jednak pocałunek Gilmore'a z tą dziewczyną był

chyba najdłuższy i najbardziej szalony z tego, co Bob widział. To wykraczało poza granice konwencji. Zawsze zastanawiali go ludzie zdolni do tak silnych uczuć.

Moody wprawdzie zajmował wysoką pozycję w Kościele, lecz uważał się raczej za liberała. Na przykład czasem lubił roztrząsać problemy w rodzaju: dlaczego ładne dziewczyny tak często ciągnie do przestępców? Wiedział, że własne doświadczenia nie dostarczą ^ odpowiedzi. Miał się za jednego z tych solidnych facetów, dla których życiowy problem to kwestia: czy zostać dentystą, prawnikiem, czy założyć przedsiębiorstwo. No i miał żonę, pięcioro dzieci, a to składało się na inny rodzaj obcowania niż to, co oglądał w korytarzu sądu.

Wspomnienie pierwszego zetknięcia z Gilmore'em dodawało jednak pewnego zabarwienia opowieściom Gary'ego o Nicole Wzbudzało w Moodym odrobinę sympatii dla życzenia, które innym mogło wydawać się absurdalne: żeby za wszelką cenę

dotrzeć do tej dziewczyny. Dlatego uciekał się do środków dość niezwykłych

Jednak tym razem w sądzie wprowadzono ich do pokoju telefonu. Cały plan zwyczajnie poległ. Gary musiał stanąć przed sądem rozsadzany wewnętrzną frustracją. Schiller widział, że nawet zewnętrznie był napięty. Zaczął strzelać oczami na wszystkie strony, niby jakiś gad. Wyglądał tak, jakby szukał miejsca, w które "° uderzyć.

Gary szepnął:

–Sędzia wygląda jak Phil Silvers.

–Jak kto? – odszepnął Moody.

–Sierżant Bilko.

Coś w tym było. Takie same rogowe okulary, łysina, trochę obły nos, taki sam półprzyjemny wyraz twarzy. Jednak jeżeli Gary Patrzy na sędziego z pogardą, znaczy uważa, że umoczył.

Głos zabrał Wooton. Stwierdził, że zasadę „trzydzieści na sześćdziesiąt" można zastosować począwszy od dnia dzisiejszego, czyli piętnastego grudnia, przez co najwcześniejsza data egzekucji wypada piętnastego stycznia. To niezdrowo, w sensie prawnym, przeprowadzać egzekucję na łapu-capu. Bullock kiwał głową.

Schiller zauważył, że Gary ostentacyjnie daje do zrozumienia, iż \vszyscy na tej sali to głupi motłoch. Oczywiście nie omieszkał wykorzystać okazji do zakomunikowania, że strach wszystkich obleciał, dlatego nie pozwalają mu umrzeć. Jedyne, co robią, to się opieprzają. Powiedział „opieprzają" w sposób wulgarny. Po sali przebiegł szmer.

Bullock zignorował tę uwagę. Jak można skazać człowieka za obrazę sądu, kiedy i tak czeka go egzekucja?

–O ile to nie są jakieś żarty – powiedział Gilmore – spodziewam się… – I dalej rozwodził się o tym, że oczekuje wykonania wyroku w ciągu paru dni. – Ja naprawdę chcę zakończyć życie – oświadczył. – Wymiar sprawiedliwości mógłby przynajmniej to wziąć pod uwagę.

Bullock ustalił datę na siedemnastego stycznia.

–Nie jesteśmy tu po to – rzekł – żeby dostosowywać się do pana.

Po rozprawie Gilmore spotkał w korytarzu Wootona. Skorzystał z okazji, żeby powiedzieć:

–Chuj ci w dupę, skurwysynu jebany. Wooton nie odpowiedział.

Dzielił ich miesiąc od egzekucji i Schiller miał dość czasu, by sPrzedać listy. Dlatego po rozprawie zaprosił Verna wraz z Bobem do restauracji. Nalegał, żeby wybrali dobry lokal. Ponieważ

w okolicy Orem i Provo nic się nie nadawało, znaleźli się w końcu

w dużej gospodzie bawarskiej na podgórzu koło Salt Lakę City.

Musieli czekać, aż zwolni się stolik w zacisznym kącie, podczas gdy

zgromadzeni tłumnie ludzie interesu perorowali na całe gardło.

Schiller jednak chciał rozmawiać w odpowiedniej scenerii

Ponieważ sądził, że propozycję trudniej będzie Moody'emu niż Stangerowi, posadził sobie Rona po prawej, Boba^ naprzeciwko. W ten sposób mógł patrzeć wprost w oczy Boba podczas wstępnej zagrywki. Przy jedzeniu wszystko im wyłożył, bez ogródek Powiedział, że chce sprzedać część listów do

Europy, żeby je opublikowano na krótko przed egzekucją, ale potrafi tak zamaskować samą transakcję, że nigdy nie będzie wiadomo, kto dokonał sprzedaży W końcu listy były drukowane w „Deseret News". Musi krążyć już przynajmniej jeden zestaw kserokopii.

Powiedział, że nie ma co udawać, niepokoi się o reakcję Gary'ego Zapewnił ich, że jeśli Gary się dowie, będzie chryja. Lecz publikacja wcale Gary'emu nie zaszkodzi. W swoich listach jest sympatyczniejszy, niż kiedy sam się przedstawia. Poza tym sfera jego prywatności dawno została naruszona. Fragmenty, które Tamera cytowała w „Deseret News", przedrukowywała prasa niemal na całym świecie. Schiller powtórzył to, co im mówił na początku: będzie mnóstwo spraw, które mogą im się nie spodobać, ale on zawsze wyłoży kawę na ławę. Nie zrobi niczego za ich plecami.

Rozgorzała dyskusja. Schiller wyczuwał, że adwokaci są zaskoczeni jego szczerością. Tak jak się spodziewał, Moody był raczej przeciwny pomysłowi i rozważali ze Stangerem, jaki będzie publiczny skutek, kiedy wszystko się wyda. W żadnym wypadku nie chcieli być przyrównani do Boaza. Schiller powtarzał, że jeśli nie opublikują posiadanych listów, zagraniczne gazety zdobędą je z innych źródeł. Ktoś na Garym Gilmore zarobi.

Schiller widział, że Vern jest w rozterce. Oceniał, że Vern podświadomie chce tych pieniędzy, bo nie powiedział: „Muszę omówić to z Garym." Jednak przejął się. Milczał, zamknięty w sobie. Nie powodowała nim wrogość, tylko troska. Schiller mimo wszystko uznał, że Vern skusi się na te pieniądze.

Wreszcie Larry przekonał ich, mówiąc:

–Mogłem sfinalizować sprzedaż w Niemczech albo Japonii i nawet byście się nie dowiedzieli. Nikt nie wskazałby na mnie jako na autora tej transakcji.

To była bardzo subtelna groźba. Wiedzieli przecież, że on ma sześć kompletów kopii. Jaką mogli mieć pewność, że nie zrobił siódmego

^statecznie nie dali mu konkretnego przyzwolenia, ale od tego momentu miał wolną rękę.

po obiedzie, kiedy Ron spotkał się ponownie z Garym w więzieniu, rozmowa była drętwa. Gorzej niż w przypływach wściekłości podczas głodówki. Gary był tak zacięty, lodowato nienawistny, jakim go Jeszcze Ron nie oglądał. Pałał gniewem, aż raziło w oczy. O rany, ale się zawziął. Złe w niego wstąpiło.

Podczas jazdy z powrotem Ron próbował żartować.

_ Jezu, to było jak na filmie grozy – powiedział do Moddy'ego – Prawie że widziałem, jak mu kły rosną.

«DESERET NEWS» Gilmore znów próbuje samobójstwa

Salt Lakę, 16 grudnia. Skazany za morderstwo Gary Mark Gilmore nie odzyskał dotąd przytomności w Uniwersyteckim Centrum Medycznym po kolejnej próbie samobójczej.

Gilmore, zawiedziony w swych staraniach o szybką egzekucję, znajduje się w stanie krytycznym.

Rano o godz. 8.15 znaleziono go nieprzytomnego ' w celi i przewieziono do szpitala o godz. 10.20…

Za drugim razem Gilmore rzeczywiście próbował serio. Taka była opinia doktora Christensena. Gilmore zażył luminal w ilości 16,2 mg na sto. Każda dawka powyżej dziesięciu miligramów okazywała się zabójcza dla ponad połowy przypadków. Gilmore wziął dawkę z Pewnością śmiertelną.

Kiedy z tego wyszedł tym razem, nie był już wulgarny. Jedna pielęgniarka zauważyła nawet: "~~ Ojej, on jest nawet dość miły.

Rzeczywiście, był wręcz potulny. Zupełnie inaczej niż wtedy, ale to zuPełnie.

Stanger przyjechał do szpitala natychmiast po usłyszeniu wiadomości i był świadkiem niezręcznej sytuacji. Dawny kolega, który z Ronem miał biuro w Spanish Fork, okulista nazwiskiem Ken Dutsol umierał właśnie w tej samej sali reanimacyjnej, gdzie robiono zabieg Gary'emu. Stanger prawie zderzył się z żoną i rodziną Dutsona. Byli naprawdę przybici. Gdy tylko przywieziono Gary'ego, obsługa szpitala na nim skoncentrowała swoje wysiłki. Stanger wiedział, że na pewno temu biedakowi Dutsonowi już nic nie pomoże, ale trudno oczekiwać, by rodzina się ucieszyła, kiedy przywożą mordercę i nagle cały personel biegnie go ratować.

Gilmore wyzdrowiał w szaleńczym wręcz tempie. Był istotnie na krawędzi śmierci, jak mówili Stangerowi lekarze, ale jego organizm nauczył się szybko wydalać substancje toksyczne. Zakrawało na żart że trzymano go w szpitalu tylko jeden dzień, a następnie czym prędzej przewieziono z powrotem pod Nadzór Maksymalny, jakby w obawie, że się wymknie i zacznie grasować po ulicach. Wyglądał, rzecz jasna okropnie. Kiedy Stanger przyjechał zobaczyć się z nim już w wiezieniu, Gary wciąż był tak struty luminalem, że nie mógł usiedzieć na stołku. Chwiał się na wszystkie strony. Bełkotał z wielkim trudem, Mówił coś i tak się przechylił, że zleciał na podłogę.

–Potłukłeś się? – spytał Vern.

–Nic mi nie jest.

–Na pewno?

–Nic mi nie jest, nawet jak mi coś jest – odrzekł Gary.

Schiller przysłał parę pilnych pytań.

CZY PO PRÓBIE SAMOBÓJSTWA WIDZIAŁEŚ, JAK TO WYGLĄDA PO TAMTEJ STRONIE?

Nie umiem ci dokładnie powiedzieć, czy było jasno jak o brzasku, w słońcu, ani że to był prześwit w ciemności, ale było jasno. Czułem, że rozmawiam z ludźmi, spotykam ich. Z takim wspomnieniem wróciłeM.

CO SIĘ STANIE, JEŚLI SPOTKASZ PO TAMTEJ STRONIE BUSHNELLA I JENSENA?

Kto wie, czy spotkam? Może swoją śmiercią spłaca się cały dług. A* oni mają pewne prawa, tak samo jak ja, mają też przywileje, tak jak i ja mam przywileje. Zastanawiam się, czy oni mają większe prawo coś uczynić niż ja teraz. To interesująca kwestia.

Druga próba samobójcza zaniepokoiła Boba Hansena. Również parl zaczął się obawiać o zdrowie psychiczne Gilmore'a. Oskarżycielom stanowym było absolutnie nie na rękę, by opinia publiczna uważała, że stracili szaleńca. Wobec tego Hansen, Sam Smith i Earl Dorius odbyli kilka rozmów, którego psychiatrę zaangażować. Z początku mieli pomysł wezwania doktora Jerry'ego Westa, który zdobył rozgłos w procesie Patty Hearst. West był zdecydowanym przeciwnikiem kary śmierci. Hansen sądził, że jeśli uda im się uzyskać jego opinię, że Gary jest zdrów, kwestia zostanie rozstrzygnięta ponad wszelką wątpliwość. Earl jednak uważał, że to ryzykowne i może odbić się ujemnie. Postawił sobie za cel przekonanie Hansena. Niech więzienny psychiatra Van Austen wyda orzeczenie, mówił. Procedura zostanie wyczerpana. Przecież opinia publiczna może być niezadowolona bez względu na fakty.

Zwrócili się więc do Vana Austena. Jego oświadczenie głosiło, że Gary jest zdrów. Przynajmniej parę tygodni będzie spokój. Dorius miał nadzieję miło spędzić święta Bożego Narodzenia.

Po drugiej próbie samobójczej Schiller pomyślał, że Gary jest bardzo niecierpliwy. Wcale nie chce umrzeć z powodu reinkarnacji, tylko na złość. Usiłował się zabić, żeby pokazać światu, że Gary Gilmore decyduje. Dlatego Schiller stracił dla niego resztki szacunku. To idiotyzm zabijać się, żeby dopierdolić sędziemu. Dziecinna mściwość. Może przez to właśnie Gary nie potrafił ułożyć sobie życia.

Schiller coraz więcej rozmyślał o April. Cały czas miał przeczucie, że noc, którą Gilmore spędził z April, stanowi klucz do wszystkiego. GarY w każdym razie nie chciał w ogóle mówić na jej temat. Puste kartki z pytaniami intrygowały Larry'ego. Próbował już przedtem mówić Kathryne Baker, żeby pozwoliła mu się spotkać ze swoją córką, lecz teraz zadziałał bardziej zdecydowanie. W rozmowie

z Philem Christensenem posunął się do stwierdzenia, że spotkanie z młodą osobą jest nieodzowne. '

Kathryne obawiała się, że April może przyświrować, jeśli się do\vie że rozmawia z reporterem. Wierzyła, zdaje się, w jakąś zwariowaną moc dziennikarzy. Dlatego trzeba było długo nalegać, aż wreszcie Kathryne wyraziła zgodę, gdy Phil zaproponował zabranie April ze szpitala na świąteczne zakupy.

Larry czekał w samochodzie, kiedy ze szpitala wyszedł Phil z tą miłą dziewczynką. Schiller otworzył jej drzwi, usiadła na tylnym siedzeniu, a Schiller koło niej. Dzień był ładny, słoneczny, wcale nie zimno i dziewczyna miała na sobie tylko bluzkę, spódnicę i żakiecik; włosy związała z tyłu w koński ogon. Schiller natychmiast zauważył, że nie patrzy w oczy. Po tym jak przedstawił się imieniem Larry -uzgodnili wcześniej z Christensenem, że nazwisko Schiller mogła znać z telewizji – odpowiedziała „jestem April" i Schiller zażartował:

–Znam dziewczynę, co nazywa się Tuesday*. Tuesday Weld.

Prawie żadnej reakcji. Usiadła i siedziała; ładniejsza, niż przypuszczał, nastoletnia dziewczynka trochę przy kości. Nie wyglądała na osobę trzymaną w zakładzie dla umysłowo chorych. Może i dawali jej środki uspokajające, ale z pewnością niezbyt silne.

Podczas rozmowy o zakupach w Pasażu Uniwersyteckim April oświadczyła:

–Mam zamiar kupić prezent dla Niuni.

Powiedziała to w taki sposób, że Schillera coś tknęło: tak chyba nazywano w domu Nicole. Fajne przezwisko dla dziewczyny, która zawiera pakty samobójcze.

Kiedy Christensen wręczył April sto dolarów na prezenty dla wszystkich, powiedziała, że nigdy jeszcze nie miała tylu pieniędzy na wydatki. Po chwili stwierdziła, że kupi Niuni zegarek timex.

Schiller rychło miał dosyć zimowego słońca, górskiego powietrza, sklepów i świątecznego wystroju. To nie dla niego. Uśmiechnął się więc do April i powiedział:

–Mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy. Wybierz ładne prezenty W tym momencie spojrzała mu w oczy i bardzo miło się uśmiechnęła

* Tuesday – wtorek. (Przyp. tłum.)

odchodził prawie pewien, że będzie mógł przeprowadzić z nią wywiad. Cieszył się. Pomijając Verna, Brendę i Sterlinga, to był jego pierwszy kontakt z kimś, kto dobrze znał Gilmore'a przed morderstwami.

Brenda przyjechała zobaczyć Gary'ego, ale nie wpuścili jej za bramę, dopiero parę dni później więzienie wyraziło zgodę na widzenie przez szybę. Trzymał słuchawki przy obojgu uszach,

żeby móc jednocześnie rozmawiać i z nią, i z Vernem. Brenda weszła ostro:

–Gary, ty głupi dupku, wszystko musisz spartolić. Jak nie umiesz się do tego zabrać, to daj sobie spokój.

–Starałem się, Brenda – odpowiedział. – Szczerze próbowałem. Ciągle znajdują mnie za wcześnie.

–Dlaczego nie użyjesz broni, zasrańcu? – Skrzywiła się i dodała: – Nie, lepiej nie. Przecież ty nie wiesz, gdzie się naciska.

–No – odrzekł. – Jeszcze mnie boli ta łapa.

Pożegnali się, tak jak ostatnim razem, dotykając dłońmi szyby.

W niedzielę rano zjawiła się w domu Brendy dziewczyna z tygodnika „People", z fotografem. Wpuścił ich jej synek, Tony. Brenda brała akurat prysznic i wyszła w samym szlafroczku. Miał głęboki dekolt, użyła więc myjki, żeby jakoś zasłonić wycięcie. Zobaczyła się w lustrze. Jak wściekła papuga. Ta reporterka, Sheryl McCall, cały czas traj-kotała, że chce zrobić artykuł o Cristie. Sheryl dowiedziała się, że Cristie dostanie przysadkę mózgową Gary'ego.

Brenda powiedziała:

–Wynoście się. Żadnych publikacji o tym, bo dobiorę wam się do dupy.

Fotograf, którym był, jak się okazało, John Telford, przekładał i Przytrzymywał aparaty dyndające mu na szyi. Brenda myślała, że chodzi mu o to, żeby się nie poobijały, ale później odkryła, że robił zdjęcia. Uchwycił ten okropny szlafroczek z każdej strony. W „People" Publikowali jej zdjęcie. Była jedną z „ośmiu sponiewieranych kobiet ^"u Gary'ego". Oślizły i szmatławy tekst. Brenda została określona barmanką. Kiedy dowiedziała się, że Toni zamknęła

drzwi zewnętrzne, McCall i Telford zaś otworzyli je i weszli, skontaktowała się z adwokatem i zaskarżyła tygodnik „People".

Przy tym Brendzie nawalało zdrowie. Do tego stopnia, że już nie mogła znieść bólu. Miewała ataki, przez które często nie chodziła do roboty. Po prostu praca kelnerki była zbyt wyczerpująca. Wobec tego poszła na badanie, gdzie zrobili jej analizy i prześwietlenie.

Lekarze wyjaśnili, o co chodzi. Co miesiąc macica pozbywa się wewnętrznej wyściółki, ale w jej przypadku ta wyściółka narasta na zewnątrz ścianek. Tam przyrasta do jelit, gdzie pęka i krwawi. Coś jak rak, tyle że to nie rakotwórcze. W każdym razie przyczepiło się jej do kiszek. Kiedy następuje zniszczenie miesiączkowe, wyjaśniali, wtedy zrywa tę wyściółkę. Bardzo boleśnie. Nie sądzą, by udało się to opanować bez operacji. Tymczasem krwawiła nieźle. Dali jej tabletki przeciwbólowe, jednak wciąż czuła, że ją rozrywa od środka. Wybrała się parę razy do więzienia, ale przez to siedzenie i czekanie ból stawał się wręcz nieznośny. Wreszcie, kiedy nie dawali jej żadnych widoków na wejście, przestała przyjeżdżać. Nawet chodzenie sprawiało jej ból Czasem rwało ją przy zwykłym wstawaniu. Dopiero co Vern miał operację, to teraz ona leży i kwiczy, a w środku aż ją skręca.

O drugiej próbie Gary'ego Nicole dowiedziała się od Sundberga. To ją przygnębiło. Nie rozumiała, jak mógł próbować odejść nie oglądając się na nią. Tak jakby mówił: „Muszę zadbać o siebie."

Mimo wszystko czuła zakłopotanie, że znów mu nie wyszło. Powinien się lepiej postarać.

Zupełnie ją zdumiało, kiedy ją mianowali wiceprzewodniczącą części żeńskiej. Znowu wybierali samorząd. Nicole nie mogła uwierzyć, jakte idiotki wybrano razem z nią. Oczywiście nie było w czym wybierać, tylko piętnaście dziewczyn na oddziale, w tym pięć tak szurniętych, że April przy nich wydawała się wzorem

logiki. Nicole była prawdopodobnie jedną z kilku osób, które potrafiły dodać na przykład pięć do ośmiu. Ale ona wcale nie starała się o nominację. Przeważnie nie odzywała się do nikogo i odpuszczała wszystkie zebrania. Kiedy pytali ją o zdanie, mówiła: „hmm". Po prostu „hmm". Może mówiła to w sposób,który zwrócił ich uwagę, niby najwspanialsze i najładniej pachnące

ROZDZIAŁ 19

Adwent

Czegoś podobnego nikt się nie spodziewał. Po prostu nie do wiary. Bob Moody odebrał telefon od kolegi Gary'ego, Gibbsa, który powiedział, że jest policyjnym informatorem i za parę dni będzie zeznawał na rozprawie. Jako kumpel Gary'ego z celi w areszcie okręgowym ma niezłą historię do sprzedania, oświadczył Moody'emu. Chce dostać dziesięć kawałków i załapać się na występ w programie Johnny'ego Carsona. Moody natychmiast zawiadomił Verna o tej rozmowie i parę godzin później, podczas wizyty w więzieniu, Vern przekazał to Gary'emu. Nie było odpowiedzi, Vern wyjaśnił więc raz jeszcze, co Gibbs powiedział Moody'emu.

Gary tak mocno ściągnął usta,* że wyglądał jakby wyjął swoją szczękę.

~~ Przykro mi, Gary – powiedział Vern. – Jak wiesz, wypłaciłem mu już te dwa tysiące.

~~; Znasz faceta – rzekł Gary. – Ja mu zaufałem. Niewielu ludziom na świecie się ufa.

~- Chciałbym go spotkać – oznajmił Vern. – Przestawiłbym mu facJatę.

~~ No cóż – odrzekł Gary – nie martw się, Vern. Ty nie możesz

nic Poradzić, ale ja mogę – tu kiwnął głową. – Zajmę się nim tu,z

tego miejsca.

Na pewno mówi serio, pomyślał Vern. Tak, powiedział do siebie. Jeśli Gibbs nie wyniesie się z miasta, to już się nim zajmą.

\

Tego ranka Schiller i Barry Farrell pracowali wspólnie w Los Angeles, kiedy zadzwonił Moody z wiadomością. Powiedział, że Gibbs chętnie porozmawia z Schillerem o interesach. O Larrym pisano w „Helter Skelter", toteż Gibbs pomyślał, że Schiller może zechce kupić opowieści o Garym z bliska; rzeczy, o których nikt nie ma pojęcia. Schiller zwyczajnie się zaniepokoił, usiadł przy telefonie i zadzwonił do Gibbsa, żeby wysłuchać powtórki wszystkiego, co ten mówił Moody'emu. Następnie Gibbs poprosił, żeby Schiller nie wyjawiał Gary'emu tych poufnych informacji. Odkładając słuchawkę Schiller powiedział do Farrella:

–Bez sensu. Czy on sądzi, że Moody będzie to ukrywał przed swoim klientem?

Farrell, świeżo po przeczytaniu listów Gilmore'a pełnych pochwał pod adresem kumpla z celi, powiedział:

–Ten Gibbs to wyjątkowo podła kreatura.

Schiller postanowił już, że się dowie, czy Gibbs naprawdę wie coś, co mogłoby zagrozić jego prawom na wyłączność, i jeśli okaże się, że tak, wtedy podpisze z nim umowę za jak najniższą cenę. Ponieważ razem z Barrym lecieli po południu do Provo, gdzie mieli uzbroić Moody'ego i Stangera w nowe pytania, względnie łatwym zadaniem było przepytanie przy okazji Gibbsa. To miała być w zasadzie ich pierwsza wspólna robota w Utah. Pewien chrzest w ich stosunkach

–Wypada nam – powiedział Farrell – wycisnąć teraz Gibbsa jak ścierkę.

W samolocie do Salt Lakę przejrzeli pytania przygotowane pRzez Barry'ego. W ostatnim tygodniu Farrell przyswoił, co się dało: list)'' taśmy, każdą żółtą kartkę z odpowiedziami na pytania i dopiero skrupulatnie ułożył nowy zestaw. Schiller

przeczytał to teraz z uwagą. omówili każde pytanie z osobna i zmienili ich liczbę.

W Salt Lakę wynajęli samochód, zajechali do Provo i załatwili pokoje w TraveLodge. Schiller zabrał Barry'ego na spotkanie z Moodym i Stangerem. Dłuższą chwilę przekonywał prawników żeby nie mówili Gilmore'owi o Farrellu.

_- Jeżeli Gary się dowie o nowym człowieku wprowadzonymw sprawę, będzie musiał się uczyć zaufania do nowej osoby –

tłumaczył. \Właściwie po aferze z Gibbsem kogo on zaakceptuje?

potem Schiller próbował jak najdelikatniej skrytykować wywiady robione przez prawników i przekonać ich, że odtąd każde podejście będzie zaplanowane przez niego i Farrella.

_- Tutaj – pokazał im – jest nasz pierwszy wywiad z prawdziwego zdarzenia.

Odczytał pytania i zaznaczył, jak można je rozwinąć. Robił, co mógł, byleby ich odpowiednio nastawić. Zapowiadało się obiecująco. Z pewnością akceptowali Farrella w roli dziennikarza – jak zwykle Barry robił dobre wrażenie – i Schiller czuł, że dzisiaj bardziej koncentrują uwagę. Całkiem prawdopodobne, pomyślał, że oni też się niepokoją o Gibbsa. No bo jeśli się wreszcie nie wykażą, opowieść Gibbsa może zacząć wyglądać coraz atrakcyjniej.

Po południu Moody ze Stangerem pojechali do więzienia i nagrali taśmę z Garym. Rozmowa ciągnęła się godzinami i wrócili dopiero po północy. Nazajutrz, kiedy Schiller tego wysłuchał, ogarnęło go podniecenie. Gary dużo mówił o swoim dzieciństwie i o poprawczaku, o więzieniu, morderstwach. Ponieważ od drugiej próby samobójczej minęły zaledwie cztery dni, jego odpowiedzi robiły wrażenie. Jak gdyby Gilmore również przejmował się Gibbsem i postanowił opowiedzieć

własną wersję. Schiller był zachwycony. Farrell to opracuje i będą mieli co najmniej dobry początek dla „Playboya".

Spotkanie z Gibbsem załatwił Moody przez śledczego nazwiskiem "alterman, który okazał się potężnym blondynem w okularach, * brązowym skórzanym płaszczu, taki typ uśmiechniętego misia, Pomyślał Schiller, tyle że to raczej groźny miś. Halterman udostępnił im Pokój przesłuchań w komendzie policji w Orem: klitkę z paroma Krzesłami i biurkiem.

Siedział tam Gibbs, paląc jednego za drugim. Na pierwszy rzut oka wyglądał Schillerowi na małego, oślizłego, szczurowatego kryminalistę. Czerwone złe oczka. Miał zaczątki łysiny, bródkę, trochę mikry wąsik. Popsute zęby. Blady jak zjawa. Taki, co to cichcem sprzeda ci kosę. Farrellowi jeszcze mniej się spodobał Siedział tam jak wyleniała łasica. Na tym człowieku widniało piętno więzienia.

Zaraz po dokonaniu prezentacji Schiller wyjął karton papierosów Yiceroy Super Long i wręczył Gibbsowi. Ten poczuł Sie nieswojo. Poprzedniego dnia, przez telefon, Schiller rozmawiał tak jakby w ogóle o nim nie słyszał. A tu zna nawet jego nawyki. Gibbs pomyślał, że to na pewno Gary poinformował Schillera o jego osobistych upodobaniach. Poza tym ten facet i jego współpracownik Farrell mieli w sobie coś, co wprawiało Gibbsa w zakłopotanie. Nie wyglądali na bogatych scenarzystów czy filmowców z Los Angeles. Nosili wytarte kurtki i spodnie robocze; raczej sprawiali wrażenie zatrzymanych za włóczęgostwo. Gibbs czuł, że rozpływa się wielka forsa. Gorzej. Czuł również niepokój, więc zaraz po przywitaniu spytał, czy Schiller wyjawił treść ich rozmowy Gary'emu.

–Przyznaję się – rzekł Schiller. – Chyba że zrobiłem błąd. Nie zrozumiałem, że mam mu nie mówić, i powiedziałem.

–Dałeś mi słowo – stwierdził Gibbs.

–Przepraszam – odrzekł Schiller. – Pomyliło mi się.

–Co mówił Gary? – spytał Gibbs.

Ten drugi gość, Farrell, pokręcił głową i powiedział: – Oj, Dick*. Gary był taki zawiedziony.

Pomijając wszystko inne, Gibbs nienawidził zdrobnienia Dick. Na imię mu Richard. Spojrzał na Haltermana; Kenowi zebrało się na pawia. Dał Gibbsowi znak i wyszli z pokoju.

–To podpucha stara jak świat – stwierdził Halterman. – Oj Dick – powtórzył przedrzeźniając Farrella. – Gary był taki zawiedziony." – Tu zaklął. – Powinieneś był powiedzieć: „A co mnie to obchodzi? To tylko zwykły bandyta."

Ale nie zaprzeczył, że jednak warto dyskutować o interesach z typami z Los Angeles.

* Dick znaczy również „fiut". (Przyp. tłum.)

Gibbs kompletnie się załamał. Po pierwsze, czuł się nieswojo, do tego nie był przyzwyczajony. A tu jeszcze ten Schiller zaczął go

„rąbiąc-

_ Słuchaj – mówił mu w zaufaniu – Gary był absolutnie wściekłY ale sądzę, że uda mi się go uspokoić. Widzisz, ja mu mogę powiedzieć, że ty jesteś gotów z nami pracować.

Gibbs nie wierzył w ani jedno słowo, ale też nie śmiał zaprzeczyć. Dlatego kiedy Schiller wyjął z kieszeni magnetofon Sony, Gibbs zgodził się na wywiad. Mimo wszystko trudno było orzec, skąd się wziął ten Schiller. A z kolei Farrell gapił się jak na raroga.

Kiedy Schiller spytał, czy Gibbs podpisze kontrakt na swoją wersję, ten odpowiedział pytaniem:

–Ile?

Wiedział już, że nie ma co liczyć na te dziesięć kawałków, ale wciąż miał nadzieję wystąpić u Carsona. Niech cała Ameryka zobaczy jego twarz, będzie potem bardziej twarzowy, cha, cha. W każdym razie uważał, że Johnny Carson ma refleks. Trafiłby swój na swego. Jeden drugiego chwytałby w lot.

Jednak Schiller wyraźnie cierpiał na myśl o wyłożeniu pieniędzy.

–Chcesz sprzedawać informacje teraz, jak Gary dał ci czek na dwa tysiące, czyli czwartą pod względem wielkości sumę wręczoną komukolwiek, nie wyłączając matki? – zapytał.

–Gary dał mi tę forsę z przyjaźni. Schiller spojrzał mu w oczy i rzekł:

–Kiedy powiedziałem Gary'emu o naszej rozmowie, chciał wstrzymać płatność tego czeku.

~- Nie wierzę – odparł Gibbs. – Zresztą i tak jest dawno Zmieniony na gotówkę.

Kilkadni wcześniej Gibbs otrzymał list od Gary'ego z wiadomością, że Powers rozpowiada, jakoby Gibbs był informatorem policji.

GarY pisał, że Powers jest wrednym sukinsynem, skoro rozpuszcza takie plotki. A teraz masz. Z Schillera jest chyba najbardziej nieczuły osobnik na świecie. Że też miał czelność powiedzieć:

~~ Gary źle się o tobie wyraża. Na twoim miejscu bałbym się zostawać w Salt Lakę.

Takie pierdoły to zwykłe sranie w banię. Gibbs najlepiej wiedział że Gary nie ma kontaktów w Salt Lakę. Jednak Gibbs

poczuł przypływ słabości. Nie wiedział, czy to ze strachu, czy z okropnego uczucia, że Gary wie; w każdym razie nie mogło być gorzej.

–Od kiedy pracujesz dla policji? – spytał Schiller.

–Już dwanaście lat jestem tajniakiem – odrzekł Gibbs. – Teraz po raz pierwszy musiałem się ujawnić.

–Pewnie cię to przeraża – powiedział Schiller.

–Nie tak bardzo – odparł Gibbs. – Znam swoją robotę Wczoraj w sądzie zeznawałem przeciw chyba najniebezpieczniejszemu elementowi kryminalnemu w stanie Utah. – Zaciągnął się Yiceroyem Super Long. – Jak wczoraj stawałem na podium dla świadków, nie pytali, czy ten facet to informator, czy płatny kapuś, tylko czy to godny zaufania agent kontrwywiadu. Gdyby chcieli, podałbym im nazwiska agentów FBI, dla których pracowałem, pokazał bilety lotnicze, które od nich dostawałem, kwity. Halterman może poświadczyć. Ja mam pamięć fotograficzną. Posiedzę dzień przy tym magnetofonie i usłyszycie wszystko na temat Gary'ego

–Czy umieścili cię z Garym dla jakiejś konkretnej przyczyny? – spytał Schiller.

–Nie – odpowiedział Gibbs. – On nie wiedział nic, co by ich interesowało. To ze względu na moje osobiste bezpieczeństwo. Nie podobał mi się pomysł przebywania w głównym pudle. Niektórzy z tych ludzi, przeciwko którym miałem zeznawać, mogli mieć tam akurat kumpli.

–Nadawałeś coś Haltermanowi o Garym? – zapytał Barry Farrell.

–Haltermanowi powiedziałem jedno: „Zobaczysz. Jak wlepię Gilmore'owi czapę, to będą musieli go stracić."

–Co by było, gdyby ci kazali na niego kapować? – cisnął Farrell.

–Nie sądzę, bym się zgodził – odparł Gibbs. – Polubiłem faceta.

Bez chwili namysłu Farrell spytał: • – Gary ma dużego?

–Nie wiem – odrzekł Gibbs. – Nigdy się nie przyglądałem.

–Tak pytam, z ciekawości – wyjaśnił Farrell, uważnie $ obserwując.

–Nigdy nie zwróciłem uwagi – powtórzył Gibbs.

_- Czy Gary przespał się z April? – spytał Schiller. __ Gary nie jest żadnym gwałcicielem – stwierdził Gibbs. – Gdyby to zrobił, znaczy, że mnie nabrał lepiej niż ja

jego-

Ze względu na fakt, że Gary zna teraz charakter jego pracy, Gibbs był taki nerwowy i rozstrojony, że podał w końcu Schillerowi i Farrellowi listę instytucji, z którymi współpracował w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Co tam, kurczę, mogliby to samo przeczytać w sądowym stenogramie.

Gibbs pracował – jak stwierdził – dla Komendy Policji Salt Lakę City, dla Biura Szeryfa Okręgu Salt Lakę, FBI, Departamentu Skarbu, Wydziału Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej, Oddziałów Specjalnych Regent Eight, Policji Uniwersytetu Utah oraz Wydziału Narkotyków.

–Byłem łajdakiem działającym na rzecz prawa – oświadczył. – Zresztą to mało powiedziane.

–I co teraz zrobisz? – spytał Schiller.

–No więc – odparł Gibbs – jutro Halterman jedzie do Komisji Ułaskawień, żeby mnie zwolnili. Dadzą mi nowe papiery, nowe

nazwisko i pozwolenie na broń. Chodzi o to, że muszę ujść z życiem. Mogą strzelić mi w plecy. – Dłoń trzymająca Papierosa Yiceroy Super Long nie drżała mu za bardzo, dodał Jednak: – Dobra, powiem wam. Przez dwanaście lat pracy tajniaka nie bałem się tak jak teraz. Wczoraj Halterman musiał dla mnie opróżnić salę sądową, do tego stopnia zacząłem się obawiać.

Halterman to dobry przyjaciel? – zapytał Farrell. Powiedziałbym, że nie warto z nim zaczynać – zachichotał. – Ken lubi opowiadać, że kiepski z niego strzelec, bo kiedyś

mógł trafić mego kumpla w serce, ale spudłował i trafił między oczy. chce się załapać do plutonu egzekucyjnego Gilmore'a. –

zachichotał.

–Po cholerę tracimy czas na tego donosiciela? – spytał zwracając się do Schillera. – Mierzi mnie samo przebywanie z nim w jednym pokoju. – Znienacka wstał i wyszedł.

Ostro się targują, żeby jak najmniej zapłacić, pomyślał Gibbs

W korytarzu stał akurat Halterman. Farrell go przygwoździł:

–Słyszałem właśnie, jak pan trafił faceta między oczy. Zaskoczyło to Haltermana całkowicie.

–Cha, cha! – roześmiał się, szukając odpowiedzi.

–Czy już zgłosił się pan do plutonu egzekucyjnego Gilmore'a? – wypytywał go Barry.

–Byłbym dumny, gdyby mnie przyjęli. Gilmore jest maniakalnym mordercą.

–Wie pan co? – ciągnął Barry. – Przy strzale do Gary'ego nie wolno panu spudłować! Oczy Gilmore'a, jego nerki, wątroba i różne inne cenne narządy mają przypaść ludziom w potrzebie. Jak pan będzie strzelał, to w serce.

Halterman popatrzył na niego, jakby nie był pewien, czy ten Farrell to wariat, czy sędzia.

–Pan sobie zapamięta – oświadczył. – Ja nie pudłuję, ja trafiam tam, gdzie celowałem. Tego kumpla Gibbsa chciałem trafić w oko i trafiłem. Zanim się w ogóle włoży policyjny mundur, trzeba wiedzieć, czy człowiek jest zdolny zabić drugiego człowieka.

Gibbs zdawał sobie sprawę, że zbyt swobodnie rozmawia z Schillerem. Niby dawał mu pewną próbkę, ale w gruncie rzeczy wszystko wypaplał. Takie dostarczanie informacji łagodziło nieco jego strach. – Próbując podwyższyć stawkę oświadczył:

–Gilmore mówił mi o rzeczach, których w życiu nikomu nie zdradził.

–Gary mówił nam już o wszystkim, co tu opowiedziałeś – odpar' Schiller.

Sranie w banię, pomyślał Gibbs. Ale wiedział, że spieprzył sprawę, Kiedy wreszcie padła oferta, to na dwie stówy, nie więcej. ^ upoważnienie, a nie wyłączne prawa.

Schiller był zadowolony. Gibbs rozwinął każdy temat

listów Gary'ego. Mówił o tym ciapowatym klawiszu Luisie,– o kubku na nitce, co się przepaliła, i o Gibbsa nieliczeniu się z pieniędzmi. Naprawa sztucznej szczęki, postrzyżyny, smarowanie po ścianach i malunki na twarzy – wszystko to Gibbs opowiedział jeszcze raz. Poza tym nie stanowił zagrożenia. Rzeczywiście niewiele wiedział o Nicole. Drobna dygresja od głównego wątku.

Natomiast Schiller wiele zyskał. Słowa Gary'ego: „Larry, czytałeś liisty, które pisałem do Nicole? Powiedz mi", wciąż wibrowały mu w głowie. Potrzebował sposobu na zadanie Gary'emu pytań nawiązujących do jego listów, potrzebował

także sposobu, by ukryć, skąd zdobył informacje. Opowieści Gibbsa załatwiają sprawę.

Może i szło mu aż za dobrze. Schiller sięgnął do kieszeni po formularze i powiedział:

–Dwa egzemplarze, jeden dla ciebie, kopia dla mnie. Gibbs przyjrzał mu się z obrzydliwym uśmieszkiem.

–Chyba za dużo masz forsy, bo rozrzucasz po podłodze – stwierdził.

i

Schiller się schylił. Wszędzie walały się zielone papierki.

–O psiakrew – zaklął – to ja jestem taki bogaty? Klucz z TraveLodge też leżał na podłodze.

–To mieszkacie z Barrym w TraveLodge? – zapytał Gibbs. Farrell w tym momencie kiwnął głową, a Schiller pokręcił przecząco. Gibbs zauważył:

~- Jeden przytakuje, drugi mówi nie.

Schiller wyjaśnił:

~~ Nie spytałeś, czy się zameldowałem w TraveLodge, tylko czy tam mieszkam – roześmiał się głośno. – Dobra, poradzę ci, jakie Prawa ci przysługują.

Gibbs posłał mu spojrzenie i zmienił temat.

Zanim dojechali z powrotem do motelu, Farrell zorientował się, że Schiller bierze Gibbsa poważnie. Pewnie, że Gibbs mówił coś o swoich

powiązaniach z najgroźniejszym gangiem w Salt Lakę Sity, lecz Farrell uważał, że te powiązania są mniej więcej takie same, jak

jego dojśCie do programu Johnny'ego Carsona. W każdym razie zaraz po zapar kowaniu przy TraveLodge Larry podszedł do dziewczyny w recepcji i oświadczył:

–Daj mi dwie puste karty meldunkowe i dwa wolne pokoje dobra?

Podczas gdy kobieta stała i nie wiedziała, co robić, Schiller wypełnił karty na wolne pokoje, wstawił wczorajszą datę, bo wtedy z Farrellem przyjechali, następnie podarł aktualne karty, Barry'ego i swoją.

–Tego nie uczą w szkole hotelarskiej, co? – zwrócił się do dziewczyny Farrell. Ubawiło go to całe rejestrowanie, lecz jednocześnie myślał: a może nie doceniam tego, co się wydarzyło?

Schiller natomiast uważał, że Gibbs ma prawo go nienawidzić. Bo niby dlaczego nie? Wobec tego niewykluczone, że Gibbsowi zechce się go namierzyć. Zaświtało to Schillerowi przy wyjściu z komendy policji w Orem. Nie dość, że ma do czynienia z niebezpiecznymi typami, to jeszcze się tak odsłania. Miał goryla nazwiskiem Harve Rodetz, którego czasem wynajmował w Los Angeles. Rodetz pracował jako szofer w firmie wynajmującej limuzyny cadillac, ale dorabiał przy specjalnych okazjach. Chronił Schillera podczas zamieszek w Watts i kiedy w jego domu wybuchła bomba po artykule o Susan Atkins. Schiller zapragnął obecności Harve'a w pobliżu Przecież mieszka w tym motelu na parterze. Każdy może wejść tymi drzwiami, wypalić z magnum przez okno, uciec samochodem Jednak jeszcze raz przeanalizował problem. W nocy nie należało zmieniać pokojów. O tej godzinie to zwróciłoby powszechną uwagę. każdy obserwator zauważyłby przenoszenie bagażu. Prościej było zamienić karty meldunkowe. W ten sposób, jeżeli Gibbs namówi jakiegoś gliniarza na telefon w celu sprawdzenia numerów, rejestracja wprowadzi go w błąd.

W trakcie tej akcji Schiller widział, że Barry się cieszy. Może traktuje niebezpieczeństwo z większym fasonem niż ja, pomyślał. W każdym razie postanowił obyć się tymczasem bez Harve Rodetza. Sprawą podstawową był wzajemny szacunek pomiędzy nim i Farrellem.

Rano spotkali się z Gibbsem, żeby mu wręczyć dwieście dolarów za Upoważnienie. Gibbs, który miał tego dnia wyjść, zdawał się spokojniejszy, lecz Schiller był w złym humorze. Podczas jazdy z powrotem do motelu, rozmyślając o swoich problemach, dochodach i potencjalnych środkach wyrazu, Larry poczuł narastające zmęczenie. Odczuwał też głód samotności w towarzystwie Stephie. Ona ciągle miała mu za złe, że nigdy nie spędzili razem Święta Dziękczynienia. Wpadł na pomysł. Może spędzić z nią świąteczny tydzień na Hawajach? Mogliby odwiedzić jego brata. Barry też może trochę zwolnić tempo pod jego nieobecność.

Kiedy oznajmił Moody'emu i Stangerowi, że chce odpocząć przed wielkim wejściem w styczniu, Stanger powiedział:

–Jak ty się wybierasz na Hawaje, to może my byśmy też się załapali na jakiś urlop? Gdzie nasze bilety na samolot? Żartował, ale przegiął pałę. Schiller nie wytrzymał:

–Nie ma chap chap. Na Hawaje jadę sam. Jak chcecie gdzieś jechać, to na własny koszt.

Nazajutrz pierwszy zadzwonił „Time". W dalszym ciągu mieli zamiar przeznaczyć na Gilmore'a ładnych parę stron, ale wyraźnie wahali się przy sumie dwudziestu pięciu tysięcy dolarów do zapłacenia. Dają cztery strony plus okładka i ani grosza. W zeszłym tygodniu kierownictwo podjęło decyzję programową: należy przeciwdziałać dziennikarstwu książeczki czekowej. Nowa moda, pomyślał nieszczęśliwy Schiller. Miną dwa miesiące, znowu im się odmieni i zaczną kupować, ale póki co,jest skazany na „Enquirera", co oznacza mniejsze wpływy z transakCJi zagranicznych. W każdym razie zaraz po świętach

wyśle Stephie, jej matkę i swoją matkę do Europy, niech sprzedadzą listy. Jedyne osoby, którym mógł zaufać w takiej sprawie.

Ostatniego dnia przed wyjazdem Schiller skrzyknął w Los Angeles

ekipę maszynistek do przepisywania listów Gary'ego do Nicole.

Ogromna praca. Tysiąc pięćset stron pismem odręcznym. Inaczej

Jednak nie można przygotować sprzedaży za granicę. Zagraniczni

^aktorzy nie potrafią zabrać się do czytania po angielsku nawet

Maszynopisu, jeśli nie zapalą przedtem papierosa. Na pewno nie

Chciałoby im się przeglądać setek stron pisanych ręcznie.

Chciał także ofiarować coś Gary'emu przed wyjazdem, ale właściwie nie wiedział, czy mu wysłać prezent gwiazdkowy. Wyjeżdża, co jest niewybaczalne, więc może nie pora na szpanowanie kosztownymi podarunkami. Postanowił wysłać telegram. Piętnaście lat temu, kiedy robił dla „Paris Matcha" samobójstwo Hemingwaya w Ketchum, stan Idaho, zdjęcia opatrzył podpisem. Napisał, że Hemingway wyszedł naprzeciw największej przygodzie swego życia, czyli śmierci. W „Paris Matchu" zrobili z tego tytuł dla całego reportażu z pogrzebu. Schiller wymyślił, że teraz użyje czegoś w tym stylu dla Gilmore'a. Niech ten człowiek o nim pamięta po wyjeździe. Szczypta mistycyzmu.

DROGI GARY

Z KAŻDĄ MINUTĄ STAJEMY SIĘ SOBIE BLIŻSI I WIEM, ŻE MIELIŚMY RACJĘ PRZYJMUJĄC TO WYZWANIE STOP JESTEM CAŁKOWICIE PRZEKONANY, ŻE W MIARĘ ZAGŁĘBIANIA SIĘ W TWOJE ŻYCIE JEGO ZNACZENIE STAJE SIĘ DLA MNIE CORAZ BARDZIEJ JASNE STOP JEST TO DLA MNIE PRZYGODA, ZA KTÓRĄ NIE MÓGŁBYM SIĘ ODPŁACIĆ, DOPÓKI SAM JEJ NIE PRZEŻYJĘ STOP ŻYCZĘ CI WESOŁYCH ŚWIĄT I OBYŚMY SIĘ JESZCZE ZOBACZYLI

LARRY

' W niecałą godzinę przed odlotem zadzwonił Bili Moyers. Zaczynał serię programów telewizyjnych pod nazwą Reportaże CBS. Pierwszy program miał dotyczyć Gilmore'a. Kiedy Bili usłyszał, że Schiller wybiera się na Hawaje, powiedział nawet:

–Odwiedzimy pana. Schiller odrzekł:

–Co pan, panie Moyers, nie mam zamiaru pozować do zdjęć na plaży, uprawiając dziennikarstwo książeczki czekowej brzuchem do góry na słoneczku. Ja sam się w ten sposób nie widzę ani nie chcę się w ten sposób prezentować.

Moyers zaczął się śmiać:

–Ostry z pana zawodnik, prawda?

Schiller dowiedział się, że program ma pójść tuż przed egzekucją Gary'ego. Oświadczył Moyersowi, że chętnie spotka się z nim w Provo. po Nowym Roku i być może nawiążą współpracę pod pewnymi warunkami. W ten sposób informował Moyersa, że wie, co tu jest grane. Wreszcie nao Hawaje!

ROZDZIAŁ 20

Boże Narodzenie

Rano w środę, dwudziestego drugiego grudnia, Ken Halterman stanął przed Komisją Ułaskawień. Zaświadczył, iż Richard Gibbs występował jako świadek w dwóch procesach o ciężkie przestępstwa; pierwszy toczył się w Provo przeciw Jimowi Rossowi, drugi w Richfield, stan Utah, przeciwko Tedowi Burrowi. Świadectwo Gibbsa dopomogło w skazaniu członków jednego z największych gangów złodziejskich notowanych w stanie Utah. Halterman stwierdził, że proceder ten przynosił milion dolarów rocznie, a obracano skradzionymi pojazdami, łodziami, przyczepami campingowymi i gospodarczymi.

Gibbs wyszedł z aresztu w Orem koło jedenastej, zawieziono go do Wydziału Policji Uniwersytetu Utah, gdzie dostał dokumenty na nazwisko Lance LeBaron, następnie odebrał czterysta dolarów, które wypłacała mu policja Salt Lakę i stamtąd udał się do banku inkasować dwa tysiące dolarów od Gary 'ego.

Nazajutrz rano Gibbs dostał tablice rejestracyjne do świeżo kupionego, dużego oldsa 98, rocznik 1970,. biało-niebieskiego, następnie do fryzjera, ostrzygł się, zgolił brodę i wąsy, po czym wyruszył do miejscowości Helena w Montanie. Nawet chodziło mu po głowie,

walić dalej, do Kanady.

Gibbs wyruszył koło południa, przed czwartą zatrzymał się w Pocą-tello, zatankował do pełna i pojechał dalej do Idaho Falls, gdzie zaparkował przed motelem Ponderosa. W barze poderwał dziewczynę i poszedł z nią do łóżka. Nic wielkiego. Ale z drugiej strony, nic go to nie kosztowało.

Rano pojechał odwiedzić babkę i ciotkę, które mieszkały w Idaho Falls i jedna miała osiemdziesiąt dziewięć lat, a druga sześćdziesiąt pięć. Jego babcia skończy dziewięćdziesiąt lat siedemnastego stycznia, w nowym terminie egzekucji Gary'ego i przyszła mu na myśl „psychiczna siła, Gibas", niedobre skojarzenie.

Spędził z dwiema paniami kilka godzin, zostawił im banknot pięćdziesięciodolarowy na święta, potem pojechał coś zjeść i ruszył w dalszą drogę. Po paru godzinach jazdy zostawił samochód do nawoskowania, zmiany oleju, sprawdzenia płynu, kupił nowy filtr i przełożyli mu opony. Trwało to godzinę. Czekając wypił parę głębszych. Wreszcie odjechał z nadzieją dotarcia do Heleny jeszcze tego samego wieczoru.

Około piętnastu mil na północ od Butte jechał w ciemnościach górską drogą, gdy zza zakrętu z dużą prędkością wyjechała ciężarówka z ładunkiem drewnianych bali i wykręcając wtoczyła się na jego pas. Potężne reflektory. Gibbs miał błyskawiczny wybór: rąbnąć w ciężarówkę albo do rowu. Skręcił w prawo i walnął o coś w dole.

Kiedy się ocknął, głowę miał we krwi i pękniętą sztuczną szczękę Z jednej strony twarz rozrywał mu ból. Udało mu się otworzyć drzwi samochodu, ale jak tylko wysiadł, runął nosem w śnieg. W żaden sposób nie mógł ruszyć lewą nogą, musiał czołgać się do skraju szosy. Pierwszy nadjeżdżający kierowca widział go leżącego Przy drodze, ale pojechał dalej. Parę minut później zatrzymał się pickup i Dwaj mężczyźni wtaszczyli go do środka i zawieźli do przydrożnej kafejki pod nazwą Stado Łosi. Stamtąd zadzwonili po pomoc drogową. Barman dał mu wilgotny ręcznik do obtarcia krwi z czoła i Gibbs usiadł na barowym stołku, żeby noga mogła zwisać

swobodnie, podczas gdy jej właściciel strzelił sobie trzy kolejki whisky bez wody.

Przyjechała karetka, nogę zapakowano mu w dmuchany worek, rozciągnięto go na noszach i jazda z powrotem. Musieli przystanąć, bo drogę blokował dźwig wyciągający samochód Gibbsa z rowu. Zdołał unieść się na łokciach i poprosić o zabranie rzeczy z bagażnika, policjant się zgodził. Po tym wszystkim Gibbs zauważył, że ciągle palą mu się przednie światła.

W szpitalu lekarz zszył mu ranę na głowie i rozciął nogawkę, żeby prześwietlić kolano, łydkę, kostkę i stopę. Okazało się, że noga jest w proszku, a szczęka pęknięta. Lekarz mówił też, że ścięgna przy łydce i kostce są tak poszarpane, że prawdopodobnie nogę trzeba będzie amputować. Spuchła w każdym razie jak bania. Stopa była całkiem sina. Reszta fioletowa. Gibbs z miejsca oświadczył:

–Nie dam uciąć nogi. Dajcie mi zastrzyk przeciwbólowy i do widzenia.

Przed wyjściem stamtąd musiał wylegitymować się policjantowi z patrolu. Następnie gliniarz wypisał dwa mandaty: jeden za zbyt szybką jazdę w niesprzyjających warunkach, drugi za brak prawa jazdy. Nie wyrobili mu fałszywego prawka w Salt Lakę przed odjazdem. Wobec tego gliniarz powiedział, że to będzie dwadzieścia dolarów za jeden, piętnaście za drugi mandat. Gotówką. Gibbs podpisał, wypłacił trzydzieści pięć dolarów i poprosił o podwiezienie do jakiegoś przyjemnego motelu. Gliniarz przetransportował go do wozu patrolowego na wózku inwalidzkim i wysadził przy zajeździe %soko Na Milę. Zbliżała się północ. Musieli obudzić kobietę, która Prowadziła ten interes, pomóc mu wejść do środka, żeby się wmel-dował, wreszcie popchać jego wózek do pokoju numer trzy, z bagażami. Zaczął działać ten zastrzyk, co lekarz mu zrobił, ustąpił ból i Gibbs zasnął. Gdy się obudził rano, w dzień Bożego Narodzenia, bolało go nieznośnie.

Zadzwonił do przedsiębiorstwa taksówkowego „Sowa" w Butte i zapytał panią dyspozytorkę, czy taksówka nie mogłaby mu przywieźć worka lodu, sześciu puszek coca-coli, dużej butelki Canadian Club Papierosów. Jak już przyjechała ta flaszka, Gibbs dał radę wyleźć opierając się o krzesło poskakał do łazienki, spojrzał w lustro

na szwy i sine oko, następnie wrócił do łóżka i nalał sobie lufę W ogóle nie pomogło na ból, więc wypił jeszcze parę. Troszkę

pomogło, ale mało. Zupełnie nie tak, jak działa whisky na ból zęba

Wieczorem nie mógł tego dłużej znieść, zadzwonił więc do właścicielki i spytał, czy jej mąż nie zawiózłby go do szpitala. Nie była mężatką, ale dwaj przyjaciele siedzieli u niej na świątecznej kolacji i jej dwaj panowie zawieźli go do Szpitala Katolickiego pod wezwaniem Świętego Jakuba, ponieważ Gibbs prosił o najlepszego lekarza w mieście. Dlatego właśnie tam. Bo facet nazywał się Best*. Doktor Robert Best. Osobisty lekarz Evela Kneivela.

No i Best chciał go przyjąć na oddział, ale Gibbs znowu odmówił. Wyszedł za to z receptą na kodeinę i na doustny varidase, przeciw skrzepom, plus gips.

–Żeby tylko nie wdało się zapalenie żył – powiedział doktor Best. Tak Gibbs spędził Boże Narodzenie.

Po drugiej próbie samobójczej Campbell powiedział do Gilmore'a:

–Słuchaj, jak chcesz pogadać o plutonie egzekucyjnym, to wal śmiało. Gilmore odrzekł:

–Nie, cholera, wcale nie chcemy o tym rozmawiać. Chcemy tylko rozwalić tego zapijaczonego złodzieja, wiesz. Żartowali sobie.

Co pewien czas Gilmore pytał go, co myślą inni więźniowie, lecz Cline nie zdradził mu, że większość ma szczerze dosyć Gary'ego Gilmore'a. Wszystko, co robił, odbijało się na innych więźniach Poza Maksymalnym. Ponieważ przydzielono mu aż trzech strażników-ucierpiał cały rozkład zajęć. Żarcie spóźniło się nie raz, tylko parę razy. Kiedy wykręcał duży numer, jak z próbą samobójczą, zamykano pudło na cztery spusty. Skazani mieli dość tych przepychanek.

Best – najlepszy. (Przyp. tłum.)

Z drugiej strony nigdy nie twierdzili, że Gary jest stuknięty, przesiedział w sumie osiemnaście lat. Każdy podkreślał, że wie, co to

znaczy.

Gary czekający na śmierć, czyli skazany tak jak inni, ale z wyznaczoną datą egzekucji, miał do dyspozycji trzy cele. Apartament. jego własna cela, środkowa, miała trzy zwykłe ściany i dopiero w wejściu kraty. Zresztą zostawiano ją otwartą, dając mu dostęp do korytarzyka przed trzema celami. Zawsze, rzecz jasna, obecny był strażnik. Gary mógł nawet przejść pod bramkę prowadzącą do głównego korytarza, zajrzeć tam i pogadać z którymś więźniem czy strażnikiem, jeśli akurat przechodził.

Czasem późno w nocy odwiedzał go ojciec Meersman. Wtedy Gilmore przynosił sobie stołek albo po prostu siadał na podłodze, plecami do krat, podczas gdy Meersman sadowił się na krześle w głównym korytarzu. Konwersowali przez kraty. Wszystko dookoła pomalowane było jasną, pastelową zielenią.

Natomiast kiedy Gary'ego prowadzono do sali widzeń, na spotkanie z adwokatem albo z wujem, to zawsze głównym korytarzem Maksymalnego, skąd boczne korytarze prowadziły pod kątem prostym do jednopiętrowych więziennych bloków. Na taką okoliczność, aby zapobiec ucieczkom, usuwano z głównego korytarza wszystkich więźniów. Gary mijał zakratowane korytarze do innych bloków. Jeśli więźniowie go zauważyli, wołali:

–Hej, Gary! Trzymaj się!

–Tylko nie pękaj!

Na krótko przed świętami Moody i Stanger zaczęli jeździć do więzienia co rano i jeszcze drugi raz po południu albo wieczorem. Doszło do tego, że musieli przekazać pozostałe sprawy innym ludzio1 z zespołu. Nie przejmowali się tym za bardzo. Zdecydowanie polubili

Gary'ego. Ten wkrótce zlecił im kolejną misję.

W celi śmierci, w bloku sąsiadującym z celą Gary'ego, siedział Morderca zwany Belcherem* i został tak dokładnie opisany Moody`emu i Stangerowi, że mieli jasny obraz. Belcher był zwalistym facetem, miał chyba ponad metr osiemdziesiąt, potężne bary,

krótko przystrzyżone włosy, ciemną cerę, do tego wydatne z nawisem brwi, grube rysy, wielkie łapska, góra mięśni. Gary opowiadał, jak mu głowa chodzi: wciąż rozgląda się podejrzliwy Często milczy i nie odpowiada. Stanger słyszał od strażników, że Belcher ma obsesję i gromadzi w celi różne rzeczy w rodzaju puszek zupy albo innych gratów, które mu pozwalają zatrzymać. Jeden z tych zwariowanych odludków, których mieszkania przypominają skład rupieci. Z pewnością miał silną potrzebę posiadania. Dostawał atakó\v szału, jeśli zabierano mu jego skarby. Człowiek przywiązujący się do miejsca. Z tego, co Ron zaobserwował, mieszkał w swojej celi jak niedźwiedź w gawrze. I nieoczekiwanie dobrze rozumieli się z Garym Z tego, co słyszał Moody, Belcher też lubił dzieci.

Na parę dni przed świętami, zgodnie z propozycją Gary'ego, Bob zlecił swojemu kanceliście zrobienie zdjęcia grupy dzieci, które trzymają duży transparent z napisem „CZEŚĆ, BELCHER!" Gary nie posiadał się z radości, że w Boże Narodzenie poda to zdjęcie.

–Masz – powiedział do Belchera. – Tu widać, jak dzieciaki robią ci owację.

23 grudnia

Och Gary, tak cię kocham

tęsknię za Tobą! Boże jak mi Ciebie brakuje. Bardziej od nieba i ziemi. Bardziej od wolności i moich dzieci.

Dzisiaj adwokaci dali mi list od Ciebie. Ale tamci obrzydliwi Dozorańci bydła, posługacze zabrali zanim zdążyłam przeczytać. Te cwele mnie iskają nawet po odwiedzinach mojej matki z Dziećmi. Pierdolone świry. Kochany, ja tak strasznie chciałam przeczytać

twoje słowa miłości.

Kochany, co się z nami stanie? Boże, co się dzieje? Muszę " zobaczyć. Jak oni mogą pozwolić Ci umierać tak samotnie, najdroższy Tak bym chciała jeszcze chociaż raz spojrzeć w Twoje oczy.

Boże to nienormalne. To kurwa zupełnie nienormalne.

Jestem wściekła na podstępy i zmyłki Życia w Miłości i Mądrości Ostatecznej, wściekła na Boga. Wściekła na siebie, że zabrakło cierpliwości i nierozegrałam sprawy jak należy.

Kiedy stoję ze świeżymi

bułkami.

Uwielbiam jak siada tutaj śliczny biały ptak podczas moich

snów. Pamiętam jak Ci mówiłam albo pisałam o swoim marzeniu

–dzieciństwa, że kończy się to moje życie bez sensu i znowu przychodzę

na świat, ale jeżeli tym razem wybór jest mój, rodzę się na skrzydłach

maleńkiego białego ptaszka. Nadal wybrałabym to samo, gdybym

Długie dni czekania Na Twą miłość znowu Długie noce niespokojne Myśli rozproszone Zastanowienie co się porobiło Ze wszystkich naszych szans

Wigilia, 24 grudnia

Nicole

25 grudnia

to właściwie nie przeraża, tylko strasznie smutno pomyśleć o niepewności przyszłych dni.

Nicole

«DESERET NEWS» Nicole bez wyjścia

Provo, Boże Narodzenie. Nicole Barrett została na czas nieokreślony zatrzymana w Szpitalu Stanu Utah w Provo.

Sędzia Czwartego Okręgu David Sam wydał decyzję, że matka dwojga małych dzieci powinna nadal przebywać w szpitalu psychiatrycznym (…)

Tymczasem w Więzieniu Stanowym na świąteczny obiad podano indyka z tradycyjnymi dodatkami, lecz Gilmore pozostawał w odosobnieniu ze względów dyscyplinarnych.

Nie zezwolono Gilmore'owi na przyjmowanie jakichkolwiek prezentów i ponieważ dziś nie przypadał dzień odwiedzin, Gilmore nie miał żadnych gości, jak oświadczył rzecznik więzienia.

Żona Sterlinga Bakera, Ruth Ann, napisała list.

Drogi Gary!

Myślałam o Tobie i o tym, że będziesz samotny w święta. Szkoda, że nie mogę być tam z Tobą. Naprawdę bardzo Cię lubię. Mam nadzieję, że spotkamy się w innym świecie i lepiej się poznamy. Ale proszę, nie przyspieszaj tego. Nie chcę, żebyś umarł.

Rodzina Damico zwykle wyprawiała wielkie świąteczne przyjęcie Jednego roku spotykali się w domu Brendy, następnego roku u Toni potem u Idy. Tym razem, bez większych powodów do radości' spotkali się u Toni, wymienili prezenty, zmówili modlitwę za Gary'ego, wypili kawę i rozjechali się każdy w swoją stronę.

Mikal odwiedził przyczepę w dzień Bożego Narodzenia, lecz myśli Bessie błądziły w dawnych czasach. Przypominała sobie święta, kiedy Gary nie był w poprawczaku i patrzył, jak młodszy brat rozpakowuje prezenty. Miała wtedy skłonność do rozpieszczania Mikala. Pół nocy zajęło jej pakowanie podarunków dla niego, a potem Mikal od rana

powtarzał:

–Co za okropny dzień. Mam tyle rzeczy, których nie chce.

Gary się zaśmiewał.

Z kolei Gaylen w tym samym roku, na krótko przed świętami, wrócił kiedyś po południu do domu i opowiedział, jak to jedna z Sióstr im mówiła, że nie ma Świętego Mikołaja. Bardzo go to zmartwiło.

Bessie powiedziała:

–Gaylen, za to istnieje duchowa potrzeba obdarowywania. Naprawdę. Masz dobre serduszko, bo wierzyłeś w Mikołaja dłużej niż

inni.

Potem myśli wróciły do przyczepy. Ostatnio wszystko wracało do przyczepy. Serce jej się wywróciło, jakby za obrotem wielkiego koła Poczuła, jak spada łza, czysta kropla smutku.

GILMORE: – Jakie Boże Narodzenie? Święta w kiciu to syf. Nie dostaje się listów. Jest inny rozkład dnia, czas wolniej płynie, strażnicy zachowują się tak, jakby robili wielką łaskę, dając większy poSiłek, który zresztą wcale nie przypomina potrawy opisanej w gazetach, nigdy nie jest dobre, wiesz. Nie lubię weekendów w więzieniu, świąt nienawidzę.

Shirley Pedler, kierująca działalnością ACLU w Utah, dostała tę pracę zaraz po szkole. Złożyła podanie o przyjęcie na stanowisko dyrektora i przyjęli ją. Została dyrektorką organizacji liczącej kilkuset członków. Fundusze na prowadzenie biura pochodziły ze składek członkowskich i skromnej dotacji biura krajowego. Pięciu czy sześciu adwokatów z Salt Lakę zgłosiło się do stałej współpracy na ochotnika, aż dwudziestu zaś zadeklarowało jednorazową pomoc raz na rok. Nader wątłe siły, borykające się właśnie z nawałem spraw. W Utah należeć do ACLU to prawie jak być bolszewikiem.

Kiedy ACLU zajęło się sprawą Gilmore'a, do Shirley Pedler zaczęły napływać listy pełne nienawiści i dzwonili do niej wariaci. Przez ponad miesiąc telefonowali do domu i do pracy, całymi dniami i nocami. Wiedziała, że to się skończy dopiero, jak Gilmore umrze. Mieszkała sama i czasem po długim dniu bała się wracać do domu i słyszeć dzwonienie telefonu.

–Przydarzy ci się coś złego – informował czyjś głos.

–A niechby cię rozstrzelali razem z Gilmore'em – mówił kolejny rozmówca.

Niekiedy mężczyźni bywali wulgarni. Jeden stwierdził, że ponieważ ona jest niebrzydka i samotna, mógłby jej zrobić to i owo.

Zazwyczaj szybko się wyłączali. Ostatnio, zmęczona tym wszystkim, reagowała gwałtownie. Nie wahała się nawrzucać swoim rozmówcom. Nigdy nie miała zbyt mocnych nerwów, z niewyspania traciła na wadze i miewała koszmarne sny o panu Gilmorze. Ktoś wykopywał mu stołek spod nóg. Kiedy już wisiał w powietrzu, detonowano ładunki z gazem. Czasem sny były krwawe.

Została wychowana do aktywnego uczestnictwa w życiu Kościoła, lecz przestała być praktykującą mormonką. W każdym razie telefonujący do niej przypominali ludzi, z którymi się wychowała. Czuła się nie zdradzona, o ile raczej nie mogła uwierzyć w to, co się działo. W tej sPrawie tkwi tak oczywista niesprawiedliwość, mówiła sobie. Na posiedzeniu Komisji Ułaskawień spostrzegła, że przewodniczący

utiler był całkiem niekonsekwentny. Dlaczego opinia publiczna nie protestuje? – zapytywała. To jest parodia, a w samym środku

Gilmore, potwornie blady, przystojny nłody mężczyzna, myślała

Shirley Pedler. Przez swoją głodówkę wyglądał upiornie, ale miał pamięć. Był taki blady.

Wreszcie dotarło do niej osobiście, że z powodu nieustannych machinacji ten człowiek żyje w ciągłej niepewności. On nie wie, co ^ przyniesie jutro, ona zaś bierze właśnie czynny udział w owych machinacjach.

Wobec tego napisała list do Gilmore'a. Oświadczyła w nim, że przeprasza go za przykrości z winy ACLU i za potworną niepewność jutra. Żałuje, że nie ma możliwości porozmawiać z nim wprost i wyjaśnić, o co im chodzi. Zdaje sobie sprawę, że utrudnia mu życie Chciałaby mu wytłumaczyć, dlaczego uważa, że tak trzeba. Cieszyłaby się, gdyby mogli współpracować zamiast tkwić po przeciwnych stronach barykady.

Gdyby dane jej było porozmawiać z Garym Gilmore'em, powiedziałaby mu, że jego pragnienie samobójstwa budzi w niej osobiście pewną sympatię. Ona rozumie, dlaczego życie w Więzieniu Stanu Utah może usprawiedliwiać decyzję o odebraniu sobie życia i człowiek ma prawo decydować, czy woli żyć, czy umrzeć. Jednak w jej odczuciu władze stanowe nie powinny tu ingerować. Nie dość, że sama kara śmierci jest złem, to w dodatku ta egzekucja pociągnie za sobą inne ponieważ usankcjonuje odbieranie życia przez państwo. Prawdziwy horror zacząłby się z chwilą, gdyby ludzie jeden za drugim podchodzili, żeby kogoś rozwalić – beznamiętnie, metodycznie i z wyrachowaniem, obracając machinę państwa przeciwko jednostce. Czemu się z tym godzić? Tak by powiedziała.

Moody i Stanger jako adwokaci mogli obejść zakaz widzeń i pojechali zobaczyć się z Garym w Boże Narodzenie po południu

GILMORE: – Shirley Pedler napisała do mnie list… A w ogóle

jak ona wygląda?

STANGER: – Jest drobnej budowy, młoda, koło trzydziestki

niebrzydka. Nigdy nie spotkałem jej osobiście. Widziałem ją w telewizji. Nosi marynarkę i spodnie.

GILMORE: – Ja już nie wiem, co mam robić, żeby to ACLU się

wycofało. Sąd Najwyższy postanowił, że decyzja jest ostateczna.Co oni jeszcze mogą zrobić? Zwrócić się do ONZ?…

Pedler jadła świąteczny obiad w domu rodziców, ludzi o poglądach raczej konserwatywnych, ojciec zresztą miał państwową posadę, ale nigdy dotąd, aż do tych świąt, nie skakali sobie do oczu w sprawie kary śmierci. Tego dnia jednak jej brat zaatakował stanowisko ACLU i musiała się bronić. Brat powtarzał: __ A ofiary i ich rodziny?

I się zaczęło. Shirley i tak podążała w innym kierunku niż jej rodzina, lecz ta dyskusja oczywiście zepsuła świąteczny obiad i Shirley było przykro. Żadne z nich nie czuło się potem w porządku.

GILMORE: – Przeczytam ci wiersz, jak chcesz. STANGER: – Jasne, że chcę.

GILMORE: – Do niego jest mała przedmowa. Wiesz, że w więzieniach panuje hałas. Mówiłem też o tym strażniku, co wysmarkiwał nos przez pięć minut. A dziś rano prowadził dwugodzinną konwersację, aż poprosiłem, żeby się przymknął. Ten wiersz jest w książce, którą napisałem dla Nicole. Oto przedmowa: Denerwują mnie hałasy, których muszę słuchać, spuszczanie wody, burczenie w rurach, głupie rozmowy, przyciszone rozmowy. Teraz będzie wiersz.

Czarne myśli o zbrodni w noc zimną, stalową,

gdy odgłosy i szmery nie pozwolą zasnąć.

Czarne myśli o zbrodni, kaleczeniu, krwi.

Do znudzenia. Za mało czarnych długów spłacamy.

Błazen zaniósł się śmiechem po straconym dniu,

inny westchnął, znów inny zapłakał

nad swoim życiem zakłamanym.

Czarne myśli o zbrodni, kaleczeniu, krwi.

Za mało czarnych długów spłacamy –

znacznie mniej, niż jesteśmy winni.

Napisałem ten wiersz w siedemdziesiątym czwartym, słuchając hałasów, których nie chciałem słyszeć. Ja lubię ciszę.

Kochałbym tak całkowity brak dźwięków, że mógłbym słyszeć własną krew. Jedna z rzeczy, których chyba najbardziej nienawidzę w więzieniu, to hałasy: jak chrapanie, nienawidzę jak różne skurwysyny charczą i kaszlają… Siedemnastego stycznia mam nadzieję usłyszeć ostatni hałas.

–Hmm, to dobry wiersz.

.

ROZDZIAŁ 21

Oktawa Bożego Narodzenia

Julie Jacoby miała dobrą opinię o Shirley Pedler i uważała ją za bardzo atrakcyjną kobietę, z tą jej smukłą sylwetką i pięknymi dłońmi pianistki. Jednak z powodu napięcia związanego z sytuacją Gilmore'a Shirley zdecydowanie za bardzo schudła. Zawsze była bardzo uczuciowa, ale w ciągu ostatnich paru tygodni zaczęła przypominać źdźbło słomy.

Chociaż Shirley była młodsza o dwadzieścia cztery lata, Julie Jacob) uważała, że są bardzo do siebie podobne. Obie raczej lubiły samotność, mimo to rzucały się w wir działalności politycznej. Dlatego też Julie nie czuła się zaskoczona, że w świątecznym tygodniu Shirlej zwróciła się do niej o pomoc w zorganizowaniu w Utah Koalicji Przeciw Karze Śmierci.

Co prawda, Julie niewiele dokonała w ciągu roku, odkąd przeniosła się z mężem z Chicago do Utah. Czasy nie przypominały Gniewu w Chicago latem 1968 roku, kiedy policja biła ludzi. Wówczas właśnie – jak sądziła – wyrosła wreszcie z roli paniusi z wyższych sfer Północnego Wybrzeża, zjawiającej się dwa razy w tygodniu w towarzystwie dobroczynnym United Charities, by spędzić PoPołódnie na pocieszaniu matek, które przynosiły do biura swoje czarnoskóre dzieci w różnych stadiach ciężkiego zatrucia po zjedzeniu farby ołowiowej, łuszczącej się ze ścian. Niektóre paniusie przychodziły dopracy z brylantami na palcach i Julie musiała wbijać im do głów,

że nie powinny nosić na jednym palcu fortuny większej niż roczne zarobki osób zwracających się do nich o pomoc.

Jej mąż piastował kierownicze stanowisko i Julie twierdziła, że nie udało mu się wyzdrowieć po urazie okołoporodowym, który na zaWSze uczynił go konserwatywnym republikaninem. Julie,,,Phi Beta" z historii średniowiecznej na Uniwersytecie

Michigan, pojechała szukać szczęścia do Chicago i znalazła je w osobie tego poczciwego Niemca, którego poślubiła, po czym on piął się po szczeblach kariery w przedsiębiorstwie, podczas gdy Julie zajmowała się ich dziećmi iporzuciła Kościół Episkopalny, co niejako zapowiadało jej późniejsze przemiany. Mogła właściwie poprzestać na członkostwie Ligi Wyborczej Kobiet, lekturze „National Observer", „New York Review of Books" oraz I. F. Stone'a, lecz Dni Gniewu na Bulwarze Michigan * wstrząsnęły nią do głębi. Zradykalizowała się. Potem znów Attica – trwały uraz. Uważała, że tego dnia Rockefeller strzelał jak do kaczek na uwięzi. Julie działała w Sojuszu Na Rzecz Zaprzestania Represji **.

Później firma oddelegowała jej męża do Utah. W Salt Lakę nie działało nic prócz ACLU. Julie chciała założyć tam Sojusz na rzecz Zaprzestania Represji, lecz zabrakło jej energii. Utah ją przygnębiał. Wyczuwała, że pogarszają jej się układy z mężem, synek zaś, wyrwany ze swego środowiska w wieku lat dwunastu, nie może się pozbierać. To jakoś ciągnęło ją w dół. Zajęta problemami swego syna, straciła drapieżność w kwestiach społecznych.

Uważała, że otacza ją skrajna prawica. Kościół i państwo ściśle Powiązane. Poszła na otwarcie posiedzenia legislatywy; na czele

Podczas zjazdu Partii Demokratycznej w Chicago, który odbył się w sierpniu "68 roku, studenci stoczyli zacięty bój z liczącymi 11,9 tysiąca ludzi oddziałami policji burmistrza Daleya, z jednostkami Gwardii Narodowej stanu Illinois w sile 7,5 tysiąca ludzi oraz z tysiącem funkcjonariuszy FBI i służb tajnych. Zwyciężyli w środkach Nowego przekazu, ponieważ udało im się przedstawić wysiłki burmistrza Daleya zmierzaJące do wyegzekwowania prawa jako „rozruchy sprowokowane przez policję". Według Paula Jonsona, przyp. tłum.)

Q W Attica, stan Nowy Jork, we wrześniu 1971 r. miał miejsce bunt więźniów. 1200 więźniów trzymało 38 strażników w

charakterze zakładników podczas

zwiedzania więzienia. Kiedy gubernator Nelson A. Rockefeller odmówił osobistego przyjazdu do Attica – o co zwracali się do niego więźniowie oraz jegokomisarz do spraw Resocjalizacji – więźniowie zagrozili śmiercią zakładników

Oddane mu oddziały policji stanowej otworzyły ogień. Zginęły 32 osoby w tym 8 zakładników, 80 zaś odniosło poważne rany. (Przyp. tłum.)

zasiadało tam trio zgorzkniałych starych mężczyzn. Na początek zmówili modlitwę. Julie wystąpiła z orędziem przeciwko karze śmierci i przewodniczący posiedzeniu mormon oświadczył, że ponieważ był zmuszony wysłuchać stanowiska Kościoła Episkopalnego, pragnie odczytać coś na zakończenie, po czym otworzył książkę w czerwonej okładce i zacytował Brighama Younga. „Którzy krew przelewają niechaj krwią zapłacą." Przebiegł ją dreszcz. Kościół stanowił prawo. Miała ochotę powiedzieć przewodniczącemu: Żyjemy w świecie ludzi omylnych, gdzie prokuratorzy decydują o kwalifikacji oskarżenia o morderstwo, jednakże nie wiadomo, czy ktoś lub coś nie wywiera wpływu na oskarżyciela. Nie wolno odbierać życia jednostce pod płaszczykiem egzekwowania prawa.

Owszem, miała problemy z dzieckiem, jej małżeństwo się rozpadło i cieszyła się z uroków separacji, pożerając książki. Jezu, uwielbia czytać, tak samo jak inni nie mogą się obejść bez trzech posiłków dziennie, ale kiedy zadzwoniła do niej Shirley Pedler z prośbą o pomoc przy organizowaniu w Utah Koalicji Przeciw Karze Śmierci, Julie wiedziała, że znów wróci do świata z rozpuszczonymi blond włosami – wszystkich dziwiło, że jest blondynką w wieku pięćdziesięciu czterech lat – wyjdzie w dżinsach i z prostymi jasnymi włosami do ramion na ulice Salt Lakę, gdzie nikt jeszcze nie wziął jej przez pomyłkę za rodowitą mieszkankę Utah, gdyż stan Utah zwany jest Pszczelim Ulem. Dziewczyny wolą fryzury wysokie, spiętrzone, lity pomnik na cześć lakieru.

Poszła więc na zebranie Koalicji Przeciw Karze Śmierci, na które przybyło dwadzieścia osób, żeby wymyślić, jak tu przekonać Gary'ego Gilmore'a, że popełnia fatalny błąd, życząc sobie, by państwo nałożyło mu stryczek. Koalicja będzie głosić, że państwo nie ma prawa nikogo zabijać. Gilmore jest wrażliwym artystą, myślała Julie Jacob)' jednak postępuje bardzo egoistycznie.

Shirley Pedler miała zamiar osobiście zająć się organizacją zebrania lecz powaliło ją ostre zapalenie płuc i Julie zobaczyła, że pałeczkę przejął facet nazwiskiem Bili Hoyle z Socjalistycznej Partii Robotników. Jak sam stwierdził, do niego należy szukanie kontaktówW Obecny był też pastor Zjednoczonego Kościoła Chrystusowców – wielebny Donald Proctor, oraz wielebny John P. Adams ze zjednoczonego Kościoła Metodystów, zasiadający w prezydium Krajowej

koalicji Przeciw Karze Śmierci. Dyskutowali, jakie działania należy

podjąć-

pon Proctor miał, zdaniem Julie, pomysły trochę w stylu Alinyy'ego. Chciał dużego wiecu, zgromadzenia, powiedzmy, w zatłoczonym centrum handlowym w sobotę.

Nikomu to nie odpowiadało. Po pierwsze trzeba załatwić zezwolenie wejścia na teren prywatny. Postanowili wreszcie odbyć masówkę w jakiejś sali przed siedemnastym stycznia, potem czuwanie na obszarze więzienia przez całą noc poprzedzającą egzekucję. Wtedy może przybyć więcej księży. Na razie, w świątecznym tygodniu, mają pełne ręce roboty.

Tymczasem mieli do dyspozycji fundusz w wysokości stu dolarów ofiarowanych przez Stowarzyszenie Przyjaciół. Bili Hoyle powiedział, że wydrukuje trochę ulotek i że mogą liczyć na plakietki ze Wspólnoty Pojednania w Nyack, stan Nowy Jork.

Na plakietkach będzie napis: „Dlaczego zabijamy zabójców, skoro chcemy wykazać, że zabijanie jest złem?"

Po powrocie do motelu Gibbs zajadał kodeinę jak cukierki, ale z doustnym yaridase był ostrożny i brał lek w przepisanych dawkach. Nazajutrz po świętach zadzwonił do matki, kazała mu trzymać nogę w górze i robić ciepłe okłady, trzydzieści pięć lat była dyplomowaną pielęgniarką. Powiedziała też, żeby ostrożnie się golił. Gdyby się niechcący zakaleczył, może mieć później kłopot z zatamowaniem krwi, z tego powodu

zadzwonił też do Haltermana. Pierwsze słowa Kena

brzmiały:

Gdyby nie chodziło o ciebie, Gibbs, tobym nie uwierzył. – Dodał; – Znasz jakiegoś większego pechowca?

Właśnie takiej pociechy potrzebował Gibbs.

Zadzwonił do przedsiębiorstwa taksówkowego „Sowa", żeby ^ przywieźli papierosy, whisky, coca-colę, lód i kilka puszek zupy pomidorowej i grzybowej, które miał zamiar podgrzewać na maszynce do kawy; miał taką w pokoju. Dopóki mu nie sprawią protezy. musi żywić się zupą. Potem zatelefonował do policji drogoweJ, żeby się dowiedzieć, kto ściągał jego samochód, następnie poprosił chłopaka, który wykonał tę robotę, o sprawdzenie, czy na przednim siedzeniu nie ma drugiej połówki sztucznej szczęki. Za jakąś godzinę facet zjawił się w jego pokoju z brakującym kawałkiem Ponieważ samochód nadawał się na złom, chłopaka interesowało, czy Gibbs nie sprzedałby silnika. Bo on mógłby spłacać po dwadzieścia pięć dolarów miesięcznie. Właśnie się ożenił i nie ma zbyt wiele forsy Gibbs powiedział:

–Przyjmij to ode mnie jako spóźniony prezent ślubny.

Po kilku dniach zupy pomidorowej i grzybowej Gibbs zapytał właścicielkę motelu, czy zna jakąś restaurację oferującą dania na wynos. Nic jej nie przychodziło na myśl tak od razu, ale zapytała, na co Gibbs ma ochotę. Odpowiedział: jajka na miękko, grzanka i mleko, wtedy ona przyniosła mu to do pokoju, a on zapłacił jej pięć dolarów. Mówiła, że starczy dwa, ale upierał się przy pięciu. Była jedną z najsympatyczniejszych osób, jakie spotkał w ciągu z górą trzydziestu lat swego życia.

i

Następnego dnia zadzwonił do kwiaciarni w Butte i poprosił o dostarczenie kwiatów. Na bileciku polecił napisać: „Dla najmilszej kobiety na świecie" i podpisać Lance LeBaron. Wyjaśnił, że nie zna nazwiska tej pani, ale za to wie, ile dla niego zrobiła. Kobieta z kwiaciarni przyznała mu rację i powiedziała, że ta miła pani nazywa się Irenę Snęli. Kwiaty dostarczono mniej więcej po godzinie.

Od tej pory co wieczór pani Snęli przynosiła mu posiłek. Kiedy Już naprawił sobie zęby, mówiła mu, co sama będzie jadła. W końcu jadł wszystko, od spaghetti do befsztyków, i zawsze musiał się z nią targować o cenę. Odwiedził go lekarz, żeby sprawdzić, jak tam noga odnowić receptę i zdjąć mu z czoła szwy.

Powoli kończyła się Gibbsowi gotówka, ale o tym nie myślał, i pieniądze nigdy się go nie trzymały. Wydawał od dwudziestu pięciU do sześćdziesięciu dolarów dziennie na telefony zamiejscowe i

rano regulował rachunek za pokój. Trudno mu było nie litować się nad sobą. Co wieczór się upijał i musiał wypłakać się komuś w mankiet. Przez międzymiastową to było straszne. O mało nie poprosił swojej starej przyjaciółki, żeby przyleciała i została z nim, lecz się rozmyślił. Potem zadzwonił do innej starej przyjaciółki i nieomal złożył jej taką samą propozycję. Nie znał jednak żadnej dziewczyny, która nie wyjawiłaby niepowołanym

osobom, gdzie on się znajduje j co gorsza, w jakim stanie. Opowiedział wszystkim, do których dzwonił, że leży w łóżku z samopowtarzalnym browningiem dziewięć milimetrów i podał im trzynaście przyczyn, dlaczego lepiej do niego nie wchodzić bez pukania. Kiedy wspomniał o tym Haltermanowi, ten odrzekł:

–Jak na kogoś, kto się ukrywa, chlapiesz ozorem aż miło. Nawet telefonistki z Butte zaczęły się do niego zwracać po nazwisku:

–Jak się pan miewa, panie LeBaron? Pokój trzy, Wysoko Na Milę, prawda?

Wyruszał z Utah mając tysiąc trzysta siedemdziesiąt dolarów w kieszeni i właśnie zjechał do pięciuset.

Leżąc w łóżku, czasem wędrował myślami i wyobrażał sobie, co by było, gdyby pojechał na tę egzekucję. Czy podszedłby porozmawiać osobiście? Gdyby mu pozwolono, powiedziałby tak: Gilmore, pamiętasz, jak mi kiedyś mówiłeś, że nigdy się nie mylisz w ocenie tych, co siedzieli? No to może ci wyjaśnię, w jaki sposób zarabiam na życie.

Potem rozmyślał, czy rzeczywiście by tak powiedział, mimo woli zakładając, że Schiller nikomu nie zdradził – choć faktycznie zrobił to, rzecz jasna. Gary, powiedziałby Gibbs, patrząc mu w oczy, trafił swój na swego. Twój szósty zmysł oceny dobrych garowników zawiódł w moim przypadku. Jestem jedyną osobą, która zdołała cię podejść, omotać i wpuścić w maliny, Gary Gilmore.

Potem dopadała go rzeczywistość własnego bólu, własnej sytuacji,

własnego pierdolonego życia, i mówił do siebie: Gary, nie taką mowę

by walnął. Powiedziałbym: „A niech cię, ty masz więcej odwagi niż

wszystkie te skurczybyki, których znam. Jesteś facet z jajami, chciał

bym ci dorównać, kurczę. Mężczyzna pozna mężczyznę, kiedy się… przełykał żal, bo właśnie to zdanie napisał Gary w jednym z ostatnich listów, równie dalekim jak wspomnienie sprzed lat.

Diabli wzięli połowę korzyści Schillera z urlopu. Zabrał Stephje żeby zapoznać ją z bratem i bratową, poudzielać się towarzysko, no i ona spędzała z nimi cały czas, podczas gdy on co robił? Rozmawiał przez telefon. Mózg staje.

Prawnicy z firmy ubezpieczeniowej Maxa Jensena złożyli przy „Niesłusznej Śmierci" o zajęcie czterdziestu tysięcy dolarów z majątku Gary'ego Gilmore'a i robiąc uprzejmość Colleen Jensen zażądali dla niej miliona dolarów odszkodowania. I właśnie kiedy Schiller usiłował troszkę poleżeć do góry brzuchem na słoneczku, prawnicy ci uzyskali z sądu nakaz przesłuchania Gary'ego. Kiedy Schiller się o tym dowiedział, to, kurwa, podskoczył do sufitu. Zawisł na telefonie. Pytał Moody'ego:

–Zgodziłeś się? Bez oporu? Co znaczy bez oporu?

Nie lubił krzyczeć na Moody'ego, ponieważ nie przynosiło to żadnego skutku. Moody był zbyt uparty. Tylko patrzył zza okularów. Istny pokerzysta. Jednak Schiller nie umiał się opanować. Chodził po ścianach z rozpaczy.

–Czym ty się tak przejmujesz? – zapytał Bob Moody. – Dlaczego niby to przesłuchanie jest takie ważne?

Schiller miał już na końcu języka tekst: „Zgłupiałeś do reszty?" Powiedział jednak:

–Nie rozumiesz? „Enquirer" może przekabacić tych adwokatów, wejść na trzy godziny i zwinąć całą historię życia Gary'ego. Nawet jeśli im się nie uda podstawić własnego reportera, mogą podszkolić prawnika i Gary'ego wypatroszą.

To straszne. Oni mają prawo zacząć przesłuchanie od miejsca urodzenia, potem zagłębić się w jego kryminalną przeszłość.

–Całą historię może wziąć cholera – krzyczał Schiller – ito podczas jednej sesji! Moody odrzekł:

–Nie możemy temu zapobiec.

–Gówno – odparł Schiller. – Chcę, żebyś zaraz poszedł do sądu Jeżeli nie uda ci się powstrzymać przesłuchania, to przynajmniej zgłoś wniosek, żeby sąd to zatrzymał – tu walnął pięścią w nocny stolik, z poczuciem pełnego poparcia dla samej idei wstrzymania. – Taśmy z tej rozmowy – oświadczył – muszą zostać opieczętowane

na terenie więzienia i sąd ma wydać nakaz, że nie wolno ich przesłuchiwać przez tyle i tyle miesięcy, ble ble, rozumiesz, ble ble i tak

dalej-Stephie chętnie by go udusiła. To miał być jego urlop, a nie życie

przez telefon.

_- Czy tak to będzie wyglądało po naszym ślubie? – krzyczała. Czy jest dla niego po prostu jeszcze jedną babką? A może kolejną transakcją? Schiller opędził się od niej ruchem ręki. Przez telefon niemalże opracował cały ten wniosek. Jakże mu ulżyło, kiedy dowiedział się parę dni później, iż sędzia nakazał zaplombowanie materiału, dosłownie, aż do marca.

Dopiero wtedy Schiller odetchnął balsamicznym powietrzem Hawajów. „Enquirer" nadal może wystarać się o notatki tych

prawników od ubezpieczeń, ale nie ma się czym przejmować. Teraz istnieje sądowy nakaz dyskrecji i prawnika można wykluczyć z palestry za jego naruszenie. Poza tym żaden miejscowy mormon nie przeciwstawi się nakazowi sędziego. Sprawa jest zamknięta. Udało się zapobiec katastrofie.

Zresztą, kiedy tamci prawnicy udali się nazajutrz do więzienia w celu przyjęcia zeznań, musieli czekać sześć godzin i Gary się w ogóle nie pokazał. Zdaje się, że podano mu jedzenie na papierowym talerzu

i wpadł w szał, odmówił opuszczania celi. Ubezpieczenie podwójne.

Z Hawajów Schiller dzwonił po całym świecie, żeby załatwić sprzedaż listów bez możliwości zdemaskowania sprzedającego. Wymagało to negocjacji z właściwym wydawcą. Zaledwie raz na kilka lat miewał do zaoferowania coś tak poważnego, że nawiązywał kontakt

z największymi tygodnikami za granicą. Dlatego wiedział, że nie Puszczą go kantem. Nie miał obowiązku dzwonić do nich nazajutrz z kolejną propozycją. Nie był agentem, który upłynnia dziesięć Pomysłów naraz i to z tymi samymi ludźmi,, dzięki czemu może Powiedzieć: „Dobrze, odpuszczę to, jeżeli dacie mi tamto." W takim układzie każda ze stron może sobie pozwolić na kantowanie od czasu do czasu. Powiedzmy, dziesięć drobnych kantów na sto transakcji. Ale kiedy pracuje się na zamówienie, tak jak Schiller, pod klienta, faktorzy nie ważą się oszukać. Straciliby na zawsze szansę ubiegania

się o

jego dorobek.

Na Hawajach wynajął sekretarki do przepisania umów sprzedaży. W ten sposób oddelegowane kobiety, czyli jego matka, Stephie i jej matka Stephie, będą musiały tylko wpisać

kwotę i nazwę wydawnictwa Ponieważ prowadził przygotowania przez telefon, listy miały zostać zaprezentowane partiami. Pakiet nr. 1 zawierał ofertę w postaci przykładowego kontraktu i pięciu listów Gilmore'a. Redaktorom będzie wolno rzucić na nie okiem wyłącznie w obecności którejś z kobiet Schillera. W ten sposób wiadomo, że nie zostaną przepisane żadne smakowite cytaty. Jeżeli redaktorowi spodoba się to, co zobaczy, będzie mógł otworzyć Pakiet nr 2. Tam znajdował się pełny zestaw listów, duża paczka. Redaktor dostanie parę godzin do namysłu. Z wyjątkiem jednego wtajemniczonego redaktora nikt z redakcji tygodników nie będzie miał pojęcia, kim są te trzy kobiety.

I tyle dobrego. Natomiast nie był zachwycony metodami działania Barry'ego w Utah. Wspaniale udał im się wywiad dwudziestego grudnia i z rozpędu Farrell zamierzał dalej to ciągnąć podczas nieobecności Schillera, regularnie jak w zegarku. Zamiarem Barry'ego było telefonowanie z Los Angeles co rano do prawników z nowym zestawem pytań. Następnie Moody i Stanger mieli je zawozić do więzienia, odpytywać Gary'ego i odsyłać taśmę nocnym samolotem. Farrell miał odbierać przesyłkę na lotnisku, po przesłuchaniu taśmy sporządzać nowy zestaw pytań i rano przekazywać je przez telefon -wysoka wydajność. Rozwiązanie niezłe, tyle że się kompletnie nie sprawdziło. W ciągu tygodnia mnóstwo spraw potrafi się potoczyć nie w tę stronę.

Niebywałą ilość czasu, jak wyjaśniał Farrell, zajmowało dyktowanie pytań sekretarkom. Bez przerwy coś przekręcały, poza tym adwokaci też się nie przykładali do pracy. Jakby nie mieli zamiaru zajmować się sprawami Schillera podczas jego nieobecności.

–Jak wrócisz – powiedział Barry – zabierzemy się do tego razem.

Schiller niewiele myśląc przyznał mu rację. Ale się wściekł, – Skoro Barry'emu gówno z tego wychodzi, to dlaczego sam nie pojedzie do Utah i nie załatwi sprawy na miejscu, zamiast

zawracać sobie głowę telefonami? Nie śmiał jednak robić wyrzutów na odległość. Oczywiście wszystko to zwiększało presję na jego organizm i niweczyło wypoczynek.

Czasem Brenda czuła się tak, jakby w ciało wżerały jej się naprężone w niej, i rozrywające ją od środka igły. Niekiedy ból atakował ją, gdy siedziała, wówczas nie mogła wstać. Kiedy indziej na stojąco tak ją rwało, że musiała usiąść. Dawno przestała jeździć do więzienia i tylko telefonowała, ale strasznie trudno było się przebić. Raz połączono ją ze Samem Smithem. Powiedziała:

_ Nie miałam pojęcia, że zwykły telefon to taki kłopot.

Smith odrzekł, że za każdym razem trzeba by wyprowadzać Gary'ego z celi.

–Dlaczego mu pan nie wstawi tam telefonu? – spytała Brenda. – Boże drogi, przecież on jest w celi śmierci.

–Cóż – odparł Sam Smith – mógłby powiesić się na sznurze. O tym nie pomyślała.

–Albo wyjąć ze środka części i podciąć sobie nimi żyły. O tym też nie pomyślała.

–Zapewniamy mu więcej przywilejów niż przeciętnemu więźniowi.

–Myślę, że ma pan nielekką pracę – powiedziała Brenda.

Między świętami a Nowym Rokiem, w dwa różne dni tego mroźnego tygodnia, dwukrotnie próbowała – z bolącym brzuchem, słaba i wystraszona – dostać się na prośbę Gary'ego do Szpitala Stanu Utah i zostawić różę dla Nicole. Wreszcie się poddała. Szpital nie chciał przyjąć kwiatka. Dała znać z powrotem przez Verna i Gary znów się na nią zezłościł. Uparł

się, jak chyba nikt na świecie, żeby podsycać ten ból brzucha. Zupełnie jakby czochrał pod włos.

«PROVO HERALD» Do tych, którzy się sprzeciwiają

Gilmore wysyła list otwarty.

Provo, 29 grudnia. List otwarty Gary'ego Gilmore'a do wszystkich, którzy w rozmaity sposób starają się zapobiec mojej śmierci w legalnej egzekucji. Zwłaszcza ACLU i NAACP.

Zachęcam was: wynoście się wreszcie z mego życia. I z mojej śmierci.

To nie wasza sprawa.

Shirley Pedler, spadaj, maleńka. Ja bym nie śmiał być taki bezczelny, żeby zakładać, że mogę ci narzucić w twoim życiu cokolwiek wbrew woli… Odejdź z mojego życia, Shirley.

NAACP, ja jestem biały. Nie chcę, żeby mieszali mi się jacyś czarni z chaty wuja toma (sicf). Argumentujecie, że po mojej egzekucji stracą całą masę czarnych chłopaków. No więc to jest tak oczywista bzdura, że nawet nie będę dyskutował z czymś tak głupawym i bez sensu.

Ale wiecie tak samo dobrze jak ja, że w dzisiejszych czasach prędzej zabiją białego człowieka niż czarnego.

Nie ma już takiej dyskryminacji jak pierw.

Co do tych z was, którzy wątpią w moją poczytalność – ja wątpię w waszą.

Od serca

Gary Gilmore

W parę dni po świętach Sundberg przyniósł Nicole książkę napisaną przez Gary'ego. Był to taki notes, jaki można dostać w sklepie papierniczym, z ładną twardą oprawą. Na jakieś pięćdziesiąt stron Sundberg się spieszył i Nicole tylko to przy nim przekartkowała, ale obiecał przynieść następnego dnia. Z tej okazji trochę się znów rozkleiła. Zwyczajny notatnik, ale ona kochała każde słowo, bo to była prawdziwa książka z okładkami, a na każdej stronie Gary coś napisał.

Ten jebany klawisz, co tu siedzi, właśnie skończył smarkać nos. Zajęło mu to pięć minut. Chyba faktycznie coś mu tam siedziało.

Chrapliwy, szorstki, nieznośny odgłos.

Jak skończył, to mu powiedziałem:

–No dobra, twój klakson działa. Teraz spróbuj światła.

Posłał mi spojrzenie kaprawych oczu znad czerwonego nochala-

Teraz strażnik się przechadza. Tupie tam i z powrotem s buciorami, które są numer mniejsze od kajaka, a chyba i tak go Ten prostacki skurwiel nudzi się jak diabli.

Dostałem pocztą parę książek o Jezusie, przejrzałem je i są za bardzo chrześcijańskie.

To znaczy ja bym chętnie przeczytał książkę o Jezusie-człowieku, Jezusie-Żydzie, Chrystusie-Mesjaszu, byle nie o Chrystusie chrześcijaninie.

IV tygodniku «OUI» w dziale „Wstępniaków" zawsze dają jakąś szprychę, która przesłała im cztery zdjęcia z cyckami na wierzchu •robione w automacie. Zawsze je sprawdzam czytając «OUI». Myślałem, żeby im wysłać twoje fotki – myślałem o tym, co nie znaczy, że to zrobię.

Ale wiem, że wydrukowaliby.

Nawet gdybyś nie była sławna, puściliby te fotki, bo jesteś taka pociągająca i ta twoja buzia, kiedy wysuwasz trochę język, a twoje cycuszki elfa są, kurwa, śliczne.

Mała, zanim umrę, mam zamiar zniszczyć twoje listy. Ponieważ one po prostu nie są do publikacji. Nie pod publikę.

Chciałem spróbować ci je zwrócić, ale wiem, że wtedy one by wylądowały w rękach Larry'ego Schillera, filmowca.

W książce Gary wklejał też wycinki z gazet. «SALT LAKĘ TRIBUNE»

Gilmore odpowiada na ankietę uczennicy ze Wschodniego Wybrzeża

4 grudnia 1976. Lisa LaRochelle z Holyoke, stan Massachussetts, w ramach zajęć z religii wysłała listy do kilku znanych osób z zapytaniem:

„Jakie pierwsze pytanie zada pan Bogu, kiedy pan przed Nim stanie?"

„Droga Liso – odpisał Gilmore czerwonym atramentem na papierze z bloku kancelaryjnego. – Nie jestem «wybitną» osobistością. Po prostu mimo woli zyskałem pewien rozgłos. Ale w odpowiedzi na twoje pytanie (…) Nie uważam, że jakieś pytania będą w ogóle potrzebne, kiedy wreszcie spotkamy się z Bogiem. Z poważaniem, Gary Gilmore."

Panna LaRochelle napisała listy tej samej treści między innymi do Waltera Cronkite'a oraz do gwiazd futbolu O. J. Simpsona i Rogera Staubacha.

Te klawisze mogą się zakradać na pomost koło mojej celi i obserwować mnie bez mojej wiedzy. Oni mnie widzą, ale ja ich

nie. Widocznie niektórzy liczą na to, że mnie przyłapią na waleniu konia i będą mogli stać i się gapić.

31 grudnia piątek

Kochany

Zeszłej nocy wyleciałam we śnie

jak biały ptak przez okno, potem przez noc i chłód wiatru

z paroma gwiazdeczkami co jaśniały w mroku

Aż się zgubiłam. Aż się Obudziłam.

Muszę lecieć na razie Kocham Cię bez ustanku Nicole

31 grudnia piątek.? Och Najdroższy

jestem w miejscu tak wstrętnym, że szkoda słów. Moja sytuacja wymaga, żebym przekonała mnóstwo inteligentnych ważnych osób o swoim pragnieniu życia, że mogę egzystować odpowiedzialna matka i człowiek.

W tej chwili tylko tym się zajmuję. Czasem muszę nawet sama przekonywać o niektórych rzeczach, zanim postaram się przekonać innych.

Nieznajoma, KTÓRA KOCHA CIę!

Sylwester. Gary

Mała Nicole, Moja żono. Przyszła bardzo piękna kartka od kobiety z Holandii,, która pisze: „Ufaj każdemu. Kochaj Wszystkich Ludzi."

Boże, chciałbym mieć tyle siły.

W tym Moim ostatnim liście napisałem, że mają mnie rozstrzelać 17 stycznia… Kule kaliber 4.30 mnie wyzwolą.

I przylecę do ciebie – mały biały Ptak.

Mam 17 dni.

Myślę o tobie cały czas.

Myślę tylko o tobie.

Mała, zawsze wiedziałem, że jesteś białym ptakiem, jesteś małym białym ptaszkiem, który przysiadł mi na ramieniu, zanim ponownie przyszliśmy na świat i wtedy złożyliśmy sobie pewne przyrzeczenia.

1 stycznia 1977r. Dzień dobry Moja Miłości

Hej Gary słuchaj, to nowy rok! Szczęśliwego Nowego Roku Kochany. Napisałam taki wierszyk.

Zagubione myśli o poranku ścichły Miłość ukradzione Cierpienie tak Długie

Nie pytaj mnie o nic Ani mi nie śpiewaj odeszłam donikąd Chodź ze mną i ty

gdy tylko zdarzy mi się chwila spokoju, wydaje mi się, że słyszę w myślach cichą melodię do tych słów. – Najdroższy. Właśnie zgasili mi światło. Kocham Cię Boże jak Cię

kocham Gary. o mnie… ja będę Ciebie śnić w moje sny.

Twoja Kochająca stale Mała Nicole

Ojciec Meersman zawsze czuł, że przybywa z posługą do Gary'ego Gilmore'a bardzo szczerze i otwarcie; nie obchodziło go nawet, czy skazany człowiek jest katolikiem, czy nie. Po prostu Gilmore oświadczył, że życzy sobie umrzeć z godnością,

i to wywarło wrażenie na ojcu Meersmanie. Poszedł go odwiedzić pewnego wieczoru na początku listopada i powiedział, że rozumie takie życzenie i chętnie dopomoże jeżeli Gilmore wyrazi zgodę. Ojciec Meersman asystował przy innych egzekucjach, więc niejedno wiedział o ich rutynowym przebiegu i o wpadkach. Dzięki tej właśnie rozmowie, jak sądził Meersman, zostali dobrymi przyjaciółmi.

Gilmore niewiele sypiał nocami i cieszył się z odwiedzin. Kapelan przychodził wieczorem, kiedy odwiedzający zdążyli odjechać i więzienie ucichło. Meersmanowi wolno było odwiedzać więźniów o dowolnej porze, ale obowiązywał pewien regulamin i na przykład pod Maksymalnym Nadzorem, gdy nadchodziła pora jedzenia, nie szło się w gości. W więzieniu wykonuje się jedną czynność naraz. Takie są zwyczaje. Po co wchodzić w drogę więziennemu regulaminowi -Meersman wolał wpadać do Gary'ego później.

Rozmawiali o drobiazgach. Na przykład raz ojciec Meersman stał w głównym korytarzu po drugiej stronie krat, jak to miał w zwyczaju Gilmore zaś po swojej stronie opierał się,o pręty i Meersman wyjął swoją fajkę z pianki morskiej. Gary spytał, co to takiego, a ojciec Meersman zagłębił się w temat i wyjaśnił, że taka fajka w miarę palenia stopniowo nabiera smaku. Potem, innego wieczoru, przyniósł garść zagranicznych monet i Gary oglądał je z zaciekawieniem Lubił poznawać różne rzeczy. Bardzo się interesował szczegółami Ponieważ ojciec Meersman po drugiej wojnie światowej studiował w North American College w Rzymie, Gary często wypytywał księdza o Europę.

Rozmawiali o historii, o chwale i upadku różnych postaci, czyto o Cezarze, czy Napoleonie i ojciec Meersman zauważył, że Gary'emu podobają się ludzie, którzy wysoko zaszli i zdobyli sławę, Jak Muhammad Ali. Dyskutowali także o tym, co Gilmore przeczytał w gazetach i czasopismach przynoszonych mu przez ojca Meersmana.

" padre, co sądzisz o Jimmym Carterze?" albo „Padre, co sądZiSz o podawaniu jedzenia na papierowych talerzach?" Na każde z tych pytań Meersman odpowiadał: – Gary, wszystko powinno być tak jak należy. Gdyby to powiedział raz, ale on ciągle to powtarzał, wreszcie Gary

odrzekł:

__ Padre, nic nie jest jak należy. Wtedy obaj się roześmieli. Zawsze zwracał się do niego „padre".

Ponadto Gilmore bardzo przywiązywał wagę do swego wizerunku w prasie i co wieczór dziękował ojcu Meersmanowi za gazety. Z pewnością Gary lubił rozmawiać o swojej sprawie. Był zachwycony, kiedy ojciec Meersman przyniósł mu egzemplarz tygodnika „Time" z datą tuż po Nowym Roku, numer pierwszy z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego, chociaż ukazał się parę dni wcześniej. W środku, na dwóch kolejnych stronach, widniał tytuł Portrety 76 i widać było zdjęcia prezydenta-elekta Cartera, jego matki i żony, zdjęcia Betty Ford i Izabeli Peron z Argentyny, zwłoki Mao Tse-

•Tunga wystawione na widok publiczny, obok zdjęcie wsporników Vikmga 1, który wylądował na Marsie, fotografia sekretarza stanu Henry'ego Kissingera podczas wizyty w Kenii – z afrykańskim mieczem w jednej ręce i tarczą w drugiej, zdjęcie młodej gimnastyczki Nadi Comaneci, a także, na tej samej rozkładówce, znajdowało się zdjęcie Gary'ego Gilmore'a w białym stroju Nadzoru Maksymalnego. Uśmiechał się do obiektywu wkrótce po tym, jak Komisja Ułaskawień wyznaczyła mu datę wykonania wyroku śmierci. Nie uszło uwagi Gilmore'a, że w podsumowaniu wydarzeń roku 1976 znalazł się

w doborowym towarzystwie.

CZĘŚĆ PIĄTA

NACISKI

ROZDZIAŁ 22

Dołek w poszyciu

Farrełl nie spieszył się do Utah, do kontaktów z Moodym i Stangerem, ponieważ sprawiała mu przyjemność praca nad tym, co już miał. Podczas gdy Schiller bawił na Hawajach, Barry zaczął pisać wywiad dla „Playboya". Żeby się łatwiej czytało, wygładził dialog, poprzestawiał akapity i dodał trochę istotnego materiału z pisemnych odpowiedzi Gary'ego z wcześniejszych kwestionariuszy. Zazwyczaj przeredagowywał pytania Moody'ego i Stangera, nadając im pewną płynność i swoisty smaczek wywiadu dla „Playboya". Zdecydował jednak, zgodnie z własnymi regułami gry, że nie wykorzysta niczego z listów. Wywiad będzie zbudowany z ustnych bądź pisemnych odpowiedzi na przesłane Pytania.

Właściwie oparł się o tamten wywiad z dwudziestego grudnia. Próbując pociągnąć Gilmore'a za język na temat bardzo różnych spraw, Farrełl zostawił w pytaniach nutkę naiwności. Miał nadzieję zdobyć odpowiedzi, z których wysnułby bardziej wnikliwe pytania, lecz zorientował się, że te proste wypytywanki pozwolą Gilmore'owi odczuć własną wyższość. Rezultaty były zdumiewające. Gary od-Powiedział zaskakująco obszernie. Farrell uznał, że Gilmore szykuJe się do zaprezentowania siebie w taki sposób, w jaki chce, żeby gO zapamiętano. W tym sensie był własnym biografem. Satysfakcjonowało to Barry'ego. Otrzymał model Gilmore'a, model pewnego siebie dobrego garownika. Skłoniło to nawet Farrella do

zastanowienia, czy aby cały wywiad nie będzie utrzymany w tonie.

REPORTER: – Z twoich więziennych akt wynika, że siedziałeś za kratkami niemal bez przerwy od momentu dostania się do poprawczaka, co miało miejsce dwadzieścia dwa lata temu. Można sądzić, że nie widziałeś dla siebie innej drogi niż los kryminalisty. –

GILMORE:

Tak, można tak powiedzieć. To nawet bardzo ładnie Co spowodowało, że zacząłeś myśleć jak kryminalista,

Pewnie pobyt w poprawczaku.

–Ale przedtem uczyniłeś coś, za co cię tam wysłali.

No. Miałem może czternaście lat, jak znalazłem się w poprawczaku, a trzynaście, jak zaczęli mnie zamykać. REPORTER: – Co zrobiłeś, że cię zamknęli w wieku trzynastu lat?

GILMORE: – No więc zacząłem od kradzieży samochodów… ale zaraz, moje pierwsze przestępstwa to były włamania do prywatnych domów. Obrabiałem te domy, gdzie roznosiłem gazety. REPORTER: – Dlaczego? O co ci chodziło? GILMORE: – Dlaczego? Chciałem zdobyć broń, przeważnie. Mnóstwo ludzi trzyma broń w domu, no i ja właśnie tego szukałem. REPORTER: – Ile miałeś wtedy lat? Jedenaście? Dwanaście? Po co chciałeś mieć broń?

GILMORE: – No bo w Portland w tamtych czasach był taki gang. Nie wiem, czyś o nim słyszał – pewnie nie. I wiesz, bracie, pomyślałem sobie, że chcę się załapać do tego gangu z głównej ulicy. Uważałem, że najlepszy sposób to kręcić się w pobliżu i sprzedawać im broń. Wiedziałem, że potrzeba im broni. To znaczy ja… ja w ogóle nie wiedziałem, czy ten gang istnieje… Może to była plotka. Ale słyszałem o nim, wiesz? Więc pomyślałem, że chcę do nich należeć… do chłopaków z głównej ulicy.

REPORTER: – Lecz zamiast tego cię złapali i wsadzili do poprawczaka?

GILMORE: – Aha. Do Szkoły MacLarena dla Chłopców w Wood-burn, w stanie Oregon.

REPORTER: – Czy właśnie wtedy postanowiłeś, że odtąd schodzisz na złą drogę? GILMORE (śmieje się): – Zawsze czułem, że jestem na złej drodze. MiaŁem jakiś talent, a może raczej smykałkę do prowokowania dorosłych, że patrzyli na mnie trochę inaczej niż na inne dzieciaki, niby z zakłopotaniem, a może z odrazą. REPORTER: – Z odrazą?

(GILMORE: – Po prostu inne spojrzenie; dorośli nie powinni patrzeć na dzieci w ten sposób. REPORTER: – Z nienawiścią w oczach?

GILMORE: – Gorzej, powiedziałbym: z obrzydzeniem. Pamiętam jedną kobietę z Flagsstaff, stan Arizona, sąsiadkę moich starych, kiedy miałem trzy czy cztery lata. Tak się naładowała wściekłością z powodu jakiegoś gówna, które zmalowałem, że mnie zaatakowała ze szczerym zamiarem zrobienia mi krzywdy. Tata musiał skoczyć i ją powstrzymać.

REPORTER: – A co zrobiłeś, żeby ją doprowadzić do takiej furii? GILMORE: – Chodziło o moje odzywki i zachowanie. Nigdy nie byłem… chłopczykiem. Któregoś wieczoru w Portland, kiedy miałem koło ośmiu lat, poszliśmy wszyscy do takich ludzi do domu i tam było dwóch czy trzech dorosłych. Nie pamiętam, co takiego zrobiłem, może pyskowałem wszystkim, a może rozpierdoliłem cały dom – nie pamiętam, o co poszło – w każdym razie jedna kobieta wreszcie dostała pierdolca. Ryczała, miotała się, wygadywała. Wyrzuciła mnie z domu. A inni dorośli ją popierali i wszyscy mieli takie same odczucia jak ona. Zdaje się, że mnie to gówno obchodziło. Pamiętam, jak szedłem do domu – ze cztery kilometry – gwiżdżąc i podśpiewując. REPORTER: – Wygląda na to, że obrałeś wiadomy kierunek na długo przed poprawczakiem.

GILMORE: – Niby zawsze wiedziałem, że przestrzeganie prawa to głupota. Ale jeżeli chodzi o kierunki, to reaguje się w pewien sposób, ponieważ życie wynika z różnorodnych doświadczeń. Czy to brzmi sensownie?

REPORTER: – Trudno powiedzieć. Daj jakiś przykład. GILMORE: – Dobrze, to dosyć osobiste przeżycie. Będzie ci się wydawać raczej dziwne, ale na mnie wywarło trwały wpływ. Miałem Jakieś jedenaście lat, wracałem do domu ze szkoły i pomyślałem, że Pójdę na skróty. Zlazłem w dół po zboczu kilkanaście metrów niżej zaplątałem się w gąszczu krzaków dzikiej róży, jeżyn i głogu. Tam na tym dzikim zarośniętym terenie w południowo-wschodnim Portland, niektóre krzaki wyrastały na kilkanaście metrów, tak mi się wydaje. Myślałem, że pójdę na skróty, ale tam nie było przejścia. Nikt się tamtędy nie przedzierał. Na początku mogłem się odwrócić

i pójść z powrotem, ale postanowiłem iść naprzód i ze trzy godziny zajęło mi szukanie drogi. Przez cały ten czas ani razu nie od-poczywałem, tylko parłem naprzód. Wiedziałem, że jeśli będę zasuwał to się przedrę, ale miałem też świadomość, że mogę utknąć na dobre Byłem oddalony o spory kawałek od najbliższych domów i choćbym krzyczał… cóż, mogła mnie tam po prostu spotkać śmierć. Nikt by nie usłyszał moich krzyków. Parłem więc do przodu. To była osobista rozgrywka. Dotarłem wreszcie do domu, spóźniony o jakieś trzy godziny, i mama powiedziała „spóźniłeś się", a ja mówię „tak, bo szedłem na skróty" (śmieje się). To odmieniło moje spojrzenie na wiele spraw.

REPORTER: – Jakich spraw?

GILMORE: – Sama świadomość, że nie czuję strachu. Wiedziałem, że przejdę, jeśli się nie będę zatrzymywał. Miałem potem dziwne uczucie, jakby zwycięstwa nad sobą.

REPORTER: – W takim razie dlaczego powiedziałeś, że ukształtował cię poprawczak?

GILMORE: – Słuchaj, domy poprawcze szerzą pewną wiedzę tajemną. Wzbogacają doświadczenie. Dzieciak wychodzi z poprawczaka ze znajomością takich spraw, które inaczej by przeoczył. Potem utożsamia się zwykle z innymi wtajemniczonymi, czyli z elementem kryminalnym, czy jak tam go zwał. Dlatego pobyt w Woodburn był w moim życiu nie bez znaczenia.

REPORTER: – Czy w Woodburn było okropnie? Jak tam pasowałeś?

GILMORE: – Człowieku, tam nabrałem przekonania, że to jedyny sposób na życie. Podziwiałem tam różnych ludzi, oni byli twardzi, zbuntowani – mówimy o latach pięćdziesiątych – i zdawało się, że oni tam rządzą. Wychowawcy rekrutowali się spośród miejscowych piwoszy, którzy odbębniali swoje godziny i nie obchodziło ich, że ktoś zrobił to czy tamto. Mieli tam też paru lekarzy od świra. Wtedy w modzie była psychoanaliza. Przychodził taki i odstawiał różne testy z plamami atramentu, zadawali też rozmaite pytania, najczęściej związane z seksem. Dziwnie się przyglądali… i tyle. REPORTER: Jak długo tam przebywałeś? GILMORE: – Piętnaście miesięcy. Cztery razy uciekałem i później dopiero się kapnąłem, że najlepszy sposób, żeby naprawdę wyjść, to pokazać im, że jestem zresocjalizowany. Przez cztery miesiące nie rozrabiałem i zwolnili mnie. To mnie nauczyło, że takich jak oni bardzo łatwo oszukać.

RepORTER: – Czy współwięźniowie kiedykolwiek próbowali zrobić z ciebie fagasa?

(GILMORE: – Nie… nikt nigdy… ja nigdy nie miałem takich przejść. ani razu. Gdyby to się zdarzyło, zareagowałbym ostro i zdecydowanie. Zabiłbym tego człowieka albo mu czymś przyłożył, wiesz, gdyby okazał się silniejszy. Uzbroiłbym się w coś. Ale nigdy mi się to nie zdarzyło.

REPORTER: – Co czułeś po zwolnieniu z Woodburn? GILMORE: – Wyszedłem gotów do rozróby. Myślałem, że tak trzeba. Czułem się nieco lepszy od innych, bo zaliczyłem poprawczak. Miałem taki kompleks twardziela, odstawiałem ważniaka, młodocianego wykolejeńca. „Młodociany wykolejeniec" – pamiętasz to określenie? Zaraz wiadomo, z której jestem wojny. Nikt mi nie mógł podskoczyć. Miałem długie piórska za uszami, piłem, paliłem, ładowałem się heroiną, trawą, prochami, wdawałem się w bójki, polowałem na ładne babeczki. Być młodocianym wykolejeńcem w latach pięćdziesiątych to była cholerna frajda. Kradłem i napadałem, grałem na forsę i chodziłem na dancingi, gdzie występowali Fats Domino i Gene Yincent.

REPORTER: – Jaki wtedy miałeś pomysł na życie? GILMORE: – Chciałem zostać gangsterem. REPORTER: – Uważałeś, że nie masz innych uzdolnień? GILMORE: – No nie, jakiś talent miałem. Zawsze byłem dobry z rysunków. Od dziecka dużo rysowałem i pamiętam, jak nauczycielka gdzieś w drugiej klasie powiedziała do mojej matki „pani syn jest artystą", i mówiła to najzupełniej szczerze.

REPORTER: – Czy kiedykolwiek zdarzyło ci się zwątpić w swoje kryminalne przeznaczenie i czułeś, że możesz się zmienić? GILMORE: – Kombinowałem, że może coś osiągnę jako artysta – wiesz, cholernie trudno się wybić. Chciałem odnieść sukces na skalę – zajmować się sztuką, nie komercją. Ale wkrótce do mnie dotarło, że prawdopodobnie spędzę resztę życia za kratkami popełnię samobójstwo, zatłucze mnie policja czy coś w tym guście. Spotka mnie nagła śmierć. Jednak rzeczywiście jako dziecko myślałem o tym serio przez pewien czas, to znaczy o karierze.

REPORTER: – Po jakim czasie znowu cię zamknęli? GiLMORE: – Za cztery miesiące.

ReportER: – Cztery miesiące! A mówiłeś, że domy poprawcze są, żeby z nich uciekać. Nie mogłeś użyć wiedzy tajemnej, żeby

uniknąć więzienia?

GILMORE: – Tak mi było pisane. Niektórzy są całe życie szczęściarzami. W cokolwiek by się wpakowali, zaraz znowu łażą po wolności. A inni mają niefart. Raz coś spierdolą i już na zawsze pisane im długie odsiadki.

REPORTER: – Ty jesteś ten pechowiec?

GILMORE: – No. „Wieczny recydywista". Rządzą nami przyzwyczajenia, bracie.

REPORTER: – Jaki był twój najdłuższy pobyt na wolności od czasu poprawczaka?

GILMORE: – Najwyżej koło ośmiu miesięcy. REPORTER: – Podobno twój iloraz inteligencji wynosi sto trzydzieści, a mimo to spędziłeś w więzieniu dziewiętnaście lat z ostatnich dwudziestu dwóch. Dlaczego nigdy nie udało ci się wywinąć? GILMORE: – Wywinąłem się parę razy. Marny ze mnie złodziej. Impulsywny. Nie planuję, nie myślę. Nie trzeba być superinteligentnym, żeby nie wdepnąć w gówno, tylko trzeba myśleć. A ja nie myślę. Jestem niecierpliwy. Nie dość zachłanny. Mnóstwo razy łapali mnie, chociaż mogłem dać nogę. Ja chyba nie za bardzo się na tym znam. A może dawno przestało mi zależeć.

Świetny materiał. Farrell nie miał zamiaru puszczać tego bez sprawdzenia, ale przynajmniej Gilmore próbował tu się jakoś zaprezentować. Widocznie chciał, żeby takim go widział świat i takim zapamiętał. Zupełnie inny facet aniżeli w listach!

Farrell zgadzał się z Schillerem, że chodzi o wciągnięcie Gary'ego w rozmowę o morderstwach. Zawsze coś stało temu na przeszkodzie Gilmore tracił ochotę do rozmowy. Jego opowieść przybierała taki styl narracji, w którym każda prostytutka czy psychopata opowiada o najbardziej nudnym albo najbardziej udanym wieczorze: brachu, robiło się to i

tamto, a potem żeśmy poszli tu i tu." urywana i obojętna. Stanowcza odmowa przywiązywania wagi do szczegółów. Życie jest jak dom towarowy. Zwiń, a nuż się uda.

: – April wsiadła do szoferki i włączyła, radio bardzo głośno, przysunęła się bliżej do mnie i powiedziała, że nie chce wracać do domu, no to ja jej mówię: „Słuchaj, jak chcesz, możemy jeździć całą noc." Pojechałem więc w to miejsce, gdzie kupowałem moją ciężarówkę, i pogadałem z nimi o rozliczeniach finansowych. Oddałem im swego mustanga jako zaliczkę, trochę żeśmy popili i obgadaliśmy z grubsza sprawę umowy na kupno tej ciężarówki, i oni w pewnym sensie wzięli moje pistolety na przechowanie, a jeden pistolet to zatrzymałem przy sobie, ten naładowany, no i podpisałem papiery jako właściciel ciężarówki, zostawiłem tam mustanga, później pojeździliśmy trochę z April, aż zajechaliśmy do Orem i stanąłem za rogiem koło tej stacji benzynowej, która wyglądała raczej na pustą. Wydaje mi się, że to właśnie zwróciło moją uwagę. Podjechałem za róg, zaparkowałem i kazałem April zostać w ciężarówce. Powiedziałem, że zaraz wracam. Poszedłem do stacji i kazałem Jensenowi oddać mi pieniądze, i on to zrobił, wtedy mu powiedziałem „wejdź do łazienki i połóż się na podłodze", potem szybko poszło. Nie dałem mu poznać, co go czeka, nic z tych rzeczy. To była zaledwie dwudziestka dwójka, więc strzeliłem dwa razy w krótkim odstępie, żeby przypadkiem nie zadać mu bólu ani nie zostawić go półżywego czy coś. No i wyszedłem stamtąd, pojechałem do… nie bardzo wiem, gdzie była ta stacja Sinclaira, ale pojechałem do głównej drogi. Zdaje się, że to była ulica Stanowa i tam u Albertsona kupiłem frytki i jeszcze coś tam, żeby mieć do kina, i jeszcze pół skrzynki piwa, i to, na co April miała ochotę.

Nareszcie któryś adwokat zadał pytanie. Farrell musiał przyznać, że rezultat był lepszy. Bez wątpienia Gilmore'a trzeba wytrącić z psychopatycznej tępoty.

REPORTER: – Jest jedna kwestia. Kiedy zatrzymałeś się przy stacji Czynowej, to zakładałeś z góry, że obrabujesz Jensena albo że go

zabijesz? GiLMORE: – Miałem zamiar go zabić.

RePORTER: – Kiedy ci to przyszło do głowy? Żeby kogoś zabić?… GilmORE: – Nie umiem powiedzieć. To narastało przez cały dZień. W tamten wieczór wiedziałem, że muszę otworzyć zawór i dać czemuś ujście, ale nie wiedziałem dokładnie czemu i nie myślałem, że zrobię to czy tamto albo że od czegoś mi ulży. Wiedziałem tylko, że coś się we mnie dzieje i trochę się rozładowałem, chociaż to brzmi dość wstrętnie.

REPORTER: – Nie, skąd. Czy Jensen powiedział coś, co cię zdenerwowało?

GILMORE: – Nie, nic takiego.

REPORTER: – Co kazało ci wysiąść z ciężarówki i pójść do kantoru, gdzie siedział Jensen? GILMORE: – Naprawdę nie wiem. REPORTER: – Co chcesz przez to powiedzieć? GILMORE: – Że naprawdę nie mam pojęcia. Mówiłem już, że stacja wyglądała na opuszczoną. Po prostu się nadawała. REPORTER: – Wygląda na to, że zabójstwo Jensena wcale nie zmniejszyło wewnętrznego nacisku. Dlaczego następnego wieczoru wybrałeś się zabić Bushnella?

GILMORE: – Nie wiem, bracie. Jestem impulsywny. Nie myślę. REPORTER: – Zabiłeś go w taki sam sposób, jak poprzedniej nocy Jensena – każąc mu leżeć na podłodze i strzelając w głowę z przystawki. Czy wyobrażałeś sobie, że zabójstwo Bushnella przyniesie ci jakąś ulgę, której nie czułeś po Jensenie? GILMORE: – Mówię ci, ja się nie zastanawiałem. Pamiętam właśnie brak jakichkolwiek myśli. Tylko ruchy, działanie. Strzeliłem do Bushnella i wtedy pistolet się zaciął – te samopowtarzalne są całkiem chujowe! I pomyślałem: zaraz, ten gość nie umarł. Chciałem strzelić do niego po raz drugi, żeby

nie leżał tam półżywy. Nie chciałem zadawać mu bólu. Próbowałem zwolnić mechanizm, żeby pistolet działał, i strzelić jeszcze raz, ale się zaciął i musiałem brać dupę w troki. Odblokowałem pistolet, ale za późno, żeby cokolwiek zrobić dla pana Bushnella. Obawiam się, że nie umarł od razu. Kiedy mu kazałem się położyć, chciałem załatwić go szybko. Nie miał żadnych szans, żadnego wyboru. To brzmi bezlitośnie, ale skoro pytasz… REPORTER: – Czy do obu zabójstw podchodziłeś jednakowo? GILMORE: – Nie, nie sądzę. Można powiedzieć, że było trochę bardziej pewne, że pan Bushnell umrze. REPORTER: – Dlaczego?

GILMORE: – Ponieważ stało się faktem, że pan Jensen zginął, przez to, że ten następny był bardziej pewny. REPORTER: – Czy drugie zabójstwo było łatwiejsze od pierwszego Żadne z nich nie było trudne ani łatwe.. – Czy kiedykolwiek miałeś do czynienia z którymś z tych ludzi? GILMORE:

Nie.

Więc co zaprowadziło cię do motelu City Center,

gdzie pracował Bushnell? Po prostu próbujemy zrozumieć naturę tej Wściekłości, o której mówiłeś. To nie był gniew, który można rozładować przez seks?

GILMORE: – Nie chcę mieć do czynienia z pytaniami dotyczącymi seksu. Uważam, że są prymitywne.

RePORTER: – Ale tej nocy, kiedy zabiłeś Bushnella, gdybyś znalazł się w łóżku z miłą dziewczyną, napiłbyś się z nią piwa, odprężył, porozmawiał, czy nie poprawiłoby ci to samopoczucia? GILMORE: – Nie chcę odpowiadać na to pytanie. REPORTER: – Zdaje się, że łatwiej przychodzi ci mówienie o morderstwach niż o seksie. GILMORE: – To twoja ocena.

Dobry materiał, myślał Farrell. Dobry początek.

Za to przez cały świąteczny tydzień mieli zastój. Żadnych istotnych wypowiedzi. Farrell zaczął podejrzewać, że wystraszył Gil-more'a. A może Gary był nie w formie z powodu świąt? Kiedy czytało się jego cierpkie uwagi o Gwiazdce w więzieniu, nietrudno było wyczytać między wierszami: mój ostatni Sylwester na tym świecie.

Barry zaczął się też niepokoić, że przyczynę stanowią adwokaci, przez ostatni tydzień roku dzień w dzień jeździli pożartować sobie z Garym, opuszczali główne kwestie, zaniedbywali dalszego drążenia Przy dobrych odpowiedziach i zagłębiania się w bardziej wyszukane Pytania Farrella, jak gdyby nie nadawały się one do odczytywania w rozmowie zwyczajnych ludzi.

Barry dzwonił do biura Stangera i z wielkim trudem dyktował nowe pytania. Za dzień lub dwa wracała taśma, do tego stopnia

pozbawiona treści, że Farrell się zastanawiał, czy aby prawnicy

nie chcą pokazać, że potrafią materiał nie tylko zdobyć, ale również wstrzymywać. Doszedł do wniosku, że oni nadal muszą być

wśCiekli z powodu wyjazdu Schillera na Hawaje. Może to i nie po

bożemu wypytywać człowieka o krok od śmierci, ale i tak efekt żaden.

STANGER: – Umiałeś sobie radzić jako więzienny przywódca? GILMORE: – Ostatnimi czasy, kiedy siedziałem w Oregonie, trochę mnie wciągnęła rewolucja, ale wtedy się przekonałem, ^ z tej rewolucji gówno wynika, więc dałem sobie spokój (śmieje się).

STANGER: – Dobra, spędziłeś ponad cztery lata w pojedynce. Czy

to dlatego że wybrałeś trudną drogę? Czy raczej nie panowałeś nad

sobą?

GILMORE (śmieje się): -…Mam teraz wybrać A lub B, tak?

STANGER: – Wybór masz nieograniczony (śmieje się).

GILMORE: – Ze mnie jest po prostu taki pojebaniec.

Mniej więcej tak to szło. Niektóre dialogi rzucały Farrellem o ścianę. W wywiadzie z dwudziestego grudnia w krótkiej wymianie zdań znajdowała się pewna wskazówka:

REPORTER: – Twoje poczucie nieuchronności i trafności przepowiadania własnych losów wskazują, że te zabójstwa szykowały się od dawna. Czy fantazjowałeś o sobie w roli zabójcy na długo przed popełnieniem tych czynów w rzeczywistości? (pauza) To dobre, mocne pytanie, co? (śmieje się).

GILMORE: – No. Masz rację. Zastanawiałem się, czy mogę iść tego… „kupuj i płać"? (śmieje się) To jest w cockneyu* rym do „szczać".

REPORTER: – Dobry pomysł. Chodźmy. GILMORE: – Jak wrócę, to odpowiem. Trochę nad tym pomyślę. REPORTER: – Dobra. GILMORE: – To zalatuje religią.

Potem Gary wrócił z przydługim i mało zadowalającym sprawozdaniem z zabójstwa Jensena. To było w zeszłym tygodniu. Sprawdzały się podejrzenia Farrella. W głębi duszy Gilmore lubił inteligentne pytania i mądre sformułowania. One uszlachetniały

sytuację. Tutaj, mimo że adwokat natrząsał się z pytania, Gary wypracował jakąś odpowiedź. Jednak jego gotowość do

zwierzeń nie utrzyma się, jeśli prawnicy będą odpowiadać wyłącznie dowcipami. Zupełnie jakby żartowali przy łóżku umierającego na

raka.

* Z zabawnej gwary zwanej „cockney rhyming slang" pochodzi zasada rymowi przyjęta w amerykańskiej grypserze. (Przyp. tłum.)

Moody i Stanger może i nie przykładali się do prac wydobywczych, za to z pewnością interesowali się transakcjami sprzedaży. Ledwo Schiller wrócił z Hawajów, zaraz zaczęli go wypytywać o umowy zagraniczne. Schiller musiał wdawać się w szczegóły, zanim je w ogóle ustalił. Jego uwaga przy obiedzie, że może sprzedać listy, a oni się nigdy nie dowiedzą, wróciła do niego rykoszetem. Pilnie śledzili możliwości dopływu gotówki. Miał nadzieję, że to ich pobudzi do robienia lepszych wywiadów, lecz oni tylko nabrali przeświadczenia, iż pracują na cudzy rachunek. Zaczęli nawet narzekać, że przeprowadzanie wywiadów nie było uwzględnione w początkowej umowie i powinni za to pobierać dodatkowe wynagrodzenie. Przeczuwał, że ten temat jeszcze nie raz powróci.

Schiller zorientował się, że problem z adwokatami polega na ich coraz większym poczuciu siły dzięki kontaktom z Garym. Specjalnie podkreślali, że kiedy on opalał się na Hawajach, oni pojechali do więzienia w Boże Narodzenie. Tak samo w Nowy Rok i we wszystkie pozostałe dni. Bo Gary czuł się samotny. Prawnicy informowali Schillera tak, jakby jego nieobecność trwała kilka lat. Niewątpliwie Gary z niecierpliwością oczekiwał ich odwiedzin. Dzięki nim mógł opuszczać celę i przechodzić "° pomieszczenia koło sali widzeń. Nawet po kilkugodzinnej rozmowie, kiedy pozostawało im tylko odwiesić słuchawkę i zbie-rac się do wyjścia, docierało do nich stukanie w szybę. Gilmore zawracał. Chciał spytać o dzieci. Udzielał rad. Jeśli są niegrzeczne, trzeba je ukarać. Ale cały czas powtarzać, że się je kocha.

Te codzienne sesje napełniały adwokatów taką troską o inne sprawy Gary'ego, że zapomnieli o głównym przedsięwzięciu, wywnioskował Schiller. Całkiem naturalnie zaczęli je lekceważyć.

Jednak problem najbardziej niepokojący Schillera po powrocie wiązał się z Garym. Po pierwsze trzeba mu było powiedzieć o „National Enquirer". Artykuł miał ukazać się za kilka dni. Z Hawajów poinstruował adwokatów, żeby wyjaśnili Gary'emu, że sprzedał trochę materiału do „Enquirera", ponieważ i tak mieli tam robić artykuł na temat Gilmore'a, a zawsze lepiej coś z tego mieć Udało się. Gilmore przyznał rację. Ale potem, w kolejnym telegramie, Schiller popełnił błąd, kodując imię Nicole. Nie chciał, żeby w więzieniu wiedzieli, o kim mowa, przesłał więc parę pytań, w których nazywał ją Pieguskiem.

Za późno się zorientował, że Gary tak się czasem do niej zwracał w swoich listach. Cóż za straszliwa gafa! Chyba podświadomie pragnął wyznać Gary'emu, że czytał jego listy. Gdyby tylko Gilmore przyznał, że przeczytanie tych listów to nie żadna zbrodnia, wtedy można by było nadać pytaniom bardziej osobisty charakter. Ale gdzie tam. Kiedy Schiller bawił jeszcze na Hawajach, Moody odczytał mu kartkę od Gary'ego.

Drogi Larry

Piegusek?

Ona ma na imię Nicole.

Dotarło?

Czytałeś listy – - to mi się nie podoba.

Tu, w mojej celi, mam około setki listów, które napisała do mnie Nicole.

Nie przeczytasz ich.

Przeczytam, zanim będzie po wszystkim, pomyślał Schiller.

Nie kwestionuję twoich pobudek. Wiem, że musisz się dowiedzieć, ile

się da.

Ale twoje niektóre metody…

To sprawa twojego stosunku do mnie, Larry…

Możesz mnie urazić.

A nie radziłbym.

Jeśli wolno mi zaproponować – bądź ze mną absolutnie szczery. Bo ja biorę wszystko dosłownie.

Kiedy prosiłem cię, żebyś nie czytał tych listów, nie spierałeś się ze mną ani nie starałeś się mnie przekonać.

Jak jeszcze raz mnie urazisz, to już na zawsze, Larry.

Tym razem, wyjątkowo, odpuszczę sprawę.

Teraz wiesz.

Z poważaniem

Gary

30 GRUD. GODZ. 15.45 GARY GILMORE WIĘZIENIE STANU UTAH SKR. POCZT. 250 DRAPER UT 84020

ROZUMIEM TWOJE ARGUMENTY JASNO SFORMUŁOWANE STOP NIE STARAŁEM SIĘ UKRYĆ TEGO FAKTU STOP Z POWAŻANIEM

LARRY

Ponieważ odpowiedź nie nadchodziła, Schiller wysłał następny telegram.

2 STYCZ. GODZ. 13.42 GARY GILMORE WIĘZIENIE STANU UTAH SKR. POCZT. 250 DRAPER UT 84020 NICOLE BYŁA DUMNA Z TWOICH LISTÓW DLATEGO

UDOSTĘPNIŁA JE KILKU OSOBOM w TYM MNIE STOP

JEDYNIE OBA ZESTAWY LISTÓW OBOK SIEBIE MOGĄ DAĆ PRAWDZIWSZY I PEŁNIEJSZY OBRAZ WASZEJ MIŁOŚCI NIŻ LISTY JEDNEJ STRONY STOP CHCĘ ZAPRZECZYĆ OPINII ŻE TY MASZ NAD NIĄ WŁADZĘ STOP TAKI WNIOSEK NARZUCA SIĘ JEŚLI KTOŚ CZYTAŁ TYLKO TWOJĄ CZĘŚĆ STOP MOIM ZDANIEM JEJ LISTY TO NAJBARDZIEJ DOBITNY SPOSÓB PRZEDSTAWIENIA PRAWDZIWEGO OBRAZU WASZYCH STOSUNKÓW STOP TO NIE NAJLEPSZY SPOSÓB PROWADZENIA ROZMOWY ALE NIE MA INNEJ MOŻLIWOŚCI

LARRY

Odpowiedź przyszła na taśmie, przez Moody'ego i Stangera.

GILMORE: – Dostałem depeszę od Larry'ego i on pyta, czy może dostać listy, które pisała do mnie Nicole. Powiedzcie mu, że je po prostu zniszczyłem, nie będę rozwijał tematu. On się posługuje pewną psychologią abstrakcyjną, ale to na mnie nie działa. W pewnym sensie zasugerował… to taki rodzaj insynuacji, wiecie, że niby mnóstwo ludzi uważa, że ja mam jakiś wpływ na Nicole, i gdyby zapoznać ich z tą korespondencją, to wszystko by się wyjaśniło. Nie podoba mi się ta sugestia. Larry nie ma szans dorwać tych listów, one są zapisane w moim sercu. Tam się znajdują, gdzie indziej ich nie ma i tyle, to zaoszczędzi mi pisania listu do niego (śmieje się).

Wkrótce wyskoczył kolejny numer i przechlapane. „National Enquirer" zamieścił artykuł – coś okropnego. Nie chodziło o listy, które Scott Meredith im sprzedał; zrobili analizę nagrania głosu Gary'ego i na całej stronie rozgrzebali jego psychikę.

«NATIONAL ENQUIRER»

John Blosser

Morderca Gary Gilmore kłamie – on NIE CHCE umierać!

Powyższy wniosek wysnuł Charles McQuiston, emerytowany wyższy oficer kontrwywiadu Stanów Zjednoczonych, który posłużył się metodą PSE (ocena stresu psychologicznego) dla zanalizowania dwudziestominutowego nagrania rozmowy telefonicznej z Gilmore'em w Więzieniu Stanu Utah (…) (Metoda PSE polega na zapisie akcentów głosowych i jest stosowana w instytucjach wymiaru sprawiedliwości dla określenia, czy dana osoba kłamie.)

,.Jestem absolutnie przekonany, że Gilmore nie chce umierać. Przejawia duże zaangażowanie emocjonalne, jeśli chodzi o spotkanie ze Stwórcą i przy tym bardzo się boi" – oświadczył oficer kontrwywiadu.

„Pragnie ułaskawienia za swoje zbrodnie" – dowiedział się „Enquirer" od McQuistona.

Oto kilka wyjątków z analizy PSE dokonanej przez Charlesa McQuistona. "›

GILMORE: – Prawo skazało mnie na śmierć. Uważam, że słusznie. ANALIZA MCQUISTONA:

Niesłychanie silny akcent pada na słowo „śmierć". Oznacza to, że w żadnym wypadku on nie chce umierać.

GILMORE: – Po prostu pójdę tam, usiądę i zostanę zastrzelony. ANALIZA MCQUISTONA:

Przy tej wypowiedzi jego cykliczne tempo szaleńczo przyspiesza. Można go do tego zmusić (tzn. doprowadzić przed pluton egzekucyjny), co zresztą nie będzie łatwe – on zaś zdecydowanie nie chce, by to nastąpiło.

GILMORE: – Chyba można powiedzieć, że ja wierzę w życie Po życiu, dlatego trochę łatwiej mi to przyjąć (spotkać śmierć).

ANALIZA MCQUISTONA:

Układ akcentów dowodzi, iż on istotnie wierzy w życie pozagrobowe. Ta wypowiedź jest zgodna z prawdą. Jednak niczego mu to nie

ułatwia.

Raczej utrudnia i to bardzo. On wierzy, lecz ma uczucie, że wybiera Się tam (w zaświaty) z pewnym obciążeniem – boi się.

5 STYCZ. GODZ. 16.31 GARY GILMORE WIĘZIENIE STANU UTAH SKR. POCZT. 250 DRAPER UT 84020

MINĘŁA DOBA ZANIM ZDĄŻYŁEM OCHŁONĄĆ PO ZOBA-CZENIU «ENQUIRERA», W PRZECIWNYM RAZIE POCZTA NIE PRZYJĘŁABY TEKSTU. ONI KUPILI MATERIAŁ I NAJWYRAŹNIEJ WYKORZYSTALI ZALEDWIE DROBNĄ CZĘŚĆ SĄDZĘ, ŻE MOGŁEM SIĘ TEGO SPODZIEWAĆ, ALE POD PEWNYMI WZGLĘDAMI JESTEM WCIĄŻ NAIWNY. WSTYD MI ŻE TAK WYGLĄDA PIERWSZA PUBLIKACJA, ALE ZNASZ POWODY, Z JAKICH NA TO POSZLIŚMY. TERAZ TEN RYNEK JEST JUŻ NASYCONY I MOŻEMY ROBIĆ TO, O CO NAM CHODZI.

LARRY

5 stycznia

Drogi Lary.

Właśnie przeczytałem z umiarkowanym zainteresowaniem „National Enquirer".

Bardzo niesmaczne…

Zdaje się, że ludziom wolno drukować, czytać i myśleć, co zechcą.

Ale jestem ciekaw…

To znaczy zakładam, że człowiek z twoją pozycją i z twoim doświadczeniem, który z pierwszej ręki zna prasę brukową w rodzaju "Enquirera", potrafi skuteczniej kontrolować materiał przeznaczeń) do druku…

A może kontrolowałeś tyle, na ile ci zależało?

Jestem z lekka zaciekawiony…

Nie szczególnie zainteresowany…

Widzisz, ja wiem, jak jest naprawdę. Nicole również wie. A / nie muszę tłumaczyć się przed nikim, tylko przed sobą i Przed Nicole.

Nie jestem żadnym przyjemniaczkiem ani bohaterem. Ale nie jestem też facetem, którego robi ze mnie „Enquirer"..

Larry, możesz myśleć, drukować i filmować zgodnie z wnioskami, do jakich sam dojdziesz. Wierzę, że jesteś człowiekiem o pewnej wrażliwośCi i interesuje cię prawda.

jedyna odpowiedź dla,,Enquirera" brzmi: Każdy wie, że „National Enquirer" niezupełnie odpowiada określeniu wiarygodne źródło informacji".

Gary

Moody i Stanger powiedzieli, że Gary nie przejawiał silniejszych reakcji. Schiller był całkiem zdezorientowany. Artykuł w „National Enquirer" zakwestionował honor Gary'ego, jeśli chodzi o śmierć, on jednak skwitował to jednym zdaniem. Natomiast wystarczy nazwać Nicole Pieguskiem i Gary niemal przestaje się odzywać. Zmusiło to Schillera do zastanowienia. Musiał zadać sobie pytanie, czy w ogóle się nadaje do rozgryzania Gary'ego Gilmore'a?

Hej, Kochany Przyjacielu – Kocham Cię!

Często jestem tu zagubiona i tak już będzie, gdziekolwiek się znajdę – dopóki nie poczuję, jak mnie otula Twoja dusza.

Przez prawie cały dzień jestem sama ze sobą.

Ale w nocy… och, tak kocham noce. Mogę iść, dokąd zechcę, robić i odczuwać wszystko, co dobre…

Przytulać Cię mocno i ciepło z Twoją szorstką zarośniętą twarzą w dłoniach… Zabierać Cię w miejsca, które uwielbiałam jako dziecko, do ciemnej dolinki w sosnowym lesie. To był mój,,pokoik". las gęsto otoczony wysokimi sosnami i krzewami jeżyn zawsze Pełnymi owoców, że odnalezienie prowadzącego tam tunelu było niełatwym zadaniem. Kładłam się pośrodku na miękkim i sprężystym dywanie ciepłych, wilgotnych, słodko pachnących igieł, żeby spoJrzeć wprost w górę, wzdłuż ściany drzew, na kryształowy błękit nieba i obserwować skradające się chmurki z waty. Słuchać tego zaczarowanego lasu, który szeptał coś w tysiącu leśnych języków.

°°że, jak kochałam to miejsce dawno dawno temu.

Pamiętam nasze rozmowy tam z Ciocią Kathy, ona to uwielbiała Wygrzebywała sobie dołek w poszyciu na popielniczkę. I siedziała cicho i słuchała ze mną., Byłam tam z Tobą ostatnio, może zeszłej nocy.

Oj, szalona jestem.

«SALT LAKĘ TRIBUNE»

Salt Lakę, 6 stycznia. Telewizja KUTY złożyła wczoraj w Sądzie Federalnym dla stanu Utah wniosek o prawo do bezpośredniego transmitowania wyznaczonej na 17 stycznia egzekucji skazanego mordercy Gary'ego Marka Gilmore'a…

ROZDZIAŁ 23

Gdzie się robi telewizję

«SALT LAKĘ TRIBUNE» Sprawozdanie z egzekucji? To nie dla Barbary

Salt Lakę, 7 stycznia. Barbara Walters przeraziłaby się, gdyby zaproponowano jej komentowanie egzekucji Gary'ego Gilmore'a w przyszłym tygodniu. Prawdopodobnie odmówiłaby wykonywania takiej pracy.

Inny zaś szef programów, Harry Reasoner, jest gotów przenieść się na ten dzień do Salt Lakę City.

Jest przekonany, że należy zwrócić uwagę całego kraju na to wydarzenie i transmitować je na żywo. „W drodze wyjątku" – jak stwierdził…

Na początku stycznia Schiller umówił się na wieczór z Billem ^oyersem w hotelu Utah w Salt Lakę, żeby przedyskutować udział w programie „CBS Reports" i zaprosił też Tamerę Smith. Ona nie Przepuści takiej okazji, myślał Schiller. To miała być pierwsza z nagród obiecanych w domu jej brata. Ponadto chciał się przekonać,

jak dalece Moyers potrafi się zdeklarować w obecności nieznajomej

oSoby.

Kiedy podeszli do stolika, Larry przedstawił ją z nazwiska i Moyer uprzejmie się przywitał, lecz nie skojarzył jej z „Deseret News" Wiedział wszystko o Vernie Damico i Kathryne Baker, lecz z pewnością nie pamiętał nazwisk statystów.

Mieli stolik z niesamowitym widokiem. Z samej góry piętnastopiętrowego hotelu Utah oglądali wieże Świątyni Mormonów na tej samej wysokości po drugiej stronie ulicy, najważniejszej świątyni mormonów na świecie. Wieże oświetlono reflektorami, przez co kościół przypominał zamczysko – widok pełen dramatyzmu. Jednak Schiller nie czuł zbytniego podziwu. Kiedy oglądał Chartres, to była rozkosz dla jego oka fotografika, zawsze też można dostrzec coś pięknego w Notre Damę. Natomiast ta mormońska świątynia była taka sama z każdej strony. Po prostu górujący masyw, pełen demonstracyjnej pobożności. Wysokie ambicje. Wiązała się z tym jednak pewna tajemniczość. Schiller słyszał, że nie wolno zwiedzać Świątyni Mormonów, tak jak turyści zwiedzają słynne katedry. Aby się dostać do środka, należało mieć Klucz, to znaczy rekomendację lokalnego biskupa. Świadczy to dobitnie, jak zamkniętą społecznością są w istocie mormoni.

Być może bliskość kościoła, do którego nie wolno wejść, pobudziła wyobraźnię Schillera, w każdym razie postanowił zaryzykować. Zaraz po wymianie wstępnych uprzejmości, kiedy Moyers powiedział wprost, że chce zrobić wywiad z Larrym na temat finansowej strony egzekucji Gary'ego Gilmore'a, Schiller posłał miły uśmiech w odpowiedzi i oświadczył:

–Nie chcę, żeby pan mnie zniszczył w swoim programie. Oczywiście, niczym„łapacz" w trakcie rozgrywki, widział, jak piłka leci z dalekiego pola wprost na niego.

–Mam coś, czego pan potrzebuje, i ja to panu dam – zaczął. – Zamierzam dać panu do przeczytania wypowiedzi Gilmore'a spisane z taśm i może pan wybrać trzy minuty do swego programu. Ale przedtem musi pan zrozumieć moje warunki. Chcę, żeby pan teraz przez dwadzieścia minut słuchał, co

powiem o sobie: kim jestem i czym się zajmuję. Wtedy sam pan zdecyduje, czy jestem bezstronnym dziennikarzem, czy wyzyskiwaczem.

Nie była to najprostsza wersja jego życiorysu. W porównaniu z kimś takim jak Moyers, Schiller uważał się pod wieloma względami za naiwniaka. Jednak zawsze starał się dostrzegać pozytywną stronę zjawisk. Przedstawił się więc Moyersowi od najlepszej strony.

Ukrył mało znany profil Larry'ego Schillera, czyli swoje opracowania. O sztucznej nerce i o skażeniu rtęcią w Japonii, robione wspólnie ze znakomitym fotografikiem Eugenem Smithem. Mówił o tym, jak zaangażowanie emocjonalne w tak ważkie tematy odmieniło jego życie w większym stopniu, niż inni są w stanie dostrzec. Były czasy, kiedy biegał na wyścigi, kto pierwszy, lecz teraz czerpie motywację z jakości swojej pracy. Na tyle trzeba go rozumieć. Kiedy już Schiller wyczuł, że Moyers jest wstępnie urobiony, powiedział:

–Dziś dam panu do przeczytania teksty nagranych wywiadów z Gilmore'em i może pan wybrać trzy – tu przedłużył do pięciu minut taśmy, ale pod trzema warunkami. Może pan wykorzystać wyłącznie głos Gilmore'a, nie zadającego pytania. Nie może pan również podać w programie, kto przeprowadzał wywiad.

Moyers kiwnął głową.

–A potem – ciągnął Schiller – będę miał prawo zdjąć cokolwiek z tego, co pan wybierze. W granicach rozsądku, oczywiście, jednak ja muszę zachować kontrolę. Nie mogę dać panu carte blanche.

Moyers spytał:

–Czego pan żąda w zamian?

Schiller wiedział, że Moyers na to poleci. Nie miał facet wyjścia. W Salt Lakę praktycznie nie było telewizji bez Gilmore'a.

–Po pierwsze – odparł Schiller – chcę, żebyście zrobili ze mną wywiad na tle dziennikarskich rekwizytów. Sfilmujecie mnie, powiedzmy, w redakcji, przy maszynie albo przy telefonie. Potrzebuję odpowiedniego tła, żeby podtrzymać swoją wiarygodność. Nie mam żadnej kontroli nad komentarzem, jaki pan na mój temat wygłosi. Mogę jedynie kontrolować filmowany obraz, ponieważ znam się na montażu i wiem, co pan będzie chciał osiągnąć, chociaż nie skontroluję tego, co pan osobiście o mnie powie. Dlatego potrzebuję tła. Druga sprawa to rozmowy o pieniądzach. Można to zrealizować wyłącznie, kiedy jestem w ruchu.

–Jak to? – spytał Moyers. – O co panu chodzi?

–Muszę o tym mówić w ruchu – oświadczył Schiller. – Albo będę szedł, albo prowadził samochód. Nie będę rozmawiał o pieniądzach na siedząco.

~- Dlaczego?

–Ponieważ jestem gruby – stwierdził Schiller. – Nieważne, jak mnie ustawicie. Zrobicie mnie przez normalny obiektyw za biurkiem – ' wYchodzę na bankiera. Robicie szerokokątnym – i król Faruk to ja.

Moyers zachichotał i po chwili śmiał się na cały głos. Schiller powiedział:

–Jeżeli pan jest gotów na taką umowę, przy czym prosze pamiętać: ja się całkowicie odsłaniam, bo przecież pan może powiedzieć o mnie, cokolwiek pan zechce, to ja dam panu maszynopis Niech pan w nocy przeczyta i wybierze, co pan chce.

Moyers mógł oczywiście pobiec i skopiować materiał. Mógł zrobić wiele rzeczy, ale Schiller mu ufał. To było nawet coś więcej niż zaufanie. Schiller miał pewność, że potrafi zaprezentować się na tyle pozytywnie, że Moyers w swoim programie będzie miał większe zmartwienia niż demaskowanie ciemnej strony Schillera.

Poza tym szanował konsekwencję Moyersa. Uważał, że Moyers był niezłym redaktorem „Newsday". Ponieważ Schillera było stać na taki komplement, mógł następnie zrównoważyć go stwierdzeniem, że osobowość Moyersa niezbyt się nadaje do prowadzenia „CBS Reports" na odpowiednim poziomie. – Musisz się trochę podszkolić aktorsko, Bili.

Moyers odrzekł, że jest świadom problemu. Zwierzył się nawet, że ćwiczy mówienie przed lustrem, co nie jest u niego normalnym sposobem działania.

Rozluźnili się nieco. Moyers wspomniał, że w listopadzie, gdy po raz pierwszy zaproponował CBS Gary'ego Gilmore'a, powiedziano mu:

–Zrób Fidela Castro. Potrzebujemy wiarygodności dla twojego nowego programu.

Potem Moyers dowiedział się z poufnych plotek, że ktoś z samej góry CBS zwrócił się do Franka Stantona:

–A dlaczego nie Gilmore? Wszyscy o nim rozprawiają. Stanton się opierał, aż wreszcie spotkał się z Paleyem, który oświadczył:

–To fenomenalne. Właśnie tego potrzebujemy dla Moyersa: wskaźników oglądalności.

Wobec czego Bili przeniósł cały swój zespół do Provo, łącznie z montażem i opracowaniem, gdyż miał zamiar puścić „CBS Reports wieczorem po egzekucji. Uznał, że w ten sposób uzyskają najwyższą oglądalność. Schiller myślał sobie: ja tu

muszę udowadniać, że nie jestem wyzyskiwaczem, a CBS-niewiniątko leci na wskaźniki, skąd my to znamy?

Dla Tamery ta kolacja była rzeczywiście czymś wyjątkowym. W chwili gdy Larry jej zapowiedział, że spotkają się z Billem yloyersem, nie miała pojęcia, kto to taki. Stąd jej podniecenie, kiedy się już dowiedziała. Nieczęsto dostaje się zaproszenie na kolację z człowiekiem, który prowadził biuro prasowe prezydenta johnsona.

Lecz do tego momentu była całkiem na luzie. Właściwie nudziła się trochę. Mężczyźni dyskutowali o interesach i czuła się wyłączona. Musiała zaprzątnąć swoją uwagę próbowaniem różnych potraw z karty, których nigdy nie jadła. Na przykład wszyscy zamówili sałatkę Cezar. Później wzięła sobie zupę przypominającą zimny barszcz, ale wstrętną: gazpacho – obrzydliwość, a na przystawkę żabie udka. Na deser spróbowała crepes Suzettes. Próbowała wszystkiego.

Żabie udka niezłe, chociaż ogólnie kolacja nie była tak dobrze trafiona. Później, około czwartej rano, wstąpiła do baru Sambo na poczciwego hamburgera.

Nazajutrz rano Moyers przyszedł na śniadanie i powiedział:

–To fenomenalne. Chciałbym zrobić z pańskich taśm cały program.

–Nie ma mowy – odparł Schiller, lecz postanowił rzucić Moyer-sowi jakiś kąsek. – Mam zdjęcia Gilmore'a pod Maksymalnym – oświadczył. – Nie wolno panu wspomnieć, kto je robił, ale jeśli pan chce puścić montaż ze zdjęć, to cóż, nie mogę dać odbitek, ale nakręcę Je na filmie, pod warunkiem że pan pokryje koszty. Jednak muszę to sam rozplanować.

Realizator z zespołu Moyersa skoczył, kurwa, pod sufit. To ma być dokument, nie rozrywka – stwierdził. Lecz Moyers Poparł Schillera. W końcu facet daje im własne zdjęcia.

Schiller postanowił tak zmontować całość, żeby pokazać Gilmore'a jako człowieka, nie zaś bezwzględnego mordercę. Jest w nim pewna delikatność, którą być może uda się wyeksponować. W każdym razie chodziło mu o pokazanie Gilmore'a, którego publika da radę strawić

Problem nie polegał na tym, że Gilmore jest zabójcą. Nie chodziło nawet o zagrożenie, jakie stwarzał wobec uczciwych ludzi. Prawdziwy kłopot wynikał z tego, że zrobił z nich durniów. Publika zniesie mordercę, który jest stuknięty, szalony, chory. Ale żeby morderca zaczął nadawać ton całej sprawie? To ściągało na Gilmore'a masę nienawiści. Ludziom się wydawało, że świat się wali.

Jeżeli Schiller chciał wydać poczytną książkę i zrobić kasowy film, musiał zmiękczyć to uczucie wrogości i dowieść, że ten cały Gilmore nie jest pozbawiony człowieczeństwa. Za każdym razem, kiedy Schiller obserwował w Hiltonie reporterów małpujących jeden drugiego i myślał, jakie wywiady sam przeprowadziłby na ich miejscu, wprost nie chciało mu się wierzyć. Oni zwyczajnie się obijali. Nie próbowali wyrobić sobie opinii o Garym przez rozmowy z ludźmi, do których uda się dotrzeć. Zamiast tego siedzieli i chlali, wymieniali swoje kawałki między sobą i osiągali consensus: w artykułach powtarzała się ta sama teza, podobnie jak otwarty rynek ustala jednakową cenę. Wszyscy pisali o tym samym. Jednak gdyby Larry Schiller pokazał interesujące cechy ludzkie u Gilmore'a, nikt by tego nie zaakceptował. Powiedzieliby, że Schiller upiększa rzeczywistość dla własnych korzyści finansowych. Dlatego on musiał posłużyć się portretem namalowanym przez kogoś innego. Na razie tym kimś miał być Bili Moyers.

8 stycznia sob-Hej, moja Miłości

Moja Teściowa Marie Barrett przywiozła mi Sunny wczoraj " widzenie.

Ona się robi strasznie ładniutka i pyskata jak nie wiem co. Radość jak skowronek. Groszek też. Sprawił sobie malutkie levisy i kowbojskie butki. Wygląda jak taki wsiowy zabijaka, ale jest słodki…

Zdaje się, że trochę mi się zagubiła moja Miłość dla nich na krótko przedtem, zanim to się stało…

nie uwierzysz – zrobili mi po tym widzeniu rewizję osobistą.

Dostałam jakiejś infekcji i lekarz przepisał mi globulki. Ale oni żądają, żebym je wkładała przy nich, więc powiedziałam w cholerę – prędzej zgniję tam w środku, przepraszam za wulgarność Kochany…

Życie jest teraz zupełnie sfiksowane. Zastanawiam się na jakie przeznaczenie czekamy. Wkraczamy.

jeżeli Cię zastrzelą 17 stycznia…

Co będzie we mnie? czy będę niczym, kiedy odejdziesz… Czy będę czymś więcej? Będę zagubiona i się odnajdę? nie chcę być bez Ciebie, chyba przestanę istnieć jeżeli nadejdzie dzień bez Twojej Miłości w mej duszy.

Jezu, Gary. Bądź ze mną.

kocham cię tak bardzo bardzo.

Larry zapytał Tamerę, czy mogą nakręcić wywiad przy biurku w „Deseret News", a ponieważ filmowali w sobotę wieczorem, nie miała większych problemów ze zdobyciem pozwolenia. Prawie nikt już nie siedział w pracy.

Otoczenie było dokładnie takie, jak Schiller chciał. Cały czas mówił na tle typowej sali redakcji w dużym mieście. Siedział przy biurku, potem sfilmowali go w trakcie przesłuchiwania

taśmy Gary'ego i przy maszynie. Ekipa Moyersa kręciła na pełnych obrotach.

Schiller siedział przy biurku, kiedy podeszła do niego w czasie przerwy Tamera i powiedziała:

–Musisz coś zobaczyć.

Zaprowadziła go w kąt i pokazała kawałek papieru, który przed chwilą zszedł z teleksu. ABC się wycofało. O, kurwa!

Czarno na białym, wydruk teleksu. Prezes ABC, Frank Pierce, nie realizuje żadnych filmów na temat Gary'ego Gilmore'a. Nie do wiary. Znaczy, że ABC nie odbiera siedemdziesiąt kawałków, które się dawno rozeszły, czyli Schiller może się zrywać na drzewo.

.Na razie chodziło o skończenie wywiadu, zanim Moyers przeczyta wiadomość. Z chwilą gdy przeczyta, posypią się pytania.

Schiller pamiętał konferencję prasową w hotelu Americana w dniu kiedy puścił swój wywiad z Jackiem Rubym*. Nagle wstaje jak^ reporter i mówi:

–Panie Schiller, Jack Ruby właśnie umarł. I co pan teraz powie?

Musiał na poczekaniu udzielić odpowiedzi w potwornie delikatnej kwestii. Zgroza. I teraz niemalże słyszał Moyersa:

–Panie Schiller, nawet jeśli obaj wiemy, że nie jest pan krwiopijcąj ABC ewidentnie pana za takiego uważa.

Filmowali dla CBS. Mogli za jednym zamachem dołożyć i ABC, i jemu.

Podczas dłuższej przerwy, kiedy ekipa ustawiała się pod nowym kątem, Schiller zadzwonił do paru osób z ABC w Los

Angeles. Nikt nie wiedział o niczym.

–To przeciek z góry – powiedział Schiller. – Lepiej się. przygotujcie, chłopaki. Jutro rano prasa może was o to zahaczyć

Wypomniał im, jak skutecznie zabezpieczają mu tyły.

Moyers w ogóle o tym nie wspomniał. Potem jeszcze dwa razy przeprowadzał z Schillerem wywiady i słowem się nie zająknął Schiller nabrał do niego prawdziwego szacunku.

Zanim nastał poranek, Schiller doszedł do wniosku, że może to i lepiej. Nie będzie musiał podporządkowywać się wymogom programu telewizyjnego, który odcedzi wszelkie walory tej historii W dalszym ciągu miał prawa do publikacji książki i filmu. Ale koniecznie musiał wykryć, jak do tego doszło. W ciągu dnia dowiedział się, że żona jednego z dyrektorów ABC uczęszcza na studium dziennikarskie uniwersytetu Columbia i pewnego wieczoru wróciła do domu oburzona, że sieć ABC robi program o Garym Gilmorze Powiedziała do męża:

–Jak możesz się w to pakować? Ciągniesz korzyści z historycznych wydarzeń.

* 22 listopada 1963 r. został zastrzelony w Dallas prezydent John F Kennedy Pod zarzutem morderstwa aresztowano Lee Haryeya Oswalda, który 24 listopada zginął zastrzelony przez 52-letniego Jacka Ruby'ego, właściciela klubu nocnego w Dallas Ruby został skazany w marcu 1964 r. na karę śmierci za morderstwo z paragrafu 131 Zmarł jednak z przyczyn naturalnych 3 stycznia 1967 r., zanim odbyła się rewizja jego procesu (Przyp tłum.)

–nie chcieli Schillerowi podać jego nazwiska – w ogóle nie rozmawiał z nikim na Zachodnim Wybrzeżu, tylko oświadczył nowojorskiemu szefostwu: – Nie będziemy robić Gilmore'a jako rozrywki.

Rzecz jasna prawdopodobnie się obawiał, że Federalna Komisja Łączności dobierze się ABC do dupy. Nie powiedzą przecież, że komisja rządowa robi cyrk.

Zaszyty w wynajętym pokoju Gibbs wariował z bólu, lecz starał się pchnąć swoją wersję do którejś gazety. Sęk w tym, że wszyscy, do których zadzwonił, rozmawiali z Schillerem.

Wreszcie zawarł umowę z „New York Post". Za siedem i pół tysiąca dolarów Gibbs obiecał im ręcznie napisane przez Gilmore'a zaproszenie na egzekucję i mnóstwo listów. „Post" miał akurat w Aspen reportera, sprawozdawcę z procesu Claudine Longet, poprosili więc Gibbsa o udanie się do Aspen, lecz on bał się, że zostanie rozpoznany przez dziennikarzy z Salt Lakę, więc namówił ich, żeby pozwolili mu się zatrzymać w Royal Inn w Boulder, stan Kolorado. Powiedział, że się zamelduje pod nazwiskiem Luciano.

ROZDZIAŁ 24

Czekanie dnia

Brenda miewała bardzo niepokojące krwotoki. Poszła na badanie i powiedziała lekarzowi:

–Boże, niech pan mi da coś na te bóle. Nie wiem, ile jeszcze wytrzymam.

Pracowała jako kelnerka w La Costa i zdarzały się takie wieczory, że miała ochotę wyć. Doktor przepisywał jej tabletki, ale tym razem powiedział:

–Pani Brendo, to się w ogóle nie poprawia. Muszę panią wziąć do szpitala, żeby coś poradzić.

–Nie teraz – odparła Brenda. Potrząsnął głową.

–Mam jedno wolne miejsce. Potem będę zajęty ciurkiem przez trzy miesiące. Nie może pani tak długo czekać. Przywiezie panią pogotowie i to niedobrze. Wtedy jest za duże ryzyko.

–A niech pana cholera. Jeszcze zadzwonię.

Tymczasem Johnny porozmawiał z doktorem i załatwił szpital' Brenda nie miała siły się kłócić. Żyła w takim napięciu z powodu powtarzających się ataków, że rwało ją bardziej niż dotychczas. Zapytywała siebie w myślach: Czy ja próbuję uniknąć pójścia na egzekucję?

Potem pomyślała: Nie, ja chcę tam być.

Porozmawiała z Garym przez telefon i jej nastrój się poprawił. W ostatniej ich rozmowie powiedziała:

__- Gary, ja po prostu mam nadzieje, że jesteś taki inteligentny, jak mówisz, i spróbujesz przynajmniej spojrzeć z mojego

punktu Widzenia.

Boże, on był taki uparty, jednak miała wrażenie, że trochę zmiękł.

Rzeczywiście, kiedy Gary się dowiedział, że Brenda idzie do szpitala, poprosił Cline'a Campbella o rozmowę z naczelnikiem, żeby ją wpuścił na ostatnie widzenie, lecz Sam Smith powiedział:

–On ma sankcję dyscyplinarną za rzucenie tacą w strażnika, a ja nie mam zamiaru omijać przepisów.

–Do diabła, panie naczelniku – rzekł Campbell – ten człowiek ma wkrótce umrzeć. Sam Smith pokręcił głową.

–Nie mogę tego zrobić bez pozwolenia od Ernie'ego Wrighta – oświadczył.

Gary pił kawę z filiżanki, gdy usłyszał wiadomość. Za jednym zamachem kawa oraz filiżanka przeleciały obok głowy Campbella i rozprysnęły się na ścianie. Niezupełnie przy jego głowie, ale niezbyt daleko. Campbell ani drgnął. Był zaszokowany i zaskoczony, ale nie chciał okazać przestrachu. Gilmore zaklął, odwrócił się, powiedział „przepraszam" i odszedł. Po pół minucie znów podszedł i zwrócił się do strażnika:

–Gdzieżeś był? Masz to sprzątnąć. Przeszło mu, tak po prostu.

Brenda zgłosiła się, ubrali ją w białą mini nie zapiętą z tyłu i dopiero w łóżku poczuła się bezpieczna. Zaczęła rozmyślać o Garym. Urodził się w grudniu, umrze zaś w styczniu; przyszedł jej na myśl wieczór, kiedy przyjechał z April i zażartował zwracając się do niej: – "january". Potem Brenda zaczęła liczyć, ile czasu minęło, odkąd wyszedł: dziewięć miesięcy, od dziewiątego kwietnia do dziewiątego stycznia *, czyli do dnia, kiedy poszła do szpitala. Jeżeli go stracą Siedemnastego,

śmierć spotka go w dziewięć miesięcy i dziewięć dni od momentu wyjścia z więzienia. Na Boga, pomyślała, mniej więcej tyle trwa ciąża. Właściwie nie wiadomo czemu zaczęła płakać.

Kwiecień to po angielsku April, styczeń zaś – January. (Przyp. tłum.)

GILMORE: – Znasz, różowego pająka Dżinksa Bezjaja czy innego Dabneya?

STANGER: – Tak, on jest adwokatem ACLU. GILMORE: – Posłuchaj tego gówna. Pan Dabney powiedział, że wciąż jest możliwe, że Gilmore zrobi flip-flop i odechce mu się egzekucji. Wiesz, bracie, słowo „flip-flop" ma w więzieniu specyficzne znaczenie. Wy może tego nie znacie, ale ja znam. I jestem całkiem pewny, że Dabney wie, o co chodzi. To znaczy, że jeden gość drugiego wypierdoli w dupę, a potem da dupy tamtemu. Flip-flop. No i widzicie, co to znaczy. Przeczytam wam coś i chcę, żebyście to w poniedziałek opublikowali. V. Jinksie Dabneyu z ACLU, co za sztuczne nazwisko. Stwierdził pan na łamach „Salt Lakę Tribune", że Gilmore może jeszcze zrobić flip-flop i odechce mu się egzekucji. Niemożliwe, V. Jinksie Dabneyu, wykluczone, nigdy. To pan i pański ACLU uprawiacie flip-flop. Zajmujecie jedno stanowisko, jeżeli chodzi o aborcję, która w zasadzie równa się egzekucji. Całkowite poparcie. Natomiast zupełnie inne jest wasze stanowisko w sprawie kary śmierci. Zgłaszacie sprzeciw. Gdzie są pańskie przekonania. V. Jinksie Dabneyu? Czy pan i pańskie ACLU w ogóle wie, na czym stoi? Zwyczajnie zrobiliście sobie z mojej sprawy rozgrywkę osobistą. Nie umiecie znieść porażki. Cóż, przegrałeś tym razem, V. Jinksie Dabneyu. Słuchaj, synu z NAACP, ja jestem białym człowiekiem. Wbij to sobie w swój zakuty łeb, synu. Znam wielu czarnych chłopaków, ale nie znam żadnego, który szanowałby tępych czarnuchów z NAACP. Giauque, Amsterdam i inni wścibscy adwokaci w pogoni za reklamą, odczepcie się, wy głąby. *•

«SALT LAKĘ TRIBUNE»

Salt Lakę, 10 stycznia. Funkcjonariusze strzegący Gilmore`aobserwowali u niego rosnące zdenerwowanie

w miarę zbliżania się terminu egzekucji.

pjicole, jacyś klawisze piszą w gazecie, że jestem zdenerwowany. W życiu nie byłem nerwowy i teraz też nie. TO oni są nerwowi. Ja się tylko wkurzam, bo nienawidzę, jak mnie obserwują.

Sam Smith zadzwonił do Earla Doriusa, żeby jeszcze raz omówić egzekucję. Cały czas otwarte pozostawało pytanie, czy wyrok wykonać na terenie więzienia. Mogło to wywrzeć niekorzystny wpływ na innych więźniów. Z drugiej strony, egzekucja na zewnątrz przysporzy kłopotów związanych z bezpieczeństwem i z demonstrantami. Również trzeba będzie wznieść odpowiednią konstrukcję na terenie będącym własnością stanu. Dorius wraz ze Smithem wrócili do pierwotnych ustaleń, że lepiej już mieć do czynienia z nieprzyjemnymi konsekwencjami egzekucji na terenie więziennym.

Sam nawiązał też do innej kluczowej kwestii. W listopadzie, grudniu, a ostatnio znowu, ludzie rozprawiali o przyjmowaniu ochotników do plutonu egzekucyjnego. Kilka osób pisało nawet listy w tej sprawie. Jednak od samego początku Dorius otwarcie zalecał wezwanie stróżów porządku. Ustawa nie wypowiada się na ten temat, lecz Earl uważał, że procedura odsiewu potencjalnych czubków spośród zgłaszających się przysporzy tylko kosztów i komplikacji prawnych. Czy się to komu podoba, czy nie, Earl odrzucał takie rozwiązanie. Jak zwykle, stanęło na stróżach porządku. Earl podkreślał jednak, że należy wykluczyć personel więzienny. Sam przyznał mu rację, gdyż do strażnika mogłaby wówczas przylgnąć etykietka zabójcy więźniów, przez co jego praca z więźniami stałaby się ryzykowna. Byłby

zniewagą dla społeczności więziennej. Wobec tego zgodnie postanowili: stróże porządku. Albo z Biura Szeryfa Okręgu Salt Lakę, albo Okręgu Utah. Sam utrzyma nazwiska w tajemnicy.

Earl Dorius był zdania, że ACLU będzie zmuszone podjąć jakieś kroki do środy dwunastego stycznia. W przeciwnym razie, gdyby Przegrali w sądach niższej instancji, nie mieliby czasu się odwołać, tajniak Bob Hansen poszedł z Earlem o zakład. ACLU zachowa u sędziego Rittera – swego asa atutowego – na sam koniec, żeby nie było czasu na uchylenie decyzji przez wyższą instancję.

~~ Zaczekają do piątku czternastego stycznia po południu – Powiedział.

Hansen ze wszystkimi dzielił się swoją opinią o Ritterze. – Prawo można naginać – mawiał. – Wszyscy troszkę naciągamy prawo. Ale Ritter to się nad nim znęca. Po czym opowiadał o zwyczajach sędziego.

Według Hansena, jedną z najbardziej nieznośnych zagrywek Rittera było sporządzanie listy, powiedzmy, czterdziestu spraw i wzywanie w jednym dniu wszystkich prawników biorących udział w owych czterdziestu rozprawach. Ritter odczytywał swoją listę pytając: „Czy jest pan gotów? A pan?" Zawiadamiał każdego: „Pan ma sprawę numer dwa, pan – numer trzy", i tak dalej, lecz zaraz po pierwszej rozprawie zwoływał wszystkich z powrotem i ogłaszał: „Postanowiłem rozpatrzyć teraz sprawę numer dwadzieścia zamiast numeru dwa." Brzmiało to jak kiepski dowcip, ale tak właśnie sobie poczynał. Numer dwadzieścia musiał stawać do rozprawy w ciągu pięciu minut. Bez sensu. Nigdy nie wiadomo, kiedy kogo wywoła. Trzeba zawsze mieć świadków w pogotowiu na cztery czy pięć rozpraw naprzód. Jeżeli to przyjezdni, należy ich zakwaterować w motelu. Rozpacz.

Oczywiście, ze względów praktycznych, na czterdzieści rozpraw Rittera trzydzieści osiem rozstrzygano poza salą

sądową. Nikt nie mógł zdzierżyć tych cholernych odroczeń. Niektórym to może i odpowiada, ale kiedy jest się zatrudnionym przez rząd, nie posiada się funduszu na trzymanie świadków pod ręką w nieskończoność – świadkowie są więc nieobecni i Ritter po prostu oddala sprawę. Niechby nawet chodziło o poważną zbrodnię czy fałszerstwo papierów wartościowych, niechby rząd dwadzieścia lat pracował nad aktem oskarżenia – Ritter i tak go oddali. Trzeba odwoływać się wyżej, żeby uzyskać uchylenie decyzji. Zazwyczaj łatwo to wygrać, tylko potem aresztuje się wszystkich od początku. Potworna strata czasu. On się znęca nad prawem.

Około dziesiątego stycznia, na tydzień przed terminem, dziennikarze oblegali biuro ACLU przez cały dzień. Kamery i mikrofony bezustannie wycelowane. Człowiek nie musiał się szykować do wYjścia.

Dabney powiedział, że zadzwoni do Stangera.

STANGER: spytał: „Jak duży wpływ Nicole może wywrzeć na Gary'ego?" Ja na to: „Ależ o czym pan mówi?" A on powiedział- „Cóż, zastanawiamy się, czy nie moglibyśmy sprawić, żeby namówiła Gary'ego do walki." GILMORE: – Chwytają się brzytwy, co?

Schiller uznał, że czas założyć w Utah biuro na wielką akcję. Polecił swojej sekretarce z Los Angeles zadzwonić do kilku agencji i wynająć kilka pracowitych maszynistek do przepisywania tekstu z taśm. Niezamężne dziewczyny, które mogą przenieść się do Provo i jeśli trzeba, będą pracować po dwadzieścia godzin na dobę. Z buziami na kłódkę. W zaistniałej sytuacji Schiller nie miał zamiaru łowić miejscowych talentów w Provo. Załatwił założenie telefonów w Trave-Lodge w Orem i aż dwa razy dziennie kursował pomiędzy Salt Lakę i Los Angeles. Został ponad tydzień, gdy nowo zatrudnione dziewczyny, Debbie i Lucinda, zjechały do Utah i zorganizowały mu biuro w motelu. Pierwsze, co powiedział Debbie, to:

–Chcę mieć nocne numery telefonów do dwóch mechaników naprawiających kserokopiarki.

–Przecież zawsze możemy wezwać mechanika – zdziwiła się.

–Debbie – odparł – ja mogę faceta potrzebować o trzeciej w nocy. Zdobądź mi ten telefon. I daj mu dwadzieścia dolarów. Jak będzie wychodził na obiad, niech do nas zadzwoni. Tak to ma się. odbywać.

Chciał ją należycie podszkolić.

Jednocześnie snuł plany przemycenia magnetofonu na egzekucje/ Musi być tak mały, żeby zmieścił się w paczce papierosów. Nie wiedział, czy go użyje, czy nie, ale musiał mieć jakiś sprzęt. Z pobudek psychologicznych mógł wydać tysiące na rzeczy, których nigdy nie wykorzysta, byle tylko czuć się zabezpieczonym.

Oczywiście Schiller tak naprawdę nie wydawał tysięcy. Umówił się z prywatnym detektywem z Las Vegas, który miał mu sprzedać miniaturowy magnetofon za tysiąc pięćset dolarów, a potem odkupić go za tysiąc trzysta. Schiller musiał wyłożyć z góry całą sumę, do tego dochodził koszt przelotu do Las Vegas i z powrotem. A niech tam: za jedyne paręset dolarów będzie dysponował sprzętem, który może przynieść nadzwyczajne efekty.

Tak czy owak, pogrążał się, i to nieźle. Ostatni tydzień zapowiadał się na poziomie jedenastu tysięcy dolarów tygodniowo, bez dwóch zdań. Trzeba było wynająć policjantów po służbie jako ochroniarzy. Schiller zażyczył sobie ochrony domu Verna na ostatnie trzy czy cztery dni, namówił też Kathryne Baker, żeby opuściła dom razem z dziećmi. Potem założył sobie biuro, praktycznie jak fortecę. Był zmuszony. Kiedy ABC się wycofało, NBC spuściło swoje psy z łańcucha. Obstawili go jak jakąś panią Onassis. Szaleństwo. NBC wiedziało, że Schiller dał Moyersowi materiały dla CBS. Ktoś

inny na jego miejscu mógłby złamać pierwotną umowę i odpalić parę minut z Gilmore'em dla NBC, żeby tylko się ich pozbyć. W przeciwnym wypadku wiadomo, że zaczną go nękać. Rzeczywiście którejś nocy w Hiltonie, w Salt Lakę, musiał o wpół do piątej rano wezwać policję, żeby usunęła paru reporterów NBC z korytarza pod drzwiami pokoju, który zajmował. Później Gordon Manning, kierownik produkcji programów specjalnych NBC, w rozmowach z dziennikarzami zwykle nazywał go „płazem". Oto telewizja. Jeśli nie pójdziesz im na rękę, zrobią wszystko, żeby przykopać ci w jaja.

Cały czas brał pod uwagę różne warianty. Co będzie, jeżeli Gary zmieni zdanie? Cała historia pójdzie pod tytułem „Gilmore składa aPelację?" Przedyskutowali to z Barrym. Nie czyhają na egzekucję Gary'ego. Są przygotowani na każdy wariant. Kiedy Gilmore będzie milczał opowieść straci nieco dramatyzmu, ale może być ciekawa. Można Pokazać, jak stopniowo gaśnie popularność człowieka, który zdobył wielki rozgłos. Gary powraca w cień. Sęk w tym, żeby nie poddać się Panice i nigdy nie starać się wpłynąć na bieg wydarzeń, niczego nie wymuszać. Schiller wykorzysta taki potencjał, jaki mu przypadnie. Niech go nazywają padlinożernym ptakiem, on i tak wie, że wyżyje

z życia Gilmore'a. Nie musi bogacić się na jego śmierci.

W każdym razie zaczęło się kuszenie Schillera. Ledwo założył biuro zaraz zaczęły napływać różne zwariowane oferty. Zanim w ogóle zainstalowali się w TraveLodge w Orem, zadzwonił Sterling Lord występujący jako agent literacki Jimmy'ego Breslina. Słyszał, że Schiller jest podobno jednym z pięciu zaproszonych na egzekucje Gilmore'a, wobec tego Lord chce się dowiedzieć, czy Schiller nie przekazałby swego zaproszenia Jimmy'emu. Nie było jasne, czy czek wystawi „Daily News", czy agencja, w każdym razie oferta startowała od pięciu tysięcy dolarów.

Schiller powiedział:

–Nie zajmuję się sprzedażą, Sterling. Nawet nie mogę ci przysiąc, że tam będę.

Lord zatelefonował ponownie i oświadczył:

–Możliwe, że uzyskam trzydzieści pięć, a nawet pięćdziesiąt tysięcy.

–To nie jest na sprzedaż – odparł Schiller. Zadzwonił Breslin.

–Dam ci swój artykuł przez kalkę.

Znaczyło to, że Breslin będzie właścicielem tekstu w Dzień Krzyczących Tytułów, a Schiller przez resztę dni.

I Schiller już wiedział, że Jimmy Breslin nie ma pojęcia, o co chodzi Larry'emu Schillerowi. Inna sprawa, że ostatnio namnożyło mu się starych przyjaciół. Nagle Sterling Lord okazał się jego starym przyjacielem. Jimmy Breslin następnym.

–Gdzie powinienem się zatrzymać? – spytał Breslin Schillera i Larry odrzekł:

–Możesz zostać małpą i jechać do Hiltona albo zwalić się tutaj i kiblować ze mną.

Breslin wynajął pokój obok nich w motelu. Miał w takich sprawach znakomite wyczucie.

Barry był niezadowolony.

–Po co Breslin? – spytał.

–Przykro mi – odpowiedział Schiller. – Sam nie dam rady-

–Skoro tak, to dlaczego nie zaprosiłeś tu Johnstona z „Los Angeles Timesa"?

_- Nic nie rozumiesz – odrzekł Schiller. – Chcę tym facetom dać po jakimś niedużym kawałku, żeby przynajmniej „Los Times", "New York Daily News" trzymały moją stronę. Muszę zdobyć dla nas poparcie paru osób, wiesz.

Czy ten Barry nie pojmuje, jak samotny jest Schiller po wycofaniu się ABC? Z całą pewnością pępowina została odcięta.

Tak, pomyślał Farrell, on wszystko robi z jakąś motywacją. Zawsze z ważnego powodu. Nigdy dlatego że się upił albo coś mu odbiło.

Zdaniem Barry'ego, Schiller był o krok od roztrwonienia dóbr. Po prostu nie rozumiał, że każdy tekst, nieważne, jak krótki, nadal był częścią pięknej budowli, którą właśnie wznosili, nie zaś byle jakim świecidełkiem, które można przehandlować dla ugłaskania żarłocznego smoka mass mediów.

Farrell powtarzał sobie, że mógł się tego spodziewać. Zbyt dobrze działały wszystkie zabezpieczenia. Odkąd przenieśli się do siedmiu pokoi, które Larry wynajął w TraveLodge, wraz z pełnym wyposażeniem w wypożyczone maszyny i stoły, z dwoma sekretarkami, ochroną, głównym biurem, pokojem, gdzie Barry pisał, archiwum, sypialną Barry'ego, sypialnią Schillera, sypialniami dziewczyn, do tego z bezpośrednimi połączeniami telefonicznymi, żeby przez centralę odbierać tylko zwykłe telefony z zewnątrz i żeby żaden pracownik motelu ich nie podsłuchał – cały czas Larry unikał dziennikarzy. I to skutecznie. W samym środku gorączkowej bieganiny, gdy wszyscy próbowali go dopaść, Schiller puszczał tylko starannie wybrane wiadomości – przez Gusa Sorensena i Tamerę – nadając ton doniesieniom z Salt Lakę i tym samym wywierając pośredni wpływ na serwisy agencyjne. A jednak po niełatwym ustanowieniu tak ścisłej kontroli wystarczyło, że Barry przeszedł się do głównego biura kopiować jedną stronę – a tam siedzi Jimmy Breslin z notesem w ręku, bez pojęcia, spóźniony o dwadzieścia dni, za to podjechał w wynajętym lincolnie z

szoferem, dziękuję bardzo. I Schiller, który °Powiada Jimmy'emu Breslinowi o oczach. O oczach.

Właściwie Farrell lubił Jimmy'ego. Przed laty Breslin parę razy ładnie się wobec niego zachował. Farrell pisał felietony dla „Life'u" 1969/70 i raz wdał się w poważną scysję z redaktorami, taką na ostro. Breslin wtedy poświęcił wieczór, żeby z nim o tym pomówić. Farrell doszedł do wniosku, że Breslin jest bardzo sprytny.

–Wiesz co, Barry? – powiedział wtedy Jimmy. – Kolumna na której masz swój felieton, to twoja nabyta nieruchomość. ^ Farrellowi zapadło w pamięć to sformułowanie. – Nigdy nie pozbywaj się nieruchomości za bezcen – mówił Breslin. – Bij się, ^ popuszczaj, przypierdol, jak trzeba, kiedy indziej ustąp, ale nie oddawaj nieruchomości.

Farrell zastosował się do tych porad i uważał, że zrobił słusznie toteż miał słabość do Jimmy'ego Breslina.

Słabość wyparowała w jednej chwili, kiedy wszedł do pokoju, a tam siedział Schiller i z idiotycznym uśmieszkiem samozadowolenia paplał Breslinowi o oczach. Równie dobrze mógł reklamować w telewizji nową pastę do podłóg. Siedział tam też Breslin rozwalony na kanapie, tłusty jak wieprz, i robił notatki spóźnione o trzy tygodnie. Jedna góra tłuszczu przyjmowała od drugiej daninę.

Przez całe tygodnie starań, żeby pchnąć te wywiady do przodu, Farrell czuł się tak, jakby w ciemnym pokoju szukał czegoś po omacku. Dlatego kiedy wyszła ta sprawa z oczami, Farrell ucieszył się, że wreszcie wpada mu promyk światła. Na okrągło przerabiał rejestr odsiadek Gilmore'a, grubą teczkę z dokumentacją długich wyroków i krótkich zatrzymań, i doszedł do wniosku, że pod względem przestępczych osiągnięć życie Gary'ego nie zasługuje na wysoką ocenę według kryteriów szanującego się garownika. Prędzej uznano by go za pętaczynę niż groźnego bandziora. Był na tyle nieobliczalny, że inni

więźniowie musieli się z nim liczyć, ale nie miał w sobie tej żyłki bywalca. W zasadzie klasyczny typ samotnika. W policyjnym nazewnictwie określa się takich facetów mianem zarazy. Czyli ludzkiego śmiecia. A jednak poprzedniego dnia Gilmore oczekujący daty śmierci mówił o swoich oczach i, zdaniem Farrella, powiedział coś wspaniałego.

GILMORE: – Mówiłem wam o tym dziewięćdziesięciolatku, co do mnie napisał z prośbą o oczy… no i tego… on jest za stary. To znaczy nie chciałem, żeby to zabrzmiało nieprzyjemnie, ale ten drugi facet miał zaledwie dwadzieścia lat i uważam, że tak będzie lepiej. Może byście zadzwonili do jego lekarza i powiedzieli po prostu: „Są dla pana, od Gilmore`a". Załatwicie papiery, dobra? MOODY: – Powiemy też naczelnikowi. GILMORE: – W tym swoim liście on pisze, że z tego chłopaka

ucieka życie. Że chłopak stracił nadzieję. Więc ja wolę, żeby oczy przypadły jemu, zamiast oddawać je do banku oczu. Fajnie jest wiedzieć, komu one przypadną. Dobra… zadzwońcie do niego na rachunek abonenta… (śmieje się). Spytacie, czy przyjmie na swój rachunek telefon od Gary'ego Gilmore'a.

Fakt, że Gilmore mógł wymyślić coś takiego, poruszył Farrella do głębi. Ta rozmowa przyszła poprzedniego dnia i wpierw przesłuchali ją razem z Schillerem, a potem Farrell puścił ją sobie sam we własnym pokoju. Była późna noc. Długo pracował tego dnia. I głos Gilmore'a nim wstrząsnął. Barry płakał i śmiał się na przemian, czując coś w rodzaju triumfu, że ten gość potrafi tak jasno się wyrażać. Sam Farrell miał dobry wzrok i swoje oczy uważał za rzecz cenną. Jeżeli sam miałby podpisać jakiś dokument, że oddaje komuś z własnej woli jakąkolwiek część ciała, kutasa nie wyłączając, to tylko w wyniku śmierci naturalnej. A tu proszę, facet zna termin swojej egzekucji – w głowie się nie mieści – myślał Barry po dwudziestogodzinnym dniu pracy, sam w pokoju o trzeciej nad ranem. Wyznaczona data egzekucji, a wszyscy chętnie rozgrabiliby go po kawałku. Każdy pisze z prośbą o taką czy inną część jego ciała. Aż nie

potrafił o tym myśleć na spokojnie. Jasne, że po świecie chodzą ludzie z kartkami w portfelach, gdzie mają napisane: „Kiedy umrę, można wykorzystać moją nerkę", lecz to nie tak samo, jak wiedzieć, że się umrze siedemnastego stycznia, i przez cały poprzedzający tydzień odbierać prośby o wątrobę, śledzionę albo prawe jajo. Człowiek bardziej ograniczony potraktowałby to na równi z kanibalizmem i zacząłby się drzeć: „Zostawcie mnie w spokoju, na Boga! To moje oczy!"

Jezu kochany, czyżby Gary przypominał Harry'ego Trumana – miernotę, której historia przydała wielkości? Boże, on wręcz został właścicielem interesu w branży „Drogocenne szczątki Gary'ego Gilmore'a". To wywarło na Farrellu większe wrażenie aniżeli twardy kurs w stronę egzekucji. Tego rodzaju brawura nie wzruszała Farrella. Uważał, że Gilmore totalnie lekceważy życie, własne życie, czyjeś życie, w ogóle życie. Wyrzekł się własnego, ponieważ mógł

w ten sposób pokazać swoją wyższość; gówniarska demonstracja,

wologia wywołana przez lata udawanego posłuszeństwa w kiciu.

, jednak teraz, niespodziewanie sławny, niczym gwiazdka filmowa na dorobku, Gilmore zachowywał się z dużą klasą; w centrum

publicznej uwagi dawał wyraz człowieczeństwu. Te oczy przydały mu szlachetności. Farrell zazdrośnie strzegł tego wątku.

Dlatego też, kiedy zobaczył Schillera z Breslinem na kanapie, wpadł w szał. Barry lubił zachowywać zimną krew, ale dwudziestogodzinne dni pracy nadwerężyły jego odporność. Powiedział do Schillera:

–Całą noc trzymasz gliniarza pod drzwiami, żeby nikt ci nie wlazł do biura, a powinieneś go sobie posadzić pod nosem, żeby trzymał ci gębę na kłódkę. – Był tak wściekły, że miał ochotę roztrzaskać pięścią stół. – Schiller, nie waż się oddawać tego Breslinowi.

Jednak zanim zdążyła wybuchnąć awantura, Jimmy wyrwał stronę, na której pisał, podarł ją na małe kawałki i rzucił za siebie. Pięknie, pomyślał Farrell. Bardzo mu się Breslin podobał.

ROZDZIAŁ 25

Bliższe poznanie

Farrell był zadowolony, że oczy zostały dla niego. Potrzebował czegoś, co przenika aż do szpiku kości, bo marnego materiału o Garym Gilmorze miał na kopy. Czytając po raz kolejny wszystkie wywiady i listy, Farrell oznaczał kartki maszynopisu różnokolorowymi flamastrami, żeby odkreślić osobne motywy w wypowiedziach Gilmore'a, i gdy skończył, okazało się, że ma dwadzieścia siedem różnych póz. Barry wyróżnił Gary'ego-rasistę, Gary'ego-fana count-ry-and-western, Gary'ego-poetę, Gary'ego Kawał Chłopa, Gary'ego w autodestrukcji, Gary'ego od karmy, Gary'ego z Teksasu oraz Gary'ego-irlandzkiego zabójcę. Ostatnio niestety przeważał Gilmore-•gwiazdor, okropny kłamczuch, co gówno wie, a szpanuje na intelektualistę.

–Tu pisze do mnie ta druga dziewczyna: „Jak Ci tam, ^oj ty dziki koniu o dzikich oczach… Chciałabym pocałować Cię choć raz. Nie wiem, Gary, jak się z Tobą pożegnać. Gary, ja płaczę nad tym tekstem do Ciebie, kocham Cię. Pierdolić ten system. Skurwysyny nawet

'nie pozwolą zadzwonić do Nicole, nienawidzę ich. Egzekucja. Co to ma być? Dziki Zachód? Moja miłość jest z Tobą, Gary. Kocham cię. Zdaje się) Ona chyba czuje do mnie miętę, co? Dziś dostałem od niej trzY listy. Całe szczęście, że nie jestem w Kalifornii. Chryste, człowieku, ona by mnie zamęczyła.

ANGER: – Mam piętnaście lat. GILMORE: – Ciężko za taką nadążyć.

Później znów stary wyga pełen mądrości rodem z pierdla.

GILMORE: – Jak już poznają, żeś rozrabiaka, bardzo łatwo napyta/, sobie biedy. Bo wszyscy ci tam klawisze mają, bracie, twoją buźkę na ścianie, kurwa, w stołówce. Wiesz: uwaga na

tego modela, podejrzany o to i tamto. Niektórzy klawisze osobiście cię znienawidzą, bracie i wiesz, będą cię podpuszczać powolutku, aż cię weźmie cholera, i ^ w sytuacji, gdzie zawsze będziesz miał przesrane, dlatego że siedzisz Oni cię gonią, ty uciekasz.

Od tej litości nad sobą aż mdliło. A jednak Farrell uwielbiał tę pracę, chociaż wcale się nie spodziewał. Po dwadzieścia godzin dzień w dzień, ale jakże fascynujące! Rozkosze samodzielności. Boże drogi, myślał Barry, powinienem zostać archiwistą. Jestem zazdrosny o swój materiał.

Czasami nawet się śmiał. Któregoś wieczoru z Larrym byli tak rozdrażnieni z przepracowania, że nie mogli na siebie patrzeć, a tu przyszła od Gilmore'a taśma, z której rżeli, mało z krzeseł nie pospadali. Wszystko z powodu napięcia. W każdym razie przez jedną wspaniałą minutę Gilmore wydawał się Farrellowi tak samo śmieszny jak Bob Hope w najlepszej formie; ten sam maniacki zmysł satyryczny, to samo uczulenie na gówniany patos. Jezu, on czasami widzi na wylot, jak rentgen, myślał Farrell.

GILMORE: – Słuchaj no, mam coś, co zrobi furorę. Weźcie złapcie Johna Camerona Swazeya i dajcie mu zegarek timex. Niech John Cameron Swazey poczeka, aż ja się przekręcę, i niech wtedy trzyma lekarskie słuchawki, przyłoży mi je do serca i powie: „No więc przestało tykać", a później przytknie do timexa z tekstem: „Ludzie, chodzi jak trzeba!"

W każdym razie Farrellowi było głupio, że się tak wciągnął. Często myślał sobie, że gdyby Gilmore'owi poświęcano mniej uwagi; ° mógłby zmienić zdanie i dążyć do uniknięcia egzekucji. A tak –

Znalazł się w pułapce popularności, co dawało mu szaleńczą siłę. OCZywiście niejaki Barry Farrell walnie przyczyniał się do tego, że cała ta machina nie pozwalała Gilmore'owi złożyć apelacji. Mało pochlebna opinia o sobie. Można się tłumaczyć:

Nie jestem tu lokomotywą, tylko jednym z wagonów, a w tym wagonie, najlepszym, sytuacja traktowana jest z największą wrażliwością. Dlatego moja odpowiedzialność moralna nakazuje mi zostać. Jeżeli ja odejdę, myślał Farrell – Gilmore zostanie rzucony na pastwę redaktorów z „Good Morning America".

Mimo wszystko w ciszy, około drugiej w nocy, Barry przypomniał sobie własny artykuł dla „New West", gdzie określał Larry'ego Schillera jako padlinożercę. Zmusiło go to do zastanowienia, czy przypadkiem nie Barry Farrell jest czarną owcą dziennikarstwa. W jego tekstach zawsze ktoś umierał. Oscar Bonavena zabity, później Bobby Hali, młode blondyneczki kasowane na autostradach Kalifornii. Ciągle jakieś rytualne zabójstwa. Zdobył nawet reputację dobrego w te klocki. Jego numer telefonu łatwo zapadał w pamięć różnym redaktorom. Barry Farrell: reporter kryminalny o drażniąco katolickich przekonaniach. Jego życie wynikało z potrzeb finansowo-emocjonalnych; przyjmował robotę, do której zmuszały go nie zapłacone rachunki oraz sponiewierana psychika, lecz zwykle każde nowe przedsięwzięcie wpędzało go w nowe dylematy moralne. Przenikające w jego teksty niczym mgła.

Pod jednym względem nie kwestionował wartości wywiadów. Było coś wspaniałego w energii, jaką przekazywał Gilmore. Cline Campbell wpadł raz przejazdem do motelu zamienić dwa słowa i powiedział Farrellowi:

Pańska praca to dar opatrzności. Jedyna szansa, żeby Gary

mógł powiedzieć, co myśli.

Patrząc na rozrzucone fragmenty dziennej produkcji, Farrell myślał: tak, widać, jak Gilmore się stara sformułować jakąś spójną filozofię przejmującą niebywale zagmatwane kwestie etyczne.

MOODY: – Jakich czynów nigdy byś nie popełnił? GiLMORE: – Nie mógłbym kogoś zakapować. Nie mógłbym nikogo wydać.

Nie sądzę, żebym mógł kogoś torturować.

MoodY: – A zmuszanie do położenia się na podłodze i strzał w tył to nie tortury?

GILMORE: – Powiedziałbym, że to bardzo krótkotrwała tortura MOODY: – Ale co może być większą zbrodnią niż odebranie człowiekowi życia?

GILMORE: – No, można odmienić czyjeś życie, że nie będzie takie jak mogło być. To znaczy, można człowieka torturować, oślepić okaleczyć, okulawić, tak kurewsko się z nim obejść, że jego życie do końca będzie pełne cierpień. I dla mnie to jest gorsze niż zabójstwo. Bo jak kogoś zabijesz, to dla niego jest już po wszystkim. Ja… ja wierze w karmę, reinkarnację i te sprawy, więc kiedy się kogoś zabija, może być tak, że się przejmuje cały dług jego karmy, poprzez to uwalnia się go od obciążeń. A ja myślę, że spowodowanie, żeby ktoś żył na niższym poziomie egzystencji, myślę, że to może jest gorsze niż zadać

śmierć.

STANGER: – W takim razie uważasz, że są gorsze zbrodnie niż

morderstwo?

GILMORE: – No nie wiem, o Jezu, są różne zbrodnie, wiesz… jak niektóre rządy traktują swój naród, wiesz? Sposoby prania mózgu w różnych krajach… Uważam, że niektóre formy wymuszania zachowań, na przykład wiesz, formy nieodwracalne, na przykład loboto-mia, albo ten, wiesz, prolixin – nie mówię, że one są gorsze od morderstwa, ale trzeba, bracie, wziąć je pod uwagę… Nie wolno odmieniać czyjegoś życia. Ludzie powinni sami spotkać swój los. STANGER: – A ty nie wtrąciłeś się do życia Jensena i Bushnella? GILMORE: – Tak.

STANGER: – Uważasz, że miałeś do tego prawo? GILMORE (wzdycha): – Nie.

MOODY: – Jeśli naprawdę wierzysz, że twoja dusza jest przepełniona złem i szczerze pragniesz pokuty, dlaczego nie zdecydowałeś się jakoś… wyrazić skruchy?

GILMORE: – Nie wierzę, że moją duszę wypełnia zło. MOODY: – Uważasz, że nie ma w niej zła? GILMORE: – Jest więcej niż u ciebie, u Rona… niż u wielu osób Myślę, że jestem dalej od Boga niż wy, a chciałbym znaleźć się bliżeJ MOODY: – Sądzisz, że wyrażanie skruchy jest ckliwe? GILMORE: – Obawiam się, że gazety ckliwie by to zinterpretowały

Campbell chyba ma rację. Mimo wszystkich swoich póz Gary tak dobrze radził sobie z pytaniami, że czasem aż żal, że nie można % przepytać samemu.

Z drugiej strony Farrell się nawet cieszył, że to niemożliwe, przynajmniej nie musiał słać mądrych spojrzeń, które tak kojąco wpływały na rozmówcę. Ani zaczynać od mocnego uścisku dłoni mówiącego: „Jestem tutaj, by cię wysłuchać, pogadajmy po męsku jak kumple-" Żadnych reporterskich sztuczek, szczerego współczucia, głębi zrozumienia. W ten sposób nie ma mowy o zdradzie błyskawicznie zawiązanej przyjaźni. Farrell może sobie siedzieć przy maszynie! układać pytania, Moody i Stanger je zawiozą, Debbie z Lucindą przepiszą teksty z taśm i będzie mógł je studiować tak długo, aż wymyśli nowe pytania. Byli z Garym odseparowani od siebie. Nie potrzeba przywoływać na twarz grymasu życzliwości, byle tylko Gilmore mówił dalej.

Co nawet bardziej istotne, nie ryzykował zbyt bliskiego zaprzyjaźnienia się z Garym, dlatego nie zapominał, że Gilmore jest być może pozbawiony pewnych podstawowych cech, i Barry Farrell, bliźni Maxa Jensena, nie powinien zbyt łatwo wybaczać. Tak było lepiej.

Jednak taśmy denerwowały go cały czas. Barry wręcz nabrał niechęci do adwokatów. Zbyt wielkim obciążeniem jego systemu nerwowego była niepewność, czy poważne pytanie zostanie zadane jak należy, czy też Moody, a zwłaszcza Stanger, będzie przy tym chichotał jak głupi. Dla Farrella, który z wysiłkiem wysłuchiwał taśmy do końca, adwokaci byli albo zbyt ostrożni, albo za mało stanowczy.

–Niektóre siostry w tej katolickiej szkole w Portland prały nas czym popadnie – zwierzał się Gilmore prawnikom. – Szalały ze złości – mówił Gary – bo nie udawało im się mnie zmusić do Posłuszeństwa. Dostałem lanie od zakonnic niejeden raz. Innych dzieci nie karały w taki sposób. W końcu ojciec zabrał mnie z tamtej szkoły.

Farrell podkradał się do tego tematu na paluszkach. Klucz do osobowości każdego zbrodniarza można odnaleźć w zapisie kar cielesnych z dzieciństwa, lecz Gilmore twierdził, że matka nigdy nie Podniosła na niego ręki, a ojcu też się nie chciało. Wreszcie zatem

natrafił na jakieś konkrety. Jednak Stanger uznał za stosowne powiedzieć:

–O rany, te zakonnice na filmach są zawsze takie miłe.. Gilmore odparł:,' – Aha, na filmach.

Stanger zacmokał.

W uszach Farrella rozległo się w tym momencie: cmok, cmok cmok. Odchodził od zmysłów słuchając tych taśm późną nocą w Orem pośród lodowatej zimy.

Czasami siadał z Schillerem i adwokatami, żeby omówić pytania. Wydawało się, że Moody i Stanger wiedzą, co mają robić, kiedy odjeżdżali do więzienia. Wracali potem ze słowami „świetne, świetne" i zostawiali taśmę. Schiller ją puszczał – i

rany boskie. Prawnicy byli beznadziejni jako dziennikarze. Do tylu spraw nie umieli dotrzeć.

GILMORE: – Ten chłopak podszedł do mnie i spytał, czy możemy pogadać, chciał ze mną wyjść na dwór i pytał, czy możemy się razem przejść. Pytam go: „O co chodzi?", a on mówi, że ten tam brudas próbował go wyruchać. On miał zamiar się poddać, wiecie, do kabaryny, żeby się z tego wywinąć. Nie wiedział, jak to załatwić. Ja mówię mu: „Słuchaj, co ja mam właściwie zrobić?", a on na to: „Będę twoim chłopakiem, jak mnie obronisz", wiecie. Ja mówię: „Wiesz, ale ja nie chcę mieć chłopaka, nie lubię cweli, poza tym nie chcę, żebyś się zeszmacił." Spytałem go, czy jest taki, a on powiedział „nie" i że nie chce tym zostać. Więc poszedłem po jeszcze jednego gościa, no i powiedziałem mu o tym, a on mówi: „Chodź, zabijemy skurwysyna." Okazało się, żeśmy go nie zabili. Gibbs powie, że zabiliśmy, ale tak nie było. Dopadliśmy faceta na schodach, obaj mieliśmy w ręku metalowe rurki, wiesz, i żeśmy go zatłukli prawie na śmierć, a później zawlekliśmy pod celę innego bambusa i zostawiliśmy go na pryczy. Był nieprzytomny' Kropnęliśmy go zdrowo i szybko… był bokserem, więc nie daliśmy mu szans, potem grzmotnęliśmy drzwiami i jazda. On wiedział, kto $ załatwił, ale nigdy nie próbował, wiesz, się odegrać. Przyjął to, no itaK to było.

Tak to było. Nie zadali Gilmore'owi żadnego pytania. Miał ochotę • krzyczeć z rozpaczy. On nie popuściłby przy takiej historii. Farrel chętnie dowiedziałby się, czy Gilmore'a kiedykolwiek zakapował jakiś

czarny. Może jeszcze w poprawczaku, może później. W każdym razie w tej opowieści coś budziło podejrzliwość Farrella. Ten duży czarny brutal, który zeźlił Gilmore'a na tyle, że ten stanął w obronie słodkiego białego chłoptysia – zupełnie jakby dzwoniła do ciebie dziewczyna i mówiła przez telefon: „Moja przyjaciółka jest w ciąży, znasz jakiegoś lekarza?" W tej historii Gary jest

duży i silny, a gdyby tak założyć, że to on był białym chłopaczkiem?

Dlatego Farrell przeżywał wielogodzinne załamania, że tak mało odpowiedzi wydobyli z wnętrza Gary'ego Marka Gilmore'a, pytań zaś pozostaje tak wiele. Jak mogą przystąpić do wyjaśniania kwestii podstawowych, na przykład, w jaki sposób Gary doprowadził Nicole do samobójstwa? Zagadkowa sprawa. Czy można taką głębię perfidii kochanka złożyć na karb otoczenia? Czy można pokusić się o stwierdzenie, że wyłącznie miastowy cwaniak poddaje się mechanizmom psychologicznym, które naznaczają go tak mocno? Czy można powiedzieć, że w wyniku niewłaściwego odżywiania, spania w niewłaściwych miejscach, brania niewłaściwych proszków, prowadzenia niewłaściwych samochodów, skręcania w niewłaściwą drogę – w wyniku robienia tych rzeczy przez długi czas człowiek przemienia się w siłę, która straszliwie krzywdzi kochające go osoby?

A może trzeba winić dziedziczność i utrzymywać, że Gary Gilmore wyrósł z tajemniczego ziarna zła? Przecież tysiące ludzi mogłoby wejść do motelu i zastrzelić właściciela. Później używaliby tego samego sposobu, co w zeznaniach Gilmore'a. Nie bardzo wiedziałem, nie bardzo pamiętam, to było jak w filmie, bracie, bez przyczyny. Myśli Jak przez mgłę, wiesz. Ale planowanie samobójstwa Nicole – to dla Farrella dzieło geniuszu podłości. „Mały elfie, jak możesz mnie ranić?" – skarżył się Gilmore. I zaraz na następnej stronie u góry – jak gdyby nagle przełknął ognisty piorun złości – widniało KURWA, GÓWNO I HUJ, wypisane wielkimi wołami.

Farrell był wyjątkowo podejrzliwy, jeśli chodzi o listy. Zauważył, że nastrój często zmieniał się z początkiem nowej strony. W efekcie każda kartka była osobną kompozycją. Gilmore – wiadomo, człowiek Renesansu – nie miał zamiaru kalać ładnie wykaligrafowanej strony wulgaryzmami, zwłaszcza kiedy ładną stronę planował zakończyć rysunkiem elfa.

GILMORE: – Jeżeli uda mi się porozmawiać z Nicole, zanim zostanę stracony, nie mam zamiaru prosić jej o nic szczególnego, może zachęcić ją, żeby żyła i wychowywała dzieci. Ale nie chcę, żeby ktokolwiek inny ją miał.

MOODY: – Faktycznie masz twardy orzech do zgryzienia. GILMORE: – No. Można powiedzieć, że to mi daje trochę do myślenia.

MOODY: – Na niej spoczywa dosyć duża odpowiedzialność wobec tych dzieci.

GILMORE: – E tam, nie większa niż na kimś innym wobec własnych dzieci. Słuchaj, dzieci pochodzą z ciebie, ale nie są całkiem twoje. To znaczy… każde ma swoją własną duszę. Te dzieci pochodzą od Nicole, ale nie są jej częścią.

MOODY: – Uważasz, że dadzą sobie radę bez niej tak samo dobrze jak z nią?

GILMORE: – Zdaje się, że to zabrzmi oschle, ale ja się za bardzo nie martwię o te dzieci. Z głodu nie umrą. (pauza) Martwię się o Nicole i siebie.

MOODY: – Czy nie lepszym wyrazem miłości byłaby prośba, żeby ona zapomniała o tobie, skończyła z tobą i znalazła dla siebie i dzieci mężczyznę, który dałby im szansę na lepsze życie aniżeli dotychczas?

GILMORE: – Lepszym wyrazem miłości dla kogo? MOODY: – Dla niej i dla dzieci. GILMORE: – Nie odpowiadam na to.

Cóż, spójna filozofia przychodziła mu z takim samym trudem jak każdemu.

Przez cały ten czas Schiller odbierał Farrella po swojemu. Nie podobało mu się, że Barry ma tendencję do układania pytań opartych na gotowych wnioskach. W pewnym sensie to bardzo

katolickie, myślał Schiller. Katolicy powinni wiedzieć, co myślą. Czasem nawyk wyniesiony z kościoła dotyka mnóstwa innych spraw. Zaczyna się od gotowych wniosków i śledztwo rusza do przodu. Na sWój

wyrafinowany sposób Barry potrafił być tak ograniczony, jak facet z pBI. Zdecydowanie za mało zajmował się karmą. Schiller wcale nie był pewien, czy Barry dobrze wyczuwa Gilmore'a.

jednak rzeczywiste tarcia między nimi wynikały z tego, że Farrell nie lubił słuchać świeżo dostarczonych taśm. Dla Schillera na tym polegało twórcze zwieńczenie dnia. Natychmiast reagował uczuciowo. \V takich chwilach czuł, że powolutku rozgryza Gilmore'a. Lecz Barry nie chciał słuchać. Czekał, aż taśmy zostaną przepisane. Przez to miał cały dzień opóźnienia. Ale upierał się, że nie może pracować, dopóki nie ma wszystkiego na papierze. Wtedy dopiero podkreśla i analizuje. Schiller pytał:

–Nie słyszysz, jak on to mówi? Gary jest właśnie gotów rozwijać ten temat. Barry odpowiadał:

–Ale ja chcę spojrzeć na maszynopis.

Oczywiście nigdy się otwarcie nie sprzeczali, z wyjątkiem tamtej scysji o Jimmy'ego Breslina.

ROZDZIAŁ 26

Nic nie zostało

W grudniu, po nieprzychylnej dla nich decyzji Sądu Najwyższego, Anthony Amsterdam zadzwonił do Mikala. Ta decyzja, wyjaśniał, wcale nie oznacza, że stan Utah ma rację, w przeciwieństwie do nich, Oddalono jedynie wniosek o natychmiastowe rozpatrzenie. To tylko drobna przeszkoda. Bessie lub Mikal nadal mogą złożyć taki sam pozew w federalnym sądzie niższej instancji. Sprawa wróci wyżej.

Mikal odrzekł jednak, że Gary dzwonił do matki i prosił, żeby nie podejmować żadnych dalszych kroków.

Decyzja Bessie o niewtrącaniu się wyglądała na ostateczną. Dlatego Mikal uważał, że jakąkolwiek dalszą akcję będzie musiał prowadzić sam. Powiedział też Amsterdamowi, że nie wie, do jakich dojdzie wniosków. Być może powinien wybrać się do Utah. Zwierzył się, że taka podróż go przeraża.

Prawnik stwierdził, że Mikal musi wziąć pod uwagę, iż państwo Damico mogą nie życzyć sobie jego odwiedzin u brata. Amsterdam przyznał, że co prawda nie zna Verna Damico, lecz dla wuja i jego adwokatów śmierć Gary'ego może wiązać się z korzyścią finansów. Na pewno będą świadomi, że Mikal może wpłynąć na zmianę decyzJi Gary'ego. Będą przekonani o swojej prawości i uczuciach rodzinnych. jednak odmówią współpracy.

Mikal przygotował się do wyjazdu.

jedenastego stycznia Richard Giauque spotkał Mikala na lotnisku ft Salt Lakę i zawiózł go do Point of the Mountain. Ponieważ Giauque mjał własny samochód w naprawie, przyjechał limuzyną kolegi, srebrnym rolls-royce'em i przeprosił za taką wystawność. Mikal – cały spięty, ponieważ wybierał się na rozmowę z bratem, który mógł okazać mu wrogość – nie

zwracał uwagi, czym podróżuje. Wjechali za bramę i poprowadzono ich pomiędzy wysokimi parkanami z drucianej siatki do Maksymalnego Nadzoru w długim parterowym baraku i Mikal zdumiał się, że nie zrobiono mu rewizji. Giauque załatwił widzenie przez Rona Stangera i powiedziano mu, że to będzie „dziewięćdziesiąt minut bez kontaktów fizycznych". Jednak naczelnik chyba zmienił zdanie, gdyż Mikala szybko wprowadzono przez dwie rozsuwane stalowe furty do pokoju jakieś siedem na dziesięć metrów, czyli do sali widzeń Nadzoru Maksymalnego. Wszystko było tam pomalowane na beżowo; brzydki beż, stary i paskudny. Na podłodze walały się niedopałki, a w kącie stała osypana choinka – więcej niż dziesięć dni po Nowym Roku. Nie sprzątane, brudne pomieszczenie.

Gary wszedł niespiesznie przez inną odsuwaną furtę. Miał na sobie biało-czerwono-niebieskie tenisówki i biały kombinezon. Niczym żongler obracał w palcach grzebień. Uśmiechał się szeroko.

–No i co? – powiedział do Mikala. – Ciągle jesteś chudy jak

cholera.

W każdym razie ledwo zaczęli rozmowę na temat przyczyny odwiedzin Mikala, Gary stwierdził:

~~ Nie chcę, żeby rodzina się wtrącała. – Wpatrywał się Mikalowi w oczy. – Mam nadzieję, że Amsterdam nie ma z tym nic wspólnego.

Zanim Mikal zdążył odpowiedzieć, w drzwiach stanęli Vern z Idą. oczom nie wierzył. Obiecano mu prywatne widzenie.

przyniósł duży zielony podkoszulek z nadrukiem komputerowego zdjęcia Gary'ego. Pod spodem był napis: GILMORE – ' odroCZENIE ŚMIERCI. Mikal nie umiał powiedzieć, czy mówią serio,

rozmawiali o tym, że Gary włoży taką koszulkę w dniu egzekucji, żeby później ją sprzedać na licytacji, z dziurami od kul i w ogóle.

–Dajcie ją do Sotheby's – rzekł Gary ze śmiechem. takie rozmówki zabrały większość czasu. Vern i Gary zachowywali się jak weterani wspominający dawne wyskoki w obecności rekruta.

Po wyjściu wujostwa Damico Mikal spędził chwilę sam na sam z Garym. Zaraz dostał koszulkę.

–Nie bardzo mi się przyda.

–No tak – odrzekł Gary – bo jest za duża. Może do niei dorośniesz.

Mikal nie mógł się powstrzymać od pytania:

–Naprawdę masz zamiar ją sprzedać?

–Czy ty myślisz, że nie stać mnie na większą klasę?

Po powrocie w Salt Lakę Mikal zasiadł do długiej rozmowy z Richardem Giauque'em. Podobnie jak Amsterdam, ten prawnik był przekonany o własnych racjach i bardzo zaangażowany.

Giauque wykazał, że różne osoby posługują się Garym. Aby wygrać wybory, nowy prokurator generalny Bob Hansen opowiedział się otwarcie za karą śmierci. Hansen, a także wielu innych konserwatystów, ewidentnie wykorzystało pragnienie śmierci Ga-ry'ego dla własnych celów politycznych. Podczas gdy Giauque dopuszczał w ostateczności, że tak zwane prawo do śmierci, prawo do samobójstwa, może wymagać poparcia ludzi takich jak on " przynajmniej jeśli się zakłada, że prawo narodów do samostanowienia w równym stopniu dotyczy narodów, jak i jednostek – wszystko, wziąwszy pod uwagę zaistniałe okoliczności, zbyt osób podłączyło się tu pod

Gary'ego. Zdaniem Giauque'a ten umniejsza wagę samych praw. Wolność osobista nie może sięgać tak daleko, by naruszała społeczną tkankę. W chwili obecnej uznanie praw jednego człowieka do śmierci może mieć śmiercionośny skutek dla życia czterystu do pięciuset ludzi z cel śmierci. W Utah opinia publiczna w osiemdziesięciu pięciu, a nawet dziewięćdziesięciu Procentach

wyraża osobiste życzenie śmierci. Sama oddaje się w ręce każdej bandy, • •'-" zechce obwołać się stróżami porządku." Mikal opowiedział o swoim problemie. Obawia się, że uratowanie Gary'emu życia drogą prawną spowoduje jedynie jego samobójstwo. Chociaż z drugiej strony, Mikal opowiada się zdecydowanie przeciw śmierci.

Giauque przytaknął. Zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że władza przypisze sobie rację wystarczającą do odbierania życia. Praktyka prawnicza, mówił Giauque, uczy podejrzliwości wobec prawd absolutnych, zwłaszcza wobec władzy państwowej. Zbyt wielu ludzi o kołtuńskich poglądach piastuje odpowiedzialne stanowiska.

Mimo wszystko Mikala nurtowała jedna poważna kwestia. Czy aby obie strony nie pragną posłużyć się Garym? Giauque nic o tym nie wspomniał; być może – trzeba mu oddać sprawiedliwość – nawet o tym nie pomyślał, jednak logicznym wnioskiem z jego wywodu była ewentualność wstrzymania egzekucji przez przeciwników kary śmierci, nawet za cenę samobójstwa Gary'ego. W ten sposób przynajmniej władze stanowe stracą swą omnipotencję. Mikal nie wiedział, z której strony to ugryźć. Rozumiał, że będzie zmuszony zostać w Salt Lakę nieco dłużej i postarać się o jeszcze jedno spotkanie z Garym.

Trochę później zadzwonił do Verna z pytaniem, czy Moody i Stanger są wolni, i dowiedział się, że nie mogą się z nim spotkać tego wieczoru. Za to Schiller przylatuje z Los Angeles i jest skłonny rozmawiać, chce tego.

centach opowiada się za najwyższą karą już teraz, bo „oto wasz

Larry dotarł do hotelu dopiero koło północy. Tam, w poczekalni 'HIltona", podszedł do niego młody człowiek raczej wysokiego wzrostu Przedstawił się. Schiller był zaskoczony. Ten młodszy brat miał długie włosy, pewną delikatność w obejściu i wygląd intelektualisty. spodnie od garnituru, sweter, a pod pachą teczkę z plastiku. Był gotów rozmawiać wprost na korytarzu. Ledwo usiedli, Mikal

z miejsca oświadczył: „Mam mnóstwo pytań", i zabrał się do notowania, podczas gdy Schiller prezentował dziesięciominuto\vą wersję swojej mowy. Zanim skończył przemówienie, coś mu nie pasowało z tymi notatkami i zażartował:

–Robisz tyle notatek, że mógłbyś napisać książkę. Dopiero kilka tygodni później Schiller się dowiedział, że Mikal faktycznie pisał artykuł dla „Rolling Stone".

Istniało pewne rodzinne podobieństwo, lecz Schillerowi nie chciało się wierzyć, że Mikal jest spokrewniony z Garym. Jego głos brzmiał bardzo miękko; cichy młody człowiek o szczupłych dłoniach niezwykle uprzejmy, zważywszy na wagę sytuacji. Siedział na miejscu jak należy, nie rozwalał się ani nie kładł nóg na stół, tylko raz po raz wyjmował papiery ze swojej teczki, porównywał notatki, później chował. Schillerowi wydał się akademicki. Gdyby nie te długie włosy, wyglądałby jak szczupły wysoki mormon, jeden z prymusów BYU.

Dopiero kiedy Mikal zaczął mówić o sobie, Schiller pojął, o co chodzi. Decyzja, czy dalej brnąć z Giauque'em i Amsterdamem, czy nie, wymagała wdepnięcia w niezłe gówno. Chłopak nie tonął we łzach, ale wiadomo było, że nim trzęsie.

Nagle, ni z tego, ni z owego, jeb! W stylu Gary'ego Gilmore'a Mikal spytał, czy Schiller woli, żeby Gary żył, czy umarł? Proszę

bardzo, kluczowe pytanie. Schiller spojrzał Mikalowi w oczy i rzekł:

–Ja zapisuję historię, ja jej nie tworzę.

Mikal zanotował tę odpowiedź i więcej nie pytał. Nie zadaje ostrych pytań ani się nie narzuca, doszedł do wniosku Schiller. Mikal po prostu przyjmował odpowiedzi Larry'ego, nie upierał się, nie tropił ani nie podpuszczał. Po prostu zapisywał, a potem oglądał jak zapisać stronę, jak gdyby studiował własny charakter pisma. Zrobiła się późna noc i Schiller był okropnie zmęczony. Latał tego dnia do Los Angeles i z powrotem. Zaczął się, zastanawiać, dlaczego Mikal wolał spotkać się z nim aniżeli z Vernem, Idą czy kimkolwiek innym.

–Masz zamiar rozmawiać z państwem Damico? – spytał.

–Jestem tu – odpowiedział Mikal – żeby porozmawiać z Garym i podjąć decyzję.

Schiller doszedł do wniosku, że w tym człowieku nie ma żadnego ciepła, żadnej chęci porozumienia. Spotkanie było chłodne.

_- Dlaczego robisz notatki? – spytał w końcu.

Mikal odparł:

–Żeby móc zanalizować to, co powiedziałeś.

Mimo wszystko postanowili spotkać się ponownie i nie wyjawiać nikomu treści rozmów. Schiller odwiózł Mikala do hotelu i wracał międzystanową do Orem czując, że jednak tej nocy dokonał się przełom. Mikal może i okazywał pewną nieufność, ale następne spotkanie obróci się na lepsze. Poprzez Mikala można zyskać wejrzenie w rodzinę Gilmore'ów i poznać szczegóły z dzieciństwa, te dobre i te złe. Ponieważ Mikal tak bardzo różnił się od Gary'ego, otwierały się nadzieje na

niezależny punkt widzenia. Schiller tak się z tego cieszył, że aż opowiedział o tym Vernowi. Wkrótce okazało się to błędem, przynajmniej wedle kryteriów Schillera.

«DESERET NEWS»

Salt Lakę, 12 stycznia. Prokurator Generalny Utah, Robert B. Hansen, otrzymał dziś list od prawniczki z Salt Lakę City, Judy Wolbach, w którym stwierdza ona, iż przeprowadziła rozmowy ze znanym prawnikiem Melvinem Bellim. Według jego oceny, krewni Gilmore'a mogą złożyć pozew „Niesłusznej Śmierci". Rodzina może wystąpić przeciwko urzędnikom stanowym o milion dolarów odszkodowania oraz półtora miliona dolarów zadośćuczynienia za szkody…

Jeżeli Gilmore zostanie stracony, a później Sąd Najwyższy uzna karę śmierci w danym stanie za niezgodną z Konstytucją…

Przyleciał Barry Golson z „Playboya". Schiller otrzymał już zaliczkę około dwunastu tysięcy dolarów. Po dwóch dniach spokojnych rozmów i wściekłych kłótni na temat szczegółów kontraktu działali

sobie na nerwy. Golsona denerwowała obecność Breslina. Czyżby

Schiller wyprzedawał własność „Playboya"?

–Nie podoba się, to jazda stąd – oświadczył Schiller.

–Trochę grzeczniej – odparł Golson – i ja się dostosuje. Cóż za starcie osobowości!

Moody ze Stangerem znów zaczęli. Wpadli do motelu z wiadomością, że chcą premii. W przeciwnym razie nie będą więcej przeprowadzać z Garym wywiadów.

Schiller robił, co mógł.

–Muszę dać znać Gary'emu, że próbowaliście się wycofać -. powiedział. Nie był pewien, czy to poskutkuje. – Mam zamiar

wysłać telegram – ciągnął. Kiedy przekonał się, że ich to w ogóle nie przeraża, spróbował z innej beczki.

–Słuchajcie – powiedział. – Dotknęło was to, co prędzej czy później dotyka wszystkich adwokatów. Strugacie niewiniątka, dopóki nie chodzi o pieniądze.

I w końcu odmówił im premii, chyba że Vern wyrazi zgodę.

–Jeżeli on się do mnie zwróci, dam wam według jego uznania.

Dziwna to była kłótnia, bo rzeczywiście pieniądze pochodziłyby nie z kieszeni Schillera, tylko Verna, toteż chodziło raczej o konflikt osobowości. Wszyscy byli zmęczeni.

Po obiedzie zadzwonił z Miami Jan Calder z „National Enquirera", żeby zawiadomić o swoim pomyśle, który może być wart sumy sześciocyfrowej.

–Namówisz Gary'ego, niech odda jakieś dwa nieduże przedmioty ze swoich rzeczy osobistych – rzekł – i niech w paru zdaniach napisze, co to za przedmioty. My wyślemy posłańca po odbiór zaklejonej koperty i umieścimy ją w sejfie. Zanim Gary umrze, powiadomimy naszą siatkę wróżbitów i jasnowidzów z całego świata, żeby się włączyli dokładnie w momencie egzekucji. Zobaczymy, czy uda im się w przybliżeniu określić, jakie to dwa przedmioty i co Gary napisał na kartce.

Schiller powiedział do słuchawki:

–Janie, o jakich sześciu cyfrach rozmawiamy?

–Larry, jeżeli to się uda, mam na myśli sto tysięcy. O tym v czas mówię. Sto tysięcy dolarów, jeśli to wyjdzie. Larry spytał:

–A jeżeli nikt nie zgadnie?

ian odrzekł:

__ No oczywiście, wtedy to jest warte znacznie mniej.

_. Dobranoc – powiedział Schiller i odłożył słuchawkę.

W lewym rogu sali widzeń znajdowała się budka z trzema krzesłami j trzema słuchawkami telefonicznymi przy trzech okienkach. Kiedy następnego dnia Mikal wszedł na widzenie z Garym, zobaczył, że Moody i Stanger rozmawiają z bratem przez szybę. Gary siedział z dwiema słuchawkami przy uszach; w jednej słyszał Moody'ego, w drugiej Stangera. Żaden z nich nie wiedział, że z tyłu stoi Mikal i może podejść do trzeciej słuchawki. Nie zrobił tego jednak, tylko niepostrzeżenie usiadł w kącie i słuchał, jak Moody mówi:

–Schiller spotkał się z nim wczoraj wieczorem. Sądzi, że Mikal zamierza wstrzymać egzekucję. Po chwili Moody dodał:

–Wiesz, że Giauque przywiózł go rolls-royce'em?

Kiedy Moody wstał do wyjścia, chyba do niego dotarło, że to Mikal, bo wyglądał na zaskoczonego. Potem Mikal słyszał, jak pyta jednego ze strażników, kim może być ten gość.

Gary wszedł do sali widzeń w czarnym podkoszulku bez rękawów. Obracał na palcu szkocki beret.

–Gary, ja nie chcę robić zwodów – oświadczył Mikal. – To Prawda, co powiedział twój adwokat. Mogę wystąpić o zawieszenie.

Twarz Gary'ego przybrała wyraz jak ze zdjęć w gazetach. Zaciśnięte szczęki. Rozdęte nozdrza.

–Czy również jest prawdą – spytał – że Giauque przywiózł cię tu rollsem?

Mikal pojął, jak to wygląda w oczach Gary'ego. Bogaci lewicowcy, którzy w latach poprzednich palcem nie kiwnęli w

jego sprawie,

teraz urzywają swoich wpływów i bogactwa, robiąc mu na złość. To nie ma znaczenia – usiłował wyjaśnić.

Pokłócili się o Amsterdama i Giauque'a.

–Ty myślisz, że co oni są, święci? – pytał Gary. – Próbują cię wykorzystać.

–Zrozum, że ja mogę działać bez nich – tłumaczył Mikal. ~_ Mógłbym teraz wkroczyć i uzyskać twoje ułaskawienie. Nie oni doprowadziliby do tego, tylko ja.

–Naprawdę mógłbyś to zrobić? – zapytał Gary.

–Myślę, że tak.

Gary spacerował w kółko.

–Słuchaj – odezwał się. – Ja spędziłem zbyt długi czas za kratkami. Nic we mnie nie zostało. Dobiegł ich głos strażnika:

–Czas minął.

–Wróć jeszcze – powiedział Gary. – Porozmawiamy jutro. Mikal już wyszedł, lecz Gary zawołał za nim:

–Gdzie byłeś w tamtych latach, jak cię potrzebowałem?

Przez całą drogę powrotną do Salt Lakę Mikalowi dźwięczało w uszach: „Gdzie byłeś, jak cię potrzebowałem?" Już był gotów podpisać papiery dla Giauque'a, lecz teraz znów nie wiedział, czy to jego wybór, czy Gary'ego. Głos brata powtarzał: „Nic we mnie nie zostało." Mikal miał ochotę zniknąć w takim miejscu, gdzie nie istnieje konieczność wyboru. Po fatalnej nocy postanowił napisać do Gary'ego list.

Pisał w nim, że kiedy staje do konfrontacji z gniewem starszego brata, nigdy nie pamięta, co chciał powiedzieć. Wyznał Gary'emu, że zawsze się go bał. Dopiero podczas dwóch ostatnich z nim spotkań pojął, że w gruncie rzeczy go kocha. Każdy wybór, jakiego dokona, będzie wynikał z miłości. Gdyby Gary wybrał życie, Mikal ma nadzieję, że uda im się przełamać barierę między nimi. Na koniec dał wyraz swoim przekonaniom: najlepsze szansę zbawienia ma ten, kto życie przedkłada ponad śmierć. W życiu należy szukać odkupienia, nie w śmierci.

Po południu w więzieniu strażnik przeczytał list Mikala i dostarczył go Gary'emu z drugiej strony szyby.

Gary przeczytał w milczeniu i rozpłakał się. Uronił parę łez. Potem otarł oczy palcem i uśmiechnął się.

Dobrze piszesz – powiedział do słuchawki. – Czytałeś Nietzschego? On napisał, że przychodzi chwila, kiedy człowiek musi się zreflektować, żeby sprostać wyzwaniom losu. Ja właśnie próbuję to zrobić,

Siedzieli naprzeciw siebie. Gary pokiwał głową.

–Słuchaj, mały, rozmyślałem o tym, co ci wczoraj mówiłem. To niesprawiedliwe. Nie było mnie, kiedy dorastałeś. Ustalmy jedno. Ja nie czuję do ciebie nienawiści. Wiem, że jesteś moim bratem, i wiem, co to znaczy.

Równie dobrze Gary mógł Mikalowi położyć dłoń na sercu. Mikal czuł się z jednej strony urabiany, z drugiej zmiękczany. Z obowiązku zadał pytanie:

–Co byś zrobił, gdybym się postarał o wstrzymanie tego?

–Owszem, mógłbyś doprowadzić do złagodzenia wyroku –

przyznał Gary. – Ale nie ty będziesz potem żył w więzieniu. Czy

' wiesz, ile musisz mieć siły, żeby latami wytrzymać w takim miejscu?

Mikal już był właściwie gotów ustąpić. Ale pierwszego dnia w Salt Lakę poznał Billa Moyersa. Od tamtej pory spędzał z nim długie godziny. Uważał, że Moyers jest jednym z najmądrzejszych i najbardziej wrażliwych ludzi, z jakimi się zetknął, Moyers zaś powiedział:

–Jeżeli przyjdzie nam wybierać pomiędzy życiem a śmiercią i odrzucimy życie, odrzucimy tym samym człowieczeństwo.

Gary mógłby posłuchać tego argumentu. Był tak jasno sformułowany. Gary lubił idee odwołujące się do logiki. Mikal nie sądził, że to coś zmieni. Jednak przed wyjściem poprosił, żeby Gary porozmawiał z Billem Moyersem.

–Nie do publikacji. Po prostu rozmowa.

–Dobrze – powiedział Gary – ale tylko prywatnie. Nie możemy wspominać o moich układach z Larrym Schillerem.

ROZDZIAŁ 27

Odcięty postronek

Dziś rano mam tylko parę minut na pisanie, bo zaraz przyjdzie mój adwokat.

Dużo radości dała mi stara książka od Francuskiego. To jest piękny język. Chciałabym się go nauczyć albo nawet kiedyś zamieszkać we Francji.

Daleko stąd – no tak…

Sundberg poinformował mnie, że wszyscy lekarze maczający palce w tym moim nieszczęściu już planują, żeby zalecić zwolnienie mnie 22 stycznia (1977 r. mam nadzieję).

Te długie dni faktycznie przybliżają datę Twojej egzekucji. Bardzo trudno mi pojąć, że to naprawdę.

Nie chodzi o to, że niedługo umrzesz, tylko że nie mogę teraz być z Tobą, gdy tak niewiele czasu zostało. Dlaczego tak ma być? Musi istnieć jakaś logika w moim losie, ale ja nie widzę choćby nawet JeJ cząstki…

Nie ma już słów, którymi mogłabym wyrazić Miłość mojej duszy i mojego serca do Ciebie mój Bliski Duchem.

Masz całą moją miłość. Zresztą wiesz.

I ja wiem, że mam Twoją.

jeżeli umrzesz… tak niedługo… będę wiedziała o tym i poczuję jak dusza otacza moje myśli i tę duszę, co kocha Cię bez reszty. DO widzenia moja miłości DO wtedy i na zawsze Nieważne dokąd pójdę będę iść sama Dopóki nie znajdę się znów przy Tobie.

Kocham Cię Zawsze Twoja

Nicole

Larry przedyskutował sprawę z Farrellem i doszli do porozumienia. Kiedy Gilmore ma mówić o sobie, jego wypowiedzi wydają się szczere, lecz w istocie on odgradza się psychicznym murem. Muszą dokonać w nim wyłomu, skoro chcą dowiedzieć się czegoś więcej. Pytania powinny krytycznie odnosić się do póz Gary'ego, przebić się przez fałsz. Farrell opracował więc zestaw specjalny dla Moody'ego i Stan-gera. Schiller poinstruował ich również, że Gary ma głośno odczytywać każde pytanie, potem odpowiadać. Nie chcieli, żeby ton głosu któregoś z adwokatów wpływał na jego reakcję.

Przez telefon pod Maksymalnym Ron Stanger powiedział:

–Nasz przyjaciel sądzi, że przydałyby mu się, cytuję: „poważne odpowiedzi". Koniec cytatu.

–Ja cały czas podchodzę do tego poważnie – zaprotestował Gilmore. – Tak poważnie jak nigdy.

–W porządku – uspokoił go Moody. Gilmore zaczął czytać.

–„Wydaje mi się, że w twojej sytuacji, przy twojej wierze w los, Przeznaczenie i karmę, ta rozmowa, którą z takim trudem prowadzimy, jest rzeczywiście ważnym wydarzeniem w twoim życiu, podobnie jak w moim." – Dzięki, Larry – skwitował ten wstęp. – "Uważam – czytał dalej – że powaga sytuacji na nas obu nakłada obowiązek usilnych starań, by zastąpić powierzchowne spekulacje głęboką, rzetelną interpretacją." – Słusznie – odpowiedział. –

„Czasem wydaje się, że opowiadasz historię, którą już przedtem opowiadałeś wiele razy – brzmiało następne pytanie. – Słucham tego i myślę: Gary, czy to samo opowiadasz wszystkim dziewczynom albo wszystkim lekarzom, albo wszystkim

ludziom, którzy się tobą jn teresują i chcą cię lepiej poznać? Część historii, jakie opowiadałeś w trakcie tych wywiadów, powtarza się również w listach do Nicole gdzie towarzyszą im, powiedzmy, akcenty miłosne – subtelne wskazówki, że pragniesz oczarować swego rozmówcę, kochankę, obserwatora, z wprawą i wyrachowaniem. Ja serio tak to odbieram Powiedz mi, w którym miejscu się mylę." – Mylisz się, Larry – rzekł Gary.

Następnie wybuchnął śmiechem.

–Kurczę, w tym nie ma żadnego wyrachowania. Odczuwam samotność. Lubię opowiadać, ale mówię prawdę. W pudle dużo się gada, wiesz, dla zabicia czasu. Cholera, prawie każdy więzień ma swoją kolekcję wspomnień, anegdot, opowieści. Ty pewnie też masz swoje ulubione wątki, które snujesz przy różnych okazjach. Wiesz, chodzisz przecież na proszone obiady i tak dalej, rozmawiasz z różnymi ludźmi, Larry, więc sam masz w zanadrzu różne anegdotki. Fakt, że opowiadasz o czymś więcej niż raz i nie tylko jednej osobie, nie świadczy, że to kłamstwo. – Milczał chwilę. – Larry, ja mówię dobitnie… spędziłem mnóstwo czasu w kabarynie, a tam nie widzisz faceta, z którym gadasz, bo on jest w celi obok albo gdzieś dalej. Dlatego po prostu trzeba mówić głośno i wyraźnie, bo mogą akurat trwać inne rozmowy, słychać inne hałasy, brzęk kluczy i krat. Pomyśl o tym, dobra?

–„Nie jestem pewien – czytał – czy naprawdę pamiętasz swoje wczesne dzieciństwo." – Zmieniając ton głosu, Gilmore odpowiedział: – A ty naprawdę pamiętasz swoje wczesne dzieciństwo, Larry

–„Powiedziałeś, że miłość twojej matki była zawsze wielka, stała i konsekwentna – brzmiał dalszy ciąg pytania. – Nawiasem mówiąc, to dziwny dobór określeń dla opisu matczynej miłości."

–Nie sądzę, że dziwny. Nie uznaję twojego pytania.

–„Wydaje mi się, że nigdy nie słyszałem, żeby ktoś użył słowa: -«wielka, stała i konsekwentna)) w takim kontekście."

–Może i nie słyszałeś – odrzekł Gilmore. – A pytałeś kogoś kiedykolwiek o jego matkę?

_- „Na podstawie rozmów z twoją rodziną i po wysłuchaniu twojego głosu z taśm odnoszę wrażenie, że jako dziecko być może byłeś traktowany okrutnie. Pewne osoby z twojej rodziny twierdzą, że twoi dziadkowie próbowali uzyskać prawo do opieki nad tobą. Że urodziłeś się w nie najlepszym momencie w życiu twojej matki i ona wyraźnie cię odrzucała, kiedy byłeś mały. Czy jest w tym jakieś ziarnko prawdy?"

–Nic mi o tym nie wiadomo, Larry – odparł Gilmore.

–„Wreszcie weźmy syna, który postępuje tak jak ty i w ten sposób bardzo pięknie mści się na tych wszystkich, co nie dość go kochali. Może to gówniana psychoanaliza; jeśli tak – poddaję się, ale pragnąłbym zrozumieć, dlaczego ten kochany chłopiec wyrósł i wynagrodził swoją mamę życiem takim jak twoje. Myślę, Gary, że dokonywałeś zemsty za coś, co ci się przydarzyło, gdy byłeś za mały, by z tym walczyć. Inny powód, dla którego jestem skłonny tak uważać, to lekkie jąkanie w twoim głosie przy każdym pytaniu o uczucia."

–Sraty-taty – parsknął Gilmore.

–„Zaczynasz mówić jak wyleczony jąkała. Nie uważam cię za pozbawionego uczuć. Myślę, że jesteś człowiekiem, który jakoś nie potrafi przyznać się do swoich emocji."

Minęła dłuższa chwila, zanim Gilmore udzielił odpowiedzi.

–Larry, przysięgam na Boga, że sobie nie przypominam (a pamięć mam rewelacyjną), żeby moja mama mnie kiedykolwiek uderzyła. Wydaje mi się, że nawet nigdy nie dała mi klapsa. Zawsze mnie kochała i wierzyła we mnie. Chuj z tym, co

wszyscy w rodzinie gadają. Mam wspaniałą matkę. Chuj z tym, co wszyscy w rodzinie gadają. Mam wspaniałą matkę. Powtórzyłem, bo akurat był hałas. Nie wiem, CZY go słychać na taśmie, ale ja słyszę.

Gary na chwilę przestał czytać.

–Niektóre uczucia są czymś bardzo intymnym – powiedział do Moody'ego. – Jezu, ten facet chce mnie publicznie prześwietlić. Cholera.

Moody odrzekł:

~~ Myślę, że po prostu próbuje ustalić fakty.

~~ Niech to szlag – ciągnął Gilmore. – Larry próbuje pewnie Wywołać moją złość, żebym odpowiadał bardziej spontanicznie.

Kontynuował wywiad, odczytał resztę pytań, lecz nic z tego nie wynikło. Nie irytował się więcej.

Barry odczuł to tak, jak gdyby wyprowadził swój najskuteczniejszy cios, a facet go odparował. Może nie matka stanowiła czuły punkt Porzucił nadzieję na przełom. Wywiad dla „Playboya" będzie musiał powstać z posiadanych materiałów oraz z tego, co jeszcze doniosą Moody i Stanger.

Po zakończeniu rozmowy adwokaci odbyli z Samem Smithem rozmowę na temat ewentualności odwołania się w ostatniej chwili. Naczelnik niepokoił się, że jeśli Gary zmieni zdanie pod sam koniec, nie będzie żadnej możliwości wstrzymania egzekucji. Sam uważał, że prawnicy powinni powiadomić o tym Gilmore'a.

Gary'emu nie chciało się nawet o tym rozmawiać.

–Nie trzeba robić żadnych zabezpieczeń – oświadczył Moody'emu i Stangerowi.

Nie życzył sobie nawet wracać do tego tematu. Prawnicy uznali, że jest wysoce nieprawdopodobne, by Gary zmienił zdanie – a gdyby nawet to zrobił, naczelnik i tak nie uniknie konieczności skontaktowania się z gubernatorem, bez względu na to, co na ten temat twierdzi.

Sam Smith skonsultował się także z Earlem Doriusem. Czy Gilmore ma być w kapturze? Ten człowiek życzy sobie stanąć twarzą w twarz z plutonem egzekucyjnym. Jednak, zaznaczył Sam Smith, trzeba myśleć o rozwiązaniu najlepszym dla strzelców. Kaptur ułatwi im zadanie. Któż chciałby widzieć w celowniku pałający wzrok człowieka naprzeciw? Poza tym, ciągnął Smith, co się stanie, jeśli facet w ostatniej minucie straci zimną krew i będzie robił uniki od kul?

Według Doriusa kodeks pozostawia szczegóły przeprowadzenia egzekucji w gestii naczelnika. Jeżeli Sam tego sobie życzy, Gilmore a w kapturze na głowie można przypiąć pasami do krzesła.

Naczelnik nie przyszedł i nie powiedział o tym otwarcie, moim zdaniem niepokoi się, że moje stanie i patrzenie może denerwować pluton egzekucyjny. Poprosiłem go, żeby podał ważny powód, dlaczego mam być w kapturze, ale nie umiał go podać i był wyraźnie zamyślony. Słuchaj, on to powiedział przy Faganie; mówił, że zwykle przychodzą do celi, tam ci zakładają kaptur i masz go na sobie Od momentu wyjścia z celi aż do śmierci. Powiedział, że tego mi nie zrobi, że nie nałoży mi kaptura do chwili, aż usiądę na krześle. W takim razie chcę, żeby skurczybyk przynajmniej tu dotrzymał słowa.

Oczywiście Gilmore chciał pokazać, jak spokojnie do tego podchodzi. Ostatnio zirytował go jedynie artykuł, w którym pisano, że jest nerwowy. Zdenerwowanie było ostatnią rzeczą, jaką Gary okazywał. Moody bez przerwy go zahaczał:

–Nie boisz się?

–Nie – odpowiadał Gilmore.

Ani razu nie przyznał się do strachu. Ani razu nie dał do zrozumienia, że mógłby zmienić zdanie. Jego nieugiętość zdumiewała Moody'ego. Wydawało się, że każda komórka ciała Gilmore'a podporządkowuje się jego intencjom. Rosła jego siła emocjonalna, ale również fizyczna.

–Jak się czujesz? – pytał Bob Moody. – Wyspałeś się?

–Zeszłej nocy dobrze spałem.

–Jak tam ćwiczenia?

–Rozwijam się.

Aby to zademonstrować, Gilmore robił świecę na stołku. Mięśnie nóg miał znakomicie wyrobione. Zdaje się, że wszyscy więźniowie pod Maksymalnym żyją wyrabianiem sobie mięśni, mimo to Gary świetnie Się prezentował w porównaniu z dobrze zbudowanymi więźniami z sąsiednich cel. Moody nigdy nie uważał się za uczuciowego, ale Gilmore wzbudził w nim podziw.

oddał listy Gilmore'a, lecz „New York Post" dał mu pięć dolarów, urywając dwa i pół tysiąca. Następnie Gibbs usłyszał, że w „Post" sprawdzono listę zaproszonych na egzekucję i nie

figurowało na niej jego nazwisko. Lecz sprawdziwszy jego referencje w Departamencie Skarbu i FBI, ludzie z „Post" przeprowadzili z nim wywiad w barze i zrobili mu około trzydziestu zdjęć.

Kiedy reporter z fotografem poszli sobie, Gibbs został, żeby dalej pić. Jednak kiepsko mu się mieszało z doustnym yaridase i zebrało mu się na pawia. Barman musiał mu pomagać dowlec się do toalety. Gibbs od razu wysłał matce tysiąc z tej piątki, ale resztą popisywał się jak głupi. W toalecie natknął się na jakąś babę; zaraz za nią stał jej facet. Rzuciła się na Gibbsa sądząc,

że kulawego łatwo przewróci, lecz on ją powalił ciosem pięści, potem załatwił jej gacha. Tak później o tym opowiadał. Kiedy wrócił do baru, znaleźli się w restauracji dwaj gliniarze i aresztowali go. Lance LeBaron nie poskutkował – wsadzili go za kaucją stu tysięcy dolarów.

Egzekucja miała się odbyć w poniedziałek i od czwartku Schiller zaczął odczuwać presję końcówki. Z Nowego Jorku wydzwaniał Rupert Murdoch, oferując różne sumy za sprawozdanie z egzekucji na wyłączność. Kiedy pluton egzekucyjny wykona swoje zadanie, Schiller miał wyjść na spotkanie dziennikarzy, złożyć krótkie oświadczenie, a potem zamknąć się w pokoju z reporterem Murdocha. Schiller zdawał sobie sprawę, że nie może po prostu odmówić, gdyż Murdoch mógłby spróbować innego sposobu na uczestnictwo w egzekucji – przekupić strażnika czy coś. Nie na darmo Rupert Murdoch przejął kontrolę nad „New York Post" oraz „Yillage Yoice" i zbijał fortunę na dziennikach w Australii. Dlatego Schiller postanowił prowadzić Murdocha na postronku. Prowadził już „Time'a", „Newsweeka" i paru innych.

Potem zadzwonił do Schillera jeden Anglik.

–Chcemy, żeby pan przeszedł z nim Ostatnią Milę. Larry odrzekł:

–Co ja jestem: Edward G. Robinson?

–Czy chce pan przez to powiedzieć – dopytywał się dziennikarz – że nikt nie przejdzie Ostatniej Mili ze skazańcem?

–Nie będę nigdzie maszerował! – wrzasnął Schiller. – Ja, kurwa, w ogóle nie wiem, czy chcę egzekucji tego gościa!

Potem Moody przyniósł wywiad o tym, co Gary czuje, jeśli chodzi o kaptur. Można było z tego odcedzić parę stron dla gazet, bez naruszania integralności zapisu. Schiller postanowił

udostępnić fragmenty kilku wybranym reporterom. W grę wchodził Breslin, Dave johnston i Tamera Smith.

Mało brakowało, a Barry by się z nim pobił.

–Nie będziesz, kurwa, mnie tu uczył – oświadczył Schiller Farrellowi. – Ja naprawdę nad tym główkuję.

Przez ostatnie parę dni dziennikarze z całego świata stadami zlatywali do Salt Lakę, jak przed mistrzostwami wagi ciężkiej. Teraz Schiller już nie musiał się przejmować dwudziestoma lokalnymi reporterami, którym działał na nerwy. Miał na karku trzystu klientów błagających o kosmyk włosów Gary'ego bądź obcięty paznokieć. Do tego sama egzekucja. Powinien się do niej przygotować.

Schiller zatelefonował do Gusa Sorensena i przez to znów miał na karku Barry'ego Farrella. Powiedział mu:

–Muszę jakoś przesłać wiadomość naczelnikowi. Chcę, żeby Sam Smith pojął, że jak dostanę zaproszenie na egzekucję, to nie mam zamiaru robić go w wała. A tylko naczelnik może mnie nie wpuścić, rozumiesz? Prawo mówi, że nie może, ale on może. Dlatego muszę mu jakoś przekazać, że jeśli mnie zaprosi, będę mu posłuszny.

GUS Sorensen przyjechał w czwartek po południu i Larry udzielił mu wywiadu. Wywiad miał pokazać, że Schiller zdaje sobie sprawę z odpowiedzialności i będzie przestrzegał przepisów.

Zespół Stephanie załatwił sprzedaż zaledwie w trzech czy czterech redakcjach w Europie. Stephanie lubiła pobyt w paryskim Georges, lecz nie lubiła prowadzić interesów. Parę zagranicznych czasopism wyraziło zgodę na kupno, a potem się wycofało. We Francji, Schiller liczył na duży zysk, jakieś lokalne morderstwo odwróciło uwagę prasy od Gilmore'a. Wobec tego, kiedy Larry pokrył

koszty podróży, które dla trzech kobiet wyniosły dziesięć tysięcy zebrał w sumie nie więcej niż następne dziesięć. Żadne kokosy. Żeby było gorzej, Stephie postanowiła zatrzymać się w Nowym Jorku, Zdecydowanie nie przyjedzie do Utah. Cały ten kołowrót – Gilmore dziennikarze, egzekucja – przyprawiał ją o mdłości.

Dochodziła północ, gdy Larry trawił wiadomości od Stephie i wtedy zadzwonił Moyers z nowiną, że wchodzi na widzenie z Girmore'em. Chciał powiadomić Schillera.

–Nie – odparł Schiller. – Po moim trupie.

–Ale, Larry – tłumaczył Moyers – Gilmore chce się ze mną zobaczyć.

–Kłamiesz, Bili. Wiedziałbym o tym.

A może nie? Moyers nie należał do tych, którzy dzwonią, zanim się upewnią. Schiller usiłował sobie wyobrazić, jak on zdołał się wśliznąć. Na pewno przez Mikala. Wobec tego spytał:

–Widziałeś się z bratem Gary'ego?

–Tak. Jest u mnie w pokoju – odrzekł Moyers. – Zresztą od paru dni.

Ach, więc to tak. Schiller czuł się zdruzgotany. Jeden Bóg wie, jak istotne, niesłychanej wagi informacje Moyers pompował z Mikala. Nieodzowna forma przekazu spisana na straty.

Odwiesił słuchawkę i odczuł najczystszą osobistą zawiść. Nie wpuszczają go do Gilmore'a. Próbował wszystkich chwytów, mimo to jego pieprzony kontakt z facetem ogranicza się, kurwa, do magnetofonu. Zadzwonił do Boba Moody'ego i oświadczył:

–Bili Moyers twierdzi, że wejdzie. Musisz złapać Gary'ego i wyjaśnić mu, że to rozwali wszystko, cośmy z takim trudem

budowali.

Larry znów zadzwonił do Moyersa i zaczął spokojnie. Lecz kiedy dotarli do punktu, w którym Moyers nadal utrzymywał, że samodzielnie dotrze do Gary'ego Gilmore'a, Schiller dłużej nie zdzierżył.

–Bili, ty mnie robisz w jajo. Pomagałem ci przy założeniu, że grasz ze mną uczciwie, a ty nagle próbujesz wejść przez Mikala. TaK nie pogrywa gość, z którym jadłem kolację. – Schiller wszystkie siły skoncentrował na słuchawce telefonu. – Ja bym nie użył brata, żeby wejść – oświadczył Moyersowi. – Facet tu przyjechał, żeby ratować

życie bratu. Przed nim stoi podjęcie decyzji, a ty się z nim zadajesz, bo chcesz dotrzeć do Gary'ego Gilmore'a. W słuchawce natychmiast rozległ się wrzask Moyersa.

–Ty sobie nie wyobrażasz, przez co ja tu przechodzę! Próbowałem przekonać Mikala, żeby to przemyślał. Siedziałem przy nim. Całą zeszłą noc spędził u mnie w pokoju, na Boga – bronił się. – Ty mi nie mów, że ja kogoś wykorzystuję.

Schiller miał wrażenie, że Moyers zaraz się rozpłacze. Wobec tego zabrał telefon, który na szczęście miał długi przewód i przeszedł z nim do łazienki, żeby sekretarki nie słyszały. Powiedział do Moyersa: – Ja, kurwa, nie chcę, żeby ten gość umarł.

Moyers odrzekł:

–Ja też nie.

Do obu dotarło, że wszyscy dookoła spacerują nosząc w brzuchu śmierć. W oznaczonym momencie człowiek, którego znali, zostanie zabity. Na dany znak wszyscy przeskoczą otchłań.

Odłożywszy słuchawkę Schiller przeszedł do swojej sypialni i zaczął studiować widok z okna. Padał śnieg. Nagle znienawidził śnieg. Nie wiadomo dlaczego. Czuł, że miękka kołdra tłumi jego wysiłki. Jak we śnie – lecz sytuacja była tak absurdalna, że nie chciał dłużej śnić.

Koło północy odebrał ważny telefon od Murdocha, który dojrzał do złożenia wielkiej propozycji. Sto dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Tyle za egzekucję. Wyłączne sprawozdanie z pierwszej ręki w wykonaniu Lawrence'a Schillera.

Dawno temu Larry dostał dwadzieścia pięć tysięcy dolarów za Pojedyncze zdjęcie nagiej Marilyn Monroe. Teraz oferowano mu sto dwadzieścia pięć tysięcy za opis rozstrzelania człowieka. Chleb z masełkiem. Nie musiałby rezygnować z książki ani z wywiadu dla "Playboya", ani z filmu, z niczego. Murdoch nawet by się nie Orientował, czy dostał całą egzekucję, czy nie. Schiller mógł zachować najlepsze dla siebie. Dać Murdochowi połowę i ten cieszyłby się tak. Wydawcę interesowała wyłączność, podwyższenie nakładu.

Nie mógł nigdy nie wydrukować wszystkiego. Larry'ego kusiło. Naprawdę

go kusiło.

Znowu podszedł do okna. Śnieg rozpadał się na dobre i Schillera ogarnęło zmęczenie. Ręka rozbolała go od ściskania słuchawki Rozpłakał się. Nie umiałby wyjaśnić, o co mu chodzi ani dlaczego płacze; naszło go całkiem nieoczekiwanie.

Mówił do siebie: Już nie wiem, czy to, co robię, jest moralnie słuszne, przez co płakał jeszcze rzewniej. Od tygodni wmawiał sobie że nie występuje w tym cyrku, że instynkt wyniósł go ponad to wszystko, że pragnie zapisywać historię, nie żadne tam dziennikarskie brednie. Nagle odczuł, że jednak w tym cyrku uczestniczy, może nawet gra główną rolę – i płacząc odszedł do łazienki, gdzie, kurwa, w życiu tyle nie przesiedział.

Dostał sraczki. Jego organizm, po długich dniach pracy z niedostatkiem snu, zbuntował się na dobre. Dopadło go najgorsze. Srał na okrągło, jakby miał opróżnić się do cna, gówno wciąż spływało. Kiedy uznał, że już koniec, wyjrzał przez okno, zobaczył śnieg i postanowił nigdy w życiu nie sprzedać egzekucji Gary'ego Gilmore'a. Nie. Nigdy go nikt nie przekona. Pierdoli, nie popełni błędu z pazerności albo dla świętego spokoju. Nie. Nie zależy mu, czy w końcu mu kapnie jakiś grosz. Musi trzymać się tego, co mówi mu głos wewnętrzny. Znów zaczął płakać i myślał: Nie potrafię nawet pisać bez błędów. Nie potrafię opisać tego, co czuję i co chciałbym przekazać.

Znów mu to zaczęło ciążyć, wróciło wspomnienie odrazy w głosie Stephanie przez telefon, kiedy odmawiała przyjazdu z Nowego Jorku, i pomyślał, co się stanie, kiedy zawiadomi Murdocha, „Time" i „Newsweek", i „Enquirer", i wszystkich innych, których dotąd trzymał na postronku, że nie zamierza dawać im tekstu o prywatnych odczuciach z ostatnich chwil Gary'ego Gilmore'a. Wtedy dopiero wszyscy na niego skoczą. W trakcie sraczki zrozumiał częściowo swój strach. Nie dość, że odrzuca najłatwiejszy zarobek, jaki mu kiedykolwiek proponowano, to jeszcze zbierze solidne cięgi. Przypomniały mu się czasy dzieciństwa w San Diego, gdzie po drodze ze szkoły do domu Meksy napadali go z bratem i codziennie ich grzmocili' Powrócił tamten dziecinny strach, przez co Larry znowu zapłakał, sam w sypialni, sam pośród nocy, która zdążyła przybrac jaśniejszy odcień przed nastaniem świtu, wyczerpany do ostatnich granic, niepewny, co on tu, kurwa, robi, próbując wziąć na siebie odpowiedzialność za całe to bagno interesów i wszystkiego innego. Czymkolwiek jestem, muszę temu sprostać. Jako dziennikarz czy producent, nieważne. Może

niczego nie osiągnę, ale mam obowiązek uczciwości wobec samego siebie.

Dodało mu sił spostrzeżenie, że nie wszyscy ludzie cieszący się szacunkiem w każdym ze środowisk, w których się obracał,

byli od urodzenia świetlanymi postaciami, nie wszyscy. Budowali swoją reputację po nocach. Wreszcie wstał, ubrał się i wyszedł na róg ulicy Uniwersyteckiej i Centralnej w Orem, stanął z notesem i ołówkiem w ręku i obserwował duży ruch na największym skrzyżowaniu w mieście we wczesnych godzinach rannych, gdy robotnicy fabryczni pędzili samochodami do stalowni Geneva Steel, a koła ślizgały się na zaśnieżonych jezdniach niesamowitej szerokości – potem zerknął do notesu, sprawdzając, czy pisze czytelnie. Skojarzył, że ma sporządzić dokładne notatki z egzekucji. Jeśli nie będzie ani sekundy czasu na odwrócenie wzroku od sceny, trzeba nauczyć się sterowania oddzielnie okiem i ręką, robić to bez spoglądania na kartkę. Powiedział sobie: Schiller, po raz pierwszy nie wolno ci zmyślać, kręcić i naciągać.

Następnie wrócił do motelu i wczesny ranek spędził na telefonowaniu do Murdocha, „Enquirera" oraz NBC i wszystkim oznajmił, że odpowiedź brzmi „nie". Żadnych negocjacji, żadnej sprzedaży. Zamiast tego – oddaje wszystko za darmo. Po egzekucji złoży osobiste sprawozdanie naocznego świadka wszystkim dziennikarzom. Nikomu z licytujących to się nie spodobało. „Enquirer" stękał i marudził, NBC zaś jasno dało do zrozumienia, co zrobi. Słyszał już zew myśliwskiej trąbki. Jeden Murdoch zachował się na poziomie.

–Dziękuję za telefon – powiedział.

ROZDZIAŁ 28

Dzięki Bogu, już piątek

W piątek rano Mikal wszedł do sali widzeń i Gary mu powiedział:

–Schiller nie chce, żebym się spotykał z twoim znajomym. Zaszkodziłoby to jego wyłącznym prawom. Powinienem się go pozbyć i zrobiłbym tak, ale jest za późno na szukanie kogoś innego.

Mikal nie odpowiedział, Gary dodał więc:

–Za to mogę mu cofnąć zaproszenie na egzekucję.

Mikal zamierzał wieczorem wyjechać z Salt Lakę, żeby sobotę i niedzielę spędzić z Bessie. Gary jednak prosił go o pozostanie jeszcze przez jeden dzień.

–Nikomu o tym nie mówiłem – zwrócił się do Mikala – ale nie jestem wcale taki pewien, jak to będzie w poniedziałek. – Popatrzył na brata przez szybę. – Może przez to właśnie potrzebuję Schillera. On przyjjdzie, żeby to zapisać dla potomności, więc nie będę pękał. – " Potrząsnął głową. – Nie chciałem z tego robić tak wielkiej afery-Myślałem, że może się ukaże najwyżej parę artykułów.

Podniósł rękę, Mikal przyłożył dłoń po swojej stronie, i pożegnali się przez grubą szybę.

Po powrocie do Salt Lakę Mikal spotkał się po raz ostatni z Richardem Giauque'iem i powiedział mu o swojej decyzji nie' ingerowania. Kiedy wyszedł, Giauque zadzwonił do Amsterdama, który odrzekł, że zdaje sobie sprawę, ile musiało Mikala kosztować dojście do tego punktu, i odłożył słuchawkę. Amsterdam nie żywi

większych wątpliwości, że jest to decyzja ostateczna. Ocena Giauque'a zwykle trafiała w sedno. Nie przekazywałby takiej wiadomości, gdyby istniała jakaś szansa, że Mikal zmieni zdanie.

W piątek rano, na niecałe siedemdziesiąt dwie godziny przed egzekucją, Earl Dorius wiedział, że zostanie złożona pewna liczba pozwów. Prawo jest zawsze do pewnego stopnia grą i Earl dawno uznał, że chociażby z tego powodu warto działać powoli i rozważnie. Opłaca się poskramiać zapędy sportowe i chęć rywalizacji. Teraz jednak wszyscy stanęli wobec konieczności odliczania godzin potrzebnych na podjęcie akcji i kontrakcji. Zaczęło dominować takie oblicze prawa, które najbardziej przypomina grę.

Earl zadzwonił do Sądu Apelacyjnego Dziesiątego Obwodu w Denver (stanu Utah, jako jeden z sześciu, zaliczał się do Dziesiątego Obwodu) i odbył rozmowę z Howardem Philipsem z kancelarii. Zawiadomił, iż Prokuratura Generalna Utah obawia się, że w ostatniej chwili mogą zostać podjęte pewne osobliwe w sensie prawnym wysiłki na rzecz zapobieżenia egzekucji. Dlatego Earl chciałby mieć możliwość skontaktowania się z sądem w czasie weekendu, zwłaszcza w niedzielę, na wypadek gdyby prokuratura była zmuszona do kontrataku za pięć dwunasta.

Dorius polecił sekretarce sprawdzić rozkład lotów, dowiedział się, że ostatni samolot z Salt Lakę do Denver odlatuje o dwudziestej Pierwszej dwadzieścia w soboty i niedziele, po czym przekazał tę wiadomość Mike'owi Deamerowi, zastępcy prokuratora generalnego Hansena. Wobec tego, jeśli będą zmuszeni dotrzeć do Dziesiątego Obwodu w niedzielę po dwudziestej pierwszej dwadzieścia wieczorem, Potrzebny będzie specjalny transport.

Następny telefon Earl wykonał do Michaela Rodaka z Kancelarii Najwyższego sądu Stanów Zjednoczonych. Omówił z Rodakiem Procedurę odwoływania się w ostatniej chwili do

Waszyngtonu. Uzgodnili specjalny kod, którym mógłby posłużyć się Rodak, jeśli Sąd

Najwyższy będzie musiał skontaktować się z Doriusem. Bardzo istotna sprawa. Nie chcieli, żeby jakiś wariat czy fanatyk zadzwonił w ostatnim momencie do Więzienia Stanowego Utah, podał się za urzędnika Sądu Najwyższego i ogłosił zawieszenie egzekucji. Więzienie musi mieć pewność, że to nikt inny, tylko Kancelaria Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych. Wobec tego Michael Rodak wyjawił Doriusowi, że ma przezwisko Mickey, wychował się zaś w Wheeling w Zachodniej Wirginii. Ustalili hasło: „Mówi Mickey z Wheeling w Wirginii Zachodniej."

i

W piątek po południu u Earla wylądowały dwa pozwy. Pierwszy od Gila Athaya, reprezentującego swego klienta z celi śmierci, Dale'a Pierre'a, jednego z „stereozbrodniarzy" skazanych za lanie żrącego płynu „Drano" w gardła klientów w sklepie z płytami. Athay utrzymywał, że egzekucja Gary'ego Gilmore'a spowoduje nieprzychylne nastawienie opinii publicznej do jego klienta, co zmniejszy szansę na powodzenie jego apelacji.

Dorius przechodził właśnie do gabinetu Hansena, żeby omówić sprawę, kiedy nadeszły nowe wiadomości. ACLU złożyło „pozew podatników" u sędziego Condera w Stanowym Sądzie Okręgowym. Dwie akcje, na które trzeba zareagować podczas jednego popołudnia.

Postanowiono, że Bili Evans i Earl Dorius wystąpią przeciwko Gilowi Athayowi, a Bili Barrett i Michael Deamer wezmą udział w drugiej rozprawie.

W kilka godzin później wrócili jako zwycięzcy po obu utarczkach Earl uważał, że wygrali, ponieważ autorzy pozwów nie umieli wskazać, jakie prawa narusza egzekucja. Zawieszenia mogą domagać się bliscy krewni Gilmore'a, lecz na tym koniec. Nie każdy ma prawo pisać pozew o cokolwiek bądź. Dzięki Bogu

istnieje selekcja myśli. Earl. Tego dnia wystąpił z opinią, że dalsze odkładanie egzekucji działa na szkodę społeczeństwa – i tak też myślał. Koszt publicznych igrzysk bierze się stąd, że im dłużej trwają, tym bardzieJ ośmieszają to, co wartościowe.

W piątkowe popołudnie, po wyjściu z'sądu, Phil Hansen zaczął mimo woli rozmyślać o Nicole i Garym Gilmore. Po tym, jak parę razy z rzędu jego spotkanie z Nicole nie doszło do skutku, powracał myślami do Gilmore'a zakładając, że jego dziewczyna nawiąże kontakt w sprawie apelacji. Hansen był tak zajęty własną praktyką prawniczą, że trudno mu było znaleźć któregoś dnia chwilę czasu i podjąć jakieś pozytywne kroki w sprawie,'która nawet nie trafiła do jego biura. Dlatego ani się obejrzał, a Gilmore już zdążył odmówić złożenia apelacji. W tym momencie Phil zaczął się zastanawiać, jak mógłby w to teraz wkroczyć. Czy można ratować człowieka, który tego nie chce? A jednak myśl, że Gilmore'a mogliby stracić, uwłaczała mu osobiście. Nie na darmo Phil całe lata strawił na ratowaniu życia ładnych paru osób, czego nikt inny nie zdołałby dokonać. Na tym właśnie polegała jego duma z sukcesów zawodowych, które zawdzięczał przekonaniu, że kara śmierci jest czymś ohydnym. Kiedy się jest zaprzysięgłym katolikiem, do tego wybitnym trenerem futbolu, byłoby czymś ohydnym, gdyby wychowankowie z drużyny Notre Damę umoczyli siedemdziesiąt dziewięć do zera. Akurat tego tygodnia po korytarzach każdego sądu w Salt Lakę w każdym obłoczku dymu z cygar snuła się egzekucja. Minęło piątkowe popołudnie i Hansen uprzytomnił sobie, że występował przed sędzią Ritterem w trzech sprawach z rzędu; ostatnią rozprawę opuściło nawet dwóch ławników. Dlatego w późne piątkowe popołudnie Hansen zwrócił się do siedzącego w ławie Rittera:

–Przez cały tydzień brał mnie pan do galopu, to teraz pan stawia kielicha.

Ritter się roześmiał i zaprosił Phila do gabinetu, gdzie nalał mu parę głębszych – sam Ritter już raczej nie pił – i gawędzili na

temat Gilmore'a, czekając na telefon od Dicka Giauque'a. Usiłowali też łapać wspólnika Giauque'a, Daniela Bermana, który robił jakieś oPracowanie dla sędziego Rittera, potem próbowali się dodzwonić do ^athesona, nowego gubernatora, i podczas gdy nie udawało im się

nikogo zastać, Hansen rozmyślał o idiotyzmie zbliżającej się egzekucji.

Tak, tak – powiedział – Sam Smith z pewnością nie umrze na mózgu. – Roześmiał się poprzez dym swego cygara i dodał: –

Jeśli wszystko inne zawiedzie, mam zamiar złożyć petycję, która stanowić będzie pewną nowość, jak sądzę.

W czasach, kiedy był prokuratorem generalnym – do tej pory działało mu na nerwy, że ludzie mylą go z Bobem Hansenem zdarzało mu się wnosić pozwy na rzecz dobra publicznego i nawet nazywał je pozwami Prokuratury Generalnej. Po namyśle nabrał przekonania, że być może wykonalne okazałoby się wystąpienie do sądu jako obywatel Stanów Zjednoczonych zamieszkujący akurat w stanie Utah.

–Dlaczego – zapytywał Rittera – trzeba piastować jakieś stanowisko, żeby móc zwrócić się do sądu? Dlaczego zwykły obywatel nie może powstrzymać egzekucji?

Rozmawiali o tym przez chwilę i Hansen ostatecznie się zdecydował. Zważywszy, że ACLU po dzisiejszej porażce składa jutro nową petycję, on potraktuje swoje wystąpienie jako ostatnią deskę ratunku.

«LOS ANGELES TIMES»

Dziwak czy geniusz? Kontrowersyjny sędzia z Utah

Salt Lakę City. Wrogowie oskarżają go o starczą zgryźliwość, przyjaciele twierdzą, iż jest wybitnym prawnikiem, tymczasem prawda na temat sędziego Willisa W. Rittera leży prawdopodobnie pośrodku.

Od dwudziestu ośmiu lat kontrowersyjna postać Rittera dominuje na prawniczej scenie stanu Utah, mimo iż sędzia jest liberalnym antymormońskim demokratą w środowisku rządzących stanem konserwatystów oraz wpływowego Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych Dni Ostatnich.

„Jest feudalnym władcą, Utah zaś to jego lenno" – oświadczył były prokurator Ranion Child.

Ostatnio jednak po raz pierwszy autorytet 78-letniego sędziego został otwarcie zakwestionowany przez urzędników federalnych i stanowych.

Stanowy prokurator generalny, Robert B. Hansen, złożył petycję w Sądzie Apelacyjnym Dziesiątego Obwodu w Denver, domagającą się odsunięcia Rittera od rozpraw, w których Stany Zjednoczone bądź stan Utah występują jako jedna ze stron.

Petycja oskarża Rittera o wielokrotne naruszenie obowiązków sędziowskich, silne uprzedzenia wobec urzędów stanowych i federalnych oraz ogólnie o dziwaczne zachowanie.

Senator z Utah Jake Garn, republikanin, który nazywa Rittera „hańbą federalnego sądownictwa", prowadzi w Kongresie akcję zmierzającą do podważenia autorytetu sędziego.

Ze swej strony Ritter nakreślił własną wizję problemu w liście wysłanym w październiku do deputowanego Petera W. Rodino

Jr. przewodniczącego Komisji Sądownictwa w Izbie Reprezentantów.

„Mściwość, mormonizm, podłe chwyty w stylu McCarthy'ego i Nixona nieodłącznie towarzyszą poczynaniom ekstremy prawicowych elementów w Partii Republikańskiej – pisał Ritter. – Kościół mormoński obsadza praktycznie co drugie stanowisko państwowe w Utah. Od dłuższego czasu usiłuje również przejąć Sąd Federalny Stanu Utah."

Ritter był profesorem prawa na Uniwersytecie Utah, kiedy w 1949 r. został mianowany sędzią federalnym przez prezydenta Harry'ego S. Trumana. Nominację tę ostro zwalczali mormoni. Ritter był oskarżany o niemo-ralność i korupcję.

Kiedy Kongres w r. 1958 przegłosował 70 lat jako wiek emerytalny sędziów federalnych, dla 32 czołowych sędziów uczyniono wyjątek. Z tej liczby pozostał już tylko Ritter.

Bob Hansen tak samo się denerwował, kiedy mylono go z Hansenem. Nie było wątpliwości, co myśli o Ritterze. Mawiał, że sędzia ma w sercu najprawdziwszą złośliwość. Oczywiście Hansen nie kwestionował błyskotliwości Rittera. Być może jest to geniusz Możliwe, że w grupie inteligentnych facetów Ritter mieści się w czołówce stanowiącej jedną dziesiątą procenta, ale przy tym nieustannie zionie wściekłością. Ritter tak zaciekle zwalczał mormonów, że, zdaniem Hansena, Kościół niepotrzebnie przyjął zasadę, że gdy coś dotyczy Rittera, to trzeba kłaść uszy po sobie. Hansen uważał to za politykę ustępstw. Nie miał zamiaru pozwolić Ritterowi na przejęcie sprawy Gilmore'a, skoro istnieje sposób wymanewrowania sędziego.

ROZDZIAŁ 29

Sobota

Podczas ostatniego widzenia Gary dał Mikalowi rysunek starego więziennego buta.

–Mój autoportret – powiedział.

Rozmawiali przez telefon, kiedy do budki Gary'ego wszedł naczelnik Smith i zaczął omawiać dokładnie moment, w którym będzie trzeba założyć Gary'emu kaptur na głowę. Wkrótce Mikal nie mógł już dłużej słuchać, postukał w szybę i oświadczył, że zaraz musi iść. Chce zdążyć na samolot. Czy naczelnik zezwoli na pożegnalny uścisk dłoni?

Z początku Smith odmówił. Potem powiedział: dobrze, ale pod warunkiem, że Mikal się zgodzi na rewizję osobistą.

Załatwiono to i dwaj strażnicy wprowadzili Gary'ego. Kazali Mikalowi podwinąć rękaw koszuli przed podaniem ręki. Ostrzegali, że nie może być nic poza uściskiem dłoni. Jednak gdy tylko Gary chwycił Jego dłoń, nieomal ją zmiażdżył, rozbłysły mu oczy i powiedział:

–No to tyle.

Pochylił się i pocałował Mikala w usta.

–Do zobaczenia w ciemności – rzekł.

wiedział, że nie powstrzyma łez, dlatego się odwrócił. żeby Gary nie zobaczył. Strażnik podał mu Mężczyznę w czerni – Johnny'ego Casha, którą Gary pragnął podarować Bessie, portret Nicole. Mikal czuł, że Gary odprowadza go wzrokiem do Podwójnej furty.

–Ucałuj mamę!

zawołał Gary. – I przytyj trochę. Ciągle jesteś za chudy.

W ten sobotni poranek Schiller słuchał taśmy z rozmowy adwokatów z Garym, przeprowadzonej w piątek po południu. Spora jej część dotyczyła kowbojskich butów MeMna Belliego nabijanych brylancikami.

–On kupuje ciuchy u Nudiego w Hollywood – powiedział Gary Stanger spytał:

–Jaki największy obiekt udało ci się przeszmuglować do celi?

–Stupięćdziesięciokilową norweską zapaśniczkę. Wybuchnęli śmiechem.

Schiller słuchał opowieści o dobrych i złych strażnikach i o tym, co wkurza naczelnika. Słuchał rozmowy o prawnych posunięciach i o Bibliach z osobistymi dedykacjami, przesyłanych Gary'emu pocztą.

Potem do TraveLodge wpadł Stanger i zapytał, co Larry sądzi o tym wywiadzie.

–Stanger – wrzasnął Schiller – przestań truć dupę!

–Wiesz co, Schiller? – żachnął się Stanger. – To ty pocałuj mnie w dupę.

Trzasnął drzwiami.

–Nigdy więcej nie odezwę się do Schillera – oświadczył Stanger podczas jazdy do więzienia.

Kipiał ze złości, uważał, że znakomicie potrafi brać w krzyżowy ogień pytań. Bob Moody tak samo. Każdy z nich mógłby wybebeszyć Gilmore'a, rozłożyć go na czynniki pierwsze, dokładnie jak Larry chciał. Ale parę spraw stało na przeszkodzie. Po pierwsze pytania, z których Schiller z Farrellem byli tak dumni. Stangerowi wydawały się głupie. Z

jego punktu widzenia w ogóle nie trafiały w sedno charakteru Gilmore'a.

Schiller rozkręcił wielką akcję, która jednak mogła przynieś mizerne efekty i Ron dostrzegał źródła niepokoju Schillera, lecz jego własne zadanie polegało na budowaniu, nie zaś niszczeniu zaufania Gilmore'a. Gilmore jest jego klientem, do adwokata należy spełnianie życzeń klienta. Larry natomiast szukał pytań, które zmuszą Gilmore`a do gwałtownej reakcji. Stanger nie miał ochoty jeździć do więzienia.

po to, żeby faceta rozzłościć. Zasięganie informacji jest w porządku, ale nie w porządku jest testowanie odporności Gary'ego, jakby był doświadczalnym szczurem w laboratorium. Gary i tak całe dnie spędza w klatce.

–Nie mam zamiaru go dzisiaj przepytywać – oświadczył Stanger Moody'emu.

–Do diabła – odrzekł Moody – albo pracujemy, albo nie.

Prawdopodobnie była to największa różnica zdań między nimi w czasie jeżdżenia do Maksymalnego.

Moody również uważał, że w takich okolicznościach wykonują wspaniałą robotę, nawet jeśli Schiller i Farrell się z tym nie zgadzali. Tak czy owak, Schiller miał rację. Zostawały jeszcze tylko dwa dni na zbieranie cennego materiału. Moody westchnął.

GILMORE: – Słuchaj… nagrywasz to?

MOODY: – Tak. Mhm.

GILMORE: – Naczelnik powiedział mi, że mogę zaprosić pięć osób.

Wymieniłem je, a on pyta: „Nie chcesz żadnych duchownych?"

MOODY: – Kodeks mówi jasno, że masz prawo do dwóch księży

i dodatkowo pięciu osób.

GILMORE: – Ja nie chcę, żeby ich wykluczono. Oni cały czas się na to cieszyli.

MOODY: – Przestań, kto mógłby się na to cieszyć? Ja myślę, że… oni

by w ten sposób czuli, że spełniają swój obowiązek.

GILMORE: – Nie obchodzi mnie, jakie są ich motywy. Obaj chcą

Przyjść.

MOODY: – Dla wszystkich te czterdzieści osiem godzin będzie cholernie bolesne.

GiLMORE: – Człowieku, mnie tam nic nie boli. MOODY: – Wiem, że ciebie nie, ale innych. Twój wujek Vern, ciocia przeżywają piekło (pauza). Inni są po prostu chorzy. – Kto?

MOODY: – No, ja, Ron Stanger, ojciec Meersman.

GILMORE: – Ale to nic takiego.

MOODY: – Wiemy, że to nic takiego, ale współczujemy ci.

GILMORE: – Chciałbym zobaczyć Nicole. Ten palant nie daje mi

odpowiedzi.

MOODY: – Myślę, że właśnie masz odpowiedź, tylko nie chcesz się

z nią pogodzić.

GILMORE: – Nie dosłyszałem.

MOODY: – Sądzę, że to jest właśnie odpowiedź naczelnika. On ci nie

odpowie. Koniec, kropka. Ale to nie powód, żeby zamykać się na

wszystko inne. Masz jeszcze czterdzieści osiem godzin życia. Przeżyj je.

GILMORE: – Cholera. Jeszcze parę godzin temu miałem tylko

jednego strażnika i kiedy z nim nie rozmawiałem, on nie miał się do

kogo odezwać, więc było cicho.

MOODY: – Aha.

GILMORE: – Teraz posadzili tam dwóch pajaców. Cały czas gadają

i grają w karty.

MOODY: – Cóż, wyjaśniono nam, że to należy do egzekucji.

GILMORE: – Ale słuchaj…

MOODY: – Kiedy czeka cię egzekucja, dostajesz obstawę skazańca.

Właśnie teraz nad tobą czuwają.

GILMORE: – No, ale ja nie chcę słyszeć tych kutasów tuż nad głową.

MOODY: – Dobrze, ale to się zalicza do wyroku.

GILMORE: – A to niech im będzie.

MOODY: – Jak cię mają rozstrzelać, trzeba nad tobą czuwać. Jedno

wiąże się z drugim.

GILMORE: – Aha… (pauza) No dobra.

MOODY: – Chcesz, żebym ci przekazał te pytania?

GILMORE: – Tak się znów nie palę, żeby jeszcze na jakieś

odpowiadać.

MOODY: – Nie ma sprawy.

GILMORE: – Bracie, jest taki hałas. Gdybym tak miał, kurwa,

trochę spokoju przez te ostatnie parę godzin.

MOODY: – Robisz swoje ćwiczenia czy co tam, żeby jakoś spędzić

czas?

GILMORE: – Tak, ćwiczę, owszem.

MOODY: – Czytasz coś?

GILMORE: – Nie… Już nic nie czytam… Mam tu na żywo wszystko

co bym wyczytał.

MOODY: – Rysujesz?

GILMORE: – Nie.

MoODY: – Narysujesz ten autoportret? GILMORE: – Nie mam lusterka. MoodY: – Zdaje się, że w ogóle niewiele masz, co? GILMORE: – Mam siebie (długa pauza). Nie chcę się pieprzyć z pisaniem odpowiedzi na te pytania. Jemu pewnie należą się te odpowiedzi, ale, cholera jasna, nie podoba mi się, jak Schiller rozgrywa pewne sprawy.

MOODY: – Pewnie, ile razy nam się nie podobało postępowanie Schillera, ale on ma styl i twardy z niego zawodnik, a ty przejmujesz coś z jego stylu.

GILMORE: – Czy każdy się po prostu musi z tym pogodzić? MOODY: – Nie, nie sądzę. Ale on ma diabelnie trudne zadanie. Próbuje je wykonać. To wszystko. On haruje jak wół. GILMORE: – Prosiłem, żeby nie czytał tych listów, a on czytał.

MOODY: – No tak (długa pauza). Nie wydaje ci się, że jesteś Larry'emu coś winien?

GILMORE: – Dalej, przeczytaj te pytania. Będę odpowiadał. Chcę tylko, żeby Larry zrozumiał, że nie ma prawa decydować, z kim ja mogę albo nie mogę, kurwa, rozmawiać. Brat mnie prosił, żebym pogadał z jego przyjacielem, i ja powiedziałem „dobra". Ja wiem, kim jest Moyers. Nic bym nie powiedział bez waszego przyzwolenia.

MOODY: – Ale ty naprawdę dzielisz włos na czworo. Bo sam diabeł nie wprowadziłby tu Moyersa na rozmowę.

GILMORE: – Wiem o tym. Wkurzyłem się, bo Mikę był nieszczęśliwy.

MOODY: – No dobrze. GILMORE: – W porządku.

MOODY: – To pytanie już ci zadawano kilkakrotnie. Czy kiedykolwiek kogoś zabiłeś przed Bushnellem i Jensenem?… A

ten facet, co go Pobiłeś rurką?

GILMORE: – Przeżył (wzdycha). Ale trochę odmieniłem mu życie. MOODY: – Nie uważasz, że rozstrzeliwanie jest jakąś zakichaną groteską?

Groteskowe jest to, że człowiek musi być przypięty do krzesła i z kapturem na głowie i całe to gówno.

Czy w rozstrzeliwaniu pociąga cię surowa krwiożerczość?

GILMORE (śmieje się): Niech cię chuj zastrzeli, Larry… surowa krwiożerczość… Tak, bracie, to mnie faktycznie pociąga. Wezmę z sobą łyżkę.

Padało pytanie za pytaniem. Żadnego przełomu.

Dwie egzekucje, w których ojciec Meersman poprzednio uczestniczył, nauczyły go, że wszystko może pójść nie tak jak trzeba Skazaniec może się poczuć tak rozstrojony, że traci wewnętrzną równowagę. Ojciec Meersman zawsze starał się podtrzymać człowieka na duchu przed egzekucją, próbował go zapoznać z tym, co nastąpi Wyobrażał sobie, że jeśli człowiek wie mniej więcej, że wpierw pójdzie do jakiegoś punktu A, z kolei stamtąd poprowadzą go do punktu B, potem, o określonej porze, do punktu C i tak dalej, to nie będzie musiał pytać „Dokąd teraz idziemy?" i przez to się rozstrajać. Tego rodzaju drobne sprawy potrafią niepotrzebnie przerazić człowieka.

Natomiast kiedy się wszystko z góry wie, można to przejść w miarę gładko i jeżeli wszyscy odprowadzający zachowują spokój, to ten spokój się udziela, skoro wiadomo mniej więcej, jak wszystko będzie wyglądało od strony technicznej. Każdy unika niespodzianek. Podczas egzekucji wszyscy są bardzo napięci i nikt nie chce żadnych potknięć, bo człowiek może nagle stawić opór.

Meersman był święcie przekonany, że to on zdołał wyjaśnić Ga-ry'emu, po co zakłada się kaptur. To nic osobistego, zapewniał go, po prostu trzeba się trzymać nieruchomo, żeby oznaczony cel nie poruszył się ani trochę. Nawet niewielki ruch może zmylić lot kuli. Jeżeli Gary chce umrzeć z godnością, powinien uszanować tę najprostszą sprawę z kapturem. To wyłącznie ze względów praktycznych, żeby wszystko odbyło się bardzo godnie i nieruchomo. Gary słuchał w milczeniu.

W sobotę po południu Gil Athay wyszedł od sędziego w Budynku Federalnym i spotkał się z dziennikarzami na korytarzu. Reporterzy szaleli. Stała sala rozpraw sędziego Lewisa znajdowała się

w Sądzie Dziesiątego Obwodu w Denver, tutaj zaś, chociaż przydzielono obszerną salę, nie wszyscy mogli się pomieścić. Wiele osób nie zdołało się wcisnąć na rozprawę.

Dlatego u wyjścia rozpętał się chaos – błyski fleszy, tabliczki na mikrofonach krajowych i zagranicznych rozgłośni tańczyły mu przed oczami. Athay czuł się tak, jakby znalazł się w kręgu cyrkowej areny.

Trudno się nie irytować w takiej atmosferze. Od kilku dni przepychał się korytarzami zatłoczonymi przez tłum reporterów. To się całkiem już wymknęło spod kontroli. Był eleganckim mężczyzną z krótkim wąsikiem, w okularach, nie na tyle wysokim, żeby górować nad tłumem. Wobec tego oznajmił:

–Z przyjemnością złożę oświadczenie, tylko na dole, nie tutaj. Pandemonium trwało. Ciągle brzmiał mu w uszach głos sędziego Lewisa:

–Stawia pan przede mną wielki problem, obarczając mnie tym, wie pan, panie Athay. Gdyby pan dał nam czas, sprawę mogłoby rozpatrywać trzech sędziów.

Athay był już w tym momencie na tyle wzburzony, że odparł:

–Cóż, wydaje mi się, że Wysoki Sąd ma rację, jednak musimy podjąć tę decyzję bez skrywania się za fasadą komisji.

Czy on to rzeczywiście powiedział? Chyba sprawa Dale'a Pierre'a nadwerężyła jego opanowanie.

Stopniowo uwierzył, że jego klient, Dale Pierre, jest niewinny. Większość uważała owo przekonanie za coś niezwykłego. W oczach opinii publicznej Dale Pierre był jednym ze „stereozbrodniarzy", którzy wlewali ludziom do gardła żrące „Drano" i wpychali do uszu długopisy. W tym sklepie płytowym została zabita żona pewnego wybitnego ginekologa, jej synowi zaś trwale uszkodzono mózg. wskutek dźgania długopisem. Potworna sprawa, lecz Athay powoli nabrał przekonania, że Dale Pierre jest niewinny, przysięgli zaś skazali go ze względu na czarny kolor skóry, okoliczność w stanie Utah niepożądaną. W Utah Murzyn nie mógł zostać księdzem Kościoła mormonów.

Wobec tego Athay rozpoczął krucjatę. Zapłacił za nią pełną cenę. Kiedy w ostatnich wyborach ubiegał się o stanowisko prokuratora generalnego, jego rywal Bob Hansen zebrał najwięcej punktów na

Dale'a Pierre'a i wygrał z dużą przewagą. „Czy chcecie, żeby człowiek który broni klientów wpychających długopisy do uszu kobiet, został waszym prokuratorem generalnym?" – brzmiało szeptane motto kampanii. Athay nie mógł nic poradzić. Nie był w stanie przekonać każdego wyborcy z osobna, że do obrony Pierre'a wyznaczył go sąd, ani że z początku traktował to jak niemiły obowiązek i dopiero później nabrał przeświadczenia o niewinności Dale'a Pierre'a. Jak wytłumaczyć wyborcom, że Dale Pierre jest człowiekiem skomplikowanym, trudnym, lecz, zgodnie z obecną opinią Athaya, raczej wspaniałym czarnym mężczyzną, zresztą Athay zawsze nienawidził kary

śmierci.

Był gotów dowodzić, że nie da się w sposób racjonalny usprawiedliwić najwyższego wymiaru kary; można jedynie przyznać, że jest to wyłącznie zemsta. Jeżeli to właśnie leży u podstaw systemu dochodzenia sprawiedliwości za zbrodnie, powiedziałby, że w takim razie system jest chory.

Dlatego współpracował z ACLU w kwestii Gilmore'a i dziś złożył apelację, która stanowiła szczyt bezczelności. Po rutynowym wstępie stwierdzającym, że kodeks Utah nie przewiduje nakazu apelacji, co jest niezgodne z Konstytucją, Athay przedstawił nowy pomysł. Oświadczył, iż nawet jedna egzekucja przeprowadzona zgodnie z wadliwym prawem utrudni w przyszłości sądowi wyższej instancji uznanie niezgodności kodeksu z Konstytucją. Żaden sędzia nie zechce oświadczyć koledze sędziemu: „Widzisz, straciliście tego człowieka omyłkowo." Dlatego śmierć Gary'ego Gilmore'a zagraża życiu Dale'a Pierre'a. Interesujący argument, choć zawiły. Żeby sąd zwrócił na ciebie uwagę, musisz wręcz posługiwać się inwektywami.

Na spotkaniu dziesiątego stycznia ACLU wpisało przedsięwzięcie Athaya na przedostatnim miejscu swojej listy. Lecz w piątkowe popołudnie, gdy nadeszła już od Giauque'a smutna wiadomość, że Mikal Gilmore niczego nie podpisze, Gil Athay udał się przed oblicze sędziego Andersona. Anderson był zaprzysięgłym mormonem, lecz także jedynym sędzią obecnym o tej porze. Nie było wprawdzie żadnych realnych szans, lecz Athay mimo wszystko zaplątał się we własny tok rozumowania i uznał, że wykonał dobry strzał. Sędzia Anderson słuchał uważnie. Jednak pozostał przy swoim. Nikt nie chciał dostrzec groźnych implikacji argumentów \thaya. Sędzia Anderson go oddalił.

po tej porażce Athay udał się w sobotę po południu do sędziego kewisa, lecz wkrótce uwidoczniła się słabość jego racji. Nie był w stanie przedstawić żadnych danych. Nie umiał wykazać, że kiedyś powiedzmy pięćdziesiąt procent

mieszkańców stanu Utah uważało, że Dale'a Pierre'a należy stracić, obecnie zaś, w wyniku emocjonalnych percepcji sprawy Gilmore'a, liczba ta sięgnęła dziewięćdziesięciu

procent. Wystarczyłoby podbudować to logicznie.

I Athay przegrał znowu przed sędzią Lewisem, lecz w trakcie przepychania się korytarzem między dziennikarzami wiedział już, że w taki czy inny sposób postara się dotrzeć nazajutrz do Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych.

Koalicja Utah Przeciw Karze Śmierci zwołała zebranie w sobotę po południu w sali Budynku Stanowego; Julie Jacoby uważała, że wnętrze utrzymane jest w dobrym guście. Jedynym człowiekiem z zewnątrz, który zabrał głos, był Henry Schwarzschild, zresztą prędko skończył. Najlepiej, jeśli przemawiają miejscowi. Profesor Wilford Smith, najprawdziwszy mormon z uniwersytetu BYU, był cenną zdobyczą, poza tym Frances Farley, nie dość, że senator stanu Utah, to w dodatku kobieta, profesor Jefferson Fordham z Wydziału Prawa Uniwersytetu Utah, wreszcie James Doobye, Prezes oddziału NAACP w Salt Lakę City. Przy drzwiach rozdawano plakietki: DLACZEGO ZABIJAMY ZABÓJCÓW, SKORO CHCEMY WYKAZAĆ, ŻE ZABIJANIE JEST ZŁEM? – a w programie można było przeczytać: „Z góry dziękujemy za

wszelkie dotacje." Hoyle obliczył obecnych – sto siedemdziesiąt pięć osób, przyzwoity

wynik. Przybyli mężczyźni i kobiety, których Julie nie znała, plus Znani jej ludzie z ACLU. Czyli w sumie środowisko liberalne z Salt lake.

Kolejny raz wierzący nawracali nawróconych. Zdaniem Julie, to nie miało sensu. Wszyscy wiedzieli, że mysz walczy ze słoniem.

Mimo wszystko chcieli działać. Julie uważała, że trzeba przynajmniej pokazać tym żądnym krwi półgłówkom, iż napotkają tego dnia pewien opór. Oczy świata zwrócone są na Utah, a więc niech świat wie, że nie wszyscy ludzie w Utah godzą się z siłą większości.

Zdobyli nawet pewien rozgłos. „Salt Lakę Tribune" poświęciła im pierwszą stronę w drugiej części i wydrukowała znakomite zdjęcie dziekana Andersena z katedry episkopalnej Św. Marka na tle przepięknego transparentu, który wykonali studenci. Białe litery na granatowym tle głosiły: EGZEKUCJA – NIE.

«SALT LAKĘ TRIBUNE»

„Legalna krwawa łaźnia" – twierdzą protestujący przeciw karze śmierci w Utah

Salt Lakę, 16 stycznia. Egzekucja Gary'ego Marka Gilmore'a przemieniła się w „widowisko przemocy" – oświadczył w sobotę duchowny Kościoła Epi-skopalnego.

„Istny cyrk w atmosferze sensacji, walka o prawa do filmu, rezerwacja miejsc, reklamowe koszulki i listy miłosne. Możemy się wszyscy z tego śmiać, ale za dwa dni grupa ochotników zabije Gary'ego Marka Gil-more'a bez odwołania" – stwierdził przewielebny Robert Andersen.

«DESERET NEWS»

Salt Lakę, 15 stycznia. W niedzielę wieczorem oczekiwany jest przyjazd piętnastu, dwudziestu biskupów z Krajowej Rady Kościołów, którzy będą czuwać pod Więzieniem Stanu Utah w nocy z niedzieli na poniedziałek. Henry Schwarzschild, koordynator Krajowej Koalicji Przeciw Karze Śmierci, określił egzekucję jako „brutalny horror", „niebezpieczny precedens" i „sądowe morderstwo".

Tego samego popołudnia naczelnik zwołał konferencję prasową Tamera przyniosła relację z pierwszej ręki o tym, jak mają zamiar doprowadzić Gary'ego z Maksymalnego Nadzoru do puszkarni, gdzie stanie przed plutonem egzekucyjnym. Sam Smith przedstawił także regulamin dla dziennikarzy. Zewnętrzna brama więzienia zamknie się za nimi o osiemnastej w niedzielę. Zostanie otwarta dopiero o szóstej rano siedemnastego. Oznacza to, że dziennikarze pragnący znajdować się na terenie więzienia w czasie poprzedzającym egzekucję będą musieli spędzić noc na więziennym parkingu.

Schiller również miał problem. Jeżeli wejdzie o szóstej wieczorem, nie będzie mógł odebrać telefonu, jaki Gary może w ostatniej chwili wykonać do motelu. Z drugiej strony, Gary'emu zezwolono spędzić ostatnią noc w towarzystwie Moody'ego, Stangera i własnej rodziny. Istniała niewielka szansa, że naczelnik zezwoli Larry'emu na dołączenie do towarzystwa. Z tego względu lepiej być obecnym na terenie więzienia. Dylemat.

Kiedy o tym rozmyślał, zwróciła się do niego Tamera:

–Larry, chciałabym, żebyś wpadł dziś po południu na BYU i zrobił wykład o Garym Gilmorze dla studentów nauk społecznych.

–Coś ty, Tamera? – zdziwił się Schiller.

–Prosił mnie mój biskup – powiedziała.

Schiller pomyślał: ona chyba próbuje poprawić sobie pozycję w Kościele. Pewnie uważa, że ostatnio była mało aktywna. Odrzekł więc:

–Dobrze, przynajmniej mam pretekst, żeby się wyrwać z tego domu wariatów.

Po południu piętnastego podjechał na uniwersytet i wszedł do tej auli BYU, gdzie siedziało, kurwa, ze czterystu studentów, sami Mormoni, i ten ich profesor-biskup, który wstał i zaczął swoje ble-ble-ble. Przedstawił Tamerę Smith, powiedział, że kiedyś tu studiowała, a teraz pracuje w „Deseret News", potem Tammy wstała i Wygłosiła dziesięciominutową mowę, bardzo pobożną – ideał mormońskiej dziewczyny starającej się o pozytywną opinię. Następnie biskup przedstawił Schillera, który stanął i wygłosił swoje „oskarżenie

dziennikarstwa". Nie pamiętał później ani słowa, ale to był standard który trzymał w zanadrzu pamięci na takie okazje.

Musiałby być bardzo zły dzień, żeby nie pogadać przez kwadrans bez przygotowania.

Po pewnym czasie poprosił o pytania i uniosło się trzydzieści rąk Wskazał na studenta, który spytał:

–Czy mógłby mi pan powiedzieć, dlaczego nosi pan pas z Garym Gilmore'em?

Larry spojrzał w dół i, na Boga, miał pasek od Gucciego. Na sprzączce złączone inicjały GG. Wobec tego wyjaśnił czterystu mormonom, co znaczą te inicjały, a potem zwrócił się do chłopaka, który zadał pytanie:

–Jest pan dziennikarzem, ponieważ przerobił pan coś na coś innego, a na tym właśnie polega dziennikarstwo.

Reszta poszła z górki, bardzo prosto i gładko. Nie nazwałby tych studentów bystrymi czy inteligentnymi, chyba że w ich własnym środowisku. Do Gilmore'a żywili wrogość, to jasne, ale mormoni są tak powściągliwi w okazywaniu wrogości, że można jej nie zauważyć. Przejawiała się tylko w pytaniach. Dlaczego, pytali, nie zrobi pan historii Bena Bushnella zamiast Gary'ego Gilmore'a?

I Schiller odpowiadał, że w obecnej rzeczywistości Stanów Zjednoczonych to Gary Gilmore tworzy historię. Czy to sprawiedliwe, czy nie, Benny Bushnell i jego śmierć się nie liczy. Co nie podobało się tym dzieciakom, ale Schiller postawił sprawę jasno. Nie po to przyszedł, żeby komuś pochlebiać, tylko żeby przedstawić drugą stronę medalu.

–Nie ukrywam prawdy o sobie – stwierdził na samym początku I tak to się odbyło. Pytali. Odpowiadał. Dwie godziny z życiorysu.

Tego popołudnia, zaraz po wizycie w BYU Larry odkrył, że Scott jest tym policjantem, który eskortował Gary'ego Gilmore'a

z Aresztu Okręgowego do Więzienia Stanowego w dniu zakończenia procesu Ale gratka. Schillerowi przyszło do głowy, że Jerry Scott przynosi szczęście. Dlaczegóżby nie. Jerry Scott pobierał koło pięciuset tygodniowo.

Zanim nadszedł sobotni wieczór, Schiller uznał, że trzeba wprowadzić do akcji kamerę 16 mm. Załatwił więc z CBS wynajęcie jednej ekipy i wyjaśnił, że potrzebuje perspektywicznych ujęć więzienia i zaśnieżonej ziemi z uchwyconą atmosferą pejzażu. Miało to kosztować następny tysiąc, ale żywił pewną nadzieję. Później obejrzał film, który okazał się drętwy. Ekipa nie miała pojęcia o filmowaniu czegokolwiek prócz migawek do dziennika. Zawalili wszelkie możliwości zbudowania nastroju.

podjął również ostatnią próbę sprowadzenia Stephie z Nowego Jorku. Ponownie odmówiła. Najpierw ją prosił, potem błagał. Nie przyjedzie. To była długa, ostra wymiana zdań i rzadko zdarzało mu się przegrać w tego rodzaju dyskusji, lecz Stephie pozostawała nieugięta. Naprawdę się wściekł.

–W kółko mnie krytykujesz – powiedział.

–Nie rozumiesz – zawołała – krytykuję cię, bo cię kocham i chcę ci pomóc!

W pewnym sensie był tak bliski zerwania z nią jak nigdy. Jednak wiedział, że tego nie zrobi. Śmieszne, żeby z takiego powodu być razem. Aż zrozumiał wreszcie, że Stephie nie uważa się za kobietę, która pójdzie za nim na koniec świata – a tego właśnie wymagał od swojej pierwszej żony. Przeciwnie, Stephie ma delikatny system nerwowy i pragnie go ochronić. Zaledwie parę lat temu wydarzył jej się potworny wypadek samochodowy, po którym zostały jej blizny. Jej piękność jest tak delikatna i krucha, że nie jemu to oceniać. W tym momencie – może zadziałała tu suma emocji – w każdym razie poczuł dla niej wielką tkliwość, mimo że nie chciała przyjechać.

Shirley Pedler została zaproszona przez redakcję NBC do studia i Po drodze zderzyła się z Dennisem Boazem.

–Dostaniesz to, coś chciał – powiedziała mu. – Zadowolony? Boaz popatrzył na nią i bąknął:

–Ojej, Shirley, może byśmy zostali przyjaciółmi?

–Nie zostanę twoją pieprzoną przyjaciółką – odparła.

Stanął zbity z tropu, wreszcie zwrócił się do towarzyszących mu osób:

–Ona mówi, że nie chce być moją pieprzoną przyjaciółką ^. spróbował obrócić to w żart.

Poszedł w swoją stronę, ona w swoją, i aż się gotowała ze złości. Ten właśnie człowiek wszedł w to ze względów prestiżowych. Chodziło mu wyłącznie o uczestnictwo w głośnym wydarzeniu.

Jeśli chodzi o dwie dziewczyny w biurze, to Debbie była kiedyś Króliczkiem w „Playboyu" – drobniutka, ładna, rudowłosa, o ciepłej osobowości, dobrze wykonywała swoją pracę. Druga dziewczyna, Lucinda Smith, była – zdaniem Barry'ego – absolutną pięknością. Ciemne włosy, bajeczne oczy, melodyjny głos – takie intymne, mruczące brzmienie – i kalifornijska rzeczowość. Barry cieszył się, że jest z nimi Lucinda. Była uczuciowa i często roniła łzy, a ostatni tydzień niósł tyle powodów do płaczu, że Barry uważał jej obecność za niezbędną. Symfonia… albo nie: fontanna czystych uczuć; tchnienie wrażliwości pośród syntetycznej tandety ich motelu. Boże, przecież ona nie tak dawno uczęszczała do Corvallis przy Zakonie Najświętszego Serca Maryi. Lucinda była tam jedyną prezbiterianką. Barry dowiedział się, że jej ojciec był głównym scenarzystą i reżyserem u Groucha Marxa, ona zaś wychowywała się w Studio City, w idealnym zaciszu doliny San Fernando, miała najprawdziwszy pierwszy bal i wyjechała

studiować na UCLA. Doskonały południowokalifornijski rodowód. A teraz słucha, jak Gary Gilmore rzuca kurwami.

Dostała tę pracę z ekskluzywnego biura pośrednictwa prowadzonego przez dwie dziewczyny. Lucinda studiowała angielski jako przedmiot kierunkowy i dziewczyna z agencji natychmiast o niej pomyślała; mówiła jej, że to będzie interesujące doświadczenie. Lucinda nie znała pana Schillera przed rozpoczęciem pracy, ale porozmawiała z jego sekretarką w Los Angeles, od której dowiedziała się, że jeśli sobie nie poradzi, będzie natychmiast odesłana do domu. Odniosła wrażenie, że trafił jej się szef, który ustala reguły, zanim w ogóle pozna pracownika. Podjęła wyzwanie. Będą ją oceniać za wyniki, nie za talenty towarzyskie.

Ponieważ druga zatrudniona dziewczyna odleciała dzień wcześniej' Lucinda podróżowała samotnie, samolotem z Los Angeles. Kiedy

dotarła do TraveLodge w Orem, pan Schiller zachował się bardzo uprzejmie i spytał:

–Chcesz odpocząć chwilę?

–Nie, wolę od razu zacząć – odpowiedziała.

Odstawiła walizki i zabrała się do spisywania taśm, jednej za drugą. Tempo się zwiększało. Lucinda zaczęła od dwunastu godzin dziennie, żeby w okolicach weekendu pracować niemal na okrągło. Właściwie nie chciało jej się spać. Atmosfera była dość niesamowita. Lepiej się czuła w towarzystwie Larry'ego, Barry'ego i Debbie. Kiedy zostawała sama w pokoju, zaczynało do niej docierać, co się dzieje.

Jednak w sobotni wieczór zrobiła sobie przerwę i włączyła telewizor. Leciał program „Sobota wieczór na żywo". Parodiowano Gary'ego Gilmore'a. Jeden aktor grał skazańca, a inni robili mu charakteryzację przed występem, reżyser

wygłaszał uwagi: „Tu rozjaśnić, tam trochę cienia do powiek." Szykowali go do rozstrzelania przed kamerą. Bardzo jadowite. Ten makijaż. Nigdy nie przypuszczała, że telewizja może być tak dziwaczna. Zawsze wydawało jej się, że „egzystencjalny" to osobliwe słowo, lecz za oknem było tak zimno i ponuro, gdzieniegdzie tylko odwieczny śnieg, że poczuła się tak, jakby nikt nigdy nie oddalał się od tego motelu, od kserokopiarek i maszyn do pisania.

Barry Farrell studiował stare listy Gary'ego do Nicole. Przy lekturze jednego z nich nieomal jęknął głośno. Tego dnia było już za Późno, żeby przepytać Gary'ego w tej kwestii, to znaczy nie za późno na zadanie samego pytania – Boże, pytali go już o wszystko – ale na Pewno za późno na uzyskanie odpowiedzi, która cokolwiek odsłoni. Powinni byli przygotowywać grunt od tygodni.

Siedziałem w Szpitalu Stanowym w Oregonie – pisał Gary – kiblując za napad z bronią w ręku i przyszedł tam taki trzynastoletni chłopak, bo nie układało mu się w domu. On był naprawdę ładny, jak dziewczyna, ale nie zwracałem na niego uwagi, dopóki nie wyszło, że on mnie rzeczywiście lubi. Miałem wtedy dwadzieścia trzy lata. Jak sobie siedziałem, to on podchodził i obejmował mnie. To było u niego zupełnie

naturalne, dowód przyjaźni. Raz podszedł do mnie i spytał, Czy może poczytać mojego «Playboya». Powiedziałem «Jasne, ale daj buzi» Rany, ale go zatkało! Oczy miał okrągłe jak srebrne dolary i rozdziawił usta. Powiedział «Nie!» i to było piękne, w tym momencie Się zakochałem. Ale on się zastanowił i doszedł do wniosku, że jednak bardzo chce poczytać to pismo, bo dał mi – albo raczej pozwolił wziąć -. bardzo leciutki pocałunek w same wargi. Obserwowałem go na basenie Był jedną z najpiękniejszych osób, jakie widziałem, i nie sądzę, żebym kiedyś widział ładniejszy tyłeczek. W każdym razie całowałem go od czasu do czasu i zostaliśmy dobrymi przyjaciółmi. Po

prostu uderzała mnie jego młodość, uroda i naiwność. Potem jednego z nas przenieśli.

Barry bardzo sobie cenił ten pocałunek. Gilmore się zwierzał. Ten fragment sprawiał wrażenie najbardziej moralnego ze wszystkich listów. Wreszcie Gilmore przyznawał się do czegoś, co nieustannie chodziło mu po głowie, co wyjaśniało jego uniki w sprawach seksu i jego ewidentne zakłopotanie przy tej tematyce. Jednak tutaj, w tym wyznaniu, się go pozbył. Był w stanie to opowiedzieć. Cóż za słodki pocałunek. Miłe chwile.

Farrell nie sądził, że tu chodzi o homoseksualizm jako taki. Zakładał, że Gilmore, podobnie jak większość mężczyzn pędzących życie w więzieniu, został homoseksualistą wskutek sytuacji. W końcu do wyboru ma się homoseksualizm, onanizm albo wstrzemięźliwość. Farrell wiedział, że prawie nikt nie wybiera wstrzemięźliwości, ci zaś, którzy wybrali, nie są przez to lepsi. Chodziło o to, że Gilmore ma żałośnie skrzywione podejście do seksu. Jak u wielu innych więźniów, jego naturalne fantazje erotyczne zostały dawno zniszczone przez masturbację. Żadna kobieta tak nie dogodzi, jak własna graba. Stąd jego wyznanie nie dotyczyło homoseksualizmu. Gilmore przyznawał się Nicole, jak trudną, a zarazem piękną, nieosiągalną i obłędną sprawą jest dla niego seks.

Farrell postanowił złamać swoje własne zasady i przedstawić list jako część autentycznego wywiadu. Małe oszustwo. A co tam. Jak powiedział Schiller: „Dołącz do nas, niepoprawnych grzeszników-

Potem natknął się na coś jeszcze. Ze starej, grudniowej taśmy. Cały czas miał to pod samym nosem.

GILMORE: – Dobra (pauza). Jest książka, którą bym chciał, ale chyba nie dostaniesz jej w Provo. Może uda ci się ją zdobyć w Salt Lakę. Nazywa się Pokaż mi. Książka ze zdjęciami dzieciaków, myślisz, że ją dostaniesz? Zdaje się, że kosztuje piętnaście dolarów.

REPORTER: – Tak, myślę, że tak.

GiLMORE: – Próbowałem ją kupić w Provo. Reklamowali ją wiele lat temu. Może być zabroniona w miejscach takich jak Salt Lakę. REPORTER: – O czym to jest? GiLMORE: – To album z fotografiami dzieci. REPORTER: – Dlaczego mieliby zabraniać sprzedaży? GiLMORE: – Bo to książka o seksie. Od lat czytałem o niej wzmianki i jestem strasznie ciekaw. Zabronili jej w niektórych rejonach Kanady i Stanów. Ale ją mają w Salt Lakę… REPORTER: – Czy to książka edukacyjna? GiLMORE: – Więc to jest wyrafinowane, prawdziwa klasyka. Zrobione w Niemczech, z niemieckimi dziećmi i tam są zdjęcia naprawdę artystyczne, w dobrym guście, taktowne. To nie jest nic sprośnego, ale chciałem rzucić okiem.

Farrell wówczas to przeoczył, a teraz do tego wrócił. Znów w mroku zamrugało światełko. Tak. Czy można pokusić się o stwierdzenie, że miłość Gilmore'a do Nicole w dużej mierze zależała od jej zdolności przybierania dziecinnego wyglądu? Ten elf w podkolanówkach, tak dogodnie pozbawiony – przez Gilmore'a – owłosienia łonowego. Te aluzje w listach do balecików z Rosebeth, bijatyka zPete'em Gallovanem. Barry pokiwał głową. Można powiedzieć, że to się sumuje. Czy w więzieniu, czy poza więzieniem, zatwardziali garownicy najbardziej nienawidzą tych, co napastują dzieci. Takich wolno zgnoić. A jeśli Gilmore, z chwilą gdy stracił Nicole i musiał przeżyć tydzień bez niej, zaczął odczuwać ciągoty nie do przyjęcia? A jeśli jego potworne napięcie (o którym opowiadał wszystkim Psychiatrom, jeśli tylko chcieli słuchać) miało coś wspólnego z tymi skłonnościami? Nic nie kłóciłoby się bardziej z wyobrażeniem Gilmore'a o sobie. Ten człowiek prędzej zrobiłby wszystko, nawet zamordował, zanimby popełnił taki występek. Boże, to nawet tłumaczY jego straszliwie spaczone poczucie własnej szlachetności, jakie Wywołały w nim oba zabójstwa. Barry biadał nad swym późnym odkryciem. Teraz już nie mógł nawet się zająknąć na ten temat. Zbyt nikłe podstawy. Właściwie czysta spekulacja. Jeżeli Gilmore pragnie

być stracony za ten grzech – zakładając, że właśnie to ma na sumieniu, lecz strzeżmy się przed pochopnym szufladkowaniem tego człowieka! – w takim razie trzeba pozwolić mu przynajmniej na godną śmierć z wyboru. W zasadzie ile można ukryć w słowie „godność"?

W sobotę wieczorem, przed północą, ojciec Meersman urządził w kuchni Maksymalnego kaplicę i odprawił mszę dla Gary'ego, używając przenośnego metalowego stolika jako ołtarza. Żeby wszystko zobaczyć, Gary usiadł na jednym z przyśrubowanych do podłogi stołów, a stopy oparł na ławie. Strażnik, który kiedyś był ministrantem, służył do mszy.

Ojciec Meersman wyłożył paramenty liturgiczne, pochodzące w tych okolicznościach z podręcznego zestawu, czyli obrus, maleńkie serwetki, korporał, kielich, patenę i świece w lichtarzach, ustawił krucyfiks i dał Gary'emu książeczkę do nabożeństwa, żeby Gary mógł uczestniczyć. Ojciec Meersman miał na sobie komplet szat liturgicznych: przepasaną białą albę, ornat, stułę i mantuał.

Kapelan wyrecytował Confiteor: -…że bardzo zgrzeszyłem myślą, mową, uczynkiem i zaniedbaniem – i usłyszał echo dawnego Confiteor. „Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina."

Potem ojciec Meersman odczytał ulubiony psalm Gary'ego. Z doświadczenia wiedział, że Gary najlepiej zna początkowe strofy.

Błogosław, duszo moja, Pana

i całe moje wnętrze – święte imię Jego!

Błogosław, duszo moja, Pana,

i nie zapominaj o wszystkich Jego dobrodziejstwach!

On odpuszcza wszystkie twoje winy,

On leczy wszystkie twe niemoce,

On życie twoje wybawia od zguby, On wieńczy cię łaską i zmiłowaniem, On twoje dni nasyca dobrami: odnawia się młodość twoja jak orła.*

Następnie ojciec Meersman czytał z Ewangelii według Świętego Marka: -i znów przytoczył tylko pierwszą część. „Synu, odpuszczają ci się twoje grzechy." Meersman pomyślał, że ściśle biorąc nie powinien robić odstępstw od tekstu Ewangelii przewidzianego na ten dzień, lecz nie sądził, by ktoś mógł mieć mu to za złe w tej sytuacji.

–„To jest bowiem Ciało Moje… kielich Krwi Mojej" – mówił ojciec Meersman święcąc chleb i. wino, po czym uniósł hostię i kielich, a strażnik w roli ministranta zadzwonił po trzykroć – tak to ojciec Meersman opisywał: zadzwonił po trzykroć.

–„Panie, nie jestem godzien, abyś przyszedł do mnie, ale powiedz tylko słowo, a będzie uzdrowiona dusza moja."

Ojciec Meersman przyjął komunię. Upił łyk wina i podszedł ministrant do komunii, a inni strażnicy przy głównym stole za plecami Gary 'ego jako mormoni tylko się przyglądali. Gary przyjął opłatek na język starym zwyczajem, z otwartymi ustami, głowa odchylona – ojciec Meersman zauważył, że to obyczaj wyniesiony z dzieciństwa – a potem pił z kielicha. Kapelan stał przy Garym, który wypił do dna.

Ojciec Meersman uważał, że to była piękna i dobra noc. Na Początku mszy Gary otrzymał błogosławieństwo i później słuchał w skupieniu. Po skończonej ceremonii żartował z ojca Meersmana: Padre, to wino mogło być ciut mocniejsze.

Niedziela, 2.00 w nocy- Elfinko, kiedy

cię zwolnią, pojedź do Verna. Dałem mu dużo rzeczy, żeby ci

oddał.w czarnej płóciennej torbie oklejonej taśmą.

Będzie tam mój album zdjęć, trochę biżuterii, dużo książek, koszulki „Gary Gilmore", parę listów, głównie z obcych krajów.

Radio Sony.

Starałem się zdobyć pierścień z okiem opatrzności z firmy jubilerskiej Dom Aladyna w Nowym Jorku. Jeśli go dziś dostanę, zapakuję z innymi rzeczami.

Och, Mała, Mała, Mała, tak mi cię brakuje!

Kocham cię wszystkim, czym jestem.

Często puszczają naszą piosenkę: Śladami twoich myśli. Nie wiem czy udaje ci się słuchać radia. Stacja KSOP z Salt Lakę naprawdę nas lubi. Grają dla nas Dolinę łez.

Za około 30 godzin nie będę żył.

Tak to się nazywa – śmierć. To po prostu wyzwolenie, zmiana formy.

Mam nadzieję, że postępuję właściwie.

Boże, Nicole. Czuję taką moc naszej miłości. Chyba na razie nie musimy wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. Po prostu powinniśmy postępować właściwie. To jest w nas, ta wiedza. Ale świadomie nie możemy tego zgłębić, dopiero później.

Aniele, jest za kwadrans trzecia rano. Trochę się zdrzemnę. Niedługo napiszę do ciebie jeszcze…

Mormoński chłopak, którego Kościół przysłał do opieki nad Bessie, był młodym żonkosiem o nazwisku Doug Hiblar. Czuł, że przeZ ostatni miesiąc nieco się zbliżył do Bessie. W dalszym

ciągu czasem go nie wpuszczała i on jej po prostu mówił przez zamknięte drzwi, że ją kocha, po czym odchodził, ale zdarzały się dni, kiedy była bardziej otwarta i zachęcony tym raz popełnił błąd, mówiąc, że wie, co ona czuje. To był błąd. Bessie powiedziała:

–Nie, nie wiesz.

Rozmyślał o tym i zrozumiał, że nie wie i nigdy się nie dowie, więc nie wypowiadał już przy niej takich słów. Może to coś zmieniło. chyba więcej z nim rozmawiała.

W sobotę wieczorem poszedł ją odwiedzić tak samo jak wczoraj. wydała mu się spokojna. Tak jakby się spodziewała, że sądy wydadzą odroczenie. Tydzień wcześniej mówiła coś o podróży do Utah, ale chyba Gary ją odwiódł od tego pomysłu. Doug doszedł do wniosku, że widzenie z matką odebrałoby mu siłę.

Bessie może wydawała się spokojna, ale nie mogła spać. Przez cały tydzień obawiała się tej nocy, kiedy zaśnie i obudzi się po śmierci Gary'ego. Dlatego co noc przesiadywała bez snu całe godziny. Po wieczornych telefonach Mikala z Salt Lakę przysypiała, ale potem znów się wierciła i sen odchodził. Długa podróż przez bezsenność. \V jej myślach pojawiały się słowa jak telegramy, których nie śmiała otworzyć: Jak mam dotrzeć do Gary'ego? Jak mu powiedzieć, co to spowoduje?

Bo przeczuwała, że gdy nadejdzie ta chwila, miecz rozetnie ją na pół.

Rozmyślała o Górze Y w Provo i o dniu, kiedy przyjechała do Utah, bo umierał jej ojciec. Był z nią Mikal, który zapytał:

–Pokażesz mi swoją górę? Była noc, więc mu odpowiedziała:

–Pokażę ci rano.

Jednak ranek wstał mglisty i Mikal stwierdził:

–Nie widzę żadnej góry. Miał osiem lat.

–Ona tam jest – odparła Bessie. – Góra mi mówi, że mój tata nie będzie żył.

Rzeczywiście umarł parę dni później.

Jednej z tych nocy spędzonych w Provo przed śmiercią ojca odbywał się zlot kibiców futbolu i studenci BYU obiegli górę z pochodniami. Mikal zawołał:

–Mamo, chodź, zobacz! Czegoś takiego jeszcze nie widziałaś.

–Oj Mikal, oczywiście że widziałam – odrzekła mu. – Pamiętaj, że to moja góra.

Wszyscy jej siostrzeńcy i siostrzenice patrzyli na nią, jakby chcieli Powiedzieć: „Co ty sobie wyobrażasz? Nawet już tu nie mieszkasz."

Uśmiechała się do nich. Nie rozumieli. Kiedy ludzie pytali ją: •'Nie tęsknisz, żeby wrócić?" – odpowiadała: „Nie, tylko brakuje mi mojej góry. Bo ona należy do mnie."

Wiedziała, że ją uważają za przemądrzałą.

Tym wspomnieniem pożegnała sobotnią noc i przywitała poranek.

ROZDZIAŁ 30

Niedziela rano i po południu

Jest dziesiąta rano w niedzielę. Wstałem, wziąłem prysznic, ogoliłem się – ale wpierw ćwiczenia: dziesięciominutowa przebieżka. Te pierdolone klawisze uważają mnie za czubka, że tak latam tam iz powrotem. Prawie wszyscy strażnicy to leniwe tłuste chuje.

Hej, jesteś leśnym duszkiem, no nie?!

Spytali mnie, kogo zaproszę na oglądanie mojej rozwałki. Powiedziałem:

Numer Jeden: Nicole

Dwa: Vern Damico Trzy: Ron Stanger, adwokat Cztery: Bob Moody, adwokat

Pięć: Lawrence Schiller, wielki Manipulo z Hollywood.

Wiedziałem, że nie pozwolą ci przyjechać, więc kazałem zarezerwować dla ciebie miejsce honorowe.

„New York Post" napisał, że robię przetarg na zaproszenia.

W tej gazecie kupa ludzi smaruje gównem po papierze. «Mała, piszesz, że jak mnie zastrzelą… co zostanie w tobie?

Ja.

Ja przyjdę i cię obejmę, moja najdroższa przyjaciółko.

Nie dopuszczaj zwątpienia.

Zobaczysz.

Mała, dotąd unikałem jednej sprawy, ale teraz o niej powiem.

Czy postanowisz do mnie dołączyć, czy czekać – wybierzesz

Kiedykolwiek przyjdziesz, ja tam będę.

Przysięgam na wszystkie świętości.

Nie chcę, żeby ktokolwiek inny cię miał, gdybyś postanowiła zaczekać. Jesteś moja. Bliska Duchem. Albo wręcz moją duszą. Nie bój się nicości, mój Aniele. Nigdy jej nie doświadczysz.

W niedzielę rano Lucinda przepisywała wywiad z poprzedniego dnia i nagle nie mogła się pohamować, chlipnęła. Schiller się odwrócił. Wypłakiwała oczy od samego rana w niedzielę.

Vern rozmawiał z Larrym przez telefon. Z muzeów figur woskowych zaczęły napływać oferty kupna ubrań Gary 'ego. Sumy sięgały kilku tysięcy dolarów. Wprawdzie nie było mowy o sprzedaży, wynikł jednak problem upilnowania ostatnich rzeczy, jakie Gary miał na sobie. Potem doszli do wniosku, że powinni też chronić jego zwłoki. Schiller postanowił podstawić własnego wartownika, kiedy więzienie będzie transportować ciało Gary'ego do szpitala Salt Lakę, gdzie wyjmą mu oczy i inne organy. Wielkie szczęście, że trafił mu się Jerry Scott. Człowiek w sam raz do tego, żeby obserwować, jak przewożą Gary'ego ze szpitala do krematorium.

GILMORE: – Fagan powiedział: „Wciąż jeszcze masz szansę na ten telefon od Nicole." Ja mówię: „A chuj ci w dupę, skurwysynu jebany." To się zamknął. Potem mówi: „Mam związane ręce." Mówię mu: „No i co, dobrze ci z tym? Może byś zaczął wreszcie reagować jak mężczyzna, ty kupo gówna." Nie wiem nawet, czy wieczorem przyjdę do sali widzeń. A Fagan powie: „Cóż, w ostatnią noc traktowaliśmy?To fantastycznie. Miał widzenia bez ograniczeń. Pozwoliliśmy mu sPotkać się z wujkiem i adwokatami" (śmieje się).

Moody zabrał się do ostatniej listy pytań.

Jeżeli na swej drodze spotkasz nową duszę, która Przyjdzie zająć twoje miejsce, jaką dasz jej radę?

: – Żadnej. Nie oczekuję, że ktoś zajmie moje miejsce., to ja, twój zmiennik… gdzie masz klucz od szafki? Gdzie ręczniki?

MOODY: – No, nie wiem, może miałbyś mu coś do powiedzenia o życiu, które go czeka?

GILMORE: – Kurczę… To poważna kwestia. MOODY: – Myślę, że ona chce, żebyś podchodził do tego bardzo poważnie.

GILMORE: – Rozmawiałem z ludźmi, którzy wiedzą więcej ode mnie, i z takimi, którzy wiedzą mniej, ale ja słuchałem i doszedłem do wniosku, że, kurwa, jedno wiem na temat śmierci, mam jedno przeczucie, że to będzie coś znajomego. Nie sądzę, żeby to było jakieś przykre czy nieprzyjemne. Rzeczy przykre i nieprzyjemne spotykają nas tu, na ziemi i przemijają. Są krótkotrwałe. Nic stałego. Takie jest podsumowanie moich przekonań, ale może to wcale nie tak.

MOODY: – Wiesz, jakie ostatnie przesłanie Joe Hill przekazał Wobblies?

GILMORE: – Joe?

MOODY: – Joe Hill. Człowiek, którego zabili w Utah przed laty. GILMORE: – On się nazywał Joe Hillstrom. Co powiedział Wobblies?

MOODY: – „Nie opłakujcie, chłopcy, tylko się organizujcie." GILMORE: – Nie pakujcie?

MOODY: – „Nie opłakujcie, chłopcy, tylko się organizujcie." GILMORE: – No, a ja też mam coś, co mi się nawet podoba: „Nie bój się, nie oddychaj." to przysłowie islamskie. Nie wiem, skąd

oni to wzięli, ale to można dopasować do wszystkiego, zawsze ma jakiś sens. „Nie opłakujcie, chłopcy, tylko się organizujcie." MOODY: – Znasz ten stary tekst z filmów wojennych: „Kto mówi, że się nie boi, albo kłamie, albo jest skończonym głupcem"?

GILMORE: – No i co?

MOODY: – Czy to przypadkiem nie odnosi się do twojej sytuacji!? GILMORE: – Przecież wcale nie twierdziłem, że się nie boję. MOODY: – Owszem. Ale twoje przesłanie do świata kojarzy się z odrzuceniem strachu.

GILMORE: – Bo niby dlaczego się bać? To właściwie można nazwać grzechem. Wiesz, że jest fatalnie, jeśli twoim życiem rządzi strach.

MOODY: – Zdecydowałeś się pokonać strach. GILMORE: – W tej chwili nie czuję strachu. Nie sądzę też, żebym się bał jutro rano. Dotychczas się nie bałem.

MOODY: – Jak ci się udaje przezwyciężyć strach i nie dać mu

dostępu do twojej duszy?

GILMORE: – Chyba mam szczęście. Bo on nie przeniknął. Wiesz,

prawdziwie odważny człowiek to ktoś, kto odczuwa strach, ale mimo

wszystko idzie i robi, co do niego należy. Nie można powiedzieć,

żebym był tak kurewsko odważny, bo ja nie walczę ze strachem i nie

pokonuję go. Nie wyobrażam sobie jutrzejszego ranka… Nie wiem,

czy rano będę się czuł inaczej niż teraz albo inaczej niż pierwszego

listopada, kiedy odrzuciłem pierdoloną apelację.

MOODY: – Jesteś wyjątkowo opanowany.

GILMORE: – Dziękuję, Bob.

MOODY: – Nie wiem, co powiedzieć, ja po prostu…

GILMORE: – Słuchaj, bracie, ja jestem dosyć chamski. Bo was,

chłopaki, trochę to gryzie, no nie?

MOODY: – Ciężka sprawa, Gary. Jestem fizycznie niezdrów.

W tym momencie Bob Moody się rozpłakał. Po chwili, kiedy się opanował, porozmawiali jeszcze z Gilmore'em i Stangerem. Potem się pożegnali. Mieli wrócić przed wieczorem, żeby posiedzieć przez noc. Kiedy wychodzili, Gilmore powiedział:

–Nie zapomnijcie kamizelki.

–Co? – zdziwił się Bob.

–Kamizelki kuloodpornej – wyjaśnił Gilmore.

–Będę ją nosił w sobie – rzekł Moody.

–Trzymajcie się, chłopaki – powiedział Gary.

W niedzielę rano Vern przybył pod Nadzór Maksymalny i rozmawiał z Garym przez telefon, patrząc przez szybę. Tym razem rozmawiali o siostrach jego matki z Provo. Gary był ciekaw, dlaczego żadna z jego ciotek prócz Idy go nie odwiedziła.

–Co o tym sądzisz? – spytał wprost.

–Cóż, Gary – odrzekł Vern. – One by na pewno chciały, ale ja nie mogę odpowiadać w ich imieniu.

Wciąż dźwięczały Vernowi w głowie słowa jednej z sióstr Idy: „Ja Po prostu nie mogę się zmusić do rozmowy z nim."

Gary powiedział:

–Mama jest za bardzo schorowana, inaczej by przyjechała. Zapadło tak długie i ponure milczenie, że Gary zaczął podśpiewywać piosenkę Johnny'ego Casha. Przymknął oczy i próbował zanucić.

Zobaczył, że Vern się śmieje, i powiedział:

–Czasem tego mi trzeba. Vern pękał ze śmiechu.

–Czekaj, zaśpiewam ci coś – powiedział. Gary jęknął:

–Tylko nie Starego Brysia.

To była słynna piosenka Verna. Śpiewał ją na dorocznych przyjęciach w Klubie Łucznictwa.

–A właśnie że tak – odparł Vern.

Były z nas dwa szczeniaki, czyli ja i mój Bryś, Hasaliśmy po łąkach i polach. Ja i Mały chłopiec i pies, a pamiętam jak dziś, Chociaż wiele minęło już lat.

Dorastaliśmy razem i mój Bryś się postarzał, Pysk posiwiał, wierne oczy zmętniały, Aż raz doktor z westchnieniem spojrzał na mnie i rzekł: Słuchaj, Jim, nie poradzę już nic.

Biorę strzelbę do ręki, stoję z gardłem ściśniętym, Mierzę w Brysia poczciwy łeb. Ręka nagle zadrżała, uciec przyszła ochota, Niechby raczej już ktoś kropnął mnie.

Stary Bryś chyba wyczuł, że mu koniec pisany, Uniósł łeb i polizał mą dłoń. Stare psisko spojrzało, jakby powiedzieć chciało: Przyjacielu, czas przyjąć swój los.

Odszedł dawno mój Bryś, hasa po rajskich łąkach, Tak jak w moich wspomnieniach za mgłą. Jedno wiem: jeśli psy mają niebo jak my, Stary Bryś znalazł cudowny dom.

–Zgroza – powiedział Gary.

–Tyle na dziś – odrzekł Vern – boś na tyle zasłużył.

Fundusz Obrony Prawnej NAACP oddelegował waszyngtońskiego prawnika nazwiskiem John Shattuck. W imieniu Athaya miał on złożyć petycję w Sądzie Najwyższym Stanów Zjednoczonych. Dlatego po porażce odniesionej w sobotę po południu przed sędzią Lewisem biuro Athaya przedyktowało treść przez telefon. W niedzielę Shattuck osobiście złożył pismo w Sądzie Najwyższym.

O osiemnastej dwadzieścia pięć czasu waszyngtońskiego, czyli o szesnastej dwadzieścia pięć w Utah, do Athaya zadzwonił z Kancelarii Sądu Michael Rodak. Sędzia White podpisał następujące oświadczenie: „Oddalam pozew o zawieszenie. Jestem upoważniony do oświadczenia, iż większość składu sędziowskiego aprobuje to posunięcie. Byron R. White, Sędzia Sądu Najwyższego."

Ponieważ decyzja nie została podjęta jednogłośnie, Shattuck próbował dotrzeć do innych sędziów. Gdyby udało się znaleźć właściwą osobę wśród przegłosowanej mniejszości, można by uzyskać zawieszenie. Przynajmniej byłby czas na prezentację argumentów.

Przysłał odpowiedź sędzia Blackmun. „Pozew o zawieszenie, przedstawiony mi po odmowie udzielonej przez sędziego White'a, zostaje oddalony. Harry A. Blackmun, Sędzia Sądu Najwyższego, 16 stycznia 1977 r."

Nie zwrócono się do sędziego Brennana. Z Waszyngtonu przyszła rada, że gdyby Athay zadzwonił i wyjaśnił, jak pilna jest sprawa, Mógłby coś osiągnąć. Sędzia Brennan okazywał już przychylność w podobnych wypadkach. Wobec tego Athay, zdany na kontakt osobisty, wykręcił zastrzeżony numer, jaki mu podano, i usłyszał w słuchawce głos:

~~ Tu sędzia Brennan.

Ledwo zdążył się przedstawić i powiedzieć:

~~ Jestem zaangażowany w sprawę Gilmore'a – z tamtej strony dotarło do niego:

~~ O masz – i trzask w słuchawce.

Jeszcze raz wykręcił numer. Mógłby przysiąc, że ten sam głos mu powiedział:

–Niestety nie ma go w mieście.

Był zaszokowany. Niby wiedział, ale jakże mógłby się upewnić, czy istotnie dotarł do sędziego Brennana, czy nie?

Athay wyczerpał wszystkie możliwości działań na rzecz Dale'a Pierre'a.

Czekanie w niedzielny ranek i popołudnie było mordercze. Schiller miał listę pytań przypiętą do ściany koło telefonu. Gdyby Gilmore zadzwonił jeszcze, pod jego nieobecność, telefon mógł odebrać Barry, a gdyby jego też nie było, rozmawiać będzie któraś z dziewczyn. Pytania wisiały gotowe. Nie było już sensu się krygować ani ukrywać tożsamości. Gary rozumiał, że zaczęło się dla nich końcowe odliczanie.

Tak czy siak, Schiller był zmartwiony. Pogrzebał już wielkie ambicje związane z tym wywiadem. Mikal wyjechał z Utah i wraz z nim przepadła najlepsza dla Schillera sposobność głębszego

wejrzenia w Gary'ego, i to w ostatniej chwili. Czuł, że stracił z nim kontakt. Któż by uwierzył, że Gary tak się pogniewa o Moyersa? Kiedy Mikal zagroził, że spowoduje wstrzymanie egzekucji, Gary na pewno starał się go unieszkodliwić. Przeistoczył się w nie znanego Mikalowi starszego brata i odgrywana rola go wciągnęła. Gary zachowywał się tak, jakby Schiller rzeczywiście mu ubliżył. W końcu powodzenie ataku zależy od wczucia się w rolę. Jednak Schillerowi ta cena wydała się zbyt wysoka.

Z więzienia zadzwonił Moody.

–Odbierzesz telefon od naczelnika – oznajmił Schillerowi. – ~~ Będziesz uczestnikiem egzekucji.

Chociaż gazety już to podawały, Larry nie otrzymał dotąd oficjalnego potwierdzenia. Dlatego się martwił. Jeżeli Sam Smith zawróci go przy bramie, trzeba będzie stosować prawnicze kruczki w ostatniej minucie. Kodeks może i opowiada się po jego stronie, ale tego rodzaju sytuacja byłaby nie do pozazdroszczenia.

Po pięciu minutach telefon zadzwonił znowu. Zastępca Hatch mówił:

–Naczelnik Smith mnie prosił, żebym panu poradził zjawić się jutro rano o szóstej przy bramie więzienia, bez żadnego sprzętu fotograficznego ani nagrywającego, jeśli chce pan być świadkiem egzekucji Gary'ego Marka Gilmore'a.

Schiller odrzekł:

–Dziękuję. Bardzo proszę o przekazanie panu naczelnikowi wiadomości. Moje oświadczenie spisane przez Gusa Sorensena jest zgodne z prawdą. Nie mam zamiaru naruszać jakichkolwiek reguł i przepisów ustanowionych przez naczelnika. Proszę go zapewnić, że będę zachowywał się tak, jak się ode mnie wymaga.

W ostatniej rozmowie telefonicznej z Moodym dowiedział się, że Gary chce, żeby mu przynieść alkohol, omówili więc sposób.

Schiller kazał Debbie skoczyć do apteki i kupić parę płaskich flakonów.

–Jeżeli nie mają ich na sprzedaż, kup syrop od kaszlu i wylej go.

Debbie pytała, dlaczego flakony mają być płaskie. Musiał jej wyjaśnić: przypominają piersiówkę i nie wystają spod płaszcza. Potem uznał, że ta ilość nie wystarczy, wysłał więc Tamerę do siedziby Western Airlines, żeby tam kupiła, jeśli jej się uda, trochę buteleczek czterdziestogramowych, jakie serwują w samolocie. Niestety, w Utah linie Western w niedzielę odżegnywały się od wódki. Zadzwonił do Hiltona i dowiedział się, że sprzedaż rozpoczynają późnym wieczorem. Wreszcie usłyszał o pewnym barze w Salt Lakę, gdzie sprzedają napoje w małych buteleczkach, wobec tego skłonił Tamerę do skontaktowania się z „Deseret News", żeby tam kogoś wysłali. Schiller zdawał sobie sprawę, że w tym celu zwołają zebranie na najwyższym szczeblu.

Tymczasem Tamerę ogarnęły sentymenty przez to zdobywanie alkoholu dla Gary'ego. Oczywiście teraz już wszyscy go lubili. Nawet ludzie mu nieżyczliwi zaczęli go lubić.

Schiller wyczuwał to w powietrzu. Wszystkim przychodziło to pytanie: Po co zabijamy tego Gilmore'a? Co osiągniemy przez Jego śmierć?

Breslin chodził po pokoju biurowym i sypał przekleństwami. ~~~ Jak ci ludzie, kurwa, mogą zastrzelić, kurwa, tego człowieka? Breslin wściekał się nawet na Gilmore'a, że chce być rozwalony.

Larry postanowił odpocząć przy kserokopiarce. Przyjemnie było wykonywać jakąś mechaniczną czynność. Wtedy podeszła

Tamera z wiadomością, że jej gazeta nie pójdzie po wódkę.

–Nie obchodzi mnie, kto to zrobi – odparł Schiller. – Znajdź

kogoś.

Tamera zadzwoniła do Cardella, który był chyba najaktywniejszym mormonem w Salt Lakę, i nie do wiary, zgodził się pojechać i przywieźć to w ramach chrześcijańskiego uczynku. Uważał, że umierający człowiek ma prawo do jego ostatniego życzenia. A to dopiero. Brat Tamery był tak niezłomnym moralistą, że aż trudno uwierzyć.

Schiller zadzwonił do Stangera z pytaniem:

–Czy naczelnik wpuści mnie do Gary'ego przed egzekucją?

Stanger odrzekł, że nie ma pojęcia, Larry zadzwonił więc do więzienia. Naczelnik w dalszym ciągu nie chciał z nim rozmawiać. Schiller powiedział sobie: Zaczekam pod drzwiami, na wypadek gdyby zmienili zdanie.

Potem przestudiował więzienny regulamin dla dziennikarzy i stwierdził, że jest on dziełem zawodowca. Nie wierzę, że to opracowywał naczelnik, powiedział głośno. Po prostu za dużo w tym sensu. W ciągu nocy co pół godziny przez głośnik będą nadawane publiczne oświadczenia, a przedstawiciel więzienia będzie często wychodził, żeby porozmawiać z reporterami. Parę minut po egzekucji naczelnik wygłosi oświadczenie. Dziesięć minut później dziennikarze zostaną wpuszczeni na miejsce. Plan świadczył o umiejętności postępowania z dziennikarzami, której dotąd nie dawało się zauważyć. Schillera zaintrygował sam styl sformułowań. Powiedział do siebie: Wreszcie ktoś dorównał mi inteligencją. I przyszedł mu do głowy pomysł z serii „pomarzyć to dobra rzecz". Może jednak spotka wieczorem autora tego planu i zdoła wytłumaczyć, dlaczego powinni mu zezwolić na rozmowę z Garyn^ Tak, postanowił. Najpierw wejdę jako dziennikarz.

Oczywiście przewidział już taką ewentualność. John Durnia-redaktor od zdjęć w„Time'ie", pozwolił mu na wykorzystańie „Time'a" jako referencji. Lawrence Schiller, świadek egzekucji, kto nie ma wstępu do więzienia przed szóstą trzydzieści rano, miał właśnie zamiar wejść o osiemnastej, ponad dwanaście godzin przed terminem z nową legitymacją prasową, jako Lawrence Schiller akredytowany przez tygodnik „Time".

Co najmniej godzinę przed czasem Schiller postanowił nie czekać dłużej w Orem i włożył do kieszeni wypełnione alkoholem flaszki po syropie, Tamerę zaś poprosił o umówienie go z Cardellem przy więziennej bramie. Po czym wyjechali z TraveLodge. Kiedy dotarli na miejsce, bramę szturmował już tłum dziennikarzy. O ile poprzednio mówiono, że robią cyrk, to teraz przypominali tabor cygański. Na bocznej drodze gęsiego ustawił się sznur furgonetek z telewizji, ponadto wozy techników, zapasowych ekip i filmujących z daleka, nie licząc kilkuset dziennikarzy tłoczących się w najprzeróżniejszych środkach lokomocji – i wszyscy wjeżdżali pojedynczo przez główną bramę. Schillera uderzyło, że wszyscy piją.

Więzienne rozporządzenie nie precyzowało, czy dziennikarze mogą przywieźć whisky albo piwo, lecz oczywiście to pominięcie nie wynikało z niedopatrzenia autora przebiegłego planu. Kto słyszał, żeby dziennikarze z całego świata sterczeli gdzieś przez dwanaście godzin o suchym pysku? Poza tym było tak przenikliwie zimno, że wszyscy zamarzliby bez gorzały. Schiller wyobraził sobie szóstą rano i trzystu sztywnych reporterów pod więzieniem. Ale numer! Relacji brak, gdyż żaden dziennikarz nie przeżył. Tak, plan był faktycznie przebiegły. Wszelkie demonstracje odbędą się z dala od drogi dojazdowej, z dala od więzienia. Protestujący będą wykrzykiwać swoje hasła z odległości pięciuset metrów. Gdyby nie ten plan, najlepsi reporterzy dawno by szukali okazji do wywiadów z demonstrantami, a nawet podpuszczaliby ich, rzucając zjadliwe docinki. Do rana Wysmażyliby mnóstwo artykułów z wypowiedziami wrogów egzekucji. Dlatego to było genialne: a

niech się reporterzy wściekają. Plan opierał Się na pięknej koncepcji – zamknąć dziennikarzy.

Oczywiście nazajutrz ukażą się mściwe teksty, ale prasa tak czy owak opluwała stan Utah. Przynajmniej egzekucja odbędzie się bez kotłowaniny o świcie, kiedy wszyscy naraz szturmowaliby bramy więzienia. W tym układzie szturm odbywa się o osiemnastej wieczorem i złość może dziennikarzom przejść do rana. Po całonocnym czuwaniu będą przed świtem otępiali. W momencie kiedy Gilmore'a

przeprowadzą z Maksymalnego do puszkarni, reporterzy będą tak szczęśliwi, że znaleźli się w cieple, iż prawdopodobnie bez szemrania zaczekają tam, gdzie się ich zapędzi. Schiller uważał, że ten plan musiał przyjść z Waszyngtonu. Od kogoś z FBI albo z Departamentu Sprawiedliwości, co najmniej.

Kiedy Schiller przejeżdżał zewnętrzną bramę, zapytali go tylko: – - Nazwisko? '•' – Larry Schiller. J – Skąd?

–Tygodnik „Time".

Puścili go. Zjechał na położony niżej parking, lecz tam stał na straży porucznik Bernhardt, który prawie dwa miesiące wcześniej wpuścił Schillera po raz pierwszy jako konsultanta od spraw majątkowych. Schiller minął go patrząc przed siebie, ale w lusterku wstecznym widział, jak Bernhardt wsiada do wozu, żeby za nim gonić. Wobec tego zatrzymał się i wysiadł. Bernhardt podszedł ze słowami:

–Wynoś się pan stąd, ale już. Masz Pan szlaban do szóstej

trzydzieści.

Podniósł głos, co zwróciło uwagę na Schillera, a tego właśnie

pragnął uniknąć.

Bernhardt włączył krótkofalówkę i z kimś rozmawiał. Potem rzekł:

–Dobrze, zostajesz pan. Ale, kurwa, do punkt szóstej rano. Radzę zapamiętać. Nie ma mowy o rozmowie z Gilmore'em.

Wykrzyczał to wobec tłumu dziennikarzy. Schiller może i kiepsko się maskował, ale teraz diabli wzięli cały kamuflaż. Przez następne parę godzin drogę będzie mu wyznaczał szpaler mikrofonów.

Później Tamera wsunęła mu buteleczki odebrane przy bramie od Cardella. Reporterzy kręcili się dookoła, rozmawiając i przytupując Wkrótce jednak powsiadali do samochodów. Godzina osiemnasta i po tym wszystkim. Byli zamknięci. Z Point of the Mountain zstępowała długa zimowa noc, ogarnęła parking i więzienie, potem ścigała pustynię ostatni słaby blask wieczoru.

CZĘŚĆ SZÓSTA

DO ŚWIATŁA

ROZDZIAŁ 3

Wieczór taneczny z lekkim poczęstunkiem

Julie Jacoby wcześnie pojechała na czuwanie, a wraz z nią, w pierwszym samochodzie, jechał wielebny John Adams, weteran różnych demonstracji, który chciał porozmawiać z szeryfem okręgu Salt Lakę o ochronie dla czuwających.

Jedyny kłopot, że ich nie wpuszczono na teren. Policja stanowa skierowała ich na boczną drogę. Wkrótce zobaczyli, że bardzo niewielu reporterów będzie się nimi zajmować.

Zrobiło się ciemno i mroźno, lecz odbyli ceremonię religijną. Przybyło czterdzieści lub pięćdziesiąt osób i odczytali litanię przy iluminacji zapewnionej dzięki uprzejmości ekipy telewizyjnej, która tak skierowała swoje reflektory, żeby grupa odpowiadająca mogła odczytać druk.

Zgodnie z sugestią Johna Adamsa, Julie przetrząsnęła dom i zabrała ciePłą odzież dla osób, które przyjechały za lekko ubrane. Potem dUszpasterz pożyczył od niej subaru i dowoził nowych uczestników

Punktu kontaktowego w motelu Howarda Johnsona w Salt Lakę. a w nocy woził ludzi tam i z powrotem.

O piątej po południu, kiedy Toni przyjechała na widzenie dziennikarze zdążyli już zgromadzić się na parkingu i obstąpili ją przy wejściu do Maksymalnego. Będzie o wiele gorzej, kiedy stamtąd wyjdzie. Jeszcze większy ścisk. Toni szła chodnikiem pomiędzy drucianymi parkanami rozmyślając o tym, jak pierwszy raz przyjechała odwiedzić Gary'ego w więzieniu, dwa

dni przed jego urodzinami Wtedy jeszcze nie wiedziała, czy jest mu gotowa wybaczyć, czy nigdy nie wybaczy, ale kiedy zobaczyła, jak on się cieszy z jej odwiedzin zapytała, co mu wysłać, i on chciał dwa ciemne podkoszulki z uciętymi rękawami, duży rozmiar, grubsze na ramionach, żeby bez rękawów sterczały. Odwiedzała go jeszcze potem. Zawsze witał ją słowami „Boże, ale jesteś piękna", przez co się czerwieniła.

Tej niedzieli jednak było inaczej. Przedziwnym zbiegiem okoliczności miała akurat własne urodziny i na kolację zjeżdżała rodzina Howarda. Dlatego w ten ostatni wieczór Toni wybierała się w odwiedziny do więzienia, przygotowując jednocześnie potrawy na przyjęcie, i niepokoiła się, czy zdąży w miarę wcześnie odwiedzić Gary'ego, żeby wrócić na siódmą do gości.

Było dziesięć po szóstej, kiedy ją w ogóle wpuścili do sali widzeń, potem musiała czekać dwadzieścia minut z innymi odwiedzającymi Otworzyli wreszcie Gary'emu drzwi i on ją pierwszy zobaczył, wziął w ramiona i tak uściskał, jakby chciał gorącym powitaniem stopić lód całej zimy. Ściskał ją tak długo i mocno, aż pomyślała, że już jej nie puści. Była z nią jej matka, która powiedziała:

–Teraz moja kolej.

Wtedy Gary objął Idę jednym ramieniem, ale drugim wciąż otaczał Toni, nie wypuścił jej. A gdy tylko Ida się cofnęła, uniósł Toni, aż jej stopy zawisły w powietrzu, i ogniście pocałował ją w usta. Ciągle jeszcze ją przytulał w kwadrans później, kiedy już absolutnie musiała już jechać.

Gary powiedział wtedy:

–Wrócisz tu, prawda?

Wówczas po raz pierwszy Toni zaczęła to rozważać. Bo miał taki wyraz oczu.

–Jedź do domu – powiedział – zajmij się rodziną, a potem wróć.

Ale to nie było takie proste. Nawet pomijając rodzinę męża, to był jedyny dzień w tygodniu, jaki spędzała z Howardem. Howard pracował na budowie w południowym Utah i do domu przyjeżdżał tylko na niedziele.

Zanim zdążyła odpowiedzieć tak czy nie, Gary jeszcze raz ją mocno ucałował z okazji urodzin. Potem Moody i Stanger wyprowadzili ją razem z matką korytarzem, wzdłuż drucianego ogrodzenia i tłumu dziennikarzy, który jeszcze zgęstniał. Toni skojarzyła, dlaczego nazywa się ich prasą. O mało nie sprasowali jej na śmierć. To było równie niesamowite jak opuszczanie więzienia, żeby zdążyć na własne urodziny.

Dla Boba Moody'ego niedziela rozpoczęła się o szóstej rano spotkaniem Wysokiej Rady. Trwało do ósmej. O wpół do dziesiątej pojechał na zebranie duchowieństwa, wrócił zawieźć rodzinę do kościoła, pojechał do więzienia i z powrotem, żeby o pierwszej zabrać rodzinę po zajęciach szkółki niedzielnej. Następnie cała rodzina Moodych udała się do domu na obiad. O czwartej po południu byli z Ronem Stangerem gotowi do wyjazdu.

Na parkingu zjawili się Vern z Idą, Toni i dwoje kuzynów Gary'ego w średnim wieku, Evelyn i Dick Grayowie. Wszyscy razem, wraz z ojcem Meersmanem, zostali wprowadzeni do Maksymalnego Nadzoru, gdzie tego wieczoru porucznik Fagan był serdeczny i pokazał im, gdzie co jest. Więźniów nakarmiono wcześniej i otwarte były bramki Pomiędzy salą widzeń i stołówką Nadzoru Maksymalnego, dzięki czemu mogli w nocy chodzić z jednego pomieszczenia do drugiego. W sumie niemała przestrzeń. Chyba ze trzydzieści metrów wzdłuż, Połowa tego w poprzek, plus kilka przyległych mniejszych pomieszCzeń, dla prywatnych rozmów. Otwarte było biuro porucznika Faga-na› kuchnia i budka z szybami, gdzie wpierw rozmawiało się z Garym.

Znajdowało się to wszystko od frontu Nadzoru Maksymalnego, za dwiema rozsuwanymi kratami, które oddzielały ich od

wyjścia. Z tyłu sali widzeń, również za odsuwaną kratą, znajdował sie długi korytarz, przy którym położone były rzędy cel Nadzoru Maksymalnego. Moody nigdy tam nie był, nie znał więc tamtych zakamarków, lecz żywił dla nich respekt. Korytarz przypominał mroczne przejście do piwnicznych schodów w dużym strasznym gmaszysku. Wyobraźnia przywoływała jęki dobiegające z lochów, a od strony cel wtórowały im krzyki, wrzaski, zawodzenia i metaliczny łoskot, który słychać było w sali widzeń, ale niewyraźnie, jak spod skały.

Ponieważ Moody i Stanger planowali, że zostaną całą noc, lepsze ubrania zaś chcieli zachować na rano, przywieźli je w torbach. Przynieśli też krakersy i napoje, co okazało się niepotrzebne, gdyż więzienie zapewniło lekki poczęstunek na cały wieczór. Soki, lemoniadę, ciastka i kawę. Potem ojciec Meersman dostarczył telewizor i włączył go. Komuś udało się zdobyć przenośne stereo i parę płyt, i gdyby policzyć trzech czy czterech strażników kursujących pomiędzy kuchnią, jadalnią i salą widzeń, ojca Meersmana, Cline'a Campbella, dwóch adwokatów, kuzynostwo, Verna, Toni i Idę, gości wystarczyłoby na spore przyjęcie. Nie mówiąc o strażniku na całonocnej służbie siedzącym w przeszklonej kuloodpornej budce z widokiem na salę widzeń.

Co parę godzin ktoś przychodził z więziennej apteki z jakimś lekarstwem. Po pewnym czasie Moody zorientował się, że dają Gary'emu środki pobudzające. Niewątpliwie aptekarze uważali te leki za błogosławieństwo, bo stale je donosili, Gary zaś od wczesnego wieczoru robił się coraz bardziej radosny. Na początku tak się ucieszył na widok Toni, tak ją długo obejmował i całował z takim kuzynowskim zapałem, że Bob, Ron, Vern i inni po prostu siedli z tyłu i czekali, skoro Gary tak otwarcie cieszył się jej wizytą. Poza tym było parę rzeczy do zrobienia. Strażnicy przynieśli polowe łóżka z materacami, ustawiano wieczorny

poczęstunek, zresztą Toni nie zabawiła zbyt długo, a Ron z Bobem musieli odprowadzić ją wzdłuż drucianych parkanów i przez gęsty rój reporterów. To była wielka operacja Zanim doprowadzili ją do ciężarówki, oczy piekły ich od błyskających fleszów, a duszom udzieliło się ogólne szaleństwo. Tej nocy dla dziennikarzy byli cudotwórcami. Widzieli człowieka i mogli o nim opowiedzieć.

Powtarzali „Bez komentarza", szukając Schillera, potem udzielili krótkiej wypowiedzi, żeby przyciągnąć reporterów z mikrofonami i magnetofonami. Dało to Vernowi sposobność wymknięcia się na rozmowę z Larrym.

Moody i Stanger chwilowo zaspokajali ciekawość większości reporterów, lecz było ich zbyt wielu i Larry z Vernem także zostali otoczeni. \V strasznym ścisku Vern zdołał jedynie wyszeptać:

–Ma pan flaszki? I Schiller odrzekł:

–Tak. Vern szepnął:

–Jak mam je wnieść?

–Pod pachami – wyjaśnił Larry – przyciśnięte do boków.

–Świetnie – powiedział Vern – tylko jak je włożyć pod płaszcz? Dziennikarze otaczali ich tak ciasnym kołem, jak kibice zawodników zwycięskiej drużyny podczas schodzenia z boiska. Schiller odwrócił się i krzyknął:

–Proszę dać temu człowiekowi chwilę wytchnienia! Osaczyliście go! Proszę się cofnąć!

Odsunął ich nieco, nie tyle siłą, ile za pomocą szturchania w połączeniu z lekką histerią, co z dziennikarzami daje najlepszy efekt.

–Dajcie mu odetchnąć – powtórzył.

Cofnęli się o pół metra, może metr, co umożliwiło Vernowi schowanie alkoholu.

Kiedy Larry znów się odwrócił, Vern był gotów wracać do rzęsiście oświetlonej sali widzeń z telewizorem i muzyką z płyt, gdzie Gilmore miał spędzić swoją ostatnią noc na tym świecie.

Małe buteleczki szybko się opróżniały. Gary wpadał na chwilę do Pokoju obok, pociągał łyk i wychodził, puszczając oko. Moody uważał, że tak należy. Jeżeli tego właśnie człowiekowi trzeba, to niech Się cieszy napitkiem. Wiele lat minęło, odkąd Moody próbował alkoholu, lecz to była przecież impreza towarzyska. Jeżeli nawet w Podświadomości Moody'ego tkwił zarzut, że rano Gilmore spotka

wszak swego Stwórcę i roztropniej byłoby odejść z tego świata z trzeźwą głową, to jednak uznawał ostatni posiłek. Skoro Gilmore chce odejść pijany, ma do tego prawo. Przypomniał sobie, że Gary umyślnie nie złożył zamówienia na sześć puszek piwa pod koniec ponieważ nie chciał, żeby świat podejrzewał go o słabość i szukanie ułatwień. Ale teraz mieszał prochy z gorzałą.

Jednak wyraźne zadowolenie Gary'ego i sposób, w jaki cieszył się, że jest lekko zawiany – bo wcale się nie upił – uprzyjemniały wieczór. Gary nawet zabrał jednego strażnika do pokoju obok i poczęstował go whisky z wymyślnej buteleczki po lekarstwie, którą Schiller również podesłał.

Osobiście Bob bardzo się cieszył, że może podejść do Gary'ego, uścisnąć mu dłoń, potrzymać go za ramiona, popatrzeć mu przez chwilę w twarz – nie spodziewał się, że w ciągu tych długich tygodni narośnie w nim potrzeba zrobienia czegoś tak zwyczajnego. Właściwie to było pierwsze spotkanie bez pilnych spraw do omówienia. Dlatego przyjemnie było widzieć Gary'ego na luzie i zadowolonego z tej nocy.

Panowała pełna swoboda i relaks. Mijały godziny, Ron albo Bob chodził do kuchni po napoje, Evelyn i Dick Grayowie też chodzili tam i z powrotem, podobnie Vern. Nikt nie odczuwał straszliwego tykania zegara ani nie podejrzewał, że za murami więzienia prawnicy mogą szykować się do wstrzymania egzekucji.

Wczesnym wieczorem, kiedy weszli do sali, gdzie Gary nie by* oddzielony taflą szyby, tylko mógł podejść i człowieka dotknąć, Stanger serdecznie go przywitał, uścisnął mu dłoń, położył rękę na ramieniu poklepując po męsku. To coś w rodzaju zwycięstwa, że wolno im być tu razem, myślał Stanger. Nie opuszczało go to podniosłe uczucie.

Trochę później, kiedy wciąż jeszcze miło spędzali wieczór, Ron zaczął mówić o swojej przygodzie bokserskiej w drużynie BYU i Gary wtrącił, że trochę się na tym zna. Wstali z miejsc i rozpoczęli sparring. Ron sądził, że będzie to polegać na wyprowadzeniu paru pozorowanych ciosów, lecz Gary'emu chodziło raczej o rywalizację. Ponieważ w istocie nie umiał boksować i zwyczajem zawodników podwórkowych siekł gradem ciosów, Ron cały czas robił uniki, żeby nie dostać, a przecież nie na tym polega walka. No i Gilmore miał jakiś taki błysk w oku. Im mocniej bił, tym większa radość. Bez wątpienia w Garym tkwiło ziarno podłości. Uderzał zaciśniętymi pięściami i Ron musiał brać ciosy na ramiona i ręce. W pewnej chwili, jakby nigdy nic, Gary zaczął analizować swój styl mówiąc:

–Ja nie atakuję, ja kontruję. – I wyprowadził cios.

Ron zrobił unik, odwrócił się bokiem do Gary'ego, wycofał się i odszedł. Gary ruszył za nim. To nie był normalny sparring, gdzie wchodzisz w zwarcie, markujesz cios i odskakujesz, po to, żeby pokazać, jak mogłeś gościa załatwić. Gary walił swoje bomby raz po raz. Parę z nich omal nie powaliło Rona. Oczywiście przez pierwsze dwadzieścia czy trzydzieści sekund czuł się wspaniale. Był szybszy od Gary'ego. Jednak już po minucie z każdym oddechem dawał o sobie znać jego wiek, ponadto Gary

był wyższy o kilka centymetrów i miał dłuższe ręce. Wkrótce Stanger czuł się jak za każdym razem, gdy wchodził do Maksymalnego. Wszyscy garownicy ćwiczyli siłowo, świadomi, że mają ciała. Ich obecność oddziaływała psychologicznie. Jak gdyby ich ciała mówiły: „Ja mam większe prawo do wolności niż ty, chłopcze."

Dlatego Ron był zadowolony mogąc wreszcie znaleźć okazję do rozejmu z Garym; klepał go po ramieniu i uśmiechał się na znak, że to koniec.

Po bokserskich popisach Gary zaczął telefonować. Ron słyszał, jak rozmawia z rozgłośnią nadającą muzykę w stylu country. Zgrywał się, jacy są beznadziejni, i podziękował im za piosenkę Śladami myśli. Następnie poszedł do pokoju Fagana, żeby zadzwonić do matki. Oczywiście Ron nie próbował podsłuchiwać, zresztą Gary zaraz wypadł podniecony, że może również zatelefonować do John-"y'ego Casha. Potem zaczął nerwowo chodzić w kółko, jakby się Pojmował, że gra muzyka, a nie ma z kim tańczyć. Jednak atmosfera nadal była pogodna. Pojedynek bokserski wytworzył pewną nić porozumienia między Garym i Ronem. Nastrój wieczoru chwilami się

psuł, ale wciąż było nieźle i ciekawie. Jak w każdą długą noc, mogą się zdarzyć momenty lepsze i gorsze. Podczas dłuższego zastoju Gary podszedł do Rona i chciał mu coś powiedzieć na osobności. Usiedli na ławie w kącie w sali widzeń, z dala od reszty obecnych.

Gary powiedział, że ma pięćdziesiąt tysięcy dolarów i popatrzył Ronowi w oczy. Jego jasne, błękitnoszare oczy miały taką samą głębię jak niebo w któryś z tych dziwnych poranków, kiedy odcień brzasku nie pozwala odgadnąć, czy będzie pogoda, czy nie.

–Tak, Ron, mam pięćdziesiąt tysięcy dolarów – powtórzył – albo dokładniej: mam do nich dostęp i dam ci je. Chcę tylko,

żebyś wychodząc zostawił mi klucz od szafki z zapasowym ubraniem.

Zapasowe ubranie leżało w szafce w jednym z bocznych pomieszczeń.

–Tutaj jest taki harmider, że strażnicy się nie zorientują – ciągnął Gilmore. – Zostaw tylko klucz.

–Co ci chodzi po głowie? – spytał Ron. Nie mógł pojąć, jak Gary może się tak głupio zachowywać. – Gary, o co ci tak naprawdę chodzi? – zapytał jeszcze raz i wtedy go olśniło, przez co poczuł się podwójnie głupio.

–Ron – tłumaczył Gary – jeżeli w twoich ciuchach wyjdę za podwójną bramkę, jestem wolny. Nic tam później nie ma, tylko frontowe drzwi, a one są zawsze otwarte. Po prostu przeleżę przez drut kolczasty i przez te zwoje na szczycie. Będę trochę poharatany, ale to nic.

–Potem się zrywasz? – spytał Ron.

–No – odrzekł Gilmore – potem się zrywam i uciekam. Jak tylko stąd wyjdę, już mnie nie ma. Zostawisz mi te ciuchy, dobra?

Teraz Ron zrozumiał, o co chodziło w tej wyczerpującej gimnastyce, którą Gary codziennie uprawiał. Zmusił się, by spojrzeć Gary'emu w oczy – przynajmniej tyle może o sobie powiedzieć – i odparł:

–Gary, jak zaczynaliśmy, stanęła umowa: żadnych krętactw. – " Jeszcze zmusił się, by dodać: – Stałeś mi się bardzo bliski. Zrobiłbym dla ciebie wszystko, co w mojej mocy. Ale nie mogę wystawiać na szwank moich dzieci i rodziny.

Gary kiwnął głową. Tym kiwnięciem przyjął to wszystko do wiadomości. Wyglądał nie tyle na zawiedzionego, co upewnionego.

Ron przypomniał sobie, że gdy Ida i Toni wychodziły, Gary odegrał zabawną scenkę – włożył płaszcz Idy i kapelusz Toni, następnie udawał, że przechodzi z kobietami przez podwójną furtkę. Wówczas to było bardzo śmieszne. Wszyscy się śmiali, łącznie z nowym strażnikiem przy furcie, młodym chłopakiem, którego Ron przedtem nie widział. Niechby.strażnik przez pomyłkę otworzył obie rozsuwane kraty jednocześnie. Gary by uciekł. O rany! Wreszcie do niego dotarło. Ten facet nie żartował. Jeżeli miałby zostać w więzieniu, to Woli umrzeć. Ale jeśliby udałoby mu się uciec, to już inna rozmowa.

Vern siedział na ławie, usiłował wznieść się myślami ponad ból w kolanie i przeżywał to wszystko wraz z żalem, zmęczeniem i dokuczliwym ściskaniem w dołku, czując, że się rozkleja. Wiedział, że ma kamienną twarz, ale coraz ciężej mu było wytrzymać. Raz o mało nie wybuchnął – sam nie wiedział: płaczem czy śmiechem – kiedy Gary powiedział do telefonu: „Czy to prawdziwy Johnny Cash?"

To było kompletnie zwariowane.

Później Gary paradował w kapeluszu, który Vern mu kupił w sklepie Albertsona. To był taki łuczniczy kaszkiet w stylu Robin Hooda, o wiele za duży, ostatni na półce. Vern spojrzał wtedy na Idę i rzekł:

–On i tak nosi śmieszne rzeczy, więc ja mu go kupię.

Jak można kochać nicponia, dlatego że zachciało mu się włożyć zwariowany kapelusz? Ach, Gary miał w sobie tej nocy tyle miłości. Vern jeszcze nie widział go z takim bogactwem uczuć. Jedyna rzecz na świecie, która go nadal złościła, to więzienie, ale nawet do tej sprawy miał osobliwe podejście.

–Moja ostatnia noc – powtarzał z tym swoim krzywym uśmieszkiem. – Już mnie nie będą więcej karać.

I Vern znowu poczuł, że jest bliski łez. Pamiętał tamto widzenie sPrzed wielu dni, kiedy Gary powiedział:

–Vern, nie warto roztrząsać sytuacji. Zabiłem tych ludzi i oni nie żyją. Nie mogę ich wskrzesić, choćbym chciał.

Nieco później Stangera zaczęło nosić. Rozmowa z Garym o ucieczce raczej nie podziałała na niego uspokajająco, zawołał więc:

–Może byśmy przywieźli jakąś pizzę? – I spytał porucznika: •- Wypuszczą nas?

Wszystkim podobał się pomysł. Stanger miał przy sobie tylko sześć dolców, wobec tego ojciec Meersman wysupłał trochę, Fagan wygrzebał dwójkę i strażnicy też się dorzucili. Wtedy Vern ocknął się z zamyślenia i rzekł:

–Żadnych zrzutek. Ja stawiam pizzę. Wy ją tylko przywieźcie.

Fagan zaproponował samochód z kierowcą, wobec tego Ron, Bob i strażnik wyszli na parking, gdzie czekali chwilę na Stangera, który wymknął się z samochodu, rozejrzał się odnalazł Larry'ego i powiedział:

–Gary chce do ciebie zadzwonić koło wpół do drugiej nad ranem.

–Dobra, jadę z wami – odrzekł Schiller.

O tej porze dziennikarze nie siedzieli już Schillerowi na głowie. Mróz dokuczał wszystkim. Schowani w furgonetkach, popijali, Schiller mógł więc nie zauważony przejść bokiem do wozu policyjnego. Strażnik na przednim siedzeniu spytał:

–Kim pan jest? – Schiller odparł krótko:

–Mam jechać z wami – po czym wsiadł i położył się z tyłu. Tymczasem Stangera dopadł reporter. Minęło pięć minut, zanim

wrócił z Moodym. Potem wyjechali na drogę, zewnętrzna brama się otwarła i znaleźli się poza więzieniem. Schiller podniósł się z podłogi i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Gdyby odwozili Larry'ego do Orem, w więzieniu dziwiono by się, gdzie samochód przepadł na tak długo. Rozsądniej było podjechać na północ, do pobliskich przedmieść Salt Lakę. Stamtąd Schiller zadzwonił po swego kierowcę. I tak dotarł do motelu przed północą, żeby czekać na telefon Gary'ego.

Pizza Hut okazał się ostatnim czynnym lokalem, zresztą byli tez ostatnimi gośćmi i zamówili pizzę z szynką, salami i pepperoni. Bo" Moody uważał, że olśni wszystkich swoim wyborem; po drodze kupili jeszcze parę piw. Przy wjeździe z powrotem do więzienia przeszukano

ich samochód i piwo skonfiskowano. Byli wściekli, ale sprawdzał ich strażnik-służbista, który oznajmił, że alkohol nie będzie tolerowany na terenie więzienia. Dowcip polegał na tym, że nawet nie zajrzał do pudełek z pizzą. Mogli tam schować pięć pistoletów. Później podjechali drogą od bramy pod budynek administracji i strażnik z wieżyczki przemówił do nich niczym głos Boga spoza ciemnej chmury, informując, że został wydany zakaz dla pizzy. Nie wolno.

Kiedy się wykłócali, przyszło nowe rozporządzenie. Ostatecznie mogą wejść razem z pizzą. Tylko Gary nie będzie mógł spróbować. Mię wpisał jej na listę potraw swojej ostatniej wieczerzy.

Moody wyobrażał sobie scenę w gabinecie naczelnika. Wielka, poważna narada. Co? Jedzenie wniesione z zewnątrz? Zatrzymać! Bob i Ron dotarli pod drzwi Maksymalnego tak wściekli, że stanęli tam, by /jeść swoją pizzę na mrozie, kiedy zaś weszli do środka, porucznik Fagan był bardzo zakłopotany całą sytuacją, bardzo. Szczupłej budowy, niewysoki, siwy, z wąsami, rzeczowy i miły, teraz wstydził się za swoich przełożonych. Po chwili przyszedł strażnik i powiedział, że Gary

też może zjeść kawałek. Oczywiście już w tym momencie Gary nie zbliżyłby się do pizzy. Popatrzył na łuszczącą się farbę i powiedział:

–Mam nadzieję, że wszystkim smakuje mój ostatni posiłek.

W tym czasie ojciec Meersman to wchodził, to znów wychodził. Informował ich na bieżąco, co dzieje się w budynku administracji i zapewne, myślał Bob, administrację również informował na bieżąco, co dzieje się u nich.

Epizod ten wywołał uczucie upokorzenia. Poprzedniego wieczoru Gary mógł zamówić dowolny posiłek spośród setki dań. Naczelnik Podpisałby papier i Gary tej nocy dostałby, co zamówił. Teraz było za Późno. Jednak z apteki donoszono mu pastylki. Nie może zjeść kawałka pizzy, za to faszerują go prochami. Stanger uznał, że najlepszym określeniem administracji będzie słowo „prześwietna".

Dowiedzieli się też, że Sterling i Ruth Ann nie zostali wpuszczeni do

Gary'ego. Więzienie sprawdziło Sterlinga – był notowany. Dwa

wykroczenia drogowe. Rzeczywiście, notowany kryminalista. Groteska, mamrotał pod nosem Moody. Idiotyzm. Głupota. Błazeństwo.

Na przyjęciu urodzinowym Toni wciąż odbierała telefony od przyjaciół, nie musiała więc myśleć o Garym. Powtarzała jednak swojej matce:

–Muszę tam wrócić. Ida mówiła:

–Kochanie, teraz ci wszyscy reporterzy wiedzą, kim jesteś. Toni pomyślała: Dobrze, wstanę o piątej.

Teściowie ze szwagrostwem wcześnie wyszli i Toni rozmawiała sobie z Howardem. Wiedziała, że on wyczuwa u niej chęć ponownego spotkania z Garym. Oczywiście nie chciała zostawiać Howarda. Poza tym dziennikarze! Przeraźliwe błyskanie po oczach, w każdym zaś pytaniu reportera dźwięczą nerwy napięte jak struny. Po raz pierwszy czuła się jak zwierzę w klatce z innymi zwierzętami.

Howard chyba czytał w jej myślach, bo powiedział:

–Dobrze, kotku. Przeprowadzę cię przez ten tłum reporterów Wobec tego zostawili Idzie kartkę i pojechali. Do więzienia dotarli koło dziesiątej wieczór i chyba ze trzy kwadranse zajęło im forsowanie bramy. O tej porze pilnowano czujnie. Strażnicy znali Toni z widzenia, lecz Howard był nowy i nie chcieli go wpuścić. Musiała pójść na rozmowę z naczelnikiem, a to oznaczało samotne przepychanie się przez tłum reporterów pod budynkiem- administracyjnym.

Sam Smith nie chciał wpuścić Howarda. Toni miała uczucie, że naczelnik zlitowałby się, gdyby mocniej naciskała – lecz Howard wcale nie miał ochoty. Powtarzał tylko:

–Jak można siedzieć i rozmawiać z kimś, kto umrze za parę godzin?

Kiedy otwarto przed nią podwójną kratę, tata z Garym siedzieli na polowym łóżku. Vern był senny, a Gary spięty, lecz chyba przywykł do tego, że ludzie wchodzą i wychodzą, bo zatrzasnęła się za nią pierwsza furtka, otworzyła druga, a oni nawet nie spojrzeli w jej stronę. Znajdowała się już w środku, kiedy Gary ją spostrzegł; zaraz skoczył i podniósł ją w górę. Powiedział:

–Wiedziałem, że przyjdziesz. Dzięki Bogu, wróciłaś.

Okręcił ją w kółko i uściskał, i jeszcze raz mocno ucałował. Vern zawołał:

_- Co tam wyprawiacie? Jeszcze daleko do rana – ale dał im spokój.

Usiedli, zaczęli rozmawiać i Gary trzymał ją za ręce.

–• Szkoda, że nie możemy razem spędzić więcej czasu – powiedział.

–Też mi przykro – odrzekła Toni.

–A może to i lepiej – ciągnął Gary. – Gdybyśmy wcześniej się przyjaźnili, ta noc nie znaczyłaby tak wiele.

Potem spytał, czy Toni chce zobaczyć zdjęcia Nicole, wyjął zaklejone taśmą pudełko, ostrożnie je otworzył i pokazał Nicole jako dziecko.

–A tutaj, jak nie chcesz patrzeć, to nie musisz – dodał i wyciągnął kilka ślicznych rysunków nagiej Nicole. Potem całą serię zdjęć robionych w automacie, gdzie za ćwierć dolara można mieć cztery zdjęcia. Nicole odsłaniała piersi. Było jasne, że te zdjęcia bardzo dużo znaczą dla Gary'ego, i Toni pomyślała, że nie są świńskie. Raczej wiele mówiące. Gary wyjmował coraz to nowe zdjęcia Nicole, jak miała pięć, osiem, dziesięć lat, i mówił, że była ślicznym dzieckiem.

Toni powiedziała:

–I teraz jest piękną kobietą.

Po co się rozwodzić nad jej wyglądem w dzieciństwie?

–Tak bym chciał zobaczyć ją jeszcze raz – rzekł Gary.

Zakleił pudło, potem otworzył inne, wypełnione zdjęciami kumpli z więzienia, i opowiadał, w którym zakładzie siedzieli. Przyszli jacyś ludzie ze służby więziennej z lekarstwami, wręczyli mu kubek i powiedzieli: – Proszę połknąć od razu.

Gary odparł:

–Nie macie do mnie zaufania, co?

Kiedy sobie poszli, Toni znów została sama z Garym. Wyjął Plakietkę, którą dawno temu dostał od Annette, i oświadczył: ~~ Chcę to dać Nicole.

Wtedy właśnie Toni doszła do wniosku, że Gary naprawdę musi być nie\vinny. Inaczej jak mógłby to zostawiać Nicole?

. Grała muzyka z płyt i Gary powiedział:

–Chodź, bo od lat nie tańczyłem.

Wobec tego wstali. Toni słyszała kiedyś, jak on śpiewa; robił to okropnie, ale zorientowała się, że tańczy jeszcze gorzej. Jednak jej się podobało. Kiedy siedziała z nim na podłodze przeglądając jego rzeczy, poczuła, że jest jej bliski. Podobnie jak Brenda, Toni wychodziła za mąż cztery razy, dwukrotnie małżeństwo trwało tylko parę miesięcy. Jej czwarty związek, z Howardem, przetrwał dziewięć lat. To było dobre małżeństwo, bez dawnych problemów, lecz Toni nigdy nie miała tego specyficznego uczucia, co teraz. W ciągu tych paru godzin zdawało jej się, że zna Gary'ego całe życie.

Leciały szybkie rytmy. Gary włożył Toni swój śmieszny kapelusz, zwichrzył jej włosy i ruszyli do tańca. Nadążała, jak mogła. Kiedy skończyli, Gary rzekł:

–Nigdy nie byłem w tym dobry, ale też nie miałem wiele okazji chodzić na tańce.

Śmiali się i opowiedział jej o tym, jak rozmawiał z Johnnym Cashem przez telefon, ale połączenie było kiepskie. W każdym razie zapytał:

–Czy to prawdziwy Johnny Cash? – I gdy usłyszał odpowiedź, ryknął:

–No bo tu mówi prawdziwy Gary Gilmore!

Znów usiedli i Gary powiedział:

–Dziś odnalazłem w tobie coś, co znałem od lat u Brendy, i szkoda, że nie potraktowałem ciebie i twojej siostry bardziej po równo.

Toni spojrzała zaskoczona, wyjaśnił więc:

–Tobie i Howardowi dałem trzy tysiące, a pięć tysięcy dla Brendy i Johnny'ego. Żałuję, że ich nie rozdzieliłem po równo. Tak naprawdę dotąd cię nie znałem.

Powiedziała mu, że pieniądze są bez znaczenia.

–Jesteś dla mnie dzisiaj tyloma osobami – wyznał. – Jesteś Nicole, Brendą, a nawet w pewnym sensie moją matką, tak jak $ pamiętam z młodości.

Toni nie wiedziała, czy przypadkiem nie czyta mu w myślach, bo uprzytomniła sobie, że czuje silną potrzebę, by jeszcze raz wziąć jego matkę w ramiona. Pomyślała też o Brendzie, która tak bardzo chciała być przy nim tej nocy, ale leżała w szpitalu, i Toni poczuła się tak

dziwnie, jakby była sobą i Brendą zarazem i jakby obie tam przebywały, tańcząc i trzymając go za ręce.

Co pewien czas przychodzili strażnicy, żeby uścisnąć Gary'emu dłoń, on pytał:

–Chcecie mój autograf?

–Jasne że tak, Gary – odpowiadali.

Wtedy pożyczał długopis i składał im podpis na kieszeni od koszuli albo na mankiecie, i Toni pomyślała, że oni zachowują się tak, jakby go szczerze lubili. Kiedy wrócił farmaceuta, Gary oświadczył:

–To jest równy chłop, co o mnie dba. Tamten odchrząknął i rzekł:

–A ty nieźle mi dajesz popalić swoimi zachciankami.

Cały czas Toni starała się pamiętać, że Howard czeka na parkingu i dygocze z zimna. Wreszcie powiedziała:

–Słuchaj, przywiozę tu mamę z powrotem przed piątą. Gary odrzekł:

–Chciałbym, żebyś była tu ze mną rano. – Otoczył ją ramionami, uściskał i dodał: – Dziękuję za ten wieczór. Uściskał ją jeszcze raz i powiedział: – Chłodny i cichy letni wieczór w pokoju pełnym miłości. Ty rozjaśniłaś mi całą noc, Toni, i wypełniłaś miłością.

Utulił w dłoniach jej twarz, kładąc ręce na obu policzkach i pocałował ją w czoło.

–Dziś wieczorem sprowadziłaś do mnie moją Nicole – wyznał. Objął ją mocno, lecz Toni powiedziała:

–Będę musiała niedługo uciekać.

Gary odprowadził ją do furty.

–Do zobaczenia rano – pożegnał się. – Jedź do domu i zajmij Się Idą. Potem dodał: – Pozdrów Howarda. To fantastyczne, że Howard przyjechał i próbował się ze mną zobaczyć.

Toni wyszła, zostawiając go w przeświadczeniu, że jedyny powód, z którego Howard był nieobecny, to zakaz naczelnika. Kiedy Osunęła się za nią pierwsza krata, Gary obejmował pręty i

patrzył, jak otwiera się druga. Gdy już obie bramki zatrzasnęły się za nią, włożyła Palto i wyszła. Nie zobaczyła go więcej.

Jak dotąd, pomimo incydentu z pizzą, trwało prawdziwe przyjęcie, wszyscy byli zadowoleni i nie mieli żadnych problemów z wyjątkiem jednego, który przesłaniał pozostałe. Teraz jednak, po wyjściu Toni, Gary znowu się wściekł o tę aferę z pizzą. Zrobił się bardzo poważny, bardzo niespokojny. Ron pamiętał, jak Gary powtarzał:

–Nie chcę ostatniego posiłku, bo oni mnie znów wykiwają. Ron nie chciał rozmawiać z Garym w takiej chwili.

Moody też nie. Do sali widzeń wkradł się przedsmak śmierci. Czaił się już wcześniej, lecz tylko dodawał wszystkim sił. A teraz przenikał jak dym przez szpary w drzwiach. Robiło się późno. Zapadła cisza. Nie grała już muzyka i Vern poszedł spać. Dick i Evelyn Gray drzemali. Ron wyszedł do kuchni pogadać ze strażnikami. Wtedy właśnie Gary zbliżył się do Boba.

–Nie zamieniłbyś się ze mną na ubranie, co? – spytał, Bob zaś odrzekł:

–Nie.

Gary zaczął opisywać, jak mógłby się wydostać, gdyby tylko Bob dał mu swoje ubranie. Strażnicy przestali zwracać uwagę na cokolwiek. Mógłby wyjść przez bliźniaczą furtkę jako Bob Moody, potem drzwiami od Maksymalnego i przez druty kolczaste, zanim w ogóle ktoś by się zorientował. Po prostu wspiąłby się na stalowy parkan, potem zrobił przerzutkę nad drutem kolczastym na górze, trochę się poharatał, ale to nic i w drogę, bracie. Nie znaleźliby go.

To była ponura chwila.

–Ja wiem – mówił Gary – że uda mi się uciec, jeżeli się zgodzisz.

Bob miałby tylko wyjąć ubranie z szafki i zostawić w kącie Gdyby zechciał, mógłby pomóc Gary'emu, wkładając na chwilę zwariowany kapelusz Robin Hooda. Mniej więcej tego szukałby wzrokiem przysypiający strażnik, jeśli chodzi o Gary'ego Gilmore'a.

–Nie – powiedział Bob Moody. – Nie mogę tego zrobić, Gary› i nie zrobię.

Cline Campbell tego wieczoru raz wchodził, raz wychodził, toteż zaraz dostrzegł zmianę nastroju.

przez pierwsze parę godzin można było sądzić, że to bożonarodzeniowy poranek. Lecz Campbell musiał wyjść o dziewiętnastej trzydzieści, bo miał wykład w Salt Lakę i wrócił dopiero przed północą. Do tej pory wszystko się zmieniło. Wcześniej u wezgłowia polowego łóżka siedział strażnik, Gilmore na środku, a w nogach Campbell. W trakcie luźnej rozmowy o niczym Gilmore sięgnął pod poduszkę i wyjął buteleczkę-reklamówkę whisky.

–Oho – zawołał Campbell i odwrócił wzrok. – Nic złego nie widzę, nic złego nie słyszę, nic złego nie wypowiem. Ale nie żałuj sobie, koleś, częstuj się.

Gilmore się śmiał. To było wcześniej.

Żeby dotrzymać ustnej umowy, Campbell pospieszył do więzienia nie zatrzymując się na posiłek i zobaczył, że wszyscy zjedli po kawałku pizzy. Nic nie zostało. Tylko on i Gilmore mieli puste brzuchy. Kiedy zostali sami, Campbell powiedział:

–Zdaje się, że tym razem to już nieodwołalnie.

–Idę na odstrzał, już nikt nie może tego wstrzymać – odrzekł Gary.

–Wiesz – mówił Campbell – my się i tak spotkamy. Będzie tak samo dla mnie i dla ciebie, bez względu na to, co jest po drugiej stronie.

Siedzieli w gabinecie porucznika Fagana i Gary miał wciąż na głowie ten kapelusz z piórkiem, który wyglądał jak własność Chico Marxa.

–Nieważne – mówił Campbell – czy twoje uczucia religijne są słuszne, czy moje, tak czy owak spotkamy się jeszcze. Mniejsza o formę, Gary, ale chcę, żebyś wiedział, że ja cię uważam za wartościowego faceta.

To straszne, myślał Campbell, bo im więcej czasu spędzał z Gilmore'em, tym słabiej pamiętał, że Gary jest człowiekiem zdolnym popełnić morderstwo. Przeważnie Gilmore w ogóle nie wyglądał jak morderca, w każdym razie w porównaniu z ludźmi, których Campbell spotykał co dzień w obrębie murów i poza nimi.

Ojciec Meersman zwrócił się do Moody'ego i Stangera mówiąc że ma przewagę nad całą prawie resztą obecnych, ponieważ uczestniczył już w dwóch innych egzekucjach. Wyjaśnił im, jak udało mu się przekonać naczelnika i jego podwładnych, że tej nocy warto przerobić krok po kroku całą procedurę, albowiem każdy krok uczyniony w tej nocy będzie odpowiadał krokom uczynionym o poranku, gdy przeprowadzona zostanie prawdziwa egzekucja. Posłuchano go. Urzędnicy więzienia wydali zgodę na przećwiczenie kolejnych posunięć, żeby wszystko odbyło się w spokoju i z godnością, przy powszechnym udziale. Przerobili to po kolei, przy czym ktoś mierzył czas stoperem, zresztą to normalne przy tak istotnej procedurze. Bardzo ważne było przerobienie całej egzekucji od strony technicznej.

ROZDZIAŁ 32

Anioły i demony spotykają diabły oraz świętych

Ponad dwanaście godzin wcześniej, w niedzielę przed południem, Earl Dorius odebrał od Michaela Rodaka telefon z wiadomością, że Gil Athay wystąpił o zawieszenie. W niecałą godzinę później Rodak zadzwonił ponownie, gdyż sędzia Sądu Najwyższego White oddalił pozew Athaya. Ponieważ z Waszyngtonu przestały napływać informacje, Earl nabrał pewności, że Athay wyczerpał swoje koncepcje posunięć prawnych. Wyjechał więc z żoną i dziećmi do domu teściów, gdzie się wreszcie odprężył po ciężkim dniu. Jednak już w drodze do domu wczesnym wieczorem złapał go telefonicznie Bob Hansen z wiadomością, że Jinks Dabney zażądał wieczornego posiedzenia sądu w sprawie pozwu podatników. Miało się odbyć przed obliczem sędziego Rittera.

Mimo wszystko z początku Earl nie widział powodów do niepokoju. Dabney nie był w stanie wykazać, że jakiekolwiek wpływy z podatku federalnego zostały użyte do sfinansowania egzekucji. Cała sprawa miała nieświeży zapach ataku z przegranych pozycji.

Kiedy Dorius z Billem Barrettem weszli do głównego hallu hotelu Newhouse, był tam już Jinks Dabney ze swoją współpracownicą Judith Wolbach. Obecni byli też Bob Hansen, Bili Evans i Dave Schwendiman, plus recepcjonista. I koniec. Rozsiedli się wśród dziewiętnastowiecznego wystroju hallu Newhouse, w prawdziwej elegancji Dzikiego Zachodu – pół drogi między pałacem a burdelem.

Znajdowały się tam zanadto wypchane meble obite jaskrawoczer-wonym aksamitem, czerwone dywany i podwójna wstęga schodów biegnących półkolami, by spotkać się na półpiętrze. Pomieszczenie duże i reprezentacyjne, choć już nieco spłowiałe. Sam hotel był słynną siedzibą sędziego Rittera.

Jednak po paru godzinach przykrzyło się czekać w takim miejscu.

Ritter przebywał w swoim pokoju na górze i musiał wiedzieć, że ACLU i Prokuratura Generalna czekają na dole, lecz nie docierały od niego żadne informacje. Bob Hansen w obawie, że Ritter może zawiesić egzekucję, zadzwonił do sędziego Lewisa. Jako sędzia w Dziesiątym Obwodzie, Lewis był piętro wyżej nad Ritterem i mógł uchylić jego decyzję. Hansen zapytał, czy sędzia skłonny jest zwołać rozprawę nadzwyczajną w Salt Lakę później tego wieczoru.

Sędzia Lewis odrzekł jednak, że sam nie będzie zwoływał rozprawy. To zbyt wielka odpowiedzialność, by jeden sędzia federalny uchylał decyzję drugiego, zwłaszcza jeśli tym samym ma skazać człowieka na śmierć.

O dziewiątej wieczorem Dabney zebrał się na odwagę i poprosił, żeby recepcjonista ponownie zawiadomił sędziego Rittera o ich obecności i przesłał na górę dokumenty. Prędzej niż Dabney się spodziewał, Ritter oddzwonił na dół i zarządził, by wszyscy udali się do sądu po drugiej stronie ulicy. Strażnik ich wpuści.

Dabney przekazał Hansenowi wiadomość tonem nie budzącym zaniepokojenia. Ponieważ pochodził z Wirginii, nazywał się V. (czyli Yirginius) Jinks Dabney. Sprawiał wrażenie łagodnego faceta w rogowych okularach, co to nosi w lecie garnitury w prążki, w zimie zaś w jodełkę. Zwykle zwracał się do ludzi w formie bezosobowej i z wyższością, jakby znał człowieka od dziesięciu lat, ale nie uważał tego za powód do podnoszenia głosu. Było jasne, że umniejsza wagę dramatu. Robił to z taką wprawą, że ten brak dramatyzmu stawał się dramatyczny. Mimo wszystko, gdy Earl usłyszał wiadomość, zareagował gwałtownym przeczuciem nieuchronnej porażki. Z początku szczerze przypuszczał, że sędzia Ritter nie zechce tego w ogóle rozpatrywać. Prawne uzasadnienie było słabiutkie, a całą petycję dostarczono bardzo późno. Potem przygnębienie Earla

wzrosło na wieść, że nie będzie z nimi nawet Boba Hansena. Bob uważał, że widok jego twarzy na sali sądowej mógłby realnie zmniejszyć ich

szanse. Dlatego odjechał. Miał zamiar trochę się przespać. Przez co Earl jeszcze bardziej posmutniał. W głosie Boba kołatało przeczucie, że ten wypoczynek przyda się na później.

Wędrowanie pustymi korytarzami sądu przyprawiało o gęsią skórkę, gdyż paliło się tylko parę lamp awaryjnych, lecz kiedy prawnicy usadowili się już przy stołach, zaczęli napływać reporterzy sądowi i kryminalni. Wszystkim udzielała się powaga chwili. Rozpoczęło się długie oczekiwanie na Rittera.

Przy stole Prokuratury Generalnej, czyli w tym wypadku pozwanych, siedział Earl i obserwował Jinksa Dabneya z Judith Wol-bach po stronie przeciwnej. Earl starał się uspokoić nerwy, gdyż pamiętał tamto niepowodzenie z krzyżowym ogniem pytań do Schil-lera. Ale i tak był wściekły. Uważał za bezczelność ze strony ACLU, żeby tak zwlekać z udaniem się do sądu. Nie szkodzi, że ich argumentacja była słaba. Etyka dopuszcza wystąpienia w sprawach bardzo mało wiarygodnych. Wolno próbować, nawet jeśli dziewięćdziesiąt dziewięć procent faktów i przepisów prawa świadczy wręcz przeciwnie, natomiast nie do przyjęcia jest zwlekanie aż do nocy poprzedzającej egzekucję. Co by było, gdyby biuro Earla nie poświęciło długich godzin na rozpracowanie ewentualnych problemów? Bez tej zdolności przewidywania zostaliby całkiem zaskoczeni przez ACLU. Byłoby to krzywdzące wobec stanu Utah.

Przy stole strony powodowej Judy Wolbach też się irytowała. Dabney był dobrym adwokatem procesowym, lecz ona miała niewielkie doświadczenie w sprawach tego typu i wkurzała się na swoje własne ACLU. Dlaczego w tak fundamentalnej sprawie jak ta całą ich reprezentację stanowiła Judy bez kwalifikacji i niezbyt entuzjastycznie nastawiony Jinks? Był świetnym prawnikiem, ale Uzupełnię oddanym ACLU. Jinksa czekała w Salt Lakę obiecująca kariera, a wśród tych fanatycznych

mormonów młodemu, zdolnemu Prawnikowi mogłaby zaszkodzić etykietka zwolennika swobód obywatelskich. Gdzie się podziali ci wspaniali chłopcy z wielkich firm na wybrzeżu, którzy powinni tu użyczyć swojej ogromnej

wiedzy i doświadczenia? Nie mogła tego pojąć. Sprawę tak głośną i interesującą powierza się lokalnym talentom.

Judy próbowała już wszystkich znanych sobie chwytów, między innymi podała do gazet swoją rozmowę z Melvinem Bellim, żeby wzbudzić niepokój Boba Hansena. Dla prokuratora generalnego byłoby katastrofą, gdyby z własnej winy stan Utah przegrał parę milionów zielonych. Jednak jej wysiłki spotkały się z dziwaczną i zadufaną reakcją. Hansen oświadczył, że nie ma wątpliwości co do zgodności ustawy o karze śmierci w Utah z Konstytucją. Nie ma wątpliwości? Jak to, przecież tylko zidiociały ustawodawca mógł uchwalić przepis nie nakładający obowiązku apelacji przy wyroku śmierci. Nawet konserwatyści uważają, że z najwyższym wymiarem kary trzeba postępować ostrożnie. Nikomu już nie zależy na krwawych łaźniach. Nawet z konserwatywnego punktu widzenia najlepszą drogą do uchwalenia dopuszczalności kary śmierci jest propagowanie wszelkich możliwych zabezpieczeń przed zbyt łatwym uśmierceniem delikwenta. Utah zaś – poczciwe Utah – nie uznaje obowiązkowej apelacji. Cóż może być bardziej idiotycznego – upośledzone dziecko?

Mimo wszystko ta akcja podatników jest bardzo wątpliwa jak na pozew, myślała Judith. Jedyną korzyścią z tego wszystkiego była możliwość wystosowania listów do gubernatora, zastępcy gubernatora, prokuratora generalnego i naczelnika! We wszystkich listach zarzucała im bezprawie i nadużycia. Żałowała, że nie może zobaczyć ich min. Listy doręczała jej własna córka, która, chwała Bogu, zapewne dzięki żydowskiej krwi swego ojca, jest bardzo uświadomioną politycznie młodą osóbką; przeżyła wstrząs, gdy się dowiedziała, że jej matka prowadzi praktykę prawniczą za pieniądze. Potępiała to.

Człowiek nie powinien martwić się pieniędzmi. W sprawach politycznych powinno się po prostu chodzić i składać słuszne pozwy. Cóż za szlachetność – myślała Judy Wolbach. Bogu dzięki, że córka tak uważa. Jednak miarą tego, jak znikome środki posiadało ACLU, był fakt, że Judy nie dostarczyłaby tych listów pozwanym, gdyby nie jej córka w roli gońca.

W trakcie oczekiwania Jinks Dabney zaczął rozpamiętywać zasłyszane historie o sędzi Ritterze. Jak głosiła plotka pochodząca od osób dobrze znających sędziego, Ritter uważał się za ostoję zdrowego rozsądku^ wśród zalewu szaleństwa. Zarzuty, że prowadzi wendetę przeciw Świętym Dni Ostatnich, są nieprawdziwe, powtarzał. Nie uważał, żeby mormoni zasługiwali na wendetę. Chociaż sędzia pochodził z katolickiej rodziny, nie uznawał żadnej religii, tylko Konstytucję Stanów Zjednoczonych, nie dawał też posłuchu próbom przekabacania ludzkich umysłów przez jakąkolwiek doktrynę religijną. Czynnie potępiał jednak sposób, w jaki Kościół Mormoński władał ziemią, prowadził banki i kontrolował polityków. Bardziej mu to uwłaczało aniżeli ich doktryna religijna, którą jedynie lekceważył. Wszystkie te cuda Josepha Smitha. Z drugiej strony, nigdy nie rozsądziłby na czyjąś niekorzyść, tylko dlatego że to mormon. Lubił głosić, że ma zbyt wielki szacunek dla faktów.

Za to stosunek Rittera do niekompetencji adwokatów napędzał strachu wielu zasłużonym członkom palestry, czy to mormonom, czy nie. Kiedyś postępowanie pewnego adwokata tak oburzyło Rittera, że spytał, jakiego honorarium mecenas żąda od swego klienta. Kiedy usłyszał, że pięciuset dolarów, odrzekł:

–Taka będzie grzywna. Zwrócił się do klienta:

–Już pan grzywnę uiścił. Proszę nie płacić swemu obrońcy ani grosza.

Nieszczęsny adwokat miał ochotę wpełznąć pod stół. Inny adwokat mówił tak cicho, że Ritter go spytał:

–Dlaczego pan szepcze? Facet odparł:

–Ze strachu.

Wytrawny adwokat procesowy wchodził do sali sędziego Rittera tak samo jak zwykły śmiertelnik wchodzi do dentysty, ale też umysł Rittera chwytał tok argumentów prędzej niż dentysta odkrywa próchnicę. Ritter fatalnie obchodził się z ludźmi, którzy marnowali jego czas. Nie dość, że trzeba się u niego wykazać kompetencją, to w dodatku szybko.

Nawet zwolennicy Rittera powiadali, że niecierpliwość sędziego Przysparza mu kłopotów. Kiedy tylko sprawa wyjaśniała się od strony

prawnej, sędzia wydawał werdykt. Odmawiał wysłuchiwania długich starannych uzasadnień z pięćdziesięcioma albo i setką cytatów. Potem Dziesiąty Obwód miał pretensje, że dokumentacja jest niekompletna i uchylał wyrok. Później Sąd Najwyższy go przywracał. Bilans decyzji Rittera potwierdzonych przez Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych był odwrotnością bilansu wyroków uchylonych przez Dziesiąty Obwód. O sądzie apelacyjnym Ritter mawiał: Oni są za głupi, by widzieć, że mam rację.

Oczywiście pogarda dla sędziów, których uważał za mało inteligentnych, nie pozwalała Ritterowi dostrzec, że stroną najbardziej pokrzywdzoną przez uchylenie jego wyroku była strona wygrana mocą jego decyzji. Zanim Sąd Najwyższy potwierdził wyrok Rittera, mijały dwa albo trzy lata, i często zainteresowany nie miał już z tego żadnej korzyści.

Niektóre opowieści krążyły po sądach w Salt Lakę jak legendy. Dabney jednak rozmawiał też z ludźmi znającymi Rittera na tyle dobrze, by opowiadać o jego życiu osobistym, gdzie legendy

mijały się z prawdą. Ritter rzeczywiście wiódł życie samotne. Na ogół opuszczał swoje locum w hotelu Newhouse jedynie po to, by przejść na drugą stronę ulicy, do sądu. Miał reputację pijaka i kobieciarza – być może zasłużył sobie na nią przed laty, kiedy wykładał prawo na uczelni, lecz ostatnio nie widywano go wcale w towarzystwie kobiet, popijał zaś nader rzadko. Od lat krążyło powiedzenie, że najlepiej zaopatrzony bar w mieście to gabinet sędziego Rittera, gdyż istotnie Willis Ritter trzymał pod swoim biurkiem różne dobre trunki i zdarzało się, że zapraszał adwokata na szklaneczkę, lecz trudno go było nazywać alkoholikiem. Przed laty lekarze zabronili mu zbyt wiele popijać, więc nie pił. W zasadzie nikt nie widział go podpitego od lat. Kiedyś, podczas podróży do San Francisco, jego kancelista Craig Smay zadał sobie trud zdobycia butelki ulubionej szkockiej Rittera, Glenlivet, lecz butelka stała pod biurkiem sześć miesięcy, wreszcie Ritter zwrócił ją Smayowi nie otwartą. Nie mógł jej wypić. Zdrowie nie pozwalało. Miewał ataki serca, co parę miesięcy musiał poddawać się operacjom, jednak za każdym razem wracał po dwóch tygodniach na ławę, z wyglądu przypominając dawnego sportowca-olimpijczyka: siwe włosy, rumiana twarz. Miał niewiarygodną zdolność regeneracji sił-

Przy tym zawsze samotny. Jego przyjaciółmi było kilku prawników, których znał od lat, oraz kilku starych reporterów. Odkąd mormoni

\vytoczyli przeciw niemu swe zarzuty, jeszcze w czasach administracji frumana, Ritter trzymał się od wszystkich z daleka. Jedyny raz widziano go w większym towarzystwie przed laty, w wigilię Bożego Narodzenia, kiedy sędzia zaprosił na kolację Craiga Smaya z żoną. Smayowie przybyli do hotelu, gdzie w wynajętej sali wokół dużego stołu siedziało dwadzieścia pięć osób – starsi ludzie, ich synowie, córki i wnuczęta. Wszyscy zwracali się do sędziego „Bili". To byli przyjaciele z lat chłopięcych. Do tej pory Craigowi Smayowi nigdy nie przyszło na myśl, że sędzia może być osobą noszącą zwyczajne imię.

Podczas długiego oczekiwania lepiej było przypominać sobie tylko te pocieszające opowieści o Ritterze. Dlatego Dabney począł delektować się historią Rittera i dzikich mustangów. Indianie zaskarżyli władze federalne o schwytanie kilkuset mustangów w indiańskim rezerwacie i wysłanie ich do rzeźni. Ritter zasądził na rzecz Indian po dwieście dolarów od konia. Rząd złożył apelację i wyrok Rittera uchylono, lecz sprawa do niego wróciła. W nowej rozprawie jeden z wodzów plemiennych zaświadczył, że były to konie obrzędowe. Na tej podstawie sędzia orzekł, że są warte po czterysta dolarów za sztukę.

Później Ritter zwierzył się kilku przyjaciołom, że argumentem, który przekonał go, iż rząd powinien zapłacić, i to sowicie, był fakt, że konie ładowano na odkrytą ciężarówkę i noga jednego mustanga wystawała spomiędzy desek skrzyni. Ludzie zajmujący się załadunkiem mogli otworzyć klapę, żeby konia uwolnić, ale uznali, że to za dużo roboty, ktoś wziął więc po prostu piłę łańcuchową i odciął koniowi nogę. Zwierzęta i tak miały być przerobione na karmę dla PSÓW. Ritter powiedział:

–Świadczy to o rycerskim stosunku naszych władz do koni.

Ritter zapewnia jedno, myślał Dabney, mianowicie emocje. Po wyjściu z jego rozprawy można śmiało stwierdzić: w całym kraju nie ma drugiej takiej ławy. Czy człowiek wygrał, czy przegrał, nie miało to większego znaczenia – liczyło się niesamowite przeżycie. Przecież na\vet sędzia Learned Hand napisał, że Willis Ritter to jeden z najznamienitszych umysłów w historii sądownictwa. Trzeba na to liczyć.

Zważywszy, że dawno minęła dziesiąta wieczór w niedzielę) sędzia Ritter miał, zdaniem Earla, zaskakująco rześki wygląd' kiedy się wreszcie pokazał na sali. Judy Wolbach była pod wrażeniem jego głosu, przypominającego głos Boga. Ritter powiedział tylko: „Dokumenty zostały złożone prawidłowo. Wysłucham teraz stron", lecz z miejsca się zakochała. Głos powolny, głęboki, o pełnym brzmieniu. Należał do przyjemnego, zaokrąglonego mężczyzny ze srogim spojrzeniem. Byłby z

niego znakomity Pan Bóg z czasów potopu, gdyby Bóg miał koło osiemdziesiątki.

Judy zauważyła, że jest na sali Gil Athay i kilku czołowych liberalnych prawników, jak Richard Giauque i Danny Berman, jego współpracownik, czyli lewicowa śmietanka Salt Lakę, przynajmniej dla ludzi o zbliżonych przekonaniach. Mając taką widownię, Jinks wystartuje, jak należy. Uwielbiał występować na rozprawach i pomimo napięcia nawet się nie zająknął. Zaczął od rzeczowej, znakomitej prezentacji zagadnienia; dzięki temu właśnie odnosił sukcesy jako adwokat. Judy pomyślała, że gdyby znalazła się na jego miejscu, marnowałaby czas rozwodząc się o tym, iż prokurator generalny Hansen nie raczył nawet się pokazać, co zapewne okazałoby się błędem. Jinks natomiast z miejsca przystąpił do rzeczy.

Dabney uczestniczył w dwóch dużych rozprawach u Rittera z udziałem ławy przysięgłych, przed samym sędzią zaś występował trzydzieści pięć albo i czterdzieści razy. Może to przez krążące legendy, w każdym razie nigdy nie wyzbył się obawy, że łatwo trafić Rittera w czuły punkt. Wtedy on natychmiast człowieka usadza. Znając upodobanie sędziego do zwięzłości, Dabney wiedział, że ryzykuje, wygłaszając długą mowę, lecz siła argumentacji w tej delikatnej sprawie polegała na urozmaiceniu.

–Wysoki Sądzie – zaczął Dabney – próbowaliśmy dochodzić sprawiedliwości niemal we wszystkich sądach tego kraju i to jest nasza ostatnia próba powstrzymania jawnie niezgodnego z Konstytucją, dążenia stanu Utah do egzekucji człowieka, zanim ustawa o

śmierci zostanie zbadana przez Sąd Najwyższy Utah bądź Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych…

Dabney nie przygotował tej przemowy na piśmie. To, co miał do powiedzenia, mieściło się w pięciu stertach papieru. W czasie wystąpienia mógł sięgać do notatek i omawiać

twierdzenia końcowe, lecz wpierw musiał streścić samą skargę. Ponieważ był to pozew podatników, powinien argumentować, że fundusze publiczne są wydatkowane „niezgodnie z prawem". Dlatego stwierdził, że jeśli ustawodawstwo Utah pozostaje w sprzeczności z Konstytucją, to stan ponosi odpowiedzialność za skutki.

Kończąc wstęp, Dabney postanowił dodatkowo przytoczyć zarzut nie wymieniony w pozwie.

–Dowiedzieliśmy się ostatnio – powiedział – iż pan Gilmore mógłby zdecydować się na walkę o życie, gdyby Nicole Barrett zdołała go do tego przekonać.

Ponieważ jedynym źródłem tej wiedzy były dyskusje z innymi adwokatami ACLU oraz krótka i bezowocna rozmowa ze Stangerem, Dabney czym prędzej dodał:

–Nie mamy pewności, czy istnieją realne podstawy do tego rodzaju przypuszczeń, lecz zakładając, iż pan Gilmore istotnie może przeżywać tego rodzaju rozterki, powinniśmy zezwolić mu na pewien kontakt z panną Barrett w obecności jej adwokata lub psychiatry wyznaczonego przez sąd, celem ustalenia, czy zmieni swoje stanowisko. Wydaje mi się, że jest to nader skromna prośba, zważywszy, że mamy do czynienia z perspektywą egzekucji człowieka.

Dabney dorzucił to, ponieważ dobrze brzmiało. Mogło odnieść skutek, poruszając serce sędziego, i w ten sposób przechylić szalę na korzyść ACLU. Ażeby wygrać w podobnej rozprawie, trzeba sędziemu przedstawić nie tylko argumenty, jakie zadowolą jego umysł, lecz ^apelować także do serca. Wkrótce Dabney miał uzasadnić, dlaczego Ustawa Utah o karze śmierci jest niewłaściwa, i gdyby nawet Ritter Uznał, że ACLU ma rację, mógłby mimo to stwierdzić: Gary Gilmore chce umrzeć, więc o co, u diabła, chodzi?

Jeżeli natomiast udałoby się zasugerować, że Gilmore być może zmieni zdanie na temat śmierci – i to w wyniku jednego spotkania z Nicole! – no cóż, Dabney uważał, że to przemówi do Rittera.

Później adwokat zajął się stroną prawną zagadnienia. Oświadczył

że ustawodawstwo Utah nie przewiduje rewizji procesu w trybie nakazowym. Czyli omijane jest kluczowe zabezpieczenie. Od każdego wyroku śmierci powinno być rozpatrywane odwołanie, bez względu na wolę oskarżonego. Jakże inaczej można ochronić prawa innych oskarżonych w późniejszych procesach? Jeśli pierwszy sędzia popełni poważną omyłkę, powtarzać ją będą następni.

Potem Dabney nawiązał do Konstytucji. Wszystkim wiadomo było że sędzia Ritter trzyma w swoim biurku jej postrzępiony egzemplarz jeszcze z czasów, kiedy wykładał na uniwersytecie pięćdziesiąt lat temu. Wobec tego Jinks nadmienił, iż naruszona zostanie w tym przypadku Ósma i Czternasta Poprawka. Albowiem głoszą one, że kara śmierci nie powinna być wymierzana „pochopnie bądź arbitralnie".

Earl Dorius z pewnością szykował się do przytoczenia opinii większości składu Sądu Najwyższego w sprawie petycji Bessie Gil-more. Dlatego Dabney zrobił to sam.

–„Gary Gilmore, działając rozumnie i z pełną świadomością swego prawa do złożenia apelacji w Sądzie Najwyższym Utah, odrzucił przysługujące mu prawo" – odczytał głośno. – Te słowa znaczą, że Gilmore ma prawo do apelacji, lecz woli z niego nie korzystać – stwierdził dalej. – Trzeba jednak pamiętać, że kwestia rewizji procesu w trybie nakazowym nie była rozpatrywana przez sąd. W rzeczy samej, sędzia Sądu Najwyższego White oświadczył nawet, iż Gilmore nie może odrzucić „prawa do wystąpienia o rewizję przez sąd apelacyjny". Sędzia Burger dodał jeszcze: „Kwestia ta nie

została nam przedstawiona do rozpatrzenia." W takim razie Sąd Najwyższy – dowodził Dabney – nie rozstrzygał tej kwestii w ramach sprawy Bessie Gilmore. Wręcz przeciwnie. Na podstawie zaś decyzji wydanych w sprawach: Gregg przeciw Georgii, Proffitt przeciw Florydzie i Jurek przeciw Teksasowi, Sąd Najwyższy utrzymał w mocy przepis domagający się apelacji w trybie nakazowym, przy czym sprawy: Collins przeciw Arkansas i Neal przeciw Arkansas zostały odesłane właśnie ze względu na brak nakazowej apelacji.

–Wysoki Sądzie – rzekł Dabney szansą na triumf sprawiedliwości. Na tym zakończył swój wstęp.

ten trybunał jest ostatni

Dorius wstał, żeby wygłosić odpowiedź. Stanęli przed sądem, gdyż pozew głosi, iż „fundusze federalne wydatkowane są niezgodnie z prawem (…) na przeprowadzenie egzekucji Gary'ego Marka Gil-more'a". Jednak, jak stwierdził Earl:

–Nic nie wiadomo o żadnych funduszach federalnych przeznaczonych konkretnie na egzekucję.

Spór dotarł do punktu, gdzie mógłby zostać rozstrzygnięty jednym ciosem. Sędzia Ritter przemówił po raz pierwszy.

–Co pan odpowie, mecenasie Dabney? – zapytał.

–Za pozwoleniem Wysokiego Sądu, posiadamy informacje, że budżet Wydziału Resocjalizacji na rok fiskalny 1976/77 obejmuje dotację federalną w wysokości pięciuset jeden tysięcy dolarów.

Dorius odparł, że dotacja przeznaczona jest na cele ogólne.

–Strona powodowa nie jest w stanie wykazać, że jakakolwiek suma z tych funduszy została wydana na przeprowadzenie egzekucji – oznajmił.

Dabney miał gotową odpowiedź:

–Pół miliona dolarów z funduszu federalnego zostało przekazane Urzędowi Więziennictwa Utah. Zakładam, że Urząd Więziennictwa ma jednak coś wspólnego z zamierzoną egzekucją Gary'ego Gil-more'a.

Jednak Ritter nie wygłosił żadnej uwagi i wyraźnie szykował się do kontynuowania rozprawy, toteż Dabney dał spokój.

Earl Dorius z pewnością jeszcze raz zaatakuje tę kwestię, Dabney więc trzymał w rezerwie elegancką decyzję Sądu Najwyższego jako Przykład. Mogłaby ona przydać powagi petycji podatników. Dabney Jednak nie chciał zdradzać się zbyt wcześnie. Decyzja liczyła już ponad dziesięć lat i późniejsze werdykty Sądu Najwyższego osłabiły jej Wymowę. Lepiej zostawić ją na koniec, żeby nie dawać drugiej stronie zbyt dużego pola manewru.

Kolejny argument Doriusa brzmiał:

–Kwestie, które zostały dziś poruszone pod pozorem apelacji w ostatniej chwili, znane są powodom co najmniej od dwóch miesięcy.

Akcję rozpoczęto niesamowicie późno. Decyzja Sądu Najwyższego z 1971 roku w sprawie Gomports przeciw Chase, dotyczącej de-segregacji w szkołach, zawierała stwierdzenie sędziego Marshalla,.,,w normalnych okolicznościach wyrok zostałby wydany", lecz pozew złożono zbyt późno. Dlatego sędzia Marshall go oddalił.

–ACLU składając petycję zaledwie na dziewięć godzin przed egzekucją wykazuje daleko idące analogie ze sprawą Gomports. Strona powodowa zbyt długo trzymała swoje prawa pod korcem _ stwierdził Dorius.

Ze strony Prokuratury Generalnej przyszła kolej na Billa Evansa. Argumentował on, iż Sąd Najwyższy w sprawach związanych z karą śmierci wymaga spełnienia dwóch warunków. Jednym jest konieczność osobnego procesu oraz rozprawy mitygacyjnej. Stan Utah spełnił ten warunek. Drugi wymóg to przedstawienie jasnych kryteriów tym, którzy wydają wyrok. Ten warunek również uwzględniany jest przez system Utah. Ponadto Sąd Najwyższy nigdy nie twierdził, że apelacja w trybie nakazowym jest jedyną zadowalającą procedurą.

Następny był Bill Barrett.

–Za pomocą petycji podatników strona powodowa wcale nie usiłuje powstrzymać wydatkowania dolarów z wpływów podatkowych, tylko samą egzekucję. Nie udowodniono dotąd, że jest to w dobrej wierze prowadzona akcja przeciw nadużyciom finansowym.

Argument był krótki i mocny. Dabney uznał, że czas wytoczyć swój specjalny kontrargument.

–Wysoki Sądzie, jeśli można – odezwał się Dabney. – Pan Barrett w swym komentarzu przeoczył bardzo znaczący precedens. Chodzi o sprawę Flast przeciw Cohenowi, decyzję Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych z 1968 roku. W tej sprawie, Wysoki Sądzie, chodziło o pozew podatników w celu powstrzymania Kongresu i Senatu przed wydatkowaniem pewnych funduszy. Przewodniczący Sądu Najwyższego Warren napisał wówczas, że jedyną podstawą złożenia pozwu był fakt, iż jego autorzy są podatnikami rządu Stanów Zjednoczonych. Mimo wszystko przewodniczący Sądu Najwyższego Warren uznał tę podstawę za wystarczającą.

Sędzia Ritter podniósł wzrok.

–Proszę mi to powtórzyć – powiedział.

Oto kluczowa kwestia, wyczuł Dabney. Okaże się, że albo są podstawy, albo ich nie ma. Przewodniczący Sądu Najwyższego \Varren wydał decyzję na korzyść podatników kierując się wyłącznie – jak wyjaśnił – wyważeniem sum pieniężnych z jednej strony j rodzajem reprezentowanych interesów z drugiej. Jeżeli ma się do czynienia z pozwem podatników, gdzie nie liczy się zagrożenie interesu publicznego, lecz w grę wchodzą duże sumy pieniężne, pozew ma należyte podstawy i jest ważny. „Z kolei jeśli interes prawny ma niezmierną wagę, wówczas sąd nie musi się specjalnie liczyć ze stroną finansową zagadnienia." Jeżeli jesteś słaby z jednej strony, musisz być mocny z drugiej. Ponieważ chodziło o najwyższy wymiar kary, Dabney sądził, że nie muszą tu wchodzić w grę duże sumy z podatków. Rozpatrywane prawa są tak ważne, że suma może być mało znacząca.

Po tej wypowiedzi Dabney poczuł się pewniej. Ritter nie komentował, lecz Dabney i tak poczuł pewniejszy grunt pod nogami. Teraz mógł atakować z innej pozycji.

–Stwierdzono tutaj, że pan Gilmore miał wystąpienie przed Sądem Najwyższym stanu Utah – mówił Dabney. – Wystąpienie polegało na tym, Wysoki Sądzie, że panu Gilmore'owi zadano pytanie: „Czy chce się pan odwołać, czy nie?" Na co on odpowiedział:›,Nie chcę się odwoływać." Zapytano następnie: „Czy pan zdaje sobie sprawę z tego, co pan robi?" A on powiedział: „Tak." I wtedy Postanowiono: „W porządku, nie będzie apelacji." Tak wyglądała ta rozprawa. Fakt, że Pan Gilmore nie chce się odwoływać, nie zwalnia Sądu Najwyższego Utah z obowiązku rozpatrzenia apelacji. Powinna zostać przeprowadzona skrupulatna rewizja w trybie nakazowym, dwudziestominutowa zaś rozprawa przed Sądem Najwyższym Utah w żadnym wypadku nie zasługuje na to miano. Bez względu na wolę Pana Gilmore a, Sąd Najwyższy Utah powinien rozpatrzyć odwołanie. Tak się jednak nie stało, nie wiadomo zatem, czy skazanie pana Gilmore'a na śmierć nie narusza Ósmej i Czternastej Poprawki do Konstytucji Stanów

Zjednoczonych w interpretacji dokonanej przez Sąd Najwyższy, Jedyny sposób stwierdzenia, czy decyzja nie została wydana

pochopnie bądź arbitralnie, to porównanie sprawy Gilmore'a z innymi przypadkami apelacji od wyroku śmierci. Sprawa Gilmore'a nie była z niczym porównywana. Zupełnie nie pojmuję, dlaczego Sąd Najwyższy Utah nie sporządził nawet stenogramu rozprawy i ogłoszenia wyroku

Wstał Evans.

–Wysoki Sądzie, całkowicie sprzeczne z logiką byłoby orzeczenie Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych, iż pan Gilmore działając rozumnie i z pełną świadomością zrzekł się prawa do apelacji, gdyby Sąd Najwyższy istotnie był zdania, że apelacja musi być złożona. To całkowita sprzeczność. Naszym zdaniem jedno wyklucza drugie.

Dabney odpowiedział:

–Sądzę, że stan Utah absolutnie nie przejawia zrozumienia dla poruszonego przez nas problemu. Nie chodzi nam o odmowę apelacji Gary'ego Gilmore'a. Pragniemy rozstrzygnąć, czy stan Utah może stracić człowieka nie naruszając przy tym Ósmej i Czternastej Poprawki. Czy może uczynić to pochopnie i arbitralnie? Jedynym sposobem rozstrzygnięcia tej kwestii jest porównanie z innymi wyrokami śmierci w procesach apelacyjnych.

W tym momencie sędzia Ritter przerwał.

–Wydaje mi się – powiedział, po raz pierwszy z odcieniem zgryźliwości w głosie – wydaje mi się, że rozumiem.

Dabney pokiwał głową. Otrzymał ostrzeżenie.

–Wysoki Sądzie, tym stwierdzeniem kończę mój wywód i podkreślam, iż naszym zdaniem złożyliśmy pozew w pełni

uzasadniony Pragniemy zaznaczyć, że jest on naszą ostatnią szansą. Z całym szacunkiem zwracamy się do Wysokiego Sądu o podpisanie nakazu tymczasowego zawieszenia egzekucji pana Gilmore'a. Dziękuję.

Przedstawiciele stanu Utah nie mieli nic do dodania i o godzinie dwudziestej trzeciej trzydzieści dziewięć sędzia Ritter ogłosił przerwę i wyszedł

prawie bez słowa. Jedyny kłopot, że nie wracał. Kiedy nie pojawił się przez dwadzieścia minut, Judy Wolbach zaczęła się niepokoić.

Kiedy nie wrócił po godzinie, przestała rozumieć, co się dzieje. Jeżeli Ritter potrzebuje tak dużo czasu, to z pewnością wyrok będzie nieprzychylny. Po wspaniałym wystąpieniu Dabneya jest dla Rittera sprawą bardzo trudną etycznie i moralnie wydać zgodę na egzekucję Gilmore'a, myślała. Skoro sędzia tak długo to rozważa, widocznie wstydzi się wyjść. Judy znów nabrała przekonania, że ich pozew ma bardzo nikłe podstawy.

Po drugiej stronie sali Earl Dorius wyciągnął wniosek wręcz przeciwny. Właśnie dlatego że sędzia długo nie wracał. Zwykle Ritter nie spisywał swoich postanowień. Ogłaszał je z ławy sędziowskiej. Niekiedy już w ułamek sekundy po wystąpieniu prawnika. Przygotowywanie pisemnego uzasadnienia świadczyło, że sędzia stara się należycie umotywować decyzję, by sąd apelacyjny jej nie uchylił. Mikę Deamer zgadzał się z Earlem. Wyszedł zadzwonić do Boba Hansena z przepowiednią porażki.

–Jeżeli tak się stanie – odpowiedział Deamerowi Hansen – wszyscy powinni stawić się w gmachu Kapitolu zaraz po odczytaniu werdyktu.

Przerwa dłużyła się w nieskończoność. Prawnicy mijali się z reporterami. Wszyscy mieli niewyraźne miny. Earl uświadomił

sobie, jak bardzo jest znużony harówką ostatnich dni. Jeden pozew za drugim, bez chwili wytchnienia.

Mniej więcej w tym samym czasie oddalony o osiemdziesiąt kilometrów Noall Wooton położył się spać. Ale nie mógł zasnąć. w nocnej ciszy Provo leżał z otwartymi oczami, choć minęła już Północ. Czekał, aż o szóstej rano przyjedzie po niego śledczy i zawiezie go do Więzienia Stanowego, gdzie Wooton miał być świadkiem egzekucji.

Z początku Judith myślała, że wygrali. Pozew był tak dobrze sformułowany i obie strony w pełni się wypowiedziały. Żadnego popędzania, żadnych wtrętów ze strony ławy. Sędzia Ritter wyszedł.

ROZDZIAŁ 33

Ostatnia taśma Gilmore'a

Około pierwszej w nocy, gdy wszyscy już przysypiali, Gary wszedł do biura porucznika Fagana i zadzwonił do Larry'ego Schillera przebywającego w motelu TraveLodge. Schiller czekał przy telefonie i od razu porwał słuchawkę, a wszystkie pytania z ostatniego miesiąca cisnęły mu się do gardła.

–Jak się masz, mistrzu? – brzmiały jego pierwsze słowa.

–W porządku – odrzekł Gilmore. – O co chcesz mnie zapytać? Co chciałbyś wiedzieć?

–Chciałem obgadać parę spraw.

–Mogę powiedzieć ci coś osobistego?

–No, powiedz mi coś osobistego.

–Zrobiłeś przykrość memu bratu – oświadczył Gary – i to mi się nie podoba.

–Aha, słyszałem na taśmie – odrzekł Schiller.

–Chciałem powiedzieć ci osobiście. To mi się nie podoba.

Schiller pomyślał: nie wydaje się tak bardzo wściekły. Raczej chce powiedzieć „załatwmy to od razu". – Odchrząknął. – Dobra, przyjąłem. Możemy zaczynać?

–Zasuwaj.

Larry od razu przystąpił do rzeczy.

–W tej chwili, Gary, o pierwszej w nocy…

–Słucham? – wtrącił Gilmore.

–O pierwszej w nocy – ciągnął Larry, czytając z kartki – czy jest jeszcze coś, co ukrywasz, jeśli chodzi o twoje życie?

–Na przykład co?

–Widzisz, ja nie proszę, żebyś mi powiedział, co to takiego. Pytam tylko, czy czujesz potrzebę ukrywania czegokolwiek. Gilmore westchnął.

–Masz na myśli coś konkretnego? – spytał.

–No, powiedzmy – odrzekł Schiller. – Czy prócz Jensena! Bushnella zabiłeś jeszcze kogoś?

Może to wynikało z romantycznego nastawienia, lecz sądził, że skoro człowiek ma umrzeć, będzie gotów coś wyznać, Schiller zaś naprawdę chciał wiedzieć, czy Gilmore kogoś przedtem zabił.

–Zabiłeś? – spytał.

–Nie – odparł Gilmore.

–Nie – powtórzył Schiller.

Jeszcze jeden zawód. Zapadło milczenie. Sprawa zamknięta. Trzeba próbować z innej beczki.

–Czy w twoim obcowaniu z matką lub ojcem – pytał dalej -jest coś tak osobistego, że nawet przed śmiercią wolałbyś o tym nie mówić?

Myślał sobie: cóż to za układ, gdzie matka nie przyjedzie zobaczyć się z synem? Niechby nawet na noszach! Schillerowi nie mieściło się to w głowie. Tam musi tkwić jakaś zadra – coś, co Gary jej zrobił albo ona Gary'emu. Gdyby tak można było zdobyć jakąś wskazówkę. Nikt jednak nie dotarł do Bessie

Gilmore. Do Portland pojechał na własną rękę Dave Johnston z „Los Angeles Timesa" i nie zdołał z nią porozmawiać. Jeżeli Johnstonowi się nie udało, znaczy, że kobieta nie dojrzała do rozmowy.

–Do diabła – zaklął Gilmore w słuchawkę – takie pytania tylko mnie wkurwiają. Gówno mnie obchodzi, co mówią inni. Ja ci Powiedziałem, kurwa, prawdę. Moja matka, bracie, jest fantastyczną kobietą. Coś od czterech lat cierpi na artretyzm i nigdy się nie Poskarżyła. Czy to ci coś mówi?

–Teraz to mi, kurwa, mówi wszystko – odparł Schiller ochryple.

–Tatę bez przerwy wsadzali za kratki, jak byliśmy mali – Powiedział Gilmore. – Był hulaką. Moja matka mówiła „tata Poszedł" i nic więcej. Niech to diabli, starała się, jak mogła, i, bracie, ona zawsze była przy nas, zawsze mieliśmy co jeść i co włożyć na grzbiet.

–Dobra – powiedział Schiller. – Wierzę ci.

–A twoja matka? – spytał Gilmore.

–Moja matka – odrzekł Schiller – była twarda i nieustępliwa Dzień w dzień tyrała. Zostawiała nas z bratem w kinie. Codziennie oglądaliśmy filmy, podczas gdy ona szorowała ojcu podłogi.

W późniejszych latach doszedł do wniosku, że duża część ludzkiej motywacji bierze się z zachowań, które wbija nam do głowy fabuła z ekranu. Kiedy człowiek wygłasza kwestie przypominające sceny z filmów, ludzie się zachowują tak, jakby w nich grali. Dlatego to, co opowiedział Gilmore'owi, miało w sobie coś filmowego. W rzeczywistości jego rodzina przeżywała kłopoty finansowe zaledwie parę lat i w tym czasie matka czasem musiała myć podłogi, ale ta wizja życia spędzanego na kolanach wyraźnie udobruchała Gilmore'a.

–Moja matka sprzątała ze stołów w restauracji. Nie miała pieniędzy, lecz próbowała zatrzymać nasz piękny dom z ładnym okrągłym podjazdem, gdzie się wjeżdża zataczając koło. Chciała go mieć. Chciała mieć parę rzeczy. Ale je straciła. Wtedy przeniosła się do przyczepy. Nigdy nie psioczyła.

–Ty ją naprawdę kochasz, bracie, co? – rzekł Schiller.

–Do diabła, tak – odparł Gary. – Nie chcę słuchać żadnych pierdolonych bzdur, że była dla mnie niedobra. Nigdy mnie nie uderzyła.

W tym momencie ktoś włączył się w rozmowę.

–Halo – powiedział głos.

–Halo – odrzekł Gary.

–Czy to pan Fagan? – zapytano.

–A kto mówi? – spytał Gary.

–Tu naczelnik.

–Tu mówi pan Gilmore – odparł skromnie Gary. – Dzwonię za zgodą pana Fagana.

–Dobrze, dziękuję – powiedział Sam Smith. – I przepraszam- Wyłączył się. W głosie naczelnika brzmiała fałszywa nuta. Przeczucie mówiło Schillerowi, że lepiej się pospieszyć.

Obok Schillera na podłodze pod stołem leżał Barry Farrell i słuchał rozmowy przez słuchawki podłączone krótkim przewodem do magnetofonu. Schiller chciał zobaczyć jego twarz i odczytać reakcje, lecZ

siedział pod takim kątem, że mógł dostrzec jedynie momentami rękę garry'ego piszącą coś na niedużej kartce.

Schiller po raz ostatni zabrał się do pytania, na które Gilmore nigdy nie chciał im odpowiedzieć.

–Wierzę, że życie dawało ci w kość – zaczął. – Wpadałeś w tarapaty, bywałeś niecierpliwy i nieopanowany, ale nie byłeś mordercą. I coś się stało. Coś przemieniło cię w człowieka, który był zdolny zabić Jensena i Bushnella; jakieś uczucie, emocje, wydarzenie.

–Zawsze byłem zdolny do morderstwa – odrzekł Gilmore. – jest we mnie coś, co mi się nie podoba. Potrafię całkowicie wyzbyć się wszelkich uczuć dla innych, zobojętnieć. Ja wiem, kiedy robię coś kurewsko niedobrego. Ale dalej to robię.

Nie była to odpowiedź, którą Schiller miał nadzieję usłyszeć. Chciał poznać jakiś epizod.

–W dalszym ciągu nie rozumiem – powiedział – co dzieje się w umyśle człowieka, który postanawia zabić.

–Wiesz co? – odrzekł Gilmore. – Posłuchaj. Raz jechałem ulicą w Portland. Tak się opierdalałem, na lekkim haju, i patrzę, z baru wychodzi dwóch łebków. Byłem wtedy młodym chłopakiem, dziewiętnaście czy dwadzieścia lat, coś koło tego, no i jeden z tych gości był Meksem, mniej więcej w moim wieku, a drugi pod czterdziestkę, starszy gość. Więc mówię: „Hej, chcecie poznać fajne dziewczyny, to wsiadajcie." I oni wsiedli z tyłu. Miałem chevroleta rocznik czterdzieści dziewięć, dwudrzwiowy, wiesz, coupe. I oni wsiedli. Jechałem do okręgu Clackamas, było bardzo ciemno… mówię ci prawdę, nie zmyślam, nie koloryzuję, niech mnie tu, kurwa, za jaja powieszą, i przysięgam na Jezusa Chrystusa i wszystko co święte, że mówię ci prawdę, słowo, kurwa, w słowo. To dziwna historia.

–Dobra.

–Oni tam z tyłu wsiedli – ciągnął Gary – i ja zacząłem im oPowiadać o tych dupach, po prostu nawijałem, jakie mają duże

cyce i lubią się pierdolić, że robią właśnie prywatkę, z której wyszedłem, żeby Przyprowadzić jakichś chłopaków, bo im brakuje, a ci dwaj siedzieli na wpół pijani i ja ich wiozłem po tej kurewsko ciemnej drodze, ubitej, gładkiej, bez wybojów. Taka czarna gładka szosa, o ile pamiętam, z takiego, kurwa, ubitego betonu i sięgnąłem pod siedzenie, zawsze

tam woziłem kij do baseballu albo rurkę, wiesz. No i sięgam pod siedzenie… chwileczkę.

Schiller nie słuchał opowieści. Wiedział, że ją będą mieli na taśmie wychylił się więc nad stołem, żeby zobaczyć, czy Barry ma pytanie do Gilmore'a. Barry coś miał; Schiller puścił mimo uszu tekst o rurce czy o kiju baseballowym, mniejsza o to, następnie usłyszał, jak Gary mówi:

–Jezu Chryste, o kurwa.

Schiller w ciszy wyczuł jakąś zmianę.

–Porucznik Fagan właśnie mi powiedział, że Ritter wydał nakaz zawieszenia – powiedział Gary. – Skurwysyn. W dupę jebany skurwysyn.

–Co tam – powiedział Schiller. – Przetrzymamy to gówno Możesz to przetrzymać. Tak jak się dotąd trzymałeś, bracie. Teraz chciał usłyszeć tę opowieść.

Zamiast tego musiał słuchać rozmowy Gary'ego z Faganem.

–Ritter definitywnie to zawiesił – powiedział wreszcie Gary do Larry'ego. – Mówi, że bezprawnie używa się pieniędzy podatników, żeby mnie zastrzelić.

–Aha – rzekł cicho Schiller. Zapadło długie milczenie, w końcu stwierdził: – Nie umiałeś powiedzieć, na czym polega najgorsza tortura. Na tym, co zrobił Ritter.

–No – przyznał Gary. – Ritter jest kompletnym, patentowanym osłem. Tak, tak – powtórzył Gary. – Tak, tak, tak, tak, tak, tak Chuj im w mordę. Pozew podatników. Ja sam zapłacę. Kupię broń, naboje, zapłacę strzelcom. Jezu kochany, kurwa mać, bracie, ja chcę, żeby już było po wszystkim.

Mówił, jakby mu się zbierało na płacz.

–Masz prawo do tego, żeby było po wszystkim – stwierdził Schiller. – Niezbywalne prawo.

–Złap Hansena – rzekł Gilmore.

–Dziewczyny, kurwa, do telefonów! – krzyknął Schiller na Lucindę i Debbie. – Złapcie adwokata z Salt Lakę City nazwiskiem Hansen.

Gilmore poprawił:

–On jest, kurwa, prokuratorem generalnym stanu Utah.

–Prokuratora generalnego stanu Utah, dobra? – powtórzył Schiller do dziewcząt.

–~• Każ mu iść do sędziego, co jest wyżej, niech uprzątnie to gówno

Rittera.

Schiller pomyślał: chyba widziałem w życiu zbyt wiele filmów.

Dotarł do niego własny głos, który przekonywał Gary'ego do życia. Taka podnosząca na duchu nawijka, którą tyle razy słyszał w kinie.

–Gary – mówił – a może tobie nie jest pisane umierać. Może gdzieś u podłoża twojej historii tkwi coś fenomenalnego, głębokiego, przez co nie jest ci pisane umrzeć już teraz. Może masz jeszcze coś do zrobienia. Nawet jeśli nie wiemy, co to

takiego. A może przez to, że nie umrzesz, uczynisz, kurwa, coś wielkiego dla całego pieprzonego świata. Może twoje obecne cierpienie jest sposobem odkupienia życia tamtych ludzi. Może tworzysz podwaliny pod taki kształt społeczeństwa, do jakiego cywilizowana ludzkość będzie dążyć w przyszłości. Może ta kara, którą teraz przechodzisz, jest większa od kary śmierci i może, kurwa, przyniesie mnóstwo dobrego.

Nagle się zorientował, że sam wzrusza się o wiele bardziej niż Gilmore. W stenogramie wyjdę na palanta, pomyślał, głośno zaś powiedział:

–Nie słuchasz mnie, prawda?

–Co? – odrzekł Gary. – Aha. Ja słucham.

–Popatrzmy na to od innej strony – ciągnął Schiller. – Spędźmy razem następną godzinę. Wiesz, że każą ci cierpieć jak nikomu innemu.

Głos Gary'ego zabrzmiał opryskliwie.

–Zrób coś dla mnie – powiedział. – Muszę zwolnić ten pierdolony telefon. Pan Fagan chce z niego skorzystać. Popędź swoje dziewczyny.

–W porządku.

–Daj każdej po buziaku ode mnie. Każ im złapać pana Hansena. Dowiedz się, co tu, kurwa, można poradzić, żeby czym prędzej obejść tego faceta. Tego osła Rittera. On zawsze, kurwa, z czymś wyskoczy. I zadzwoń do mnie.

–Ty musisz do mnie zadzwonić – rzekł Schiller. – Ja nie mogę.

–Zadzwonię za pół godziny.

–Za pół godziny. Trzymaj się i sraj na to.

–Aha.

–Sraj na to całe gówno – powiedział Larry.

–Jezu Chryste – odrzekł Gary. – Gówno, dupa, Boże!

' Dopiero o pierwszej w nocy sędzia Ritter wrócił na salę.

–Zgodność ustawy stanu Utah o karze śmierci z Konstytucją -^ czytał głośno wszystkim zebranym – nie została potwierdzona przez żaden sąd… Dopóki nie zostaną rozwiane wątpliwości, nie może się legalnie odbyć żadna egzekucja. Zgoda oskarżonego nie daje stanowi Utah prawa wykonywania wyroków śmierci.

Sędzia czytał, a Judith Wolbach odetchnęła, czując przypływ radości. Przerażenie, które od siebie odsuwała, wróciło na miejsce z dala od niej. Mogłaby sędziego Rittera uściskać. Swym dźwięcznym, dojrzałym głosem zakończył:

–Zbyt wiele niepewności w kwestiach prawnych, zbyt wielki pośpiech, by stracić człowieka.

Boże, ten głos dla niej rozbrzmiewał tak wspaniale, jak na starych kronikach z Franklinem Delano Rooseveltem. Potem sędzia podpisał tymczasowy nakaz wstrzymania egzekucji dla Dabneya i Wolbach, ustalając termin kolejnej rozprawy na dwudziestego siódmego stycznia, za dziesięć dni, o dziesiątej rano.

Do biura Prokuratury Generalnej wracała pokonana drużyna, lecz Bili Barrett, Bili Evans i Mikę Deamer próbowali obmyślać następny ruch. Już prawie uzgodnili, że najlepszym wyjściem będzie wystąpienie do wyższej instancji, czyli dostarczenie rano odwołania do Denver. Gdyby u sędziego Bullocka udało im się załatwić przesunięcie terminu, egzekucja wciąż mogłaby się odbyć nazajutrz, z poślizgiem dwunastu czy czternastu godzin.

\Wcześniej tego wieczoru dzwoniono do sędziego z biura szeryfa, żeby przekazać wiadomość o możliwych demonstracjach przeciwników egzekucji. Szeryf chciał wziąć jego dom pod obserwację. Sędzia pomyślał: no cóż, nie lękam się wprawdzie o własne bezpieczeństwo, ale kto wie, te grupy ludzi mogą wypalić mi krzyż na trawniku albo coś w tym guście.

Nie spodziewał się użycia przemocy i propozycję szeryfa postanowił przyjąć wyłącznie dla ochrony mienia. Zwykła obserwacja może ochronić spokój jego żony i dzieci.

Sędzia Bullock nie obawiał się miejscowych. Po prostu kiedy ktoś ma zostać stracony, setki i tysiące ludzi z całego kraju ogarnia amok i niektórzy mogą ściągnąć tu, do miasta. To byliby pacyfiści, nie uznający prawdziwej przemocy, za to z zamiarem zorganizowania demonstracji. Sędzia myślał: na przykład wypalą krzyż na trawniku.

Jednak skoro sędzia Ritter ogłosił zawieszenie, nie ma powodu do obaw. Bullock poszedł spać z myślą, że odbędzie się rozprawa apelacyjna w sądzie Dziesiątego Obwodu, potem sprawę przejmie Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych. Pod koniec rozważane będą zupełnie inne kwestie aniżeli teraz. Zasypiając, powiedział do siebie: Przyszłość pokaże, lecz to nie moje zmartwienie, przecież nie wiadomo, czy dożyję finału.

Niektóre sprawy ciągną się i dwadzieścia pięć lat. Sędzia Bullock zasnął.

Sędzia Bullock bawił w Salt Lakę na towarzyskim spotkaniu. Po powrocie, zanim położył się spać, włączył radio i usłyszał nowinę -Pomyślał: stało się. Na ulicy parkował nie oznakowany samochód szeryfa; sędzia Bullock wyszedł do kierowcy i powiedział: – Nie ma potrzeby tu sterczeć. Może pan jechać do domu.

Julie Jacoby pojechała z czuwania do domu, żeby trochę odpocząć, zanim wróci pod więzienie na resztę nocy, lecz

włączyła na chwilę telewizor i dowiedziała się o odroczeniu. Wtedy zadzwonił do niej mąż

* Sanibel na Florydzie, gdzie się zatrzymał. Mówił, że wcześniej Pokazywali Julie w telewizji. Sfilmowano ją podczas czuwania. Potem ^dzwoniła członkini ACLU, która zamierzała udać się razem z nią Wcześnie rano pod więzienie. – Słyszałaś wiadomość? – spytała. – Zdaje się, że nie musimy

wcześnie wstawać.

O ile Julie dobrze zrozumiała, werdykt sędziego Rittera niełatwo będzie obalić. Też poszła spać.

W sali widzeń do uszu Stangera dobiegł potężny pomruk więźniów Maksymalnego Nadzoru. Przetaczał się wzdłuż długiego korytarza przez kolejne rzędy cel. Stanger zupełnie zapomniał, że tam siedzą wszyscy ci więźniowie i ze słuchawkami na uszach śledzą wiadomości z radia. Pomruk ten rozległ się zupełnie nagle. Nie wiadomo było, czy oni klaszczą, cieszą się, czy lamentują. Bardzo zniekształcony odgłos, jak przy trzęsieniu ziemi. Usłyszał okrzyk: „Zawieszenie!", powtarzany raz po raz, i włączył telewizor. W tym momencie wrócił Gary po skończonej rozmowie telefonicznej i nieomal rzucił się na odbiornik. Stanger myślał, że roztrzaska go ciosem pięści.

Cline Campbell widywał już Gary'ego w gniewie. Gary inaczej przeżywał ataki wściekłości niż większość ludzi. Campbell dawno uznał, że gniew Gilmore'a dobywa się z głębi duszy. Inni mężczyźni zwykle wtedy walą w ścianę albo chwytają książkę, by cisnąć nią o podłogę, lecz Gilmore tylko zgrzytał zębami i głucho warczał jak zwierz. Potem ściskał złożone razem dłonie, jakby chciał zmiażdżyć złość. Tej nocy, gdy nadeszła wiadomość o Ritterze, wydawało się, że Gary połamie sobie ręce. Campbell nigdy nie widział go w takim gniewie.

Bob Moody przeżył coś, co uważał za niedopuszczalne drgnienie serca. Ostatnia rzecz, jaką w tym momencie powinien był zrobić, to powiedzieć swemu klientowi:

–Czekaj, przepraszam, Gary, ale oni nie muszą zabijać!

I wtedy zobaczył wyraz jego twarzy. Gary od dawna się przygotowywał na przyjęcie wyroku. Jaką metodą? – Moody nie miał pojęcia. Może naginał swą wolę, a może odrywał.i odrzucał od siebie strach jak zwiędłe liście. Nieważne, jak to osiągnął, bo właśnie sędzia wtrącił go do piekła. Coś w Garym zaczęło pękać. Stał się posępny, groźny i jakby zapadł się w sobie. Chodził w kółko powtarzając:

–Przed ósmą rano się powieszę. Umrę. Użyję tych sznurowadeł'

Moody słyszał o sznurowadłach. Stanger opowiadał mu, że kiedyś przez dwadzieścia sekund znajdowali się z Garym sami w biurze Fagana. Fagan musiał na chwilę wyjść. To było mniej niż dwadzieścia sekund, powiedzmy, dziesięć. W tym czasie Gary ukradł parę sznurowadeł z szuflady biurka Fagana. Pilnowano go tak skrupulatnie, że niełatwo mu było coś ukraść ani zachować, lecz tamte sznurowadła trzymał od dwóch tygodni. Teraz mówił, że się nimi posłuży.

Moody i Stanger nie mogli tego dłużej znieść. Wyszli z Maksymalnego Nadzoru na parking, gdzie pokręcili się wśród reporterów. Nagle rozległ się warkot. Chmara telewizyjnych reflektorów oświetliła jeden samochód opuszczający teren więzienia. Dopiero wtedy Moody i Stanger Usłyszeli od pewnego dziennikarza, że sędzia Ritter przyjechał do więzienia wraz z urzędnikiem federalnym, żeby dopilnować dostarczenia Nakazu do rąk własnych naczelnika. Zdaje się, że Ritter – pomimo wieku i tuszy – skulił się na podłodze samochodu w trakcie przejazdu przez parking, żeby go nie zobaczyli dziennikarze. Typowa zagrywka sędziego. Pewnie spodziewał się, że bez niego pismo sfrunie między deski podłogi.

Kiedy już sędzia wyjechał za bramę, Moody i Stanger usłyszeli narzekania reporterów, wściekłych za podstępne pozbawienie ich sensacyjnego wywiadu. Mimo to przekrzykiwali się propozycjami tytułów; ktoś rzucił: „Nocna dostawa Rittera" – ktoś inny na to: „Ritter – doręczyciel ekspresowy". Każdy miał w ustach dziwny niesmak. Dziennikarze budzili się, żeby na mrozie zapuścić silniki swoich furgonetek, wypić jeszcze trochę i znowu pójść spać. Zawieszenie egzekucji – jeśli się utrzyma – zaliczy tę noc do przykrych długotrwałych doświadczeń.

Za powrotem na salę widzeń Moody zauważył, że administracja Więzienia podjęła w końcu decyzję: niestety, Gary, koniec z prochami.

Nie można dawać ich człowiekowi, który znów stał się zwyczajnym Mieszkańcem celi śmierci. Może jeszcze pomieszkać ze trzydzieści dni. W związku z tym Gary, naładowany gniewem i prochami, zmuszony był wrócić do szarej codzienności.

Po chwili Gary wyszedł, chciał być sam. Ojciec Meersman przyniósł Magnetofon, a Gary cały wieczór planował nagranie taśmy dla Nicole, do oddania po egzekucji. Stanger nie wyobrażał sobie, co mogłoby się

na niej znaleźć, lecz jego rozmyślania długo nie potrwały. W niespełna pół godziny później Gary usiadł obok Rona i powiedział: – Dam ci posłuchać.

–Mała, kocham cię – zaczynała się taśma. – Jesteś częścią mnie i dawno temu, w miesiącu maju, złożyliśmy sobie nawzajem obietnice, swoim władcom, nauczycielom i ukochanym, czyli Nicole i Gary'emu ponieważ znamy się od bardzo dawna.

–To może być bardzo osobiste – powiedział Stanger.

–Tylko wysłuchaj – odrzekł Gary. – Wiesz, Nicole i ja rozmawialiśmy o tak osobistych sprawach, że sobie nie wyobrażasz. Dyskutowałem z nią o wszystkich intymnych myślach, jakie kiedykolwiek przyszły mi do głowy. – Pokiwał głową. – Chcę, żebyś miał pojęcie, w jaki sposób rozmawiamy.

Wobec tego Stanger zaczął słuchać. Ale taśma dotyczyła spraw naprawdę osobistych i łóżkowych. Kiedy Gary zaczął mówić o całowaniu jej intymnych miejsc, to stało się naprawdę bardzo osobiste i wręcz grubiańskie. Stanger znowu zaczął protestować.

–Wiesz, Gary, ale to bardzo osobiste.

–A co o tym sądzisz? – spytał Gary. Stanger odrzekł:

–Uważam, Gary, że to są sprawy bardzo, ale to bardzo intymne.

Głos w tym nagraniu nie przypominał głosu Gary'ego, który Ron dotąd słyszał. Był dziwnie wyszukany, niewyraźny i trochę sztuczny. Od czasu do czasu brzmiał bardzo dobitnie. Jak gdyby każda z jego osobowości przemawiała po kolei; Ronowi przyszedł na myśl aktor, który wkłada maskę, a potem zdejmuje, żeby włożyć inną i dobrać nowy głos. Czasem Gary wydawał się pompatyczny, kiedy indziej słaby i bliski płaczu. Razem wziąwszy, Stanger wolałby tego nie słuchać. Kiedy tylko Gary się oddalał, Ron włączał przewijanie do przodu, żeby nie słuchać całości. Jednak to go zaskoczyło. Nie spodziewał się takiej elokwencji. Stanger nie miał pojęcia, czy potrafiłby kiedykolwiek zwrócić się w te słowa do osoby, którą darzy' miłością.

dziewczynę do samobójstwa… Jejku, jejku… Nie powiem ci, co o tym myślę. Jak sama piszesz, siedzisz na oddziale sądowym i, kurwa pilnują cię, a ja myślę, że ci pilnowacze walą konia z myślą o tobie' Masz pieniądze. Mała, ja wziąłem sześćdziesiąt pierdolonych luminali Leżałem dwanaście godzin. Mam taki dość silny organizm, wiesz. Nie zrujnowałem go papierochami i

gorzałą, bo za długo siedziałem w zaciszu kicia. Jeżeli oni mi wstrzymają egzekucję, to się powieszę, chuj w dupę tej zawziętej zgrai.

Nabrał powietrza i zaśpiewał. Miał chyba najbardziej niemuzykalny głos, jaki Stanger w życiu słyszał. Bez przerwy fałszował nie mając o tym pojęcia. Kiedy zdawało mu się, że przeciąga nuty, po prostu jęczał. Te jęki aż chwytały za gardło. Gdy już prawie utrafiał w jakąś nutę, łamał mu się głos. Zaczął śpiewać Skałę wieczystą*.

–Z każdym tchnieniem życiodajnym, z każdym sennym drgnieniem powiek, gdy wzlatuję w świat nieznany, widzę Ciebie w Sądny Dzień… Rozstąp się, skało wieczysta, niechaj znajdę schron w Twym łonie…

Przerwał śpiew.

–Właśnie, słuchaj, mówiłem ci, że rozmawiałem z Johnnym Cashem, cholera jasna. Wybuchnął śmiechem.

–Johnny Cash wie, że żyję, wie, że ty żyjesz, on nas lubi… Och, Nicole… Ja nie jestem typem w rodzaju Charlie'ego Mansona, nie nakłaniam cię do tego… Jak chcesz dalej żyć i wychowywać dzieci, to jesteś sławną dziewczyną, masz kupę forsy i chcę dopilnować, żebyś miała jeszcze więcej, masz wolną rękę, mała, tylko nie pozwól się nikomu wypierdolić.

Teraz mówił szeptem.

–Niech cię nikt nie posiądzie. Mała, nie rób tego, jesteś moja. Wstrzemięźliwość, umiar, a może z jakąś dziewczyną, sam nie wiem, kurczę… Miałem zostać stracony o siódmej czterdzieści dziewięć… Mam tu przed sobą księgę hymnów… Jesteś ładna, pociągająca i masz w sobie coś takiego, mała, co z miejsca cię wyróżnia. No i ja wiem, że faceci lubią snuć plany, działają planowo, skurwysyny* i korzystają z okazji. Widzą ciebie, widzą, jaka jesteś piękna, myślą sobie, że ja i tak umrę, i chcą twoich

pieniędzy, chcą ciebie, jest w tobie coś takiego, co każdy by chciał, a ja mam nadzieję.

*** Bardzo znany hymn ku chwale bożej, napisany w XVIII w. (Przyp. tłum.)**

Boże, mam nadzieję, kurwa, po prostu mam nadzieję… Ja chcę ciebie, mała. Tu się rozpłakał.

–Kurwa – szepnął – tak mi teraz źle. Myślałem, że za parę godzin umrę… Będę wolny, by się z tobą połączyć… Nieważne, czy chcesz dalej żyć… Ty masz dzieci, ja ci nie każę… popełnić samobójstwa, ja muszę zrobić coś tak trudnego… – Znów zniżył głos do szeptu:.

–Po prostu nie chcę, żeby ktoś cię pierdolił, chcę, żebyś była moja, wyłącznie, wyłącznie… tylko moja. Mała, ja chcę się, kurwa, uwolnić od tej planety… Oddałem wszystkie moje pieniądze, sto tysięcy dolarów. Nie chciałem ci o tym mówić, żeby to nie wyglądało na przechwałki, ty masz więcej pieniędzy niż ja, tylko chcę być z tobą szczery, myślałem, że mnie zabiją te tchórzliwe złamane chuje… skurwysyny jebane…

Zabrakło mu słów. Monotonnie mówił do magnetofonu:

–Nicole, ja nie wiem, co się dzieje. Może jest nam dane pożyć trochę dłużej, słuchaj, wziąłem wszystko, co mi dałaś… Dwadzieścia pięć seconali, potem o północy dalmane. Ja nie muszę, ale znam tyle hymnów. To katolicki modlitewnik… Wczoraj przyszedł ksiądz i odprawił mszę, Boże, nie ma nic nudniejszego od mszy… Nicole… jesteś moja. Boże, czuję taką potęgę naszej miłości… Mała, prosiłem cię, żebyś mnie kochała całą sobą. Tak kurewsko mi cię brakuje, chcę tylko ciebie i przysięgam Bogu, będę cię miał. Nie wybiorę się na planetę Uran. Nie obchodzi mnie, przez co będę musiał przejść, z jakimi walczyć demonami, nieważne, co muszę pokonać, tobie powiem wprost: gówno mnie obchodzi, co będę musiał znieść, tortury, cierpienia, przez ile istnień, ty wiesz, czy cię kocham czule i

łagodnie, dziko i brutalnie, jak jesteś naga i się owijasz wokół mnie…

Vern uważnie obserwował Gary'ego. Kiedy wszyscy położyli się sPać, Gary włączył radio tak głośno, że praktycznie robił im na złość, potem się położył i sam udawał, że śpi, ale rzecz jasna nie mógł zasnąć. Po chwili wstał, wyłączył radio, pętał się tam i z powrotem, rzucał

groźne spojrzenia, jakby miał zamiar przyładować pięścią w ścianę potem znów próbował zasnąć.

Evelyn Gray, bardzo miła pani, szczupła, w średnim wieku w okularach i ruda, z krótkimi kręconymi włosami, jakby regularnie odwiedzała salon piękności, podeszła do Gary'ego starając się go pocieszyć.

–Gary – powiedziała – czy jest coś, co mogłabym dla ciebie zrobić?

Gary podniósł na nią wzrok i odrzekł:

–Nigdy nie chciałem niczego prócz odrobiny miłości. Evelyn Gray wróciła tak poruszona, że zalała się łzami.

–Masz ci los – powiedział do siebie Vern. – Nigdy nie chciał * niczego prócz odrobiny miłości.

Wcześniej tego wieczoru, kiedy strażnicy wyprowadzali Gary'ego z celi na spotkanie gości, przynieśli też jego dobytek. Mieścił się w kilku kartonowych pudłach, plastikowe torby zaś zawierały listy, które otrzymał. I teraz, po nieudanej próbie odpoczynku, Gary wstał i zwrócił się do Verna:

–Chcę ci pokazać parę rzeczy.

Usiedli blisko siebie i Gary robił przegląd różnych drobiazgów i zagranicznych monet. Potem poprosił Verna o pomoc przy

zaklejaniu paczki dla Nicole. Zaczęli wybierać listy i różne znaczące przedmioty Kiedy skończyli, Gary przestawiał kartony. W pewnej chwili podniósł wzrok i powiedział:

–Vern, jak oni tego nie zrobią,-" to ja się zabiję.

Mówił tak cicho i spokojnie, że Vern w końcu nabrał przekonania, że nadszedł ten dzień i Gary nie będzie długo zwlekał, gdy już minie godzina. Tak czy inaczej, mówił sobie Vern, nie dożyje południa.

Ostatni raz przejrzeli papiery i Gary zdjął ten kapelusz Robin Hooda, co go dostał od Verna, i włożył do pudła dla Nicole. Potem zakleił karton.

–Chcę, żebyś przysiągł, że to wszystko będzie dla niej – powiedział, a Vern odrzekł:

–Wiesz, że zrobię wszystko, co zechcesz.

ROZDZIAŁ 34

Ponad kraj górzysty

Ledwo Earl, Bili Barrett, Mikę Deamer i reszta dotarli do biura, zadzwonił Bob Hansen. Powiedział, że sędzia Lewis zgodził się wysłuchać odwołania w ciągu najbliższych godzin, lecz zażądał, by werdykt wydawał skład trzyosobowy w Denver. Wobec tego Hansen zawiadamiał swoją drużynę, że wszystkie papiery muszą być gotowe na odlot z Salt Lakę o czwartej rano. Zważywszy na prędkość awionetki, lot nad górami potrwa dwie godziny, lecz dolecą przed świtem, o szóstej. Niewiele czasu zostawało na przygotowanie stosownych dokumentów do złożenia w sądzie Dziesiątego Obwodu.

Earl nie odczuwał nic poza zmęczeniem. Musieli robotę wykonać od ręki, w środku nocy, bez sekretarek. Jak na ironię, to właśnie było najgorsze. Podbudowę prawną opracowali już wcześniej. W czasie, jakim dysponowali, mogli swobodnie przygotować dokumenty. Na Przykład Earl był trzy godziny do przodu ze swoim pozwem o nakaz wyższej instancji, gdyż miał go w brudnopisie z czasów, kiedy Ritter zezwolił „Tribune" na wyłączne wywiady z Gilmore'em w listopadzie. Teraz pozostawało tylko dopasować odpowiednie fakty ze sprawy bieżącej do uprzednio poznanej procedury. Jednak zwyczajna nieobecność sekretarek opóźniała pracę. Schwendiman i Dorius zasiedli ^o pisania na maszynie, potwornie wolno. Earl cierpiał katusze na myśl, że to tak wysoko, w sądzie Dziesiątego Obwodu w Denver, Mogliby złożyć dokument pełen błędów maszynowych. Powiedziano mu co prawda, żeby tylko przygotował cokolwiek, lecz on uważał za

coś potwornego doręczenie niechlujnie przepisanej kartki. Ulżyło mu kiedy dyspozytorka szeryfa z Salt Lakę przysłała do pomocy dwie dziewczyny.

Pojawiły się inne problemy. Telefon od Gary'ego Gilmore'a. Rzecz jasna, nie odebrali go osobiście. Wszyscy obecni w biurze zareagowali tak samo: „Nie rozmawiać z nim."

Jeszcze im tego brakowało: rozmowy ze skazanym przez nich człowiekiem. Tak czy owak, na Earlu to zrobiło wrażenie. Wciąż się spodziewał, że Gilmore w ostatniej sekundzie powie: „Składam odwołanie."

W pewien sposób już oszukał społeczeństwo i teraz, na sam koniec, wystawi je do wiatru. Lecz pośród ciemnej nocy Earl począł wierzyć, że może ten Gilmore rzeczywiście chce wykonania swego wyroku.

Urzędnikom Prokuratury Generalnej zaczął ciążyć nowy niepokój. Bob Hansen planował przerzucenie ich do Denver przed szóstą rano, lecz egzekucję wyznaczono o wschodzie słońca, czyli o siódmej czterdzieści dziewięć. Czy w ciągu godziny i pięćdziesięciu minut od wylądowania zdążą dojechać do sądu, odbyć rozprawę i uzyskać orzeczenie sędziów? Jeden z ich kancelistów nazwiskiem Gordon Richards spędzał noc w więzieniu zastępując Earla, Dorius zadzwonił więc do niego. Richards powiedział, że o ile Sam Smith nie dostanie potwierdzenia do siódmej piętnaście, nie będzie w stanie, powtarza: nie będzie w stanie przeprowadzić egzekucji o siódmej czterdzieści dziewięć. Poza tym Gordon będzie potrzebował kodu w rodzaju „Mickey z Wirginii Zachodniej", by mieć pewność, że z Denver dzwonią osoby uprawnione. Dorius wiedział, że Howard Philips, szef Kancelarii Dziesiątego Obwodu, mieszka przy ulicy Eudora w podmiejskiej dzielnicy Park Hill, wobec tego podał Richardsowi: „Eudora z Park Hill".

Następnie Dorius zajął się sprawdzaniem, czy rzeczywiście wymaga się, by wyrok sędziego Bullocka został wykonany o siódmej czterdzieści dziewięć. Sprawdził odpowiednie przepisy w ustawie Utah i oczywiście dwa istotne fragmenty kłóciły się ze sobą. Ustęp 77-36-6 głosił, że sąd wyznacza dzień przeprowadzenia egzekucji, natomiast pod 77-36-15 widniało

stwierdzenie, że naczelnik wykonuje wyrok o określonej porze. Earl miał prawny orzech do rozgryzienia. Dzień przeciw Porze.

Można przypuszczać, że sędzia Bullock wyznaczył czas egzekucji o wschodzie słońca wyłącznie dla nadania kolorytu Dzikiego Zachodu. W zasadzie była to zbędna figura językowa. Earl czuł, że można ją pominąć, zwłaszcza jeśli drugi ustęp stwierdza, że jeśli egzekucja nie zostanie przeprowadzona w wyznaczonym dniu, wówczas należy wyznaczyć nową porę. Zdecydowanie wynikało z tego, że „pora" używana jest jako synonim „dnia". Nie miało sensu założenie, że jeśli wyznaczono datę i egzekucja nie odbyła się, to następny termin egzekucji musi być dotrzymany bardziej precyzyjnie, czyli z dokładnością co do minuty. Taka praktyka mogłaby wywołać chaos. A jeśli naczelnik dałby znak o sekundę za późno? Niewykonalne! Earl doszedł do wniosku, że intencją ustawodawcy było oznaczenie dnia, nie zaś godziny. Stąd określenie sędziego Bullocka,,o świcie" mogło zostać uznane za językowy ozdobnik.

Tak wyglądały jego przemyślenia.

Omówił je krótko z Mikiem Deamerem. Jako zastępca prokuratora generalnego, Deamer będzie bronił twierdzy w Salt Lakę, podczas gdy Bob Hansen, Schwendiman, Barrett, Evans i Dorius polecą do Denver. Pospiesznie zakończyli rozmowę. W końcu trzeba było szykować papiery. I tak mieli opóźnienie. Start Boba Hansena wyznaczony na czwartą rano musiał zostać przełożony. Wskazówki galopowały po tarczy zegara podobnie jak serca rozsadzane niepokojem.

W Waszyngtonie Al Bronstein, prawnik ACLU, odebrał telefon o piątej rano czasu wschodniego. W Utah była zaledwie trzecia. Dzwonił Henry Schwarzschild, szef Krajowej Koalicji Przeciw Karze Śmierci i powiedział Bronsteinowi o zamierzonej wyprawie Boba Hansena do Denver. Schwarzschild sam przed chwilą się o tym dowiedział i nie oglądał jeszcze żadnych dokumentów, sądził jednak, że prokurator generalny występuje o nakaz wyższej instancji przeciw sędziemu Ritterowi, dlatego

Bronstein miał się udać do Sądu NajwyżSZego i tam być do dyspozycji na wypadek, gdyby Dziesiąty Obwód Uchylił decyzję sędziego. Wobec tego Bronstein spędził resztę nocy na sPorządzaniu dokumentów prawnych, nie znając oznaczenia sprawy

ani jej nazwy. Kompletnie bez znajomości punktu wyjścia. Kto przeciw komu? Zadzwonił do Sądu Najwyższego, który według prawa miał być dosłownie otwarty całą dobę, lecz nikt nie odbierał.

Było po czwartej, kiedy Phil Hansen wstał z łóżka i nastawił radio Boże, usłyszał nagle w programie KSL, że prokurator generalny z chmarą urzędników wybiera się samolotem do Denver. Oczywiście zaraz zadzwonił do Rittera i sędzia powiedział, że mógł się tego spodziewać, dawno powinno mu się przyśnić, że wytną coś takiego. Mimo wszystko, im dłużej debatowali nad sytuacją, tym mniej wydawała się groźna. Obliczyli czas i nie było sposobu, by Dziesiąty Obwód zdołał przejść wszystkie szczeble procedury przed siódmą czterdzieści dziewięć. Zostało niewiele ponad trzy godziny. Niemożliwe, by go stracili o czasie. W najgorszym wypadku Dziesiąty Obwód wyznaczy nową datę wykonania wyroku. Phil Hansen pomyślał, że nazajutrz przyjdzie czas na złożenie pozwu obywatelskiego.

Judith Wolbach i i Jinks Dabney nie byli przygotowani na Denver. Wyszli od sędziego Rittera ramię w ramię, lecz kiedy dotarli na plac, okazało się, że pełno tam reporterów. Musieli uciekać do biura Jinksa. Judith lubiła dziennikarzy, Jinks zaś wręcz przeciwnie, nie znosił tego bagna, uciekli więc do biblioteki. Dziennikarze czekali już przed jego biurem. Wtedy zadzwoniła żona Jinksa Dabneya z wiadomością, że Bob Hansen chciał go powiadomić o nowym posunięciu.

Judith została w bibliotece, próbując sprawdzić procedury obowiązujące w sądzie Dziesiątego Obwodu, podczas gdy Jinks obdzwaniał linie lotnicze. Wrócił z informacją, że nie ma

żadnych lotów w rozkładzie. Dlatego nie może lecieć. Bob Hansen załatwił samolot, lecz nie ubezpieczony. On nim nie poleci. Judy powiedziała:

–Ależ Jinks, to ty masz doświadczenie z sądem Dziesiątego Obwodu. O wiele lepiej się nadajesz do tego zadania.

Dabney odpowiedział jej, że nic nie jest tego warte. Nie podejmuje osobistego ryzyka tego rodzaju.

Całkiem ją to zaskoczyło. Oczywiście na przestrzeni lat słyszało się o wielu osobach, które zginęły w katastrofach lekkich samolotów nad Górami Skalistymi. Można było nabrać przekonania, że w górach grasują demony. Zdarzało jej się już spotykać przypadki podobnych fobii i w normalnych okolicznościach pewnie by współczuła, lecz w tej chwili jej problem polegał na niedostatecznej znajomości prawa. Będzie musiała stanąć i samotnie wystąpić przed sądem Dziesiątego Obwodu. Nigdy przedtem nie była w Dziesiątym Obwodzie ani w innym sądzie tej instancji. Boże, to zupełnie jak wspinaczka trasą dla mistrzów. Miała ochotę wykrzyczeć: Ja studiowałam antropologię. Prawo jest dla mnie zbyt trudną dziedziną!

Słabo znała człowieka, lecz było jasne jak słońce, że Jinks nie poleci tym samolocikiem. – Nic nie jest tego warte – powtórzył cicho.

Przed wyjściem Judy Wolbach chwyciła spis procedury Dziesiątego Obwodu i parę tomów z serii American Jurisprudence. To było coś w rodzaju encyklopedii prawniczej dla początkujących. Udało im się z Jinksem dodzwonić do jakichś prawników ACLU w Denver, którzy mieli poważne doświadczenie z Dziesiątym Obwodem i obiecali spotkać ją w gmachu Sądu Federalnego. Powiedzieli, że biorą na siebie argumentację w kwestiach technicznych. Judy podziwiała ludzi ACLU z Denver. Cóż za szczęście, że tacy dobrzy adwokaci są gotowi pomóc, mimo zawiadomienia w ostatniej chwili.

Jazda na lotnisko okazała się straszliwa. Zadzwonił Hansen mówiąc, że ją zabierze i razem pojadą po sędziego Lewisa, a potem do samolotu. Judy nie miała najmniejszej ochoty lecieć z ludźmi prokuratora generalnego, lecz nie było wyboru. Podjechał Hansen, zabrał ją i powoli zaczęło się w niej gotować. Zamiast jechać na zachód, na lotnisko, musieli zawrócić przez całe Salt Lakę na Wschodnią Ławę po sędziego Lewisa. Cały ten czas Judith mogłaby wykorzystać na studiowanie zamiast się szlajać po tych ulicach vyLeague: alei harvardzkiej i Yale Crest, z wielkimi domami na wzór kamienic Nowej Anglii. Judy widziała tylko nagie konary wiązów kołyszące się Pośród nocy. Uważała to za małostkowe ze strony Hansena, że Wykręcił taki numer, i nie powiedziała mu o tym tylko dlatego, że on

prawdopodobnie odrzekłby, że chciał mieć świadka, który potwierdzi nieodbywanie żadnych rozmów z sędzią.

No ale w czasie, jaki zajęło mu przejście przez rozległy trawnik do drzwi frontowych sędziego, potem pogawędka w przedsionku, wresz-cię wspólna wędrówka do samochodu, zdążył powiedzieć wszystko, co chciał. Żadne tam przekabacanie, Hansen i sędzia Lewis rozprawiali o wędkarstwie i o tym, co dzieje się w biurze u jednego i u drugiego, Judy zaś myślała: Kurczę, tak bym chciała szepnąć sędziemu słówko, niech wie, o co chodzi, ale nic z tego. Hansen mówił o drewnianych kijach golfowych sędziego Lewisa. Judy słuchała, jak się rozwodzą o driverach i niblickach, i o tym, jak drewno wraca do łask. Świat mężczyzn! Powinna była zagadnąć sędziego o turnieje, w których uczestniczył, a potem wtrącić: „Tak przy okazji, mam właśnie pewnego klienta i byłabym zobowiązana, gdybyście go nie rozstrzelali."

Słyszała, że Lewis jest republikaninem z Utah, mianowanym do Dziesiątego Obwodu przez prezydenta Eisenhowera. Na pewno był ubrany jak konserwatysta; powściągliwy, gładko ogolony, o bystrym spojrzeniu – srebrny lis. Ze swym wyglądem szarej eminencji świetnie czułby się w sali posiedzeń zarządu jakiejś

korporacji. Podczas jazdy perorowali z Hansenem o wszystkim, tylko nie o sprawie. No i ładnie-pięknie, lecz przypomniało jej się, jak gazety cytowały wypowiedź sędziego Lewisa na temat sędziego Rittera. Wyrażał się niepochlebnie.

Na lotnisku Salt Lakę objechali główny terminal, żeby dostać się na pas startowy dla awionetek. Po przyjeździe na miejsce okazało się, że zastępcy Hansena jeszcze nie dotarli. Sędzia Lewis zdradzał niepokój, że robi się późno.

Dorius, Barrett, Evans i Schwendiman czekali wspólnie na skopiowanie ostatnich stron. O czwartej rano Schwendiman włożył dokumenty do kartonowego pudła i ruszyli biegiem przez korytarze do

wyjścia. Na zewnątrz otoczyli ich reporterzy w oślepiającym blasku reflektorów. Przy południowym wejściu czekał wóz patrolowy. Odjechali. Policjant włączył sygnał świetlny i pojechał na lotnisko trasą przez boczne ulice, na których Earl nigdy nie był. Pruli chyba setką przez te śpiące osiedla.

Na miejscu otoczył ich gwar pytań dziennikarzy, zgiełk, nawoływania, a niebieskawy blask tak raził w oczy, że ani Dorius, ani Schwendiman nie widzieli, dokąd idą, gdy podążali za innymi z hangaru na pas startowy i do samolotu, dwusilnikowego King Air, na którego pokładzie znaleźli się dwadzieścia po czwartej, zostawiając za sobą kłębowisko reporterów z reflektorami. Bob Hansen, Bili Barret, Bili Evans, Dave Schwendiman, Jack Ford – reporter stacji K.SL, sędzia Lewis, Judy Wolbach i Earl natychmiast wystartowali. Mieli już dziesięć minut spóźnienia.

Ledwie się wzbili w powietrze, Bob Hansen zagadnął drugiego pilota. Chciał znać prędkość samolotu, siłę wiatru oraz przewidywany czas lądowania. Potem poprosił pilota o sprawdzenie przez radio, czy będą na nich czekały taksówki. Czy kierowcy wiedzą dokładnie, z której strony lotniska

podjechać? Czy znają najkrótszą drogę do gmachu sądu? Nie zdawał się na łut szczęścia.

Judy dodatkowo irytowała się układem zajmowanych miejsc. Sędzia Lewis, chcąc uniknąć wciągania w rozmowę, a nawet słuchania wypowiedzi którejkolwiek ze stron, wybrał najbardziej niewygodne miejsce w całym samolocie: małe zapasowe siedzenie z tyłu, okropnie ciasne. Przed nim siedział reporter. Potem wzdłuż samolotu biegła z obu stron skręcająca półkoliście ława, na której siedziało się obok siebie. Judy posadzono tam między Hansenem i Schwen-dirnanem, co niestety przyprawiało ją o lekką klaustrofobię. Jeżeli w stanie Utah któryś prawnik nie wywoływał w niej gniewu, to właśnie Bob Hansen. Miał w sobie silny rys prawości. Przystojny, z nieruchomą twarzą bez wyrazu, w ciemnych rogowych okularach, Ciemnowłosy, w garniturze – całym swym wyglądem zdawał się to mówić: „Jestem wyłącznie urzędnikiem, wyłącznie biurokratą, wyłącznie politykiem."

Taką miała o nim Judy przychylną opinię.

Z drugiej strony uważała, że Schwendiman jest w porządku naprawdę fajny facet. Znała go jeszcze ze studiów, ale nie chciała wprawiać w zakłopotanie przypomnieniem dawnej przyjaźni.

Naprzeciwko siedział ten niewyżyty Dorius, przystrzyżony jak terier z wąsami, dziarski i gotów do kąsania, potem Bili Evans – następna owładnięta fanatyzmem owieczka. Obok Bili Barrett, wysoki, chudy facet w okularach i z wąsami. Boże, dookoła sami prokuratorzy generalni wraz z zastępcami, ale przygłupy!

Nie zważając na jej obecność Hansen pytał Doriusa, czy ten zbadał kwestię przełożenia egzekucji, Dorius zaś, też na nią nie zważając, odpowiedział, że sprawy precedensowe świadczą, iż egzekucja pozostaje w zgodzie z prawem, nawet jeśli odbywa się po upływie oznaczonej godziny z minutami. Hansen oświadczył, że informację tę należy przekazać naczelnikowi

Smithowi. Wtedy odezwała się Judith pytając, czy Hansen rzeczywiście uważa za właściwe składanie tak wielkiego ciężaru na barki naczelnika mimo „nader wątpliwych podstaw?

Już przedtem w samolocie panowało napięcie. Adwokaci przeciwnych stron nie powinni przed ważną rozprawą przebywać w bezpośredniej bliskości, zwłaszcza w obrzydliwie ciasnym samolocie, lecz „wątpliwe podstawy" do reszty zagęściły atmosferę. Hansen nie odpowiedział jej wprost, tylko w chwilę później poinstruował Schwen-dimana, żeby po wylądowaniu natychmiast telefonować do naczelnika, do sędziego Bullocka i do prokuratora okręgowego Wootona, niech wniosą poprawkę do nakazu egzekucji. Potem podyktował odnośne sformułowania: „W terminie późniejszym tego samego dnia, z chwilą usunięcia przeszkód prawnych, bądź w możliwie najkrótszym czasie od tego momentu." Judith wyjęła ołówek i notes, żeby zapisać jego słowa. Spodziewała się, że Hansen zareaguje na jej oświadczenie, że oto ma zamiar notować jego instrukcje w brzmieniu dosłownym, lecz ani drgnął. Powiedział tylko Schwendimanowi, żeby koniecznie powiadomić o tej poprawce Rona Stangera i prosić, by ją wziął pod uwagę.

Hansen cały czas się niepokoił o termin egzekucji. – Jak tylko wylądujemy, trzeba natychmiast zadzwonić powtórzył Schwendimanowi.

Judith myślała sobie: prawo w Utah wymaga rozprawy przed sądem, lecz wszystko załatwia się przez telefon. Okropność.

Postanowiła zachowywać się bardzo nieprzyjemnie. Zwracała się do nich z uśmieszkiem: – Przepraszam, co pan powiedział?

Hansen odpowiadał:

–Kazałem zadzwonić do tej i tej osoby – tu podawał nazwisko. Wszystko zapisywała. Czuła do nich nieprzepartą wrogość. Kiedy spytał pilota, czy silnik wytrzyma przy zachowaniu obecnej prędkości, pomyślała: Co ma nie wytrzymać, brachu,

skoro w połowie jest w rękach mormońskich, podobnie jak pół miasta.

Mormonizm, myślała Judy, dawne prymitywne chrześcijaństwo. Takie dosłowne. Pomyślała o mormońskich bigotach jak jej dziadkowie, stale noszących na ciele włosiennice, z którymi się nie rozstają nawet w łóżku czy podczas kopulacji. Może raz w tygodniu odważają się wystawić gołą skórę na nieczyste powietrze. Zupełnie jak faryzeusze. Zawsze podług litery prawa.

Nienawidziła krwawej pokuty. Dogmat w sam raz dla mieszkańców pustyni, pragnących przeżyć za wszelką cenę, myślała, tak jak dawni mormoni przed laty. Oni wierzyli w okrutnego i zazdrosnego Boga. Mściwego. Jasne, że z entuzjazmem przyjęli pokutę krwi. Posłyszała głos Brighama Younga: „Są grzechy, które można odkupić ofiarą na ołtarzu… i są grzechy, których nie odkupi krew jagnięcia, cielęcia ani turkawki. Muszą zostać spłacone krwią człowieka."

Jasne, dajcie upust swojej żądzy krwi i jeszcze rozprawiajcie o własnym miłosierdziu dla ofiary, albowiem pokuta krwi daje odkupienie. W końcu dajecie facetowi szansę pójścia do nieba. Te *umysły o życiu wiecznym bez wątpienia przyczyniają się do kary śmierci, przemocy i wojen. Przecież Brigham Young ze swoimi niezliczonymi żonami czekającymi w kolejce miał czelność oświadczyć, że jeśli ktoś przyłapie jedną ze swych kobiet na cudzołóstwie, powinien sPełnić dobry chrześcijański uczynek kładąc ją sobie na kolanach i wbijając jej w piersi nóż. Tym sposobem ona zakosztuje życia wiecznego. Nie zostanie zesłana w głąb zewnętrznych ciemności. Judy Prychnęła z pogardą. Prymitywne chrześcijaństwo! Całe szczęście, że Poszła na studia do Berkeley.

Kiedy pani Wolbach przestała już zadawać pytania, Earl przejrzał konspekt swojego wystąpienia, a potem próbował się zdrzemnąć. Lecz samolotem rzucało w ciemnościach. Bardzo silny wiatr od ogona wpędzał ich w coraz większe turbulencje.

Silniki pracowały pełną mocą i w kabinie aż wibrowało od huku. Dorius zaczął się niepokoić, że samolot może się wymknąć spod kontroli. Z pewnością leciał ciężko i nierówno. Jakieś piętnaście czy dwadzieścia minut od Denver wpadli w wyjątkowo silną turbulencję i po mocnym szarpnięciu zlecieli gwałtownie w dół. Dorius patrzył akurat do tyłu, kiedy to się stało, i zobaczył, jak sędzia Lewis wzlatuje w powietrze, wali głową w niski sufit i żeby się czegoś chwycić i nie rąbnąć więcej głową, zrzuca na podłogę dokumenty, które czytał.

Earla ogarnęło przerażenie. Słyszał wściekłe wycie wiatru i silników, a turbulencja była najgorsza, jaką dotąd przeżył. Przez głowę przemknęła mu myśl: O rany, a gdybym ja zginął, a Gilmore żył dalej – to byłoby dopiero!

Earl nie uważał, że Bóg nagradza ludzi za dobre uczynki lub karze za złe. Właściwie może być zupełnie na odwrót. Religia nie zapewnia nikomu bezpieczeństwa, nie w ten sposób. Na przykład obecny przywódca Kościoła Mormonów, Spencer Kimball, przeżywał jedną tragedię po drugiej. Kiedy miał dwanaście lat, umarła mu matka, w późniejszych latach zachorował na raka krtani i usunięto mu pół gardła. Mimo to nie zaprzestał wygłaszania kazań. Potem przeszedł operację na otwartym sercu. Człowiek nieskazitelny, a jednak przeżywał katastrofę za katastrofą. Może jest tak, że im słuszniej się w życiu postępuje, tym większe rzuca się wyzwanie przeciwnościom. Przeciwności tym usilniej starają się dopaść prawych ludzi. Dlatego ta turbulencja, której Earl wcale nie przypisywałby siłom potężniejszym czy bardziej złowrogim niż żywioły natury, skłaniała jednak do osobistej refleksji. To był lot najgorszy ze wszystkich.

Z tyłu, siedząc dosłownie na kiblu przykrytym miękką poduszką sędzia Lewis na swój sposób przeżywał trudy podróży i uderzywszy się w głowę postanowił wycyganić papierosa. Podczas swojej pracy w Obwodzie Sześciu Stanów dużo podróżował i przelatał chyba

z milion mil, lecz dawno nie leciał samolotem na śmigła. Może to przez hałas, a może dlatego, że ani on, ani pani Lewis oka nie zmrużyli Od soboty wieczór, bo po tamtej rozprawie z Athayem telefon bez przerwy dzwonił o zupełnie nieprzyzwoitych godzinach – wszak gazety mają prawo wiedzieć, co się dzieje w sądach federalnych – \v każdym razie sędzia przyłapał się na tym, że szuka ulgi w postaci papierosa. Od roku nie czuł takiej potrzeby.

Poza tym musiał o drugiej w nocy budzić Breitensteina w Denver z wezwaniem do sądu o świcie, następnie wysłuchać od Breitensteina paru słów, które trudno nazwać wyważonymi. Nie budzi się kolegów w środku nocy z taką wiadomością. A jednak z Gilmore'em coś należało zrobić. Te odroczenia coraz silniej kojarzyły się z karą okrutną i wyszukaną.

Sędzia Lewis się złamał. Może to sprawił guz na głowie. Koziołkowanie jak w podmuchach tajfunu. Zawołał, żeby go poczęstowano papierosem, i pilot odkrzyknął, że ma nie napoczęty karton, więc może całą paczkę? Sędzia się skusił, zapalił pierwszego papierosa od roku, i zanim sięgnął po drugiego, wiedział już, że znów zaczął palić i nieprędko przestanie. Zapalał papierosa, jakby wracał do domu.

Ojciec sędziego Lewisa był sędzią, starszy brat prawnikiem, on sam zaś dorastał bez najmniejszych wątpliwości, że kiedyś również zostanie prawnikiem, a może nawet sędzią. W jego rodzinie prawo stanowiło podobną wartość jak posiadłość ziemska. Dawało poczucie korzeni. Dzięki temu Lewis do pewnego stopnia rozumiał Rittera. Studiował nawet u Rittera na Wydziale Prawa Uniwersytetu Utah. Był w stanie Pojąć przesłanki decyzji Rittera z tej nocy. Lewis nigdy ostro nie skrytykował sędziego, który egzekucje uważa za rzecz oburzającą. Przecież wstrzymywanie wskazówek zegara przy najwyższym wymiarze kary jest dla sędziego ciężkim doświadczeniem. Zawsze potrzeba Czasu, by poczuć się

wolnym od uprzedzeń i wszelkich wątpliwości, Czy aby sprawa została zbadana wystarczająco wnikliwie.

Tego ranka jednak będą musieli się pogodzić z sytuacją odwrotną. ° to być może okrutne skazywać Gilmore'a na przeżywanie swojej egzekucji raz po raz. Lewis zapalił trzeciego papierosa, co odwróciło

jego myśli.

Zaczął się niepokoić, czy dzisiejsza egzekucja – pierwsza od wielu wielu lat – nie stanowi powrotu do dawnej krwawej łaźni. Czy nie zapoczątkuje nowej kanonady i pospiesznej likwidacji innych ludzi z cel śmierci? W żadnym wypadku nie poprawi to opinii Stanów Zjednoczonych w oczach świata. Lewis cieszył się, że w Denver wraz z nim rozpatrywać będą tę sprawę dwaj koledzy sędziowie.

Samolot wylądował spóźniony zaledwie o dziesięć minut i Judy doszła do wniosku, że jedyny sposób na zatrzymanie machiny, to złamać sobie nogę. Wtedy będą musieli odroczyć. Ale równie dobrze mogliby tego nie zrobić. Zresztą była zbyt wielkim tchórzem. Może i złamałaby sobie nogę, ale do tego musiałaby wpierw zostać własną klientką.

Na lotnisku Beechcraft Texaco dla awionetek przykołowali na miejsce. Na parkingu paliły się wyjątkowo jaskrawe reflektory, a kiedy wysiedli, zapaliło się ich jeszcze więcej. Dave Schwendiman zauważył, że znów robi się surrealistyczna atmosfera. Z Salt Lakę odlatywali w takiej właśnie scenerii, wylądowali – i znów to samo. Przedarli się przez ciemne niebo w straszliwej burzy tylko po to, by powrócić na ziemię rozjarzoną światłami. Otworzyły się drzwi samolotu i do wnętrza wejrzała jasność jak ze snu o wielkiej rewii. W krąg dziennikarze. Oślepieni prawnicy podążyli w stronę taksówek czekających z silnikami na chodzie.

Na placu przed gmachem sądu kłębili się nowi reporterzy z kamerami i mikrofonami. Reporter z Salt Lakę City, Sandy Gilmour z kanału drugiego, przyleciał do Denver przed nimi, własnym samolotem. Teraz się z nich naigrawał: „Co was zatrzymało?"

Chryste Panie! Do tego inne skecze. Sędzia Lewis miał kłopoty z dostaniem się do budynku. Strażnik zwykle pełnił tylko nocną służbę i nigdy przedtem nie widział naczelnego sędziego Dziesiątego Obwodu. Dlatego wcale się nie kwapił, by wpuścić kogokolwiek o taK nietypowej porze.

Nareszcie otworzyły się drzwi i sędzia nakazał wjechać windą na czwarte piętro. Dosłownie ścigali się z dziennikarzami, kto pierwszy.

Mniej więcej w tym samym czasie, o dziewiątej rano w Waszyngtonie, Al Bronstein przybył do szefa Kancelarii Sądu Najwyższego, Michaela Rodaka, z odręcznie napisaną petycją do sędziego White'a. Bronstein zatytułował swoje pismo: „Czcigodny Willis W. Ritter przeciw stanowi Utah", i wyjaśnił panu Rodakowi, że zaistniała tu pewna osobliwość proceduralna. Do wiadomości pana Rodaka: sąd apelacyjny w Denver jeszcze nie podjął decyzji, lecz czas ucieka i lepiej być z dokumentami na miejscu, gdy zajdzie potrzeba. Rodak powiedział:

–Doskonale, zaczekamy razem – i załatwił Bronsteinowi tymczasowe biuro.

ROZDZIAŁ 35

Świt

Toni wróciła z więzienia na tyle wcześnie, by spędzić trochę czasu z Howardem, zanim wstanie on o wpół do piątej, żeby pojechać do roboty na południe Utah w poniedziałek rano. Jednak w tej sytuacji prawie oka nie zmrużyli, a już trzeba było wstawać.

Gdy wróciła do więzienia, po raz trzeci, powiedzieli jej, że już za późno, by zobaczyć się z Garym. Jego goście wkrótce opuszczą Nadzór Maksymalny, nie można jej więc wprowadzić. To było bez sensu. Bardzo długo kazali jej czekać w Nadzorze Minimalnym, aż przyprowadzili Dicka Graya, który powiedział:

–Toni, nie próbuj się tam dostać. Zapamiętaj go z tej nocy. Potrząsnęła głową.

–Muszę się pożegnać. Dick Gray mówił:

–To może utrudnić Gary'emu drogę na stracenie. Jeśli ty się załamiesz, to on też może.

W tym momencie Toni odczuła, że Gary naprawdę się boi i nie chce umierać.

Kiedy Schiller dotarł do bramy o piątej czterdzieści pięć, strażnicy oczom nie wierzyli.

–Wcale nie wchodziłem wieczorem – oświadczył Schiller.

–Akurat – odparli. – Właśnie że pan wchodził.

–No tak – przyznał Schiller – owszem, wszedłem o siedemnastej trzydzieści, ale wyszedłem za pięć szósta.

Taka była jego odpowiedź. Wzruszyli ramionami. Wiedzieli, że kłamie, lecz cóż mogli poradzić? Przybył oficer, żeby go wprowadzić za druty. Schiller zaparkował samochód i pomaszerowali do Nadzoru Maksymalnego, w mroźną noc, gdy słońce dopiero się budziło gdzieś za górskim pasmem. Było jeszcze ciemno, lecz od wschodu niebo bladło powoli.

W górach brakowało może z pół godziny do świtu, lecz słońce miało wzejść dopiero za dwie godziny i Schiller cały czas chodził. Strażnik był bardzo miły. Wyczuwał chyba, że Schiller od dawna nie spał, bo powiedział:

–Jak pan chce odpocząć, to proszę bardzo.

Schiller nie wiedział, czy wszyscy tak samo czują zbliżający się koniec, w każdym razie ten strażnik miał bardzo miły charakter.

–Chce pan kawy? – zapytał.

Zwykły strażnik odprowadzający, a jednak Schiller odczuł taki spokój i pogodę, jak jeszcze nigdy w więzieniu. Była godzina za pięć szósta i kiedy się obejrzał, niebo zmieniło odcień z granatowego na ciemnoniebieski. Nad wschodnim horyzontem wstawał brzask i budynki więzienia przywiodły mu na myśl klasztor.

Wprowadzili go do sali widzeń w Nadzorze Minimalnym, gdzie znalazł się jako jeden z pierwszych. Usiadł rozmyślając o notatkach, jakie sporządzi podczas egzekucji, i sięgnął do kieszeni po notes – ten sam notes, na którym pisał bez patrzenia dwa dni temu – lecz miał ze sobą wyłącznie książeczkę czekową. Trzeba będzie notować na odwrocie czeków. Kiedy to sobie uświadomił, poczuł palący skurcz w bebechach, jakby go miało rozerwać. Popisowy numer tłuściocha. ' zaciśniętymi zębami przetrzymał skurcz, aż łzy mu stanęły w oczach. Niechby go teraz zobaczył jakiś reporter, ściskającego książeczkę Czekową.

Toaleta była zaraz obok sali widzeń i goniło go tam co pięć minut. W dodatku czuł straszne parcie na pęcherz, lecz nic nie chciało płynąć. Wszystko mu się tam w środku spierdoliło. W życiu nie czuł się tak jak teraz. Totalny obłęd.

Mikę Deamer, który został w Salt Lakę, siedział zaszyty w biurze, obłożony całą możliwą do zdobycia literaturą i szukał rozwiązania kwestii, do którego momentu po wschodzie słońca można przeprowadzić egzekucję zgodnie z prawem. Coraz bardziej się zniechęcał widząc, że nic nie wskóra. Na Deamera biły siódme poty; został sam z tak ważną kwestią na głowie i bez żadnych źródeł, na których mógłby się oprzeć. Na szczęście o wpół do siódmej zadzwonił z Denver Schwendiman z wiadomością od Han-sena. Nie muszą szukać oparcia w precedensach, jeśli Noallowi Wootonowi uda się skłonić sędziego Bullocka do przeredagowania nakazu.

Wooton całą noc leżał w łóżku odpędzając nienawistną myśl o poranku. Uważał, że nie ma powodu, by musiał oglądać rozstrzeliwanie. Kilka dni temu odbył konferencję z sędzią Bullockiem, który słowo „zaproszenie" w przepisach zinterpretował jako ofertę nie do odrzucenia. Wooton udał się do innego sędziego, lecz ten

stwierdził:

–Jest pan zobowiązany moralnie. Pan to zapoczątkował.

Jeszcze inny sędzia orzekł:

–A poślij ich pan do diabła.

Wobec tego Noall zwrócił się do naczelnika Smitha mówiąc:

–Z całym szacunkiem odrzucam zaproszenie. Sam Smith odparł:

–Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby pan jednak przybył. Prokurator generalny twierdzi, że na pana wypadło. I tyle.

Płynęły godziny. Nie spał, ale też nie włączał telewizji ani radia Dopiero kiedy Brent Bullock, jego śledczy, przyjechał rano, żeby mu towarzyszyć do więzienia, Noall usłyszał o zawieszeniu wydanym przez Rittera, lecz postanowił mimo wszystko jechać i zobaczyć, co się dzieje.

Kiedy wpadł do budynku Administracji, dowiedział się, że Bob Hansen poleciał do Denver. Akurat gdy naczelnik pytał, co robić, JeśLi nie będą gotowi przed siódmą czterdzieści dziewięć, z Salt Lake

zadzwonił Deamer. Chcieli, żeby Noall dopilnował zmiany sformułowań w nakazie wykonania wyroku.

Sędziego Bullocka trzeba było dopiero zapoznać z rozwojem wypadków. Był zdumiony. Nie spodziewał się, że ktoś mógłby w środku nocy łapać samolot. Nie podejrzewał, że dla takich spraw udaje się wyciągnąć sędziów z łóżka (ani z baru, jeśli o to chodzi), lecz nawet do siebie nie wypowiedział tej myśli. Noall zapytał, czy sędzia jest gotów przeredagować swój nakaz egzekucji w związku z problemem wschodu słońca. Sędzia Bullock nie miał czasu się zastanowić, poczuł tylko, że znów nachodzi go męcząca niepewność. Nie musisz skazywać go po raz drugi, tłumaczył sobie. Ta decyzja została dawno podjęta. Teraz jedyną kwestią jest godzina. Wobec tego odpowiedział Wootonowi „tak", wprowadzi zmiany w nakazie. Przypomniał sobie nawet, jak wtedy, w październiku, ustalił czas na ósmą rano, lecz w grudniu, gdy minął termin sześćdziesięciodniowy, naczelnik zapytał:

–Gdyby trzeba to było zrobić jeszcze raz, czy może pan wpisać wschód słońca? Ósma rano koliduje ze śniadaniem i porannym sprzątaniem w więzieniu. Z punktu widzenia administracji, najlepiej uporać się z tym wcześniej.

Sędzia Bullock powiedział:

–Oczywiście, w dowolnym czasie, wcześniej lub później. Jeśli chodzi o mnie, to może być nawet północ.

Wschód słońca to po prostu takie wojskowe skojarzenie; nie ma dobrej pory, żeby stracić człowieka. Nie trzeba być najzagorzalszym mormonem na świecie, żeby poczuć się trochę nieswojo skazując człowieka na śmierć, kiedy może wypadnie go spotkać tam, po drugiej stronie.

Około siódmej dziesięć do sali widzeń Nadzoru Maksymalnego weszło kilku strażników i obecni dowiedzieli się, że mają się teraz

z Garym pożegnać. Naczelnik zawiadamia, że należy postępować tak,

Jakby egzekucja była nadal aktualna. No i zaczęto przygotowania. oCzywiście dopóki nie nadejdzie wiadomość z Denver, nikt nie będzie

wiedział na pewno. W związku z tym dziwnie się stamtąd wychodziło.

Jakoś bezładnie. Evelyn i Dick Grayowie już poszli, przez podwójną bramkę przechodzili Ron z Vernem, kierując się dalej, do samochodu. Cline Campbell i Bob Moody zostali, podczas gdy Gary ściskał dłonie swoich stałych strażników. Jednego nawet otoczył ramieniem.

–Wiesz, jesteś równy gość – powiedział, a do innego zwrócił się z uśmieszkiem: – Jesteś kawał czarnego sukinsyna, ale i tak cię lubię.

Czarny strażnik przyjął to z humorem. Młodzi, twardzi ludzie bez skrupułów podchodzili i nieomal płakali. Potem już musiała wejść ta druga banda klawiszy. Stanęli trzymając w rękach

łańcuchy i kajdanki, ubrani w brązowe kurtki, prawdziwie postawni faceci – i Gilmore odwrócił się w ich stronę ze słowami:

–Dobra, zaczynajcie.

Był spokojny. Wyciągnął ręce i wtedy Campbell udał się do czekającego samochodu. Jednak znalazłszy się za podwójną kratą, obejrzał się i zobaczył jakąś szamotaninę. Chodziło o skuwanie nóg.

Moody widział to z bliska.

–Słuchajcie – powiedział Gary do strażników – to naprawdę niepotrzebne.

Strażnicy powtarzali:

–Takie są więzienne przepisy. Trzymamy się rozkazów. To był błąd. Gary dołował właśnie po niedawnym wzlocie od prochów. Zbliżała się katastrofa. Fatalny moment, by go naciskać.

Zanim się uporali, wyglądało to na gwałt zbiorowy. Jak gdyby musiał stoczyć tę ostatnią bitwę, by pokazać strażnikom, że nie będzie tego więcej znosił. Moody miał ochotę wykrzyczeć: Nie mogliście po prostu przyjść i powiedzieć „Dobra, Gary, już czas", potem zobaczyć, czy on wyjdzie jak człowiek? Jakby nie wyszedł, wtedy byście go skuli. Tępe, tępe bydlaki!

Szarpali Gary'ego, a on powtarzał:

–Nie jestem jeszcze gotów.

Szukał wzrokiem czegoś, co chciał zabrać na ostatnią chwilę; nie wiadomo, co to miało być. Złapali go i wypchnęli przez drugie drzwi. Inni strażnicy kazali Moody'emu opuścić salę, wyszedł więc na zewnątrz do samochodu, który miał go przewieźć w wyznaczone miejsce.

ROZDZIAŁ 36

Mickey z Wheeling i Eudora z Park Hill

Kiedy tylko urzędnicy Prokuratury Generalnej znaleźli się w sali sądowej, pojawił się trzyosobowy skład sędziowski. Wraz z Lewisem zasiedli sędziowie: William E. Doyle i Gene S. Breitenstein. Earl spojrzał na zegarek. Była za dziesięć siódma.

Wstał Bob Hansen, przedstawił swoich współpracowników i zaczął kreślić tło sprawy. Jeden z sędziów przerwał. Czy można od razu przejść do rzeczy? Bob przytaknął i poprosił Earla o zaprezentowanie pierwszej części uzasadnienia.

Earl rozpoczął od wstępnego komentarza. Nagle sędzia Lewis spojrzał w dół ze swej wysokiej ławy i zauważył, że nie ma nikogo ze strony ACLU. Coś przerażającego. Miejsca przy ich stole były puste. Nikt nie miał pojęcia, gdzie są. Earl został samotnie na podium.

Był wściekły. Wszyscy powinni zdawać sobie sprawę, że czas nagli. Na pewno ACLU rozmyślnie usiłuje opóźnić rozprawę. Earl stał tak trzy minuty, pięć minut, sześć, wreszcie uciekła i siódma minuta. Im dłużej czekał, tym większa narastała w nim złość. W końcu weszła do sali Judy z innym prawnikami ACLU i Earl zgromił ją wzrokiem. Właściwie to oboje mierzyli się wzrokiem. Piorunowała go spojrzeniem z taką samą furią.

Przy wejściu do budynku Judy miała w głowie jedną myśl: gdzie są jej ludzie? Niczego nie ustalono. Poszczególne partie wystąpienia zostały rozdzielone telefonicznie. Lecz zaraz w holu przemiła młoda osoba, której nazwiska Judy nie dosłyszała, zaprowadziła ją korytarzem do czwórki prawników ACLU, którzy czekali w pokoju adwokackim. Ledwo zdążyli usiąść, gdy przybiegł Schwendiman z kancelistą mówiąc:

–Już się zaczęło. Sąd wzywa na salę.

Dobry Boże, pomyślała Judy, ładny początek, z miejsca obraza sądu.

Potem próbowała wejść bez zwracania na siebie uwagi, lecz atmosfera była zbyt pompatyczna. Sędziowie w togach siedzieli na ławie ustawionej wyżej, niż zdarzało jej się dotąd widywać. Chyba ze dwa metry nad ziemią. Zwracając się do nich, człowiek czuł się tak, jakby klęczał.

Zaraz Dorius zaczął piorunować ją wzrokiem. O siódmej rano! O tej porze Judy bez trudu przychodziło rzucanie ponurych spojrzeń. Po prostu mówiła sobie: nienawidzę i pogardzam, następnie wyrażała to mimiką.

Earl kontynuował swój wstęp.

–Wysoki Sądzie – mówił – mamy poważny problem z czasem. Pan Gilmore ma wyznaczoną egzekucję na godzinę siódmą czterdzieści. Była siódma.

Sędzia Lewis dał mu piętnaście minut na przedstawienie argumentów, lecz Earl skończył w niespełna dziesięć. Napięcie, jakie odczuwał, przydało siły jego argumentom. Oświadczył, iż strona powodowa rozpoczęła akcję o dwudziestej pierwszej poprzedniego wieczoru, czyli trochę późno jak na wyrażenie niepokoju z powodu drastycznego łamania praw podatników. W pełni czuł słuszność tej uwagi.

–ACLU pod pretekstem pozwu zamierza opóźnić legalne działania władz stanowych. Ogarnęło go oburzenie. Żadnych odroczeń, mowy nie ma!

Stwierdził, że sędzia Ritter poważnie nadużywa sędziowskich uprawnień. Nikt nie był w stanie dowieść, że jakiekolwiek konkretne kwoty z budżetu federalnego zostały przeznaczone na dokonanie tej egzekucji. Ponadto sędzia Ritter uczynił założenie, iż ustawa Utah jest niezgodna z Konstytucją. Lecz kwestia zgodności z Konstytucją była już rozpatrywana przez

Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych. Gdyby w ustawie istotnie znajdowały się jakieś nieprawidłowości, Sąd najwyzszy nie wydałby orzeczenia, że Gary Gilmore może odrzucić prawo do apelacji.

Następnie Bili Barrett miał wykazać, dlaczego ACLU nie ma prawa występować z pozwem. Sąd jednak orzekł, że wpierw wysłucha ACLU. Wobec tego Steve Pevar, jeden z adwokatów ACLU, próbował dowieść, że ta sprawa nigdy nie była należycie rozpatrzona przez sąd. Od trzeciej rano do świtu co chwila naradzał się przez telefon z Dabneyem i wspólnie doszli do wniosku, że stan Utah nie ma prawa zwracać się o nakaz wyższej instancji, gdyż Ritter wcale nie nadużył swoich uprawnień. Gdyby gubernatorowi stanu Utah nakazano przesunąć gmach Kapitelu o trzy przecznice na południe, ponieważ został naruszony jakiś drugorzędny przepis, wtedy nakaz uchyla wyższa instancja. Tutaj zaś, przynajmniej na pierwszy rzut oka, chodzi o pozew w pełni umotywowany. Racja została potwierdzona. Przecież Prokuratura Generalna nie śmiałaby nawet zwrócić się do wyższej instancji, gdyby nie chodziło o Willisa Rittera. Im dłużej Dabney i Pevarem dyskutowali, tym większej nabierali pewności.

Jednak kiedy Pevar spróbował wygłosić te argumenty, sędzia Breitenstein okazał rozdrażnienie. No nie, Judith oczom nie wierzyła, jaką ten człowiek zrobił minę.

–Wiem, co prawo stanowi w tym przypadku – powiedział

Pevarowi. – Jak pan sądzi, co czytaliśmy od wpół do szóstej rano?

Klasyka. Młody adwokat poniewierany przez starego sędziego.

–Nie musi nas pan tu pouczać na temat prawa, ble, ble, dosyć się pana nasłuchaliśmy, ble, ble. Proszę przejść do meritum." Oto, co Judith Usłyszała. Taki rozsierdzony sędzia. Pevar próbował nawiązać do argumentu, że nie warto występować do

wyższej instancji z błahą sPrawą, lecz sąd tego nie przyjął. Po kilku minutach ACLU dostało ostrzeżenie, że przedłuża rozprawę. Wtedy wstał jeden z ich adwokatów i zapowiedział, że kontynuować będzie pani Wolbach.

Judith odbyła swoje wystąpienie. W pośpiechu przytoczyła to samo z czym wystąpił Jinks i w czasie swojej wypowiedzi gromiła wzrokiem Earla. Potwornie ją irytował tej nocy, wcale nie dlatego, że coś zrobił Po prostu uważał, że ma rację.

Kiedy Judith wróciła na miejsce, inny zawodnik z zespołu ACLu wypowiedział się przeciwko karze śmierci w ogólności. Sędziowie mu zaraz przerwali. Rozprawa toczyła się coraz prędzej. Bili Barrett znów spróbował omówić kwestię statusu strony powodowej, lecz sąd odrzekł, że zapoznał się już z tą sprawą. Przedstawiciele Prokuratury zechcą łaskawie przejść do dalszych kwestii. Bili Evans zaczął bronić zgodności praw Utah z Konstytucją. Sędziowie mu przerwali. Oświadczyli, że to nie należy do sprawy. Wystąpienia trwały coraz krócej. Kiedy następny z adwokatów ACLU wdał się w rozważania o najwyższym wymiarze kary, sąd odebrał mu głos i ogłosił przerwę. Sędziowie mieli wydać pisemny werdykt.

Przed opuszczeniem ławy sędzia Lewis przemówił: – Wśród osób, którym przysługują pewne prawa, znajduje się również pan Gilmore. Nawet gdyby doprowadzenie do tej egzekucji miało okazać się błędem, on sam ją na siebie sprowadził. Sąd opuścił salę.

Earl Dorius poprosił Dave'a Schwendimana, żeby łapał za pierwszy z brzegu telefon i dzwonił do Gordona Richardsa. Najpierw musi przedstawić się słowami „Eudora z Park Hill", a potem powiedzieć Gordonowi, żeby czekał przy telefonie. Schwendiman natychmiast udał się do kancelarii, przez całą drogę starając się nie biec, tylko iść. Nie było tam nikogo prócz sekretarki, wobec tego usiadł na wolnym krześle i zamówił telefon na rachunek abonenta do Richardsa w Więzieniu Stanu Utah. Podał hasło i powiedział, że wszystko wskazuje na ich

wygraną. Żeby nie przerywać połączenia, gawędził z Richardsem, który mu mówił, jaka mroźna była noc i że zarówno furgonetka do przewozu Gilmore'a, jak i pojazd dla świadków stoją w pogotowiu przed Maksymalnym i Minimalnym Nadzorem. Z zapuszczonymi silnikami.

Czekając w sali sądu na decyzję, Earl był pewien wygranej. Nawet się odprężył, po raz pierwszy od paru dni. Zwrócił się do Boba Hansena i począł mu dziękować za pędzenie ich wszystkich do roboty

(za lot do Denver. W trakcie swej wypowiedzi uczuł taki przypływ emocji, aż się w pewnym momencie przeraził, czy nie wygląda płaczliwie. Bez wątpienia czuł wdzięczność, że trafił im się prokurator generalny, który potrafi tak głęboko zaangażować się w sprawę i nie waha się przed wyciskaniem ostatnich sił ze swoich podwładnych.

Sędziowie wrócili po trzech minutach. Nie odczytali wyroku. Zrobił to za nich szef Kancelarii Howard Philips, głosem suchym i pozbawionym emocji. Kiedy czytał, Judy pomyślała, że zaniedbali tyle spraw. Przede wszystkim nie mieli pisarza sądowego. Nie będzie stenogramu. Straszne. Trach! Sędziowie wyszli. Trach! Wrócili. Siedziała i słuchała werdyktu.

„Sąd orzeka, co następuje. Uchylona zostaje decyzja niższej instancji. Tymczasowy nakaz wstrzymania egzekucji wydany około godziny pierwszej zero pięć po północy przez czcigodnego Willisa W. Rittera, sędziego w Sądzie Okręgowym stanu Utah, zostaje niniejszym całkowicie unieważniony. Czcigodnemu Willisowi W. Ritterowi zakazuje się podejmowania w jakikolwiek sposób wszelkich akcji mających związek z Garym Gilmore'em, jeśli sprawa nie zostanie przedłożona przez prawowitego pełnomocnika Gilmore'a bądź samego Gilmore'a. Sporządzono o godzinie siódmej trzydzieści pięć, siedemnastego stycznia 1977 roku."

Earl wybiegł z sali, wpadł na grupkę dziennikarzy i krzyknął, żeby zeszli mu z drogi.

Dave Schwendiman usłyszał hałas w korytarzu i zaraz wtargnął Earl, złapał słuchawkę i oświadczył Richardsowi, że zawieszenie uchylono. Więzienie powinno podjąć niezbędne kroki w celu odbycia egzekucji.

Na drugim końcu linii w głosie Richardsa wyczuwało się ogromne napięcie. Dopytywał się, czy to decyzja ostateczna i czy druga strona zamierza odwołać się do Sądu Najwyższego. Earl powtórzył przebieg Wydarzeń bardziej szczegółowo i nakazał Richardsowi wydać polecenie wszczęcia egzekucji. Gordon odrzekł, że potrzeba przynajmniej pół Sędziny. Czy to koniecznie musi być dokonane przed świtem? Bo się nie ^ wyrobią. Dorius powiedział, że według ostatecznych wniosków Jedyną istotną sprawą jest dzień, nie godzina. Richards dalej się wahał.

Powiedział, że porozmawia z Deamerem. Dorius wyraził zgodę. Niech sprawdzi u Deamera.

Głos Richardsa w dalszym ciągu jednak zdradzał napięcie. Zapytaj czy ACLU mogłoby uzyskać w ciągu pół godziny zawieszenie w Sądzie Najwyższym Stanów Zjednoczonych?

Mogliby. Mało prawdopodobne, lecz możliwe. Taka wiadomość jeśli w ogóle nadejdzie, będzie przesłana bezpośrednio przez Sąd Najwyższy. Hasło brzmi: „Mickey z Wheeling, Wirginia Zachodnia." Richards powtórzył, że zadzwoni do Deamera.

Nagle wpadli adwokaci ACLU. Chcieli dzwonić do Sądu Najwyższego. Jednak Howard Philips, który wszedł razem z nimi, powiedział, że zabrania się korzystać z jego telefonu. Faceci z ACLU natychmiast wycelowali palce w Doriusa. On korzysta, to dlaczego oni nie mogą? Philips odrzekł, że nic nie wiedział, i wyprosił Earla. Ten zaraz wyszedł. W tym momencie

Philipsa ruszyło sumienie i zaofiarował ludziom z ACLU pełną kieszeń ćwierćdolarówek. Żeby mieli co wrzucić do automatu.

Kiedy już sobie poszli, Dorius stanął na korytarzu i wyjrzał przez okno na czwartym piętrze. Na placyku poniżej dostrzegł reporterów przeprowadzających wywiad z Bobem Hansenem. Nad Denver wstawało słońce i Doriusa ogarnęło ciepłe uczucie satysfakcji, że w takich warunkach przedstawili najlepsze uzasadnienie z możliwych. W swoim odbiciu na szybie zauważył, że ma zarost na policzkach i czerwone oczy. Potrzebował kąpieli, lecz czuł się dobrze.

Sędzia Lewis rozpamiętywał, jakie to było nieprzyjemne. Prawdopodobnie najbardziej nerwowe i wyczerpujące chwile, jakie przeżył na ławie sędziowskiej. Wreszcie powiedział sobie: Sąd Najwyższy nigdy się do tego nie wziął. Mieli mnóstwo okazji, lecz nie skorzystali.

Żywił uzasadnione przeświadczenie, że wraz ze swymi dwoma kolegami z ławy miał słuszność.

ROZDZIAŁ 37

W drogę

Gordon Richards zadzwonił do Mikę'a Deamera o siódmej trzydzieści pięć i oświadczył, że Denver uchyliło zawieszenie Rittera. Czy można w takim razie przystępować do egzekucji? Deamer był kompletnie zaskoczony. Wrzasnął do słuchawki:

–Naprawdę?!

Totalny szok.

Deamer zupełnie się nie spodziewał, że to nastąpi tak szybko. Myślał raczej, że sprawa się przeciągnie o kolejne trzydzieści dni, a jeżeli nawet miałoby nastąpić rozstrzygnięcie, to nie z samego rana. Że koło południa nadejdzie może jakaś wiadomość. Czym prędzej się opanował i powiedział Richardsowi, że naczelnik może zaczynać. Richards wciąż miał wątpliwości. Mówił, że ACLU usiłuje się odwołać do Sądu Najwyższego. Czy nie powinni zaczekać? Deamer odrzekł, że jedyny obowiązujący w tej chwili dokument prawny to nakaz sędziego ftullocka z poprawką dotyczącą pory dnia. Nie widać żadnych Przeszkód natury prawnej. Żaden przepis nie nakazuje im oczekiwać zawieszenia egzekucji przez jakikolwiek sąd, w tym Sąd Najwyższy, Deamer wiedział, że przewiezienie Gilmore'a z Nadzoru Maksymalnego do puszkarni zabierze przynajmniej pół godziny. Ponieważ Denver podjęło decyzję, nie ma powodu zwlekać.

Jednak zaraz po skończonej rozmowie z Richardsem zatelefonował do Dziesiątego Obwodu i skontaktował się bezpośrednio z Howardem

hilipsem, prosząc o potwierdzenie wyroku. Philips odczytał mu go

przez telefon. Po chwili zadzwonił reporter UPI, który znał numer do prywatnego gabinetu Deamera, z prośbą o wywiad. Deamer powiedział, że do niego oddzwoni, lecz reporter dalej zadawał pytania, może nie nachalnie, lecz natarczywie, toteż Deamer, chcąc zakończyć te rozmowę, był zmuszony powiedzieć:

–Tak, mamy zamiar przeprowadzić egzekucje.

Nie chciał odprawiać dziennikarza z niczym.

Koło siódmej pięćdziesiąt pięć zadzwonił znów Gordon Richards. Gilmore'a przewieziono na miejsce egzekucji i Sam Smith jest gotów zaczynać. Co Deamer radzi? Ponownie Mikę poczuł się zaskoczony tempem rozwoju wydarzeń. Zapewniał Richardsa, że nic mu nie wiadomo o żadnym zawieszeniu, i kazał rozpoczynać. Prosił o telefon, kiedy już będzie po wszystkim.

Deamer czuł, że to ważne, by przejął odpowiedzialność. Gordon Richards był tylko studentem trzeciego roku prawa. Gdyby samodzielnie wydał decyzję w tak ważnej sprawie, mogłoby mu to zaszkodzić w przyszłej karierze prawnika. Stanowa Komisja Adwokatury nigdy nie wybaczyłaby studentowi nadużycia uprawnień. Dlatego Deamer wyraźnie dawał do zrozumienia, że to on, Deamer, nakazuje: stracić Gilmore'a. Gdyby ACLU złożyło później pozew Niesłusznej Śmierci, on będzie człowiekiem ponoszącym odpowiedzialność. Deamer mógł oczywiście skontaktować się z Bobem Hansenem, ale ten zwykle miał identyczny pogląd na większość tematów, stąd Mikę był pewien, że Bob nie dałby innej odpowiedzi. Niech nas skarżą, pomyślał. Wiedzą, gdzie nas szukać.

Mógł również zadzwonić do gubernatora Mathesona, by się dowiedzieć, czy w tamtych rejonach nie wystąpiła jakaś zmiana nastawienia, lecz odbył już z tym człowiekiem wiele rozmów i gubernator stale twierdził, że nie chce być wplątany. Po co więc nagle dawać po temu okazję? O ile mu było wiadomo, Matheson

spał właśnie w domu twardym snem. Deamer nie miał ochoty budzić gubernatora, wzywać go z samego rana i narażać na zdenerwowanie tylko po to, by nagle samemu orzec: „no tak, trzeba by się ruszyć", i dopiero wykonać telefon do więzienia. Uważał, że równie dobrze można gubernatora z tego wyłączyć.

Cały czas Deamer miał nadzieję, że uporają się z tym w okolicach siódmej czterdzieści dziewięć. Trzymanie się wschodu słońca upraszcza

problem. Chociaż znał wywód Doriusa, że pora oznacza dzień, sądził, że można wysunąć kontrargument domagający się wprowadzenia pewnej ścisłości w określaniu terminu. Przeciwna strona mogłaby wystąpić z zarzutem, że nowy nakaz sędziego Bullocka został uzyskany wbrew zasadom, ponieważ nie odbyła się w tym celu rozprawa i Deamer nie widział powodu, by wzmacniać ich argumenty. Im bliżej wschodu słońca Gilmore zostanie stracony, tym lepiej. Prawo nie rozdmuchuje błahostek. Mniej będą narażeni na zarzuty, jeśli egzekucja spóźni się o parę minut, nie zaś o parę godzin.

Jednak kiedy już nakazał Richardsowi rozpoczynać, dotarło do niego, że tutaj, przy biurku, w jego rękach spoczywa bijące serce Gary'ego Gilmore'a. To była taka chwila prawdy. Deamer od sześciu lat był w rezerwie, miał za sobą pół roku służby w artylerii, lecz nigdy nie brał udziału w walce. Dlatego zaczął się zastanawiać, czy jego emocje nie są zbliżone do uczuć kogoś, kto wie, że za chwilę przyjdzie mu kogoś zabić. Na pewno jego reakcja była mniej jednoznaczna niż się spodziewał. Na przykład po odłożeniu słuchawki nie mógł usiedzieć na miejscu. W biurze było zbyt cicho i samotnie. Przesiedział w pracy całą noc, czuł się brudny i śmiertelnie zmęczony. Miał spory zarost i śmierdzące skarpetki. Zmęczony i wyczerpany do cna. Niedziele wiązały się z ogromem obowiązków. Był Numerem Drugim w biurze Boba Hansena, lecz także drugim doradcą swego biskupa. Obowiązki w kościele zabierały mu dwadzieścia pięć do czterdziestu godzin tygodniowo z wyjątkiem sytuacji, gdy

obowiązki prokuratora zajmowały sześćdziesiąt do siedemdziesięciu godzin, jak w sprawie Gilmore'a. Zresztą i tak spędził cały poprzedni dzień w kościele, a potem przepracował noc do świtu w poniedziałek rano. Uprzytomnił sobie, że nawet jeśli uznaje karę śmierci, przez ten długi czas zdążył się emocjonalnie wyładować. Jakoś zawsze się spodziewał, że przyjdzie mu kiedyś wykonać ten wyrok. W końcu był jego zwolennikiem.

Deamer uważał, że przychodzimy na świat, by zdawać egzamin ze sprawiedliwego życia. Kluczem jest skrucha. Człowiek w ciągu swego życia musi zadośćuczynić za wyrządzone zło, z wyjątkiem tych

zbrodni, za które w życiu nie ma przebaczenia. Jedną z nich jest morderstwo. Można uzyskać przebaczenie za morderstwo, lecz nie na tym świecie. Dopiero po śmierci. Wyrażając skruchę, człowiek po\vinien oddać swoje życie. Dlatego Deamer nie uważał, że dając hasło do egzekucji obraca wniwecz życie Gary'ego Gilmore'a. Raczej umożliwia Gilmore'owi przejście do sfery duchowej, gdzie w którymś miejscu na drodze do wieczności ten człowiek dostąpi przebaczenia za swoje morderstwa.

Deamer siedział samotnie w biurze, pogrążony w medytacji nad niechlujstwem swego wielkiego ciała i doszczętnie znużony, lecz miał poczucie spełnienia swoich celów i ambicji. Uważał, że człowiek zajmujący jego stanowisko powinien mieć możność podjęcia decyzji i obrony jej słuszności. Dlatego podczas oczekiwania po ostatnim telefonie Gordona Richardsa powiedział do siebie: Może nie bez powodu dostałem to zadanie. Może jestem właśnie tym, który sobie poradzi.

Taka myśl przychodziła mu do głowy przy wszystkim, co robił. Lubił myśleć o sobie, że został zesłany na ziemię z misją działania na rzecz lepszego społeczeństwa. Żywił nadzieję, że jego przeznaczenie stanowi część wielkiego planu.

Dlatego kiedy tylko Bob Hansen zrezygnuje z kandydowania na stanowisko prokuratora generalnego, Deamer będzie gotów. Od lat udziela się politycznie po stronie republikanów i ma swoje ambicje. Obejmą one wreszcie i stanowisko gubernatora. Kościół uznaje bowiem wolną wolę, lecz naucza także, że Bóg ma pewne zamysły, którym sądzone jest się spełnić, jeśli ludzie poradzą sobie z ich realizacją. Jeżeli Deamer zostanie kiedyś przywódcą obdarzonym władzą, prawdopodobnie jest mu to pisane i rzeczywiście zrealizuje ów zamysł. Częścią jego misji może być nawet przyjęcie ciężaru dzisiejszej egzekucji człowieka jako przygotowania do przyszłego ciężaru odpowiedzialności.

pozew o zawieszenie. Bronstein był na to przygotowany. W sprawie dotyczącej sądu obwodowego najpierw należy odwołać się do tego sędziego Sądu Najwyższego, który jest bezpośrednio wyższą instancją nad tym sądem, czyli w tym przypadku do White'a. Bronstein złożył następnie tę samą petycję sędziemu Marshallowi. Po kilku minutach została odesłana z adnotacją „pozew oddalony".

Po czym Bronstein zwrócił się o przekazanie petycji sędziemu grennanowi w celu przedłożenia wobec pełnego składu sędziowskiego. Michael Rodak poszedł to załatwić i po minucie wrócił do Bronsteina Francis Lorsen, zastępca szefa Kancelarii, i powiedział, że członkowie Sądu Najwyższego udawali się właśnie z garderoby na zwyczajną sesję, lecz zawrócili, by rozpatrzyć petycję Bronsteina. To bardzo niezwykłe. pięć minut później Rodak wręczył Bronsteinowi krótkie pisemko. Stwierdzało ono, iż Sąd Najwyższy w pełnym składzie wraz z przewodniczącym Burgerem odrzucił zawieszenie o godzinie dziesiątej zero trzy. W Utah minęły trzy minuty po ósmej i wykorzystano już wszystkie środki prawne. Nic nie mogło zapobiec egzekucji Gary'ego Gilmore'a.

W Waszyngtonie papiery Ala Bronsteina znalazły się w rękach sędziego White'a około dziewiątej czterdzieści, czyli siódmej

czterdzieści w Denver. Po dziesięciu minutach wróciły. Sędzia White je odrzucił.

ROZDZIAŁ 38

Łatwy odstrzał

W sali Nadzoru Minimalnego, dokąd strażnicy zaprowadzili Schillera, znajdowało się mnóstwo nie znanych mu osób. Ludzie wchodzili pojedynczo, próbując nie okazywać zmieszania, sięgali po składane krzesła i siadali. Nikt z nikim nie rozmawiał. Atmosfera nie była pogrzebowa, lecz panowała całkowita, dostojna cisza.

Wtedy weszła Toni Gurney. Nareszcie Larry zobaczył kogoś, z kim mógł się przywitać i pogawędzić. Wkrótce inni ludzie też zaczęli rozmawiać. Niezupełnie dlatego, że to on przełamał pierwsze lody; raczej dzięki temu, że jedna rozmowa już trwała.

Po chwili podszedł Vern i wskazał faceta, którego Schiller już przedtem zauważył, z wyglądu dość nieprzyjemnego i z wyraźnie widoczną peruczką. Towarzyszyły mu dwie kobiety o surowym wejrzeniu. Schiller przypuszczał, że to facet z zakładu pogrzebowego, lecz Vern wyjaśnił:

–To jest lekarz, który wyjmie Gary'emu oczy.

Potem wszedł do sali Stanger kipiąc wściekłością. Sędzia Bullock opóźnił nakaz. Gary'ego można stracić o dowolnej porze dnia.

–Wyobrażasz sobie, Larry?

Schiller zauważył, że Stanger nie chce, żeby Gary'ego stracono, i rzeczywiście, kiedy przyszedł Moody, Ron nadal utrzymywał, że to

będzie jeszcze jedna próbna jazda. Egzekucja po prostu nie dojdzie do skutku. Schiller podsłuchał, jak ktoś w kącie mówi:

–Mogą nas tu trzymać ze trzy godziny.

Wtedy przez tylne drzwi wpadł strażnik, wołając coś przez ramię.

–Sąd uchylił – krzyknął. – Zaczynamy!

W tym momencie Stanger po raz pierwszy pojął, że Gary Gilmore zostanie rozstrzelany. Przeszył go ból, jak od ciosu w klatkę piersiową. Potem go zmroziło. Wrażenie było straszliwe. Uderzyła go niezwykłość tej reakcji. Pierwszy raz w życiu poczuł w sobie każdy nerw. Serce /mieniło mu się w bryłę lodu. Zerknął na Schillera, który notował coś na jakimś świstku, i pomyślał: Jak dobrze, że on to wszystko zapisuje, bo ja nie byłbym w stanie palcem ruszyć. Nie wiem, czy dam radę zrobić jeden krok.

Potem zabrano się do przewożenia gości. Kiedy Stanger szedł w asyście strażników do samochodu, wiedział, że wygląda, jakby miał zaraz zwymiotować. Czuł z bliska powiew śmierci i zastanawiał się, czy czasem nie zwariował, bo był już gotów zakładać się o milion, że Gary Gilmore nigdy nie zostanie stracony. Ułatwiało to Ronowi pracę. Nie przeżywał żadnych rozterek moralnych spełniając życzenia Gary'ego. Właściwie nie podjąłby się tego zadania, gdyby na serio uwierzył, że władze stanowe doprowadzą rzecz do końca. To przecież był tylko teatr. Ron nie przypisywał sobie większego znaczenia niż innym aktorom na scenie.

Na parkingu obudzili się reporterzy. Rozległo się trzaskanie drzwi od wszystkich furgonetek. – Jedzie pluton egzekucyjny! – zawołał ktoś.

Robert Sam Anson, korespondent „New Timesa", robił notatki. „Znowu bieganina. Sto metrów dalej, pod Maksymalnym, do bramy podjechał samochód policyjny, a za nim furgonetka. Teraz Smith udaje się do budynku: wyprostowany, zdecydowany, bez płaszcza, nie zważając na mróz. O siódmej czterdzieści siedem w drzwiach Maksymalnego pojawia się

nieduża grupka; nawet z tej odległości wyraźnie widać Gilmore'a. Ubrany jest w białe spodnie i czarny podkoszulek…

–Wygląda to całkiem nieźle – komentuje jeden ze strażników.

–Teraz zostanie tylko papierkowa robota – odpowiadainny kolega.

Wraz z pojawieniem się Gilmore'a reporterzy tłoczą się niczym spłoszone stado. Światła reflektorów tańczą bezładnie, podczas gdy ekipy usiłują zająć pozycje. Szefowie produkcji wykrzykują polecenia. Dokładnie naprzeciw budynku więzienia krzyczy do swego mikrofonu Geraldo Rivera, ubrany w czarną skórzaną kurtkę i dżinsy; wygląda fantastycznie, jak tylko on jeden potrafi.

–Zdejmij tło. Wykasuj. Puszczaj mnie na wizję. Będzie słychać strzały, obiecuję. Usłyszycie strzały."

Kiedy Gary wyszedł z Nadzoru Maksymalnego, poprowadzono go do furgonetki, gdzie usiadł za fotelem kierowcy. Obok usadowił się Meersman, potem wsiadł Sam Smith i trzej nowi strażnicy. Furgonetka z siedmioma pasażerami odjechała powoli: jedyny pojazd w ruchu na półkilometrowej drodze z Nadzoru Maksymalnego do puszkarni.

Ledwo ruszyli, Gary skutymi dłońmi sięgnął do kieszeni spodni, wyjął złożony papier i położył sobie na kolanie, by móc patrzeć. Było to zdjęcie Nicole wycięte z tygodnika; zaczął się w nie wpatrywać.

Gdy kierowca przekręcił kluczyk stacyjki, odezwało się radio, którego przedtem nie wyłączono. W furgonetce panowało takie napięcie, że wszyscy aż podskoczyli. Rozległy się słowa piosenki. Kierowca natychmiast sięgnął, żeby wyłączyć radio, lecz Gary podniósł głowę i powiedział:

–Proszę zostawić.

Wobec tego odjechali przy muzyce z radia. Słowa piosenki mówiły o locie białego ptaka. Refren brzmiał: „Una paloma blanca, ptakiew jestem na niebie, una paloma blanca, ponad góry lecę przed siebie.

Kierowca jeszcze raz spytał:

–Mam zostawić, niech gra? Gary powtórzył:

–^ Tak.

„Świta nowy dzień i rozprasza cień Lecę wysoko do słońca."

brzmiały słowa piosenki. –

Jechali dalej powoli, rozbrzmiewała piosenka i ojciec Meersman zauważył, że Gary nie patrzy już na zdjęcie. Wydawało się, że słowa były ważniejsze.

Kiedyś los mój się odwrócił, Na uwięzi przyszło żyć. Choć się nigdy nie poddałam, Ból wspomnienia w sercu tkwi.

Nikt się więcej nie odezwał i piosenka leciała do końca.

Wolności mej nie odbierze mi nikt, O, wolności mej nie odbierze mi nikt.

Skończyło się i dalej już jechali w ciszy. Przy puszkarni wysiedli pojedynczo, powtarzając czynności przećwiczone wczesnym rankiem, gdy ci sami strażnicy przeszli tę samą trasę z podstawionym człowiekiem w roli Gary'ego. I teraz wprowadzili go do puszkarni bardzo gładko i sprawnie. Meersman uważał, że praktyczne ćwiczenia przyniosły ogromną korzyść.

Zeszłej nocy wyleciałam we śnie jak biały ptak przez okno… Tej nocy powiem mojej duszy, niech mnie niesie do Ciebie.

Podczas całej jazdy z Nadzoru Maksymalnego do puszkarni, przy Piosence Una paloma blanca, ojciec Meersman nie doznawał szczególnych emocji jako takich. Jak w każdej innej sprawie, trzeba kolejno przechodzić poszczególne etapy, żeby wszystko się odbyło, jak należy. Takie myśli zaprzątały go niemal całkowicie; przewidywał przebieg

następnych etapów, żeby nawet przy wysiadaniu z samochodu nie zdarzyły się żadne potknięcia.

Ojciec Meersman uważał, że pięknie to zaplanowano. Weźmy chociażby skrupulatność poczynionych ustaleń, że kiedy pojazd wiozący Gary'ego Gilmore'a będzie przejeżdżał z Nadzoru Maksymalnego do puszkarni, na obszarze więzienia zostanie wstrzymany wszelki ruch i żaden pojazd prócz tego jednego nie będzie się poruszał, żeby ze względów bezpieczeństwa zapewnić należytą ochronę. Władze zmierzyły czas tego transportu stoperem, dzięki czemu wiadomo było – na ile w ludzkiej mocy jest wiedzieć – jak długo potrwa przejazd furgonetki od jednego budynku do drugiego, i ojciec Meersman do tego stopnia pochłonięty był logiką tej sekwencji, że nie doświadczał uczuć innych niż najgłębsza troska, by podczas całej operacji Gary Gilmore nie został czymś wyprowadzony z równowagi. Pragną} ochronić, jak należy, wewnętrzny spokój Gary'ego Gilmore'a w ciągu całej procedury, aż do końca. Zatopiony w milczących rozmyślaniach, owinięty w czarny zimowy płaszcz, ojciec Meersman dojechał wraz z innymi do puszkarni.

Teraz ważną sprawą było zaparkowanie furgonetki jak najbliżej schodów. Gary miał nogi skute łańcuchami i myśli ojca Meersmana zaprzątało pragnienie, by Gary'emu oszczędzić długiego, powolnego, bolesnego marszu. Właściwie ojciec Meersman nie wyzbył się obaw w kwestiach technicznych, dopóki cała procedura nie dobiegła końca, z chwilą, gdy po pokonaniu dziewięciu czy dziesięciu drewnianych schodków znaleźli się wszyscy w miejscu egzekucji i Gilmore został usadzony na tym

krześle. Wtedy dopiero ojciec Meersman poczuł, że są w domu i wszystko pójdzie, jak należy.

Noall Wooton opuścił biuro naczelnika, by przejść do puszkarni. Bez pośpiechu. Łudził się, że dopisze mu szczęście i kiedy tam dotrze, będzie po wszystkim, lecz szeryf okręgowy Utah specjalnie się zatrzymał, żeby go zabrać, i podjechali do drzwi magazynu, gdzie zastępca naczelnika Leon Hatch gestem zaprosił Wootona do środka. Pomieszczenie było duże, ze ścianami z bloków szarego cementu. Tylko tyle zobaczył, bo natychmiast przeszedł do tyłu. Zaskoczyła go duża liczba obecnych. Przed nim stało wielu wysokich facetów. Wszystko Wootonowi zasłaniali. I bardzo dobrze. Wcale nie miał

ochoty się przepychać. Po prostu został z tyłu wśród pustych puszek po farbie, starych opon i popsutych rupieci.

W Denver Earl Dorius spacerował po korytarzu i nagle zauważył przy telefonie redaktora Jacka Forda. Kiedy tylko Jack wyszedł z budki, Earl spytał, co się dzieje w więzieniu. Dowiedział się, że zaczęli i że samochód wiozący Gilmore'a właśnie podjechał do puszkarni.

Wówczas po raz pierwszy w ciągu okresu, który Earl uważał za czas próby, stało się dla niego realne, że zostanie zabity człowiek. Odczuł na własnych nerwach to samo napięcie, jakie zdradzał Gordon Richards, kiedy Earl przekazywał mu nowinę, i wyrobił sobie pewne pojęcie o uczuciach doświadczanych przez personel więzienia. Ogarnęła go fala współczucia dla naczelnika. Jego przyjacielowi Samowi Smithowi wypadnie niedługo dać rozkaz stracenia człowieka.

Przy tym Earl nie odczuwał krztyny litości dla samego Gilmore'a. Wpływ, jaki ten człowiek wywarł na życie rodzin swoich ofiar, a nawet daleko mniejszy wpływ na własne życie Earla w ciągu ostatnich paru miesięcy, kiedy dzieci prawie go nie widywały, wykluczał uczucie żalu. Zostało jedynie współczucie dla naczelnika.

Judith Wolbach po wyjściu z sali sądowej spojrzała przez wysokie okno w korytarzu na szary poblask świtu i zdała sobie sprawę z własnej pustki emocjonalnej. W tym momencie Judith najbardziej obchodziło, jak strasznie jest nieświeża. Nie miała żadnych szans wpaść tej nocy do domu czy zmienić bluzkę. Czuła się obrzydliwie zmęczona i spocona. Zdumiewał ją brak jakichkolwiek innych reakcji. Uważała, że sędziowie zachowali się podle, nie znosiła Doriusa, lecz nic poza tym.

Przed budynkiem Nadzoru Minimalnego samochody czekały na świadków egzekucji. Pod koniec krótkiej jazdy Schiller zobaczył, że do budynku z cegły i cementu zwanego puszkarnią podjeżdża tyłem wóz kempingowy. Pomyślał: przyjechali kaci.

Potem usłyszał nad głową warkot i przystanął zdumiony. Wydany przez więzienie regulamin dla dziennikarzy stwierdzał, że przestrzeń powietrzna dopiero od trzystu metrów nad więzieniem jest dostępna bez ograniczeń. Lecz tuż nad głowami fruwał im helikopter. Później Schiller się dowiedział, że którejś gazecie udała się ta sztuczka i zrobiono Gilmore'owi zdjęcia podczas transportu, ponieważ regulamin dotyczył samolotów, nie śmigłowców.

Z tyłu puszkarni Schiller zobaczył prowizoryczną budkę z czarnego płótna rozpiętego na platformie przeładunkowej i doszedł do wniosku, że tam czekają kaci. Później jego wóz skręcił za róg budynku i Schiller widział, jak Vern, Moody i Stanger wysiadają z samochodu przed nimi, a potem wchodzą po schodkach. Kiedy przyszła jego kolej, Schiller wszedł i dostrzegł kątem oka, że Gary siedzi po prawej stronie, przypięty pasami do krzesła. Jeszcze zanim się dobrze przyjrzał, uderzyło go, że pomieszczenie po stronie Gary'ego jest jasno oświetlone – nie tak rzęsiście jak plan zdjęciowy, jednak światła świeciły na Gary'ego, podczas gdy reszta pomieszczenia pogrążona była w ciemnościach. Siedział na niewielkim podwyższeniu. Jak na scenie. Krzesło tak rzucało się w oczy, że zamiast rozstrzelania można było oczekiwać egzekucji na fotelu elektrycznym.

Kiedy Schiller podchodził bliżej, widok tyłu głowy Gary'ego przemienił się w profil i wtedy Larry mógł dostrzec część jego twarzy. W tym momencie Gilmore dał znak, że go widzi, i Schiller też kiwnął głową. Wtedy zauważył, że Gilmore wcale nie jest ciasno przypięty do krzesła. Pierwszy wstrząsający szczegół. Wszystko luźne.

Miał pasy wokół rąk i nóg, ale wszystkie zapięte z parocentymet-rowym luzem. Mógłby wyswobodzić dłonie z tych więzów. Potem Schiller podszedł jeszcze bliżej i zobaczył przed sobą linię namalowaną na podłodze. Pilnujący powiedział:

–Dalej nie wolno.

Wobec tego wycofał się bokiem, mijając przód fotela. Kiedy znów mijał Gilmore'a po prawej, z lewej strony dostrzegł czarną zasłonę z podłużnymi otworami i ocenił odległość na siedem metrów od siebie i tyle samo od Gilmore'a. Później dobrze się przyjrzał.

Pierwszy raz od grudnia Schiller widział Gary'ego osobiście. Tym razem znać było po nim znużenie i wyczerpanie, wydawał się szczuplejszy i starszy niż poprzednio. Spojrzenie miał trochę szklane. Zmęczony stary ptak o bardzo jasnych oczach.

Gary w dalszym ciągu kontrolował sytuację i to była następna sprawa, która zrobiła wrażenie na Schillerze. Cały czas prowadził rozmowy, nie na tyle głośno, by dało się słyszeć ich treść, ale mówił coś do przypinających go strażników, do naczelnika i do księdza. Kręciło się przy nim chyba ośmiu ludzi w brązowych kurtkach. Schiller już miał zapisać, że to strażnicy, lecz właśnie tego postanowił się wystrzegać. Żadnego dziennikarskiego zgadywania. Dlatego nie napisze, że to służba więzienna. Po prostu ludzie w rudych kurtkach. Potem, kiedy już jego oko fotografa oswoiło się ze scenerią, nie mógł uwierzyć w to, co właśnie zauważył. Otóż fotelem skazańca było zwykłe stare krzesło biurowe, za którym znajdował się obszarpany i zapaskudzony materac, dalej worki z piaskiem i

kamienna ściana puszkarni. Wtrynili materac pomiędzy krzesło i worki na pewno w ostatniej chwili, zupełnie jakby w nocy ktoś nagle uznał, że worki nie wystarczą, kule mogą przelecieć i odbić się od ściany rykoszetem. Brudny materac budził w Larrym obrzydzenie. Schiller pomyślał sobie: Mój Boże, a tak starannie obrębili czarne płótno w otworach dla oprawców. Wtedy zorientował się, jakiego słowa używa.

Jednak nie sposób było przeoczyć kontrastu pomiędzy starannym przygotowaniem zasłony i krzesłem Gary'ego na tle rozlazłego barłogu. Nawet pasy wokół jego rąk wyglądały na sparciałe.

Ron Stanger w pierwszym odruchu zdziwił się, że w pomieszczeniu jest tak duża liczba osób. Boże, aż tylu kibiców. Egzekucje to dla nich sport. Uderzyło go to, zanim zobaczył Gary'ego, a później odczuł

wdzięczność, że jeszcze nie założono mu kaptura. Co za ulga. Gilmore wciąż był ludzką istotą, nie zaś groteskową kukłą w kapturze, i Ron uświadomił sobie, że jednak spodziewał się wstrząsającego widoku Gary'ego z twarzą zasłoniętą czarnym workiem. Ale nie, Gary patrzył na zebrany tłum z ironicznym wyrazem twarzy. Stanger wiedział, o czym Gary myśli. Wystarczy mieć znajomości, żeby się załapać na imprezę.

Ron pojęcia nie miał, że zjawi się ktoś wart wzmianki, lecz za białą linią stało chyba z pięćdziesiąt osób. Każdy gliniarz czy urzędas, co miał kumpla, gdzie trzeba. Stanger przypomniał sobie tak często powtarzane słowa Boba Moody'ego na temat Sama Smitha.,,On jest bardzo uczciwym człowiekiem, tylko zwyczajnie niekompetentnym. Całkowicie niekompetentnym." Stali tam ci wszyscy szeryfowie i policjanci, których Stanger pierwszy raz widział na oczy, nie wiadomo, skąd ich przyniosło. No ale jakże mogą cię poważać w pracy, skoroś tam nie był?

Moody też czuł złość do zaproszonych. Sam Smith tak się z nimi handryczył, czy gości ma być pięciu, czy siedmiu. Teraz za

białą linią tłoczyli się wszyscy ci niepotrzebni ludzie, a zza kotary dobiegały rozmowy katów. Niewyraźnie, lecz jednak było ich słychać, Bob zaś do reszty się rozeźlił widokiem Ernie'ego Wrighta, dyrektora więziennictwa, który tańcował w kółko witając różne osoby; podskakiwał radośnie w swoim wielkim białym kapeluszu kowbojskim, niczym jakiś urzędas z Teksasu.

Moody podejrzewał, że strzelcy za kotarą umyślnie nie patrzą na Gary'ego, tylko stoją w grupce zwróceni plecami i odwrócą się dopiero w ostatniej chwili, na rozkaz. Ron Stanger, stojący obok Boba Moody'ego, miał ochotę wejść na podwyższenie i oświadczyć wszem i wobec: „Bóg wam zapłać, nie pozwolicie człowiekowi zjeść kawałka pizzy, póki nie wyprujecie mu flaków."

To właśnie chciał im powiedzieć, lecz nie śmiał. Zabrzmiałoby zanadto histerycznie. Krzyczałby: „Nie można było dać człowiekowi pizzy i paru puszek piwa?! Niech się władza opycha, wtedy jest w porządku."

Pierwsze, co przyszło na myśl Cline'owi Campbellowi po wejściu do środka, to: rany boskie, czy oni sprzedawali na to bilety?

Tak czy owak wyczuwał, że każdy jest śmiertelnie przerażony. Nad egzekucją wisiał strach. Znajomy strach biurokratów, że ktoś na oficjalnym stołku o czymś zapomni. I wtedy przyjdzie drogo zapłacić wobec prawa i polityki. Campbell zadowolił się krótką odzywką do Gary'ego:

–Jak się masz? – po czym stanął z jednej strony krzesła, po drugiej zaś stał ojciec Meersman, który postarał się o kubek wody i Gilmore upił łyk, kiedy kapłan przytknął mu kubek do warg.

Do Verna podszedł ktoś ze służby więziennej z wiadomością, że Gary chce porozmawiać. Vern wszedł w krąg światła wokół Gary'ego. Siostrzeniec spojrzał na niego swymi dziecięco

błękitnymi oczami i Vern poczuł chęć uwolnienia go z tego krzesła, po prostu wyrwania go stamtąd z powrotem na wolność. Walczył z emocjami. Naprawdę nie chciał go tam zostawić, na tym krześle.

Gary powiedział:

–Słuchaj, weź ten zegarek. Chcę, żeby nie dostał go nikt prócz Nicole.

Rozbił zegarek i przykleił wskazówki na siódmej czterdzieści dziewięć. Wręczył go teraz Vernowi. Chyba trzymał go cały czas. Po chwili dodał:

–Przyrzeknij mi: dopilnujesz, niech zawsze ktoś dba o Nicole.

Jak ten Gary to sobie wyobrażał, Vern nie miał pojęcia. Chyba po prostu czuł potrzebę zwrócenia się z tym do kogoś. Uścisnęli sobie ręce i Gary zaczął miażdżyć mu dłoń, tam z tego krzesła, aż Vern myślał, że połamie mu kostki.

–Chodź, zawalczymy – powiedział, lecz Vern odrzekł:

–Gary, jakbym zechciał, mógłbym cię wyszarpnąć z tego krzesła.

–Mógłbyś? – spytał Gary.

Vern wrócił na swoje miejsce za linią i pomyślał o rozmowie sprzed wielu tygodni, kiedy Gary poprosił go z Idą na świadków i on, Vern, odpowiedział:

–Ja nie chcę, żeby Ida to oglądała. Gary wtedy stwierdził:

–Ale ja chcę, żebyś ty przy tym był, Vern.

–Nie wiem, czy potrafię to znieść – wyznał Vern. – Chyba nie. Gary powtórzył:

–Chcę, żebyś był.

–Dlaczego? – spytał Vern. – Do czego ci jestem potrzebny?

–Bo wiesz, Vern – odparł Gary – ja chcę ci coś pokazać. Pokazałem już, jak żyję – tu wykrzywił twarz swoim ironicznym uśmieszkiem – i chciałbym pokazać ci, jak umieram.

Vernowi zdawało się, że chwila obecna zalicza się do tego, co wtedy zostało powiedziane, bo znalazłszy się już poza linią, wciąż czując jego uścisk na dłoni, miał ochotę mu wyznać: Gary, to wspaniałe, co przed chwilą zrobiłeś.

Następny podszedł Bob Moody i uścisnął mu dłoń. Gary miał mniejszą rękę niż Bob się spodziewał, przy tym ani zimną, ani rozgorączkowaną; zdumiewające, bo to była ciepła żywa dłoń jak każda inna. Gary popatrzył na niego i rzekł:

–Wiesz, Moody, zostawię ci swoje włosy. Ty bardziej ich potrzebujesz.

Następny był Schiller. Podchodził z niepokojem, czy znajdzie właściwe słowa. Lecz kiedy już dotarł, stanął przytłoczony ogromem tego wszystkiego. Zupełnie jakby się żegnał z człowiekiem, którego zaraz wsadzą do armaty i wystrzelą na Księżyc albo w żelaznym kufrze spuszczą na dno morza, niczym Houdiniego. Złapał Gilmore'a za obie ręce – nieważne, że ten człowiek był mordercą, równie dobrze mógł być świętym, gdyż w tym momencie Schiller i tak nie umiałby tego rozróżnić – i powiedział, a dokładniej – wyrwało mu się:

–Nie wiem, po co tu jestem.

Gilmore odrzekł:

–Masz mi pomóc w ucieczce.

Schiller spojrzał na niego i na jego krzesło, potem rzekł:

–Zrobię to najlepiej, jak tylko jest w ludzkiej mocy.

Miał na myśli potraktowanie tego wszystkiego z największą uczciwością. Gilmore uśmiechnął się tym swoim dziwnym grymasem zaciśniętych ust, jakby dyskretnie dawał do zrozumienia, że on jeden pojmuje znaczenie wypowiedzianych przed chwilą słów, potem rozciągnął zaciśnięte wargi w uśmieszek, który czasami prezentował, złośliwy jak u szakala, z subtelną drwiną – ostatni wyraz twarzy Gilmore'a, jaki Schiller zapamięta. Podali sobie dłonie, uścisk Gilmore'a wypadł raczej słabo i Schiller odszedł, nie mając pewności, czy rozegrał tę scenę, jak trzeba.

Nię wiedział nawet, czy należało ją jakoś rozgrywać. Czuł, że nie pozostaje w żadnej rzeczywistej relacji do Gilmore'a.-

Vern podchodził pierwszy, jako starszy rodu, potem Bob Moody, Schiller zaś starał się być ostatni. Stanger pomyślał: chyba sobie żarty stroisz, w takiej chwili – i zwyciężył w manewrach. Larry podszedł przed nim. Kiedy przyszła kolej na Stangera, nie miał pojęcia, co powiedzieć. Mruknął tylko:

–Trzymaj się. Nie pękaj.

Gary wcale nie wyglądał hardo. Raczej mizernie. Po oczach widać było słabnący efekt tych wszystkich prochów. Usiłował być dzielny i odpowiedział:

–Spokojnie.

Dobywał głosu jakby z trudem; wymienili uścisk dłoni. Gary ścisnął bardzo mocno, Stanger zaś otoczył go ramieniem i Gary sięgnął dłonią w tych luźnych więzach i dotknął ręki Rona. Stanger cały czas myślał o tym, że ręce Gilmore'a są szczuplejsze, niż się można było spodziewać. I popatrzyli sobie w oczy – ostatnie pożegnalne spojrzenie.

Kiedy tylko Ron wrócił na miejsce za linią, podszedł funkcjonariusz i spytał, czy dać watę do uszu. Wtedy Ron spostrzegł, że wszyscy biorą watę, wobec tego też sobie trochę wpakował, obserwując, jak Sam Smith idzie w głąb pomieszczenia, gdzie na krześle stał czerwony telefon. Sam Smith zatelefonował, potem wrócił, podszedł do Gary'ego i zaczął czytać oświadczenie.

Schiller, usiłując coś usłyszeć, doszedł do wniosku, że to jakiś oficjalny dokument. Prawdopodobnie w innych okolicznościach wcale by tego nie słuchał, a przez watę w uszach docierało do niego z ust Sama Smitha jakieś ble ble ble. Przez cały czas Gary nie patrzył na naczelnika, tylko wychylił się ze swoim krzesłem, żeby wyjrzeć spoza zwalistej sylwetki Sama Smitha; niemal przewrócił to swoje krzesło, byle dostrzec przebłysk twarzy kata za zasłoną, uchwycić, co wyraża.

Potem naczelnik zapytał:

–Czy ma pan ochotę coś powiedzieć?

Gary spojrzał na sufit i zawahał się, po czym rzekł:

–Do dzieła.

I tyle. Najdobitniejsze świadectwo odwagi, jakie widziałem, pomyślał Vern. Żadnego zająknięcia, chrypki, prosto z mostu. Gary mówiąc to patrzył na Verna.

Stanger odniósł wrażenie, że Gary chciał powiedzieć coś mądrego i ważnego, z godnością, lecz żadna głębsza myśl nie przyszła mu do głowy. Proszki go otępiły. Dlatego zamiast milczeć wolał powiedzieć bardzo wyraźnie: „Do dzieła."

W końcu czegóż można oczekiwać od człowieka, który ponad dobę był na nogach, przy tym ćpał, co się dało, a teraz miał kaca i znalazł się w dołku, zresztą nawet z wyglądu się postarzał. Zwyczajne wyczerpanie. Ron po raz pierwszy

zauważył u niego głębokie zmarszczki. Gilmore był tak blady, jak po próbie samobójczej, kiedy adwokaci widzieli go po raz pierwszy.

Podszedł ojciec Meersman, żeby udzielić ostatniego namaszczenia, i Noall Wooton zebrał siły, by zerknąć pomiędzy szerokimi barami mężczyzn z przodu. Przypomniał sobie Gary'ego na rozprawie przed Komisją Ułaskawień, bardzo pewnego siebie, jak gdyby miał w ręku wszystkie atuty łącznie z asem. Zdaniem Wootona, teraz nie miał już asów.

Schiller zaś, patrząc na tego samego człowieka- pomyślał, że sprawia on wrażenie zrezygnowanego, lecz zachowuje twarz, a nawet coś, co można by nazwać pewnym autorytetem.

Ojciec Meersman zakończył ostatnią posługę dla Gary"ego Gilmore^. Kiedy zbliżyli się ludzie z kapturem, Gilmore powiedział do

księdza:

–Dominus vobiscum.

Ojciec Meersman nie wiedział, jak określić swoje odczucia. Żadne inne słowa Gary'ego nie wywołałyby bardziej automatycznej odpowiedzi. To było pozdrowienie, którym ojciec Meersman raz po raz obdzielał ludzi przez dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści lat, odkąd został księdzem. „Dominus vobiscum – powtarzał podczas mszy i rozbrzmiewała odpowiedź – Et cum spiritu tuo."

Dlatego z chwilą, gdy Gilmore rzekł „Dominus vobiscum", ojciec Meersman odpowiedział niczym ministrant „Et cum spiritu tuo" i kiedy wypowiadał te słowa, Gary tak jakby się uśmiechnął i stwierdził:

–Meersman zawsze się znajdzie.

On chce przez to powiedzieć, pomyślał ojciec Meersman, że w takiej chwili jak ta zawsze obecny jest kapłan.

Podeszło trzech czy czterech ludzi w rudych kurtkach i włożyli kaptur na głowę Gilmore'a. Nie padło już żadne słowo.

Absolutnie żadne. Przymocowali Gilmore'a w pasie i przytroczyli mu głowę, a ojciec Meersman pomyślał o tym, jak na początku przypinali go pasami do krzesła i Gilmore prosił o wodę, wtedy ojciec Meersman dał mu wody na zaschnięte gardło. Po chwili znów chciało mu się pić.

Teraz stanął przy nim lekarz, przypiął białe koło do czarnej koszulki Gilmore'a i wycofał się. Ojciec Meersman nakreślił duży znak krzyża, spełniając swój ostatni obowiązek. Potem on również przeszedł za linię, odwrócił się i patrzył na siedzącą postać w kapturze. Zadzwonił telefon.

W pierwszej chwili Noal Wooton pomyślał: Boże, zupełnie jak w kinie, to się nie odbędzie. Schiller robił notatki na odwrocie czeków, które przytomnie wyrwał z okładek, i zanotował, że kaptur luźno tkwił na głowie Gary'ego, niby kanciaste pudło z tektury. Całkiem nie dopasowany kształt. Nie wyczuwało się jego rysów pod tym workiem.

Stanger, usłyszawszy telefon, pomyślał: To jakieś ostateczne potwierdzenie. Sam Smith odłożył słuchawkę i stanął za linią, akurat koło Schillera. Wręczył Larry'emu jeszcze trochę waty i popatrzyli sobie w oczy. Potem Schiller nie był pewien, czy Sam Smith dał znak ręką, czy nie, lecz wydawało mu się, że widział ruch ramienia naczelnika. Ron, Bob Moody i Cline Campbell usłyszeli odliczanie, Noall Wooton prócz waty włożył do uszu palce, a Campbell zauważył, Jak spokojnie siedzi Gary. Cline oczom nie wierzył, ile spokoju było w tym człowieku. Gilmore tak bardzo pragnął umrzeć godnie, że nie ścisnął pięści, gdy zaczęło się odliczanie.

Stanger pomyślał: mam nadzieję, że nie upadnę. Uniósł rękę, żeby w razie czego ochronić głowę. Przez watę w uszach posłyszał odgłos Sapania i zobaczył, że ze szczelin w kotarze wystają lufy karabinów, ^szokowało go, że wyloty luf znajdują się tak blisko ofiary. Nie mieli Najmniejszej ochoty spudłować. Zaległa cisza, która skupiała uwagę.

Przez watę Ron słyszał szepty: „jeden", potem „dwa", i nie zostało już wypowiedziane „trzy", gdyż odezwały się karabiny: Bam. Bam. Bam. Przerażająco głośno. Całe ramię Rona aż po środek pleców chwycił skurcz. Rozległy zespół mięśni skurczył się spazmatycznie.

Schiller usłyszał trzy strzały, choć spodziewał się czterech. Ciało Gary'ego nie podskoczyło, nie drgnęło też krzesło i Schiller czekał na czwarty strzał, lecz później odkrył, że dwa musiały paść jednocześnie. Noall Wooton próbował w tym momencie zobaczyć Gary'ego, lecz tłum mu zasłaniał cały widok, wobec tego wyszedł przed wszystkimi i ruszył do samochodu zaparkowanego przy Nadzorze Minimalnym, wsiadł i odjechał. Reporterzy i kamerzyści robili wywiady z ludźmi, lecz on się nie zatrzymywał. Nie chciał z nikim rozmawiać.

Vern usłyszał tylko niesamowite BUM! Gary nawet palcem nie ruszył. Ani drgnął. Lewa ręka w ogóle mu się nie poruszyła, a potem, gdy przebrzmiał wystrzał, głowa opadła mu w przód, lecz przytrzymał ją pasek, i wtedy jego prawa ręka powoli uniosła się w powietrze, następnie powoli opadła, jak gdyby chciał powiedzieć: „Załatwione, panowie."

Schiller pomyślał, że ten ruch ręki był tak delikatny jak u pianisty, który unosi dłoń, by musnąć palcami klawisze. Przez czarną koszulkę zaczęła przesiąkać krew, spływała na białe spodnie i skapywała na podłogę między nogami Gary'ego; wokół unosił się zapach prochu. Potem zgasło światło i Schiller przysłuchiwał się kapaniu krwi. Nie był pewien, czy słyszy kapanie, lecz na pewno je czuł i zdawało mu się, że razem z krwią życie uchodzi z ciała Gilmore'a jak dym. Ron Stanger miał

zawroty głowy i powiedział sobie: Będziesz jedynym, który zemdlał; to po prostu żenujące, wylądować na ziemi w obecności tylu osób. Zatoczył się do tyłu wskutek silnego skurczu w plecach, rozpostarł ramiona, chwycił się kogoś dla złapania równowagi i odwrócił się, by jeszcze raz popatrzeć na zwłoki. Wtedy zobaczył, jak unosi się prawa ręka Gilmore'a.

Ron zamknął oczy i gdy je ponownie otworzył, krew spływała Gary'emu na kolana i po nogach, plamiąc mu tenisówki, te zwariowane biało-czerwono-niebieskie tenisówki, które stale nosił pod Maksymalnym. Sznurowadła już całkiem przesiąkły krwią.

Podszedł lekarz ze stetoskopem i pokręcił głową. Gilmore jeszcze nie umarł.

Ron pomyślał o dniu, kiedy Gary na chwilę znalazł się w gabinecie Fagana i przez te dziesięć sekund obleciał jego biurko niczym motyl. Otworzył szufladę, zabrał łyżkę i sznurowadła, przetrząsnął wszystko koncertowo. To było piękne. Gilmore miał jednak złodziejski talent i skończył dokładnie w momencie, gdy Fagan mówił: „No dobra, Joe."

Kiedy porucznik się odwrócił, poczciwy Gary dawno zastygł z osowiałą miną, Stanger zaś po drugiej stronie szyby wytrzeszczał oczy.

Później Gary żartował na temat sznurowadeł. Mówił Ronowi, że na nich można się powiesić – i właśnie ręka, która dokonała tej kradzieży, poruszyła się w górę i w dół. Być może wskazywała na zakrwawione sznurowadła.

Odczekali koło dwudziestu sekund. Potem znów podszedł lekarz, zbliżył się też ojciec Meersman i Sam Smith. Doktor ponownie przyłożył stetoskop do ramienia Gary'ego, zwrócił się do Sama Smitha i pokiwał głową. Naczelnik rozluźnił więzy w pasie, zsunął opaskę z głowy Gilmore'a i oglądał zwłoki z tyłu, szukając, którędy wyszły kule.

Stanger był oburzony. Z chwilą oddania strzałów wszyscy powinni zostać wyprowadzeni zamiast uczestniczyć w dalszej procedurze. Podczas gdy Sam badał zwłoki, Gary opadł na ręce Meersmana. Padre Musiał podtrzymywać głowę, kiedy Sam szperał po plecach Gilmore'a, sprawdzając miejsce wylotu kul. Krew leciała na dłonie Meersmana i przeciekała mu przez palce, i Vern się rozpłakał. Potem zapłakał ojciec. Wreszcie podszedł jakiś funkcjonariusz i zwrócił się do stojących za linią:

~- Czas opuścić salę.

Schiller wychodził, powtarzając w myślach: i cośmy osiągnęli? Przecież i tak nie spadnie liczba morderstw.

Tymczasem ojciec Meersman i Cline Campbell odpinali ręce i nogi Gilmore'a. Campbell cały czas myślał, jak ważne są oczy. Mrukną} pod nosem:

–Dlaczego nikt się nie ruszy? Musimy uratować oczy.

W gabinecie naczelnika, zaledwie parę minut wcześniej, Gordon Richards odebrał telefon od zastępcy szefa Kancelarii Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych, który powiedział, że sąd w pełnym składzie – bez udziału sędziego Brennana – rozpatrzył właśnie petycję o odroczenie złożoną przez ACLU i oddalił ją. Richards trochę się zaniepokoił. Ten kancelista, który przedstawił się jako Peter Beck, nie był poinformowany o „Mickeyu z Wheeling w Wirginii Zachodniej". Dobrze, czy w takim razie pan Beck wie, zapytał Richards, gdzie urodził się pan Rodak i jakie ma przezwisko?

–Chodzi o imię Mikę? – spytał Beck. Wtedy Richards zapytał, czy pan Rodak mógłby do niego zadzwonić. Ani się obejrzał, zostawiono go ze słuchawką w ręku.

–Proszę się pospieszyć! – zawołał do Becka. – To bardzo ważne.

I tak został, z nie potwierdzoną informacją z Sądu Najwyższego. Wobec tego zawołał do funkcjonariuszy więzienia siedzących razem z nim w biurze naczelnika:

–Powiedzcie tym w puszkarni, żeby zaczekali. Strażnicy pokręcili jednak głowami. Egzekucja właśnie się odbyła.

Po trzech minutach odezwał się w słuchawce Rodak. Richards spytał go o przezwisko i miejsce urodzenia.

–Przezwisko brzmi Mickey – odrzekł Rodak, lecz urodził się w Smock w Pensylwanii.

–A co z Wirginią Zachodnią? – spytał Richards.

–Urodziłem się w Smock – wyjaśnił Rodak – a potem się przeniosłem do Wirginii. Należę do palestry Wirginii Zachodniej.

–Czy przekazywał pan tę informację Earlowi Doriusowi? " dopytywał się Richards.

–Chyba nie – odparł Rodak. Wreszcie sobie przypomniał. – A, tak, ten facet chciał mieć pewność, że nie będzie fałszywych telefonów.

No właśnie.

–Czy egzekucja już się odbyła?

spytał rodak.

–Czy to nie byłoby potworne już po odłożeniu słuchawki

–powiedział Richards do strażnika gdybyście jednocześnie tamdzwonili?

Vern, Bob Moody, Ron Stanger i Larry Schiller wsiedli do samochodu i podjechali pod budynek Administracji. W ciągu

minutowej jazdy zastanawiali się, czy warto wydać oświadczenie dla prasy, zanim to zrobi naczelnik.

Stanger powiedział:

–Myślę, że powinniśmy. Co sądzisz, Larry? Schiller odparł:

–Nie mamy obowiązku. Kto pierwszy tam dotrze, tego obstąpią dziennikarze – lecz Stanger zaproponował:

–Chodźcie, wyślizgamy naczelnika. Odezwał się Vern:

–Mógłby pan opowiedzieć im o egzekucji, Larry? Ja nie chcę mówić na ten temat.

Konferencja prasowa odbywała się na pierwszym piętrze budynku Administracji, w dużej sali konferencyjnej przypominającej salę sądową. Panował tam identyczny ścisk jak na posiedzeniu Komisji Ułaskawień: stłoczeni reporterzy, kamery, zwariowane białe światła, ludzie szturmujący drzwi, a w środku temperatura ze czterdzieści stopni. Udusić się można.

Próbowali wejść po schodach, lecz cały czas ich popychano. Jakiś facet z telewizji podłączał przewody, nie dając przejść Bobowi Moody'emu, i odezwał się tak po chamsku, że Bob złapał i rozłączył

wtyczki. Facet wrzeszczał:

–O Boże, straciłem moc, nie mam zasilania! – podczas gdy Moody go mijał.

Kiedy dotarli na podwyższenie, Schiller zaproponował Vernowi:

–Może pan pierwszy coś powie?

Vern usiadł na krześle, żeby odciążyć chorą nogę. Nie przemawiał długo.

–To było dla mnie bardzo przykre – powiedział. – Ale on spełnił swoje życzenie, poniósł śmierć… i umarł z godnością. To wszystko, co mam do powiedzenia.

Bob Moody oświadczył:

–Uważam, że to bardzo brutalne i okrutne rozwiązanie. Mam tylko nadzieję, że pozwoli dokładniej przyjrzeć się nam samym, naszemu społeczeństwu i przyjętym systemom. Dziękuję.

Ron powiedział:

–On zawsze starał się zachować pogodę ducha. Mówił, że trafia mu się podarunek od losu, gdyż wie z góry, kiedy ma umrzeć, może więc poczynić przygotowania, i pod tym względem rzeczywiście mu się poszczęściło. Zawsze powtarzał, że nie może się doczekać chwili, kiedy będzie miał spokój, możność medytacji. I dziś Gary Gilmore zaznał spokoju, i to spokoju na wieczność.

Schiller oznajmił:

–Nie znalazłem się tutaj, by wyrażać moje osobiste odczucia, lecz po wyjściu Verna będę szczerze rad, mogąc zrelacjonować wszelkie fakty, które państwa interesują. Uważam, że byłoby niewłaściwe przywoływanie ich w obecności Verna, lecz wkrótce odpowiem na wszystkie pytania.

Powiódł wzrokiem po sali. Jeden jedyny uśmiech widniał na twarzy Davida Johnstona z „Los Angeles Timesa" i TraveLodge w Orem-Potem GUS Sorensen puścił oko.

SPIKER TELEWIZYJNY: – Scenę opuszczają Ron Stanger oraz Bob Moody, dwaj adwokaci, którzy w ostatnich tygodniach pomagali Gary'emu Gilmore'owi spełnić swoje życzenie, jakie wcześniej wyraził – życzenie śmierci; właśnie ci ludzie dopomogli mu znaleźć się u celu. Wychodzi także Vern Damico,

wuj Gilmore'a z Provo w stanie Utah. Ten człowiek przyjął Gilmore'a Po

z\volnieniu go warunkowo z więzienia. Teraz Lawrence Schiller, agent literacki i filmowiec, od jakiegoś czasu zaangażowany w tę sprawę…

Obserwujący Schillera Dave Johnston przyznał facetowi punkty za opanowanie. Na tej konferencji prasowej, gdzie każdy go nienawidził za podkupienie tematu, Schiller mówił jak rasowy dziennikarz. z pewnością ma taki poziom adrenaliny, że powinien się cały trząść, myślał Johnston, a jednak się nawet nie zająknął.

Schiller mówił o żółtej linii, czarnym kapturze, czarnym podkoszulku, który Gilmore miał na sobie, o białych spodniach i o strzelaniu.

–…Powoli spod czarnego podkoszulka czerwień krwi przesiąkała

na białe spodnie. Jak mi się wydaje, jeszcze przez około piętnastu do

dwudziestu sekund jego ciało poruszało się nieznacznie. Nie potrafię

określić, czy był to skurcz pośmiertny, czy też nie. Do Gary'ego podszedł kapłan z lekarzem – mówił Schiller, formułując zdania

jasno i krótko, żeby zmęczonym reporterom ułatwić sporządzanie

notatek.

Potem przyszła kolej na Sama Smitha.

SAM SMITH: – Nie wydam formalnego oświadczenia. Myślę, że pan Schiller całkiem dobrze przekazał szczegóły. Będę

odpowiadał na pytania.

PYTANIE: – Jaki był oficjalny czas, panie naczelniku? SAM SMITH: – Oficjalny czas to była ósma zero siedem. PYTANIE: – Jak dawał pan znak?

SAM SMITH: – Właściwie nie dałem znaku. Zasygnalizowałem Pełną gotowość.

PYTANIE: – W jaki sposób? SAM SMITH: Po prostu gestem. PYTANIE: – Czy pluton miał dowódcę? SAM SMITH: – Tak, miał.

–Czy dowódca dał znak?

SMITH: – Nie wiadomo mi, co odbywało się tam w środku.

: – Kim było czterdzieści obecnych tam osób? SMITH: – Cóż, ja nie obliczałem tak, jak pan Schiller.

PYTANIE: – Ale jednak kwestionuje pan podaną przez niego liczbę czterdzieści?

SAM SMITH: – Tak, zdecydowanie się na nią nie zgadzam. PYTANIE: – Ile było osób? SAM SMITH: – Mniej. PYTANIE: – Trzydzieści? Dwadzieścia? SAM SMITH: – Nie podam panu dokładnej liczby. PYTANIE: – Panie naczelniku, czy możemy teraz obejrzeć to miejsce?

SAM SMITH: – Jak tylko ustalimy, że dostęp jest wolny, i zorganizujemy ruch.

Kiedy Sam Smith się oddalił, Johnston podszedł do Schillera i powiedział:

–Zadziwiasz mnie. Naprawdę jesteś dziennikarzem. Schillerowi rozbłysło oko. Johnston zauważył, że trafił z tym komplementem.

–Tak, to było wspaniałe – mówił dalej – ale dlaczego wszystko wyjawiłeś?

Larry przekrzywił głowę i wyszczerzył się jak wielki owczarek alzacki z wywalonym ozorem.

–Nie ujawniłem niczego, co się liczy – powiedział. Ale nie mógł wytrzymać.

–Ostatnie słowa Gilmore'a były inne niż podałem – zwierzył się. Johnston się roześmiał. Przeczuwał, że coś w tym jest.

–Larry – powiedział – niektórzy mogą zarzucić ci kłamstwo.

–Nie – odparł Schiller. – „Do dzieła" to ostatnie słowa, które wszyscy usłyszeli.

Johnston pomyślał: Tym jednym sekretem będzie się musiał podzielić. On jest jak dzieciak, co musi zwierzyć się chociaż jednej osobie.

–No cóż – powiedział Larry i kazał mu przysiąc, że nie zdradzi. – Gary przemówił do księdza po łacinie.

–Naprawdę? A co powiedział?

–Nawet gdybym znał te słowa, nie umiałbym wymówić -^ odrzekł Schiller i znów uśmiechnął się chytrze. – Ale się dowiem.

Pojechali razem na miejsce egzekucji, i kiedy weszli do puszkarni, Schiller nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Jego opis wydarzeń był wierny pod każdym względem prócz jednego. Pomylił kolory. Tkanina kotary nie była czarna, tylko granatowa, linia na podłodze nie żółta, lecz biała, a krzesło nie czarne, tylko ciemnozielone. Zorientował się, że podczas egzekucji coś zakłóciło mu percepcję barw.

Opuścił miejsce egzekucji po raz drugi, mając w pamięci reporterów kłębiących się wokół krzesła, worków z piaskiem i dziur w materacu; wataha stworzeń tego samego gatunku wypasała się na wspólnym żerowisku. Kiedy mijał drzwi, jeden człowiek objaśniał drugiemu, że użyto kul stalowych, żeby otwory z tyłu były nie większe niż z przodu, przez co unika się rozharatania i ciało nie podskakuje od wstrząsu.

CZĘŚĆ SIÓDMA

JAK GINIE SERCE

ROZDZIAŁ 39

Telewizja

Earl stał na korytarzu i nagle podbiegł jakiś dziennikarz z nowiną:

–Gary Gilmore nie żyje.

Jeszcze raz Earl wyjrzał przez okno i poniżej zobaczył na placu innych dziennikarzy. W Denver świeciło słońce i ludzie jechali do pracy. Kiedy schodził na dół do głównego hallu, poprosił go o wywiad Sandy Gilmour z Kanału Drugiego telewizji i Earl się zgodził. Gilmour zapytał, jak Dorius się czuł, kiedy przyszło mu poinformować więzienie, że egzekucja może się odbyć. Earl wyjaśnił, że przypadł mu jedynie obowiązek powiadomienia o uchyleniu decyzji Rittera przez Dziesiąty Obwód. Nic ponadto, powiedział. Nie miał ochoty dyskutować o zawiłości własnych odczuć.

Potem Earl, Bob Hansen i reszta urzędników odjechała taksówką. Dowiedzieli się, że Judy Wolbach będzie wracała do domu innym samolotem.

Toni czekała w Nadzorze Minimalnym wraz z Idą, Dickiem Grayem, Evelyn Gray i wszystkimi osobami, które nie zostały ^proszone do puszkarni. W pewnym momencie wszedł strażnik w brązowej kurtce i spytał:

–Ktoś już państwu mówił? Toni odrzekła:

–Nie.

Ten człowiek był blady i strasznie dygotał. Powiedział:

–Już po wszystkim. Gary nie żyje.

Ida się rozpłakała. Trzymała się naprawdę dzielnie, lecz teraz coś w niej pękło. Strażnicy zachowali się wspaniale. Kilku z nich pytało, czy mogą jakoś pomóc, jeśli chodzi o transport, i Toni powiedziała im, że czeka na powrót ojca. Po chwili któryś wrócił i powiedział, że ojciec czeka przy wieżyczce, gdzie parkują ciężarówki. Gdy wychodziła, pracownicy więzienia byli dla niej niezwykle uprzejmi i przypomniało jej się, że przed egzekucją też odnosili się z dużym szacunkiem, pytali, czy jej matka czegoś nie potrzebuje, może podać kawę? Zupełnie jak obsługa w domu pogrzebowym.

Kiedy dotarły do ciężarówki, Vern jeszcze nie wrócił, a cały parking zapełniali ludzie i samochody. Reporterzy niczym muchy oblepili je obie, wypytując jej matkę przez jedno okno, a ją przez drugie, aż Toni w końcu brzydko się odezwała. Miała już tego dość. Paliła papierosa przy otwartej szybie i jeden z nich podszedł dopraszając się o wywiad, chociaż Toni kręciła głową. Ten facet z telewizji nie miał za grosz poszanowania dla jej uczuć, przecież widział, że ona nie chce rozmawiać. Wetknął mikrofon przez okno, mówiąc:

–Mogę to tu umieścić?

Wtedy mu powiedziała, gdzie ma sobie umieścić. Zamachał rękami jak wiatrak i później koleżanka jej mówiła, że w „Good Morning America" można było zauważyć, gdzie wycięli parę słów.

Potem ujrzała Verna o lasce, próbującego się do nich przedrzeć. Miał rozpacz wypisaną na twarzy, wyraźnie cierpiał, i tknęło Ją przeczucie, że kolano odmówi mu posłuszeństwa. Wyskoczyła więc z szoferki, żeby podbiec, i trzech reporterów złapało ją za rękę. Panie dopomóż, trzech.

–Prosimy o parę słów.

Złapała jeden z mikrofonów, niby to chcąc coś powiedzieć, i cisnęła nim o ziemię, gdzie rozprysnął się na kawałki, następnie zawołała do Verna:

–Później zabierzemy twój wóz. Jest zastawiony.

Poprowadziła go do swojej ciężarówki, zawiozła do siebie, zrobiła mu kawy i kiedy nieco doszedł do siebie, zabrała go na śniadanie do kawiarni Spić and Span w Provo. Jakieś dwie godziny później pojechał z nią do więzienia zabrać swój wóz.

Całą noc, poprzedzającą egzekucję Gary'ego, Pete Galovan przepracował na basenie miejskim. Wczesnym rankiem wrócił bardzo zmęczony do domu, ukląkł i zaczął się modlić. Prosił Pana o wybaczenie mu nieprzychylnych uczuć, jakie żywił do Gary'ego. Nie chciał go nienawidzić pod żadnym względem. Zależało mu na tym. Do tego stopnia, że aż się rozpłakał. Wtedy poczuł, że Gary wchodzi do pokoju.

Pete klęczał przy modlitwie i Gary wszedł do pokoju w towarzystwie dwóch innych ludzi. Był ubrany w białą koszulę i białe spodnie, a dwaj pozostali mężczyźni mieli na sobie białe garnitury z krawatami. Mogli to być jacyś jego krewni z przeszłości lub przyszłości. Pete nie wiedział.

Gary powiedział Pete'owi, że nie ma do niego żalu. Wyjaśnił, że od razu po egzekucji jego krewni czekali tam, by przyjąć jego ducha. Przysłał ich Pan. Pete odebrał to bardzo wyraźnie; dokładnie tę treść Gary mu przekazał.

Gary był w dobrym humorze i mówił, że przeżywa różne nowe doświadczenia. Naprawdę zabawne. Powiedział Pete'owi, że przenika przez ściany, i to dopiero jest uczucie! Czuje się jak dzieciak w lunaparku. Teraz będzie mógł odwiedzić wszystkie więzienia świata – tak mówił – i ma zamiar wybrać się wszędzie, jak tylko jego Prochy zostaną rozsypane z samolotu. Potem będzie wpadał do Provo czasami.

Ponieważ Gary pod koniec wykazał odwagę, Pan ma zamiar Posłużyć się nim jako przykładem dla ludzi z podobnymi problemami. Po tysiącletnim spoczynku jego duch powróci. Powiedział Pete'owi, że ma duże szansę stać się jednym z wyższych bytów. Oznajmiono mu, że

jest osobowością dynamiczną i uduchowioną, która w tym dokonała bardzo istotnego wyboru, co może zrównoważyć mnóstwo wcześniejszych złych postępków. Jeśli teraz stanie na wysokości zadania, Pan naprawdę się nim posłuży.

Zaraz po odejściu Gary'ego Pete zadzwonił do Elizabeth, żeby jej o tym opowiedzieć, i obiecał, że wypisze nazwisko Gary'ego na zwoju modlitewnym, dzięki czemu Gary M. Gilmore znajdzie się w każdej mormońskiej świątyni na świecie i codziennie niezliczone rzesze ludzi będą się za niego modlić.

Z notatek Earla Doriusa o wydarzeniach z siedemnastego stycznia:

„Kierowca taksówki usłyszał, o czym mówimy, i pod koniec kursu spytał, czy mamy coś wspólnego ze sprawą Gilmore'a, na to uśmiechnęliśmy się wszyscy i poinformowaliśmy go, co się stało.

Po przyjeździe na lotnisko pamiętam grupę ludzi z poczekalni, śledzących wiadomości w telewizji. Powiedzieli nam, że przed chwilą ogłoszono: Gary Gilmore nie żyje. Nie zapomnę, jak Jack Ford wypytywał ich z niedowierzaniem, skąd wiedzą, i zachowywał się, jakby sam dopiero co o tym usłyszał. Odwróciłem się do Jacka i powiedziałem mu, że to okrutne tak podpuszczać ludzi, kiedy w rzeczywistości właśnie myśmy orędowali w tej sprawie, lecz skończyło się na żartach, bo wezwano nas do samolotu i polecieliśmy z powrotem do Utah. Podróż powrotna była o wiele przyjemniejsza. Rozmawialiśmy o innych sprawach niż Gilmore, lecz zdawało nam się, że lot trwał dłużej aniżeli w tamtą stronę.

Kiedy wylądowaliśmy w Utah, na lotnisku nie było ani jednego dziennikarza. Salt Lakę City wydawało się niezwykle spokojne. Wysiedliśmy i samotnie przemierzyliśmy drogę do samochodu, nie zaczepiani przez zadających pytania reporterów. Wyglądało na to, że wraz ze śmiercią Gary'ego Gilmore'a skończyła się sensacja."

Lecz u celu podróży z lotniska, nie opodal swego domu, zobaczył pustą planszę reklamową, na której ktoś wymalował napis „Robert Hansen – hitlerowiec". Nie wiedział, czy napis umieszczono

dlatego, że w pobliżu mieszkał Earl oraz Bili Barrett, i ktoś z lokalnej społeczności chciał im pokazać, co myśli, czy też po prostu przez przypadek.

Brenda poszła do szpitala dziesiątego stycznia, a operowano ją jedenastego. Sześć dni później pooperacyjne uczucie wewnętrznego rozdarcia spotęgowała egzekucja. W przeddzień zadzwoniło do niej tyle osób, że aż nie do wiary. Odmawiano jej przez telefon modlitwy, potem słuchała ich w radiu od nowa. Ludzie w szpitalu mówili jej, że się modlą. Naraz zadzwonił Geraldo Rivera i chciał z nią zrobić wywiad na żywo, w szpitalnej sali. Brenda pomyślała: cóż za potworność. Wolne żarty.

Nie mogła sobie z tym poradzić. W nocy po urodzinach Toni odbyła z Garym jedną rozmowę przez telefon i wiedziała, że słyszy jego głos po raz ostatni. W dodatku nie mogła zasnąć. Przynieśli jej kapsułkę seconalu. Niewiele pomogła. W dwie godziny później zajrzała pielęgniarka z latarką, żeby zobaczyć, czy Brenda śpi.

–Jak mogę spać, kiedy mi świecą w oczy – mruknęła Brenda i lekarz kazał podać następną kapsułkę.

Co dwie godziny dawali jej seconal, lecz nie zasnęła aż do czwartej rano, kiedy przyszli zrobić jej zastrzyk. Potem obudziła

się o wpół do ósmej, półprzytomna od prochów, lecz musiała się dowiedzieć, czy go zabiją, czy nie. Włączyła telewizor, doprowadzając do furii resztę pacjentek, wreszcie usłyszała, że wydano odroczenie; pierwsza wiadomość, jaka do niej dotarła tego ranka. Brenda się zupełnie rozkleiła. Tak nią trzęsło, że nie wiedziała, czy to z radości, czy ze smutku. Potem, za parę minut, uchylenie decyzji. Nie miała Pojęcia, czy skacze w niej płomieniem adrenalina, czy nawala serce. Zaledwie po kilku sekundach na ekranie rozjarzył się napis: GARY GILMORE NIE ŻYJE! Po minucie czy dwóch Przyszedł do niej chirurg i cierpliwie czekał, aż minie jej histeria. Zapytał w końcu:

–Jak się pani dziś czuje?

Pomyślała: Odejdź ode mnie, ty chamski prostaku.

Nie chciała widzieć nikogo w pobliżu. Lekarz jeszcze raz ją zapytał o samopoczucie i pielęgniarka wyjaśniła, co się przed chwilą stało. Doktor powiedział:

–O, to przykre, ale przecież dawno powinni go stracić. Brenda oświadczyła:

–Może pan mi wypisywać zwolnienie. Chcę tylko receptę na coś przeciwbólowego, a teraz won mi z tego pokoju. Złapała poduszkę i rzuciła w niego.

–Jak pani jest taka ostra, to panią zatrzymam – powiedział.

–A czegoś się pan uwziął?! – odparła. – Nie mogę na pana patrzeć. Jakbym wiedziała, kto ma mnie kroić, to bym tu nie przyszła. Facet tak ją mierził jak nikt inny.

Wypisał ją ze szpitala i wtedy zadzwoniła do Johnny'ego. O jedenastej wyszła. Musieli ją wypuścić tylnymi drzwiami, żeby mogła dotrzeć do domu nie prześladowana przez reporterów. Dopiero trzy dni później Brenda mogła odtworzyć to w pamięci.

W czasie egzekucji Gilmore'a Colleen Jensen przebywała w domu w Clearfield, szykując się do szkoły. Zaledwie dwa tygodnie wcześniej podjęła pracę nauczycielki na zastępstwie. Tego dnia miała pierwsze zajęcia z nową klasą i ubierała się rano, rozmyślając o wstrzymaniu egzekucji, bo mówili o tym w pierwszym dzienniku, lecz gdy dotarła do szkoły, było już po wszystkim. Dzieciaki o tym rozmawiały, gdy stanęła w drzwiach. Dotarły do niej szepty na temat jej związku z tą sprawą. Wygłosiła więc krótką przemowę.

Nie powiedziała im, że siada wieczorami, tuląc i kołysząc Monikę do snu, pokazuje córeczce zdjęcia taty i opowiada, kim był. W takich chwilach Colleen dobywała głosu ze swej wewnętrznej ciszy, żeby rocznej Monice móc powiedzieć, że Max nie żyje, tatuś nie żyje; W klasie, zwracając się do tych uczniów, którzy nie wiedzieli)

opowiedziała o sobie i o swojej roli w tej sprawie. Dodała, że nie potrzebują więcej o tym dyskutować. Oświadczyła też, że jest gotowa, i jeśli pozwolą, zacznie wreszcie lekcję.

Phil Hansen obudził się rano i w łóżku oglądał telewizję, potrząsając głową opartą na łokciu. Wpatrzony w ekran pomyślał: Gdyby tylko mnie coś tknęło, że oni szykują się na nocną przejażdżkę, przygotowałbym papiery i Ritter podpisałby mi drugie zawieszenie.

W poniedziałek o siódmej rano Lucinda przepisywała ostatnie nagranie Gary'ego z Larrym. Ze słuchawek docierał do niej głos Gilmore'a, który w sposób wręcz patetyczny tłumaczył Larry'emu, jak bardzo chce umrzeć, i strasznie było jej go żal.

W biurze stał włączony telewizor. Ukazał się Geraldo Rivera mówiący:

–Oto, proszę państwa, znajdujemy się pod więzieniem.

Nagle dotarło do niej, że cały świat patrzy, kiedy w jej uszach brzmi głos skazańca, cichy głos.

Lucinda, Barry i Debbie przesiedzieli całą noc i byli całkiem Wyczerpani. Zaczęli zmieniać kanały w odbiorniku. Leciały same teleturnieje w rodzaju „Jeopardy" – o siódmej rano w Orem nagle›Jeopardy". Potem jeden teleturniej za drugim. Nie mogli złapać Wiadomości. Chaotyczna szarpanina, żeby się dowiedzieć, czy go zastrzelili, czy nie. Barry dostawał pierdolca. Zaczął kląć do ekranu. Niesamowicie dosadnie, wulgarnymi słowami. Telewizja jest po prostu okropna, myślała Lucinda. Tam natłok bezsensu, a oni tu czekają

na wiadomość. Migające obrazki, jakiś bełkot i znienacka głos, który mówi:

–Gary Mark Gilmore nie żyje.

A kuku!

Dzień był piękny, słoneczny, i Julie Jacoby wstała wcześnie. Podlewała kwiatki, zadowolona z zawieszenia, i pomyślała sobie: dzięki Bogu. Uwielbiała to zimowe słońce. Wtedy zadzwonił człowiek z Katolickiej Agencji Prasowej w Waszyngtonie.

–Stało się – powiedział. Nie wiedziała, co ze sobą począć, i chodziła w kółko. Dopiero później trochę jej ulżyło na myśl, że nie poświęciła się bez reszty tej sprawie, która i tak nie odmieniłaby oblicza świata.

Tego samego ranka zobaczyła wycinek z „Salt Lakę Tribune", gdzie błędnie wydrukowano jej nazwisko. Była jednym z czterech sygnatariuszy petycji podatników złożonej przed sądem Rittera, no i „Salt Lakę Tribune"' wydrukowała jej nazwisko jako „Mulie Jacobs" zamiast „Julie Jacoby". Uśmiała się, gdy to zobaczyła, wiedząc, że od tej pory jej dwunastoletni syn nie będzie się do niej zwracał inaczej niż „Mulie" przy

każdej nadarzającej się okazji. Uchroni ją to również od nienawistnych telefonów i listów ziejących żądzą, mordu, przez które Shirley Pedler chudła w oczach.

Shirley siedziała sama w biurze, kiedy nadano wiadomość przez radio, i podskoczyła jak na odgłos wystrzału. Głowa opadła jej na biurko i popłynęły łzy.

W ciągu dnia Shirley wydała kilka oświadczeń. Coś niesamowitego – wręcz obraza: dziennikarze nagle poznikali. Uważała, że to jest

najokropniejsze w całej sprawie. Zupełnie jakby reporterzy dawali do zrozumienia, że „dobra, rozwalili go, więc o czym tu pisać".

Boże, przedtem dziennikarze z całego kraju obsiadali każdą lepszą knajpę w Salt Lakę, a teraz – pustki. Shirley cały dzień egzekucji przesiedziała w biurze, nie niepokojona przez nikogo.

Gibbs siedział w areszcie przez cały tydzień poprzedzający egzekucję Gary'ego i w noc bezpośrednio przed egzekucją był w stanie lekkiego zamroczenia od lekarstw na nogę. Rano, kiedy radio nadało wiadomość, był nadal struty i oszołomiony.

Dennis wyjechał w grudniu na parę dni do Iowa, gdzie wziął udział w telewizyjnej dyskusji, podczas której mówiono, że prezydent Ford mógłby Gary'ego ułaskawić przed odejściem z urzędu. Wysłał wobec tego telegram stwierdzający, że kara śmierci powinna być wymierzana zgodnie z zasadą równości. Żadnych egzekucji, dopóki wszystkich nie będzie obowiązywało takie samo prawo. Nie doczekał się odpowiedzi od Forda.

W dniu egzekucji wyczuwał jakiś cichy smutek, do oczu napływały mu łzy. Gary poniósł śmierć siedemnastego stycznia – w dniu, którego liczba sprowadza się do szóstki, czyli macierzy braterstwa, co oczywiście przywołuje na myśl Kaina i Abla. W czasie, gdy Dennis pracował z Gilmore'em, nad prawą

brwią wyskoczył mu czerwony znaczek: nie krosta, tylko znamię oznaczające śmierć. Odkrył je pod koniec listopada. Było okrągłe i czerwone, lecz to nie był pryszcz. Prawie dwa miesiące siedziało, potem znikło po śmierci Gary'ego. Interesujące, bądź co bądź. On zauważa takie rzeczy.

Nicole wiedziała, że dziś mają stracić Gary'ego, lecz nie znała godziny. Rano, wracając ze stołówki, poczuła nagle wielką potrzebę położenia się na swoim łóżku. Wybuchła awantura, lecz ona po prostu odeszła do swojej sali. Nikt się więcej nie odezwał. Wtedy się położyła i próbowała myśleć o Garym. Od wielu dni śnił jej się moment, kiedy on pada na plecy od strzału. Zawsze wtedy widziała Gary'ego na stojąco. Teraz, w myślach, nie dostrzegała niczego prócz tych czerwonych klocków, które dają pacjentom, żeby złożyli z nich sześcian.

Siedziały jej w głowie i próbowała je wypędzić, kiedy nagle wychynęła na nią z ciemności twarz Gary'ego – prędko zbliżała się do niej z wyrazem przerażenia i bólu. Nie upadł na wznak, tylko na nią. Podskoczyła na łóżku, oczy się jej otworzyły i po wszystkim. Tego dnia próbowała wyczuć jeszcze raz jego obecność, ale nie potrafiła. W ogóle nie było go przy niej przez parę dni.

Po śmierci Gaylena Bessie myślała, że się nigdy z tym nie pogodzi. A to miało być jeszcze gorsze. Kiedy zadzwoniła do więzienia tej ostatniej nocy, żeby się z Garym pożegnać, powiedział:

–Nie płacz.

–Nie będę płakać, Gary – odpowiedziała, lecz tak strasznie chciała dodać: „Nie umieraj, Gary, proszę cię, nie."

Tylko że to zachwiałoby jego budowlą – tym wszystkim, co w sobie zbierał na drogę. Dlatego musiała uważać. To był koszmar.

Słuchając godzinami tykania zegara, Bessie nie mogła się Powstrzymać od myśli: jego koszmar wkrótce się skończy, lecz mój -~ nigdy.

Mikal kupił wcześnie rano gazetę i dowiedział się o zawieszeniu-Włączyli „Good Morning America". Przed chwilą Bessie mówiła-

–Nie włączaj.

Nie chciała tego usłyszeć. Gdyby to się stało, wolała nie wiedzieć, przynajmniej przez parę godzin. A już na pewno nie chciała o tym usłyszeć z telewizji. Jednak kiedy Mikal przyniósł gazetę, ktoś – może Frank junior, może Mikal albo jego dziewczyna?… Wolała nie pamiętać z obawy, że nie przebaczyłaby. Któreś z nich powiedziało:

–Teraz już nie ma strachu. Jest zawieszenie. Możemy włączyć „Good Morning America".

Włączyli. Głos stwierdził: – Gary Mark Gilmore nie żyje. Jakby niebiosa przemówiły. Bessie płakała w głębi obolałego serca.

Może w pół godziny później zadzwonił Johnny Cash i przekazał Mikalowi swoje kondolencje.

Kiedy zajrzał Doug Hiblar, Bessie nasiąkła już goryczą. Miała wyraz twarzy kobiety, której właśnie zbombardowano dom.

–Wynoś się – powiedziała. – To wyście zabili mi syna.

–Jak to, Bessie – wyjąkał Doug. – Ja go nawet nie znałem.

–To wy, ludzie z Utah, zabiliście mi syna. Nie odpowiedział: „Ja jestem z Oregonu."

–Góro, idź do diabła – rzekła w myślach Bessie. – Już nie jesteś moja.

Na zewnątrz dookoła gromadzili się fotografowie z aparatami wycelowanymi w drzwi przyczepy Bessie.

ROZDZIAŁ 40

Szczątki

Podczas jazdy do domu Stanger spytał:

–Co teraz będziesz robił?

–Nie wiem – odrzekł Moody. – Nie mógłbym jechać do biura. Stanger roześmiał się:

–Nie chcesz zająć się po południu jakimś oskarżonym, który nie umie się bronić?

–Nie – zaprzeczył Moody gorliwie. – Nie zniósłbym tego.

Obaj czuli potrzebę rozmowy z kimś, kto też uczestniczył. Za parę dni wybierali się, co prawda, na tygodniowy urlop z żonami, musieli więc się sprężać, by zostawić sprawy w jakim takim porządku. Lecz nie byliby w stanie jechać teraz do biura. Postanowili więc: jedźmy do Larry'ego, lecz gdy dotarli do TraveLodge w Orem, Schillera jeszcze nie było, wobec czego porozmawiali z Barrym Farrellem. Koniecznie musieli porozmawiać.

Podczas jazdy stawały im przed oczami różne obrazy. Stanger widział, jak ręka Gary'ego podnosi się i opada, poza tym widział krew na spodniach. Stanger nie mógł się od tej wizji uwolnić. Chętnie wykorzeniłby takie myśli. Sięgnął ręką, chwycił to wyobrażenie i odrzucił precz.

Cieszyli się, że mogą pogadać z Barrym Farrellem. Poprzednio nie dogadywali się tak dobrze, lecz teraz Ron zauważył, że pod warstwą

profesjonalizmu Barry jednak silnie reaguje uczuciowo, toteż rozmowa im się udała. Moody też tak uważał.

Farrell zaś, który przez wiele nocy z rzędu wygłaszał tyrady o tym, że ci dwaj, Moody i Stanger, wykazują taki niedostatek człowieczeństwa, że nie potrafią uzyskać zadowalających odpowiedzi, że w ogóle nie mają w sobie tej słynnej adwokackiej dociekliwości, poczuł nagle, że należy powściągnąć oburzenie. Bo śmierć Gilmore'a tak nimi wstrząsnęła. Oni rzeczywiście rozumieją, że ktoś został zabity, myślał Farrell.

Poza tym łaknął szczegółów i chciał dać im do zrozumienia, jak wielki odczuwa dla Gilmore'a podziw za jego niesamowitą konsekwencję wobec rychłej śmierci. Boże kochany, ledwie zdołał to rozgryźć intelektualnie. Nie wyobrażał sobie, z czym Gilmore poradziłby sobie lepiej. Dzięki temu sam wyzbył się wątpliwości co do własnego zaangażowania podczas tych paru ostatnich dni – tego całego ślęczenia nad bezczelnym przełożeniem najlepszych myśli płynących z duszy i sumienia na jeszcze jedno zafajdane pytanie, jeszcze jedną sondę, zapuszczaną w intymne okolice człowieka, który tak broni się przed zwierzeniami, jak skorupiak przed pieszczotą.

Kiedy wszedł Schiller – gadali, wspominali, zadawali sobie pytania i bełkotali odpowiedzi, aż wreszcie mieli dosyć. Moody ze Stangerem pojechali do domu. Ron uznał, że jedyne wydarzenie, które spowodowało u niego podobnie długotrwałą reakcję, to był dzień zabójstwa prezydenta Kennedy'ego. Po powrocie do domu czuł się wyczerpany i natychmiast położył się do łóżka, lecz nie mógł zasnąć. Ledwo zamknął oczy, zaraz widział te same obrazy i bolało go przy najlżejszym dotyku.

Zostali wreszcie sami i Farrell zwrócił się do Schillera:

–Jadłeś śniadanie?

–Nie – odrzekł Schiller.

–A jesteś zainteresowany? – pytał Farrell.

–Mam rozwolnienie – wyznał Schiller i pomyślał, że może pójdzie spać.

Wtedy Barry podniósł wzrok i powiedział:

–A właśnie, słuchaj, dzwoniła twoja matka.

Schiller nie rozmawiał z nią od dwóch tygodni. Wziął słuchawkę do ręki i dowiedział się, że matka oglądała jego konferencję prasową po egzekucji i chciała się upewnić, czy u niego wszystko w porządku, bo nie podobał jej się jego wygląd. Pomyślała sobie, że Larry jest trochę zmordowany.

Schiller zapewnił ją, że jeszcze pozostaje wśród żywych. Po skończonej rozmowie udał się na górę i faktycznie usnął, obudziła go po paru godzinach dziewczyna z „New York Timesa", której uprzednio obiecał wywiad, lecz teraz oświadczył, że niestety. Dzwonił „Time". Dzwonił „Newsweek". Telefon się urywał. Chcieli wiedzieć, czy ma zdjęcia z egzekucji. Chcieli przyjechać i zrobić z nim wywiad. Schiller musiał wrzucić swoją gadkę o tym, że się nie wystawi.

–Wasi redaktorzy proszą o zdjęcia – mówił do „Newsweeka" i,,Time'a" – wobec tego, skoro chcecie ze mną rozmawiać, musimy ustalić, co wydrukujecie. Nie będziecie mnie nazywać przedsiębiorcą. Chcę, żebyście nazywali mnie dziennikarzem.

Zabrał się do wykładania im reguł gry serio.

–Dwa tygodnie temu nazwaliście mnie impresariem i biznesmenem. A teraz zachciewa się wam zdjęć. Chcecie czegoś na temat egzekucji. Ale ja się czuję obrażony – stwierdził. – Musimy ustalić parę podstawowych prawd. Jeżeli chcecie napisać, że wycyganiłem wywiady od pani Bruce, wdowy po Lennym Bruce, to ja chcę, żebyście napisali również o Minamacie, bo ja z tej książki jestem dumny. Jak chcecie mieć zdjęcie Marilyn Monroe, to opublikujcie obok zdjęcie z mojego

artykułu o zatruciach rtęcią. Jak chcecie przechylić swój tekst w jedną stronę, to wyrównajcie przechył czym innym.

Tak im nadawał, tam i z powrotem, i poczuł, że krew znowu krąży mu w żyłach zamiast tego całego gówna.

«DESERET NEWS»

Ray Boren, korespondencja własna

Milcząca większość przemówiła

17 stycznia. Według ankiety Louisa Harrisa, przeprowadzonej w całym kraju, Amerykanie opowiedzieli się za śmiercią Gilmore'a przed plutonem egzekucyjnym, w stosunku 71 procent do 29.

«DESERET NEWS»

Tamera Smith, korespondencja własna

Przed świtem zagrały emocje

Więzienie Stanu Utah, 17 stycznia. We wczesnych godzinach rannych dało się odczuć wyczekiwanie, rezygnację, zawód, frustrację i zagubienie, towarzyszące wszelkim czynnościom, jakie miały miejsce dziś z samego rana w więziennej siedzibie Gary'ego Marka Gil-more'a.

O godzinie 16.07 przyniesiono Gilmore'owi do celi ostatni posiłek. Składał się on z befsztyka, ziemniaków, chleba z masłem, zielonego groszku, ciasta z wiśniami oraz kawy z mlekiem. Skonsumował jedynie kawę z mlekiem.

Między godziną dwudziestą i dwudziestą pierwszą Gilmore zwrócił się do władz więzienia z prośbą o telefon do Radiostacji KSOP, żeby poprosić o dwie ulubione piosenki: Dolina łez i Śladami twoich myśli.

Dwie telefonistki spędziły noc na odbieraniu telefonów z całego świata.

Z Monachium w Niemczech pewna kobieta dzwoniła siedemnaście razy. „Mój mąż zginął w obozie koncentracyjnym

– mówiła – a tutaj dzieje się to samo. Ameryka nie jest wcale lepsza" – starała się dowieść wielokrotnie.

Inna telefonująca kobieta płakała, opowiadając sen sprzed trzech tygodni, z którego wynikało, że Gary nie może umrzeć.

Schiller zwolnił Jerry'ego Scotta z pilnowania biura, gdy zwłoki Gary'ego przewożono do Salt Lakę. Jerry miał pojechać im na spotkanie, a potem czuwać, żeby podczas autopsji jakiś czubek nie próbował namieszać.

Podczas jazdy z Orem do szpitala Jerry Scott rozmyślał o tym, że zaraz po rozprawie przypadło mu zabranie Gary'ego do Więzienia Stanu Utah z Aresztu Okręgowego, a teraz będzie pewnie tym ostatnim, który widział szczątki. Zbieg okoliczności na tyle znaczący, by zaprzątał myśli.

Prosektorium na piątym piętrze Szpitala Uniwersyteckiego było przestronne, z dwoma stołami do sekcji, i Jerry znał je ze swego policyjnego doświadczenia. Dokonywano tam sekcji zwłok na zlecenie władz stanowych. Tego ranka przywieziono właśnie zwłoki kobiety, która utonęła w rzece na północ od Salt Lakę. Położono ją obok Gary'ego, na drugim stole, trzy metry dalej.

Z początku trudno było mu rozpoznać lekarzy wśród otaczającej stoły grupy trzech mężczyzn i trzech kobiet. Dwoje zajmowało się usuwaniem oczu Gary'ego, drugi zespół zaś pracował nad organami do transplantacji. Wszyscy wyraźnie się spieszyli, gdyż musieli chyba czym prędzej wyjąć, co trzeba. Zresztą inny przyglądający się lekarz powtarzał:

–Może byście się pospieszyli? Mam kupę roboty. A później:

–Jeszcze nie skończyliście?

Wreszcie ostatni z tych lekarzy specjalistów powiedział:

–Już, jest twój – i do pracy przystąpił zwyczajny zespół anatomopatologów.

Jerry Scott stał w odległości zaledwie metra czy półtora. Z ciekawością obserwował, co się dzieje. Inspektor medyczny zezwolił mu na obserwowanie przebiegu sekcji, zapisał jego nazwisko, jak również nazwisko Cordella Jonesa, zastępcy szeryfa, na którego widok Jerry Scott się ucieszył, gdyż obawiał się, że później, podczas transportu zwłok Gary'ego ze szpitala do krematorium, mogą wystąpić kłopoty z ludźmi czekającymi na zewnątrz. Nawet poprosił Cordella Jonesa o pomoc w opanowywaniu tłumu. Jerry naliczył co najmniej dwadzieścia osób na dole, pod drzwiami szpitala, z których zaledwie parę mogło być dziennikarzami, reszta zaś to dobrze ponad tuzin wariatów i łowców sensacji. Dlatego Jerry spodziewał się w najlepszym razie konfrontacji z tłumem, przy możliwym udziale prowodyrów.

Lekarz wyjmujący narządy do transplantacji zostawił Gary'ego rozkrojonego od włosów łonowych do mostka. Teraz zespół od sekcji umył ciało i doktor skalpelem powiększył nacięcie aż do szyi, a potem nacinał w bok, w stronę ramion. Następnie zaczął podciągać.

Obdarł Gilmore'a ze skóry aż do ramienia, jakby w połowie mu odwijał koszulę i piłką przeciął żebra aż po gardło, usunął przednią kość i umieścił ją w dużym zlewie, gdzie leciała woda. Później wyjął to, co zostało z serca Gilmore'a. Jerry Scott oczom nie wierzył. Było poszatkowane. Została może połowa. Jerry nie rozpoznał w tym serca. Musiał dopiero spytać.

–Przepraszam – zwrócił się do lekarza – czy to jest to?

–Doktor powiedział:

–Aha.

–On nic nie czuł, prawda? – dopytywał się Jerry Scott. Lekarz odrzekł:

–Nie.

Jerry wcześniej oglądał ślady od kul i były cztery równe otwory,

–które można by zakryć szklanką, odległe od siebie o jakiś centymetr. Lekarze nie omieszkali zrobić pokaźnej liczby zdjęć. Ponumerowali

wloty flamastrem i odwrócili Gary'ego plecami, żeby sfotografować Wyloty kul na plecach. Patrząc na te oznaczenia, Jerry przekonał się,

że facetom z plutonu egzekucyjnego wcale nie drżały ręce. Widać było, że wszyscy oddali celny strzał.

Pewnie, że Jerry znowu myślał o tym, co będzie, jak jego postrzelą. Na służbie to się może zdarzyć w każdej chwili. Nic dziwnego, że się zastanawiał, jak to jest. Przyglądając się sercu powtórzył:

–On nic nie poczuł, prawda? Lekarz odrzekł:

–Nie, nic. ' Jerry spytał:

–A ruszał się już trafiony? Doktor powiedział:

–Tak, około dwóch minut.

–Czy to tylko przez nerwy? – dopytywał się Jerry. Ten przytaknął i dodał:

–Był martwy, ale formalnie musieliśmy odczekać, aż ustaną ruchy. Co nastąpiło jakieś dwie minuty później.

Potem to się zrobiło dosyć makabryczne. Jerry sam musiał przyznać. Zaczęli wyjmować różne części ciała Gilmore'a. Wyjęli mu wnętrzności, żołądek, bebechy, wszystko, następnie odcinali po małym kawałku z każdego narządu. Jeden facet cały czas pracował przy głowie. I ni stąd, ni zowąd pokazał w ręku język Gilmore'a.

–Po co to usuwać? – spytał Jerry Scott. Nie wiedział, czy jego dociekliwość przeszkadza lekarzom, czy nie, w każdym razie, skoro wzięto go na świadka, uważał, że ma prawo wiedzieć, co się dzieje. Przeprowadzający sekcję odpowiedział:

–Do pobrania próbki.

Położył język na stole, przekroił na pół i odciął plasterek. Włożył do słoja z roztworem.

Jerry Scott wielokrotnie widywał zwłoki, dokonywał oględzin po katastrofach lotniczych i wiedział, jak może wyglądać człowiek w kawałkach, jednak to asystowanie na siedząco osobom, które kroją ciało, zrobiło na nim wrażenie. Byli w tym dobrzy, ucinali sobie nawet pogawędki, lecz zachowywali się z taką samą obojętnością, jakby ćwiartowali wołu u rzeźnika. Co pewien czas wołali coś do tamtej ekipy, pracującej przy kobiecie, co utonęła. Była taka gruba, że kiedy otworzyli jej brzuch, fałdy tłuszczu opadły na uda. Pracowali, jak gdyby nigdy nic.

Facet u wezgłowia stołu Jerry'ego zrobił Gary'emu nacięcie za lewym uchem aż do czubka głowy i dalej w dół, do drugiego ucha, po czym chwycił skalp z dwóch stron i otworzył, po prostu ściągnął w dół całą twarz poniżej brody niby gumową maskę, wywracając ją na drugą stronę. Później wziął piłkę i ciął naokoło czaszki. Sięgnął po coś w rodzaju szpachli i rozwarł kość, oderwał czubek głowy. Następnie włożył rękę do środka i wydobył mózg, ważąc go w dłoni. Ze trzy czwarte kilo – ocenił na oko Jerry Scott. Potem usunięto przysadkę, odłożono ją na bok i pokrojono mózg jak mięsisty bochenek.

–Po co to robicie? – zapytał Jerry Scott.

–Ano, szukamy guza – odrzekł jeden z lekarzy.

Zaczęli mu objaśniać, że mózg składa się z różnych obszarów i oni właśnie szukają ewentualnych wad w systemie motorycznym Gary'ego Gilmore'a. Jednak wszystko zdawało się być w jak najlepszym porządku.

Potem sfotografowali jego tatuaże. Na lewym ramieniu miał wypisane „Mama", na lewym przedramieniu zaś „Nicole". Zdjęli mu odciski palców, następnie wzięli wszystkie narządy nieprzydatne przy dalszej sekcji i włożyli z powrotem do otworów głowy i tułowia, podciągnęli mu twarz, naprężając skórę na mięśniach i kościach, jakby z powrotem naciągali maskę, dopasowali odpiłowany czubek czaszki, przyszyli skalp i zaszyli otwór w ciele. Kiedy się już ze wszystkim uporali, wyglądało to znów jak Gary Gilmore.

W trakcie tego wszystkiego Jerry Scott zauważył, że Gilmore miał zaledwie dwa zęby w dolnej szczęce i żadnego u góry. Potem włożono mu sztuczną szczękę. Kiedy Jerry Scott mu się przyjrzał już po rekonstrukcji, ogarnęło go zdumienie, że tak chudy facet miał jednak sporą warstewkę tłuszczu. Mimo wszystko, wyglądał na człowieka w formie, praktycznie sylwetka sportowca, gdyby nie ten tłuszcz na brzuchu.

Dopiero wtedy Jerry spojrzał na zegarek. Było wpół do drugiej po południu. Przesiedział tam cztery godziny. Wszedł człowiek z Domu Pogrzebowego Walkera, położyli Gilmore'a na łóżku na kółkach, przykrytego prześcieradłami z ładnym kocem na wierzchu, przetoczyli go na ulicę i tam załadowali na karawan, który go zawiózł do Krematorium Shrinera w Salt Lakę. Prawdopodobnie z powodu czterogodzinnego czekania spod szpitala zniknął tłum, i chociaż na

miejscu też czekali dwaj policjanci, żadnego tłumu nie było także przy krematorium.

Ponieważ trumna miała być spopielona wraz z ciałem, zastali trumnę jak z opieki społecznej. Wykonana ze sklejki, miała co prawda pokrycie z brązowego aksamitu, po bokach srebrne rączki, w środku zaś białe satynowe obicie, do tego naprawdę fajną satynową poduszkę. Lepsze to niż drewniana skrzynia, chociaż daleko jeszcze do frymuśnych cacek z metalu.

Dzienny rozkaz Jerry'ego przewidywał między innymi sprawdzenie, czy aby spalą właściwego faceta. Dlatego przed wprowadzeniem trumny do pieca uniósł prześcieradło w celu zidentyfikowania twarzy Gary'ego. Potem podniesiono wielką klapę od pieca, która wcześniej była zatrzaśnięta dla ochrony przed wysokimi na metr płomieniami, jakie wystrzeliły podczas wstępnego rozpalania. Wsunięto trumnę z ciałem. Kiedy już płonęła od paru minut, otwarto ponownie klapę dla Jerry'ego i gość prowadzący ten interes wziął długi pogrzebacz, żeby rozbić przód trumny. Wtedy zajrzeli przez otwór – jakieś trzydzieści centymetrów na trzydzieści – w którym Jerry Scott mógł dostrzec głowę Gary'ego. Włosy już płonęły i odpadała skóra.

Scott widział, jak schodzi twarz Gary'ego, potem ciało ciemnieje i znika. Później spalały się mięśnie i ręce Gilmore'a złożone na klatce piersiowej uniosły się przez skurcz i tak zastygły, dopóki palce obu rąk nie wskazały w niebo. Taki jego ostatni obraz zachował Jerry Scott. Cały czas miał w myślach ten widok, gdy paliło się ciało, co trwało bardzo długo, bo znalazł się przy piecu o drugiej trzydzieści, wyszedł zaś po skończonej robocie koło piątej, kiedy już został sam popiół i zwęglone kości.

Kelnerki, znajome Toni Gurney, zatrudnione w knajpie pod nazwą Stirrup, przyjechały przed wieczorną zmianą, żeby posiedzieć przy barze. Sala była długa i ciemna, zakończona parkietem do tańca. Oczywiście, żeby się napić, trzeba było – jak to w Utah – wykupić

kartę klubową, ale bez większych trudności. Stirrup ożywał wieczorami, jako że był jednym z niewielu lokali między Provo i Salt Lakę, gdzie można się napić i potańczyć. Jednak po południu panowała tu cisza i w półmroku siedziało zaledwie parę osób.

Jedna z tych znajomych, Willa Brant, zapytała hostessę, Alice Anders, kim są ci trzej faceci przy stoliku, na pewno nie stali bywalcy. Alice odpowiedziała, że to są kaci Gary'ego.

–Skąd wiesz? – spytała Willa. Hostessa odrzekła:

–Bo ich wpisywałam. Oni należą do klubu Pronghorn w Salt Lakę, a my to honorujemy.

Willa poszła po papierosy, umyślnie mijając ich stolik. Jeden z mężczyzn rzucił:

–Może byś się do nas przysiadła?

Siedzieli i pili, grając w lipnego pokera banknotami dolarowymi. Kiedy Willa się przysiadła, pograli tylko chwilę, bo jeden z nich powiedział:

–Założę się, że uważasz nas za skurwysynów żądnych krwi, mam

rację?

–No więc to musiało się stać – powiedziała Willa. – Gary sobie tego życzył.

Tu urwała. Nie mówiła, że zna Toni Gurney i resztę rodziny. Wtedy jeden z katów powiedział:

–Chcesz zobaczyć coś sadystycznego?

Pokazał jej skrawek taśmy tapicerskiej i łuskę od kuli, następnie wyjaśnił:

–To jedna z kul, które zabiły Gary'ego, a to kawałek nylonowego paska, co przytrzymywał mu rękę.

Zapytał, czy ma ochotę dotknąć. Willa powiedziała „nie", ale nie mogła się powstrzymać. Zrobiła to, z głupawym uśmieszkiem na twarzy. Potem on je schował z powrotem do kieszeni.

Inny z siedzących przy stole oświadczył, że ma w samochodzie kaptur. Wiele na ten temat nie mówił. Stwierdził tylko, że ma. Sporo wypili.

Jeden z tych facetów był niski, krępy, po trzydziestce, drugi też grubo po trzydziestce, z włosami ciemnoblond, koło metra osiemdziesiąt, przeciętnej postury, tylko że miał wystający brzuch i okulary.

Ci dwaj najwięcej gadali. Trzeci, małomówny, miał ciemne włosy i był średniej budowy, ale miał prawdziwie gęstą brodę, siwiejące wąsy i łZy w oczach. Oświadczył wreszcie, że gdyby wiedział, w co się pakuje, nigdy by na to nie poszedł. Wtedy przysiadła się do nich pewna młoda mężatka nazwiskiem Renę Wales, którą Willa znała z widzenia, i znów grali w lipnego pokera.

W pewnej chwili kaci zaczęli rozmowę o swoich nadajnikach. Mieli je wszyscy trzej, ale jeden zaczął się chwalić możliwym zasięgiem. Szast, prast i Renę Wales wyszła z nim sprawdzać zasięg radia w pick-upie. Wróciła nie wcześniej, jak po trzech kwadransach. Weszła razem z tym facetem i obojgu można było z twarzy wyczytać, że sobie użyli.

ROZDZIAŁ 41

Pogrzeb

Nazajutrz rano, we wtorek osiemnastego stycznia, Schiller odbywał naradę z Debbie, Lucindą i Barrym Farrellem w sprawie uprzątnięcia biura i zwrotu wypożyczonego sprzętu. Nagle, podczas tej roboczej narady, zatelefonował Stanger. Po południu w Spanish Fork miała się odbyć uroczystość dla uczczenia pamięci Gary'ego. Wszyscy domagali się, by Larry i Barry koniecznie przyjechali.

Kiedy Schiller powiedział dziewczynom, też chciały jechać. Debbie nawet się popłakała. Co oczywiście przesądziło sprawę. Też zostały zaproszone. Potem uroczystość parę razy przesuwano dla zmylenia dziennikarzy i wreszcie miała się odbyć nie w kościele, tylko w domu pogrzebowym w Spanish Fork.

Tuż przed czasem wparowała do biura Tamera Smith, Schiller Postanowił nic jej nie mówić. Miał przeczucie, że nie można ufać Jej obietnicom, że nie będzie o tym pisać. Jednak z tego, co mówiły dziewczyny, ona prędko załapała, co się dzieje, i zaatakowała Larry'ego. Była wściekła. Aż wychodziła z siebie.

–Pracowałam z tobą – mówiła. – Należę do zespołu. Dlaczego nie mogę pojechać? Schiller zmuszony był odrzec:

–Tu nie chodzi o brak zaufania, Tamero, ja po prostu nie mogę Szykować. To wkracza w temat, którego nie chcę oddać.

Tamerę cholera wzięła, a po chwili jeszcze większa. Była okropnie zazdrosna, że Debbie i Lucinda pojadą. Pierwszy raz wydawała się brzydka. Właściwie to Tamera tak się wściekła, jakby ją piorun strzelił. Rasowa reporterka.

Dom pogrzebowy znajdował się przy głównej ulicy. Parterowy budynek, jasno otynkowany, z poziomym pasem witrażowych okien u wejścia. To miało wyglądać na witraże, zakładał Schiller, lecz przypominało raczej mozaikę na blacie kawiarnianego stolika. Żadna wielka architektura, na pewno.

Ku zdziwieniu Schillera, obecnych było ze czterdzieści osób. Przedstawiono go dużej liczbie sióstr Bessie i nawet nie próbował spamiętać, jak się która nazywa; podchodziły jedna za drugą, a on im dziękował. Zresztą sam nie rozumiał za co. Potem rozległa się muzyka organowa.

CAMPBELL: – Nasz Wiekuisty Ojcze w Niebiesiech, z głęboką pokorą skupiamy się, by rozpocząć tę specjalną uroczystość poświęconą jednemu z naszych zmarłych, Gary'emu Markowi Gil-more'owi, pełni podziwu i szacunku dla jego indywidualności za życia, która oby przetrwała w wieczności. Ojcze, wiele lat temu wydarzyła się wielka tragedia w systemie karania nieletnich, gdyż wtrącono młodego człowieka, wybitną osobowość, Twe dziecię, do więzień na mocy wyroków w tym kraju. Znaliśmy go jako wspaniałą postać, zasługującą na nasze przywiązanie, którą zachowamy w pamięci na zawsze. Przybądź do nas, modlimy się w imię Twego Syna, Jezusa Chrystusa, Amen. (pauza) Dzisiejszego popołudnia mamy tu wiadomość od matki Gary'ego, przekaże ją Toni Gurney.

TONI: – Ciocia Bessie prosiła mnie o przekazanie wam wszystkim następującej wiadomości: „Zachowałam w pamięci wiele pięknych wspomnień o moim synu, Garym Ofiarował mi tyle pięknych rzeczy – obrazy olejne, które sam malował, i ręcznie wytłaczaną portmonetkę ze skóry, którą dla mnie zamówił – lecz rzeczą najbardziej bezcenną, jaką Gary mi ofiarował, była jego miłość i dobroć…" Chcę również powiedzieć, w imieniu swoim i mojej siostry Brendy… (załamuje się)

VERN (czyta pismo Toni): – „Chciałabym powiedzieć w imiemu mojej siostry Brendy, że wszystkim nam będzie Gary'ego

brakowało

Widzieliśmy go w chwilach szczęśliwych i w chwilach cierpienia,

j wszyscy wiemy, że teraz zaznaje spokoju."

CAMPBELL: – Dziękujemy bardzo. Pani Evelyn Gray specjalnie

poświęciła Gary'emu kilka swoich wierszy, zresztą wręczyła mu je

osobiście, jeden z nich zaś pragnie nam tu odczytać. Evelyn jest

krewną.

EvELYN: – Drogiemu Gary'emu:

Czyż śmierć zakończyć zdoła trwanie duszy,

która z burzliwych życia wód wyruszy?

Zwiewny duch płynie przez wezbrane fale,

w swej drodze ciemne mijając portale,

by pożeglować w przestrzeń niepomierną,

nim ujrzy nowy port na widnokręgu.

Zawinie tam wkrótce po spokojnej toni

morza w zagłębieniu kochającej dłoni

i nurzać się będzie w tym bezkresie piękna.

Gdzie krańce są tego – jeden Bóg pamięta. Dziękuję.

CAMPBELL: – Jeszcze ktoś, kto zdołał poznać Gary'ego bardzo dobrze podczas licznych widzeń, człowiek, który wszedł w jego życie poprzez system prawa, mecenas Robert Moody. MOODY: – Drodzy przyjaciele, myślę, że należy ten czas poświęcić wspomnieniom o Garym. Kiedyś rozmawialiśmy o tym i Gary powiedział: „Tak, tak, chciałbym, żeby mnie wspominano, chciałbym, żeby się odbyła uroczystość w kościele i żeby wujek Vern tam przemawiał do tych, co zechcą przyjść." W trakcie kilkumiesięcznych spotkań z Garym, podczas długich godzin spędzanych wspólnie, zawarliśmy znajomość z człowiekiem, z osobą głęboko myślącą

i twórczą. Gary nie miał tylu możliwości, ile mieliśmy wszyscy tu obecni, był samoukiem i wiedzę zdobywał sam. Dużo czytał i zdobył wiadomości o wielu, wielu sprawach. Gary zbudował sobie własną filozofię i własną wrażliwość religijną, a udało mu się to osiągnąć mimo ograniczeń narzuconych przez pozbawienie wolności. I ta samodzielnie zdobyta przez niego wiedza nauczyła czegoś każdego

z nas, kto z nim rozmawiał… Myślę, że jedno zapamiętamy na zawsze. Otóż Gary, tak długo i usilnie poszukujący miłości, dopiero podczas ostatnich paru tygodni czy miesięcy pojął, że świat pełen jest miłości, i to miłości dla niego, której tak długo i bezskutecznie poszukiwał. Skoro dzisiaj wspominamy Gary'ego, pamiętajmy, że miłość jest istotnie dla każdego i nieważne, co inni powiedzą o Garym, on miał tę

miłość w sobie i pewien jestem, że Gary spoczywa w spokoju… że odnalazł Boga. Dziękuję.

CAMPBELL: – Dziękujemy, Bob. Brat Dick Gray chciałby teraz przekazać specjalne przesłanie.

DICK GRAY: – Odczuwam wielką stratę. Przeczytam teraz, co piszą jego bracia. „O Garym Gilmorze krążą teraz różne opowieści, niektóre dobre, inne złe, jedne prawdziwe, inne znów wymyślone, lecz Gary Gilmore, jakiego znałem, był

jednocześnie zły i dobry, jak wszyscy. To właśnie najlepiej zapamiętałem o Garym Gilmorze, że on był kiedyś taki jak wszyscy, zanim rozpoczęto resocjalizację Gary'ego Gilmore'a. O tak, zanim skazano go według prawa, on był taki jak wszyscy. Krótko mówiąc, zebraliśmy się tu, ponieważ Gary'ego Gilmore'a zresocjalizowano. Jego brat Frank." Następny list pochodzi od jego brata Mikala. „Gary, modlę się o to, byś znalazł lepszy i litościwszy świat. Modlę się, żeby spuścizna po tobie stanowiła przypomnienie wartości życia, nie zaś gloryfikację kupczenia śmiercią w jakiejkolwiek formie. Modlę się za naszą rodzinę, tak jak modlę się za rodziny tych, którzy doznali cierpień… i modlę się, by żaden człowiek mieniący się reprezentantem naszych interesów nie zapomniał o długu wobec tych rodzin. Żal mi, Gary, że nie spędziliśmy razem więcej czasu. Z wyrazami miłości i skruchy –

Mikal."

CAMPBELL: – Dziękuję, Dick. Teraz Thomas R. Meersman, duszpasterz Więzienia Stanu Utah, pragnąłby przemówić do ciebie, Gary, z głębi duszy.

Niemal wszyscy obecni słuchali z wielkim zainteresowaniem, gdyż większość z nich, będąc mormonami, nie słyszała dotąd przemowy prawdziwego katolickiego księdza.

MEERSMAN: – Wiecie już państwo, że nazywam się ojciec Meersman i jestem kapłanem katolickim w Więzieniu Stanowym Utah, i moje kontakty z Garym Gilmore'em były zapewne szczególnego rodzaju. Wszedłem w jego życie z powodu bardzo niezwykłego oświadczenia, które wypowiedział człowiek skazany na śmierć. Mówiłem mu o tym podczas pierwszego spotkania. Powiedziałem, że to niezwykłe oświadczenie i jeśli on rzeczywiście ma takie życzenia to ja uczynię wszystko, co w mojej mocy, by je spełnić. Podejrzewam, że wszyscy wiedzą, jak brzmiało jego oświadczenie: „Chcę umrzeć z godnością." Tak zaczęły się nasze kontakty, spotykaliśmy

się przeważnie nocą, gdyż w ciągu dnia Gary był prawie stale zajęty rozmaitymi sprawami. Przychodziły różne osoby na widzenia, na rozmowy… Jego nazwisko stawało się coraz sławniejsze i zdobył międzynarodowy rozgłos na całym świecie, przynajmniej jeśli chodzi o nazwisko i różne sprawy związane z jego osobą… Tak to nam się układało i kiedy koniec wydawał się już bardzo bliski, trzeba było, cóż, nabrać powagi. Na wszystko znajdzie się zawsze miejsce i czas, toteż w noc poprzedzającą czuwanie przy skazanym zebraliśmy się razem około północy i przypadkowo jeden ze strażników był katolikiem. To on służył do mszy, jak to się u nas nazywa, czyli asystował kapłanowi, czyli mnie, i odprawiliśmy Mszę Świętą w dwuch częściach. Mieliśmy czytania z Biblii i na pytanie: „Którą Ewangelię przeczytamy?", Gary na swój niepowtarzalny sposób odpowiedział: „Mam imiona Gary Mark. Poczytajmy świętego Marka." Później strażnicy byli mocno wzruszeni i zauważyli oczywiście, że Gary jest nadzwyczaj skupiony, zwłaszcza po zakończeniu – nie poruszył się, tylko siedział tam na stole. I mówiliśmy do niego bardzo prosto. „Weszliśmy w twoje życie, kiedy powiedziałeś, że chcesz umrzeć z godnością. I zostaniemy w twym życiu, będziemy w nim, dopóki to się nie dokona. Jednakże chcemy, byś wiedział, że w każdym dniu mojego życia i kapłaństwa, kiedykolwiek stanę jako katolicki ksiądz przy ołtarzu, czy to w Więzieniu Stanu Utah, w szpitalu, czy u świętego Piotra w Rzymie, codziennie przez całe życie będę się za ciebie modlił." No i nie wiem, podzieliłem się niektórymi myślami. Jest ich zapewne o wiele więcej, tylko zabrakło mi czasu na robienie dłuższych notatek, lecz mam nadzieję, że te refleksje dopomogą wam, którzyście go bardzo kochali. I oczywiście będzie nam go brakowało. Być może, poprzez słowa, które tu wypowiadamy, zdołacie lepiej go poznać. Nie umiałbym wam powiedzieć nic wspanialszego niż jego ostatnie słowa: Dominus vobiscum. Niech Bóg będzie z wami wszystkimi. Dziękuję.

CAMPBELL: – Dziękujemy, ojcze. Jestem głęboko poruszony, Podobnie jak wszyscy, gdyż zaczynamy odkrywać prawdziwego

Gary'ego Marka Gilmore'a. Jeszcze jedna osoba darząca go szacunkiem. Ron Stanger.

StANGER: – Myślę, że Bob i ja staliśmy się częścią jego Przybranej rodziny. Zdaje mi się, że z wyjątkiem może trzech czy Czterech dni, byliśmy przy nim codziennie i jeśli nam nie wierzycie, sPytajcie naszych żon. One już dobrze wiedzą. Byłem tam w dniu

Bożego Narodzenia, kiedy rodzina wspólnie spędza czas, wesoło i radośnie, jak to w święta; zgadnijcie, dokąd pojechali wtedy Moody i Stanger? Lecz wydawało mi się to bardzo stosowne i po raz pierwszy w życiu, a może i jedyny, we własnym pojęciu byłem dobrym i wiernym chrześcijaninem, gdyż postąpiłem według wskazań Zbawiciela, by nawiedzać więzienia i próbować pomóc ludziom w potrzebie. Chciałbym się tutaj zwrócić do wszystkich, by poszli za radą Gary'ego, którą mi przekazał podczas rozmowy na temat rodziny, wszyscy zresztą wiemy, że kochał dzieci. Wypytywał nas, jak układa nam się z dziećmi, i zawsze powtarzał: „Ron, wychowuj je, bądź przy nich i obchodź się z nimi surowo, żeby wiedziały, że jeśli pobłądzą teraz, mogą popełnić wielkie omyłki, gdy dorosną." Pewnego razu powiedział, z tym swoim charakterystycznym uśmiechem: „Kiedy dziecko wciąż będzie postępować źle, może z niego wyrosnąć następny Gary Gilmore."

CAMPBELL: – Dziękujemy, Ron. Gary oddał mi wielką przysługę. Pchnął mnie we właściwym kierunku. Za pół roku odchodzę z więzienia. Gary przekonał mnie, że szczypta profilaktyki warta jest tyle, co funt lekarstwa, i że słowa „wymiar sprawiedliwości" nie pasują do słów „dla nieletnich". Chcę się przenieść na południe Utah, gdzie mam kawałek ziemi, zbuduję tam ranczo dla chłopców i będę przyjmował takich do czternastego roku życia, którzy popadli w konflikt z prawem, i obdarzę ich miłością. Z dotychczasowych wypowiedzi wynika, że Gary najbardziej pragnął pozostawić po sobie miłość. Prawdopodobnie ze wszystkich przebywających tam ludzi on

umiał kochać najbardziej. Przekazał mi głęboką miłość i chcę, żebyście wiedzieli, że cząstka Gary'ego Marka Gilmore'a na zawsze pozostanie we mnie. Prosił, by podczas tej uroczystości została odśpiewana słynna pieśń, o której wyraził się następująco: „To będę ja, odchodzący z tego świata." Jest to wspaniały chrześcijański hymn pod tytułem Cudowna łaska. Zaśpiewa go dziś małżonka Roberta Moody'ego. PANI MOODY (śpiewa):

Cudowna łaska – słodki dar –

Zbawiła marność mą.

Kiedyś błądziłem, dziś drogę znam,

Me oczy otwarte są.

W trudzie i znoju pośród burz Przebyłem drogi szmat,

Łaska otuchę niesie mi I wiedzie mnie przez świat.

CAMPBELL: – Dziękujemy bardzo. To było piękne. Wiem, że Gary szczerze kochał was wszystkich. Lecz w jednym szczególnym przypadku wiem, że miłość płynęła z obu stron, i to niewyczerpanym strumieniem – w przypadku jego wuja Verna. Vern wygłosi teraz ostatnią mowę.

VERN: – Bracia i siostry, przyjaciele, w dniu dzisiejszym, osiemnastego stycznia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku, stoję tu przed wami, ponieważ Gary mnie o to prosił. Jest to dla mnie coś zupełnie nowego, nigdy przedtem tego nie robiłem… Ale obiecałem mu, więc spróbuję powiedzieć dla niego parę słów. Nie po to, by usprawiedliwiać jego czyny, tylko dla wyjaśnienia, dlaczego to zrobił. Będzie mi na pewno bardzo trudno. Postaram się wyjaśnić najlepiej, jak umiem. Otóż Gary był bardzo zakochany w dziewczynie, a ona w nim. Problemy, które mieli, były prawdopodobnie takie same, jakie miewają niektórzy z nas, lecz Gary po prostu nie mógł sobie z

nimi poradzić. Musiał się wyładować na czymś, na kimś, i niestety tak zrobił. Gary szedł na śmierć w nadziei, że tym samym odpokutuje za swój czyn. Skrzywdził dwie wspaniałe rodziny, lecz powiedział mi, że ma tylko jedno życie do zaofiarowania i szkoda, że nie więcej. Chętnie oddałby więcej. Oddał rozmaite części swego ciała ludziom i nauce, w nadziei że jakiejś nieszczęśliwej osobie pomoże wrócić do zdrowia. Nauczyłem się poznawać Gary'ego… Przez ostatnie parę miesięcy poznałem go lepiej niż dotąd, zobaczyłem Gary'ego od wewnątrz; on jest bardzo ludzki, wrażliwy i właśnie wyrozumiały, umiejący kochać. Teraz Gary zdąża ku nowemu życiu z Bogiem i wobec tego, jak mawiał Gary, „nie pękajcie, ludzie". W imię Jezusa Chrystusa, Amen.

Po uroczystości Stanger poprosił Larry'ego Schillera do przyległej Sali, gdzie stała urna. Tam Larry się dowiedział, że Gary życzył sobie, by jego prochy rozsypano nad Spanish Fork, gdyż wracał tam wspomnieniami miłości. Vern wyczuł, że Gary nie chce więcej

przebywać w zamknięciu. Był zamknięty przez całe życie. Teraz pragnie mieć ziemię pod sobą i wędrować, gdzie wiatr go poniesie

Mieli zamiar dokonać tego z samolotu i Ron mówił Larry'emu, że Gary życzył sobie jego obecności na pokładzie. Takie wyraził żądanie Schiller odpowiedział, że nie chce lecieć. Uważał, że to nie miejsce dla niego. Odrzekli mu, że zaproszony jest Vern, ojciec Meersman i Cline Campbell, poza tym będzie tylko Stanger i on. W końcu musiał się zgodzić. W dalszym ciągu jednak sądził, że to niewłaściwe. Przez całą uroczystość pożegnalną nie czuł, że Gilmore jest mu bliski ani nie przeżywał emocji, jakie wyraźnie były udziałem innych gości. Przelot samolotem będzie taki sam. Jednak stanęło na tym, że wszyscy polecą tym samolotem nazajutrz. Resztę dnia Schiller spędził przy pakowaniu.

W środę dziewiętnastego zjawił się na lotnisku Provo i razem wsiedli do samolotu na sześć miejsc; pilot ze Stangerem na przednich fotelach, za nimi Vern i Campbell, z tyłu on z Meersmanem. Wszystko okazało się bardzo proste. Mieli z sobą taki kartonowy pojemnik wielkości pudełka od butów i kiedy znaleźli się w powietrzu, Stanger go otworzył. Prochy Gary'ego znajdowały się w plastikowej torbie, w jakiej sprzedają chleb, w celofanowym worku z wyraźnym nadrukiem piekarni. Zmroziło to Schillera. Proszę, Stanger trzyma przy oknie torbę z dużym kolorowym nadrukiem, nie tyle wesołym, co tandetnym, pięćdziesiąt dziewięć centów za bochenek. Schiller wyobrażał sobie, że prochy będą czarne i żałobne, dostojne w pewnym sensie, lecz były szarobiałe z kawałkami kości: kolor spłowiały i zużyty.

Gary opisał, jak należy obejść się z popiołami. Wybrał pewną liczbę miejsc w Spanish Fork, Springville i Provo, Stanger musiał więc sypać prochy cztery czy pięć razy. Nawet nie wystawił ręki za okno, tylko w uchyloną szparkę wsunął wylot torby. Pilot za każdym skrętem przechylał maszynę po stronie Stangera i pęd powietrza wysysał popioły. Odbywało się to powoli, niezbyt dramatycznie. Z tyłu Meersman nawiązał z Schillerem rozmowę o uroczystości pożegnalnej-Dla Schillera było oczywiste, że Meersman chce zasugerować, jakoby Gary w dniu swojej śmierci powrócił na łono Kościoła katolickiego; lecz Schillerowi wydało się to naciągane. Gary nienawidził imienia Mark, nawet wykreślał je w umowach. Mógł oczywiście traktować to

raz tak, raz tak, mimo to Schiller przyjmował wersję Meersmana sceptycznie.

Kiedy wylądowali po rozrzuceniu prochów, na lotnisku czekał Barry Farrell. Była z nim dziewczyna z „New York Timesa", której Schiller nie miał najmniejszej ochoty udzielać wywiadu. Zapomniał jednak powiadomić Farrella o tej drobnostce. Dlatego zaraz po wyjściu z samolotu musiał stanąć przed

dziewczyną z „Timesa". Z jej twarzy można było wyczytać, że Barry mówił jej, co wszyscy robili w samolocie. Schiller został przyparty do muru i zrobił okropny wywiad. Sprawa się wydała. Wyszła na jaw tajemnica, co się stało z prochami Gilmore'a.

Jeszcze tego samego dnia udzielał wywiadów dla „Time'a" i „News-weeka", zanim wreszcie wsiadł w samolot do Los Angeles. Oba pisma przystały na jego warunki, lecz w końcu miał na nie haczyk. W listopadzie przez dzień lub dwa „Newsweek" z nim współpracował – wobec tego, jeżeli nie wspomną w artykule o tym drobnym fakcie, Schiller poinformuje „Time'a". Z kolei „Time'owi" powiedział, że jeśli nie przedstawią jego sylwetki w sposób wyważony, poinformuje „Newsweeka" o tym, jak „Time" wetknął mu minoxa w noc przed egzekucją, żeby jego współpracownik zrobił Gary'emu zdjęcia. W ten sposób tygodniki potraktowały go przyzwoicie i z obiektywizmem. Bez schlebiania, po prostu obiektywnie – nigdy nie prosił o nic ponadto.

ROZDZIAŁ 42

Dziennikarski odpływ

«TIME»

Zaledwie 18 minut trwało to, co naczelnik określił mianem „wydarzenia". Na odgłos wystrzałów więźniowie z trzech pobliskich pawilonów jęli wykrzykiwać przekleństwa.

«SALT LAKĘ TRIBUNE»

ACLU oskarża Hansena o współudział w morderstwie

18 stycznia 1977. Henry Schwarzschild, nowojorski koordynator Krajowej Koalicji Przeciw Karze Śmierci i zarazem dyrektor wydziału do spraw najwyższego wymiaru kary w American Civil Liberties Union, wypowiadał się w bardzo ostrych słowach na temat egzekucji oraz władz Utah.

„To nie było samobójstwo pana Gilmore'a, lecz usankcjonowane morderstwo przy udziale pana Hansena – oświadczył pan Schwarzschild na konferencji prasowej w hotelu Hilton w Salt Lakę. Pośpiech, z jakim stanowy Prokurator Generalny odwołał się do Dziesiątego Obwodu, świadczy o niepohamowanej żądzy krwi – dodał. – Jestem oburzony podobnym czynem w społeczeństwie, które się uważa za cywilizowane – stwierdził ów przeciwnik kary śmierci. – Nie jestem w stanie ogarnąć głębi okrucieństwa i ludzkiej deprawacji, która doprowadziła do tego widowiska."

Pan Schwarzschild przyznał, że to mocne słowa, lecz sytuacja narzuca ostry ton. „Niech pan Hansen potraktuje to, jak uważa."

«SALT LAKĘ TRIBUNE»

Dave Jonsson korespondencja własna

Sprawiedliwości stało się zadość – mówi o egzekucji Hansen

17 stycznia 1977. Prokurator Generalny Utah, Robert B. Hansen, osobiście domagał się przed sądem uchylenia zakazu egzekucji Gary'ego Marka Gilmore'a, a w poniedziałek, tuż po śmierci skazańca, oświadczył: „Sprawiedliwości stało się zadość."

„Najwyższy wymiar kary jest symbolem stanowczości społeczeństwa, które wymaga poszanowania swoich praw. Gdybyśmy nie dążyli do przestrzegania naszych najsurowszych praw, osoby o skłonnościach przestępczych mogłyby liczyć na to, że uda im się uniknąć kary – stwierdził pan Hansen. – Żadna śmierć nie podnosi na duchu i gdy ktoś umrze, odczuwamy smutek – dodał z poszarzałą twarzą, gdyż od trzydziestu godzin nie zmrużył oka. – Jednak na myśl o rodzinach obu ofiar odczuwam nieskończenie większy żal aniżeli z powodu, że pan Gilmore nie żyje."

Tekst o Hansenie ukazał się w „Salt Lakę Tribune" opatrzony dużym zdjęciem. Lecz obok wydrukowano nagłówek artykułu o Schwarzschildzie, czyli słowa: „Usankcjonowana zbrodnia".

Bob Hansen był przyzwyczajony do różnych nieprzyjemnych tekstów o sobie, lecz „usankcjonowaną zbrodnię" uważał za obraźliwą Długo debatował, czy ma zaskarżyć faceta z ACLU. Ponieważ sam był postacią publiczną, wiedział, że musiałby okazać mnóstwo podłości. Chociaż z punktu widzenia Hansena oświadczenie Schwarzschilda aż kipiało podłością, problem polegał na tym, że Schwarzschild nie odpowiada za nagłówki. A zwykle cytuje się fragment najbardziej rażący. Na tym polegał kłopot, w każdym razie Hansen był ciężko urażony.

Któregoś dnia, wkrótce po egzekucji, Judy Wolbach wybrała się do gmachu Stanowego Kapitolu, żeby powiedzieć Earlowi Doriusowi, co o nim myśli. Nie był to postępek zbyt rozważny, usiadła jednak w jego biurze i spytała, co on sam o sobie sądzi. Earl odpowiedział:

–Judy, musisz zrozumieć, że ty uważasz wszystko, co myśmy zrobili, za okropne, a my uważamy, że wszystko, co ty zrobiłaś, było absolutnie niesprawiedliwe. W przyszłości będziemy razem pracować przy różnych sprawach, dlatego byłbym wdzięczny, gdybyś w większym stopniu panowała nad własnymi emocjami.

Może nie użył dokładnie takich słów, lecz usłyszała od niego przemowę mniej więcej tej treści. Nie mogła tego słuchać.

–Earl – rzekła – powiedz mi. Ty masz małe dzieci. Czy nie gryzie cię, co będzie, kiedy się dowiedzą, że byłeś, tak się składa, pomocnikiem przy tej egzekucji?

Kiwnął głową. Niepokoi się, przyznał. Jedno z dzieci usłyszało jakąś uwagę, że on i prokurator generalny Hansen są zamieszani w morderstwo z zimną krwią. Musiał wszystko wyjaśnić.

Ze swej strony biurka Earl czuł, że Judy miała pełne prawo przyjść i stanąć z nim twarzą w twarz. Nawet był rad, że to zrobiła. Po zamknięciu sprawy o takim ładunku emocjonalnym drogi adwokatów zwykle się rozchodzą. Jednak nie lubił sytuacji, gdy podczas przypadkowego spotkania na ulicy wymienia się tylko nienawistne spojrzenia. Właściwie uważał za wspaniałe ze strony Judith, że

odważyła się przyjść i wygarnąć, co jej leży na sercu. Lepsze to niż podsycana latami nienawiść.

Po wyjściu z biura do Judy dotarło, że egzekucja w ogóle nie sprawia jej bólu, wbrew oczekiwaniom. Czuła tylko, że trawi ją gniew. Na pewno głęboko to przeżywała, inaczej nie poszłaby się zobaczyć z Earlem Doriusem, ale nie wystąpiła u niej po prostu żadna reakcja emocjonalna w związku z faktem śmierci Gilmore'a. Zastanawiała się, czy nie zaważyło tutaj ogarniające ją czasem uczucie, że jednak blokuje jakieś prawa dane Gilmore'owi.

«SALT LAKĘ TRIBUNE»

Bob Greene

Agencja Field Newspaper

Egzekucja w Utah – zew krwi

20 stycznia 1977. Nie mówiono wam o tym, jak pełzaliśmy obok krzesła zabitego człowieka wokół worków z piaskiem, poplamionych świeżą krwią. Nie mówiono wam, jak pospieszyliśmy za płócienną zasłonę, skąd padły strzały, i jak spoglądaliśmy przez podłużne otwory, skąd wystawały lufy. Spoglądaliśmy na krzesło, fundując sobie taki sam widok, jaki mieli kaci z plutonu egzekucyjnego.

Nie wiecie, jak wszystkiego dotykaliśmy, obmacywaliśmy ze wszystkich stron każdy przedmiot w baraku śmierci. Nie mówiono wam o wyrazie twarzy strażników więziennych, którzy patrzyli zdumieni, że to wszystko robimy z taką ochotą, z taką żądzą w oku. Nie powiedziano wam, co zrobiliśmy z krzesłem zabitego – krzesłem z dziurami od kul w skórzanym oparciu. Tegośmy wam nie mówili, prawda? Nie mówiliśmy o wtykaniu palców w otwory po kulach dla zaspokojenia własnej ciekawości, jak szerokie i głębokie są te śmiertelne wydrążenia. Żeby wszystko poczuć samemu.,

Brenda była kompletnie wyczerpana. Z powrotem we własnym domu, rozciągnięta na łóżku. Ludzie przychodzili ją odwiedzać, ale zapomniała kto. Rozmawiała, lecz nie pamięta własnych słów. Trzy dni zlały się w jeden. Potem dostała gorączki i dość silnych wymiotów. W głowie miała jedno: Muszę się doprowadzić do porządku i pojechać na pogrzeb.

Ledwo się dowlokła do łazienki. Nie wiedziała, że pogrzeb odbył się przed dwoma dniami. Była zupełnie zdruzgotana, gdy

się dowiedziała. Zabrakło jej na pożegnaniu Gary'ego. Sprawiła mu zawód.

Ani razu wtedy nie płakała nad Garym. Nie było takiej potrzeby. On nie użalał się nad sobą. Miała w dalszym ciągu nadzieję, że Gary Zechce być blisko niej także po wyjściu z domu wariatów, i pomyślała, że może jednak odbierze sobie życie, ale tak naprawdę to nie wiedziała. Trudno powiedzieć.

Parę dni po egzekucji Nicole wdała się w bójkę. Pod wieczór poczuła znowu przemożną chęć położenia się do łóżka. Położyła się przed obowiązującą porą i cztery czy pięć pacjentek przyleciało, żeby ją zwlec. Gdy tylko jej dotknęły, zaraz Nicole odstawiła popisowe.

Prawie rozkwasiła komuś nos i w pewnym momencie nieomal rozłożyła wszystkie pięć dziewczyn na łopatki. W końcu powaliły ją, ale wyszarpywała nogi i kopała, gdzie popadnie, wobec czego przewróciły ją na brzuch i położyły się na niej – przez dwadzieścia minut spędzonych na kurewsko zimnej podłodze każda z nich przygniatała jej rękę albo nogę. Ni z tego, ni z owego dotarło do niej, jakie to zabawne, i zaczęła się śmiać. Zaśmiewała się, jakby miało jej pęknąć serce.

Oczywiście to wcale nie było śmieszne dla tych, co ją trzymały-Czuła jednak, że nie śmieje się sama, ktoś przy niej jest. Nagle się zorientowała, że to Gary. On właśnie miał powiedzieć jej na ucho-Teraz już wiesz, cipcia, jak to jest.

Później zamknęli ją na parę dni. Wówczas często wybuchała śmiechem. Czuła, że w dalszym ciągu nie śmieje się sama.

Stanger i Moody zarezerwowali bilety na rejs po Zatoce Meksykańskiej, który zaczynał się od soboty, ale odechciało im się czekać weekendu, wobec tego wyruszyli z żonami do Nowego Orleanu we czwartek po południu. Zjedli kolację o szóstej i fizycznie byli tak wyczerpani, że zawrócili do motelu, by obudzić się dopiero po dwunastu godzinach.

Następnego wieczoru, w restauracji, dziewuszka przy sąsiednim stoliku zrobiła się nieco nachalna. Jej mąż powiedział z uśmiechem:

–Nie zwracajcie na nią uwagi, zaraz pójdzie do domu. Żartował, ale ona podniosła się z miejsca i oświadczyła:

–Chcę poinformować, że jestem studentką prawa i studiowałam właśnie niezwykłą sprawę, sprawę Gary'ego Gilmore'a. Chyba nie muszę wyjaśniać?

Żona Boba, Katherine, nie wytrzymała i odrzekła:

–To są adwokaci Gilmore'a.

Warto byłoby nawet umoczyć sprawę przed sądem, żeby tylko zobaczyć wyraz twarzy tej dziewuszki.

Przez kilka następnych dni Earl Dorius robił piekło o rozsypanie Prochów Gilmore'a. Według przepisów ochrony zdrowia publicznego rozsiewanie było nielegalne i mógłby mu zapobiec, gdyby się wcześniej dowiedział. Potem okazało się, że w więzieniu wiedzieli, ale nie dali mu

znać. Musiał dać sobie z tym spokój. Tego rodzaju spraw się nie ściga zresztą czuł się zmęczony. Bob Hansen powiedział mu, żeby sobie wziął urlop z puli nadgodzin, jakie zgromadził pracując wieczorami do dziewiątej czy dziesiątej prawie codziennie od początku listopada.

Earl chciał czym prędzej wyjechać na urlop, nieważne dokąd i na niezbyt długo, zabrał więc żonę i dzieci do Orem, gdzie mieli kuzynów Zaraz przy autostradzie zobaczył TraveLodge i tam postanowił załatwić pokój. Kiedy recepcjonistka zaczęła wypełniać blankiet meldunkowy, zadzwonił telefon i Earl usłyszał, że dziewczyna mówi:

–Proszę się nie martwić, panie Damico. Odłożyła słuchawkę i Earl spytał:

–Co pan Damico ma wspólnego z tym motelem? Jeśli właścicielem jest on albo pan Schiller, to ja odjeżdżam. Dziewczyna powiedziała:

–Pan Schiller i jego pracownicy wymeldowali się wczoraj. Earl pomyślał:

–Nie ucieknę od Gilmore'a.

Później Earl często rozmyślał o chwili samotności w korytarzu Sądu Federalnego w Denver, kiedy patrzył przez okno wiedząc już, że Gilmore nie żyje, i ludzie jechali do pracy. Był całkiem sam. Nawet podczas wystąpienia przed sądem czuł się samotny, lecz jakoś mu pasowało, że o tym wie i obserwuje innych, jak udzielają wywiadów na dziedzińcu. Trzeba przyznać, że miał pewien niedosyt, więc z całych sił starał się uśmiechnąć i wmówić sobie, że masochistycznie robi z siebie ofiarę. Jeżeli sam chce tak pracować jak głupi, byleby wszystko było zrobione należycie, to musi dostrajać się emocjonalnie aż do momentu, gdy przestanie mu zależeć, kto robi sobie dzięki temu reklamę.

Bardzo prędko miał sposobność sprawdzić, czy spełnia postawione sobie wymaganie. Po kilku tygodniach w biurze złożyło wizytę Towarzystwo Historyczne Utah, przepytując każdego w związku z przygotowywanym kolejnym tomem historii stanu. Nigdy jednak nie dotarli do Earla. Tego dnia nie było go w biurze. Podobnie jak w trakcie całej sprawy Gilmore'a. Zawsze odstawiany był na boczny tor, kiedy tylko przychodzili dziennikarze albo historycy. Powtarzał sobie: Najważniejsze to cieszyć się z realnych osiągnięć.

«SALT LAKĘ TRIBUNE»

George A. Sorensen korespondent terenowy

Zdjęcia Gilmore'a przedmiotem śledztwa

28 stycznia 1977. Komisja Penitencjarna Stanu Utah w dniu wczorajszym wdrożyła śledztwo celem wyjaśnienia, w jaki sposób tygodniki „Time" oraz „Newsweek" zdołały opublikować zdjęcia Gilmore'a raczącego się whisky z minibuteleczki na krótko przed egzekucją.

«SALT LAKĘ TRIBUNE» George A. Sorensen

Stan wyłożył 60 tysięcy dolarów na egzekucję Gilmore'a

30 stycznia. Podatnicy Utah zapłacili ponad sześćdziesiąt tysięcy dolarów za doprowadzenie skazanego mordercy Gary'ego Marka Gilmore'a przed sąd oraz utrzymywanie go przy życiu po dwóch próbach samobójczych.

Pomijając faktyczne koszty procesu, prokurator okręgowy Noall T. Wooton oszacował wydatki na poziomie piętnastu do dwudziestu tysięcy dolarów, nie licząc nadgodzin i prac zleconych.

Spośród trzystu dwudziestu osób zatrudnionych w więzieniu dwustu pracowników otrzymało wezwanie na trzecią rano w dniu egzekucji.

Prokurator Generalny Utah, Robert B. Hansen, ocenia koszt dodatkowej pracy swoich urzędników i sekretarek na dziewiętnaście tysięcy dolarów. Niektórzy z nich przepracowali na okrągło trzydzieści godzin w przeddzień egzekucji, również w nocy.

Jednym z najtrudniejszych doświadczeń dla Toni Gurney była wyprawa do Szpitala Utah po ubrania Gary'ego. Przeleżały parę

dni w magazynie, aż zrobiły się tak oślizłe, że musieli je zamrozić.

Toni odebrała zamrożony tobołek i włożyła go do bagażnika, lecz odtajał podczas drogi do domu. Zanim dojechała, wiedziała już, że nie zdąży do pracy, ale nie było o czym mówić. Musiała natychmiast wrzucić te ciuchy do pralki. Śmierdziało śmiercią i bezpowrotną stratą.

Po upływie paru tygodni zmniejszyła się dzienna liczba nienawistnych listów i Shirley Pedler mogła powrócić do jakiegoś porządku dnia, jednak głupio było wchodzić do biura ACLU bez potrzeby przedzierania się przez tłok w korytarzu. Tyle energii emocjonalnej poświęciła Gary'emu Gilmore'owi, że zwykły świat wydawał jej się dziwaczny i skarłowaciały.

Nie dość, że Gilmore nie żył, to jeszcze ona sama przebywała w jakiejś osobliwej rzeczywistości. Co jakiś czas ogarniało ją mgliste uczucie dziwnej z nim wspólnoty; napawała ją zadowoleniem ulotna myśl, że on został uwolniony od ciężaru życia i odzyskał wolność. Paradoksalne, ale czuła wielką ulgę.

ROZDZIAŁ 43

Trafna ocena

W Chicago Schiller i Farrell na okrągło pracowali nad ostateczną wersją wywiadu dla „Playboya" i skończyli dopiero o piątej po południu w niedzielę dwudziestego trzeciego. Minął dokładnie tydzień od chwili, gdy Schiller opuścił motel TraveLodge, żeby pojechać do więzienia na ostatnią noc.

Oddając tekst, byli przekonani, że liczy on dziewiętnaście tysięcy słów – wygodną objętość, skoro „Playboy" podpisał umowę na druk piętnastu tysięcy – ale pod wieczór zawiadomiono ich o wyniku obliczeń. Osiągnęli dwadzieścia pięć tysięcy. Art Kretchmer, redaktor prowadzący, u którego Schiller dostrzegał podobieństwo do Abrahama Lincolna – taki młody, przystojny żydowski, Ale Lincoln – powiedział:

–Nie odważyłbym się wyciąć ani jednego słowa. Barry Golson przyznał mu rację, jednak wątpił, czy starczy im miejsca.

–Żaden inny materiał nie dorównuje wadze tej publikacji – oświadczył Golsonowi Kretchmer i zdjął materiał literacki.

Następnie Schiller próbował przekonać Kretchmera, że należy przełamać stereotyp, sygnując wypowiedzi: REPORTERa i GILMOre`a, lecz podejrzewał, że największą ambicją Hugha Hefnera było utożsamienie reportera z „Playboyem".

Farrell napisał wstęp, który Barry Golson z przyjemnością przerobił – miał nareszcie Schillera na własnym podwórku! – a potem Schiller chciał spać, Farrell też chciał spać. Jednak w ostatniej chwili trzeba było ściągnąć do Chicago Debbie, bo potrzebowali maszynistki, ona zaś po skończonej pracy zażyczyła sobie popływać w słynnym krytym basenie w posiadłości Hugha Hefnera, gdzie przez szklaną ścianę baru w podziemiach można oglądać pływających. Nie na darmo była

króliczkiem „Playboya". Wobec tego Kretchmer wpuścił ich do środka. Nikogo nie było w mieście. Nikt nawet nie mieszkał w posiadłości, odkąd Hefner przeniósł się do Los Angeles, Debbie mogła więc sobie popływać, podczas gdy Farrell z Schillerem powiedzieli „o nie" i leżeli w saunie o trzeciej nad ranem.

Po powrocie do Los Angeles Schiller dostał wiadomość od Phila Christensena, adwokata Kathryne Baker, który zadzwonił z nowiną, że zwalniają Nicole. Schiller w mgnieniu oka ujrzał dziennikarzy stojących pod szpitalem. Sam nigdy nie spotkał Nicole i nie miał pojęcia, co ona sobie myśli. Nie był wcale pewien, czy będzie honorowała umowy.

Naturalnie w tej samej chwili zadzwonił „Chic", nowe pisemko obrazkowe Larry'ego Flynta, z ofertą pięćdziesięciu tysięcy dolarów za serię aktów Nicole. Pięćdziesiąt tysięcy dolarów! Bardzo byli uprzejmi. Użyli słowa „akty". Może nie wiedzieli, jak określić „pornosy". Odpowiedział „Chicowi", że mają mu dostarczyć listę fotografów. To był wybieg, żeby ich spławić, przynajmniej na razie. Potem Larry zadzwonił do Kathryne Baker i powiedział:

–Uważam, że koniecznie trzeba zabrać Nicole z Utah, inaczej będą ją prześladować dziennikarze. I pani, i dzieciaki, potrzebujecie wakacji. Czy mieszkaliście kiedyś na plaży?

Kathryne odrzekła:

–Nicole uwielbiała plażę, jak mieszkaliśmy w Oregonie.

–Dobrze – oświadczył Schiller. – Wynajmę dom na Malibu. Pani z rodziną i Nicole będziecie moimi gośćmi. Nie będę się narzucał. Po prostu wyjedziecie spędzić miesiąc w nowym otoczeniu.

Kathryne powiedziała, że to byłoby fantastycznie. Larry zakrzątnął się i załatwił w Western Airlines bilety dla Nicole i dzieci na fałszywe nazwiska, opłacił sześć biletów, zadzwonił do

Jerry'ego Scotta, żeby o określonej godzinie podjechał pod dom Kathryne, zabrał na lotnisko

bagaże, wrócił po panią Baker, a także uzgodnił z Sundbergiem dokładny czas zwolnienia Nicole ze szpitala, ponieważ trzeba ją od razu przerzucić na lotnisko. Ustalili, że jazda potrwa dokładnie trzydzieści pięć minut i dodali dziesięć minut zapasu. Odbiorą ją na czterdzieści pięć minut przed odlotem. Wszystko zgrane.

Nicole przygotowała się do wyjścia i szła właśnie po raz ostatni szpitalnym korytarzem, żeby odebrać ubranie z depozytu, kiedy jakaś dziewczyna ją spytała:

–Co czujesz w związku z Garym? Nicole odpowiedziała:

–Gdyby żył, zrobiłabym to samo jeszcze raz. Natychmiast ją zawrócili i wsadzili z powrotem do szpitala.

Przez następne cztery czy pięć dni Schiller telefonował. Rozmawiał z doktorem Woodsem i innymi lekarzami. Rozmawiał z Kigerem. W kółko opisywał otoczenie, w które ma zamiar przenieść Nicole. Przyrzekł, że pod ręką będzie lekarz, gdyby coś się stało; przysiągł, że odizoluje ją od dziennikarzy. Kładzie nacisk na to przyrzeczenie. Wysłał do Kigera telegram, w którym wszystko wyłuszczył, potem dłuższy list przez posłańca. Zaproponował, żeby szpital zwrócił się do sądu o zalecenie wypisu i w ten sposób się odciążył.

Podjęli realizację planu od początku. Tyle że tym razem Schiller postanowił lecieć do Utah. W żadnym wypadku nie da się więcej zaskoczyć podczas nieobecności, czekając na rozwój wypadków. Na Malibu została wysłana Lucinda i znalazła dom za tysiąc pięćset dolarów miesięcznie. Schiller wyłożył forsę na czynsz oraz zastaw i poleciał do Utah, gdzie załatwił sobie spotkanie z Nicole w biurze Kena Sundberga. Kiedy tam siedział, zadzwonił Vern z wiadomością, że ma te kartony, które Gary chciał przekazać Nicole. Co powinni z nimi zrobić?

–Proszę pana – odrzekł Schiller – muszę tu powiedzieć jedną rzecz. Według mnie, niczego nie wolno ukrywać.

–Nie chce pan wpierw zobaczyć, co tam jest? – spytał Vern.

–Nie – odparł Schiller. Vern ciągnął:

–Mam tutaj taśmę, którą Gary nagrał dla Nicole ostatniej nocy. Słuchałem tego.

Ponieważ zamilkł, Schiller zadał pytanie:

–I jak, bardzo niedobrze?

–Cóż – powiedział Vern – to jest prośba, żeby się zabiła.

–W takim razie – odrzekł Schiller – uważam, że nie powinniśmy jej dawać tej taśmy.

Pomyślał chwilę i sam do siebie rzekł:

–Może uda mi się być w pobliżu, kiedy pudła zostaną otwarte. Przez moment sam był gotów je schować, ale Gary pisał jej o nich w jednym z listów.

Czekając wciąż na Nicole w biurze, odebrał telefon Phila Christen-sena. Stary adwokat miał dla Nicole nową umowę do podpisania. Przewidywała jego honorarium w wysokości dwudziestu procent dochodów Nicole. Schillera diabli wzięli.

–Poświęciliśmy – powiedział Christensen – mnóstwo naszego czasu – tu zaczął się rozwodzić o pracy i wysiłku dotychczasowym oraz przyszłym.

–Nie – powiedział Schiller. – Niech Nicole sama podejmie decyzję.

Wyczuwał, że Christensen nie ma do tego przekonania.

Pół godziny później przyjechała Nicole. Łatwo poszło. Gazety nie miały pojęcia, że tego dnia ją zwolnią. W sądzie szpital uzyskał zgodę sędziego na wypuszczenie jej w ciągu dwudziestu czterech godzin, przy oficjalnej zapowiedzi, że wyjdzie dopiero za cztery dni. Dlatego dziennikarze byli przekonani, że feta z okazji wyjścia szykuje się za siedemdziesiąt dwie godziny.

Schiller siedział w biurze na piętrze, wraz z Sunny i Groszkiem, kiedy weszła ta dziewczyna o świetnej figurze, ubrana w dżinsy i koszulę, bardzo cicha. Jakoś tak przepłynęła obok niego i podnosiła dzieci, ściskając je i całując. One były szczerze zachwycone, że ją widzą.

–Mama, mama – powtarzały w kółko. Nicole się rozpłakała, zaraz potem Kathryne Baker, ale dzieciaki nie. Trzymały w rączkach zabawki i mówiły do Nicole:

–Patrz, co wujek Larry nam przyniósł.

Wtedy się odwróciła; Schiller był zachwycony. Była znacznie atrakcyjniejsza, niż się spodziewał, poza tym zauważył w jej twarzy subtelność i charakter, mimo że wyglądała na ciche zdziczałe dziecko. Wspaniale. Natychmiast Gilmore zyskał w jego oczach.

Gary i Nicole to nie jakiś brukowy romans, tylko interesujący

związek.

Schiller przyklęknął na podłodze i rozpromieniony zwrócił się do niej:

–Chciałbym się przedstawić. To ja jestem złe wilczysko Larry Schiller.

Nie miała w sobie odrobiny sztuczności. Bez namysłu odpowiedziała:

–Gary mi mówił o panu, ale wygląda pan inaczej, niż się spodziewałam.

Miała miękki głos, niby szept pełen oddechu, jakby każde jej słowo było starannie przemyślane. Wypowiadała się powoli, lecz z silnie osobistym zabarwieniem, niezwykłym u tak młodej dziewczyny – i Schiller wiedział, o co jej chodzi. Gilmore cały czas określał go mianem cwanego zawodnika z Hollywood, spodziewała się więc lepiej odstawionego faceta. A tu widzi rozczochranego grubasa w wytartej kurtce. Oczywiście ubrał się tak naumyślnie. Żadnego garnituru z krawatem na spotkanie Nicole. Doskonały wybór. Do diabła, ona nie miała nawet walizki, nic.

Pozwolił jej chwilę pobawić się z dziećmi, potem zabrał ją do pokoju obok, posadził na krześle i powiedział:

–Słuchaj, nie znasz mnie kompletnie. Mogę ci tylko powiedzieć, że Gary, z różnych powodów, ufał mi w różnych sprawach. Mam pewne plany, o których ci opowiem, i jeśli będzie ci odpowiadało, za pięć minut stąd wyjedziemy, żeby złapać samolot. Jeśli nie wyrazisz chęci, trudno, nie będę się gniewał.

Wymienił przyczyny, dla których, jego zdaniem, powinna udać się do Kalifornii, i dodał:

–Wiesz, mnóstwo osób mnie ostrzegało, że możesz znowu próbować.

Powiedział wprost. Przytaknęła na znak, że szanuje go za poruszenie tej kwestii. Następnie dorzucił:

–Wynająłem domek na plaży. Możesz chodzić tam na spacery i sobie wszystko przemyśleć. Ja będę pod ręką.

Zawahał się, lecz postanowił brnąć dalej i spytał ją, czy pamięta podpisywanie jakichś umów i czy zdaje sobie sprawę,

że podpisała z nim kontrakt. Odpowiedziała, że tak.

–No dobrze – powiedział – i co o tym myślisz? Masz ochotę?

–Aha – powiedziała Nicole. – Chciałabym pojechać do Kalifornii.

Dodał jeszcze:

–Twoi adwokaci wspominali coś o umowie, którą masz podpisać przed wyjazdem.

–Myślisz, że powinnam? Dogadywali się jak dwa łyse konie.

–No cóż – odrzekł Schiller – nie powiem ci, co w niej jest, ale to same pierdoły.

Znów się uśmiechnęła. Pomyślał, że ma świetny uśmiech. Wydobywał się skądś tam w jej środku i powoli rozpływał na twarzy, jak bita śmietana. Miała pełne wargi, układające się w łobuzerski półuśmiech, który mówił: no i co, nie jesteś ani trochę lepszy ode mnie.

Schiller był zaskoczony jej świeżością. Wyjątkowo schludna młoda osóbka. Z tą obiecującą konkluzją wyszli z biura, pojechali na lotnisko i odlecieli do Kalifornii.

W samolocie jednak zaczęła się dołować. Czuł, że odsuwa się od wszystkich. Nie przypominała nawet samej siebie. Już raczej zbłąkaną sierotę w domu o zamglonych szybach. Schiller poczuł, jak trzewia zaczyna mu drążyć czerw strachu.

W Los Angeles czekała na nich Lucinda, rozmyślając o różnych czynnościach, które Gary opisywał na taśmie dla Nicole; Lucinda nie słyszała dotąd, żeby ktoś mówił o takich rzeczach. Dlatego nie mogła uwierzyć, że to właśnie Nicole idzie w jej stronę po płycie lotniska, i ku swojemu zaskoczeniu poczuła dla niej ogromny przypływ współczucia. Nicole

wydawała się tak mała i samotna, jak gdyby wyrwana z innej rzeczywistości i porzucona w świecie, którego nie potrafi ogarnąć. A jednak zbliżała się Nicole we własnej osobie, razem ze swoją matką i dziećmi, ściskając pamiątkowy egzemplarz „Newsweeka" z Garym na okładce. Lucindę najbardziej poruszył widok tego pisma w jej rękach. Widać było, że Nicole nie ma się czego uchwycić. Sprawiała wrażenie nieobecnej myślami, nieczułej. Jakby nie miała nic wspólnego z Larrym. Lucinda nie umiałaby powiedzieć, czy Nicole nienawidzi

jego, czy ich wszystkich. Wyraźnie nie chciała mieć z nikim do czynienia.

Zajechali na Malibu, następnie Schiller zabrał ją i Nicole do sklepu spożywczego, gdzie Lucinda obserwowała, jak Larry wydaje około stu sześćdziesięciu dolarów na żywność dla rodziny Baker. Lucinda pomyślała, że tyle jedzenia naraz to oni w życiu nie widzieli, lecz Nicole nie odezwała się słowem. Po prostu chodziła po sklepie. Larry pytał: – Jak sądzisz, może to nam się przyda? – lecz ona szła dalej wśród półek tego niesamowitego sklepu na Malibu, pełnego wystrojonej i nadzianej forsą klienteli.

Larry nic, tylko kupował, jak gdyby chciał zatuszować niezręczność sytuacji. Wkrótce napełnił dwa koszyki. Nicole tylko się leciutko uśmiechała, jakby jedzenie w ogóle jej nie obchodziło. W którymś momencie Larry spytał ją, czy chciałaby coś jeszcze, a ona odpowiedziała:

–No, może poproszę sproszkowane ziemniaki puree.

Później, podczas przejażdżki z Kathryne Baker po Los Angeles, Lucinda po zjeździe z autostrady musiała wysłuchać, jak ta szczupła, nerwowa, mocno umalowana kobietka opowiada o tym, jak Gary przyjechał do jej domu z pistoletami i że zawsze ją przerażał. W zasadzie wyglądało na to, że Kathryne chce wtrącić swoje trzy grosze, skoro tyle uwagi poświęca się jej córce. Wszystko opowiadała przy dzieciach. Strasznie

poplątana była ta jej wypowiedź, lecz Lucinda słuchała zafascynowana. Kiedy dzieci przerywały, Lucinda wołała, żeby były cicho.

Pierwszą rzeczą, jaką Schiller powiedział Nicole po powrocie ze sklepu, było to, że przekazuje jej odpowiedzialność za dom. Będzie miała pod ręką tysiąc dolarów w gotówce na utrzymanie w tym miesiącu, i teraz zostawi jej z tego tyle, ile ona chce. Zostawia jej też samochód combi. A teraz się pożegna, W chwili odjazdu przyszło mu jednak do głowy, że ona może otworzyć te pudła, które zostawił jej Gary, i zabić się. Miała w sobie ten szczególny spokój. No i mało się nie zesrał ze strachu.

Pożegnał się z nią uśmiechając się szeroko, mówił, że przyjedzie nazajutrz i że ona powinna wypocząć i nie przejmować się, ale

wyczuwał jej zaskoczenie, że tak ją zostawia na pierwszą noc poza szpitalem, samą, to znaczy z matką i dziećmi. Powiedział:

–Słuchaj, jesteś samodzielna. Jeśli się jutro zobaczymy, to dobrze. Jeśli nie zechcesz mnie jutro widzieć, nic straconego.

Tyle jej powiedział, ale w życiu tak się nie bał jak podczas tamtej jazdy do domu.

Właściwie to nie wytrzymał. Po przejechaniu dwóch trzecich drogi do Beverly Hills zatrzymał się, żeby zadzwonić, udając, że właśnie dojechał!

–Chciałem cię zawiadomić, że właśnie dotarłem bez przeszkód do domu – powiedział niezbyt przekonywająco, ale rzecz jasna musiał usłyszeć jej głos i upewnić się, czy z czymś nie wyskoczyła.

Nicole rzeczywiście otworzyła pudło tego wieczoru. Gary pozostawił jej fajkę z pianki morskiej, lecz Nicole nie zdawała sobie sprawy, że to wartościowy przedmiot. Pomyślała, że

można by nią puszczać fantastyczne bańki mydlane. Potem ten zegarek, który Gary popsuł, zatrzymując wskazówki na przewidywanej porze egzekucji. Uznała, że miał fajny pomysł. Cóż z tego, że dostałaby zwykły zegarek? W pudełku była też Biblia. Gary pisał, że przysłano mu tyle Biblii, że mógłby otworzyć sklepik parafialny, lecz ten egzemplarz przyszedł w dniu, kiedy po raz drugi próbował odebrać sobie życie.

Poczytała sobie wycinki z gazet o Garym i Nicole, które jej zostawił, i patrzyła na zdjęcie Amber Jim, dziesięcioletniej łowczyni nagród, która pisała do Gary'ego. W załączeniu pakiet listów od Amber Jim. Nicole aż czuła zazdrość przy ich lekturze, chociaż Amber Jim to tylko mała dziewczynka. Do tego zebrało jej się na płacz. Nareszcie coś zbliżyło Nicole do rzeczywistości, gdzie mnóstwo ludzi było myślami przy Garym w miarę zbliżania się terminu egzekucji.

Potem zobaczyła zdjęcie Richarda Gibbsa. Pod spodem Gary napisał: „Tajniak i kapuś. Donosiciel. Naprawdę mnie nabrał.' W pudełku znajdowało się bardzo dużo zdjęć Nicole i jej rodziny

z różnych lat oraz listy do Gary'ego od wielu osób. Medal świętego Michała. Najlepszy był granatowy podkoszulek. Nie przepocony, ale z jego zapachem. Pachniał ładnie. Po prostu luźny podkoszulek, którego nie uprała. Miała go na sobie tej nocy, potem włożyła jeszcze parę razy i nie chciała go w ogóle prać, ale wkrótce się zapaskudził i musiała.

Schiller przeprowadził pierwszy wywiad dopiero po tygodniu. Wtedy wynikł problem ze znalezieniem zacisznego kąta do rozmów. Dom na Malibu miał trzy sypialnie na górze; kuchnię, jadalnię i salon na parterze, poniżej zaś, na poziomie plaży – werandę. Matka zajmowała jedną sypialnię, rodzeństwo drugą, Nicole zaś zamierzała dzielić ogromne królewskie łoże z Sunny i Jeremym, lecz wybrała gnieżdżenie się na chłodnej, przewiewnej werandzie w zimowym słońcu Malibu przełomu stycznia i lutego. Było chłodno i wietrznie, lecz sama wybrała.

W zasadzie się tam przeprowadziła. Wszystkie swoje książki trzymała na werandzie.

W końcu robili wywiady w najprzeróżniejszych miejscach. Po wyjściu ze szpitala Nicole nienawidziła siedzenia w zamkniętym pokoju, wobec tego Schiller włączał magnetofon w restauracjach albo zabierał ją na przejażdżki i rozmawiali w samochodzie. Po kilku dniach zorientował się, że przekaże mu więcej, niż marzył w najśmielszych snach, więcej, niż zdołał mu przekazać Gary.

Nicole najwyraźniej angażowała się całym sercem w te rozmowy. Jakby koniecznie musiała opowiedzieć mu całą historię, tak jak kiedyś opowiadała Gary'emu, wyjawić wszystko, wcale nie po to, by ulżyć własnemu sumieniu (a widział, jak chwilami zżera ją poczucie winy), nie, opowiadała wszystkiego z jakichś głębszych przyczyn. Schiller zupełnie się pogubił. Dlaczego jej tak bardzo zależy na przekazaniu wszystkiego i wyjaśnieniu tego, co się stało, w najlepszy sposób, na jaki pozwala jej własna zdolność rozumienia? Zauważył, że jest tak samo wierna prawdzie przy opowiadaniu, co złego zaszło między nią i Garym, jak przy opisie wszystkiego, co dobre. Schiller pomyślał, że chyba przeszła przez piekło, skąd powróciła z jedną

prostą maksymą: „Nie ma nic gorszego niż czuć w ustach gówniany smak kłamstwa."

Zdarzało się oczywiście, że wypytywanie szło powoli. Nicole przyznawała się do niesamowitych rzeczy, o wujku Lee powiedziała prawie zaraz na początku, lecz małe wyznania sprawiały jej ogromny kłopot i krępowała się w najdziwniejszych momentach. Niekiedy Schiller musiał mocować się z jej zdumiewającą niechęcią zdradzenia szczegółu, który on uważał za całkiem nieistotny.

SCHILLER: – No to uchyl trochę te drzwi, (długa pauza)

NICOLE: – Nie mogę, Larry.

SCHILLER: – Możesz mówić o morderstwie, możesz mówić o tym,

jak Gary cię dusił, o napastującym cię wujku Lee, a nie możesz

powiedzieć, jak Barrett najebał ci w głowie?

NICOLE: – No, może i bym mogła. Ale nie mogę konkretnie

powtórzyć, co on mówił.

SCHILLER: – Dlaczego? (długa pauza) Czy Barrett odstawia

świętoszka?

NICOLE (śmieje się): – Kurwa, Larry. Nie będę o tym mówić. Nie

powiem tego, czego nie chcę powiedzieć.

SCHILLER: – Robisz to, bo chcesz udowodnić, że jesteś silniejsza

ode mnie.

NICOLE: – Wcale nie próbuję niczego udowadniać.

SCHILLER: – Właśnie że próbujesz.

NICOLE: – To przez skrępowanie.

SCHILLER: – Jak możesz się mnie krępować? No, już przestań.

Chcesz, żebym wyłączył ten pierdolony magnetofon? Tego się

krępujesz? Ja nie rozumiem, jak możesz się mnie krępować, słowo

dają.

NICOLE: – I dobrze. Nigdy nie zrozumiesz, (pauza)

SCHILLER: – No, przestań, ja muszę zrozumieć. Muszę mieć jakiś

przykład. Bo to ciągle powraca. Już przestań ze mną pogrywać. No

wal.

NICOLE (śmieje się): – O Boże.

SCHILLER: – „O Boże" dawaj.

NICOLE: – Larry, ja próbuję. Nie mogę tego powiedzieć, wiesz.

Naprawdę się staram. Nie mogę. Daj spokój.

SCHILLER: – Na pewno nie dam spokoju. Na pewno nie dam

spokoju.

NICOLE: – No dobra, innym razem.

SCHILLER: – Ja muszę wiedzieć teraz. Nie innym razem. Daj mi

jakiś przykład. Znaczy, jesteś tam na Midway przez to, że Barrett ci

namieszał w głowie.

NICOLE (ze śmiechem): – Nie mówiłam, że Barrett był przyczyną

tego, co się działo na Midway.

SCHILLER: – Nie, nie mówiłaś, że był przyczyną. Powiedziałaś, że przez niego coś się z tobą porobiło. Przez to, co on ci powiedział.

NICOLE: – Tak.

SCHILLER: – No i czego się cieszysz? (śmieje się) Przestań się tak cieszyć. Wiesz, najpierw patrzysz w to okno. Potem się odwracasz do mnie z tym swoim uśmieszkiem.

NICOLE (ze śmiechem): – Ja się śmieję z ciebie.

SCHILLER: – Co?

NICOLE: – Śmieję się z ciebie.

SCHILLER: – Że jestem naiwny?

NICOLE: – Nie.

SCHILLER: – Że nie mam wyobraźni ani wprawy w fantazjowaniu?

NICOLE: – Nie, to zupełnie co innego. Chodzi o to, że nie odpuścisz, tylko dalej drążysz.

SCHILLER: – Jestem wścibski, tak?

NICOLE: – Tak, czasami, (długa pauza)

SCHILLER: – Puszczałaś się na prawo i lewo. Co cię skłoniło do puszczania się na Midway?

NICOLE (ciężkie westchnienie, dłuższa pauza, znów westchnienie, pauza, chichocze pod nosem): – Co mnie skłoniło do dawania dupy naokoło, to ja nie wiem, ale wiem jedno. Zawsze o tym wiedziałam, ale po prostu przez dłuższy czas nie przyszło mi to na myśl. (pauza) Wpadłam w taki nawyk czy coś, że podrywałam chłopaków, którzy albo nigdy nie mieli żadnej dupy, albo takich, którzy… no wiesz, nie mieli…

SCHILLER: – Dobrej dupy?

NICOLE: – No.

SCHILLER: – Aha.

NICOLE: – Jak najdalej od przystojniaków, takich, co na oko mogliby zarwać każdą fajną dupę, jakby zechcieli.

SCHILLER: – No tak. A ty zawsze zarywałaś faceta, który, tak na oko, nigdy sobie nie użył.

NICOLE: – Mniej więcej.

SCHILLER: – A czym się kierowałaś?

NICOLE (długie westchnienie): – To ty leczysz świra. Nie, nie, to nie ty, ja wiem, ja wiem. SCHILLER: – Czym się kierowałaś?

NICOLE: – Pytasz tylko po to, żeby usłyszeć to ode mnie. A tak naprawdę świetnie wiesz, no nie? SCHILLER: – Jak Boga kocham, nie wiem. NICOLE: Nie wierzę.

SCHILLER: – Ale to prawda, dziecko. Jak Boga kocham. NICOLE: – Ten niewinny głosik…

SCHILLER: – Bo jakbym wiedział… (śmieje się) Teraz posłuchaj, Nicole. Jakbym wiedział, tobym ci powiedział i prosił cię o potwierdzenie. Pomyśl chwilę, jak ja z tobą pracuję. To prawda. NICOLE (krótki śmiech, dłuższa pauza): – No więc niech będzie, Barrett przekonał mnie, że jestem do niczego i jedyne wyjście to… iść z kimś, kto nie wie, co dobre.

SCHILLER: – Mówisz, że Barrett cię przekonał, że jesteś kiepska w łóżku? NICOLE: No.

Jeżeli chodzi o wywiady, Schiller wiedział, że oto spotkał godnego przeciwnika. W ciągu dwudziestu lat pracy dziennikarskiej prawdopodobnie żadne z jego odkryć nie zostało dokonane bez sztuczek i bajerów, lecz z Nicole rozumieli się w pół słowa. Nie musiał bez przerwy robić podchodów i to go głęboko poruszyło. Przysiągł sobie, że jeśli kiedykolwiek przyjdzie mu udzielać wywiadu na temat Gilmore'a, też powie całą prawdę i nie będzie się wybielał.

Schiller i Stephie znów byli razem na dobre. Był zakochany. Miał zamiar poślubić swoją księżniczkę. Traktował to jak jeden z najlepszych uśmiechów losu. Przy tym nie mógł uwierzyć, że los uśmiechnął się do niego także z innej strony. Po raz pierwszy w życiu zaprzyjaźnił się z młodą dziewczyną. Schillera

ogarnęło coś w rodzaju samouwielbienia, gdy uznał, że przytłaczające ryzyko, jakiego się podjął licząc, że Nicole nie popełni samobójstwa, było słuszne. Jedną z przyczyn, dla których mógł zaufać, że ona nie odbierze sobie życia z byle powodu w ciągu nadchodzących tygodni, miesięcy i lat, była przyjaźń, jaką go darzyła. Nie zrobiłaby mu tego z byle powodu. Kontynuował więc wywiady i czasem tylko płakał we śnie, że jest pisarzem bez rąk.

ROZDZIAŁ 44

Pory roku

Do rodziny Bakerów na Malibu dołączyła April po przykrych przejściach w szpitalu. Pacjentki i personel uwzięli się na nią i tłukli jej głową o ścianę. Przychodziły gazety i książki. To było potworne. Czytała wszystko na temat Gary'ego.

Potem, już na Malibu, panikowała w dalszym ciągu. We śnie

krzyczała:

–Mamo, nic ci nie jest? Na pewno? Noc trwała dalej.

W dzień April i Nicole darły koty. Nigdy nie umiały się dogadać. Raz było lepiej, raz gorzej, ale niektórych rzeczy Kathryne mogła być stuprocentowo pewna. Między innymi tego, że April i Nicole przed upływem dnia będą sobie skakać do oczu.

Pod koniec zimy Noall Wooton wraz z paroma prawnikami wpadł na drinka do biura szeryfa okręgowego Salt Lakę i ktoś napomknął:

–Oni w dalszym ciągu chcą, żebym wytoczył Nicole oskarżenie o przemyt pigułek dla Gilmore'a.

Noall Wooton powiedział:

–Do diabła, Bili, co chcesz przez to osiągnąć? Daj spokój.

–Już sobie dałem – odparł Bili. – Powiedziałem im, że odpada. Nie jestem zainteresowany.

Lecz w głębi duszy Wooton z największą przyjemnością przesłuchałby Nicole, żeby się dowiedzieć, jak szmuglowała te pigułki.

Sam Smith zadzwonił pewnego dnia do Verna i chciał się dowiedzieć, jak przemycono do więzienia alkohol.

–Coś się panu przyśniło – powiedział mu Vern. – A skąd ja mam wiedzieć?

Sam dzwonił jeszcze raz. Próbował nakłonić Verna do zwierzeń. Jednak z niewiadomych przyczyn było to dla Verna tajemnicą.

Po miesiącu spędzonym na Malibu Nicole postanowiła zamieszkać z dziećmi w Los Angeles, wobec czego wynajęła dom w dolinie San Fernando, niezbyt drogi. Zaniedbany, parterowy wiejski domek, o pięć przecznic od granicy miasta. Zupełnie jakby była w Spanish Fork. Przy końcu ulicy zaczynała się pustynia, potem wyrastała góra zaledwie o milę dalej. Nicole postarała się o przedszkole dla dzieci, podczas gdy sama znalazła pracę i chodziła do szkoły, lecz to był nudny czas. Brak mężczyzny. W jej życiu nic się nie działo.

Z pieniędzy, które Gary jej zostawił, kupiła furgonetkę kempingową, zrobiła prawo jazdy i pojechała do Utah i z powrotem. Nie uprawiała seksu od tamtej nocy z motocyklistą w październiku, podczas procesu Gary'ego, lecz pod koniec kwietnia, w drodze powrotnej z Utah, zabrała autostopowicza. Miała za sobą długi i trudny czas, kiedy różni faceci robili podchody, a Nicole zastanawiała się, czy potrafi obejść się bez tego przez resztę życia. Wierność wywoływała w niej uczucie stłamszenia, monotonii, nudy i świerzbiącego napięcia.

Po tym, jak kochała się ze stopowiczem, przestała wyczuwać bliską obecność Gary'ego. Minęło wiele czasu – i nic. Czuła, że odszedł. Była tak załamana, że prawie nieżywa. Jednak dalej uprawiała seks. To niczego nie rozwiązywało, lecz brak seksu też niczego nie rozwiązywał. Tak czy owak, nie miała zamiaru się zakochać.

Mimo wszystko czuła się paskudnie. Próbowała to przetrawić. Akurat ona została przy życiu. Jeżeli może sobie trochę ulżyć przez pójście z kimś do łóżka, a potem oni odchodzą – również z jej pamięci – i nie mają już do niej dostępu, ani do jej ciała, ani do serca czy wspomnień, to gdzie tu w takim razie zdrada Gary'ego?

Jednak seks oddalał ją od niego coraz bardziej. Jej serce dryfowało. Miała trudności z przyjęciem jakiegoś programu pracy nad sobą. Larry powtarzał jej, że ma na tyle oleju w głowie, żeby samodzielnie wydostać się z trzęsawiska, ale prawdę mówiąc była leniwa i kusiło ją, by powiedzieć: „Chuj z tym, jak już siedzę w bagnie, to w nim zostanę."

Tak naprawdę Nicole chciała się pozbyć myśli, że nie ma już Gary'ego. Tej możliwości nie brała pod uwagę. Zbyt przykro było uwierzyć, że może nie być go po tamtej stronie.

Kilkakrotnie w ciągu tego roku, kiedy wieczorem znajomi nawiązywali w rozmowie do Gilmore'a, Barry Farrell proponował im przesłuchanie taśmy. Ludzie z ciekawością słuchali głosu Gilmore'a. Barry nastawiał im którąś z kaset, lecz głos Gary'ego w ogóle na niego nie działał. Inni zaś uważali, że taśmy są tak interesujące, że nie pozwalali mu wyłączyć.

Larry robił w Provo wywiady z różnymi ludźmi, którzy znali Gary'ego, i Lucinda spisywała je z taśm. Po kilku miesiącach, kiedy

zabrakło roboty, wyjechała pracować dla Davida Prosta, który robił serię wywiadów telewizyjnych z Richardem Nixonem.

Lucinda pracowała w Los Angeles, spisując na maszynie teksty z taśm Prosta w biurowcu w Century City, od czwartej po południu do jakiejś ósmej rano, trzy razy w tygodniu. Siedziała w pustym drapaczu chmur i z magnetofonu dobywał się głos Richarda Nixona, co w porównaniu z Garym Gilmore'em nie było w ogóle interesujące. Ciągle słyszała głos Gilmore'a, który

brzmiał dla niej z kowbojska. Szorstki, chropawy, gardłowy, urywany, chłopięcy, łagodny – pełen miłości ugniecionej w zwarte kuleczki.

W rok po egzekucji Kathryne Baker napisała do Schillera:

Wiesz, Larry, przedtem było mi żal Gary 'ego, ale co on zrobił moim dziewczynkom, co on nadal z nimi wyrabia, no ja bym mogła go zabić jeszcze i tysiąc razy. Ja żyję z Garym na co dzień, w April siedzi strach przed nim i wszystkich nas doprowadza do szału! Jak jest noc, to przez nią wszyscy cierpimy koszmar. Ona śmiertelnie boi się ciemności, bo,,on tam jest, ma broń i zabija ludzi". Ona nie mówi „Gary", tylko,,on", i naprawdę ją to prześladuje. W zeszłym tygodniu o czwartej rano histeria.,,On tam zabija ludzi, teraz zabije następnych, szybko, musimy tam być, zanim ich zabije!" Tak to wygląda za każdym razem – nawet w jej śnie, kiedy ona śpi. Nieważne, że my wszyscy tu jesteśmy. Trzeba ją co noc uspokajać, że on tu nie wejdzie i nas nie pozabija, całą noc nikt z nas nie śpi, bo April budzi nas co godzina pytaniem:,,Mama, nic ci nie jest? Co my teraz zrobimy?" Mówię Ci, Larry, tak nienawidzę Gilmore'a, że chciałabym móc go zabić! Z tego, co April mówi we śnie, i przez jej panikę na widok krwi domyślam się, że na butach i nogawkach Gary miał krew i rozpryśnięty mózg, tak myślę, skoro ściany były obryzgane, już nie wiem, co robić, nie mogę porozmawiać z Niunią o jej uczuciach do Gary 'ego, ona je ukrywa, ale nawiązuje do muzyki i długo płącze nad Garym, to jest w jej wierszach. Z April nie mogę rozmawiać o Garym, bo ona w ogóle nie chce wspominać jego imienia-Przedwczoraj w nocy powiedziała:,,on tam jest, zalany krwią, i tak

dziwnie patrzy"', no więc kto, jak nie Gary, dręczy ją we śnie! Ja znam to jego dziwne spojrzenie, jak wtedy, gdy przyjechał po pistolet, jak zabrał April ze sobą – zdaje się, że mnie też przydałby się psychiatra, co? Cha, cha. No więc nie, ze mną jest

raczej dobrze, tylko potrzebuję pomocy do walki z duchem Gilmore'a,

Pewnego ranka Nicole siedziała w kuchni swego niedużego mieszkania, które wynajęła ostatnio w pewnym miasteczku w Oregonie – przywędrowała tam z Los Angeles – i piła kawę z facetem, który spędził u niej noc. Sięgała po coś na stole, gdy nagle własna dłoń wydała się jej dziwna. To przez pierścień Ozyrysa podarowany przez Gary'ego; zobaczyła, że jest pęknięty. Pękło oczko.

Przez te miesiące zgromadziła w sobie tyle opanowania, lecz nagle to zabolało ją tak bardzo, że wybuchnęła płaczem przy stole, w dwie sekundy od chwili, gdy zobaczyła pęknięty pierścionek. Strasznie się popłakała nad Garym, po raz pierwszy od dłuższego czasu, chyba od miesiąca.

Nie była pewna, czy jeszcze istnieje coś takiego jak Gary. Nie wiedziała, czy to tylko kwestia jej wierzeń. Rzadko gościł w jej myślach. Może umarł naprawdę.

Na Gwiazdkę roku 1977 Vern kupił hantle i dostarczył je do Więzienia Stanu Utah, dla więźniów. Gary prosił, żeby po egzekucji tak zrobić.

To nie był dobry rok, i pod koniec nie lepszy. Z nogą Verna tak się pogorszyło, że potrzebna była następna operacja, lecz Vern nie miał pieniędzy. Ponieważ nie wytrzymywał całego dnia na stojąco, musiał sprzedać zakład, a potem założono sprawy o zajęcie majątku Ga-ry'ego. Stan Utah żądał zwrotu honorariów adwokackich Snydera i Esplina, skarżyły firmy gwarantujące ubezpieczenie Maxa Jensena na życie, i do tego pozew o milion dolarów od Debbie Bushnell. Wkrótce potem Ida miała poważny wylew i Vern w szpitalu trzy razy

dziennie ją karmił, przez trzy tygodnie, i próbował z powrotem nauczyć ją chodzenia i mówienia. Zważywszy, że rachunek za jej

szpital wyniósł dwadzieścia tysięcy dolarów, Vern zrezygnował z własnej operacji.

Od dnia, w którym Brenda powiedziała, że Gary popełnił te morderstwa, jedna noga Bessie wykręciła się w kostce. Potem, od dnia, kiedy Gary został zabity, noga nie pozwalała jej chodzić. Do tamtej pory Bessie mogła przynajmniej kuśtykać na pocztę. A teraz, chociaż poczta znajdowała się o trzy przyczepy dalej, już nie próbowała. Ta noga nie chciała chodzić.

Siedząc w fotelu, Bessie wspominała nawiedzony dom w Salt Lakę, gdzie miała tę miłą żydowską panią za sąsiadkę. Bessie myślała sobie, że cokolwiek mieszkało w tym domu, przed czym ostrzegała ją miła żydowska sąsiadka, musiało przez te lata zamieszkać w Garym.

Dowiedziała się o wylewie Idy. Któregoś wieczoru w domu Vern się odwraca, a tu Ida ma wylew. Bessie mogła powiedzieć Vernowi. To, co dawno temu przyczepiło się do Gary'ego, w tamtym domu w Salt Lakę, teraz przeniosło się na Idę. Jednak Bessie nic nie powiedziała. Na wieść o tym poczuła, że nie zna Verna na tyle, żeby go informować o zjawie gnieżdżącej się w jego domu.

Pomyślała jednak o teściowej, Fay, i o starym domu w Sacramento, gdzie meble nie mogły ustać w miejscu. Bessie siedziała w swoim fotelu, pośród filiżanek i spodków na stole w przyczepie, siedziała w spłowiałej nocnej koszuli, która na oko miała ze sto lat, i powiedziała do siebie: Doszłam tam, gdzie z piekła nie ma powrotu.

Za oknem, obok pola przyczep, samochody przejeżdżały bulwarem McLaughlina. Co jakiś czas któreś auto mijało drewnianą bramę wjazdową z resztkami białej farby, żeby zatrzymać się pod jej ciemnymi oknami. Czuła, że na nią patrzą. Dostawała listy z groźbami

utraty życia, lecz nie zważała na nie. Listy nie mogą zranić kobiety, której syn dostał cztery kule w samo serce.

Dostawała też listy od ludzi, którzy pisali piosenki o Garym i chcieli zezwolenia na publikację. Takie listy też ignorowała.

Po prostu siedziała. Jeżeli samochód podjeżdżał w nocy, to krążył wkoło po polu, zwalniał, i jeśli się zatrzymał, wiedziała, że ktoś w środku w samochodzie myśli o niej, samotnej przy oknie. Wtedy mówiła sobie: Jeśli oni zechcą do mnie strzelać, to ja będę dzielna jak Gary. Niech przyjdą.

W mym lochu głębokim

Witam cię. W mym lochu głębokim

Twą bojaźń wysławiam. W mym lochu głębokim

Wciąż tkwię. Nie wiem, czy dobrze ci życzę,

Czy źle.

W mym lochu głębokim

Witam cię. W mym lochu głębokim

Twą bojaźń wysławiam. W mym lochu głębokim

Wciąż tkwię. Krwawy pocałunek

Niech mi spełni się.

FINIS

Posłowie

Książka ta stanowi próbę jak najwierniejszego opisu losów Gary'ego Gilmore'a oraz związanych z nim osób w okresie od 9 kwietnia 1976 r., kiedy to zwolniono go z Federalnego Zakładu Karnego w Marion w stanie Illinois, aż do jego egzekucji, niewiele ponad dziewięć miesięcy później, w Więzieniu Stanowym Utah. W efekcie Pieśń kata napisana jest na podstawie wywiadów, dokumentów, stenogramów rozpraw sądowych i innych oryginalnych materiałów, zebranych w czasie licznych podróży do Utah i Oregonu. Z ponad setką ludzi przeprowadzono rozmowy twarzą w twarz, z dużą liczbą osób rozmawiano telefonicznie. Ogółem, zanim stracono rachubę, suma poszczególnych rozmów zbliżyła się do trzystu, trwały zaś od kwadransa do czterech godzin. Oczywiście z wywiadów przeprowadzonych z Nicole Baker w ciągu dwu i pół roku uzbierało się około trzydziestu godzin, nagrane zaś rozmowy z Bessie Gilmore zajęły jeszcze więcej. Można swobodnie przyjąć, że zapis nagrań wszystkich rozmów liczy około piętnastu tysięcy stron.

Książka została zbudowana z owych relacji, a zapis wydarzeń jest najwierniejszy z możliwych. Nie znaczy to wcale, że jest bardziej zbliżony do prawdy aniżeli wspomnienia świadków. Opisy kluczowych wydarzeń były weryfikowane w innych rozmowach, jednak zważywszy na charakter tej historii, nie zawsze okazywało się to możliwe, a zdarzało się, że dwie relacje z tego samego epizodu są rozbieżne. W przypadku takich sprzeczności autor wybierał wersję, która wydawała się bardziej prawdopodobna. Próżno zakładać, że miał zawsze rację-

Znaczną ilość czasu zajęły próby ustalenia chronologii wydarzeń. Mój asystent, Jere Herzenberg, odkrył, że ludzie miewają charakterystyczne luki bądź przeskoki pamięci. Niektórzy będą pamiętali, że kolejne wydarzenia miały miejsce

w odstępie kilkudniowym, podczas gdy na podstawie prowizorycznego kalendarza, sporządzonego według innych źródeł, można ustalić, że pomiędzy tymi wydarzeniami mogły minąć nawet dwa tygodnie. Ponieważ dokładna chronologia okazała się wkrótce nieodzowna dla zrozumienia motywacji, dołożono wszelkich starań, by zachować właściwą kolejność wypadków, nie tylko na użytek historii. Przy prawidłowej chronologii można lepiej zrozumieć postępowanie bohaterów. Oczywiście, niektóre wydarzenia nie mogły być przypisane do żadnej konkretnej daty (na przykład wiosenna noc, kiedy Nicole i Gary baraszkowali na tyłach szpitala psychiatrycznego). Wypada tylko określić datę w przybliżeniu i mieć nadzieję, że nie został popełniony żaden poważny błąd w chronologii.

Materiały uzupełniające, w rodzaju cytatów z gazet, zostały niekiedy potraktowane z pewną dowolnością. Czasem pominięto jakieś słowo lub zdanie, bez zaznaczenia tego w tekście, i w wyjątkowych wypadkach zmieniono szyk zdań bądź akapitów. Nie zrobiono tego, by podkreślić efekciarstwo lub absurd gazetowych cytatów, chodziło raczej o unikanie powtórzeń i niejasności.

Wywiady z Gilmore'em zostały lekko wygładzone i wyjątkowo zmieniono szyk zdań. Nie chodziło przy tym o korygowanie jego wypowiedzi, lecz o należyte ich potraktowanie. Wprowadzono znacznie mniej poprawek, niż zwykle czyni się podczas przeglądania zapisu własnych wypowiedzi. Co najmniej tyle wymaga przejście od wypowiedzi ustnej do pisemnej.

Natomiast jeśli chodzi o listy Gilmore'a, wydawało się słuszne przedstawienie go na poziomie ponadprzeciętnym. Autor pragnął ukazać wpływ jego psychiki na Nicole, pozwalając jego myślom wywierać bezpośredni wpływ na czytelnika. Gilmore częstokroć dobrze pisał. Jego dobrze napisane listy pozostawiono bez żadnych poprawek.

Na koniec wypadałoby się przyznać do własnej twórczości. Dawna śpiewka więzienna z początku i końca książki nie jest,

niestety, zapomnianą piosenką, tylko całkiem świeżym utworem. Autor napisał jĄ dziesięć lat temu do swego filmu pt. Maidstone.

Podobnie „przesłuchanie" psychiatry podającego pacjentom proli-Xm, dokonywane przez Johna Woodsa, pochodzi z autentycznego

wywiadu przeprowadzonego przeze mnie wraz z Lawrencem Schil-lerem parę lat później, i zostało przypisane wyobraźni doktora Woodsa za jego uprzejmym przyzwoleniem.

Poza tym nazwiska i dane osobowe niektórych postaci zostały zmienione, by ochronić ich prywatność. Naturalnie jakiekolwiek podobieństwo fikcyjnych danych do personaliów osób żyjących bądź zmarłych jest wyłącznie dziełem przypadku.

Twierdzenie, iż książka nie zostałaby napisana bez udziału pewnych osób, zakrawa na arogancję, gdyż przede wszystkim zakłada, że książkę warto było napisać. Jednak wziąwszy pod uwagę objętość tego dzieła, można uczynić bezpieczne założenie, że czytelnik, który dotarł aż dotąd, musiał znaleźć na poprzednich stronach coś interesującego. W takim razie dopowiedzmy rzecz do końca: bez współpracy Nicole Baker w żaden sposób nie udałoby się sporządzić relacji opartej na faktach – tej „historii z życia wziętej", dotyczącej prawdziwych postaci i prawdziwych miejsc – tak, jakby pisało się powieść. Przy niezwykłej intymności zwierzeń, jaką Nicole Baker obdarzyła Schil-lera, a później mnie, od początku dysponowałem bogactwem narracyjnym, które zachęciło mnie do dalszych starań.

Jak wyraźnie wynika z treści ostatnich stron, wywiady z Nicole były dziełem Lawrence'a Schillera. Wiele rozmów przeprowadzono, zanim w ogóle zdecydowałem się podjąć tę pracę. Po egzekucji Gilmore'a Schiller przez parę miesięcy jeździł co tydzień do Provo albo Salt Lakę i tam przeprowadzał dwie albo trzy dłuższe rozmowy dziennie. Po podpisaniu umów

w maju 1977 roku byłem gotów do pracy, gdy tymczasem Schiller zdołał zgromadzić około sześćdziesięciu wywiadów, zresztą później zrobił jeszcze drugie tyle i nieustannie kursował do Utah lub Oregonu. To był jego bezcenny wkład w moje dzieło, lecz Schiller na tym nie poprzestał: chętnie zgodził się na wywiady z nim samym. Może zależało mu na jak najlepszej książce, w każdym razie zgodził się pozować do portretu i sam kreślił mapy własnych wad. Na pewno wyjawiał swoje tajemnice w przeświadczeniu, że gdy wyczerpią się stare metody, zostanie poddany nowym, bardziej dopracowany^ dlatego też sam objaśniał swoje wizje oraz logikę własnych zamierzeń.

W ciągu następnych miesięcy nie pożałował tego ani nie zechciał się wycofać. Jeżeli nawet nosił się z takim zamiarem, to nigdy go nie zdradził. Bez Schillera nie powstałaby druga część Pieśni kata. Stąd głębokie wyrazy wdzięczności dla Nicole Baker i Lawrence'a Schillera.

Pragnąłbym również podziękować innym osobom, które wniosły wkład o wiele większy, niż można było oczekiwać. Vern Damico, Bessie Gilmore i Brenda Nicole – te trzy nazwiska przychodzą mi na myśl przed innymi, ze względu na wkład pracy tych osób, które nie szczędząc czasu zawsze służyły pomocą przy korygowaniu rozbieżności lub weryfikacji szczegółów, a także nadały tej historii zabarwienie osobiste. Naprawdę, jedną z przyjemności podczas pracy nad książką była znajomość z nimi. Niemalże w równym stopniu pragnę podziękować April, Charlesowi, Kathryne, Rikkiemu i Sterlingowi Bakerom, a także Jimowi Barrettowi, Dennisowi Boazowi, Earlowi Doriusowi, Barry'emu Farrellowi, Pete'owi Galovanowi, Richar-dowi Gibbsowi, Toni Gurney, Grace McGinnis, Spencerowi McGrathowi, Robertowi Moody'emu, Ronowi Stangerowi, Judith Wolbach i doktorowi Johnowi Woodsowi, aczkolwiek takie ustanawianie kategorii zwycięzców jest niesprawiedliwe wobec pozostałych osób, które udzieliły wywiadów, gdyż prawie wszyscy chętnie wnosili swoją cząstkę do wspólnej historii. Pozwolę sobie zamieścić tu listę ich

nazwisk: Anthony Amsterdam, Wadę Andersen, Gil Athay, Kathy Baker, Ruth Ann Baker, Sue Baker, państwo T. S. Baker, Jay Barker, Bili Barrett, Marie Barrett, Thomas Barrett, Cliff Bonnors, Alvin J. Bronstein, Brent Bullock, sędzia J. Robert Bullock, Chris Caffee, David Caffee, Ken Cahoon, Cline Campbell, dr L. Grant Christensen, Rusty Christiansen, Glade Christiansen, Val Conlin, Mont Court, Yirginius (Jinks) Dabney, Idą Damico, Michael Deamer, Pam Dudson, Porter Dudson, Roger Eaton, Michael Esplin, Norman Fulmer z małżonką, Elizabeth Galovan, Richard Giauque, Frank Gilmore junior, Stanley Greenberg, Steven Groh, dr Grow, Howard Gurney, Phil Hansen, Robert Hansen, Ken Halterman, Doug Hiblar, dr Howells, Alex Hunt, Julie Jacoby, Albert Johnson, Dave Johnston, sędzia David T. Lewis, Kathy Maynard, Wayne McDonald, ks. Thomas Meersman, Bili Moyers, Johnny Nicol, Gerald Nielsen, kpt. Nolan, Martin Ontiveros, Glen Overton, por. Peacock, Shirley Pedler, Marge Quinn, Lu Ann Reynolds, Michael Rodak, Jerry Scott, Craig Smay, por. Skinner, Winda Smith, Tamera Smith, Craig Snyder, David Susskind, Craig

Taylor, Frank Taylor, Julie Taylor, Wally (z klubu motocyklowego Sundowners), Wayne Watson, dr Wesley Weissart, Noall Wooton. Ponadto następujące osoby: Don Adler, T. Aiken, Paul J. Akins, Mildred Balser, Mary Bernardie, Frank Blalm, Tony Borne, Mark Brown, Yince Capitano, naczelnik Hoyt Cupp, Dynamite Shave, LeRoy Earp, Richard Frazier, Duane Fulmer, Sally Hiblar, Mildred Hillman, dr Jarvis, śledczy Jensen, Tom Lydon, Harry Miller, John Mills, Bili Newall, Andrew Newton, dr Allen Roe, por. Lawrence Salchenberger, biskup Seeley,, Linda Stokes, kpt. Wadman, kpt. Harold Whitley, Tolly Williams, dr Joe Winter. Przeprowadzono z nimi rozmowy, lecz ze względów strukturalnych oni sami nie pojawiają się na kartach powieści (aczkolwiek mogą być wymienieni z nazwiska), lecz ich wkład był niemały. Podczas licznych podróży do Więzienia Stanu Oregon przeprowadzano wywiady ze strażnikami i więźniami, którzy znali Gilmore'a z czasów wieloletniego pobytu w tym zakładzie. Wiedza autora o

więziennym życiu została znacznie wzbogacona dzięki wszechstronnej pomocy naczelnika Hoyta Cuppa, który przedstawił również własną krytyczną ocenę warunków więziennych. Pomoc okazali także: kpt. Whitley, porucznik Salchenberger, strażnicy z oddziału Odosobnienia i Izolacji, oraz Paul J. Akins, Yince Capitano, LeRoy Earp, Andrew Newton i Tolly Williams, wspominając pobyt Gilmore'a w więzieniu. Zaciągnęliśmy dług wdzięczności także wobec Duane'a Fulmera, który odręcznie sporządził znakomity, obfitujący w szczegóły opis życia w Chłopięcej Szkole MacLarena. Dzięki tej pomocy, która mogła nie znaleźć bezpośredniego odbicia w książce, udało się stworzyć nieodzowny podtekst, można rzec: prywatny zasób materiału, na którego podstawie znacznie łatwiej mogłem zrozumieć motywację niektórych działań Gilmore'a z ostatnich dziewięciu miesięcy jego życia. Niezwykle pomocne były również listy Jacka H. Abbotta, który odbywał długoletnie kary w zachodnich więzieniach i przysłał mi serię niezwykłych listów, zdecydowanie zasługujących na publikację, gdzie opisał kodeks moralny zatwardziałych kryminalistów, ich filozofię, dumę, udrękę, występność i dążenie do nietykalności, w języku, któremu nie dorównuje żadna więzienna literatura, z jaką zetknąłem się w ciągu ostatnich lat.

Mikal Gilmore był uprzejmy udostępnić swój tekst o widzeniach z bratem opublikowany w „Rolling Stone" z 10 marca 1977 r., Sam Smith zaś pozwolił mi zwiedzić więzienie.

Na koniec, szczególne podziękowania należą się Colleen Jensen i Debbie Bushnell za współpracę przy kreśleniu portretów ich mężów,

przez co obie zmuszone były ponownie przeżyć kilka najbardziej bolesnych i straszliwych godzin swego życia. Żadne z pozostałych wywiadów nie przysparzały takich cierpień rozmówcom i żadne nie były równie cenne dla zrównoważenia wymowy książki.

Oto osoby, którym należy się podziękowanie za pomoc w gromadzeniu i przepisywaniu materiału: Janet Barkas, Dean Brooks, siostra Bernadette Ann, Clayton Brough, Murray L. Calvert, Molly Malone Cook, Peter Frawley, Kathleen Garrity, Lenny Hat, Jere Herzenberg, Diana Broede Hess, Susan Levin, Francis Lorsen, Mary Oliver, Donna Pode, Dave Schwendiman, Martha Thomases oraz Mikę Mattil, który dokonał gigantycznego dzieła, redagując szybko i fachowo.

Żywię nieustającą wdzięczność dla tych, którzy zgodzili się przeczytać maszynopis i wyrazić swoje uwagi. Są to: Norris Church, Bernard Farbar, Carol Goodson, Robert Lucid, Scott Meredith, Stephanie Schiller oraz John T. Williams. Dodam tu nazwisko Edith McNally, która nie tylko przeczytała i omówiła ze mną manuskrypt, lecz także przez dziesięć lat była dla mnie sekretarką, reporterem, archiwistą i redaktorem w jednej osobie. Bez niej nie wykonałbym tej pracy w piętnaście miesięcy.

Wreszcie przypomnijmy wspaniałą postać, człowieka, który poświęcił się literaturze. Larned G. Bradford z wydawnictwa Little, Brown, zmarł 12 maja 1979 r. Przez dziesięć lat był moim wydawcą i cieszyłby się z publikacji tego dzieła.

Spis treści

CZĘŚĆ PIERWSZA WĘDRÓWKI DUSZ

CZĘŚĆ DRUGA WYŁĄCZNE PRAWA

W drogę…

Rozdział 38

Łatwy odstrzał…'

CZĘŚĆ SIÓDMA JAK GINIE SERCE

Rozdział 39 Telewizja Rozdział 40 Szczątki Rozdział 41 Pogrzeb Rozdział 42 Dziennikarski Rozdział 43 Trafna ocena Rozdział 44 Pory roku.

odpływ

Posłowie

Oto fragment listu do Gary'ego Gilmore'a od jego ukochanej, Nicole:

23 grudnia

Och Gary tak Cię kocham tęsknię za Tobą! Boże jak mi Ciebie brakuje. Bardziej od nieba i ziemi. Bardziej od wolności i moich dzieci.

Dzisiaj adwokaci dali mi list od Ciebie. Ale tamci obrzydliwi Dozorcy bydła posługacze zabrali zanim zdążyłam przeczytać. Te cwele mnie iskają nawet po odwiedzinach mojej matki z Dziećmi. Pierdolone świry. Kochany, ja tak strasznie chciałam przeczytać słowa Twojej miłości.

Kochany, co się z nami stanie? Boże, co się dzieje? Muszę Cię zobaczyć. Jak oni mogą pozwolić Ci umierać tak samotnie, najdroższy? Tak bym chciała jeszcze chociaż raz spojrzeć w Twoje oczy.

Boże to nienormalne. To kurwa zupełnie nienormalne.

Jestem wściekła na podstępy i zmyłki Życia w Miłości i Mądrości Ostatecznej, wściekła na Boga. Wściekła na siebie (…).

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-04-25

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/